STEVE BERRY

DZIEDZICTWO TEMPLARIUSZY



Sekretna historia
niesławnego zakonu może
odsłonić tajemnicę
jego zniknięcia
przed wiekami

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

STEVE BERRY

DZIEDZICTWO TEMPLARIUSZY

Z angielskiego przełożył
CEZARY MURAWSKI

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
THE TEMPLAR LEGACY

Copyright © 2006 by Steve Berry
Map copyright © 2006 by David Lindroth
Copyright © 2007 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2007 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

This translation published by arrangenent with Ballantine Books,
an imprint of Random House Ballantine Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Beata Iwicka

ISBN: 978-83-8110-057-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki
Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Podziękowania
Prolog
Część pierwsza
- Jeden
- Dwa
- Trzy
- Cztery
- Pięć
- Sześć
- Siedem
- Osiem
- Dziewięć
- Dziesięć
- Jedenaście
- Dwanaście
- Trzynaście
- Czternaście

Część druga
- Piętnaście
- Szesnaście
- Siedemnaście
- Osiemnaście
- Dziewiętnaście
- Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden
Dwadzieścia dwa
Dwadzieścia trzy
Dwadzieścia cztery
Dwadzieścia pięć
Dwadzieścia sześć
Dwadzieścia siedem
Dwadzieścia osiem
Dwadzieścia dziewięć
Trzydzieści
Część trzecia
Trzydzieści jeden
Trzydzieści dwa
Trzydzieści trzy
Trzydzieści cztery
Trzydzieści pięć
Trzydieści sześć
Trzydzieści siedem
Trzydzieści osiem
Trzydzieści dziewięć
Czterdzieści
Czterdzieści jeden
Czterdzieści dwa
Czterdzieści trzy
Czterdzieści cztery
Część czwarta
Czterdzieści pięć
Czterdzieści sześć
Czterdzieści siedem
Czterdzieści osiem
Czterdzieści dziewięć
Pięćdziesiąt
Pięćdziesiąt jeden

Pięćdziesią dwa
Pięćdziesiąt trzy
Pięćdziesiąt cztery
Pięćdziesiąt pięć
Pięćdziesiąt sześć
Część piąta
Pięćdziesiąt siedem
Pięćdziesiąt osiem
Pięćdziesiąt dziewięć
Sześćdziesiąt
Sześćdziesiąt jeden
Sześćdziesiąt dwa
Sześćdziesiąt trzy
Sześćdziesiąt cztery
Sześćdziesiąt pięć
Sześćdziesiąt sześć
Sześćdziesiąt siedem
Słowo od autora
Przypisy

Dla Elizabeth
niezmiennie

Rzekł Jezus: „Wiedzcie, że jasne się stanie to, co widzicie, oraz to, co przed waszym spojrzeniem ukryte jest. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało wyjść na jaw”.

– EWANGELIA ŚW. TOMASZA

Służył nam dobrze ten mit o Chrystusie.

– PAPIEŻ LEON X

PODZIĘKOWANIA

Jestem szczęściarzem. Przydzielono mi ten sam zespół, z którym w 2003 roku pracowałem nad swoją pierwszą powieścią, *Bursztynowa komnata*. Niewielu autorów może liczyć na taki luksus. I znów ogromne podziękowania należą się wszystkim członkom tej drużyny z osobna. Zacznę od Pam Ahearn, mojej agentki, pełnej wiary od samego początku. W drugiej kolejności słowa wdzięczności kieruję ku ludziom z wydawnictwa Random House. Są to: Gina Centrello, niezwykły wydawca; Mark Tavani, redaktor, którego mądrość znacznie przekracza młody wiek (a przy okazji wspaniały przyjaciel); Ingrid Powell, na którą można liczyć zawsze; Cindy Murray – to jej zasługą jest moja wspaniała prezencja podczas wywiadów (co jest trudną sztuką samo w sobie); Kim Hovey, prowadząca kampanię promocyjną z wprawą i precyzją chirurga; Beck Stvan, utalentowany artysta odpowiedzialny za fantastyczną okładkę; Laura Jorstad, redaktorka o sokolim oku, dzięki której starałem się nie obniżać poziomu pisania; Crystal Velasquez, szefowa produkcji, każdego dnia sprowadzająca działania zespołu na właściwy tor; Carole Lowenstein, która sprawiła, że tekst świetnie się czyta. Na koniec wyrazy podzięki wszystkim pracownikom Działu Promocji i Sprzedaży – bez ich pełnego wsparcia niewiele dałoby się dokonać.

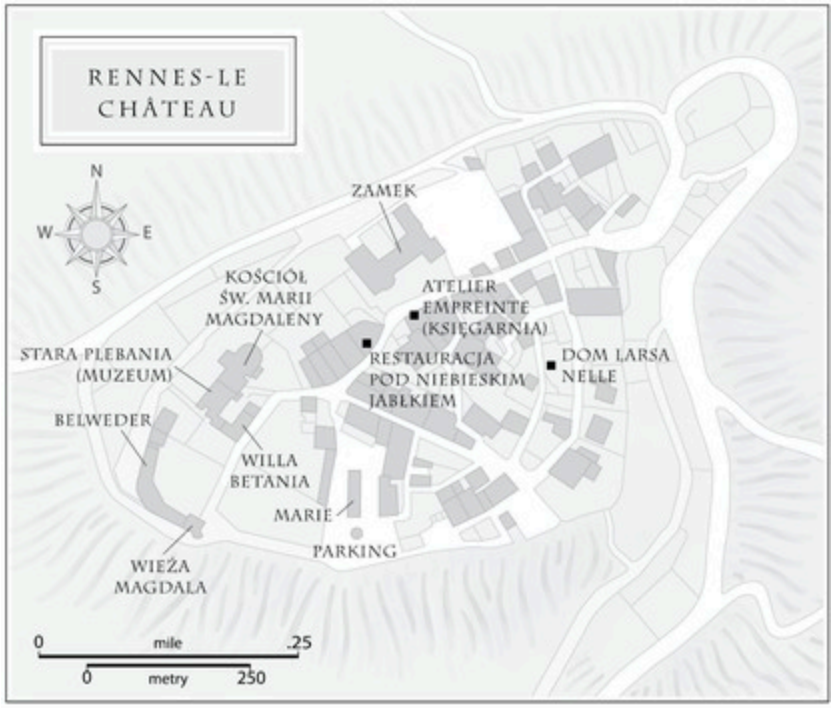
Na odrębne podziękowania zasłużyła jedna z „dziewczyn”, Daiva Woodworth, która wymyśliła imię Cottonowi Malone. Nie mogę również zapomnieć o moich dwóch innych „dziewczynach”, Nancy Pridgen i Fran Downing. Im zawdzięczam inspirację przepełniającą mnie każdego dnia.

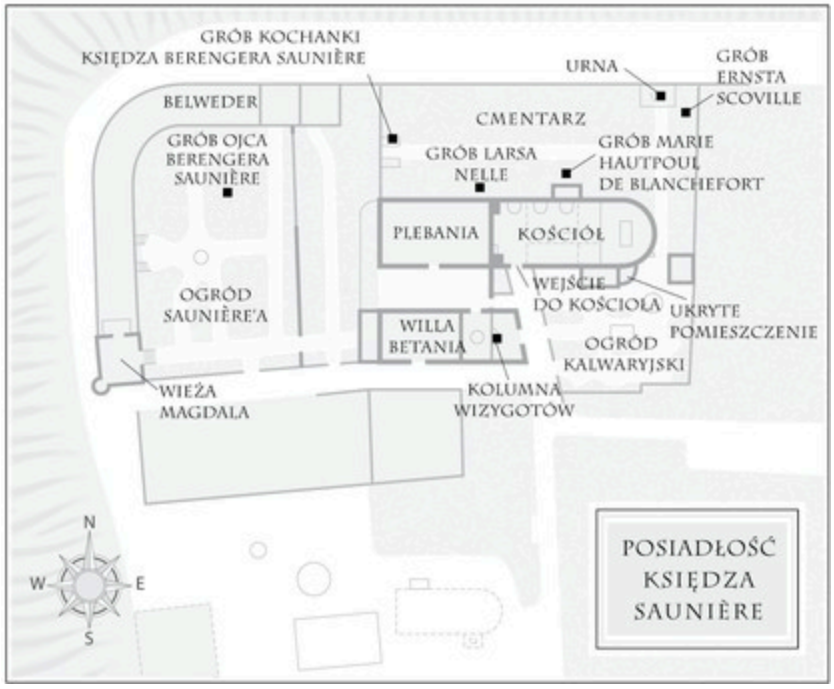
I jeszcze kilka słów bardziej osobistych. Moja córka Elizabeth była dla mnie źródłem codziennej radości, gdy w trakcie tworzenia tej książki borykaliśmy się z niewiarygodnymi tarapatami i zgryzotami. Jest prawdziwym skarbem.

Jej dedykuję swoją książkę.

Niezmiennie.


POŁUDNIOWA FRANCJA
N
W
E
S
WŁOCHY
ALPY
Rodan
Bordeaux
Garonna
Zatoka Biskajska
Millau
Montauban
Albi
Awinion
Tuluza
Montpellier
Ariège
Aude
Béziers
Marsylia
Carcassonne
Narbonne
Foix
Limoux
Lavelant
Rennes-le-Château
Lwia Zatoka
Perpignan
PIRENEJE
Morze Śródziemne
ANDORA
HISZPANIA
Opactwo des Fontaines
0 mile 100
0 km 100


RENNES-LE CHÂTEAU
N
W
E
S
ZAMEK
KOŚCIÓŁ ŚW. MARII MAGDALENY
ATELIER EMPREINTE (KSIĘGARNIA)
STARA PLEBANIA (MUZEUM)
RESTAURACJA POD NIEBIESKIM JABŁKIEM
DOM LARSA NELLE
BELWEDER
WILLA BETANIA
MARIE
PARKING
WIEŻA MAGDALA
0
mile
.25
0
metry
250


GRÓB KOCHANKI KSIĘDZA BERENGERA SAUNIÈRE
URNA
GRÓB ERNSTA SCOVILLE
BELWEDER
CMENTARZ
GRÓB OJCA BERENGERA SAUNIÈRE
GRÓB LARSA NELLE
GRÓB MARIE HAUTPOUL DE BLANCHEFORT
PLEBANIA
KOŚCIÓŁ
WEJŚCIE DO KOŚCIOŁA
UKRYTE POMIESZCZENIE
OGRÓD SAUNIÈRE'A
WILLA BETANIA
OGRÓD KALWARYJSKI
WIEŻA MAGDALA
KOLUMNA WIZYGOTÓW
N
W
E
S
POSIADŁOŚĆ KSIĘDZA SAUNIÈRE

PROLOG

PARYŻ, FRANCJA
STYCZEŃ 1308

Jakub de Molay pragnął śmierci, chociaż wiedział, że jego dusza nigdy nie dostąpi zbawienia. Był dwudziestym drugim wielkim mistrzem Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona – religijnego bractwa, z łaski Bożej istniejącego od ponad dwustu lat. Trzy miesiące temu jednak on i pięć tysięcy jego braci stali się więźniami Filipa IV, króla Francji.

– Powstań, jeśli łaska – polecił stojący w progu Wilhelm Imbert.

De Molay nie ruszył się z pryczy.

– Jesteś bezczelny, nawet w obliczu śmierci – skomentował z przekąsem dominikanin.

– Arogancja to wszystko, co mi zostało.

Imbert był człowiekiem o szelmowskiej naturze, miał końską twarz i – jak zauważył de Molay – wydawał się równie niewzruszony i nieczuły jak kamienny posąg. Piastował urząd wielkiego inkwizytora Francji; był też osobistym spowiednikiem Filipa IV, co oznaczało, że ma bezpośredni wpływ na króla. Mimo to wielki mistrz zakonu templariuszy wielokrotnie się zastanawiał, czy prócz zadawania bólu coś w ogóle raduje dominikanina. Wiedział natomiast, co wzbudza w nim irytację.

– Nie uczynię niczego, czego pragniesz.

– Uczyniłeś już znacznie więcej, niż ci się wydaje.

Była to prawda i de Molay niejeden raz żałował własnej słabości. Tortury, którym poddawał templariuszy Imbert od trzynastego października, były nad wyraz brutalne i wielu braci przyznało się do przestępstw. Wielki mistrz wzdrygał się na samo wspomnienie tego, co wyznał: że ci, których przyjmowano do zakonu, wyrzekali się Chrystusa Pana i spluwali na krzyż, wyrażając tym samym pogardę wobec Stwórcy. De Molay dał się złamać do tego stopnia, iż podpisał list, w którym wzywał braci do wyznania przewin,

tak jak on sam to uczynił, a wielu spośród zakonnych rycerzy posłuchało go.

Przed zaledwie kilkoma dniami posłańcy Jego Świątobliwości Klemensa V dotarli jednak w końcu do Paryża. Wiadomo było wszem i wobec, iż papież jest marionetką w rękach Filipa. Z tego właśnie powodu poprzedniego lata de Molay przywiózł ze sobą do Francji złote floreny oraz dwanaście koni, których juki wyładowano srebrem. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, pieniądze te miały zapewnić templariuszom królewską łaskę. Okazało się jednak, że wielki mistrz nie docenił monarchy. Filip nie chciał częściowej daniny. Pragnął całego majątku zakonu. Jego urzędnicy sfabrykowali więc oskarżenia o herezję i w ciągu jednego dnia aresztowali tysiące templariuszy. De Molay zdał wysłannikom Klemensa V relację o torturach i męczarniach, których zaznał, oraz publicznie odwołał wymuszone na nim zeznania. Nie miał też złudzeń, że akt ten pociągnie za sobą działania odwetowe.

– Domyślam się, iż w chwili obecnej Filip martwi się, że jego papież może okazać się człowiekiem z charakterem – rzekł teraz.

– Niemądrze obrażać zwycięzcę – ostrzegł Imbert.

– Cóż więc byłoby mądre?

– Postępowanie zgodne z naszymi życzeniami

– Jak po czymś takim miałbym odpowiedzieć przed moim Bogiem?

– Twój Bóg czeka, aż odpowiesz przed nim ty i wszyscy inni templariusze – inkwizytor mówił swoim zwykłym metalicznym głosem, w którym nie brzmiał najmniejszy nawet ślad uczucia.

De Molay nie miał ochoty na dalszą dyskusję. W ciągu minionych trzech miesięcy znosił niekończące się przesłuchania oraz nieustanny brak snu. Zakuwano go w kajdany, stopy smarowano mu sadłem i przystawiano do płomieni, rozciągano jego ciało na madejowym łożu. Zmuszano go nawet, by patrzył, jak pijani kaci torturują innych templariuszy, którzy w zdecydowanej większości byli zwykłymi włościanami, dyplomatami, buchalterami, rzemieślnikami, nawigatorami i urzędnikami. Wielki mistrz stydził się tego, co wcześniej wyznał pod przymusem; nie miał też zamiaru dobrowolnie przyznawać się już do niczego. Leżał na cuchnącej pryczy, w nadziei, że jego nadzorca odejdzie.

Na znak Imberta dwóch więziennych strażników przecisnęło się przez drzwi, chwyciło de Molaya i postawiło go na nogi.

– Wyprowadźcie go – rozkazał inkwizytor.

Jakub de Molay został uwięziony w paryskiej twierdzy Temple i był w niej przetrzymywany od października poprzedniego roku. Donżon z czterema narożnymi wieżyczkami służył za kwaterę główną templariuszy – a także centrum finansowe – nie było tu więc żadnej sali tortur. Imbert improwizował, zamieniając kaplicę w miejsce niewyobrażalnych cierpień i katuszy. Wielki mistrz w ciągu minionych trzech miesięcy odwiedzał je często.

De Molaya zaciągnięto do kaplicy i ustawiono na środku posadzki o wzorze czarno-białej szachownicy. W miejscu tym, pod gwiaździstym sklepieniem, w szeregi zakonu przyjęto wielu braci.

– Powiedziano mi – odezwał się Imbert – że tutaj odprawialiście swoje najbardziej sekretne ceremoniały.

Inkwizytor, odziany w czarną szatę, podszedł dumnym krokiem do jednej ze ścian podłużnego pomieszczenia, do rzeźbionego pojemnika, dobrze znanego wielkiemu mistrzowi.

– Przejrzałem zawartość tej skrzyni. Znajduje się w niej ludzka czaszka, dwie kości udowe oraz biały całun. Osobliwe, nieprawdaż?

De Molay nie zamierzał w ogóle się odzywać. Przypomniał sobie natomiast słowa, które wypowiadał każdy postulant przyjmowany w szeregi rycerskiego bractwa. „Zniosę wszystko, co raduje Boga”.

– Wielu spośród twoich braci wyznało nam, w jaki sposób tym się posługiwaliście – rzekł Imbert, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Jakże ohydny stał się twój zakon!

Wielki mistrz miał już tego dość.

– Udzielimy odpowiedzi jedynie naszemu papieżowi, jako słudzy Sługi Bożego. On sam nas osądzi.

– Twój papież jest poddanym mojego suzerena. Z pewnością cię nie ocali.

Była to prawda. Wysłannicy awiniońskiego papieża zapewnili, że przekażą zwierzchnikowi Kościoła, iż de Molay wyparł się wymuszonych zeznań, ale jednocześnie wyrazili wątpliwość, czy odmieni to w jakikolwiek sposób los templariuszy.

– Przywiążcie go – polecił Imbert.

Koszulę, którą wielki mistrz nosił od dnia aresztowania, zerwano z jego ciała. Nie było mu specjalnie żal, że ją traci, gdyż ubiór ten przesiąknięty

był zapachem uryny i kału. Reguła zakazywała jednak braciom ukazywania nagości. De Molay wiedział też, że inkwizytor woli widzieć swoje ofiary bez odzienia – odarte z godności – postanowił więc, iż nie ugnie się przed obraźliwym czynem Imberta. Miał już wprawdzie pięćdziesiąt sześć lat, ale jego ciało wciąż prezentowało się imponująco. Podobnie jak wszyscy rycerze zakonni, dbał o tężyznę fizyczną. Stał wyprostowany, starając się zachować godność.

– Z jakiej przyczyny muszę być poniżany? – zapytał spokojnie.

– Cóż masz na myśli? – w pytaniu inkwizytora dało się wyczuć niedowierzanie.

– Ta sala jest miejscem modłów, ty zaś odzierasz mnie z szat i wpatrujesz się w moją nagość, wiedząc, że bracia czują odrazę przed takimi zachowaniami.

Imbert sięgnął do kufra i wyciągnął z niego długą płócienną tkaninę.

– Twojemu zakonowi postawiono dziesięć zarzutów.

De Molay znał ich treść. Zaczynały się od ignorowania sakramentów, szły przez oddawanie czci bożkowi i czerpaniu korzyści z niemoralnych czynów, a kończyły się na aprobowaniu praktyk homoseksualnych.

– Największy mój niepokój – podjął dominikanin – budzi fakt, że od każdego z postulantów wymagałeś zaprzeczenia, iż Chrystus jest naszym Panem, a także kazałeś im pluć na Krzyż święty i deptać po nim. Jeden z twoich braci opowiedział nam nawet o tym, jak obsikał wizerunek naszego Pana Jezusa na krzyżu. Czy to prawda?

– Zapytaj tego brata.

– Niestety, nie przetrwał kaźni.

De Molay odpowiedział milczeniem.

– Mojego króla oraz Jego Świątobliwość ten zarzut zaniepokoił bardziej niż pozostałe. Jako sługa Kościoła z pewnością domyślasz się, jakim unieśli się gniewem na wieść, że wypieracie się Chrystusa?

– Wolę rozmawiać wyłącznie z moim papieżem.

Na znak Imberta dwóch strażników założyło kajdany na przeguby wielkiego mistrza, potem cofnęło się i nie zważając na umęczone mięśnie więźnia, pociągnęło go za ramiona. Inkwizytor wyciągnął spod sutanny batog z licznymi rzemieniami. Końcówki zadźwięczały, a do Molay dostrzegł, że do każdego rzemienia dowiązany jest kawałek kości.

Dominikanin smagnął biczem po obnażonych plecach i rozciągniętych ramionach wielkiego mistrza. Ból przeszył ciało więźnia, a po chwili osłabł, pozostawiając tępe pulsowanie. Zanim ciało zdążyło dojść do siebie, dosięgło je następne uderzenie, potem kolejne. De Molay nie chciał za żadną cenę dać Imbertowi powodu do satysfakcji, lecz w końcu ból wziął nad nim górę i zaczął jęczeć w męczarniach.

– Nie będziesz drwił z inkwizycji – oznajmił dominikanin.

Wielki mistrz okiełznał ogarniające go emocje. Wstydził się, że wydał bolesne krzyki. Spoglądał buńczucznie w zaropiałe oczy inkwizytora i czekał na to, co stanie się dalej.

Imbert nie ugiął się pod tym spojrzeniem.

– Zapierasz się naszego Zbawiciela, uznając go jedynie za śmiertelnego człowieka, nie za Syna Bożego? Bezcześcisz Krzyż święty? Bardzo dobrze. Przekonasz się, czym jest męka na krzyżu.

Batog powrócił do pracy – smagał de Molaya po plecach, pośladkach i nogach. Ciało templariusza spływało krwią, gdy ostre końce z kości rozcinały jego skórę.

Wzrok mu się zamglił.

Imbert przerwał chłostę.

– Ukoronujcie wielkiego mistrza! – krzyknął.

De Molay uniósł głowę, starając się odzyskać ostrość widzenia. Dostrzegł przed sobą coś, co wyglądało jak czarna żelazna obręcz. Do jej brzegów przywiązano gwoździe, których czubki skierowane były do dołu i do środka.

Inkwizytor podszedł bliżej.

– Przekonaj się, co wycierpiał nasz Zbawiciel. Jezus Chrystus, którego wyparliście się ty i twoi bracia.

Na głowę wielkiego mistrza założono koronę cierniową, potem dociśnięto. Czubki gwoździ przecięły skórę, a krew spłynęła z drobnych ran, wsiąkając w przetłuszczone włosy.

Imbert odrzucił batog.

– Weźcie go.

De Molay poczuł, jak oprawcy wloką go przez kaplicę w stronę wysokich drzwi, które kiedyś prowadziły do jego prywatnych komnat. Ktoś podsunął stołek, na którym postawiono wielkiego mistrza. Jeden ze strażników przytrzymywał więźnia w pozycji stojącej, drugi zaś stał

w gotowości, na wypadek, gdyby torturowany zaczął stawiać opór. On był jednak zbyt osłabiony, by podjąć taką próbę.

Zdjęto mu kajdany z rąk.

Imbert wręczył trzy gwoździe drugiemu ze strażników.

– Prawa ręka w górę – poinstruował go. – Jak uzgodniliśmy.

Rękę wielkiego mistrza uniesiono ponad jego głowę. Strażnik podszedł bliżej i de Molay zobaczył młotek.

Wtedy zdał sobie sprawę, co go czeka.

Boże miłosierny!

Poczuł, jak dłoń oprawcy chwyta go za przegub i przyciska gwóźdź do jego spoconej skóry. Dojrzał jeszcze młotek przecinający powietrze i usłyszał, jak metal uderza o metal.

Wielki mistrz ryknął z bólu, kiedy gwóźdź przebił mu nadgarstek.

– Nie trafiłeś przypadkiem w naczynia krwionośne? – zapytał Imbert strażnika.

– Zdołałem je ominąć.

– Dobrze. Nie powinien wykrwawić się na śmierć.

De Molay, jeszcze jako młody rycerz, walczył w Ziemi Świętej, kiedy zakon bronił ostatniej twierdzy w Akce. Przypomniał sobie, jak głownia miecza wbijała się w ciało. Głęboko. Mocno. Długo. Ale gwóźdź wbijany w przegub był czymś o wiele gorszym.

Rozciągnięto lewe ramię wielkiego mistrza i drugi gwóźdź przebił się przez jego ciało na wysokości przegubu. Torturowany zagryzł język, chcąc powstrzymać się od jęku, ale cierpienie sprawiło, że zęby wbiły się głęboko. Krew wypełniła jego usta, a de Molay ją przełknął.

Imbert kopniakiem wybił stołek spod nóg więźnia. Ciężar całego, mierzącego metr osiemdziesiąt ciała wielkiego mistrza utrzymywał się teraz na kościach nadgarstków, głównie prawego przegubu, gdyż kąt ustawienia lewej ręki przesuwał punkt ciężkości na prawą stronę. Coś zachrzęściło w barkach de Molaya, a w jego mózgu zaczął pulsować niewypowiedziany ból.

Jeden z oprawców chwycił jego prawą stopę i obmacywał ją. Najwidoczniej Imbert postanowił skrupulatnie dobrać miejsce na gwóźdź, aby ostrze przebiło ciało w punktach, w których przebiega niewiele naczyń krwionośnych. Potem lewą stopę wielkiego mistrza ułożono na prawej i obie zostały przybite do drzwi jednym gwoździem.

De Molay nie był w stanie powstrzymać rozpaczliwego okrzyku boleści.

Inkwizytor przeprowadził inspekcję katowskiego dzieła.

– Krwi niewiele. Dobra robota – pochwalił i cofnął się o krok. – Będziesz znosił takie same męki jak nasz Zbawiciel. Z jedną różnicą.

Teraz wielki mistrz zrozumiał, dlaczego oprawcy wybrali drzwi. Imbert powoli odchylił je na zawiasach, a potem gwałtownie zatrzasnął.

Ciało de Molaya sunęło najpierw w jedną stronę, potem w drugą, wisząc na zwichniętych stawach barków, podtrzymywane przez gwoździe. Katusze, które teraz cierpiał, przekraczały wszelkie jego wyobrażenia.

– To jak łamanie kołem – tłumaczył Imbert. – Ból można dawkować stopniowo. Jest w tym element podlegający kontroli. Mogę pozwolić, żebyś tylko wisiał, albo kazać bujać tobą, w tę i we w tę. Ale mogę zrobić także to, co przed chwilą, a to jest najgorsze ze wszystkiego.

Wielki mistrz miał mroczki przed oczyma, z ledwością mógł oddychać. Skurcze chwytały niemal każdy jego mięsień. Serce waliło jak szalone. Pot spływał z niego strumieniami – czuł się, jakby miał gorączkę, jakby jego ciało płonęło żywym ogniem.

– Ciągle drwisz sobie z inkwizycji? – zapytał Imbert.

De Molay pragnął wykrzyczeć dominikaninowi, że nienawidzi Kościoła za to, co ów czyni. Słaby papież, sterowany przez zbankrutowanego francuskiego monarchę, zdołał jakimś sposobem doprowadzić do upadku największą w dziejach organizację religijną. Piętnaście tysięcy braci rozrzuconych po całej Europie. Dziewięć tysięcy posiadłości. Zakon rycerzy, którzy panowali w Ziemi Świętej przez blisko dwa wieki. Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona stanowili uosobienie wszystkiego, co dobre. Lecz ich powodzenie zrodziło zawiść, a on, jako wielki mistrz, powinien był przewidzieć polityczne burze, które zbierały się nad jego głową. Powinien był okazać mniej pychy, a więcej pokory. Nie powinien tyle mówić bez ogródek. Dzięki Bogu, zdołał przewidzieć część z tego, co się już wydarzyło, i podjął odpowiednie środki ostrożności. Filip IV nigdy nie zobaczy nawet uncji ze złota ani srebra templariuszy.

Nigdy też nie będzie mu dane ujrzeć skarbu największego spośród wszystkich.

Uświadomiwszy to sobie, de Molay zebrał w sobie resztki energii i podniósł głowę. Imbert najwyraźniej doszedł do przekonania, że więzień zamierza mówić, więc przysunął się bliżej.

– Niech cię piekło pochłonie – wyszeptał wielki mistrz. – Bądź przeklęty ty oraz wszyscy, którzy dopomagają ci w tej diabelskiej intrydze!

Głowa opadła mu na piersi. Usłyszał, jak Imbert krzyczy, by trzaśnięto drzwiami, ale ból był tak potężny i z tylu kierunków napływał do mózgu, że torturowany czuł niewiele.

De Molaya zdjęto z drzwi. Nie wiedział, jak długo na nich wisiał, ale nie poczuł żadnej ulgi, gdyż jego mięśnie już dawno całkowicie odrętwiały. Przez jakiś czas go niesiono, a potem zdał sobie sprawę, że znów jest w swojej celi. Oprawcy rzucili go na pryczę. Jego ciało zapadło się w miękkie posłanie, a nozdrza wypełnił znajomy odór. Głowa spoczęła nieco uniesiona na poduszce, ręce wyciągnęły się po bokach.

– Powiedziano mi – usłyszał cichy głos Imberta – że kiedy przyjmowaliście nowego brata do zakonu, barki kandydata owijaliście w płócienny całun. Ceremoniał ten miał rzekomo symbolizować śmierć postulanta, po której następowało zmartwychwstanie do nowego życia templariusza. Ty również dostąpisz tego zaszczytu. Podłożyłem pod twoje ciało całun wyjęty z kufra w kaplicy.

Dominikanin chwycił boki długiej tkaniny o ukośnym splocie i owinął nią ciało wielkiego mistrza, poczynając od stóp, a na głowie kończąc. De Molay nie widział teraz nic, zakryty całunem.

– Powiedziano mi również, że całun ten służył zakonowi w Ziemi Świętej. Przywieziono go tutaj i używano w ceremonii przyjęcia każdego nowicjusza tu, w Paryżu. Teraz jesteś odrodzony – kpił inkwizytor. – Leż tu sobie i rozmyślaj o swoich grzechach. Wrócę jeszcze do ciebie.

De Molay był zbyt słaby, żeby odpowiedzieć. Wiedział, że Imbert najprawdopodobniej otrzymał rozkaz, żeby go nie zabijać, lecz zdał sobie również sprawę, iż nikt nie zamierza się o niego zatroszczyć. Leżał więc bez ruchu. Odrętwienie stopniowo ustępowało – w jego miejsce pojawiał się niewypowiedziany wręcz ból. Serce wielkiego mistrza wciąż mocno waliło, ciało wytwarzało przerażające ilości potu. Próbował się uspokoić i pomyśleć o rzeczach przyjemnych. Jedną z tych przyjemnych, wciąż powracających myśli była świadomość, że wie to, czego jego oprawcy najbardziej pragną się dowiedzieć. On jedyny spośród żywych znał ten sekret. Takie były wymogi zakonnej reguły. Odchodzący wielki mistrz powierzał tajemnicę tylko i wyłącznie swojemu następcy. Niestety, z uwagi

na nieoczekiwane aresztowanie i czystkę w zakonie, tym razem sekret trzeba było przekazać inaczej. De Molay nie zamierzał dopuścić do zwycięstwa ani Filipa, ani też Kościoła. Poznają jego tajemnicę wtedy, kiedy on zechce im o niej powiedzieć. Jak mówi psalm? „Twój język jest jak ostra brzytwa, sprawco podstępu”[1].

Wielki mistrz przywołał jednak w myślach inny cytat z Biblii, który podziałał niczym balsam na jego znękaną duszę. Gdy leżał owinięty w całun, ociekając krwią i spływając potem, przypomniał sobie słowa z Księgi Powtórzonego Prawa.

„Pozwól, że ich wytępię, wygładzę ich imię spod nieba”[2].

CZĘŚĆ
PIERWSZA

JEDEN

KOPENHAGA, DANIA
CZWARTEK, 22 CZERWCA, CZASY TERAŹNIEJSZE
14.50

Cotton Malone dostrzegł nóż w tej samej chwili, w której zobaczył Stephanie Nelle. Siedział przy stoliku w ogródku Café Nikolaj, ulokowany wygodnie w białym krześle. Słoneczne popołudnie było przyjemne, a rozciągający się przed oczami Malone'a Højbro Plads, popularny kopenhaski plac, pełen był przechodniów. W kawiarni jak zwykle było tłoczno, panowała w niej ożywiona atmosfera. Malone spędził tu pół godziny, czekając na Stephanie.

Była filigranową kobietą, po sześćdziesiątce, jak sądził, chociaż ona nigdy nie potwierdziła dokładnie swojego wieku, a w aktach osobowych Departamentu Sprawiedliwości, do których Malone raz zdołał zajrzeć, w rubryce „data urodzenia" widniał tylko lakoniczny skrót „b.d.", czyli: brak danych. W jej ciemnych włosach widniały srebrne pasemka, a z brązowych oczu przebijało pełne zrozumienia spojrzenie liberała i jednocześnie gniewny błysk oskarżyciela. Dwóch prezydentów usiłowało mianować ją prokuratorem generalnym, lecz za każdym razem odrzucała tę ofertę. Jeden z prokuratorów generalnych natomiast intensywnie lobbował, by ją zdymisjonowano – zwłaszcza po tym, jak FBI ujawniło, że prowadzi przeciwko niemu śledztwo – ale Biały Dom udaremnił ten zamysł, ponieważ oprócz wielu innych kwestii, Stephanie Nelle wyróżniała się nieskazitelną wręcz uczciwością.

Mężczyzna z nożem był zaś niski i krępy, o ostrych rysach i włosach ostrzyżonych na jeża. W jego wschodnioeuropejskiej twarzy było coś nawiedzonego – jakaś rozpacz, która bardziej zaniepokoiła Malone'a niż połyskujące w słońcu ostrze. Nosił strój w stylu sportowym: dżinsowe spodnie oraz karminową kurtkę.

Malone wstał z miejsca, nie spuszczając wzroku ze Stephanie. Przez chwilę chciał ostrzec ją krzykiem, ale była za daleko, poza tym wokół panował zbyt duży hałas. Stracił ją z oczu, gdy zniknęła za jedną z modernistycznych rzeźb zdobiących Højbro Plads. Ta akurat przedstawiała obscenicznie otyłą, nagą kobietę leżącą na brzuchu. Jej przelewające się pośladki przypominały kształtem łagodnie zaokrąglone, zwietrzałe wierzchołki gór. Kiedy Stephanie pojawiła się po drugiej stronie rzeźby, zbliżył się do niej mężczyzna z nożem. Malone zobaczył, jak tamten przecina pasek zwisającej z jej lewego ramienia skórzanej torebki i popycha Stephanie na chodnik.

Jakaś kobieta krzyknęła i na widok uzbrojonego w nóż złodzieja wybuchło zamieszanie.

Mężczyzna w czerwonej kurtce ruszył przed siebie z torebką Stephanie w ręku, rozpychając ludzi, którzy stanęli mu na drodze. Kilku z nich się cofnęło. Złodziej skręcił w lewo, za kolejną z brązowych rzeźb. W końcu zaczął biec. Wyglądało na to, że zmierza w kierunku Købmagergade, deptaka skręcającego ku północy z Højbro Plads w głąb handlowego centrum miasta.

Malone wyszedł zza stolika, zamierzając przeciąć drogę Czerwonej Kurtce, zanim ten zdąży skręcić za róg, ale pościg utrudniło mu kilka ustawionych przed kawiarnią rowerów. Ominął je i ruszył pędem przed siebie, niemal okrążył fontannę, po czym rzucił się na tamtego.

Przewrócili się na twarde kamienie. Czerwona Kurtka wziął na siebie prawie cały impet uderzenia, a Malone natychmiast się zorientował, że jego przeciwnik jest dobrze umięśniony. Niezrażony atakiem, złodziej przeturlał się, a potem kolanem rąbnął napastnika w brzuch.

Malone poczuł, jak zapiera mu dech w piersiach, a żołądek podchodzi do gardła.

Czerwona Kurtka zerwał się na równe nogi i pomknął w kierunku Købmagergade.

Malone wstał, ale natychmiast przysiadł i wziął kilka płytkich oddechów.

Niech to szlag. Wyszedł z wprawy.

Zebrał się w sobie i podjął pościg, gdy jego zwierzyna zyskała przewagę blisko piętnastu metrów. Malone nie dostrzegł noża w trakcie walki, teraz jednak, kiedy biegł ulicą między sklepami, zauważył, że złodziej wciąż

ściska kurczowo skórzaną torebkę. Czuł palący ból w piersiach, ale mimo wszystko odstęp między nimi zmniejszał się.

Czerwona Kurtka wyrwał wózek z kwiatami z rąk starego, wymizerowanego mężczyzny. Wiele takich wózków stało przy Højbro Plads i Købmagergade. Malone nie cierpiał ulicznych sprzedawców, którzy z radością blokowali dostęp do jego księgarni, zwłaszcza w soboty. Złodziej pchnął wózek po bruku w stronę ścigającego go człowieka. Malone nie mógł pozwolić, by wózek toczył się bez kontroli: zbyt wielu ludzi było na ulicy, w tym także dzieci – skoczył zatem w prawo, chwycił wózek i zatrzymał go. Obejrzał się i na rogu Købmagergade zobaczył Stephanie z policjantem. Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów za nim, lecz nie miał czasu na nich czekać.

Malone popędził przed siebie, zastanawiając się, dokąd zmierza ścigany. Być może zostawił gdzieś tutaj auto albo czekał na niego kierowca w miejscu, gdzie Købmagergade uchodziło do innego z ruchliwych placów Kopenhagi, Hauser Plads. Miał nadzieję, że tak nie jest. Ten plac był zawsze zakorkowany: znajdował się za siecią deptaków, które tworzyły handlową mekkę znaną pod nazwą Strøget. Malone czuł w udach ból wywołany nieoczekiwanym wysiłkiem. Jego mięśnie dawno wyszły z wprawy, jaką miały w czasach, gdy służył w marynarce, a potem pracował dla Departamentu Sprawiedliwości. Po roku dobrowolnej emerytury poziom jego fizycznej sprawności raczej nie zachwyciłby byłych pracodawców.

Zobaczył przed sobą Rotundę, opartą mocno o kościół Świętej Trójcy, niczym termos przywiązany do koszyka z obiadem. Potężna okrągła budowla wspinała się w górę na wysokość dziewięciu kondygnacji. Ufundował ją w 1642 roku duński król Chrystian IV i wieża ta stała się symbolem jego panowania: pozłacana rzymska czwórka ujęta w literę „C” połyskiwała na ponurej konstrukcji z cegły. W tym miejscu przecinało się pięć ulic, a Czerwona Kurtka mógł każdą z nich obrać za drogę ucieczki.

Pojawiły się policyjne radiowozy.

Jeden z nich z piskiem zahamował od południowej strony Rotundy. Inny nadjechał z dalszego końca Købmagergade, blokując możliwość ucieczki ku północy. Czerwona Kurtka znajdował się teraz na placyku otaczającym budowlę. Zawahał się, najwyraźniej oceniając sytuację, potem skoczył w prawo i zniknął wewnątrz Rotundy.

Co ten dureń robi? Nie było stąd innego wyjścia poza bramą na parterze. Być może jednak złodziej o tym nie wiedział.

Malone podbiegł do wejścia. Znał mężczyznę w budce z biletami: ów Norweg spędzał wiele godzin w jego księgarni, a jego pasją była literatura anglojęzyczna.

– Arne, dokąd pobiegł ten mężczyzna? – zapytał po duńsku, łapiąc oddech.

– W prawo; nie zapłacił za bilet!

– Czy ktoś jest na górze?

– Przed chwilą weszła tam starsza para.

Na górę nie prowadziły żadne schody, nie było też windy. Zbudowano tu spiralną rampę biegnącą aż na sam wierzchołek Rotundy. W XVII wieku zakładano, że będzie można tędy wtaczać na górę ciężkie astronomiczne przyrządy. Miejscowi przewodnicy opowiadali jako ciekawostkę historię, jak to car Rosji Piotr Wielki wjechał pewnego razu na górę konno, caryca zaś dostała się tam powozem.

Malone usłyszał dobiegające z góry odgłosy kroków. Pokręcił głową na myśl o tym, co go czeka.

– Powiedz policji, że jesteśmy na górze.

Ruszył biegiem.

W połowie drogi na spiralnym podejściu minął drzwi prowadzące do Wielkiej Sali. Przeszklone wejście było zamknięte, a światła zgaszone. Piękne dwudzielne okna biegły dookoła zewnętrznych murów, lecz w każdym z nich znajdowały się kraty. Przez moment Malone znów nasłuchiwał i dosłyszał odgłos kroków dobiegających z góry.

Ruszył przed siebie, oddychając z coraz większym trudem. Zwolnił tempo, kiedy minął średniowieczny przyrząd do wytyczania biegu planet, zawieszony wysoko na ścianie. Wiedział, że wyjście na szczytową platformę widokową znajduje się zaledwie o kilka metrów od niego, za ostatnim zakrętem pochylni.

Nie słyszał już kroków.

Podkradł się do przodu i minął łukowate wejście. Na środku znajdowało się ośmioboczne obserwatorium, które powstało dużo później niż sama wieża. Dookoła niego biegł szeroki taras widokowy.

Po lewej stronie obserwatorium otoczone było ozdobnym, żelaznym ogrodzeniem, a jedyne wejście zamykał łańcuch. Po prawej widniała

misterna krata z kutego żelaza, zdobiąca wieżę od zewnątrz. Za nią znajdowała się niska balustrada, za którą widać było czerwone dachy miasta oraz zielone iglice wież.

Malone obszedł podest dookoła i natknął się na niemłodego mężczyznę leżącego na brzuchu. Za nim zobaczył Czerwoną Kurtkę, który obejmował ramieniem starszą panią i przystawiał jej nóż do gardła. Zdawało się, że kobieta chce krzyczeć, lecz strach odebrał jej głos.

– Niech się pani nie rusza – powiedział do niej Malone po duńsku.

Spoglądał badawczo na człowieka w czerwonej kurtce. Wyraz rozpaczy wciąż przebijał z ciemnych, teraz niemal pełnych żalu oczu złodzieja. W jaskrawym świetle słońca Malone dostrzegł na twarzy tamtego kropelki potu. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi nie powinien posuwać się ani o milimetr naprzód. Odgłosy kroków dobiegające z dołu sygnalizowały, że za parę chwil zjawi się tu policja.

– Może trochę byś ochłonął? – zapytał, na próbę po angielsku.

W oczach Czerwonej Kurtki dostrzegł iskierkę zrozumienia, ale nóż ani drgnął. Wzrok złodzieja pobiegł ku niebu, a potem wrócił. Wydawało się, że brak mu pewności siebie, lecz to niepokoiło Malone’a jeszcze bardziej. Desperaci zwykle popełniają desperackie czyny.

– Odłóż nóż. Policja już tu idzie. Nie ma stąd wyjścia.

Czerwona Kurtka znów skierował wzrok ku niebu, potem skoncentrował spojrzenie na człowieku, który go ścigał. Malone patrzył na niego, targany niepewnością. O co mogło mu chodzić? Złodziej torebek, który ucieka na szczyt trzydziestometrowej wieży, skąd nie ma drogi ucieczki?

Kroki wyraźnie się zbliżyły.

– Policja już tu jest.

Czerwona Kurtka cofnął się ku żelaznej balustradzie, lecz wciąż mocno trzymał starszą panią. Malone czuł, że zapada jakaś ostateczna decyzja.

– Stąd nie ma ucieczki – powtórzył dobitnie.

Złodziej zacisnął uchwyt na torsie kobiety, potem chwiejnym krokiem cofnął się, teraz już opierając się plecami o zewnętrzną balustradę. Za nim i jego zakładniczką znajdowała się już tylko przepaść.

Panika zniknęła z jego oczu, ustępując miejsca spokojowi. Pchnął kobietę do przodu, a Malone chwycił ją, zanim straciła równowagę. Czerwona Kurtka przeżegnał się i z torebką Stephanie w dłoni przeskoczył

nad balustradą, wykrzykując jedno słowo: „*Beauseant*”. Spadając, poderżnął sobie gardło.

Gdy w bramie pojawiła się policja, starsza pani się rozpłakała.

Malone puścił ją i podbiegł do balustrady.

Czerwona Kurtka leżał na bruku trzydzieści metrów niżej.

Malone odwrócił się i spojrzał ku niebu, na maszt flagowy zamontowany na szczycie obserwatorium. W nieruchomym powietrzu zwisała tam luźno duńska flaga z białym krzyżem na czerwonym tle.

Na co patrzył tamten złodziej? I dlaczego skoczył z wieży? Malone jeszcze raz spojrzał na dół i zobaczył, jak Stephanie przepycha się łokciami przez tłum gapiów, który zdążył się już zgromadzić wokół ciała Czerwonej Kurtki. Jej skórzana torebka leżała oddalona o jakiś metr od martwego mężczyzny. Malone patrzył, jak kobieta ją podnosi, a potem znika w ciżbie. Podążał wzrokiem za Stephanie, gdy przepychała się przez tłum i oddalała jedną z uliczek odchodzących od Rotundy, zmierzając w stronę ruchliwego Strøgetu. Nie obejrzała się ani razu.

Pokręcił głową, zastanawiając się nad jej pośpiesznym odejściem.

– Co, do diabła? – mruknął pod nosem.

DWA

Stephanie była w szoku. Od dwudziestu sześciu lat pracowała w Departamencie Sprawiedliwości, od piętnastu kierowała biurem Magellan Billet i nauczyła się, że jeśli coś stoi na czterech nogach, ma trąbę i pachnie orzeszkami ziemnymi, jest to z całą pewnością słoń. Nie trzeba zwieszać mu tabliczki z napisem. Innymi słowy, oznaczało to, że mężczyzna w czerwonej kurtce na pewno nie był złodziejem torebek.

Musiał zatem być kimś innym.

To znaczyło z kolei, iż ktoś orientował się w jej sprawach.

Stephanie widziała, jak złodziej skacze z wieży – właściwie po raz pierwszy była świadkiem czyjejś śmierci. Przez lata słuchała, jak mówią o tym jej agenci, ale istnieje ogromna różnica między czytaniem raportów a patrzeniem, jak ktoś umiera. Ciało grzmotnęło o bruk z głuchym, mdlącym odgłosem. Czy ten człowiek zeskoczył? Czy też Malone zmusił go do tego? Czy tam na górze doszło do walki? Czy ten mężczyzna coś powiedział, zanim podjął ów ostateczny krok?

Przyjechała do Danii w jednym tylko celu i postanowiła przy okazji złożyć wizytę Cottonowi Malone. Przed wieloma laty należał do tych, których wybrała do pierwszej dwunastki Magellan Billet. Znała jego ojca i obserwowała szybką karierę syna. Ucieszyła się, kiedy Cotton przyjął jej ofertę i przeszedł z prokuratury marynarki wojennej JAG do Departamentu Sprawiedliwości. W miarę upływu czasu wyrósł na jej najlepszego agenta. Zareagowała też głębokim przygnębieniem, kiedy przed rokiem zdecydował się odejść.

Nie widziała się z nim od tamtego czasu, chociaż parę razy rozmawiali przez telefon. Kiedy ruszył w pościg za złodziejem, zwróciła uwagę, że wysoka sylwetka Malone’a wciąż zachowała sprawność, a jego gęste, faliste włosy wciąż mają kolor jasnej sieny, podobny do barwy starych domów otaczających ją teraz. Przez blisko dwanaście lat pracy dla Stephanie zawsze był bezpośredni i niezależny. Dlatego właśnie stał się tak

dobrym agentem – tym, któremu zaufała. Właściwie był kimś więcej niż jej pracownikiem.

Był też jej przyjacielem.

Nie znaczyło to jednak wcale, że życzyła sobie, by mieszał się w jej sprawy.

Pościg za mężczyzną w czerwonej kurtce pasował do Malone'a, ale jednocześnie oznaczał komplikacje. Złożenie mu wizyty teraz oznaczałoby zadawanie pytań, na które nie miała wcale zamiaru udzielać odpowiedzi.

A zatem stary przyjaciel będzie musiał zaczekać na następną okazję.



Malone wyszedł z Rotundy i ruszył w ślad za Stephanie. Kiedy zszedł ze szczytu, personel pogotowia zajmował się już parą starszych ludzi. Mężczyzna wciąż chwiał się na nogach po uderzeniu w głowę, ale nie groziło mu nic poważnego. Kobieta nie wyszła jeszcze z szoku i Malone słyszał, jak jeden z sanitariuszy nalega, by zabrać ją do oczekującego w pobliżu ambulansu.

Ciało Czerwonej Kurtki leżało na ulicy, pod jasnożółtym prześcieradłem. Policjanci zajmowali się teraz usuwaniem ludzi z miejsca tragedii. Przepychając się przez tłum, Malone patrzył, jak ktoś podnosi prześcieradło, a policyjny fotograf przystępuje do pracy. Złodziej podciął sobie gardło. Zakrwawiony nóż leżał niedaleko ręki wykręconej pod nienaturalnym kątem. Krew wciąż płynęła z poderżniętej szyi, tworząc ciemną kałużę na brukowej kostce. W czaszce widniały wgniecenia, tułów był pogruchotany, a nogi rozrzucone tak, jakby nie miały kości. Jeden z policjantów polecił Malone'owi, aby nie opuszczał miejsca zdarzenia. Chcieli go przesłuchać. Teraz jednak musiał odnaleźć Stephanie.

Wyszedł z tłumu gapiów i spojrzał ponownie w popołudniowe niebo, gdzie wysoko stojące słońce wciąż jeszcze świeciło z rozrzutnym przepychem. W zasięgu wzroku nie widać było nawet chmurki. Zapowiadała się idealna noc na oglądanie gwiazd, lecz nikt tego wieczoru

nie będzie mógł odwiedzić obserwatorium na szczycie Rotundy. Nie. Obiekt został zamknięty na tę noc, ponieważ z wieży zeskoczył samobójca.

Kim mógł być ten desperat?

Myśli Malone'a stanowiły mieszaninę zdziwienia i niepokoju. Wiedział, że powinien teraz wrócić do swojej księgarni i zapomnieć o Stephanie Nelle oraz o tym, co ją tu sprowadziło. Jej sprawy przestały być jego sprawami. Wiedział też jednak, że nie zapomni.

Coś tutaj się działo, i to coś niedobrego.

Dostrzegł Stephanie o jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą przy Vestergade, kolejnej z długich uliczek, które niczym pajęcza sieć oplatały handlowy rejon Kopenhagi. Szła szybkim krokiem, niezrażona tym, co się wydarzyło. Nagle skręciła w prawo i zniknęła we wnętrzu jednego z budynków.

Podbiegł tam i zobaczył szyld: „Antykwariat Hansena". Właściciel tej księgarni był jednym z niewielu w Kopenhadze ludzi, których nie cieszył widok Malone'a. Peter Hansen nie lubił cudzoziemców, a zwłaszcza Amerykanów, i nawet usiłował zablokować jego wejście do Duńskiego Stowarzyszenia Księgarzy Antykwariuszy.

Dawne instynkty wzięły w Malonie górę – przeczucia i zmysły, które spoczywały w hibernacji od czasu, gdy rok temu przeszedł na emeryturę. Nie przepadał za tymi uczuciami. Ale to one zawsze pchały go do przodu.

Zatrzymał się na krótko przed drzwiami frontowymi antykwariatu i dostrzegł w środku Stephanie rozmawiającą z Hansenem. Oboje przeszli potem w głąb sklepu, zajmującego parter trzykondygnacyjnego budynku. Malone poznał rozkład wnętrza, kiedy w zeszłym roku przeprowadził zwiad w kopenhaskich księgarniach. Niemal wszystkie z nich dowodziły nordyckiej schludności. Zbiory ułożone były tematycznie, książki stały równo na półkach. Hansen był jednak bardziej chaotyczny. Prezentował eklektyczną mieszaninę starego i nowego – w głównej mierze nowego, ponieważ nie należał do ludzi, którzy zapłaciliby każdą sumę za pozyskanie ciekawych woluminów z prywatnych zbiorów.

Malone wsunął się do słabo oświetlonego wnętrza, mając nadzieję, że nikt z pracowników nie zawoła go po nazwisku. Kilka razy zjadł kolację z kierowniczką sklepu Hansena. To od niej się dowiedział, że nie należy do ulubieńców antykwariusza. Na szczęście kobiety nie było teraz w zasięgu wzroku, a tylko jakieś dziesięć osób myszkowało po półkach. Szybko dotarł

w pobliże zaplecza, gdzie znajdowały się liczne wnęki i pakamery, zastawione regałami pełnymi książek. Czuł pewien dyskomfort z powodu swojej obecności tutaj – w końcu Stephanie jedynie zadzwoniła do niego i powiedziała, że planuje kilkugodzinną wizytę w mieście i że chciałaby się na chwilę z nim spotkać – ale wszystko to zdarzyło się przed pojawieniem się złodzieja. Teraz zaś Malone był cholernie ciekaw, czego chciał Czerwona Kurtka.

Nie powinno go zaskoczyć zachowanie Stephanie. Zawsze trzymała wszystkie sprawy pod ścisłą kontrolą, niekiedy nawet zbyt ścisłą, co często prowadziło do konfliktów. Czym innym jest bezpieczeństwo w biurze w Atlancie i praca przy komputerze, a czymś zupełnie innym wyjście w teren. Do podejmowania właściwych decyzji zawsze są niezbędne odpowiednie informacje.

Wypatrzył Stephanie i Hansena wewnątrz pomieszczenia bez okien, służącego antykwariuszowi za biuro. Malone zajrzał tu już, kiedy po raz pierwszy usiłował nawiązać przyjazne stosunki z tym idiotą. Hansen był człowiekiem o masywnej budowie, z długim nosem wiszącym nad siwawym wąsikiem. Malone ustawił się za regałem przeładowanym książkami i wziął do ręki jeden z tomów, udając, że czyta.

– Dlaczego przebyła pani tak długą drogę, żeby to zrobić? – zapytał antykwariusz stłumionym, chrapliwym głosem.

– Czy zna pan dom aukcyjny w Roskilde?

Typowe dla Stephanie rzucanie pytaniem na pytanie, żeby uniknąć odpowiedzi.

– Często tam bywam. Oferują dużo książek na sprzedaż.

Malone również znał ten dom aukcyjny. Roskilde znajdowało się o pół godziny drogi na zachód od Kopenhagi. Sprzedawcy zabytkowych książek spotykali się tam raz na kwartał, organizując aukcje, na które zjeżdżali kupcy praktycznie z całej Europy. Malone zarobił blisko dwieście tysięcy euro dzięki czterem książkom, na które natrafił przy okazji sprzedaży podupadłej posiadłości gdzieś w Czechach. Dzięki temu przejście z dobrze płatnej posady w rządowej agencji do egzystencji prywatnego przedsiębiorcy okazało się mniej stresujące. Ale to budziło również zazdrość, a Peter Hansen nie krył zawiści.

– Potrzebuję tej książki, o której rozmawialiśmy. Dzisiaj wieczorem. Stwierdził pan, że nie powinno być problemu z jej kupnem – oznajmiła

Stephanie tonem nawykłym do wydawania poleceń.

Hansen zachichotał.

– Amerykanie! Wszyscy jesteście tacy sami. Świat kręci się wokół was.

– Mój mąż powiedział, że potrafi pan znaleźć to, co jest nie do znalezienia. Książka, którą pragnę zdobyć, już została znaleziona. Teraz muszę tylko ją kupić.

– Trafi w ręce osoby, która wylicytuje najwyższą kwotę.

Malone skrzywił się. Stephanie nie znała niebezpiecznego obszaru, w który się teraz zapuszczała. Pierwszą zasadą targów było ukrycie faktu, że się czegoś bardzo pożąda.

– To zapomniana książka, na której nikomu nie zależy – powiedziała.

– Ale najwyraźniej pani na niej zależy. A to znaczy, że znajdą się również inni chętni.

– Zatem dopilnujmy tego, byśmy przelicytowali wszystkich.

– Dlaczego ta książka jest taka ważna? Nigdy o niej nie słyszałem. Jej autor nie jest znany.

– Czy pyta pan o motywy mojego męża?

– Co ma pani na myśli?

– To nie pańska sprawa. Proszę zdobyć dla mnie tę książkę, a ja wypłacę panu uzgodnioną prowizję.

– Dlaczego nie kupi jej pani osobiście?

– Nie mam zamiaru się tłumaczyć.

– Pani mąż był osobą dużo bardziej zgodną.

– On nie żyje.

Chociaż w tym stwierdzeniu nie było emocji, na moment zapadła cisza.

– Czy pojedziemy do Roskilde razem? – zapytał Hansen, najwyraźniej przyjmując do wiadomości przekaz, iż niczego więcej się od niej nie dowie.

– Spotkam się z panem na miejscu.

– Już nie mogę się doczekać.

Stephanie opuściła zaplecze, a Malone wsunął się głębiej za regał, odwracając twarz, gdy przechodziła obok. Usłyszał, jak drzwi biura Hansena zamykają się z trzaskiem i wykorzystał tę sposobność, by przekraść się ku wyjściu.

Stephanie wyszła z ciemnego już sklepu i skręciła w lewo. Malone odczekał moment, po czym ruszył ostrożnie do przodu i obserwował, jak

jego była szefowa przemyka między popołudniowymi spacerowiczami z powrotem w stronę Rotundy.

Odczekał nieco i ruszył za nią.

Nie odwróciła głowy ani razu. Zachowywała się tak, jakby nie była świadoma faktu, że ktoś może interesować się jej poczynaniami. A powinna, zwłaszcza po tym, co stało się z mężczyzną w czerwonej kurtce. Malone dziwił się, że Stephanie nie zachowuje ostrożności. Wprawdzie nie była agentem operacyjnym, ale nie była też głupia.

Przy Rotundzie, zamiast skręcić w prawo i ruszyć ku Højbro Plads, gdzie znajdowała się księgarnia Malone'a, Stephanie poszła prosto. Minęła trzy przecznice, a potem zniknęła w holu hotelu d'Angleterre.

Patrzył, jak wchodzi.

Czuł się urażony faktem, że zamierzała kupić książkę w Danii, a nie poprosiła go o pomoc. Najwidoczniej nie chciała go w to angażować. Prawdę mówiąc, po tym, co stało się na szczycie Rotundy, najwyraźniej nie chciała nawet z nim rozmawiać.

Spojrzał na zegarek. Minęła szesnasta trzydzieści. Aukcja książek rozpoczynała się o osiemnastej, a Roskilde było oddalone o pół godziny drogi samochodem. Wcześniej nie zamierzał wziąć udziału w licytacji. W katalogu, który otrzymał kilka tygodni temu, nie znalazł nic interesującego. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Stephanie zachowywała się dziwnie, nawet jak na nią. A znajomy głos we wnętrzu Malone'a, ten sam, który utrzymywał go przy życiu przez dwanaście lat służby rządowej, podpowiadał mu, że była szefowa będzie go potrzebować.

TRZY

OPACTWO DES FONTAINES
FRANCUSKIE PIRENEJE
17.00

Seneszal klęczał przy łóżku, by dodać otuchy umierającemu wielkiemu mistrzowi. Przez całe tygodnie modlił się, by chwila ta nie nadeszła. Lecz już niedługo, po dwudziestu ośmiu latach mądrych rządów nad zakonem, starzec leżący na posłaniu zazna zasłużonego spokoju i dołączy do swych poprzedników w niebie. Niestety, dla seneszala zamieszanie świata doczesnego nie ustanie, a perspektywa ta przyprawiała go o dreszcze.

Pomieszczenie było przestronne; na pradawnych murach z kamienia i drewna nie widać było śladów rozpadu, jedynie sosnowe belki w stropie poczerniały od upływu czasu. Jedyne okno, niczym ponure oko, tworzyło wyłom w ścianie zewnętrznej i jednocześnie stanowiło ramę pięknego widoku na wodospad usytuowany na tle wielkiej szarej góry. Zmierzch pogłębiał półmrok panujący w narożnikach pomieszczenia.

Seneszal ujął dłoń starego człowieka. W dotyku była chłodna i lepka.

– Słyszysz mnie, mistrzu? – zapytał po francusku.

Zmęczone oczy otworzyły się.

– Jeszcze nie odszedłem. Lecz już wkrótce to zrobię.

Seneszal słyszał, jak inni w ostatniej godzinie życia wypowiadali podobne słowa, i zastanawiał się, czy ciało osiąga po prostu stan skrajnego wyczerpania, kiedy brakuje mu energii, by zmusić płuca do oddechu czy serce do bicia. A śmierć wkraczała w końcu tam, gdzie kiedyś kwitło życie. Ścisnął mocniej dłoń mistrza.

– Będzie mi ciebie brakowało.

Na wąskich ustach starca pojawił się słaby uśmiech.

– Służyłeś mi dobrze; zresztą wiedziałem, że tak właśnie będzie. Dlatego właśnie mój wybór padł na ciebie.

– W najbliższym czasie szykuje się poważny konflikt.

– Jesteś na to gotowy. Dopilnowałem tego.

Piastował godność seneszala, po wielkim mistrzu drugą w zakonnej hierarchii. Piął się w górę po drabinie zaszczytów, zdaniem niektórych zbyt szybko. Tylko stanowcze przywództwo wielkiego mistrza wyciszyło głosy niezadowolonych. Lecz wkrótce śmierć miała zabrać jego protektora, on zaś obawiał się otwartej rewolty, do której mogło dojść.

– Nie ma gwarancji, że zostanę twoim następcą.

– Nie doceniasz siebie.

– Szanuję siłę swoich adwersarzy.

Zapadła cisza, w której słowiki i kosy zdołały obwieścić swoją obecność za oknem. Seneszal patrzył na wielkiego mistrza. Stary człowiek miał na sobie błękitną koszulę ozdobioną złotymi gwiazdami. Chociaż rysy twarzy zdążyła już wyostrzyć nadchodząca śmierć, w szczupłym ciele starca wciąż tliło się życie. Siwa broda była wprawdzie długa i nieco zaniedbana, dłonie i stopy powykrzywiał artretyzm, lecz z oczu nadal promieniował blask. Seneszal wiedział, że dwadzieścia osiem lat przywództwa nauczyło wiele starego wojownika. Być może najważniejszą lekcją była umiejętność zachowania maski uprzejmości nawet w obliczu śmierci.

Lekarz potwierdził diagnozę kilka miesięcy temu – nowotwór. Zgodnie z postanowieniami reguły, chorobie pozwolono dalej się rozwijać, co stanowiło oczywistą konsekwencję pogodzenia się z boskimi wyrokami. Przez stulecia tysiące braci musiało znosić ten sam los i było nie do pomyślenia, aby wielki mistrz złamał tę zasadę.

– Żałuję, że nie mogę poczuć zapachu kropel wody – wyszeptał konający starzec.

Seneszal spojrzał w kierunku okna. Pamiętające XVI wiek skrzydła były szeroko otwarte, wpuszczając do środka słodki zapach mokrych kamieni oraz soczystych zarośli. Wciągnął ich woń głęboko w nozdrza. Słychać też było pluskające odgłosy niezbyt odległego wodospadu.

– Twoja cela wydaje się być idealnym miejscem na wydanie ostatniego tchu.

– Z tego właśnie powodu tak bardzo chciałem zostać wielkim mistrzem.

Seneszal uśmiechnął się, świadom tego, iż stary człowiek sili się na dowcip. Niejeden raz czytał kroniki i wiedział, że jego mentor dostąpił zaszczytu piastowania godności wielkiego mistrza dzięki genialnej

zdolności kierowania obrotami koła fortuny. Lata jego rządów cechował ład i spokój, ale wszystko to miało ulec zmianie już niebawem.

– Będę się modlił za twoją duszę – zapewnił umierającego.

– Przyjdzie na to czas później. Teraz musisz się przygotować.

– Do czego?

– Do konklawe. Zbierz swoje głosy. Przygotuj się. Nie pozwól przeciwnikom na zmobilizowanie sił. Przypomnij sobie wszystko, czego cię nauczyłem – chropawy głos załamywał się, zdjęty niemocą, lecz brzmiała w nim siła i stanowczość.

– Nie jestem pewien, czy chcę zostać wielkim mistrzem.

– Jesteś pewien.

Stary przyjaciel znał go dobrze. Skromność nakazywała nie przyznawać się do tego, ale seneszal niczego bardziej nie pragnął, niż zostać kolejnym wielkim mistrzem.

Poczuł, jak ręka, którą trzymał, zadrżała. Stary człowiek potrzebował kilku oddechów, by się uspokoić.

– Sporządziłem ostatnią wolę. Leży tam, na biurku.

Seneszal wiedział, że obowiązkiem następnego wielkiego mistrza jest zapoznanie się z testamentem poprzednika.

– Tego obowiązku trzeba dopełnić – powiedział starzec. – Tak zresztą, jak działo się od Początków.

Seneszal nie chciał rozmawiać o obowiązku. W tej chwili targały nim emocje. Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym znajdowało się jedynie łóżko, klęcznik ustawiony przed drewnianym krucyfiksem, trzy krzesła z obiciem wykonanym ze starego gobelinu, biurko do pisania i dwie stare marmurowe figurki ustawione w niszach w ścianie. Kiedyś w tej kwaterze znajdowała się hiszpańska skóra, porcelana z Delft oraz angielskie meble. Ale pycha i buta już dawno przestały charakteryzować zakon.

A także jego samego.

Stary człowiek usiłował wciągnąć powietrze do płuc.

Seneszal spoglądał na mężczyznę leżącego w bolesnych objęciach choroby. Wielki mistrz uspokoił oddech, po czym kilka razy zamrugał powiekami.

– Jeszcze nie teraz, stary przyjacielu. Ale wkrótce.

CZTERY

ROSKILDE
18.15

Malone zaczekał, aż aukcja się rozpocznie, dopiero potem wsunął się do holu. Znał oficjalną procedurę i wiedział, że licytacja zostanie otwarta najwcześniej o osiemnastej dwadzieścia. Przedtem trzeba było załatwić sprawy związane z rejestracją kupców oraz deklaracjami zgody sprzedających, wymagające zweryfikowania, zanim pieniądze zaczną przechodzić z rąk do rąk.

Roskilde było zabytkowym miastem usytuowanym nad wąskim fiordem. Założone przez wikingów, do XV wieku służyło za siedzibę duńskich monarchów. I wciąż jeszcze emanowało królewskim wdziękiem. Aukcja odbywała się w centrum, w pobliżu Domkirke, w budynku położonym przy Skomagergade, gdzie kiedyś mieściły się warsztaty szewskie. Handel książkami był w Danii swego rodzaju sztuką. W całym narodzie słowo pisane darzono szacunkiem – co Malone, jako bibliofil od młodości, wysoko cenił. Kiedyś książki były dla niego wyłącznie pasją, odwróceniem uwagi od stresów związanych z pełną ryzyka służbą, teraz zaś stały się jego życiem.

Dostrzegł Petera Hansena i Stephanie z przodu sali, zatrzymał się zatem z tyłu, kryjąc się za jednym z kamiennych filarów wspierających sklepiony sufit. Nie miał zamiaru licytować, więc prowadzący aukcję nie musiał go widzieć. Książki pojawiły się na stole licytacyjnym i znikały z niego jedna po drugiej, niektóre za pokaźne sumy. Zauważył nagłe ożywienie Petera Hansena, gdy zaprezentowano kolejną książkę.

– *Pierres Gravées du Languedoc*, autor Eugène Stüblein. Copyright 1887 – oznajmił prowadzący aukcję. – Historia tego regionu, dość powszechna jak na czasy, w których powstała, wydrukowana w zaledwie kilkuset egzemplarzach. Stanowi część ostatnio pozyskanego majątku. Książka jest w bardzo dobrym stanie, oprawiona w skórę, nie ma na niej żadnych

dopisków, w środku zawiera kilka wyjątkowych rycin, jedną z nich reprodukujemy w katalogu. Zazwyczaj nie zajmujemy się takimi rzeczami, ale wolumin jest w naprawdę dobrym stanie, sądzimy więc, że może wzbudzić zainteresowanie. Proszę o stawkę otwarcia.

Trzy pierwsze kwoty padły szybko, wszystkie niskie; ostatnia podbiła stawkę do czterystu koron. Malone przeliczył szybko w myślach. Sześćdziesiąt dolarów. Hansen podniósł ofertę do ośmiuset. Przez moment nie zgłaszał się żaden z potencjalnych kupców, aż pracownik giełdy siedzący przy telefonie zgłosił ofertę osoby, która nie mogła uczestniczyć osobiście, i podbił stawkę do tysiąca koron.

Hansen wydawał się zaniepokojony niespodziewanym wyzwaniem, zwłaszcza ze strony oferenta nieobecnego na sali, podbił więc stawkę do tysiąca pięćdziesięciu. Licytujący przez telefon zaporowo zaoferował dwa tysiące. Do rozgrywki dołączył się jeszcze trzeci chętny. Licytacja trwała do momentu, gdy suma osiągnęła dziewięć tysięcy koron. Inni obecni na sali zaczęli podejrzewać, że w tej książce kryje się coś więcej. Kolejną minutę intensywnego podbijania stawki zakończył Hansen, oferując dwadzieścia cztery tysiące koron.

Ponad cztery tysiące dolarów.

Malone zdawał sobie sprawę, że Stephanie jest dobrze uposażonym państwowym urzędnikiem, a jej roczne zarobki mieszczą się w przedziale od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Zmarły przed laty mąż pozostawił jej pewne aktywa, ale nie była osobą bogatą i z pewnością nie zajmowała się kolekcjonowaniem książek, zdziwił się więc, że gotowa jest zapłacić tak dużą sumę za nieznaną książkę krajoznawczą. Ludzie przynosili podobne publikacje do jego antykwariatu całymi kartonami; wiele z nich wydano w XIX wieku i na początku XX, czyli w czasach, kiedy opisy odległych miejsc cieszyły się popularnością. Większość tych dzieł napisana była napuszonym językiem i, ujmując ogólnie, nie miała większej wartości.

Najwyraźniej jednak ów tom był w jakiś sposób wyjątkowy.

– Pięćdziesiąt tysięcy koron – rzucił przedstawiciel oferenta licytującego przez telefon.

Ponad dwa razy więcej niż ostatnia stawka podana przez Hansena.

Wszyscy się obrócili, a Malone wycofał się za kolumnę, gdy Stephanie nagle spojrzała w stronę ławki z telefonami. Wyjrzał ostrożnie i zobaczył,

jak była szefowa rozmawia z antykwariuszem, a potem ponownie kierują uwagę na prowadzącego licytację. Zapadła chwila ciszy, w trakcie której Hansen zdawał się zastanawiać nad kolejnym ruchem, chociaż nie ulegało wątpliwości, że postępuje według wskazówek Stephanie.

Pokręciła głową.

– Książka została sprzedana osobie, która wylicytowała przez telefon sumę pięćdziesięciu tysięcy koron.

Prowadzący aukcję zdjął książkę ze stolika, na którym była wyeksponowana, i zarządzono piętnastominutową przerwę. Malone wiedział, że dom aukcyjny zamierza przyjrzeć się bliżej woluminowi zatytułowanemu *Pierres Gravées du Languedoc*, by sprawdzić, co sprawiło, iż dzieło okazało się warte ponad osiem tysięcy dolarów. Wedle jego wiedzy handlarze książek z Roskilde byli ludźmi bystrego umysłu i nie mieli zwyczaju przepuszczać skarbów między palcami. Lecz tym razem najwyraźniej spotkali się z nadzwyczajnym przypadkiem.

Wciąż krył się za kolumną, kiedy Stephanie i Hansen pozostawali przy swoich miejscach. W holu pojawiła się spora liczba znajomych twarzy, ale Malone miał nadzieję, że nikt nie zawoła go po imieniu. Większość uczestników zmierzała leniwie w stronę dalszego narożnika, gdzie podawano napoje chłodzące. Zobaczył, że dwóch mężczyzn podchodzi do jego byłej szefowej i przedstawia się. Obaj byli krępej budowy, krótko ostrzyżeni, ubrani w drelichowe spodnie oraz w koszule z wycięciem pod szyją, a na nich nosili jasnobrązowe kurtki. Gdy jeden z nich schylił się, by uścisnąć dłoń Stephanie, Malone zauważył wyraziste wybrzuszenie wskazujące na broń wsuniętą z tyłu za pasek spodni.

Po krótkiej rozmowie mężczyźni odeszli. Wyglądało na to, że konwersacja przebiegła w przyjaznej atmosferze, a kiedy Hansen ruszył w stronę darmowego piwa, Stephanie podeszła do jednego z pracowników domu aukcyjnego, zamieniła z nim kilka słów, po czym opuściła hol przez boczne drzwi.

Malone podszedł prosto do tego pracownika, Gregosa, szczupłego Duńczyka, z którym znał się całkiem dobrze.

– Cotton, miło cię widzieć.

– Zawsze szukam okazji.

Gregos uśmiechnął się.

– Ciężko znaleźć coś takiego tutaj.

– Cena ostatniej pozycji najwidoczniej wszystkich zaszokowała.

– Sądziłem, że pójdzie za jakieś pięćset koron. Ale pięćdziesiąt tysięcy… Zdumiewające.

– Przychodzi ci do głowy jakieś wyjaśnienie, skąd się wzięła taka cena?

Gregos zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Malone wskazał gestem na boczne drzwi.

– Ta kobieta, która przed chwilą z tobą rozmawiała… Dokąd się udała?

Pracownik giełdy spojrzał na niego znacząco.

– Interesujesz się nią?

– Nie w tym sensie. Ale jestem nią zainteresowany.

Malone należał do faworytów domu aukcyjnego od czasu, gdy przed paroma miesiącami dopomógł w odnalezieniu sprytnego złodzieja, który wystawił na aukcję trzy woluminy *Dziwnych losów Jane Eyre*, wydane około roku 1847. Okazały się kradzione. Kiedy policja przejęła książki od nabywcy, dom aukcyjny musiał zwrócić całą sumę, co do ostatniej korony, ale sprzedawca zdążył już spieniężyć wystawiony czek. Malone wyświadczył przysługę domowi aukcyjnemu, odnajdując tego człowieka w Anglii i odzyskując od niego pieniądze. Dzięki tej operacji zyskał wdzięcznych przyjaciół w nowej ojczyźnie.

– Zapytała, gdzie się znajduje katedra. Interesowało ją w szczególności usytuowanie kaplicy Chrystiana IV.

– Czy powiedziała dlaczego?

Gregos zaprzeczył ruchem głowy.

– Mówiła tylko, że wybiera się tam na przechadzkę.

Malone uścisnął dłoń rozmówcy na pożegnanie. W zaciśniętej dłoni trzymał złożony banknot o nominale tysiąca koron. Zobaczył, że Gregos docenił ten bonus, i widział, jak wsuwa pieniądze, jak gdyby nigdy nic, do swojej kieszeni. Dom aukcyjny patrzył krzywo na łapówki.

– Jeszcze jedno – podjął Malone. – Kim jest osoba, która przez telefon wylicytowała najwyższą kwotę za tę książkę?

– Jak wiesz, Cotton, ta informacja jest zgodnie z przepisami ściśle poufna.

– Jak wiesz, Gregos, nienawidzę przepisów. Czy znam tę osobę?

– To właściciel kopenhaskiego budynku, który wynajmujesz.

Malone niemal się uśmiechnął. Henrik Thorvaldsen. Powinien był się domyślić.

Wznowiono aukcję. Gdy kupujący zajęli swoje miejsca, ruszył w stronę wejścia i zauważył, że Peter Hansen siada. Malone wyszedł na chłodny duński wieczór. Chociaż dochodziła już dwudziesta, letnie niebo wciąż jeszcze było oświetlone smugami przyćmionego szkarłatu, pozostawionego przez powoli zachodzące słońce. Kilka przecznic dalej dostrzegł Domkirke, katedrę zbudowaną z czerwonej cegły, gdzie od XIII wieku chowano duńskich monarchów.

Co Stephanie tam robiła?

Już miał ruszyć w stronę katedry, gdy podeszło do niego dwóch mężczyzn. Jeden z nich przycisnął coś twardego do jego pleców.

– Niech się pan nie rusza, panie Malone, albo bez wahania pana zastrzelę – szepnął mu do ucha czyjś głos.

Spojrzał w lewo, a potem w prawo.

Dwaj mężczyźni, którzy rozmawiali przed chwilą w holu ze Stephanie, zamknęli go z obu stron. Na ich twarzach dostrzegł ten sam niepokój, który widział przed paroma godzinami na obliczu Czerwonej Kurtki.

PIĘĆ

Stephanie weszła do katedry. Pracownik domu aukcyjnego zapewnił ją, że budowlę nietrudno znaleźć, i miał rację. Ogromny gmach z cegły, o wiele za duży jak na otaczające go miasteczko, dominował na tle wieczornego nieba.

Wewnątrz monumentalnej budowli znajdowały się kapliczki i przedsionki, wszystkie zwieńczone wysokimi sklepieniami, wyposażone w wąskie witrażowe okna, które przydawały starodawnym murom niebiańskiego charakteru. Widziała, że kościół nie jest już świątynią katolicką. Wystrój wnętrza wskazywał zdaje się na przybytek luterański, architektura natomiast nosiła wyraźnie francuskie piętno.

Czuła złość z powodu utraty książki. Sądziła, że zdobędzie ją za kwotę rzędu trzystu koron, czyli mniej więcej pięćdziesięciu dolarów. Anonimowy kupiec zapłacił jednak ponad osiem tysięcy dolarów za niepozorny krajoznawczy opis południowej Francji, napisany ponad sto lat temu.

I znów ktoś wiedział o jej sprawach.

Być może to właśnie ta osoba czekała na nią? Dwaj mężczyźni, którzy podeszli do niej po licytacji, oznajmili, że wszystko się wyjaśni, jeśli uda się na spacer do katedry i odnajdzie tam kaplicę Chrystiana IV. Uznała tę eskapadę za niezbyt rozsądną, ale jaki miała wybór? Dysponowała ograniczonym czasem, a tyle miała do zrobienia!

Zgodnie ze wskazówkami, obeszła westybul kościoła. W nawie głównej po prawej stronie odprawiano mszę. W ławkach zasiadało około pięćdziesięciu wiernych. Muzyka z organów rozbrzmiewała we wnętrzu z metaliczną wibracją. Stephanie odnalazła kaplicę Chrystiana IV i weszła przez misternej roboty kratowaną furtę.

W środku czekał na nią niski mężczyzna o rzadkich, rozwichrzonych włosach koloru stalowoszarego, przylegających do czaszki niczym czapka. Jego pokryta zmarszczkami twarz była świeżo ogolona. Ubrany był w jasne bawełniane spodnie i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem oraz skórzaną kurtkę. Kiedy Stephanie podeszła bliżej, zauważyła w jego ciemnych

oczach wyraz chłodu i podejrzliwości. Być może wyczuł jej niepokój, gdyż jego twarz złagodniała. Zdobył się nawet na rozbrajający uśmiech.

– Jak to miło poznać panią, pani Nelle.

– Skąd pan wie, kim jestem?

– Miałem sposobność dobrze poznać prace pani męża. Był wielkim naukowcem i zajmował się kilkoma dziedzinami, które mnie interesują.

– Jakimi? Mój mąż zajmował się wieloma zagadnieniami.

– Główny obiekt moich zainteresowań stanowi Rennes-le-Château. Pani mąż napisał książkę na temat tak zwanego „wielkiego sekretu" tego miasteczka oraz terenów je otaczających.

– Czy pan jest osobą, która mnie przelicytowała?

Złożył ręce w udawanej pokorze.

– Nie, dlatego właśnie poprosiłem panią o rozmowę. Miałem przedstawiciela, który licytował w moim imieniu, ale (podobnie jak pani, jestem pewien) zostałem zszokowany końcową ceną.

Potrzebując chwili na zastanowienie, Stephanie obeszła królewski grobowiec. Monstrualne obrazy wielkości ściany, wykonane techniką *trompe l'oeil*, stwarzającą wrażenie trójwymiarowości, zakrywały olśniewające marmurowe mury. Pięć ozdobnych sarkofagów wypełniało środek wysokiego pomieszczenia zwieńczonego łukami.

Mężczyzna wskazał na jeden z nagrobków.

– Christian IV jest uważany za największego duńskiego monarchę, podobnie jak Henryk VIII w Anglii, Franciszek I we Francji oraz Piotr Wielki w Rosji. Całkowicie zmienił ten kraj, jego dziedzictwo jest widoczne w każdym miejscu.

Jej jednak nie interesowała lekcja historii.

– Czego pan chce?

– Pozwolę sobie coś pani pokazać.

Podszedł do metalowej kraty znajdującej się przy wejściu do kaplicy. Stephanie podążyła za nim.

– Legenda mówi, że sam diabeł zaprojektował tę furtkę. To dzieło jest wyjątkowe. Przedstawia monogram króla i królowej oraz mnogość baśniowych stworów. Lecz proszę dokładnie obejrzeć dół kraty.

Dostrzegła słowa wygrawerowane na dekoracyjnych metalowych prętach.

– Napis ten głosi – podjął mężczyzna – *Caspar Fincke bin ich genannt, dieser Arbeit binn ich bekannt.* „Caspar Fincke moje imię brzmi, dzieło to przyniosło sławę mi”.

Stephanie spojrzała na swego rozmówcę.

– Do czego pan zmierza?

– Na szczycie Rotundy w Kopenhadze, tuż przy jej zewnętrznej krawędzi, znajduje się inna krata. Jest również dziełem Finckego. Krata ta jest niska, żeby oczy mogły podziwiać dachy miasta, ale umożliwia również skok z wieży.

Zrozumiała.

– Ten człowiek, który skoczył dzisiaj z wieży, pracował dla pana?

Skinął głową.

– Dlaczego zginął?

– Żołnierze Chrystusa toczą walkę w imię Pana, bez wahania wycinając w pień wroga; nie boją się też własnej śmierci.

– On popełnił samobójstwo.

– Kiedy śmierć trzeba zadać lub ją przyjąć, nie ma w niej zbrodni, lecz jedynie wielka chwała.

– Nie wie pan, jak odpowiedzieć na moje pytanie.

Uśmiechnął się.

– Po prostu zacytowałem wielkiego teologa, który napisał te słowa przed ośmiuset laty. Święty Bernard z Clairvaux.

– Kim pan jest?

– Proszę mówić do mnie Bernard.

– Czego pan chce?

– Dwóch rzeczy. Po pierwsze, książki, którą oboje straciliśmy w trakcie licytacji. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie może jej pani dostarczyć. Druga rzecz znajduje się w pani posiadaniu. Została wysłana do pani pocztą jakiś miesiąc temu.

Zachowała stoicki spokój. Ten człowiek rzeczywiście znał jej sprawy.

– A co znajdowało się w środku?

– Ach, to ma być test. Chce pani ocenić moją wiarygodność. W porządku. W przesyłce, którą pani otrzymała, znajdował się dziennik, niegdyś należący do pani męża; osobiste zapiski, które prowadził aż do czasu przedwczesnej śmierci. Zdałem?

Nie odpowiedziała.

– Chcę mieć ten dziennik.

– Dlaczego jest taki ważny?

– Wielu nazywało pani męża dziwakiem. Odmieńcem. Człowiekiem New Age’u. Środowisko akademickie kpiło sobie z niego, a prasa pisywała o nim w prześmiewczym tonie. Lecz ja nazywam go bystrym uczonym. Potrafił dostrzec rzeczy, których nikt inny nie widział. Niech pani spojrzy na to, co osiągnął. Zapoczątkował całe to współczesne zainteresowanie Rennes-le-Château. Jego książka pierwsza zwróciła uwagę świata na cuda związane z tym miejscem. Sprzedał pięć milionów egzemplarzy na całym świecie. To prawdziwe osiągnięcie.

– Mój mąż sprzedał wiele książek.

– W sumie czternaście tytułów, o ile się nie mylę, ale żaden nie odniósł takiego sukcesu jak pierwszy, *Skarby Rennes-le-Château*. Dzięki niemu opublikowano setki książek poświęconych temu tematowi.

– Dlaczego uważa pan, że jestem w posiadaniu dziennika męża?

– Oboje dobrze wiemy, że notes byłby już w moich rękach, gdyby w sprawy nie wmieszał się mężczyzna o nazwisku Cotton Malone. O ile wiem, pracował kiedyś dla pani.

– W charakterze?

Wydawało się, że ten człowiek rozumie, iż ona wciąż wystawia go na próbę.

– Jest pani wysokim urzędnikiem państwowym, zatrudnionym w Departamencie Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Stoi pani na czele agencji o nazwie Magellan Billet. Pracuje w niej dwunastu prawników specjalnie przez panią dobranych, którzy działają pod pani osobistym nadzorem i zajmują się, że tak powiem, wrażliwymi tematami. Cotton Malone pracował dla pani przez wiele lat, ale na początku zeszłego roku zrezygnował i teraz prowadzi własną księgarnię w Kopenhadze. Gdyby nie nieszczęsny wyczyn jednego z moich akolitów, z pewnością zjadłaby pani lunch z panem Malone, życzyła mu wszystkiego dobrego i przyjechała tu na aukcję, co było prawdziwym celem pani przyjazdu do Danii.

Czas na podtrzymywanie pozorów minął.

– Dla kogo pan pracuje?

– Dla siebie.

– Wątpię w to.

– Z jakiego powodu?

– Lata praktyki.

Uśmiechnął się znów, co ją rozdrażniło.

– Dziennik, jeśli łaska.

– Nie mam go przy sobie. Po przygodzie z dzisiejszego popołudnia doszłam do wniosku, że lepiej będzie go schować w bezpiecznym miejscu.

– Czy ma go Peter Hansen?

Nie odpowiedziała.

– Nie. Zakładam, że nie oddałaby go pani w niczyje ręce.

– Uważam tę rozmowę za skończoną.

Obróciła się w stronę otwartej bramy i ruszyła pospiesznie w jej stronę. Po prawej stronie, z tyłu przy głównym wejściu, dostrzegła dwóch mężczyzn z krótko ostrzyżonymi włosami – nie tych samych, których spotkała w domu aukcyjnym. Natychmiast jednak odgadła, kto im wydaje rozkazy.

Obejrzała się na człowieka, który nie miał na imię Bernard.

– Podobnie jak w wypadku mojego towarzysza, który znalazł się w pułapce w Rotundzie, nie ma pani dokąd uciec.

– Pieprz się pan.

Skręciła pospiesznie w lewo i pomknęła w głąb katedry.

SZEŚĆ

Malone oceniał sytuację. Stał w miejscu publicznym, przy zatłoczonej ulicy. Ludzie wchodzili i wychodzili z domu aukcyjnego, podczas gdy inni czekali, aż parkingowy przyprowadzi im auta. Najwyraźniej fakt, iż śledził Stephanie, nie uszedł ich uwagi. On zaś przeklinał fakt niezachowania dostatecznej ostrożności. Teraz jednak doszedł do wniosku, że wbrew wygłoszonej groźbie ci dwaj mężczyźni nie chcieli ryzykować zdemaskowania. Mieli go powstrzymać, nie wyeliminować. Być może mieli za zadanie zapewnić spokój wydarzeniom rozgrywającym się w katedrze.

Co oznaczało, że musiał działać.

Widział, jak kolejni klienci wychodzą z domu aukcyjnego. Jednym z nich był tyczkowaty Duńczyk, właściciel księgarni przy ulicy Strøget, niedaleko antykwariatu Petera Hansena. Patrzył, jak boy podstawia jego samochód.

– Vagn! – zawołał Malone, robiąc krok do przodu i odsuwając się od pistoletu przystawionego do pleców.

Jego znajomy usłyszał swoje imię i odwrócił się.

– Cotton, jak się masz? – zapytał po duńsku.

Malone swobodnym krokiem podszedł w stronę samochodu, obejrzał się i zobaczył, jak krótko ostrzyżony mężczyzna szybko chowa broń za połą kurtki. Malone całkowicie ich zaskoczył, co jedynie potwierdzało jego wcześniejsze przypuszczenia. Ci faceci byli amatorami. Mógł się założyć, że nawet nie mówili po duńsku.

– Czy nie sprawi ci zbytniej fatygi, jeśli podwieziesz mnie z powrotem do Kopenhagi?

– Najmniejszej. Mamy wolne miejsce. Wskakuj.

Otworzył tylne drzwi auta.

– Dziękuję bardzo. Mój kierowca zamierza tu jeszcze chwilę posiedzieć, a ja muszę wracać do domu.

Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, pomachał ręką przez okno i zobaczył zdumione spojrzenia dwóch mężczyzn śledzących odjeżdżające auto.

– Nic cię dzisiaj nie zainteresowało? – zapytał Vagn.

Malone przeniósł uwagę na kierowcę.

– Absolutnie nic.

– Mnie też nie. Zdecydowaliśmy się opuścić to miejsce i udać się na wczesną kolację.

Malone spojrzał na kobietę, która zajmowała miejsce obok niego. Drugi mężczyzna siedział z przodu, obok kierowcy. Nie znał żadnego z nich, więc się przedstawił. Samochód kluczył powoli przez labirynt wąskich ulic Roskilde, zmierzając w stronę autostrady prowadzącej do Kopenhagi. Malone spojrzał na dwie wysokie wieże i miedziany dach katedry.

– Vagn, czy możesz mnie tu wysadzić? Muszę się tu pokręcić jeszcze przez chwilę.

– Jesteś pewien?

– Przypomniałem sobie, że muszę jeszcze coś załatwić.



Stephanie szła nawą główną w głąb katedry. Za potężnymi filarami po prawej stronie wciąż odprawiana była msza. Płaskie obcasy butów kobiety stukały po kamiennej posadzce, lecz dzięki grze organów stukot ten słyszała tylko ona. Za chwilę minie główny ołtarz oraz kamienne murki i posągi, które oddzielały ambit od prezbiterium.

Obejrzała się i zobaczyła, że mężczyzna, który nazywał siebie Bernardem, podąża za nią niespiesznym krokiem, ale dwóch ostrzyżonych na jeża typów nie dostrzegła nigdzie. Zdała sobie sprawę, że wkrótce zawróci do głównego wejścia. Po raz pierwszy w pełni doceniła ryzyko, na jakie narażali się jej agenci operacyjni. Nigdy nie pracowała w terenie – nie na tym polegała jej praca – ale teraz nie wypełniała służbowej misji. Realizowała przedsięwzięcie natury osobistej, oficjalnie zaś przebywała na wakacjach. Nikt nie wiedział, że udała się do Danii. Nikt oprócz Cottona Malone. Jeśli wziąć pod uwagę jej kłopotliwą obecną sytuację, trzeba uznać, że ta anonimowość nie była najtrafniejszym wyborem.

Stephanie obeszła cały ambit.

Jej prześladowca zachowywał bezpieczny dystans, z pewnością dlatego, że nie miała dokąd uciec. Minęła kamienne schodki prowadzące w dół do jednej z kaplic, a potem dostrzegła jakieś piętnaście metrów przed sobą dwóch mężczyzn, którzy zjawili się w tylnym westybulu, blokując jej drogę wyjścia z kościoła. Bernard powoli ją doganiał. Po lewej stronie dostrzegła inny grobowiec – była to kaplica Trzech Króli.

Wbiegła do środka.

Dwa kamienne grobowce stały między misternie ozdobionymi ścianami. Obydwa przypominały rzymskie świątynie. Cofnęła się za grobowiec położony dalej. A potem zdała sobie sprawę z najgorszego i ogarnęło ją dzikie przerażenie.

Znalazła się w pułapce.



Malone dobiegł do katedry i wszedł do wnętrza głównym wejściem. Po prawej stronie zobaczył dwóch mężczyzn – krępej budowy, z krótkimi włosami, ubranych w sposób nierzucający się w oczy. Podobnych do dwójki, której przed chwilą wymknął się przed domem aukcyjnym. Postanowił, że tym razem nie będzie ryzykował, i sięgnął pod kurtkę po automatyczną berettę, stanowiącą standardowe wyposażenie wszystkich agentów Magellan Billet. Pozwolono mu zatrzymać pistolet, kiedy rezygnował ze służby, Malone zaś zdołał przeszmuglować go do Danii – posiadanie broni krótkiej jest w tym kraju nielegalne.

Dotknął dłonią rękojeści, przyłożył palec do spustu i wyciągnął berettę, kryjąc ją za udem. Nie trzymał pistoletu w dłoni od ponad roku. To uczucie stanowiło część jego przeszłości, a niespecjalnie za nią tęsknił. Lecz mężczyzna, który skoczył z wieży, popełniając samobójstwo, obudził jego czujność. Przyszedł tu zatem przygotowany. Tak powinien postępować dobry agent. Dlatego właśnie sam pełnił funkcję żałobnika na pogrzebach kilku przyjaciół – gdyby nie był tak czujny, to jego już dawno poniesiono by w trumnie przez kościelną nawę.

Dwaj mężczyźni, z bronią u boku i z opuszczonymi rękoma, stali tyłem do Malone’a. Głośne brzmienie organów umożliwiło mu bezszelestne podejście. Zbliżył się do nich.

– Wieczór pełen zajęć, prawda, koledzy? – odezwał się.

Obrócili się, on zaś pomachał im pistoletem.

– Załatwmy to w sposób cywilizowany.

Ponad ramieniem jednego z mężczyzn dostrzegł trzeciego przeciwnika, oddalonego o jakieś trzydzieści metrów. Szedł w ich stronę poprzeczną nawą. Malone dostrzegł, że człowiek ten sięga pod skórzaną kurtkę, i nie czekając na dalszy rozwój wypadków, zanurkował między puste już ławki. Odgłos strzału rozległ się echem przytłumiającym organy, a kula wbiła się w drewno ławki tuż przed nim.

Zobaczył, że dwóch pozostałych mężczyzn również sięga po broń.

Leżąc na brzuchu, wystrzelił dwa razy. Strzały rozległy się jak grom we wnętrzu katedry, przebijając się przez muzykę. Jeden z mężczyzn upadł, drugi uciekł. Malone podniósł się na kolana i usłyszał trzy kolejne strzały. Rzucił się ponownie pod ławkę, gdy kule wbiły się w drewno obok niego.

Posłał dwa kolejne pociski w kierunku samotnego strzelca.

Organy zamilkły.

Ludzie zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, i zaczęli wybiegać z ławek. Mijali miejsce, w którym skrył się Malone, i szukali bezpiecznego wyjścia na zewnątrz przez tylne drzwi. Wykorzystał powstały zamęt, żeby spojrzeć znad ławki, i zobaczył mężczyznę w skórzanej kurtce obok wejścia do jednej z bocznych kaplic.

– Stephanie! – zawołał, starając się przekrzyczeć powstały chaos.

Żadnej odpowiedzi.

– Stephanie! To ja, Cotton. Daj mi znać, czy nic ci nie jest.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

Podczołgał się do przodu, dotarł do transeptu z przeciwnej strony i wstał. Ścieżka przed Malone’em prowadziła dookoła budowli i można nią było dojść na drugą stronę kościoła. Biegnące wzdłuż niej filary utrudniały trafienie go, a prezbiterium całkowicie go przesłaniało. Pobiegł więc przed siebie.



Stephanie usłyszała, jak Malone woła ją po imieniu. Dzięki Bogu, zawsze stawiał na swoim. Wciąż znajdowała się w kaplicy Trzech Króli, kryjąc się za grobowcem z czarnego marmuru. Usłyszała strzały i zdała sobie sprawę, że Malone robił wszystko, co w jego mocy, lecz przeciwników było trzech, a on tylko jeden. Powinna mu pomóc, ale jakiż byłby z niej pożytek? Nie miała przy sobie broni. Powinna przynajmniej dać mu znać, że nic jej nie jest. Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, przez inną misterną kratę, wychodzącą na wnętrze kościoła, dostrzegła Bernarda z pistoletem w dłoni.

Strach sparaliżował jej mięśnie i wzbudził w niej mało znane uczucie paniki.

Mężczyzna wszedł do kaplicy.



Malone obszedł chór. Wierni wciąż wybiegali z kościoła, krzycząc histerycznie. Z pewnością ktoś wezwał już policję. Trzeba było tylko przetrzymać napastników do czasu przybycia pomocy.

Przeszedł przez ambit i zobaczył, jak jeden z mężczyzn, którego postrzelił, pomaga drugiemu wyjść przez tylne drzwi. Nie widział jednak tego, który strzelił jako pierwszy.

To go zaniepokoiło.

Zwolnił kroku i przygotował się do oddania strzału.



Stephanie zamarła w bezruchu. Bernard znajdował się o jakieś sześć metrów od niej.

– Wiem, że pani tu jest – powiedział głębokim, gardłowym głosem. – Przybył pani wybawiciel, nie mam więc czasu na dokończenie naszych spraw. Wie pani jednak, czego chcę, niebawem zatem spotkamy się ponownie.

Ta perspektywa wcale nie wzbudziła jej entuzjazmu.

– Pani mąż również nie zachowywał się rozsądnie. Przed jedenastoma laty otrzymał podobną ofertę dotyczącą dziennika, ale ją odrzucił.

Słysząc te słowa, poczuła nagłe ukłucie w sercu. Wiedziała, że powinna zachować milczenie, lecz nie mogła się powstrzymać. Nie teraz.

– Co pan wie o moim mężu?

– Wystarczy. Zostawmy sprawy w tym punkcie.

Usłyszała, jak Bernard odchodzi.



Malone zobaczył, jak Skórzana Kurtka wychodzi z jednej z bocznych kaplic.

– Zatrzymaj się! – wykrzyknął.

Tamten obrócił się szybko i wymierzył broń.

Malone zanurkował w stronę wejścia do kolejnego pomieszczenia, dobudowanego do katedry, i przeturlał się przez kilka kamiennych stopni.

Trzy pociski odbiły się od ściany tuż nad nim.

Obrócił się na plecy, gotów odpowiedzieć ogniem, lecz Skórzana Kurtka znajdował się już o trzydzieści metrów od niego i biegł w stronę tylnego westybulu, zawracając ku drugiej stronie kościoła.

Malone zerwał się i pobiegł do przodu.

– Stephanie! – zawołał

– Tutaj, Cotton.

Zobaczył, jak jego dawna szefowa pojawia się w drugim końcu kaplicy. Podeszła do niego, a na jej spokojnej twarzy znów widniał kamienny wyraz. Z dali dobiegły odgłosy syren.

– Sugeruję, żebyśmy stąd zniknęli – powiedział. – Z pewnością padnie dużo pytań, a ja mam przeczucie, że nie chcesz odpowiadać na żadne

z nich.

– Trafnie to ująłeś – odparła i przeszła obok niego.

Już zamierzał zaproponować, żeby wyszli jednym z bocznym wyjść, kiedy główne drzwi otworzyły się z impetem, a do środka wpadła grupa umundurowanych policjantów. Wciąż trzymał pistolet w dłoni, oni zaś natychmiast to dostrzegli.

Policjanci zajęli pozycję gotową do strzału i unieśli automatyczną broń. Malone i Stephanie zamarli w bezruchu.

– *Hen til den landskab. Nu* – usłyszał komendę po duńsku. „Na ziemię. Natychmiast”.

– Czego od nas chcą? – zapytała Stephanie.

Malone upuścił pistolet i uklęknął powoli.

– Nic dobrego.

SIEDEM

Raymond de Roquefort stał na zewnątrz katedry, za tłumem gapiów, i obserwował to, co się dzieje. On oraz dwóch jego podwładnych schronili się w cieniu rzucanym przez drzewa gęsto posadzone po przeciwnej stronie placu katedralnego. Zdołał wydostać się bocznymi drzwiami i wycofać w chwili, gdy policja pokonała szturmem główne wejście. Wyglądało na to, że nikt go nie zauważył. Póki co, stróże porządku koncentrują uwagę na Stephanie Nelle i Cottonie Malone. Upłynie dłuższa chwila, zanim świadkowie opiszą pozostałych uczestników strzelaniny. Był obyty z tego rodzaju sytuacjami i wiedział, że zachowanie zimnej krwi zawsze pomaga wyjść z opresji. Nakazał więc sobie zachowanie spokoju. Jego ludzie musieli widzieć, że panuje nad sobą i biegiem zdarzeń.

Frontowa ceglana ściana katedry migała kolorem czerwonym i niebieskim od stroboskopowego światła policyjnego koguta. Dojechały następne radiowozy, a de Roquefort zdziwił się, skąd w takim miasteczku jak Roskilde wzięło się tylu stróżów porządku. Ludzie zbiegali się teraz tutaj z położonego nieopodal głównego placu miasta. Sceneria wydarzeń stawała się coraz bardziej chaotyczna. De Roquefortowi bardzo to odpowiadało. Poruszanie się w takim chaosie zawsze dawało mu niezwykłą swobodę. Pod warunkiem, że sam nad tym chaosem panował.

Spojrzał na dwójkę mężczyzn, z którymi był w kościele.

– Jesteś ranny? – zapytał tego, którego dosięgnęła kula.

Tamten odsłonił połę kurtki i pokazał, że kamizelka kuloodporna spełniła swoje zadanie.

– Jedynie trochę boli.

De Roquefort widział, jak z tłumu gapiów wyłania się dwóch pozostałych akolitów – tych, których wysłał do domu aukcyjnego. Wcześniej przez radio przekazali mu, że Stephanie Nelle nie zdołała wygrać licytacji, polecił im więc wysłać ją na spotkanie z nim. Sądził, że być może uda im się ją przestraszyć, ale wysiłek ten spełznął na niczym. Co gorsza, przy okazji zwrócił na siebie uwagę. Ale wszystko to zawdzięczał

Cottonowi Malone. Jego ludzie dostrzegli Malone’a podczas akcji, poinstruował ich więc, by zatrzymali go przez chwilę, kiedy będzie rozmawiał ze Sthepanie Nelle. Najwyraźniej jednak i te starania zawiodły.

Tamci dwaj podeszli do de Roqueforta.

– Zgubiliśmy Malone’a – poinformował jeden z nich.

– Ja go znalazłem.

– On jest pomysłowy. I odważny.

De Roquefort wiedział, że to prawda. Zebrał informacje na temat Cottona Malone, kiedy dowiedział się, że Stephanie Nelle planuje wyjazd do Danii i chce się z nim spotkać. Ponieważ Malone mógł stanowić część jej planów, de Roquefort postanowił dowiedzieć się o tym człowieku jak najwięcej.

Tak naprawdę nazywał się Harold Earl Malone. Miał czterdzieści sześć lat, urodził się w Georgii. Matka też urodziła się w tym stanie, natomiast ojciec, zawodowy wojskowy, skończył uczelnię w Annapolis, a potem doszedł do stopnia kapitana marynarki wojennej, jeszcze zanim jego okręt podwodny zatonął, kiedy Cotton miał zaledwie dziesięć lat. Syn poszedł w ślady ojca: studiował w Akademii Marynarki Wojennej i ukończył ją z trzecią lokatą na roku. Potem przyjęto go do szkoły lotniczej, gdzie ostatecznie zdobył na tyle wysokie noty, że zdecydował się szkolenie pilotów myśliwców. Wtedy, o dziwo, w połowie drogi, nagle poprosił o służbowe przeniesienie i dostał zgodę na podjęcie studiów na wydziale prawa Uniwersytetu w Georgetown, gdzie uzyskał dyplom prawnika, gdy pracował już w Pentagonie. Po studiach przeniesiono go do Biura Prokuratora Wojskowego, JAG, gdzie spędził dziewięć lat. Przed trzynastoma laty zrezygnował z tej pracy i przeniósł się do Departamentu Sprawiedliwości, do nowo sformowanej przez Stephanie Nelle agencji o nazwie Magellan Billet. Pozostał w tej strukturze aż do zeszłego roku, dosłużywszy się stopnia kapitana marynarki wojennej.

Jeśli chodzi o sprawy osobiste, Malone był rozwiedziony i miał czternastoletniego syna, który mieszkał z matką w Georgii. Tuż po odejściu z armii Cotton opuścił Amerykę i przeniósł się do Kopenhagi. Był zapalonym bibliofilem, pochodził z katolickiej rodziny, ale nie epatował religijnością. Mówił dość biegle w kilku językach, nie popadł też w żadne uzależnienia ani fobie – poza tym posiadł zdolność do ekstremalnej automotywacji i potrafił poświęcać się sprawie w sposób graniczący z obsesją. Dysponował również ejdetyczną pamięcią. Summa summarum,

był typem człowieka, jakiego de Roquefort najchętniej miałby po swojej stronie, a nie po przeciwnej.

Ostatnich kilka minut tylko to potwierdziło.

Stosunek trzy do jednego zdawał się nie zrażać Malone'a, zwłaszcza gdy uznał, że Stephanie Nelle jest w niebezpieczeństwie.

Wcześniej jeden z młodych towarzyszy de Roqueforta zademonstrował niezwykłą lojalność i odwagę, chociaż zbyt pospiesznie próbował ukraść torebkę pani Nelle. Powinien poczekać do chwili, kiedy spotka się ona z Cottonem Malone, a potem będzie wracać do hotelu sama i w dużym stopniu bezbronna. Być może ten akolita usiłował zadowolić przełożonego, wiedząc o pilnym charakterze ich misji. Albo był po prostu niecierpliwy. Kiedy de Roquefort doszedł do Rotundy, zobaczył, że młody mężczyzna dokonał właściwego wyboru, przedkładając śmierć nad pojmanie. Duża strata, ale w taki sposób ich właśnie szkolono. Ci, którzy wykazywali bystrość i zdolności, pięli się w górę. Wszyscy pozostali byli eliminowani.

De Roquefort obrócił się do jednego z podwładnych, który był w domu aukcyjnym.

– Czy dowiedziałeś się, kim jest osoba, która wylicytowała książkę? – zapytał.

Młody mężczyzna przytaknął.

– Przekupienie pracownika domu aukcyjnego kosztowało tysiąc koron.

Nie był zainteresowany ceną ludzkiej słabości.

– Nazwisko?

– Henrik Thorvaldsen.

Poczuł wibracje telefonu komórkowego wsuniętego do kieszeni. Jego bezpośredni zastępca wiedział, że szef jest bardzo zajęty, a zatem telefon musiał oznaczać ważną sprawę. Odebrał połączenie.

– Czas się zbliża – usłyszał.

– Ile zostało?

– Jeszcze tylko kilka godzin.

– Nieoczekiwany bonus.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedział de Roquefort do swego rozmówcy. – Jest pewien człowiek. Henrik Thorvaldsen. Bogaty Duńczyk, mieszka na północy Kopenhagi. Wiem o nim co nieco, ale w ciągu godziny chcę pełne dossier na jego temat. Oddzwoń do mnie, kiedy zdobędziesz informacje.

Potem rozłączył się i zwrócił do swoich podwładnych:

– Musimy wracać do domu, ale mamy tu jeszcze dwie sprawy, które trzeba koniecznie zakończyć przed nadejściem świtu.

OSIEM

Malone’a i Stephanie przewieziono do budynku komendy policji na obrzeżach Roskilde. Żadne z nich nie rozmawiało podczas drogi, ponieważ oboje doskonale wiedzieli, że lepiej będzie, gdy nabiorą wody w usta. Malone w pełni zdawał sobie sprawę z faktu, iż obecność byłej szefowej w Danii nie ma nic wspólnego z działalnością Magellan Billet. Stephanie nigdy nie pracowała w terenie. Zawsze stanowiła wierzchołek trójkąta – każdy agent zdawał jej raport w Atlancie. Poza tym, kiedy zadzwoniła w zeszłym tygodniu i zapytała, czy mogliby się spotkać na chwilę, dała jasno do zrozumienia, że przyjeżdża do Europy na wakacje. Niezłe wakacje, pomyślał, kiedy znaleźli się sami w jasno oświetlonym pomieszczeniu pozbawionym okien.

– Ach, przy okazji: kawa w Café Nikolaj była doskonała – odezwał się pierwszy. – Poszedłem tam i dopiłem również twoją. Oczywiście działo się to już po tym, jak pobiegłem za mężczyzną w czerwonej kurtce na szczyt Rotundy i patrzyłem, jak zeskakuje na dół.

Odpowiedziała milczeniem.

– Widziałem też, jak zabrałaś swoją torebkę z ulicy. Nie wiem, czy zdążyłaś zauważyć leżącego obok niej trupa. Może nie. Wyglądało na to, że bardzo ci się spieszy.

– Wystarczy, Cotton – ucięła tonem, który dobrze znał.

– Już dla ciebie nie pracuję.

– Dlaczego więc tutaj jesteś?

– Sam zadawałem sobie to pytanie w katedrze, ale śmigające wokół kule nie pozwoliły mi zebrać myśli.

Zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, drzwi otworzyły się i zjawił się w nich mężczyzna o ryżych włosach i jasnobrązowych oczach. Był to inspektor policji z Roskilde, który przywiózł ich tutaj spod katedry. Trzymał w dłoniach berettę Malone’a .

– Wykonałem telefon, o który pani prosiła – te słowa skierował do Stephanie. – Ambasada USA potwierdza pani tożsamość oraz pani

stanowisko w Departamencie Sprawiedliwości. Czekam teraz na instrukcje z naszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Obrócił się.

– Pan natomiast, panie Malone, to zupełnie inna sprawa. Posiada pan duńską wizę na pobyt czasowy i prowadzi pan księgarnię – powiedział i pokazał pistolet. – Nasze prawo nie zezwala na noszenie broni, nie wspominając już o strzelaniu w narodowej katedrze, na dodatek wpisanej na listę dziedzictwa światowego UNESCO.

– Jeśli już łamię prawo, to tylko najważniejsze przepisy – odparł Malone, nie chcąc, by policjant sądził, że zapędził go w kozi róg.

– Doceniam pańskie poczucie humoru. Ale sprawa jest poważna. Nie dla mnie, lecz dla pana.

– Czy świadkowie zdążyli już zeznać, że była tam jeszcze trójka innych mężczyzn, i że to oni rozpoczęli strzelaninę?

– Mamy ich rysopisy. Lecz jest mało prawdopodobne, by kręcili się jeszcze gdzieś tu w pobliżu. Pan natomiast jest pod ręką.

– Inspektorze – wtrąciła się Stephanie. – To, co się wydarzyło, wiąże się ze mną, nie z panem Malone. – Spojrzała na niego gniewnie. – Pan Malone pracował kiedyś dla mnie i uznał, że potrzebuję jego pomocy.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, iż nie doszłoby do strzelaniny, gdyby w sprawy nie wmieszał się pan Malone?

– W żadnym wypadku. Chcę jedynie oznajmić, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, lecz nie ma w tym winy pana Malone’a.

Inspektor oceniał to spostrzeżenie, wyraźnie rozumiejąc coraz więcej. Malone zastanawiał się, co Stephanie wyczynia. Mijanie się z prawdą nie było jej mocną stroną, lecz postanowił nie spierać się z nią w obecności policjanta.

– Czy znajdowała się pani w katedrze, wypełniając oficjalną misję rządu amerykańskiego? – zapytał inspektor.

– Tego nie mogę powiedzieć. Chyba pan rozumie.

– Czy pani praca wiąże się z działami, o których nie można mówić? Wydawało mi się, że jest pani prawnikiem.

– Owszem. Ale moje biuro zajmuje się rutynowo dochodzeniami związanymi z narodowym bezpieczeństwem. W rzeczywistości to główny cel naszego istnienia.

Na inspektorze informacja ta nie zrobiła najwyraźniej żadnego wrażenia.

– W jakim celu przyjechała pani do Danii, pani Nelle?

– Postanowiłam odwiedzić pana Malone’a. Nie widziałam się z nim od ponad roku.

– Czy to jedyny cel?

– Może zaczekamy na telefon z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– To cud, że w trakcie strzelaniny nikt nie został ranny. Uszkodzonych zostało tylko kilka posągów świętych, ale nikt nie ucierpiał.

– Postrzeliłem jednego z napastników – oświadczył Malone.

– Jeśli nawet pan trafił, ten mężczyzna nie krwawił.

Oznaczało to, że napastnicy mieli na sobie kuloodporne kamizelki. A zatem cała drużyna przyjechała dobrze przygotowana – tylko do czego?

– Jak długo zamierza pani zostać w Dani? – inspektor znów skierował pytanie do Stephanie.

– Wyjeżdżam jutro.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł umundurowany funkcjonariusz, który przekazał inspektorowi kartkę papieru. Mężczyzna przeczytał jej treść.

– Najwyraźniej ma pani wysoko usytuowanych przyjaciół, pani Nelle. Moi przełożeni każą mi wypuścić panią i nie zadawać żadnych pytań.

Stephanie skierowała się ku drzwiom.

Malone również wstał.

– Czy w dokumencie jest wzmianka na mój temat?

– Pana również mam wypuścić.

Malone sięgnął po pistolet. Ale policjant nie zamierzał mu go oddać.

– W tym piśmie nie ma polecenia, bym zwrócił panu broń.

Postanowił nie wdawać się w kłótnię. Tę sprawę mógł załatwić później. Teraz natomiast pragnął porozmawiać ze Stephanie.

Wyszedł szybko i znalazł ją na zewnątrz.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, z zawziętym wyrazem twarzy.

– Cotton, doceniam to, co zrobiłeś w katedrze. Ale posłuchaj mnie. I posłuchaj uważnie. Trzymaj się z dala od moich spraw.

– Nie masz pojęcia, w co się wplątałaś. W katedrze wdepnęłaś w coś, na co w ogóle nie byłaś przygotowana. Ci trzej mężczyźni chcieli cię zabić.

– Dlaczego więc tego nie zrobili? Mieli ku temu sporo okazji, zanim jeszcze się pojawiłeś.

– Co z kolei każe postawić następne pytania.

– Czy nie masz dostatecznie dużo roboty w swojej księgarni?

– Mam sporo.

– A więc zajmij się nią. Kiedy przed rokiem opuszczałeś nas, dałeś jasno do zrozumienia, że jesteś zmęczony wystawianiem się na kule. Z tego, co pamiętam, stwierdziłeś, że twój nowy duński dobroczyńca zaoferował ci sposób na życie, jakiego zawsze pragnąłeś. Zatem idź i ciesz się nim.

– To ty do mnie zadzwoniłaś i chciałaś się spotkać.

– To był zły pomysł.

– Ten człowiek dzisiaj nie był złodziejem torebek.

– Trzymaj się z dala od tego.

– Jesteś mi coś winna. Ocaliłem ci skórę.

– Nikt cię o to nie prosił.

– Stephanie…

– Do jasnej cholery, Cotton! Nie zamierzam tego powtarzać. Jeśli nie przestaniesz się wtrącać, nie będę miała innego wyboru, jak tylko podjąć odpowiednie działania.

Poczuł, jak przez plecy przechodzi mu lodowaty dreszcz.

– Powiedz mi, co właściwie zamierzasz zrobić?

– Twój duński przyjaciel posiada wszystkie odpowiednie kontakty. Ja również mogę pociągać za sznurki.

– Więc zrób to – odparł, czując, jak narasta w nim wściekłość.

Ona jednak nie odpowiedziała. Zamiast tego nagle wybiegła.

Chciał pobiec za nią i dokończyć to, co rozpoczęli, ale doszedł do wniosku, że racja jest po jej stronie. To nie była jego sprawa. Poza tym, jak na jeden wieczór miał już dość kłopotów i perypetii.

Czas wrócić do domu.

DZIEWIĘĆ

KOPENHAGA
22.30

De Roquefort zbliżył się do księgarni. Deptak, przy którym stała, zdążył już opustoszeć. Większość z licznych restauracji i kawiarni znajdowała się o kilka przecznic dalej – ta część Strøgetu zamknęła się już na noc.

Zamierzał opuścić Danię, kiedy tylko załatwią dwie pozostałe, niecierpiące zwłoki sprawy. Świadkowie strzelaniny w katedrze najprawdopodobniej pomogli już sporządzić rysopis jego oraz dwóch jego towarzyszy. Nie powinni więc byli zostawać tutaj ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Wziął ze sobą całą czwórkę podwładnych z Roskilde i planował teraz osobiście nadzorować każde ich działanie. Na dziś dość już improwizacji, która po części doprowadziła wcześniej w pobliżu Rotundy do śmierci jednego z jego ludzi. Nie zamierzał tracić nikogo więcej. Dwóch akolitów udało się już na zwiady na tyły księgarni, pozostali dwaj stali gotowi do akcji u boku szefa. Na najwyższym piętrze budynku paliło się światło.

Dobrze.

De Roquefort i właściciel księgarni mieli ze sobą do porozmawiania.



Malone wyciągnął z lodówki dietetyczną pepsi i zszedł na parter, pokonując cztery biegi schodów. Jego księgarnia zajmowała cały budynek: parter przeznaczony był na książki oraz dla klientów, kolejne dwie kondygnacje stanowiły magazyn, a na czwartej znajdowało się nieduże mieszkanie, które nazywał domem.

Przyzwyczaił się do niewielkiej przestrzeni życiowej, czerpiąc z niej dużo większą radość niż z domu o powierzchni stu osiemdziesięciu metrów kwadratowych, który kiedyś posiadał w północnej części Atlanty. W zeszłym roku sprzedał tamten dom za trzysta tysięcy dolarów z okładem, a zysk w wysokości sześćdziesięciu tysięcy zainwestował w nowe życie, które zaoferował mu – zgodnie ze słowami wypowiedzianymi przez Stephanie – jego „nowy duński dobroczyńca", dziwaczny człowieczek, Henrik Thorvaldsen.

Czternaście miesięcy temu nieznajomy, a teraz najbliższy przyjaciel.

Od samego początku zrodziła się między nimi więź. Starszy mężczyzna dostrzegał coś w młodszym – Malone nie był pewien, co dokładnie – a ich pierwsze spotkanie w Atlancie w pewien deszczowy czwartkowy wieczór przypieczętowało dalszą znajomość. Stephanie upierała się, by Cotton wziął miesiąc urlopu po procesie trzech oprychów w Mexico City. Oskarżeni zamieszani byli w międzynarodowy przemyt narkotyków i morderstwo, a właściwie egzekucję jednego z szefów Rządowej Agencji Antynarkotykowej, DEA. Jak się okazało, zamordowany był osobistym przyjacielem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Skończyło się to jatką. Kiedy Malone wracał do sądu po przerwie na lunch, wpadł w krzyżowy ogień zabójców. Zamach całkowicie nie wiązał się z procesem, ale Malone postanowił stawić opór. Do domu wrócił z raną po kuli, która przestrzeliła lewy brak. Końcowy bilans strzelaniny to siedmiu zabitych, dziewięciu rannych. A jedną z ofiar śmiertelnych był młody dyplomata nazwiskiem Cai Thorvaldsen.

– Przyszedłem, by porozmawiać z panem osobiście – zaczął Henrik Thorvaldsen.

Siedzieli w salonie. Malone czuł piekielny ból w barku. Nawet się nie fatygował, by zapytać gościa, w jaki sposób odnalazł go w Atlancie. I skąd stary człowiek wiedział, iż jego gospodarz zna duński.

– Mój syn był mi bardzo bliski – podjął Thorvaldsen. – Kiedy dołączył do korpusu dyplomatycznego, byłem wniebowzięty. Poprosił o wysłanie na placówkę w Mexico City. W czasie studiów zgłębiał historię Azteków. Mógł w przyszłości stać się wartościowym członkiem parlamentu. Prawdziwym mężem stanu.

Malone przypomniał sobie pierwsze wrażenie. Henrik Thorvaldsen z pewnością był dobrze urodzony, wytworny, kiedyś zapewne był

człowiekiem eleganckim i szarmanckim, ale to duchowe wyrafinowanie stało w jawnym kontraście ze zdeformowanym ciałem – groteskowy garb nadawał mu wygląd czapli. Chropawa twarz sugerowała, że mężczyzna ma za sobą życie pełne trudnych wyborów, zmarszczki bardziej przypominały rozpadliny, stopy miał wykrzywione niczym kurze łapki, a dłonie i przedramiona zdobiły plamy wątrobowe i popękane naczyńka krwionośne. Do grafitowych włosów, gęstych i zmierzwionych, pasowały brwi – matowe, srebrzyste kępki, które sprawiały, że twarz starca wyrażała niepokój. Jedynie w oczach pozostała namiętność. Z niebieskoszarych źrenic emanowała osobliwa zdolność jasnowidzenia. Na jednej z nich widniała katarakta w kształcie gwiazdy.

– Przyszedłem tu, by porozmawiać z człowiekiem, który zastrzelił zabójcę mojego syna.

– Dlaczego? – zapytał Malone.

– Żeby panu podziękować.

– Mógł pan zadzwonić.

– Wolałem porozmawiać twarzą w twarz.

– W tej chwili, mówiąc szczerze, wolałbym być sam.

– Jak rozumiem, był pan bliski śmierci.

Malone wzruszył ramionami.

– A teraz kończy pan swoją służbę. Rezygnuje z pracy w agencji. I odchodzi na emeryturę.

– Wie pan zadziwiająco dużo.

– Wiedza to największy z luksusów.

Na Malonie nie zrobiło to wrażenia.

– Dziękuję za pochlebstwo, ale mam dziurę w barku, która wciąż mi srodze dokucza. Jeśli zatem wypełnił pan swoją misję, czy mógłby pan wyjść?

Thorvaldsen nie ruszył się z sofy. Po prostu rozglądał się po salonie i otaczających pokojach widocznych przez otwarte wejście zwieńczone łukiem. Przy każdej ze ścian stały regały z książkami. Dom wydawał się jedynie tłem dla półek z książkami.

– Ja również je kocham – odezwał się. – Mój dom także jest wypełniony książkami. Zbierałem je przez całe życie.

Malone wyczuł, że ten człowiek, który mógł mieć sześćdziesiąt parę lat, jest doskonałym taktykiem. Kiedy go wpuszczał, zauważył, że gość przybył

limuzyną.

– Skąd pan wiedział, że mówię po duńsku? – zapytał.

– Mówi pan kilkoma językami. Byłem dumny, kiedy dowiedziałem się, iż jednym z nich jest mój ojczysty.

Nie była to odpowiedź, ale czy Malone naprawdę spodziewał się ją usłyszeć?

– Pańska ejdetyczna pamięć musi być błogosławieństwem. Moja odeszła wraz z wiekiem. W tej chwili mało co pamiętam.

Wątpił w szczerość tych słów.

– Czego pan chce?

– Czy zastanawiał się już pan nad swoją przyszłością?

Malone wskazał gestem na pomieszczenie.

– Pomyślałem, że otworzę sklep ze starymi książkami. Mam sporo do sprzedania.

– Wspaniały pomysł. Mam jedną taką księgarnię na sprzedaż, gdyby pan był zainteresowany.

Postanowił podjąć grę. Niech to diabli! Było jednak coś w spojrzeniu starego człowieka, co mówiło Malone’owi, że jego gość wcale nie żartuje. Twarde, chropawe dłonie starca sięgnęły do kieszeni marynarki i Thorvaldsen położył na sofie swoją wizytówkę.

– Mój prywatny numer. Jeśli będzie pan zainteresowany, proszę do mnie zadzwonić.

Wstał.

Malone również podniósł się z miejsca.

– Dlaczego sądzi pan, że jestem tym zainteresowany?

– Bo jest pan, panie Malone.

Nie spodobało mu się to założenie, zwłaszcza że stary człowiek miał rację. Thorvaldsen poczłapał w stronę frontowych drzwi.

– Gdzie znajduje się ta księgarnia? – zapytał Malone, przeklinając sam siebie za to, że w jego głosie brzmi zainteresowanie.

– W Kopenhadze, gdzież by indziej?

O ile sobie przypominał, upłynęły trzy dni, zanim zadzwonił do Thorvaldsena. Perspektywa osiedlenia się w Europie zawsze go pociągała. Czy starszy człowiek także o tym wiedział? Malone nigdy nie sądził, że zamieszkanie po drugiej stronie oceanu okaże się możliwe. Był urzędnikiem rządu Stanów Zjednoczonych. Amerykaninem z krwi i kości.

Ale to wszystko było ważne do czasu wydarzeń w Mexico City. Zanim siedem osób zginęło, a dziewięć zostało rannych.

Wciąż jeszcze oczyma wyobraźni widział żonę, która od niego odeszła, a z którą rozmawiał dzień po telefonie do Kopenhagi.

– Zgadzam się. Wystarczy już separacji, Cotton; nadeszła pora na rozwód – ta deklaracja padła z obojętnością typową dla adwokata.

– Czy jest ktoś inny? – zapytał, choć wcale go to nie obchodziło.

– Co prawda to nie ma znaczenia, ale owszem, jest. Do cholery, Cotton, od pięciu lat nie żyjemy ze sobą! Jestem pewna, że w tym czasie również nie byłeś mnichem.

– Masz rację. Nadeszła pora.

– Czy naprawdę zamierzasz odejść z marynarki?

– Już to zrobiłem. Formalnie wczoraj.

Pokiwała głową z niedowierzaniem, jak wtedy, kiedy Gary potrzebował matczynej porady.

– Czy kiedykolwiek będziesz zadowolony? Marynarka wojenna, potem szkoła latania, potem uczelnia prawnicza, potem JAG i na koniec Magellan Billet. A teraz to nagłe odejście na emeryturę. Co następne?

Nigdy nie lubił, kiedy przemawiała do niego protekcjonalnym tonem.

– Wyjeżdżam do Danii.

Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. Mógł równie dobrze oznajmić, że wybiera się na Księżyc.

– A tak naprawdę, co się za tym kryje?

– Jestem zmęczony tym, że do mnie strzelają.

– Od kiedy? Przecież kochasz pracę w Magellan Billet.

– Czas dorosnąć.

Uśmiechnęła się.

– Zatem sadzisz, że przeprowadzka do Danii uczyni cud?

Nie miał zamiaru się tłumaczyć – ona i tak miała to gdzieś. Poza tym wcale mu na tym nie zależało.

– Muszę porozmawiać z Garym.

– Dlaczego?

– Muszę wiedzieć, czy on się na to zgadza.

– Od kiedy to przejmujesz się tym, co myślimy?

– To z jego powodu przeszedłem na emeryturę. Chciałem, żeby miał ojca…

– To brednie, Cotton. Odchodzisz tylko dla siebie, nie zasłaniaj się synem. Bez względu na to, co zamierzasz, chodzi ci tylko o siebie, nie o niego.

– Nie musisz mówić mi, co myślę.

– Któż więc ma ci to powiedzieć? Byliśmy małżeństwem przez długi czas. Czy sądzisz, że było mi łatwo, kiedy czekałam, aż wrócisz nie wiadomo skąd? Kiedy zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przywiozą cię w czarnej torbie? Zapłaciłam wysoką cenę, Cotton. Gary również. Ale on cię kocha. Nie, on cię ubóstwia, bezwarunkowo. Ty i ja wiemy, co on powie na twoje plany, ponieważ ma ułożone lepiej w głowie niż my oboje. Mimo tylu naszych wspólnych porażek, on okazał się prawdziwym sukcesem.

Znowu miała rację.

– Posłuchaj, Cotton. Powody, dla których przenosisz się za ocean, to twoja sprawa. Ale jeśli ma ci to dać szczęście, zrób to. Tylko nie wykorzystuj Gary’ego jako wytłumaczenie. Najmniej mu teraz trzeba niezadowolonego rodzica, który próbuje zrekompensować sobie własne smutne dzieciństwo.

– Czy obrażanie mnie sprawia ci radość?

– Niekoniecznie. Ale wiesz doskonale, że ktoś musiał powiedzieć ci prawdę.

Rozejrzał się dokoła po ciemnej księgarni. Ilekroć myślał o Pam, nic dobrego z tego nie wynikało. Jej niechęć do niego tylko się pogłębiła, a zrodziła się piętnaście lat temu, kiedy był świeżo upieczonym podporucznikiem. Nie był wierny, a ona o tym wiedziała. Chodzili do poradni małżeńskiej i postanowili, że ich związek będzie trwał. Ale po dziesięciu latach pewnego dnia wrócił z misji i stwierdził, że odeszła. Wynajęła dom po drugiej stronie Atlanty, zabierając tylko to, co było niezbędne jej i Gary’emu. Zostawiła liścik z nowym adresem i informacją, że ich małżeństwo dobiegło końca. Pragmatyczna i zimna – taka była Pamela. Co ciekawe, nie żądała natychmiastowego rozwodu. Postanowiła, że po prostu będą mieszkali osobno, pozostaną wobec siebie uprzejmi i będą rozmawiali tylko wtedy, kiedy będzie tego wymagało dobro Gary’ego.

W końcu jednak nadszedł czas na decyzję.

Odszedł więc z pracy, złożył patent oficerski, zakończył małżeństwo, sprzedał dom i opuścił Amerykę. A wszystko to wydarzyło się w ciągu jednego długiego, okropnego, samotnego, wyczerpującego, lecz w końcu satysfakcjonującego tygodnia.

Spojrzał na zegarek. Powinien wysłać e-maila do Gary'ego. Komunikowali się ze sobą przynamniej raz dziennie, a w Atlancie wciąż było popołudnie. Jego syn miał za trzy tygodnie przyjechać do Kopenhagi i spędzić z nim cały miesiąc. Zrobili to samo poprzedniego lata i teraz Malone nie mógł już się doczekać przyjazdu chłopaka.

Spotkanie ze Stephanie wciąż go martwiło. Taką naiwność widział wcześniej u innych agentów, którzy, choć byli świadomi ryzyka, po prostu je ignorowali. Co to ona zawsze mu powtarzała? „Powiedz to, zrób to, módl się o to, wykrzycz to, ale nigdy, absolutnie nigdy nie dawaj wiary własnym bredniom". Dobra rada, której sama powinna posłuchać. Nie miała pojęcia, w co się wplątuje, ale czy on miał? Kobiety nie były jego mocną stroną. Chociaż spędził połowę życia z Pamelą, na dobrą sprawę nie poświęcił czasu, by ją poznać. Jak więc mógł teraz zrozumieć Stephanie? Powinien trzymać się z dala od jej spraw. W końcu było to jej życie.

Coś jednak nie dawało mu spokoju.

Kiedy miał dwanaście lat, poinformowano go, iż urodził się z ejdetyczną pamięcią. Nie fotograficzną, często opisywaną w filmach i książkach, lecz z doskonałą pamięcią szczegółów, które większość ludzi zapomina. Pomogło mu to na studiach i w nauce języków, ale próby wychwycenia detali spośród wielu innych niekiedy stawały się irytujące.

Tak jak teraz.

DZIESIĘĆ

De Roquefort otworzył zamek przy frontowych drzwiach i wszedł do księgarni. Dwóch jego ludzi podążyło za nim. Pozostała dwójka miała obserwować ulicę.

W ciemności skradali się wzdłuż półek na tyły zagraconego parteru, potem wąskimi schodami ruszyli w górę. Żaden dźwięk nie zdradził ich obecności. Gdy dotarli na ostatnie piętro, de Roquefort wszedł przez otwarte drzwi do oświetlonego apartamentu. Peter Hansen siedział wygodnie na fotelu, pogrążony w lekturze. Obok niego na stoliku stało piwo, a w popielniczce palił się papieros.

Na twarzy handlarza książek pojawiło się zaskoczenie.

– Co pan tutaj robi? – zapytał po francusku z wyraźnym niezadowoleniem.

– Mieliśmy umowę.

Antykwariusz zerwał się na równe nogi.

– Zostaliśmy przelicytowani. Co miałem zrobić?

– Obiecał mi pan, że nie będzie problemu.

Pomocnicy de Roqueforta przeszli na drugą stronę pokoju w pobliże okien, on sam pozostał przy drzwiach.

– Książka została sprzedana za pięćdziesiąt tysięcy koron. To szokująca cena – tłumaczył Hansen.

– Kto pana przelicytował?

– Dom aukcyjny nie ujawnia takich informacji.

De Roquefort zastanawiał się, czy antykwariusz rzeczywiście ma go za głupca.

– Zapłaciłem panu za to, by dopilnował pan, że książka trafi do rąk Stephanie Nelle.

– Robiłem, co mogłem, ale nikt nie powiedział mi, że książka osiągnie tak niebotyczną cenę. Kontynuowałem licytację, lecz ona mnie powstrzymała. Czy był pan gotów zapłacić więcej niż pięćdziesiąt tysięcy koron?

– Zapłaciłbym każdą wylicytowaną cenę.

– Zabrakło tam pana, a ona nie była w równym stopniu zdeterminowana.

Hansen wydawał się odprężony; początkowe zaskoczenie ustąpiło miejsca samozadowoleniu, które jego rozmówca ignorował z wielkim z trudem.

– Poza tym, dlaczego ta książka jest taka cenna?

De Roquefort rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu, w którym czuć było zapach alkoholu i nikotyny. Setki książek leżało porozrzucanych pomiędzy stertami gazet i czasopism. Zastanawiał się, jak można żyć w takim bałaganie.

– Niech pan mi to powie.

Antykwariusz wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia. Pani Nelle nie wyjawiła mi, dlaczego pragnie zdobyć tę książkę.

Cierpliwość de Roqueforta się kończyła.

– Wiem, kto pana przelicytował.

– Skąd?

– Jak pan dobrze wie, pracownicy domu aukcyjnego nie są nieprzekupni. Pani Nelle skontaktowała się z panem i zleciła panu rolę pośrednika. Z kolei ja nawiązałem z panem kontakt, chcąc dopilnować, by książka trafiła do niej, tak żebym mógł wcześniej zrobić kopię, zanim przekaże pan wolumin w jej ręce. A pan w końcu zaaranżował udział osoby licytującej przez telefon.

Hansen uśmiechnął się.

– Rozgryzienie tego zajęło panu sporo czasu.

– Na dobrą sprawę zajęło mi to tylko kilka chwil, kiedy otrzymałem stosowną informację.

– Ponieważ teraz książka jest pod moją kontrolą, a Stephenie Nelle wypadła z gry, ile jest pan gotów za nią zapłacić?

De Roquefort wiedział już, jakie działania podejmie.

– Tak naprawdę pytanie brzmi: ile ta książka jest warta dla pana?

– Dla mnie nie ma żadnej wartości.

Na jego znak dwóch ludzi chwyciło Hansena za ręce. De Roquefort uderzył księgarza pięścią w żołądek. Antykwariuszowi zaparło dech, potem padł do przodu, zwisając na rękach.

– Zależało mi na tym, żeby książka trafiła do rąk Stephenie Nelle po tym, jak zrobię kserokopię – oznajmił de Roquefort. – Za to właśnie panu zapłaciłem. I za nic więcej. Kiedyś był pan dla mnie przydatny, ale to już przeszłość.

– Książka… jest… w moim posiadaniu.

De Roquefort wzruszył ramionami.

– To kłamstwo. Wiem dokładnie, gdzie znajduje się książka.

Hansen zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie dostanie… jej pan.

– Jest pan w błędzie. Mówiąc prawdę, to będzie łatwe zadanie.



Malone włączył lampę jarzeniową w dziale historycznym swojej księgarni. Znajdowały się tu książki w każdym formacie, kształcie i kolorze, ułożone równo na półkach pociągniętych czarnym lakierem. Jeden wolumin w szczególności utkwił mu w pamięci. Kupił go przed paroma tygodniami wraz z kilkoma innymi wydawnictwami historycznymi z połowy XX wieku od pewnego Włocha, który sądził, że jego towar jest wart dużo więcej, niż Malone skłonny był zapłacić. Większość sprzedających nie rozumiała, że wartość książki jest wypadkową kilku czynników, takich jak popyt, liczba egzemplarzy oraz unikatowy charakter. Wiek publikacji niekoniecznie jest ważny, ponieważ, podobnie jak w dwudziestym pierwszym stuleciu, wcześniej także wydawano wiele księgarskiego chłamu.

Malone wiedział, iż kilka książek pozyskanych od Włocha zostało już sprzedanych, ale miał nadzieję, że ta jedna jeszcze gdzieś tu jest. Nie przypominał sobie, by opuściła jego księgarnię, chociaż z drugiej trony mógł ją sprzedać któryś z pracowników. Na szczęście znalazł ją w drugim rzędzie od dołu, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wsunął ją za pierwszym razem.

Tekstylnej obwoluty nie pokrywała warstewka kurzu; tkanina miała zapewne pierwotnie kolor soczyście zielony, teraz jednak wyblakła do odcienia jasnożółtego. Stronice książki były cienkie jak bibułka, pozłacane

na brzegach, a w środku woluminu zamieszczono sporo rycin. Tytuł wciąż dawał się odczytać z nierównych, po części wytartych złoconych liter.

Rycerze Świątyni Salomona.

Copyright opiewał na rok 1922, a kiedy Malone po raz pierwszy zobaczył tę książkę, zainteresował się nią z uwagi na fakt, że o templariuszach czytał w sumie niewiele. O ile wiedział, byli nie tyle mnichami, ile religijnymi wojownikami – swoistymi siłami specjalnymi w habitach. W raczej schematycznym wyobrażeniu widział ich jako ubranych na biało rycerzy z czerwonymi krzyżami na płaszczach. To niewątpliwie hollywoodzki stereotyp. Malone zaś pamiętał, że pobieżna lektura tej książki wręcz go wtedy zafascynowała.

Wyciągnął wolumin, usiadł na jednym z kilku klubowych foteli, które rozmieszczone były w różnych miejscach księgarni, umościł się wygodnie na miękkiej poduszce i zaczął czytać. Stopniowo zaczął wyrabiać sobie ogólny pogląd.

Do Roku Pańskiego 1118 chrześcijanie ponownie odzyskali panowanie nad Ziemią Świętą. Pierwsza Wyprawa Krzyżowa okazała się wielkim sukcesem. Ale chociaż muzułmanie zostali pokonani, ich dobra skonfiskowane, a miasta zajęte, nie zostali rozbici w perzynę. Wręcz przeciwnie, wciąż grasowali wzdłuż granic nowo powstałego chrześcijańskiego królestwa, siejąc grozę i postrach wśród wszystkich tych, którzy wybrali się z pielgrzymką do Ziemi Świętej.

Bezpieczne pielgrzymowanie do świętych miejsc było jedną z przyczyn krucjat, a myto stanowiło jedno z głównych źródeł dochodów nowo powstałego chrześcijańskiego Królestwa Jerozolimskiego. Pielgrzymi napływali do Palestyny nieprzebranymi rzeszami, w pojedynkę, parami, grupami, a nawet całymi przesiedlonymi społecznościami. Niestety, drogi prowadzące do Ziemi Świętej nie były bezpieczne. Czaili się na nich muzułmanie, rozbójnicy swobodnie uprawiali niecny proceder, zagrożenie stanowili nawet chrześcijańscy żołdacy, ponieważ w rabunku upatrywali normalnego sposobu zdobywania pożywienia.

Kiedy więc rycerz z Szampanii, Hugo de Payns, wraz z ośmioma innymi rycerzami zainicjował nowy ruch i założył zakon walczących

braci, którzy mieli zapewnić bezpieczeństwo na pielgrzymich szlakach, pomysł ten spotkał się z powszechną aprobatą. Baldwin II, który władał wtedy Jerozolimą, oddał nowemu zakonowi na siedzibę meczet Al Aksa, znajdujący się w miejscu, w którym wedle wierzeń chrześcijan stała kiedyś Świątynia Salomona. Nowy zakon przybrał zatem nazwę od swojej głównej siedziby: Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona w Jerozolimie.

Bractwo początkowo było bardzo nieliczne. Ośmiu rycerzy złożyło śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Osobiście nie posiadali nic. Wszystkie ich świeckie dobra przeszły na własność zakonu. Żyli wspólnie i spożywali posiłki w milczeniu. Obcięli włosy, lecz zapuścili długie brody. Dzięki dobroczynności innych zyskali pokarm i odzież, a św. Bernard z Clairvaux dostarczył im najlepszego wzoru życia klasztornego. Już sama pieczęć zakonu była szczególnie symboliczna. Dwóch rycerzy jadących na jednym rumaku – co stanowiło odniesienie do czasów, kiedy braci nie stać było na własnego konia.

Religijny zakon rycerzy w świetle średniowiecznych idei nie był sprzecznością. Wręcz przeciwnie. Nowy zakon odwoływał się zarówno do religijnego zapału, jak i do biegłości w sztuce rycerskiej. Jego powstanie rozwiązało jeszcze jeden problem: liczebności, ponieważ istniał już stały kontyngent zaufanych zbrojnych.

Do 1128 roku bractwo rozwinęło się; znalazło też polityczne wsparcie w wielu ważnych miejscach. Europejscy książęta i kościelni hierarchowie przekazywali mu darowizny ziemskie, pieniądze oraz dobra rzeczowe. Papież zatwierdził w końcu regułę zakonu, a wkrótce Ubodzy Rycerze Świątyni stali się jedyną stałą armią na terenie Ziemi Świętej.

Rządziła nimi surowa reguła złożona z 686 praw. Żadnych gier, polowań z sokołem czy jastrzębiami, żadnych spekulacji. Mową należało posługiwać się oszczędnie, a śmiech był zakazany. Zakazane też było noszenie ozdób. Bracia spali przy zapalonym świetle, odziani w koszule, kamizelki i rajtuzy, zawsze gotowi do walki.

Wielki Mistrz był władcą absolutnym. Następni w hierarchii byli seneszalowie, pełniący funkcję zastępców i doradców. Marszałek dowodził rycerzami w bitwie. Servientes po łacinie, czy też sergents po francusku, byli rzemieślnikami, robotnikami i pomocnikami, którzy wspierali rycerzy i tworzyli trzon zakonu. Na mocy papieskiego dekretu z roku 1148 każdy rycerz nosił na białym płaszczu emblemat przedstawiający czerwony równoramienny krzyż rozszerzony na końcach. Templariusze byli pierwszą od czasów rzymskich zdyscyplinowaną, dobrze wyposażoną regularną armią. Uczestniczyli w każdej z kolejnych wypraw krzyżowych; zawsze pierwsi ruszali do boju, wycofywali się ostatni i nigdy za żadnego z nich nie zapłacono okupu. Wierzyli głęboko, iż służba w zakonie zmaże ich ziemskie przewiny i utoruje im drogę do nieba. Przez z górą dwieście lat nieustannych wojen ponad dwadzieścia tysięcy Ubogich Rycerzy Chrystusa znalazło śmierć na bitewnym polu.

Zakon znalazł się pod bezpośrednią jurysdykcją Stolicy Apostolskiej, co pozwało mu działać swobodnie w całym świecie chrześcijańskim, niezależnie od świeckich monarchów. Była to regulacja bezprecedensowa, a w miarę jak bractwo zyskiwało polityczną i ekonomiczną siłę, gromadziło też przeogromne bogactwa. Królowie i patriarchowie przekazywali mu ogromne sumy w swoich testamentach. Templariusze udzielali pożyczek baronom i kupcom w zamian za obietnicę, że ich domy, dobra ziemskie, winnice i ogrody przejdą po ich śmierci na rzecz zakonu. Pielgrzymom oferowali bezpieczną podróż do Ziemi Świętej i z powrotem, w zamian za szczodre darowizny. Na początku czternastego stulecia templariusze rywalizowali z Genueńczykami i Lombardczykami, a nawet z Żydami, jeśli chodzi kontrolę nad transakcjami pieniężnymi. Królowie Francji i Anglii trzymali swoje skarby w kryptach zakonu. Nawet muzułmanie powierzali im swoje finanse.

Paryska twierdza Temple stała się centrum światowego rynku walutowego. Powoli zakonna struktura przeobrażała się w kompleks finansowy oraz militarny, niezależny i działający na własnych regulacjach. W końcu dobra templariuszy, obejmujące blisko dziewięć tysięcy posiadłości ziemskich, zostały wyjęte spod

opodatkowania. Przywilej ów doprowadził do konfliktów z lokalnym duchowieństwem, ponieważ kościoły cierpiały biedę, podczas gdy majątki templariuszy prosperowały. Konkurencja ze strony innych zakonów, zwłaszcza joannitów, zwiększała jedynie napięcie.

W dwunastym i trzynastym stuleciu w Ziemi Świętej panowali na przemian chrześcijanie i Saraceni. W osobie Saladyna muzułmanie po raz pierwszy zyskali wielkiego wodza, a chrześcijańska Jerozolima ostatecznie upadła w 1187 roku. W chaosie, który potem nastąpił, templariusze wycofali do Akki, ufortyfikowanej twierdzy położonej nad brzegiem Morza Śródziemnego. Przez następne sto lat cierpieli biedę w Ziemi Świętej, ale za to rozwijali się prężnie w Europie, tworząc rozległą sieć kościołów, opactw i posiadłości. Kiedy w 1291 roku Akka padła, zakon stracił ostatni przyczółek w Ziemi Świętej, a jednocześnie pierwotny powód swego istnienia.

Ścisłe przestrzeganie tajemnic początkowo trzymało zakon na uboczu, a w końcu zachęciło oszczerców. Król Francji Filip IV, widząc ogrom bogactwa templariuszy, w 1307 roku aresztował wielu braci. Inni monarchowie poszli w jego ślady. Nastąpiło siedem lat oskarżeń, tortur i sądowych procesów. Papież Klemens V rozwiązał formalnie zakon w 1312 roku. Ostateczny cios nadszedł 18 marca 1314 roku, kiedy ostatni Wielki Mistrz, Jakub de Molay, został spalony na stosie.

Malone wciąż czytał. Coś nie dawało mu spokoju. Coś, co przeczytał, kiedy za pierwszym razem przeglądał książkę przed paroma tygodniami. Kiedy wertował ją strona po stronie, czytał o tym, jak jeszcze przed rozbiciem w 1307 roku zakon stworzył strukturę biegłą w żeglarstwie, zarządzaniu posiadłościami ziemskimi, hodowli zwierząt, uprawie roślin oraz – co najważniejsze – w finansach. Gdy Kościół zabronił powadzenia badań naukowych, templariusze uczyli się od wrogów, Arabów, których kultura sprzyjała niezależnemu myśleniu. Rycerze zakonni ukryli też, podobnie jak czynią to dzisiejsze banki, w licznych skarbcach ogromne dobra. W książce zamieszczono nawet średniowieczny francuski wiersz, trafnie opisujący bogatych templariuszy i ich nagłe zniknięcie:

Bracia, na Temple panowie,

bogaci w klejnoty i złotogłowie.
Gdzież się oni podziali?
Mocarze tego świata dotąd nie śmieli
odebrać im niczego,
nie było takiego odważnego.
Zawsze tylko kupowali,
nigdy zaś nie sprzedawali.

Historia nie obeszła się z zakonem łaskawie. Chociaż zdołali pobudzić wyobraźnię poetów i kronikarzy – rycerze świętego Graala w *Parsifalu* byli templariuszami, podobnie jak demoniczni antybohaterowie w powieści *Ivanhoe* pióra Waltera Scotta – ponieważ krzyżowcy stali się symbolem europejskiej agresji i imperializmu, templariuszy utożsamiono z brutalnym fanatyzmem.

Malone przeglądał dalej książkę, aż w końcu znalazł ustęp, który utkwił mu w pamięci podczas jej pierwszej lektury. Wiedział, że znajdzie to miejsce. Pamięć nigdy go nie zawodziła. Fragment ten mówił o tym, jak na polu walki templariusze zawsze wznosili do góry chorągiew podzieloną na dwa pola: czarne, symbolizujące grzech, który bracia zostawili z sobą, oraz białe, odwołujące się z kolei do nowego życia w szeregach zakonu. Flagę nazywano francuskim słowem, które oznaczało stan uniesienia, szlachetności i chwały oraz stanowiło zawołanie bojowe zakonnych rycerzy.

Beauseant. Pełen chwały.

Dokładnie to słowo wykrzyknął Czerwona Kurtka, kiedy skoczył z Rotundy w Kopenhadze.

Co tu się działo?

W Malonie obudziły się uśpione instynkty. Uczucia, o których sądził, że ucichły po roku emerytury. Dobrzy agenci byli dociekliwi i ostrożni. Jeśli zapominali o jednym lub o drugim, prędzej czy później coś im umykało, a to mogło doprowadzić do katastrofy. On sam popełnił taki błąd przed laty, wypełniając jedną z pierwszych misji, a jego niecierpliwość kosztowała życie najemnego agenta. Nie miała to być ostatnia osoba, za której śmierć był odpowiedzialny, ale była pierwsza, Malone zaś nigdy nie zapomniał swojego niedbalstwa.

Stephanie znalazła się w tarapatach. Nie ulegało to wątpliwości. Kazała mu trzymać się z daleka od swoich spraw, a zatem ponowna rozmowa z nią byłaby bezsensowna. Ale być może Peter Hansen okaże się bardziej skłonny do udzielenia informacji.

Malone spojrzał zegarek. Pora była późna, ale Hansen słynął z nocnego trybu życia i zapewne jeszcze nie spał. Jeśli będzie inaczej, po prostu go obudzi.

Odłożył książkę na bok i ruszył w stronę drzwi.

JEDENAŚCIE

– Gdzie jest dziennik Larsa Nelle? – spytał de Roquefort.

Peter Hansen, wciąż trzymany mocno przez dwóch mężczyzn, podniósł na niego wzrok. De Roquefort wiedział, że przed laty antykwariusz ściśle współpracował z mężem Stephanie Nelle. Kiedy odkrył, że wybiera się ona do Danii, by wziąć udział w aukcji w Roskilde, w głowie zaświtała mu myśl, by skontaktować się z Hansenem. Dlatego też jako pierwszy dotarł do księgarza.

– Stephanie Nelle zapewne wspomniała coś o dzienniku męża?

Antykwariusz pokręcił głową.

– Nic. Ani słowem.

– Kiedy Lars Nelle jeszcze żył, czy mówił coś o prowadzeniu dziennika?

– Nigdy.

– Czy pojmuje pan swoją sytuację? Wydarzenia nie potoczyły się zgodnie z moimi życzeniami. Co gorsza, okłamał mnie pan.

– Wiem jedynie, że Lars sporządzał drobiazgowe notatki – w głosie Hansena zabrzmiała rezygnacja.

– Chciałbym usłyszeć więcej.

Księgarz zdawał się szykować do czegoś.

– Niech oni mnie puszczą.

De Roquefort pozwolił głupcowi uznać, że ma przewagę. Kazał swoim ludziom puścić Hansena. Księgarz szybko pociągnął głęboki łyk piwa, po czym odstawił kufel.

– Lars napisał dużo książek o Rennes-le-Château. Te wszystkie wzmianki o zaginionych pergaminach, ukrytej geometrii i nierozwiązanych zagadkach przyczyniły się do sprzedaży pokaźnych nakładów – podjął, starając się odzyskać panowanie nad sobą. – Sugerował najcudowniejsze skarby, jakie był w stanie wymyślić. Złoto Wizygotów, bogactwa templariuszy, dobra zagrabione katarom. „Bierz nić i tkaj pled”, tak zwykł mawiać.

De Roquefort wiedział wszystko o Rennes-le-Château, małej osadzie na południu Francji, istniejącej od czasów Rzymian. W drugiej połowie XIX

wieku pewien duchowny wydał olbrzymie sumy na renowację miejscowego kościółka. Kilkadziesiąt lat później rozeszły się plotki, że ów ksiądz sfinansował te prace dzięki wielkim skarbom, które znalazł. Lars Nelle dowiedział się o tym intrygującym miejscu trzydzieści lat temu i napisał książkę, która stała się światowym bestsellerem.

– Więc niech mi pan powie, co jest zapisane w dzienniku – powiedział. – Czy znajdują się w nim informacje inne od zawartych w publikacjach książkowych?

– Mówiłem panu, że nie wiem nic o dzienniku. – Hansen wziął kufel i pociągnął kolejny łyk. – Ale znając Larsa, wątpię, czy powiedział światu wszystko w tych książkach.

– I co on takiego ukrywał?

Chytry uśmieszek przebiegł po ustach Duńczyka.

– Jakby pan tego nie wiedział! Ale zapewniam pana: nie mam pojęcia. Ja wiem jedynie to, co wyczytałem w książkach Larsa.

– Na pańskim miejscu nie posuwałbym się do żadnych domysłów.

Hansen wydawał się niewzruszony.

– Więc niech mi pan wyjawi, czemu ta książka jest tak ważna? Nie ma w niej nawet mowy o Rennes-le-Château.

– Jest kluczem do wszystkiego.

– Jakim cudem wolumin, który niczym się nie wyróżnia i liczy sobie ponad sto pięćdziesiąt lat, może być kluczem do wszystkiego?

– Często najprostsze rzeczy okazują się najważniejsze.

Antykwariusz sięgnął po papierosa.

– Lars był dziwnym człowiekiem. Nigdy nie potrafiłem go rozgryźć. Miał obsesję na punkcie tej całej sprawy z Rennes. Kochał to miejsce. Nawet kupił tam dom. Byłem tam kiedyś. Smętna okolica.

– Czy Lars wspominał kiedykolwiek, że udało mu się coś znaleźć?

Hansen znów zmierzył de Roqueforta podejrzliwym wzrokiem.

– Co na przykład?

– Niech pan nie udaje. Nie mam nastroju do żartów.

– Pan musi coś wiedzieć, inaczej nie byłoby tu pana.

Antykwariusz nachylił się, by strzepnąć popiół z papierosa do popielniczki. Sięgnął jednak dalej, prosto do otwartej szuflady stołu. Szybko wyjął pistolet, ale jeden z ludzi de Roqueforta kopniakiem wytrącił broń z ręki księgarza.

– To było głupie – stwierdził Francuz.

– Pieprz się! – Hansen splunął, masując obolałą dłoń.

Ze słuchawki radia, które de Roquefort miał przypięte w pasie, dobiegł szum, a następnie czyjś głos.

– Ktoś idzie. – Przerwa. – To Malone. Idzie prosto do księgarni.

De Roquefort się tego spodziewał. Ale może nadeszła właściwa pora, by wysłać Malone'owi czytelną wiadomość, że miesza się w nie swoje sprawy. Skinął na dwóch podwładnych. Podeszli i ponownie chwycili Petera Hansena za ręce.

– Oszustwo ma swoją cenę – oznajmił de Roquefort.

– Za kogo, do diabła, pan się ma?

– Za kogoś, z kim pan nie powinien był pogrywać – odparł Francuz i wykonał znak krzyża. – Niech Bóg będzie z tobą.



Malone zobaczył światła w oknach na trzecim piętrze. Ulica naprzeciwko księgarni Hansena była pusta. Tylko kilka zaparkowanych samochodów zajmowało brukowaną nawierzchnię. Malone wiedział, że wszystkie nad ranem znikną, kiedy uliczni sprzedawcy znów rozlokują się w tej części, przeznaczonej wyłącznie dla pieszych.

Przypomniał sobie słowa Stephanie wypowiedziane w sklepie Hansena: „Mój mąż wspominał kiedyś, że potrafi pan znaleźć to, co jest nie do znalezienia". A więc Peter Hansen był niewątpliwie w jakiś sposób powiązany z Larsem Nelle, co wyjaśniałoby, dlaczego to Stephanie odszukała Hansena, a nie on dotarł do niej z własnej inicjatywy. Nie dawało to jednak odpowiedzi na lawinę pytań, które kłębiły się w głowie Malone'a.

Nigdy nie spotkał Larsa Nelle. Mąż Stephanie zmarł jakiś rok po tym, jak Malone dołączył do Magellan Billet, w czasie, gdy dopiero poznawał swoją szefową. Później przeczytał jednak wszystkie książki Larsa, stanowiące melanż historii, faktów, domysłów i zbiegów okoliczności. Nelle był światowej sławy zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, przekonanym o tym, że w południowej Francji, w regionie zwanym Langwedocją, ukryto

wielki skarb. Po części było to zrozumiałe. Tereny te przez długi czas były krainą trubadurów, zamków i krucjat, kolebką legendy o świętym Graalu. Niestety, wysiłki Larsa Nelle nie przyczyniły się do zdobycia poważniejszych funduszy stypendialnych na prowadzenie dalszych badań. Jego teorie pobudzały natomiast zainteresowanie autorów spod znaku New Age oraz niezależnych filmowców, którzy rozwinęli jego oryginalne hipotezy, formułując wnioski bardzo daleko od nich odbiegające. Powstały więc teorie o kosmitach, rzymskich grabieżcach, o ukrytej najważniejszej relikwii chrześcijaństwa. Oczywiście nigdy nie znaleziono żadnych dowodów na ich potwierdzenie. Malone wiedział, że francuski przemysł turystyczny uwielbia wszystkie te spekulacje i domysły.

Książka, którą Stephanie próbowała kupić na aukcji w Roskilde, nosiła tytuł *Pierres Gravées du Languedoc.* „Inskrypcje nagrobne w Langwedocji”. Dziwaczny tytuł, a temat jeszcze bardziej osobliwy. Jaki to mogło mieć związek ze sprawą? O ile wiedział, Stephanie nigdy nie przejmowała się pracą męża. Ta rozbieżność stała się problemem numer jeden w ich małżeństwie i w końcu przyczyniła się do kontynentalnej separacji – Lars mieszkał we Francji, a Stephanie w Ameryce. Cóż więc, do diaska, porabiała w Danii?! Po jedenastu latach od śmierci męża? I dlaczego inni starali się jej przeszkodzić – a nawet usiłowali ją zgładzić?

Malone wciąż szedł w kierunku księgarni i próbował poukładać myśli w głowie. Jak domniemywał, Peter Hansen raczej nie będzie zadowolony z jego odwiedzin, więc postanowił dobierać słowa z rozwagą. Musiał najpierw udobruchać antykwariusza, by potem pozyskać jak najwięcej informacji. Był nawet gotów zapłacić, gdyby zaszła taka potrzeba.

Dosłyszał jakiś brzęk dobiegający z jednego z najwyższych okien kamienicy Hansena. Spojrzał w górę i zobaczył głowę, a potem resztę ciała, które runęło w dół i spadło na maskę jednego z zaparkowanych na ulicy samochodów.

Podbiegł i rozpoznał Petera Hansena. Sprawdził jego puls. Słaby. Nagle niespodziewanie antykwariusz otworzył oczy.

– Słyszysz mnie? – spytał Malone.

Żadnej odpowiedzi.

Coś świsnęło Malone’owi koło ucha i klatka piersiowa Hansena podskoczyła do góry. Kolejny świst, po którym czaszka antykwariusza rozpękła się, a krew i jakieś tkanki spryskały kurtkę Amerykanina.

Malone odwrócił się gwałtownie.

Z rozbitego okna na trzecim piętrze wyglądał człowiek z pistoletem w ręku. Ten sam facet w skórzanej kurtce, który rozpoczął strzelaninę w katedrze i chciał zabić Stephanie. Kiedy składał się do kolejnego strzału, Malone schował się za samochód.

W dół pomknęły kolejne pociski.

Odgłos każdego wystrzału był przytłumiony, przypominał klaskanie. Broń z tłumikiem. Jedna kula uderzyła w maskę samochodu, obok zwłok Hansena. Kolejny pocisk rozbił przednią szybę.

– Panie Malone! Ta sprawa pana nie dotyczy! – zawołał strzelec z góry.

– Teraz już dotyczy.

Malone nie zamierzał tu tkwić i analizować sytuacji. Skulił się i wykorzystał zaparkowane samochody jako osłonę. Spróbował przedostać się w dół ulicy.

Kolejne strzały, przypominające odgłosem wzbijanie poduszki, usiłowały ominąć zaporę ze szkła i metalu.

Dwadzieścia metrów dalej obejrzał się. Postać w oknie zniknęła. Wstał i ruszył biegiem, skręcając za pierwszym rogiem. Potem znowu skręcił, starając się wykorzystać labirynt zaułków. Krew pulsowała mu w skroniach. Serce waliło jak młotem. Cholera. Wracał do gry.

Zatrzymał się na chwilę i wciągnął do płuc chłodne powietrze. Za sobą słyszał kroki biegnących osób. Zastanawiał się, czy ścigający go znają układ uliczek wokół Strøgetu. Musiał założyć, że znają. Za następnym zakrętem pojawiły się kolejne ciemne sklepy. Napięcie zaczynało ściskać mu żołądek. Powoli kończyły mu się możliwości manewru. Z przodu miał jeden z wielu tutejszych rozległych placów z fontanną pośrodku. Wszystkie kafejki na obrzeżach placu były już pozamykane. Ewentualne kryjówki należały raczej do towarów deficytowych. Nie widział nikogo w zasięgu wzroku. Po drugiej stronie pustego placu wznosiła się ku niebu sakralna budowla. Lekka poświata przebijała przez przyciemnione teraz witraże. Latem wszystkie kopenhaskie kościoły były otwarte do północy. Malone musiał się gdzieś ukryć, przynajmniej na chwilę. Pobiegł więc w kierunku marmurowego portalu.

Klamka ustąpiła.

Popchnął ciężkie drzwi, potem delikatnie je zamknął, w nadziei, że ci, którzy go ścigają, nie zdołali dostrzec jego manewru.

Pojedyncze, żarzące się słabym światłem lampy z lekka rozpraszały mrok pustego wnętrza. Imponujący ołtarz i rzeźbione posągi tworzyły tajemnicze obrazy w ponurej atmosferze. Malone niemal po omacku ruszył w kierunku ołtarza i zauważył schody, od których strony dobiegało blade światło. Dotarł tam i pobiegł w dół z duszącym uczuciem niepokoju.

Żelazna brama na dole prowadziła do niskiego pomieszczenia o trzech nawach. Pośrodku stały dwa sarkofagi przykryte ogromnymi płytami z ociosanego granitu. Ciemność rozjaśniała tylko słaba bursztynowa poświata dobiegająca od małego ołtarza. Malone uznał, że może tu bezpiecznie przeczekać chwilę, zanim wróci do swojej księgarni. Prześladowcy z pewnością wiedzieli, gdzie mieszka. Spróbował się uspokoić, ale chwilowa ulga minęła bezpowrotnie, gdy dosłyszał dobiegające z góry skrzypnięcie otwieranych drzwi. Utkwił wzrok w sklepieniu nie dalej niż o metr od głowy.

Nad sobą słyszał kroki dwóch osób.

Skrył się głębiej w cień. Ogarnęło go znane uczucie paniki, które szybko udało mu się zdławić. Potrzebował czegoś do obrony, przeszukał więc mroczną przestrzeń. W oddalonej o jakieś sześć metrów apsydzie stał żelazny kandelabr.

Malone podkradł się w tym kierunku.

Ozdobny świecznik miał około półtora metra wysokości. Na szczycie znajdowała się gromnica o obwodzie blisko dziesięciu centymetrów. Malone wyjął świecę i sprawdził metalowy trzon. Ważył sporo. Z kandelabrem w ręku przeszedł na palcach przez kryptę i zajął pozycję za filarem.

Ktoś wszedł na schody.

Malone spojrzał poprzez ciemność nad grobowcami i poczuł nagły przypływ energii, która jak zawsze w przeszłości rozjaśniała jego umysł.

U stóp schodów pojawiła się postać. Ten ktoś trzymał pistolet z tłumikiem, widoczny nawet w mroku. Malone mocniej ścisnął żelazny trzon i uniósł ramię. Mężczyzna zmierzał w jego kierunku. Amerykanin napiął mięśnie. Bezgłośnie policzył do pięciu, zacisnął zęby i uderzył z całej siły w tors napastnika, odpychając go na nagrobki.

Odrzucił żelazo i uderzył mężczyznę w szczękę. Pistolet wyleciał z ręki prześladowcy i z głośnym stukiem uderzył o posadzkę.

Napastnik upadł na podłogę.

Malone zaczął szukać pistoletu, a tymczasem kolejne kroki zbliżyły się do krypty. Znalazł broń i chwycił ją mocno.

Ktoś oddał dwa strzały w jego kierunku.

Pociski uderzyły w sufit i posypał się tylko pył. Malone zanurkował za najbliższy filar i wystrzelił. Z ciemności dobiegła przytłumiona riposta, a kolejna kula odbiła się rykoszetem od dalszej ściany.

Drugi z napastników zajął pozycję za nagrobkiem usytuowanym dalej.

Malone znalazł się w pułapce.

Między nim a jedynym wyjściem z krypty znajdował się uzbrojony mężczyzna. Pierwszy ze ścigających podnosił się już, głośno jęcząc i stękając. Malone był uzbrojony, ale jego szanse nie przedstawiały się najlepiej.

Spojrzał w głąb słabo oświetlonej krypty i szykował się do walki.

Mężczyzna, który podnosił się z kamiennej posadzki, nagle upadł.

Minęło kilka sekund.

Cisza.

Czyjeś kroki rozległy się na górze. Potem drzwi kościoła otworzyły się i zamknęły. Malone ani drgnął. Cisza wyprowadzała go z równowagi. Usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność. Nigdzie nie dostrzegł żadnego ruchu.

Postanowił zaryzykować i ruszył do przodu.

Pierwszy napastnik leżał bezwładnie. Drugi także leżał na brzuchu i nie ruszał się. Malone sprawdził puls obu mężczyzn. Wyczuwalny, lecz słaby. Potem zauważył coś z tyłu na szyi jednego z nieprzytomnych prześladowców. Zbliżył się i wyjął małą strzałkę z ostrym jak igła szpikulcem długości nieco ponad centymetr.

Jego wybawca był zaopatrzony w wyrafinowaną broń.

Dwaj mężczyźni leżący na podłodze byli tymi samymi, których spotkał wcześniej na aukcji. Ale kto pozbawił ich przytomności? Zabrał pistolety i przeszukał bezwładne ciała. Żadnych dowodów tożsamości. Jeden miał w kurtce krótkofalówkę. Malone wyciągnął ją razem z mikrofonem i słuchawką.

– Czy ktoś mnie słyszy? – powiedział do mikrofonu.

– A kto mówi?

– To pan był w katedrze? Pan dopiero co zabił Petera Hansena?

– Pół na pół.

Zdał sobie sprawę, że nikt nie zaryzykuje wylewności na otwartym kanale, ale przesłanie było czytelne.

– Pańscy ludzie leżą tutaj nieprzytomni.

– Czy to pańska robota?

– Chciałbym, żeby była to moja zasługa. Kim pan jest?

– To nie ma związku z naszą rozmową.

– W czym panu przeszkadzał Peter Hansen?

– Nie znoszę ludzi, którzy mnie oszukują.

– Nie da się ukryć. Ale ktoś właśnie sprawił niemiłą niespodziankę pańskim ludziom. Nie wiem kto, ale polubiłem go.

Tym razem Malone nie otrzymał odpowiedzi. Odczekał jeszcze chwilę i już otworzył usta, by coś powiedzieć, kiedy usłyszał ponownie głos rozmówcy:

– Wierzę, że skorzysta pan z przychylności fortuny i wróci do handlowania książkami. – Krótkofalówka po drugiej stronie wyłączyła się.

DWANAŚCIE

OPACTWO DES FONTAINES
PIRENEJE FRANCUSKIE
23.30

Seneszal obudził się. Zasnął, siedząc na krześle przy łóżku mistrza. Szybkie spojrzenie na zegar stojący na nocnym stoliku pozwoliło mu stwierdzić, że spał niemal godzinę. Skierował wzrok na leżącego. Nie słyszał już znajomego ciężkiego oddechu. W słabych promieniach rozrzedzonego światła wpadającego z podwórka dostrzegł w oczach starego człowieka śmierć.

Sprawdził puls.

Wielki mistrz odszedł z ziemskiego padołu.

Seneszal ukląkł i zmówił modlitwę w intencji zmarłego przyjaciela. Nowotwór zwyciężył. Bitwa dobiegła końca. Już wkrótce jednak miał się zacząć kolejny konflikt, zupełnie innego formatu. Błagał Boga, by przyjął duszę zmarłego do nieba. Nikt nie zasługiwał na zbawienie tak jak ten człowiek. Seneszal nauczył się wszystkiego od wielkiego mistrza – osobiste upadki i emocjonalna samotność sprawiły, że od dawna pozostawał pod wpływem starca. Uczył się przy nim bardzo szybko i dokładał starań, by nigdy go nie zawieść. „Błędy są wybaczalne, o ile nie popełnia się ich ponownie” – usłyszał kiedyś. Tylko raz, ponieważ mistrz nigdy się nie powtarzał.

Wielu braci uznawało tę bezpośredniość za arogancję. Inni podchodzili do niej z niechęcią, przekonani, iż mają do czynienia z ewidentnym protekcjonalizmem. Żaden z nich jednak nigdy nie podważył autorytetu wielkiego mistrza. Obowiązkiem każdego z braci było bowiem posłuszeństwo. Czas na stawianie pytań przychodził jedynie w chwili, gdy wybierano następnego przywódcę zakonu.

A takie wybory miały się odbyć następnego dnia.

Po raz sześćdziesiąty siódmy od czasów powstania zakonu, czyli od początku dwunastego stulecia, kolejny człowiek zostanie wybrany na wielkiego mistrza. Sześćdziesięciu sześciu poprzedników piastowało tę godność średnio po niecałe osiemnaście lat, rozmaicie zapisując się na kartach historii. Jedni przeszli bez echa, wkład innych był bezcenny. Każdy z nich wszelako służył zakonowi aż do samej śmierci. Niektórzy nawet zginęli na polu bitwy, ale dni działań wojennych minęły dawno temu. Dzisiaj zakon działał z większą dyskrecją, a współczesnych pól walki bracia założyciele z pewnością nie mogliby sobie wyobrazić. Sądy, internet, publikacje książkowe, czasopisma i dzienniki – wszystko to stanowiło obszary, które zakon regularnie monitorował, pilnując, by jego tajemnice były bezpieczne, a istnienie niezauważone. Każdy wielki mistrz, choćby i najbardziej nieudolny, potrafił wypełnić to jedno zadanie. Seneszal obawiał się jednak, że następna kadencja może być w szczególnym stopniu decydująca. Bractwo stało u progu wewnętrznej wojny, a zmarły, który leżał na tym łóżku, dysponował niedoścignioną zdolnością przewidywania zamiarów przeciwnika.

W zapadłej dookoła ciszy odgłos spadającej wody wydawał się bliższy. Latem bracia często schodzili do wodospadu i zażywali kąpieli w lodowatym, naturalnym akwenie. Teraz seneszal tęsknił za tą przyjemnością, ale wiedział, że przez długi czas nie będzie mógł sobie pozwolić na choćby chwilę wytchnienia. Postanowił nie niepokoić braci wieścią o śmierci wielkiego mistrza do czasu, gdy zbiorą się na modły, co miało nastąpić dopiero za jakieś pięć godzin. W dawnych czasach wszyscy zakonnicy zbierali się tuż po północy na prymie, ale ten religijny rozkład dnia uległ zmianom, które uwzględniono w Regule. Obecnie stosowano bardziej realistyczny harmonogram zajęć, taki, który uznawał potrzebę snu i brał pod uwagę realia XXI, a nie XIII wieku.

Seneszal wiedział, że nikt nie odważy się wejść do kwatery wielkiego mistrza. Tylko on, z racji swojej funkcji, miał ten przywilej, zwłaszcza gdy wielki mistrz leżał złożony chorobą. Sięgnął po koc i naciągnął go na twarz zmarłego.

Przez głowę przebiegło mu kilka myśli; walczył też z narastającą pokusą. Reguła wpajała poczucie dyscypliny, nawet jeśli nie przynosiła innych pożytków, seneszal zaś odczuwał dumę z faktu, że nigdy świadomie nie dopuścił się złamania jej postanowień. Ale teraz czuł nieodpartą pokusę.

Myślał o tym przez cały dzień, gdy patrzył, jak jego przyjaciel powoli odchodzi z tego świata. Gdyby śmierć zabrała mistrza w chwili, kiedy opactwo było zajęte normalnymi dziennymi obowiązkami, niemożliwe byłoby wykonanie tego, co seneszal zamierzał. O tej porze miał jednak trochę swobody i w zależności od tego, co się wydarzy następnego dnia, mogła to być jego jedyna szansa.

Wyciągnął rękę, odsunął koc i rozchylił błękitną szatę, odsłaniając tors zmarłego starca. Łańcuszek był na miejscu. Seneszal ściągnął go przez głowę swego mistrza.

Na końcu łańcuszka dyndał srebrny kluczyk.

– Wybacz mi – wyszeptał seneszal, gdy ponownie zakrywał kocem twarz zmarłego.

Przeszedł pośpiesznie przez pokój w kierunku renesansowej sekretery, pociemniałej od niezliczonych woskowań. W środku znalazł brązową szkatułę ozdobioną srebrnym krzyżem. Jedynie seneszal wiedział o jej istnieniu i widywał wielokrotnie, jak mistrz ją otwiera, chociaż nigdy nie mógł zajrzeć do środka. Teraz przeniósł szkatułę na biurko, włożył kluczyk i raz jeszcze poprosił przyjaciela o wybaczenie.

Szukał oprawionej w skórę księgi, która znajdowała się w posiadaniu mistrza od kilku lat. Wiedział, że jest przechowywana w tej szkatule. Mistrz wkładał ją tu w jego obecności. Kiedy jednak teraz seneszal uniósł wieko, w środku zobaczył jedynie różaniec, kilka dokumentów oraz mszał. Nie było tu żadnej księgi w skórzanej oprawie.

Strach seneszala stał się realny. Przedtem jedynie się spodziewał, teraz wiedział.

Odłożył szkatułę do sekretery i wyszedł z celi wielkiego mistrza.

Opactwo stanowiło labirynt wielopiętrowych skrzydeł, z których każde dobudowywano w innym stuleciu, tak jakby architektura sprzysięgła się, by stworzyć zagmatwany kompleks, dający obecnie schronienie blisko pięciuset braciom. Znajdowały się tu oczywiście cele, kaplica, okazały klasztorny dziedziniec, warsztaty, kancelarie, sala gimnastyczna, wspólne pomieszczenia sanitarne i łazienki, kapitularz, zakrystia, refektarz, parlatorium, infirmeria oraz bardzo zasobna biblioteka. Cela mistrza znajdowała się w zbudowanej w piętnastym stuleciu części opactwa, wychodzącej na skalne urwisko. Nieopodal rozlokowane były sypialnie zakonników i seneszal przeszedł przez zwieńczony łukiem portal,

prowadzący do rozległego dormitorium, w którym zawsze paliły się światła, gdyż Reguła nie pozwalała, by nocą w pomieszczeniach panowała całkowita ciemność. Nie zauważył żadnego ruchu i nie słyszał nic poza sporadycznymi odgłosami chrapania. Przed wiekami zapewne przy drzwiach stałaby warta – zastanawiał się, czy przypadkiem zwyczaj ten nie zostanie przywrócony w najbliższych dniach.

Mijał szerokie korytarze, stąpając po szkarłatnym chodniku, którym przykryto z grubsza tylko obrobione kamienne płyty. Po obu stronach znajdowały się obrazy, posągi oraz gdzieniegdzie memoriały, przypominające o przeszłości opactwa. W odróżnieniu od innych klasztorów usytuowanych w Pirenejach, ten przybytek uniknął grabieży w czasie rewolucji francuskiej, przetrwały tu więc zarówno dzieła sztuki, jak i dokumenty.

Seneszal dotarł do głównej klatki schodowej i zszedł na parter. Mijając kolejne zwieńczone sklepieniem korytarze, przeszedł obok miejsc, gdzie zwiedzającym pokazywano, na czym polega życie w klasztorze. Turystów nie było zbyt wielu, kilka tysięcy osób w ciągu roku, uzyskiwany tą drogą dochód stanowił natomiast skromne uzupełnienie rocznego budżetu. Nawet jednak tak niepozorna liczba gości zmusiła zgromadzenie do zabezpieczenia prywatności braci.

Wejście, którego szukał seneszal, znajdowało się na końcu jednego z korytarzy na parterze. Drzwi ozdobione średniowiecznymi ozdobami z kutego żelaza były otwarte, jak zawsze.

Wszedł do biblioteki.

Niewiele księgozbiorów mogło się pochwalić stanem nienaruszonym, ale niezliczone woluminy, które teraz znajdowały się wokół seneszala, pozostały nietknięte ręką grabieżcy od siedmiu stuleci. Na początku zbiory składały się z nielicznych egzemplarzy, lecz kolekcja nieustannie rosła dzięki darowiznom, zapisom, zakupom, a w początkach istnienia zakonu również dzięki skrybom, którzy dniem i nocą kopiowali księgi. Tematyka dzieł wtedy i teraz była rozmaita, przy czym główny nacisk kładziono na teologię, filozofię, logikę, historię, prawo, nauki oraz muzykę. Nad głównym wejściem widniała stosowna łacińska maksyma wyryta w tynku: CLAUSTRUM SINE ARMARIO EST QUASI CASTRUM SINE ARMAMENTARIO. „Klasztor bez biblioteki jest jak zamek bez zbrojowni”.

Seneszal zatrzymał się i nasłuchiwał.

W pobliżu nie było nikogo.

Bezpieczeństwo zbiorów nie stanowiło rzeczywistego problemu, gdyż przez osiemset lat Reguła okazało się zdecydowanie skutecznym zabezpieczeniem. Żaden z braci nie odważył się wejść do biblioteki bez zezwolenia. On jednak nie był zwykłym bratem. Był seneszalem. Przynajmniej przez jeszcze jeden dzień.

Przeszedł między regałami w głąb przepastnego pomieszczenia i zatrzymał się przy czarnych metalowych drzwiach. Przesunął plastikową kartę przed skanerem przymocowanym do ściany. Jedynie wielki mistrz, marszałek, archiwista i on sam posiadali magnetyczne karty. Dostęp do pomieszczenia znajdującego się za drzwiami możliwy był wyłącznie za zgodą wielkiego mistrza. Nawet archiwista musiał ją mieć, żeby tu wejść. W środku znajdował się zbiór cennych ksiąg, starych edyktów, tytułów własności, rejestrów rycerzy oraz najważniejsze: kroniki, w których przedstawiono historię zakonu od początku jego istnienia. Podobnie jak protokoły uwieczniały dokonania brytyjskiego parlamentu czy kongresu Stanów Zjednoczonych, te roczniki przedstawiały ze szczegółami skucesy i porażki zakonu. Źródła pisane przetrwały, wiele w kruchych już obwolutach i mosiężnych klamrach, a każdy z tomów wyglądał jak niewielki kuferek, ale znaczną część ich zawartości zeskanowano już i przeniesiono na twarde dyski, co znacznie ułatwiało przeszukiwanie blisko dziewięciusetletniej historii bractwa.

Seneszal wkroczył do środka, przeszedł między słabo oświetlonymi półkami i znalazł kodeks w jego zwykłym miejscu. Malutki wolumin miał zaledwie dwa i pół centymetra grubości oraz kwadratową okładkę o boku długości dwudziestu centymentrów. Seneszal natrafił na niego przed dwoma laty. Karty tego tomiku wykonano z cielęcej skóry naciągniętej na drewniane listewki i wytłaczanej. Nie była to jeszcze książka, lecz jej przodek – wczesne próby zastąpienia pergaminowych zwojów, pozwalające na umieszczenie tekstu po obu stronach kartki.

Seneszal ostrożnie otworzył okładkę.

Nie było tu strony tytułowej, a pochyłe łacińskie pismo otaczały marginesy iluminowane misternymi malowidłami w barwach czerwieni, zieleni i złota. Wiedział, że dzieło to skopiował jeden ze skrybów opactwa w piętnastym stuleciu. Większość dawnych kodeksów nie przetrwała jednak

zagrożeń – uzyskany z nich pergamin stosowano do oprawy innych książek, zakrywania słojów z przetworami oraz po prostu na podpałkę. Dzięki Bogu, ten wolumin się zachował. Zawarte w nim informacje były bezcenne. Seneszal nigdy nie pochwalił się nikomu, że znalazł ów kodeks; nie wyjawił tego nawet wielkiemu mistrzowi. A ponieważ mógł potrzebować zawartych w tym dziele informacji i teraz miał najlepszą sposobność z nich skorzystać, wsunął książkę pod fałdę habitu.

Przeszedł do następnego korytarza i znalazł drugi cienki wolumin, również zapisany ręcznie, lecz dopiero pod koniec dziewiętnastego stulecia. Nie była to książka przeznaczona dla szerokiej publiczności, lecz osobiste pamiętniki. Tej księgi również mógł potrzebować, a zatem wsunął ją pod habit.

Następnie opuścił bibliotekę, świadom, że komputer, który kontrolował bramkę bezpieczeństwa, zanotował czas jego wizyty. Magnetyczne paski, przyklejone do obu książek, pozwolą stwierdzić, że zostały one wyniesione z biblioteki. Ponieważ nie istniało żadne inne wyjście prócz tego wyposażonego w czujniki, a usunięcie pasków magnetycznych mogło spowodować zniszczenie książek, seneszal nie miał wyboru. Żywił jedynie nadzieję, że w zamieszaniu, które powstanie w ciągu najbliższych dni, nikt nie będzie zawracał sobie głowy sprawdzaniem danych w komputerze.

Reguła nie pozostawiała w tej kwestii wątpliwości.

Kradzież własności zakonu jest karana banicją.

Seneszal musiał jednak podjąć to ryzyko.

TRZYNAŚCIE

23.50

Malone nie ryzykował i wyszedł z kościoła tylnymi drzwiami za zakrystią. Ani myślał troszczyć się o los dwóch nieprzytomnych mężczyzn. Teraz musiał jak najszybciej dotrzeć do Stephanie, i niech diabli wezmą jej opryskliwość. Najwyraźniej mężczyzna z katedry, ten sam, który zamordował Petera Hansena, też miał problemy. Ktoś pozbawił przytomności dwóch jego ludzi. Malone nie miał pojęcia, kim jest ów ktoś ani dlaczego to zrobił, ale był wdzięczny swemu wybawcy. Bez jego pomocy opuszczenie krypty mogłoby okazać się naprawdę kłopotliwe. Przeklinał sam siebie za to, że wmieszał się w to wszystko, ale teraz było już za późno, by się wycofać. Wszedł do gry – bez względu na to, czy to mu się podobało, czy nie.

Szedł okrężną drogą ze Strøgetu i w końcu ruszył w kierunku Kongens Nytorv, typowego ruchliwego miejskiego placu otoczonego okazałymi gmachami. Wyostrzył zmysły i rozglądał się dookoła, wypatrując ewentualnych ogonów, lecz nikt za nim nie szedł. O tak późnej porze ruch na placu był nieduży. Na Nyhavn, barwnej promenadzie z domami o dwuspadowych dachach, biegnącej na wschód od placu, wciąż otwarte były restauracje z ogródkami, w których grała wesoła muzyka.

Malone szedł pospiesznie chodnikiem w stronę hotelu d’Angleterre. Jasno oświetlony siedmiokondygnacyjny budynek stał frontem do morza i ciągnął się przez całą przecznicę. Elegancki hotel postawiono w osiemnastym stuleciu, a jego pokoje często udzielały gościny królom, cesarzom i prezydentom.

Malone wszedł do przedsionka i minął recepcję. Z głównego holu dobiegała cicha melodia, kręciło się tu kilku spóźnionych klientów. Na marmurowym blacie stał rząd wewnętrznych telefonów. Malone skorzystał z jednego z nich, by zadzwonić do pokoju Stephanie Nelle. Dzwonek odezwał się trzy razy, zanim odebrała.

– Wstawaj – powiedział Malone.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałeś, Cotton? – W jej głosie wciąż brzmiał ten sam zbywający ton, którym przemawiała do niego w Roskilde.

– Peter Hansen nie żyje.

Przez chwilę milczała.

– Jestem w pokoju numer sześćset.



Malone wszedł do pokoju. Stephanie miała na sobie hotelowy szlafrok. Opowiedział jej o wszystkim, co się właśnie wydarzyło. Słuchała w milczeniu, tak jak w ciągu tych wszystkich lat, kiedy składał jej raporty. Na jej zmęczonej twarzy dostrzegł jednak poczucie porażki i miał nadzieję, że zapowiada to zmianę nastawienia.

– Czy teraz pozwolisz, żebym ci pomógł? – zapytał.

Przyglądała mu się badawczo oczyma, które – jak często miał okazję zauważyć – zmieniały odcień zależnie od jej nastroju. Do pewnego stopnia przypominały Malone’owi oczy jego własnej matki, chociaż Stephanie była starsza od niego zaledwie o kilkanaście lat. Wcześniejszy gniew nie wypływał z jej charakteru. Nie lubiła popełniać błędów i nie znosiła sytuacji, kiedy ktoś jej te błędy wytykał. Jej talent nie polegał na gromadzeniu informacji, lecz na ich analizowaniu i ocenie – była skrupulatnym organizatorem, który obmyślał i planował z przebiegłością lamparta. Malone wiele razy widywał, jak podejmowała trudne decyzje bez chwili wahania – na jej chłodnej ocenie polegali zarówno prokuratorzy generalni, jak i prezydenci – zastanawiał się więc, czy obecne wahanie wpłynie na jej zazwyczaj trzeźwą ocenę sytuacji.

– Wystawiłam im Hansena – mruknęła pod nosem. – W katedrze nie wyprowadziłam tego faceta z błędu, kiedy zasugerował, ze Hansen ma dziennik Larsa.

Zrelacjonowała Malone’owi przebieg tamtej rozmowy.

– Opisz tego człowieka.

Spełniła jego prośbę.

– To ten sam facet, który zaczął strzelaninę i który potem zastrzelił Hansena – skwitował.

– Człowiek, który skoczył z Rotundy, pracował dla niego. Miał ukraść mi torebkę, w której trzymałam dziennik Larsa.

– Potem zjawił się na aukcji, pewien, że ty też tam będziesz. Kto wiedział o tym, że się na nią wybierasz?

– Jedynie Hansen. W biurze wiedzą tylko, że jestem na wakacjach. Mam ze sobą telefon satelitarny, ale powiedziałam w firmie, żeby mi nie przeszkadzano, chyba że świat będzie się walić.

– Skąd dowiedziałaś się o aukcji?

– Przed trzema tygodniami nadeszła paczka z Awinionu we Francji. W środku znajdował się list i dziennik Larsa – odparła i przerwała na moment. – Nie widziałam tego notesu od lat.

Malone zdawał sobie sprawę, że w normalnej sytuacji był to temat zakazany. Lars Nelle odebrał sobie życie przed jedenastoma laty – znaleziono go wiszącego na moście w południowej Francji. W jego kieszeni była kartka ze słowami: „ŻEGNAJ, STEPHANIE”. Jak na uczonego, który napisał wiele książek, takie proste pożegnanie wydawało się niemal obrazą. Chociaż Stephanie żyła z mężem w separacji, ciężko przeżyła tę stratę, a Malone przypominał sobie, jak trudne były dla niej miesiące po śmierci Larsa. Nigdy nie rozmawiali na ten temat, a zatem jej wzmianka była czymś niezwykłym.

– Jaki dziennik? – zapytał.

– Lars fascynował się tajemnicami związanymi z Rennes-le-Château…

– Wiem. Czytałem jego książki.

– Nigdy o tym nie wspominałeś.

– Nigdy nie pytałaś.

Wydawało się, że Stephanie wyczuwa jego irytację. Wydarzyło się dużo, a żadne z nich nie miało czasu na zbędne pogaduszki.

– Lars sformułował interesujące i dobrze uzasadnione teorie na temat tego, co może się kryć w Rennes-le-Château lub w jego okolicach – wyjaśniła. – Wiele z tych przemyśleń zachował dla siebie, notując je w dzienniku, który zawsze trzymał przy sobie. Kiedy umarł, sądziłam, że dziennik trafił w ręce Marka.

Kolejny niezręczny temat. Mark Nelle był historykiem średniowiecza, absolwentem Oksfordu i wykładowcą na uniwersytecie w Tuluzie,

w południowej Francji. Pięć lat temu zaginął w Pirenejach. Lawina. Jego ciała nigdy nie znaleziono. Malone wiedział, że tragedię tę pogłębił fakt, iż Stephanie i jej syn nie byli sobie zbyt bliscy. W rodzinie Nelle'ów przelało się wiele złej krwi, chociaż to absolutnie nie była jego sprawa.

– Ten przeklęty dziennik był niczym duch, który powrócił, by mnie nękać – kontynuowała Stephanie. – Napisany własnoręcznie przez Larsa. Dołączony do przesyłki list informował mnie o zbliżającej się aukcji oraz o możliwości zdobycia książki. Przypominałam sobie, że Lars wspominał kiedyś o niej, a w dzienniku znalazłam też wzmianki na ten temat. Dlatego przyjechałam tu, by ją kupić.

– I żadne ostrzegawcze dzwonki nie rozdzwoniły się w twojej głowie?

– A dlaczegóż miałyby się rozdzwonić? Mój mąż nie miał nic wspólnego z moją pracą. Prowadził nieszkodliwe poszukiwania rzeczy nieistniejących. Skąd miałam wiedzieć, że są w to wmieszani ludzie, którzy nie zawahają się przed zabójstwem?

– Ten człowiek, który wyskoczył z Rotundy, stanowił chyba dostatecznie jednoznaczne ostrzeżenie. Już wtedy powinnaś zwrócić się do mnie.

– Muszę to zrobić sama.

– Zrobić co?

– Nie wiem, Cotton.

– Dlaczego ta książka jest taka ważna? Dowiedziałem się na aukcji, że jest to nieciekawa pozycja, pozbawiona znaczenia. Wszyscy byli zszokowani, że sprzedano ją za tak niebotyczną cenę.

– Nie mam pojęcia – w jej tonie znów dało się wyczuć rozdrażnienie. – Naprawdę nie wiem. Przed dwoma tygodniami usiadłam przy biurku, przeczytałam dziennik Larsa i muszę przyznać, że zafascynowała mnie jego treść. Z przykrością wyznaję, że nigdy nie przeczytałam żadnej z jego książek, aż do ostatniego tygodnia. Kiedy to zrobiłam, poczułam głębokie wyrzuty sumienia z powodu swojego stosunku do niego. Jedenaście lat naprawdę może zmienić punkt widzenia.

– Co zamierzałaś zrobić?

Pokręciła z roztargnieniem głową.

– Nie wiem. Chciałam po prostu kupić tę książkę. Przeczytać ją i zobaczyć, co z tego wyniknie. Potem planowałam wyruszyć do Francji i spędzić kilka dni w domu Larsa. Nie byłam tam naprawdę od długiego czasu.

Najwyraźniej usiłowała zawrzeć rozejm z demonami przeszłości, ale trzeba było uwzględnić rzeczywistość.

– Potrzebujesz pomocy, Stephanie. Tu dzieje się coś jeszcze i są to rzeczy, w których mam więcej doświadczenia niż ty i potrafię sobie z nimi radzić.

– Czy nie musisz przypadkiem prowadzić swojej księgarni?

– Moi pracownicy dadzą sobie radę przez kilka dni.

Zawahała się przez moment, najwyraźniej rozważając jego ofertę.

– Byłeś najlepszy z ludzi, jakich kiedykolwiek miałam. Wciąż nie mogę ci wybaczyć, że odszedłeś.

– Musiałem to zrobić.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dałeś się wykraść Henrikowi Thorvaldsenowi. Zraniło mnie to do żywego.

W zeszłym roku, kiedy odchodził i powiedział Stephanie o planach przeprowadzki do Kopenhagi, w pierwszej chwili była tym zachwycona. Lecz jedynie do momentu, gdy dowiedziała się, że jest w to wmieszany Thorvaldsen. Jak zwykle, nie wyjaśniła Malone'owi swojego nastawienia, on zaś wiedział, że lepiej o to nie pytać.

– Mam dla ciebie kilka kiepskich wieści – oznajmił. – Wiesz, kim jest osoba, która przebiła cenę na licytacji? Która licytowała przez telefon? To Henrik.

Posłała mi wzgardliwe spojrzenie.

– Działał w porozumieniu z Peterem Hansenem – dodał Malone.

– Cóż doprowadziło cię do takiego wniosku?

Zdał jej relację z tego, czego dowiedział się na aukcji, oraz z tego, co usłyszał od człowieka, z którym rozmawiał przez radiotelefon. „Nie znoszę tych, którzy mnie oszukują". Najwyraźniej Hansen grał na dwa fronty i nie wyszło mu to na dobre.

– Zaczekaj na zewnątrz – poprosiła go.

– Dlatego właśnie tu przyszedłem. Ty i Henrik powinniście porozmawiać. Ale musimy stąd po cichu zniknąć. Ci ludzie wciąż mogą się czaić gdzieś na zewnątrz.

– Tylko się ubiorę.

Ruszył w stronę drzwi.

– Gdzie jest dziennik Larsa?

Wskazała w stronę sejfu.

– Zabierz go.

– Czy to rozsądne?

– Policja niebawem odnajdzie ciało Hansena. Nie zajmie im dużo czasu, by powiązać ze sobą fakty. Musimy być przygotowani.

– Potrafię poradzić sobie z policją.

Spojrzał na nią.

– Waszyngton wyciągnął cię z afery w Roskilde, ponieważ nie wiedzieli, co tutaj robisz. Teraz jestem pewien, że ktoś w Departamencie Sprawiedliwości usiłuje tego dociec. Nie znosisz, jak ci zadają pytania, a przecież nie możesz powiedzieć prokuratorowi generalnemu, żeby poszedł do diabła, kiedy tu zadzwoni. Wciąż nie jestem pewien, co zamierzasz, ale wiem jedno: nie lubisz rozmawiać na ten temat. A zatem pakuj się.

– Wcale nie tęskniłam za twoją arogancją.

– I ja muszę powiedzieć, że bez twojej promiennej osobowości moje życie było puste. Czy mogłabyś choć raz zrobić to, o co proszę? Wokół nas jest dostatecznie dużo zagrożeń, nie powinniśmy więc popełniać głupstw.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– Oczywiście, że muszę.

Po tych słowach wyszedł.

CZTERNAŚCIE

PIĄTEK, 23 CZERWCA
01.30

Malone i Stephanie wyjechali z Kopenhagi autostradą numer 152. Chociaż wcześniej miał okazję jechać z Rio de Janeiro do Petropolis, a także nadmorską trasą z Neapolu do Amalfi, Malone doszedł do przekonania, że trasa na północ do Helsingoru, wzdłuż skalistego wschodniego wybrzeża Danii, jest najbardziej urokliwa ze wszystkich znanych mu nadbrzeżnych traktów. Wioski rybackie, bukowe lasy, letnie domki oraz siny przestwór cieśniny Øresund – wszystko to składało się na niepowtarzalny widok.

Pogoda była typowa dla regionu. Deszcz uderzał o przednią szybę, a jego krople smagał porywisty wiatr. Za jednym z niedużych nadmorskich kurortów, pogrążonym już we śnie, autostrada skręciła w głąb lądu, na tereny porośnięte lasem. Malone minął dwie białe chaty, wjechał przez otwartą bramę trawiastym podjazdem i zaparkował na dziedzińcu wysypanym kamykami.

Dom stanowił idealny przykład duńskiego baroku: trzy kondygnacje zbudowane z cegły, przeplatane piaskowcem i zwieńczone urokliwie zaokrąglonym miedzianym dachem. Jedno skrzydło biegło w głąb lądu, drugie wychodziło ku morzu.

Malone znał dobrze historię tej budowli. Nosiła nazwę Christiangate, została wzniesiona trzysta lat temu przez mądrego przedstawiciela rodu Thorvaldsenów, który zamienił tony bezwartościowego torfu na paliwo do produkcji porcelany. W XIX wieku królowa duńska mianowała jego manufakturę oficjalnym nadwornym dostawcą, a na poczatku dwudziestego pierwszego stulecia fabryka porcelany Adelgate Glasvaerker, której cecha miała postać dwóch okręgów podkreślonych linią, wciąż należała do przodujących zarówno w Danii, jak i w całej Europie. W tej chwili całym konsorcjum zawiadywał patriarcha rodziny, Henrik Thorvaldsen.

W drzwiach rezydencji pojawił się lokaj, który nie okazał zdziwienia na widok gości. Było to dość zaskakujące, uwzględniając fakt, że minęła już północ, a Thorvaldsen żył samotnie niczym sowa. Wprowadzono ich do pomieszczenia, w którym dębowe belki, zbroje oraz olejne portrety potwierdzały szlachecki charakter domu. W obszernym pomieszczeniu dominował długi stół – liczący sobie dobre czterysta lat, jak powiedział kiedyś Malone'owi Henrik. Wykończenie ciemnego klonowego drewna mogło być efektem jedynie setek lat gorliwego użytkowania. Thorvaldsen siedział przy jednym z końców stołu; przed nim stało ciasto pomarańczowe oraz buchający parą samowar.

– Proszę, wejdźcie. Usiądźcie.

Wstał z krzesła najwyraźniej z dużym trudem i przywołał na twarz uśmiech. Przygarbiona, artretyczna sylwetka prostowała się najwyżej na wysokość metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów, a nazbyt obszerny norweski sweter nie był w stanie zamaskować zdeformowanych pleców starca. Malone dostrzegł błysk w jasnoszarych oczach. Jego przyjaciel najwyraźniej coś knuł. Bez wątpienia.

Malone wskazał na ciasto.

– Byłeś tak pewien naszego przyjazdu, że kazałeś upiec placek?

– Nie byłem pewien, czy zjawicie się tu oboje, ale wiedziałem, że ty przyjedziesz.

– Skąd to przypuszczenie?

– Kiedy dowiedziałem o twojej obecności na aukcji, zdałem sobie sprawę, że prędzej czy później odkryjesz mój udział w tej sprawie.

Stephanie wystąpiła naprzód.

– Żądam zwrotu mojej książki.

Thorvaldsen spojrzał na nią surowo.

– Żadnego „dzień dobry"? Żadnego „miło pana poznać"? Tak po prostu: „żądam zwrotu mojej książki"?

– Nie lubię pana.

Starszy pan ponownie zajął swoje miejsce. Malone doszedł do wniosku, że ciasto wygląda smakowicie, usiadł więc i ukroił sobie kawałek.

– Nie lubi mnie pani? – powtórzył Thorvaldsen. – To osobliwe, zważywszy, iż nigdy się nie spotkaliśmy.

– Sporo o panu wiem.

– Czy to znaczy, że w archiwach Magellan Billet macie moje akta?

– Pańskie nazwisko pojawia się w najdziwniejszych miejscach. Nazywamy pana podejrzaną osobą o międzynarodowych kontaktach.

Twarz starego człowieka wykrzywiła się w grymasie, jak gdyby kazano mu odprawić bolesną pokutę.

– Uważa mnie pani za terrorystę lub przestępcę.

– A jest pan pierwszym czy drugim?

Duńczyk spojrzał na Stephanie z nagłym zaciekawieniem.

– Mówiono mi, że dysponuje pani geniuszem pozwalającym wymyślać wielkie rzeczy oraz pracowitością, dzięki której je pani realizuje. To dziwne, że przy takich zdolnościach zawiodła pani całkowicie w roli żony i matki.

W oczach kobiety natychmiast pojawiło się wzburzenie.

– Nic pan o mnie nie wie.

– Wiem, że pani i Lars nie byliście ze sobą razem przez kilka lat przed jego śmiercią. Wiem, że różniliście się w bardzo wielu kwestiach. Wiem również, że drogi pani i pani syna także się rozeszły

Na policzkach Stephanie pojawił się rumieniec furii.

– Niech pan idzie do diabła!

Thorvaldsen zdawał się niewzruszony jej wybuchem.

– Jest pani w błędzie, Stephanie.

– W jakiej kwestii?

– W wielu kwestiach. Nadeszła pora, by poznała pani prawdę.



De Roquefort odnalazł posiadłość dokładnie tam, gdzie się spodziewał na podstawie zdobytych informacji. Kiedy się dowiedział, kto współdziałał z Peterem Hansenem przy kupnie książki, zgromadzenie pełnego dossier tej osoby zajęło jego adiutantowi zaledwie pół godziny. Teraz, kiedy Francuz spoglądał na okazały dom należący do Henrika Thorvaldsena, który przelicytował wszystkich, doszedł do wniosku, że fakty zaczynają łączyć się w logiczną całość.

Thorvaldsen był jednym z najbogatszych obywateli Danii, a korzenie jego rodu sięgały czasów wikingów. Posiadał imponujące udziały w licznych korporacjach. Oprócz Adelgate Glasvaerker, miał akcje brytyjski banków, polskich kopalni, niemieckich fabryk oraz przedsiębiorstw transportowych innych europejskich krajów. Na kontynencie, gdzie stare pieniądze oznaczały miliardy, Henrik Thorvaldsen znajdował się w czołówce list najbogatszych ludzi. Był dziwakiem, introwertykiem, który z rzadka tylko opuszczał swoją rezydencję. O jego hojności na polu działalności charytatywnej krążyły legendy – dotyczyło to w szeczególności osób, które przeżyły Holocaust, organizacji antykomunistycznych, a także międzynarodowych akcji pomocy medycznej.

Thorvaldsen miał sześćdziesiąt dwa lata i mógł pochwalić się zażyłymi stosunkami z duńską rodziną królewską, zwłaszcza z samą królową. Jego żona i syn już nie żyli – żona zmarła na raka, syn natomiast zginął przed rokiem, pełniąc misję w duńskiej placówce dyplomatycznej w Mexico City. Człowiekiem, który zastrzelił zabójcę syna, był amerykański prawnik i agent służb specjalnych Cotton Malone. Istniało też powiązanie z Larsem Nelle, chociaż nie miało ono charakteru pozytywnego, gdyż Thorvaldsenowi przypisywano niezbyt pochlebne i publiczne komentarze wypowiadane na temat osoby kontrowersyjnego naukowca. Przed piętnastoma laty w Bibliotece Sainte-Genevieve w Paryżu doszło też do niemiłego incydentu, a dokładnie do gwałtownej wymiany zdań, o której francuska prasa szeroko się rozpisywała. Wszystko to mogło tłumaczyć fakt, dlaczego Henrik Thorvaldsen okazał zainteresowanie ofertą Petera Hansena, chociaż nie do końca.

De Roqeufort zamierzał dowiedzieć się wszystkiego.

Rześkie powietrze znad Morza Północnego napływało znad ciemnej teraz toni cieśniny Øresund, a ulewny deszcz przemienił się w mżawkę. Dwójka akolitów stała obok szefa, dwaj pozostali siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed rezydencją, wciąż jeszcze nieco zamroczeni środkiem, który im zaaplikowano w krypcie. De Roquefort zachodził w głowę, kto mógł wtrącić swoje trzy grosze. Przez cały dzień nie wyczuł ani razu, żeby ktokolwiek deptał mu po piętach, a jednak ktoś potajemnie śledził jego ruchy. Ktoś na tyle wyrafinowany, żeby posłużyć się pociskami usypiającymi.

Ale wszystko po kolei. Szedł teraz w kierunku żywopłotu, który rósł przed frontem rezydencji. Światło świeciło się w jednym z pokoi na parterze, z którego za dnia zapewne rozciągał się uroczy widok na morze. Francuz nie zauważył żadnych strażników, psów ani systemu alarmowego. Osobliwe, choć nie zaskakujące.

Podszedł do okna, z którego padało światło. Zauważył auto zaparkowane na podjeździe i zastanawiał się, czy szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło. Ostrożnie zajrzał do środka i zobaczył Stephanie Nelle oraz Cottona Malone rozmawiających ze starszym mężczyzną.

Uśmiechnął się. Fortuna rzeczywiście zaczęła mu znowu sprzyjać.

Na dany znak jeden z jego ludzi wyciągnął nylonową torbę. Rozsunął zamek błyskawiczny i wyjął mikrofon. Ostrożne przymocował gumową przyssawkę do narożnika zmoczonej deszczem szyby. Najnowszy odbiornik umieszczony we wnętrzu nylonowej torby pozwalał teraz usłyszeć każde słowo wypowiedziane w jadalni.

De Roquefort włożył do ucha miniaturowy głośnik.

Zanim ich zabije, musi posłuchać ich rozmowy.



– Może jednak pani usiądzie? – zapytał Thorvaldsen.

– Dziękuję, Herr Thorvaldsen, ale jeśli pan pozwoli, postoję – odparła Stephanie, nie kryjąc pogardy w głosie.

Starszy pan sięgnął po dzbanek z kawą i napełnił swoją filiżankę.

– Czy mogłaby pani zwracać się do mnie w jakikolwiek inny sposób, byle nie per „Herr”? – poprosił, odstawiając naczynie. – Nie znoszę wszystkiego, co chociaż odrobinę wiąże się z niemieckością.

Malone obserwował, jak Stephanie przejmuje kontrolę nad rozmową. Jeśli Henrik był „podejrzaną osobą” w archiwach Magellan Billet, ona na pewno wiedziała, że dziadek Thorvaldsena, jego wujowie, ciotki i kuzynostwo padli ofiarą nazistowskiej okupacji Danii. Nie spodziewał się jednak zaniechania ataku z jej strony, ale dostrzegł, że wyraz jej twarzy łagodnieje.

– W takim razie: Henrik.

Thorvaldsen wrzucił kostkę cukru do filiżanki.

– Pani poczucie humoru jest znane – rzucił, mieszając cukier. – Dawno temu zrozumiałem, że wszystkie rzeczy można poukładać, rozmawiając przy filiżance kawy. Dowie się pani od kogoś znacznie więcej na temat jego prywatnego życia po wypiciu filiżanki kawy niż po wychyleniu wielkiej butli szampana czy kwarty porto.

Malone wiedział, że Henrik potrafi łagodzić nastrój rozmówcy, opowiadając banały, a jednocześnie oceniając sytuację. Teraz pociągnął łyk kawy z buchającej parą filiżanki.

– Jak już nadmieniłem wcześniej, Stephanie, nadeszła pora, by poznała pani prawdę.

Podeszła do stołu i usiadła naprzeciwko Malone’a.

– W takim razie, na Boga, niech pan skoryguje moje wcześniejsze uprzedzenia wobec pańskiej osoby.

– Czy mogłaby je pani sprecyzować?

– Zajęłoby to trochę czasu. Ale wymienię tylko te najważniejsze. Trzy lata temu współdziałał pan z syndykatem zajmującym się kradzieżą dzieł sztuki, który z kolei wykazywał powiązania z izraelskimi radykałami. W zeszłym roku wmieszał się pan w wybory parlamentarne w Niemczech, przelewając nielegalne fundusze na konta wybranych kandydatów. Z niewiadomych względów zarówno Niemcy, jak i Żydzi nie postawili pana przed sądem.

Thorvaldsen wykonał niecierpliwy gest, dając tym samym do zrozumienia, że zgadza się z wysuniętymi zarzutami.

– Przyznaję się do winy w obu przypadkach. Owe powiązania z izraelskimi radykałami, jak była łaskawa pani je nazwać, to związki z osadnikami, którzy nie chcą się pogodzić z faktem, że ich domy stają się przedmiotem targu skorumpowanego izraelskiego rządu. W ramach działań pomocowych wspomogliśmy ich pieniędzmi uzyskanymi od bogatych Arabów handlujących skradzionymi dziełami sztuki. Dzieła te zostały po prostu ukradzione złodziejom. Być może w waszych aktach zanotowano fakt, że wróciły one do prawowitych właścicieli.

– Za odpowiednią opłatą.

– Którą zresztą pobrałby każdy prywatny detektyw, zajmujący się kradzieżami dzieł sztuki. My po prostu przekierowaliśmy fundusze na

bardziej szczytne cele. Dostrzegam w tym jakąś sprawiedliwość. A sprawa niemieckich wyborów? Sfinansowałem kilku kandydatów, którzy stali się celem ataku radykalnej prawicy. Z moją pomocą wszyscy dostali się do Bundestagu. Nie widzę powodu, dla którego faszyści mieliby znowu zdobyć władzę. A pani?

– To, co pan uczynił, było sprzeczne z prawem i wywołało liczne komplikacje.

– To, co zrobiłem, stanowiło rozwiązanie problemu. Zresztą Amerykanie uczynili w tej mierze bez porównania więcej.

Słowa te nie wywarły na Stephanie żadnego wrażenia.

– Dlaczego wmieszał się pan w moje sprawy?

– Jakim sposobem są to pani sprawy?

– Ponieważ dotyczą pracy mojego męża.

Twarz Thorvaldsena stężała.

– Nie przypominam sobie, żeby interesowała się pani specjalnie jego pracą, kiedy jeszcze chodził po ziemskim padole.

Malone zwrócił uwagę na krytyczne słowa: „nie przypominam sobie”. To dowodziło sporej wiedzy Henrika na temat przeszłości państwa Nelle’ów. Stephanie zdawała się jednak nie słuchać, co w jej wypadku było zresztą czymś wyjątkowym.

– Nie zamierzam roztrząsać z panem prywatnych kwestii z mojego życia. Proszę mi jedynie wyjaśnić, dlaczego dzisiaj wieczorem wylicytował pan tę książkę.

– Peter Hansen poinformował mnie o pani zainteresowaniu tym woluminem. Wyjawił mi też, że ktoś inny zamierza również go posiąść. Człowiek ten chciał skopiować książkę, zanim zostanie przekazana w pani ręce. Zapłacił Hansenowi, dla pewności, że tak właśnie się stanie.

– Czy powiedział, kim jest ten człowiek? – zapytała.

Thorvaldsen zaprzeczył ruchem głowy.

– Hansen nie żyje – dodał Malone.

– Nic dziwnego – głos starszego pana zabrzmiał beznamiętnie.

Malone opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło.

– Hansen był chciwy – skomentował Duńczyk. – Uważał, że książka ma wielką wartość, poprosił więc mnie, bym sekretnie ją wylicytował, tak żeby on mógł później zaoferować ją drugiemu zainteresowanemu za sowitą zapłatę.

– Na co pan się zgodził, będąc przecież człowiekiem wspaniałomyślnym – skomentowała Stephanie, najwyraźniej nie zamierzając odpuścić.

– Hansen i ja mieliśmy wiele wspólnych interesów. Powiedział mi, co się dzieje, a ja zaoferowałem mu pomoc. Obawiałem się, że w przeciwnym razie pójdzie do kogoś innego i poszuka jakiegoś anonimowego kupca. Ja również chciałem mieć tę książkę, więc zgodziłem się na jego warunki, ale nie zamierzałem jej zwrócić Hansenowi.

– Chyba naprawdę nie wierzy pan…

– Dobre ciasto? – przerwał jej pytaniem Thorvaldsen.

Malone zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel usiłuje przejąć pałeczkę w tej rozmowie.

– Wyborne – odparł z pełnymi ustami.

– Niech pan przejdzie do rzeczy – zażądała Stephanie. – Do tej prawdy, którą powinnam poznać.

– Pani mąż i ja byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Na ponurej twarzy kobiety pojawił się wyraz odrazy.

– Lars nigdy nie wspomniał mi o tym nawet słowem.

– Uwzględniając wasze raczej napięte stosunki, jest to całkiem zrozumiałe. Ale w tym wypadku, podobnie jak i pani w swoim zawodzie, on miał również swoje sekrety.

Malone skończył swój kawałek ciasta i patrzył, jak Stephanie reaguje na słowa, którym najwyraźniej nie dawała wiary.

– Jest pan kłamcą – oświadczyła w końcu.

– Mogę pokazać pani korespondencję, która potwierdzi prawdziwość moich słów. Lars i ja często do siebie pisywaliśmy. Współpracowaliśmy. Finansowałem jego początkowe badania i dopomagałem w chwilach, kiedy trudno mu było związać koniec z końcem. Zapłaciłem też za dom w Rennes-le-Château. Dzieliłem jego pasję, a wspieranie jego starań sprawiało mi nieskrywaną radość.

– Jaką pasję? – chciała wiedzieć.

Thorvaldsen spojrzał na nią gniewnie.

– Tak mało pani o nim wie. Wyrzuty sumienia muszą teraz panią zadręczać.

– Nie potrzebuję psychoanalizy.

– Doprawdy? Przyjeżdża pani do Danii, by kupić książkę, o której nie wie pani nic, a która wiąże się z pracą pani męża, zmarłego ponad dziesięć

lat temu, i nie czuje pani wyrzutów sumienia?

– Ty świętoszkowaty dupku, oddaj mi tę książkę!

– Najpierw musi pani wysłuchać do końca tego, co mam do powiedzenia. Pierwsza książka Larsa okazała się ogromnym sukcesem wydawniczym. Na świecie sprzedało się kilka milionów egzemplarzy, chociaż w Ameryce cieszyła się umiarkowanym powodzeniem. Jego następna książka nie została już tak entuzjastycznie przyjęta, ale również się sprzedawała na tyle dobrze, by sfinansować jego przedsięwzięcie. Lars sądził, że rozpowszechnienie przeciwnego punktu widzenia mogłoby spopularyzować legendę Rennes. Sfinansowałem zatem kilku autorów, którzy podjęli z nim polemikę. Dokonali w swoich pracach krytycznej analizy jego wniosków na temat Rennes i wskazywali błędy w rozumowaniu. Jedna książka prowadziła do następnej, a ta do jeszcze następnej. Niektóre z nich były dobre, inne kiepskie. Sam nawet wyraziłem publicznie kilka niezbyt pochlebnych opinii na temat Larsa i wkrótce, tak jak chciał, narodziła się jego legenda.

Oczy Stephanie płonęły teraz żywym ogniem.

– Pan chyba zbzikował?

– Kontrowersje przyczyniają się do rozgłosu. A że Lars nie pisał dla masowego odbiorcy, musiał stworzyć własną publiczność. Jego teorie zaczęły żyć własnym życiem. Rennes-le-Château jest całkiem popularne. Powstały o nim programy telewizyjne, publikowane są wydawnictwa na jego temat, a w internecie roi się od stron poświęconych wyłącznie jego tajemnicom. Turystyka jest teraz główną gałęzią gospodarki regionu. Dzięki Larsowi to miasteczko stało się turystyczną atrakcją.

Malone wiedział, że o Rennes wydano setki książek. W jego księgarni kilka półek wypełnionych było pozycjami, które zdobył na ten temat. Chciał jednak wiedzieć więcej.

– Henrik, dziś zginęło dwóch ludzi. Jeden wyskoczył z Rotundy i spadając, podciął sobie gardło. Drugiego wyrzucono przez okno z wysokiego piętra. Nie jest to zatem drobiazg, który wiąże się z popularną legendą.

– Ośmielę się stwierdzić, że w Rotundzie stanąłeś twarzą w twarz z bratem z zakonu templariuszy.

– W normalnej sytuacji powiedziałbym, że zbzikowałeś, ale ten człowiek krzyknął coś, zanim wyskoczył. *Beauseant*.

Thorvaldsen przytaknął.

– Bojowe zawołanie templariuszy. Słowo to wykrzyczane przez setki atakujących rycerzy budziło prawdziwą grozę w szeregach przeciwnika.

Malone przypomniał sobie, co wcześniej wyczytał w jednej z książek.

– Zakon właściwie przestał istnieć w tysiąc trzysta siódmym roku. Od tamtej pory nie ma już templariuszy.

– Jesteś w błędzie, Cotton. Podjęto próbę ich likwidacji, ale papież naprawił swój błąd. Pergamin z Chinon uwalnia zakon od oskarżeń o herezję. Klemens V wydał tę bullę w tajemnicy w tysiąc trzysta ósmym roku. Wielu uznało ów dokument za zaginiony, po tym, jak Napoleon splądrował Watykan, ale ostatnio został odnaleziony. Lars był przekonany, że zakon wciąż istnieje, podobnie zresztą jak ja.

– W książkach Larsa Nelle napotykamy wiele odniesień do templariuszy – przyznał Malone – ale nie przypominam sobie, by chociaż raz wyraził pogląd, iż zakon wciąż istnieje.

Thorvaldsen przytaknął.

– Robił to celowo. Budzili bowiem i wciąż budzą ogromne kontrowersje. Składali przysięgę ubóstwa, a jednak zgromadzili ogromne skarby i niesamowitą wiedzę. Byli zamknięci w sobie, a jednocześnie świetnie sobie radzili w świecie zewnętrznym. Byli zakonnikami i wojownikami. Hollywoodzki stereotyp i templariusz to dwie sprzeczności. Z pewnością nie nadawali się na bohaterów romansów. Byli też ludźmi brutalnymi.

Na Malonie nie zrobiło to wrażenia.

– W jaki sposób zdołali przetrwać niezauważeni przez siedemset lat?

– W jaki sposób jakiś owad czy inne zwierzę żyje w naturze i nikt nie zauważa jego istnienia? A jednak codziennie katalogowane są nowe gatunki.

Niezły argument, pomyślał Malone, ale wciąż nie był przekonany.

– A więc o co w tym wszystkim chodzi?

Thorvaldsen oparł się wygodnie w krześle.

– Lars poszukiwał skarbu templariuszy.

– Jakiego skarbu?

– Na początku panowania Filip IV zdewaluował francuską monetę, zamierzając w ten sposób pobudzić gospodarkę. Czyn ten nie cieszył się zbytnią popularnością wśród pospólstwa, które wtargnęło do królewskiego pałacu z zamiarem zgładzenia monarchy. Król zdołał jednak się wymknąć

i zbiec do paryskiej Temple, gdzie znalazł schronienie u templariuszy. Wtedy to po raz pierwszy ujrzał na własne oczy bogactwo zakonu. Po latach, kiedy desperacko potrzebował funduszy, wymyślił plan oskarżenia tego bractwa o herezję. Pamiętajcie, że wszystko, co należało do heretyków, stawało się własnością państwa. Po aresztowaniach w tysiąc trzysta siódmym roku Filip przekonał się jednak, iż nie tylko skarbiec w Paryżu, ale także każdy inny skarbiec templariuszy w całej Francji jest pusty. Nie znalazł nawet złamanego talara z legendarnego skarbu Ubogich Braci Chrystusa.

– Lars Nelle doszedł do przekonania, iż skarb ukryty jest w Rennes-le-Château? – zapytał Malone.

– Niekoniecznie tam, ale gdzieś w Langwedocji – odparł Thorvaldsen. – Istnieje dostatecznie dużo poszlak, które zdają się uzasadniać taki wniosek. Ale templariusze postarali się, żeby dotarcie do miejsca ukrycia skarbu było trudne.

– Cóż jednak książka, którą kupiłeś dzisiaj na aukcji, ma wspólnego z tym wszystkim? – chciał jeszcze wiedzieć Malone.

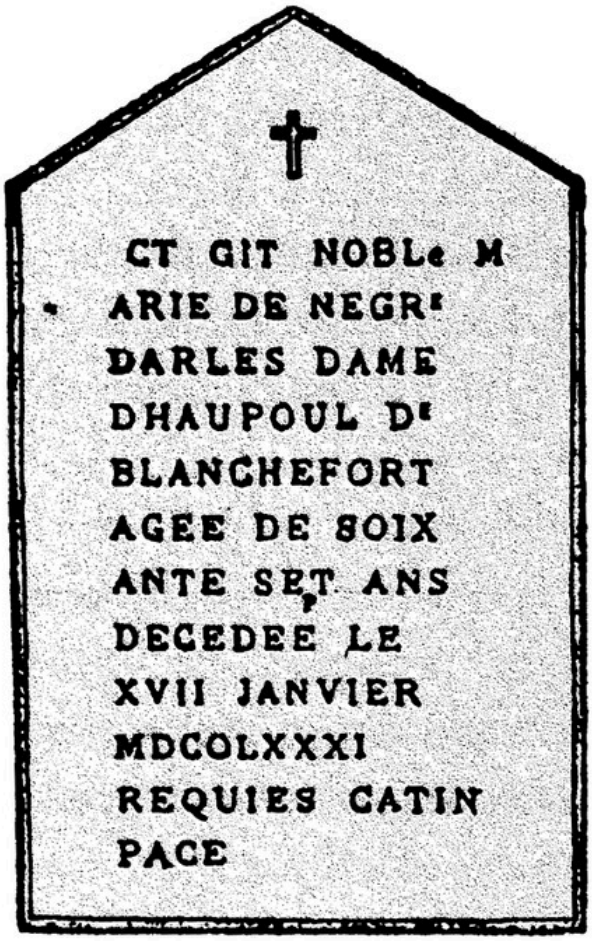
– Eugène Stüblein piastował urząd burmistrza Fa, miasteczka położonego nieopodal Rennes. Był osobą wykształconą, muzykiem i astronomem amatorem. Jako pierwszy napisał przewodnik turystyczny po regionie, a później spod jego ręki wyszło dzieło *Pierres Gravées du Langvedoc*, „Inskrypcje nagrobne w Langwedocji”. Był to dosyć nietypowy tom, opisujący kamienie nagrobne znajdujące się w Rennes oraz w jego okolicach. Temat wypada uznać za dosyć osobliwy, ale całkiem popularny; południe Francji słynie z unikatowych płyt i kamieni nagrobnych. W książce znajduje się rysunek nagrobka, który przyciągnął uwagę Stübleina. Rysunek ten jest bardzo ważny, ponieważ owe kamienie nagrobne już nie istnieją.

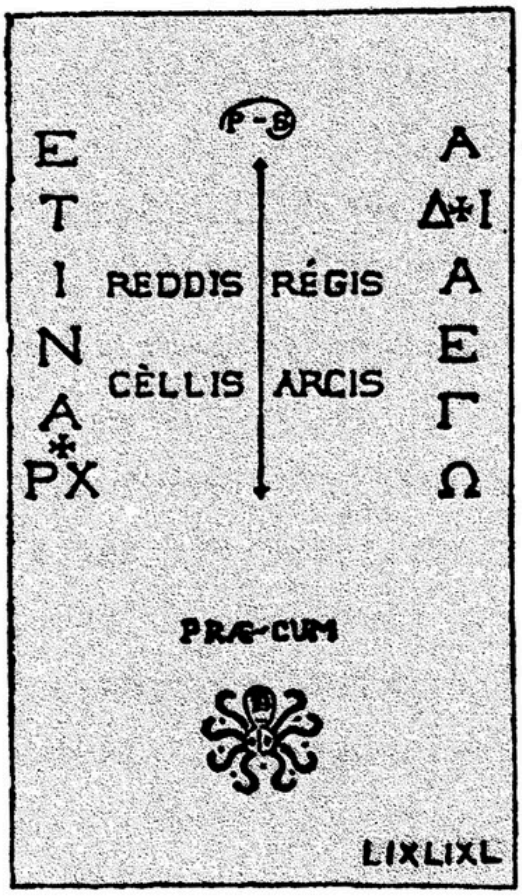
– Czy mogę zobaczyć to, o czym mówisz? – zapytał Malone.

Thorvaldsen wstał z krzesła i poczłapał w stronę małego stolika. Wrócił do stołu z książką zakupioną na aukcji.

– Dostarczono ją przed godziną.

Malone otworzył wolumin na zaznaczonej stronie i przyjrzał się badawczo rysunkom.





– Zakładając, że rysunek Stübleina jest precyzyjny, Lars uznał, że kamienie nagrobne stanowią klucz wskazujący drogę do skarbu. Pani mąż poszukiwał tej księgi przez wiele lat. Jedna powinna znajdować się w Paryżu, ponieważ Bibliotèque Nationale przechowuje egzemplarz każdej publikacji wydanej we Francji. Jednak, chociaż pozycja ta figurowała w bibliotecznym katalogu, okazało się, że zaginęła.

– Czy Lars był jedyną osobą, która wiedziała o istnieniu tego egzemplarza? – zapytał Malone.

– Nie mam pojęcia; dominowało przekonanie, że ta książka nie istnieje.

– Gdzie się odnalazł ten egzemplarz?

– Rozmawiałem z ludźmi z domu aukcyjnego. Pewien inżynier kolejarz, który budował linię kolejową z Carcassonne na południe w stronę Pirenejów, posiadał jeden egzemplarz. Inżynier przeszedł na emeryturę w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, a w tysiąc dziewięćset

czterdziestym szóstym zmarł. Książka znajdowała się wśród rzeczy jego córki, która ostatnio także opuściła ziemski padół. Wnuk kolejarza wystawił ten tom na aukcję. Kolejarz interesował się Langwedocją, a w szczególności Rennes, i sam dysponował własnym spisem inwentarzowym inskrypcji nagrobnych.

Malone nie był usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem.

– Kto zatem powiadomił Stephanie o aukcji?

– Cóż, dochodzimy do pytania wieczoru – odparł Thorvaldsen.

Malone spojrzał na byłą szefową.

– W hotelu wspomniałaś o liście, który przyszedł razem z dziennikiem. Masz go przy sobie?

Sięgnęła od torebki i wyciągnęła z niej nadgryziony zębem czasu skórzany notes. Między strony wsunięta była złożona kartka jasnobrązowego papieru. Przekazała kartkę Malone'owi, a on przeczytał jej treść.

W dniu 22 czerwca w Roskilde wystawiona zostanie na sprzedaż na aukcji książka Pierres Gravées du Langvedoc. Pani mąż poszukiwał tego dzieła. Teraz nadarza się okazja, by Pani zakończyła z powodzeniem to, co jemu się nie udało. Le bon Dieu soit loué.

Malone przetłumaczył w myślach ostatnie zdanie ostatniej linijki. „Bogu niech będą dzięki". Spojrzał nad stołem na Stephanie.

– Twoim zdaniem, kto mógł być nadawcą listu?

– Jeden z towarzyszy Larsa. Pomyślałam sobie, że któryś z jego kolegów pragnął, żeby jego dziennik znalazł się w moich rękach, i sądził, że będę zainteresowana tą książką.

– Po jedenastu latach? – zapytał.

– Przyznaję, że to wydaje się dziwne, ale nie przywiązywałam do tego zbytniej wagi. Jak wcześniej powiedziałam, zawsze uważałam badania Larsa za niegroźną fanaberię.

– Dlaczego więc pani tu przyjechała? – zdziwił się Thorvaldsen.

– Jak pan powiedział, Henrik, miałam wyrzuty sumienia.

– A ja nie mam zamiaru ich pogłębiać. Nie znam pani, ale znałem Larsa. Był dobrym człowiekiem, a jego poszukiwania trafnie pani określiła jako niegroźną fanaberię. Mimo wszystko były jednak ważne. Jego śmierć

bardzo mnie przygnębiła. Zadawałem sobie pytanie, czy było to samobójstwo.

– Podobnie jak ja – przyznała szeptem. – Zwalałam winę na wszystkich, chcąc jakoś uzasadnić to, co się stało, ale nigdy nie pogodziłam się z faktem, że Lars popełnił samobójstwo.

– To najbardziej właśnie wyjaśnia fakt, dlaczego znalazła się pani tutaj – stwierdził Duńczyk.

Malone wiedział, że jego eks-szefowa przeżywa trudne chwile, skierował zatem jej uwagę w inną stronę.

– Czy mogę zobaczyć dziennik?

Podała mu notes, on zaś zaczął wertować blisko sto kartek. Jego oczom ukazały się liczby, symbole i odręczne szkice. Następnie obejrzał bibliofilskim okiem obwolutę, która przyciągnęła jego uwagę.

– Brakuje tu kilku kilku kartek.

– Co masz na myśli?

Pokazał jej grzbiet książki.

– Spójrz tu. Widzisz te niewielkie przestrzenie?

Otworzył okładkę. W miejscu, gdzie łączyły się z nią kartki, widniał tylko wąski paseczek papieru.

– Ktoś odciął to żyletką. Nieraz już widziałem coś takiego. Nic tak nie niszczy wartości książki jak brakujące kartki – dodał Malone.

Raz jeszcze obejrzał dziennik ze wszystkich stron i uznał, że brakuje ośmiu kartek.

– W ogóle tego nie zauważyłam – powiedziała Stephanie.

– Wiele rzeczy uszło twojej uwagi.

Na jej twarzy pojawił się gorączkowy rumieniec.

– Dobrze, przyznam, że spieprzyłam sprawę.

– Cotton – odezwał się Thorvaldsen. – Całe to przedsięwzięcie może oznaczać dużo więcej. Archiwa templariuszy mogą stanowić część poszukiwanego skarbu. Początkowo biblioteka zakonu znajdowała się w Jerozolimie, potem została przeniesiona do Akki, a w końcu przewieziono ją na Cypr. Zdaniem historyków po tysiąc trzysta dwunastym roku dokumenty templariuszy przeszły w ręce zakonu joannitów. Brakuje jednak dowodów, które by to potwierdzały. Od tysiąc trzysta siódmego do tysiąc trzysta czternastego roku Filip IV poszukiwał tych archiwów, lecz niczego nie znalazł. Wielu twierdzi, że stanowiły one największy

średniowieczny księgozbiór świata. Wyobraźcie sobie, co oznaczałoby odnalezienie tych ksiąg.

– Byłoby to największe tego rodzaju odkrycie w historii!

– Manuskrypty, których nie widział nikt od czternastego stulecia, wiele z pewnością zupełnie nam nieznanych. Perspektywa odkrycia takich zbiorów, chociaż mało prawdopodobna, jest jednak warta podjęcia poszukiwań.

Malone zgodził się z tym stwierdzeniem.

Thorvaldsen zwrócił się do Stephanie:

– Może zawarlibyśmy rozejm. Przez wzgląd na Larsa. Jestem pewien, że pani agencja współpracuje z wieloma „podejrzanymi osobami" dla osiągnięcia obopólnych korzyści. Dojdziemy do porozumienia?

– Chciałabym zobaczyć listy napisane przez pana i Larsa.

Starszy pan skinął głową na znak zgody.

– Może je pani otrzymać.

Spojrzenia Stephanie i Malone'a spotkały się.

– Masz rację, Cotton, będzie mi potrzebna pomoc. Przykro mi z powodu mojego wcześniejszego niezbyt miłego zachowania. Sądziłam jednak, że muszę to zrobić sama. Ale teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi na dobre i na złe. Pojedźmy zatem do Francji i przekonajmy się, co znajdziemy w domu Larsa. Nie byłam tam od dawna. Jest też kilku ludzi w Rennes-le-Château, z którymi możemy porozmawiać. Ludzi, którzy pracowali razem z Larsem. Potem postanowimy, co dalej.

– Ci faceci, którzy cię śledzą, mogą również zjawić się i tam – zasugerował Malone.

Uśmiechnęła się.

– No to mam szczęście, że jesteś przy mnie.

– Ja również chciałbym pojechać – odezwał się Thorvaldsen.

Malone był tym zaskoczony. Henrik rzadko kiedy opuszczał Danię.

– Czemuż to mamy zawdzięczać zaszczyt twojego towarzystwa?

– Wiem co nieco na temat tego, czego poszukiwał Lars. Wiedza ta może okazać się przydatna.

Malone wzruszył ramionami.

– Nie widzę przeciwwskazań.

– W porządku, Henrik – zgodziła się Stephanie. – W ten sposób zyskamy czas, by się lepiej poznać. Najwidoczniej, jak to ująłeś, muszę poznać

prawdę o paru rzeczach.

– Podobnie jak my wszyscy, Stephanie. Jak my wszyscy.



De Roquefort starał się pohamować ogarniającą go euforię. Jego podejrzenia się potwierdziły. Stephanie Nelle ruszyła na szlak, który przetarł jej mąż. W jej rękach znajdował się teraz dziennik Larsa, a także egzemplarz *Pierres gravées du Langvedoc*. Być może jedyny egzemplarz, jaki się zachował. De Roquefort miał też rację co do Larsa Nelle. Był naprawdę dobry. Zbyt dobry. Wdowa po nim podjęła pozostawione przez niego ślady. Francuz popełnił błąd, obdarzając zaufaniem Petera Hansena. Lecz wcześniej takie podejście wydawało się właściwe. Zresztą nie popełni ponownie podobnego błędu. Stawka była zbyt wysoka, by w jakimkolwiek aspekcie zaufać komukolwiek obcemu.

Dalej słuchał, kiedy uzgadniali, co będą robić w Rennes-le-Château. Malone i Stephanie wybierali się tam jutro. Thorvaldsen miał dołączyć do nich za kilka dni. Kiedy de Roquefort usłyszał dostatecznie dużo, odczepił przyssawkę od okna i wraz z dwoma akolitami oddalił się w kierunku bezpiecznej kępy drzew.

Tej nocy nie będzie więcej zabójstw.

W dzienniku brakuje kilku kartek.

Informacje z brakujących stron notesu Larsa Nelle mogły być rozstrzygające. Ten, kto wysłał wdowie dziennik, okazał się przebiegły. Spodziewany podział łupów wykluczał pochopne działania. Niewątpliwie zagadka zawierała więcej elementów, niż de Roquefort do tej pory sądził – on zaś pospiesznie zabrał się za nadrabianie zaległości.

Ale to bez znaczenia. Kiedy już wszyscy gracze znajdą się we Francji, będzie mógł się nimi zająć.

CZĘŚĆ
DRUGA

PIĘTNAŚCIE

OPACTWO DES FONTAINES
8.00

Seneszal stał przed ołtarzem i patrzył na dębową trumnę. Bracia zakonni wchodzili do kaplicy, szli w uroczystym porządku, monotonnie śpiewając zgodnymi, donośnymi głosami. Melodia była pradawna; śpiewano ją na pogrzebie każdego wielkiego mistrza, od samych Początków. Łacińskie słowa mówiły o stracie, cierpieniu, żalu i bólu. Dyskusje rozgorzeją później, kiedy zbierze się konklawe, które zdecyduje o wyborze następcy. Reguła była w tym względzie jednoznaczna. Wielkiego mistrza trzeba wybrać przed drugim zachodem słońca, on zaś jako seneszal musiał dopilnować przestrzegania jej postanowień.

Patrzył, jak orszak wchodzi do kaplicy i ustawia się przed lśniącymi dębowymi ławkami. Rycerze mieli na sobie proste rdzawe habity, głowy skrywali w kapturach, jedynie dłonie złożone do modlitwy wystawione były na widok.

Kościół zbudowano na planie krzyża łacińskiego, z jedną nawą główną i dwiema bocznymi. W skromnym wystroju wnętrza nic nie odciągało myśli od zgłębiania niebiańskich tajemnic, niemniej jednak budowla miała charakter majestatyczny, a z kolumn i kapiteli emanowała niezwykła energia. Po raz pierwszy bracia zebrali się tu po Czystce w 1307 roku – ci, którym udało się umknąć z sieci zarzuconej przez Filipa IV i którzy zdołali zbiec na wieś, a potem potajemnie przedostać się na południe Francji. W końcu zgromadzili się tutaj, bezpieczni za murami górskiej fortecy, w szeregach religijnego bractwa, sporządzając plany, ślubując przestrzegać zobowiązań i zawsze pamiętając.

Seneszal zamknął oczy i pozwolił, by jego duszę wypełniła muzyka. Nie towarzyszyły jej żadne instrumenty, nawet organy – nic. Same ludzkie głosy, nabrzmiewające i ożywcze. Czerpał z nich siłę i gotował się na to, co czekało go w najbliższych godzinach.

Śpiew ustał. Seneszal odczekał chwilę w ciszy, potem podszedł do trumny.

– Nasz najwyższy i pobożny mistrz opuścił ziemski padół. Władał naszym zakonem mądrze i sprawiedliwie, przez dwadzieścia osiem lat wypełniając nakazy Reguły. Teraz zasłużył na miejsce w kronikach.

Jeden z braci zsunął kaptur z głowy.

– Temu się sprzeciwiam.

Seneszal poczuł, jak wstrząsa nim dreszcz. Reguła gwarantowała każdemu z braci prawo do wniesienia sprzeciwu. Spodziewał się starcia nieco później, podczas konklawe, ale nie teraz, w trakcie uroczystości żałobnych. Obrócił się ku pierwszemu rzędowi ławek i spojrzał na brata, który przemówił.

Raymond de Roquefort.

Krępy mężczyzna o twarzy pozbawionej wyrazu, o osobowości, wobec której seneszal był zawsze nieufny. Przebywał w zakonie od trzydziestu lat i dosłużył się rangi marszałka, trzeciej w zakonnej hierarchii. W Początkach, przed wiekami, marszałek pełnił funkcję wojskowego dowódcy zakonu i prowadził rycerzy do boju. Obecnie był szefem zakonnej służby bezpieczenstwa, a jego zadaniem była dbałość o nietykalność zgromadzenia. De Roqoufort piastował ten urząd od blisko dwudziestu lat. On oraz podlegający mu bracia mogli wchodzić na teren opactwa i opuszczać go, kiedy chcieli. Musieli tylko meldować o tym wielkiemu mistrzowi. Marszałek od dawna nie czynił tajemnicy z faktu, że darzy pogardą zwierzchnika.

– Wyjaśnij swój sprzeciw – rzekł seneszal.

– Nasz zmarły mistrz przyczynił się do osłabienia zakonu. Jego działaniom brakowało odwagi. Nadszedł czas, by podążyć w innym kierunku.

W słowach de Roqueforta nie dało się wyczuć choćby odrobiny emocji, a seneszal wiedział, że marszałek potrafi ukryć zło pod elokwentnymi frazami. De Roqufeort był fanatykiem. Ludzie jego pokroju utrzymywali przez stulecia siłę tego zakonu, ale mistrz wiele razy podkreślał, że ich przydatność stopniowo zanika. Inni nie zgadzali się z tą opinią i w rezultacie w szeregach bractwa uformowały się dwie frakcje – na czele jednej stał de Roquefort, drugiej natomiast przewodził wielki mistrz.

Większość braci ukrywała, po której stoi stronie, co było zresztą typowe dla zakonu. Ale interregnum było czasem otwartej debaty. Teraz zakonna brać miała zdecydować, w którym kierunku podąży.

– Czy to wszystkie twoje zarzuty? – seneszal postawił kolejne pytanie.

– Zbyt długo bracia byli wykluczani z procesu podejmowania decyzji. Dotąd niczego z nami nie konsultowano ani też nie wdrożono żadnej rady, którą przedłożyliśmy.

– To nie jest demokracja – oznajmił seneszal.

– Nawet bym tego nie chciał, ale nasze bractwo powstało na gruncie wspólnych potrzeb i wspólnych zadań. Każdy z nas złożył przysięgę, że poświęci swoje życie i swoje dobra. Nie zasługujemy na to, by nas ignorowano.

Wyrachowany de Roquefort liczył na tani efekt. Seneszal zauważył, że nikt z braci nie podważył zasadności sprzeciwu oraz że świętość kaplicy, niezakłócona od dawna, wydaje się teraz zbrukana. Miał wrażenie, że otaczają go ludzie o odmiennych poglądach i celach. W głowie kołatało mu się tylko jedno słowo.

Rewolta.

– Cóż więc chcesz, żebyśmy uczynili? – zapytał.

– Nasz mistrz nie zasługuje na zwyczajowy szacunek.

Seneszal stał jak skamieniały i zadał wymagane procedurą pytanie:

– Żądasz więc głosowania?

– Tak, żądam.

Reguła nakazywała przeprowadzenie głosowania, jeśli padł taki wniosek, na każdy temat poruszony w czasie interregnum. Gdy zabrakło wielkiego mistrza, rządziła zakonna zbiorowość. Seneszal zwrócił się więc do pozostałych braci, których twarzy nie mógł dostrzec.

– Niech podniosą ręce ci, których zdaniem wielkiemu mistrzowi nie przysługuje prawo umieszczenia w kronikach.

Wiele rąk podniosło się w górę natychmiast. Niektórzy się wahali. Dał im pełne dwie minuty na podjęcie decyzji, bo tego wymagała Reguła. Potem policzył.

Dwieście dziewięćdziesiąt jeden rąk wzniesionych ku niebu.

– Więcej niż wymagane siedemdziesiąt procent głosów popierających sprzeciw – ogłosił, starając się powściągnąć gniew. – Naszemu mistrzowi odmówiono prawa zaszczytnego wpisu w kronikach.

Nie mógł uwierzyć, że słowa te padają z jego ust. Niech stary przyjaciel mu wybaczy! Seneszal odszedł kilka kroków od trumny, w stronę ołtarza.

– Ponieważ nie okazaliście szacunku naszemu zmarłemu przywódcy, możecie odejść. Ci, którzy zechcą uczestniczyć w ceremonii żałobnej, niech dołączą do mnie za godzinę w Sali Ojców.

Bracia wychodzili gęsiego w milczeniu, aż pozostał tylko de Roquefort. Marszałek podszedł do trumny. Z jego surowej twarzy przebijała pewność siebie.

– Taką cenę płaci się za tchórzostwo.

Nie było potrzeby dłużej zachowywać pozorów.

– Pożałujesz tego, co uczyniłeś przed chwilą.

– Uczeń uważa siebie za mistrza? Oczekuję z niecierpliwością konklawe.

– Zniszczysz nas.

– Wskrzeszę nas! Świat musi poznać prawdę. Wszystko to, co działo się przez stulecia, było błędem. Teraz nadszedł czas, by ten błąd naprawić.

Seneszal w głębi ducha zgadzał się z tym wnioskiem, lecz chodziło mu o inny aspekt.

– Nie trzeba było profanować pamięci dobrego człowieka.

– Dobrego dla kogo? Mnie traktował z pogardą.

– Nie zasługiwałeś na nic więcej.

Na bladej twarzy de Roqueforta pojawił się ponury uśmiech.

– Twój protektor opuścił ziemski padół. Teraz zostaliśmy tylko ty i ja.

– Nie mogę doczekać się bitwy.

– Podobnie jak ja – odparł marszałek i po chwili dodał: – Jedna trzecia braci mnie nie popiera, zostawiam więc ciebie i ich, byście mogli pożegnać się ze zmarłym mistrzem.

Obrócił się i dziarskim krokiem wyszedł z kaplicy. Seneszal odczekał, aż drzwi się zamkną, potem położył drżące dłonie na trumnie. Sieć nienawiści, zdrady i fanatyzmu zamykała się nad jego głową. Przypomniał sobie własne słowa wypowiedziane poprzedniego dnia.

„Szanuję siłę naszych przeciwników”.

Przed chwilą starł się ze swoim przeciwnikiem i przegrał.

Nie najlepiej to wróżyło wydarzeniom kilku najbliższych godzin.

SZESNAŚCIE

RENNES-LE-CHÂTEAU, FRANCJA
11.30

Malone zjechał wynajętym autem z głównej autostrady na wschód, tuż za miejscowością Couiza, i powoli zaczął się wspinać krętym szlakiem po zboczu. Przed nim roztaczały się przepiękne widoki na pobliskie wzgórza porośnięte czystkiem, lawendą i tymiankiem. W oddali wyłaniały się strzeliste ruiny fortecy, której zwęglone ściany przypominały rozcapierzone palce. Kraina ta, jak okiem sięgnąć, emanowała romantyzmem dawnych czasów, kiedy to grasujący rycerze jak orły spadali z ufortyfikowanych wzgórz na przeciwników.

Razem ze Stephanie opuścili Kopenhagę około czwartej nad ranem i przylecieli do Paryża, skąd złapali pierwszy samolot rejsowy Air France na południe, do Tuluzy. Godzinę później byli już na ziemi i jechali samochodem w kierunku południowo-zachodnim, do Langwedocji.

Po drodze Stephanie opowiedziała Malone'owi o osadzie znajdującej się na wysokości pięciuset metrów na szczycie smętnego wzniesienia, na którego zbocza właśnie się wspinali. Pierwsi osiedlili się na szczycie góry Galowie, przyciągnięci perspektywą zyskania widoku ciągnącego się na całe kilometry wzdłuż rozległej doliny rzeki Aude. Ale to Wizygoci w piątym stuleciu naszej ery zbudowali tu cytadelę, przyjęli dawną nazwę tej osady: Rhedae – która oznaczała rydwany – i stopniowo przekształcili to miejsce w ośrodek wymiany handlowej. Dwieście lat później, kiedy Wizygotów przepędzono dalej na południe, do Hiszpanii, Frankowie przemienili Rhedae w królewskie miasto. Do XIII wieku wszakże ranga miasta obniżyła się, a pod koniec krucjaty przeciw albigensom zostało ono niemal zmiecione z powierzchni ziemi. Ziemie te należały kolejno do kilku zamożnych rodów, to francuskich, to hiszpańskich, a ostatecznie znalazły się w rękach jednego z ludzi Szymona de Montfort. Człowiek ów założył tu baronię, jego rodzina zbudowała warowny zamek, wokół którego powstała

niewielka osada, której nazwa zmieniła się w końcu z Rhedae na Rennes-le-Château. Potomkowie tego rodu rządzili regionem aż do roku 1871, kiedy to zmarła ostatnia z nich, Marie d'Hautpoul de Blanchefort.

– Przed swoją śmiercią, jak mówiono, przekazała wielką tajemnicę – kontynuowała opowieść Stephanie. – Tajemnicę, której rodzina strzegła przez stulecia. Marie nie dochowała się dzieci, a jej mąż opuścił ziemski padół przed nią, nie było więc nikogo z rodu, komu mogłaby powierzyć sekret, i przekazała go swojemu spowiednikowi, księdzu Antoine'owi de Bigoue, proboszczowi w Rennes.

Teraz, gdy Malone spoglądał przed siebie na ostatnie zakręty wąskiej drogi, wyobrażał sobie, jak musiało się tu kiedyś żyć, w miejscu tak odległym od świata. Odosobnione kotliny stanowiły idealne schronienie dla uciekinierów i niezmordowanych pielgrzymów. Nie dziwił więc fakt, że region ten stał się ulubionym terenem dla wyobraźni, mekką dla maniaków tajemnic i wyznawców New Age, oraz miejscem, gdzie pisarze o unikatowych wizjach mogli dorabiać się reputacji.

Tak jak Lars Nelle.

Malone zobaczył przed sobą miasteczko. Zwolnił i przejechał powoli przez bramę wjazdową, obramowaną kolumnami z piaskowca. Dostrzegł też tablicę z napisem: „FOUILES INTERDITES". „Prace wykopaliskowe zabronione".

– Czy muszą stawiać tablice zabraniające kopania w ziemi? – zapytał.

Stephanie przytaknęła.

– Całe lata temu ludzie kopali tu w każdym zakątku miasteczka, szukając skarbów. Niektórzy nawet posługiwali się dynamitem. Sprawa wymagała pilnego prawnego uregulowania.

Za bramą miasteczka dzień przechodził powoli w zmierzch. Domy z piaskowca były usytuowane blisko siebie, niemal jak książki na półce; wiele z nich miało strzeliste dachy, solidne drzwi oraz nagryzione rdzą i zębem czasu żelazne werandy. Wąska i kręta brukowana główna ulica pięła się zakolami w górę po krótkim stoku. Po każdej stronie murów miasteczka wałęsali się ludzie z plecakami i przewodnikami Michelin Green, przechadzając się pojedynczo tam i z powrotem. Malone dostrzegł kilka sklepów, księgarnię oraz restaurację. Od głównej ulicy odchodziły wąskie uliczki, przy których usadowiły się niezbyt liczne domy mieszkalne. Aby przejść całą osadę, wystarczyło pokonać pięćset metrów.

– Na stałe mieszka tu około setki ludzi – wyjaśniła Stephanie. – Chociaż liczba turystów w ciągu roku przekracza pięćdziesiąt tysięcy.

– A zatem Lars zdziałał rzeczywiście wiele.

– Więcej niż kiedykolwiek przyszło mi do głowy.

Wskazała przed siebie i poleciła Malone'owi skręcić w lewo. Minęli kilka kiosków z różańcami, medalionami, obrazkami oraz suwenirami dla turystów uzbrojonych w aparaty fotograficzne.

– Przyjeżdżają tutaj całymi autokarami – kontynuowała. – Pragną uwierzyć w to, co niemożliwe.

Podjechał pod kolejne wzniesienie i w końcu zatrzymał pegueota na piaszczystym parkingu. Stały tu już dwa autokary, a ich kierowcy przechadzali się, paląc papierosy. Po jednej stronie wznosiła się wieża ciśnień, której zwietrzałe kamienne ściany ozdobione były znakami zodiaku.

– Tłumy zjawiają się tutaj wcześnie – podjęła Stephanie, gdy wysiedli z auta. – Tu widzisz *domaine d'Abbé Saunière*. To posiadłość księdza, zbudowana dzięki tajemniczemu skarbowi, który podobno znalazł.

Malone podszedł do skalnego murku sięgającego mu do pasa. Poniżej na wiele kilometrów ciągnęły się pola, lasy, kotliny i góry. Na zboczach srebrzysto-zielonych wzgórz rosły kępy drzew orzecha włoskiego. Malone spróbował się zorientować, gdzie się dokładnie znajduje. Wielki masyw pokrytych śniegiem szczytów Pirenejów przesłaniał horyzont od strony południowej. Gwałtowny wiatr zaciągał od zachodu, dzięki Bogu ogrzany promieniami letniego słońca.

Spojrzał w prawo. Jakieś trzydzieści metrów przed nim wznosiła się neogotycka wieża, której zwieńczony blankami dach i zaokrąglona iglica miały tyle uroku, że ozdabiano jej wizerunkiem liczne książki i turystyczne broszurki. Stała na skraju urwiska, ponura i niepokorna, najwyraźniej połączona ze skałami. Z jej drugiej strony rozciągał się długi belweder i łukiem dochodził do szklarni o żelaznej konstrukcji, a później biegł ku grupie starych kamiennych budynków, zwieńczonych dachem z pomarańczowej dachówki. Ludzie chodzili tam i z powrotem po szańcach, z kamerami i aparatami w dłoniach, podziwiając panoramę rozciągającą się poniżej.

– Wieża nosi nazwę Magdala. Prawda, że prezentuje się niesamowicie? – odezwała się Stephanie.

– Wydaje się, że nie pasuje do tego miejsca.

– Ja również tak uważałam.

Po prawej stronie Magdali rozciągał się ozdobny ogród, prowadzący do niedużego renesansowego budynku, który również sprawiał wrażenie niepasującego do całości.

– Willa Betania – wyjaśniła Stephanie. – Ją również zbudował Saunière.

Malone zwrócił uwagę na nazwę „Betania”.

– To z Biblii. Z Ziemi Świętej. Oznacza „dom, w którym znajdziesz odpowiedź”.

Kobieta skinęła głową.

– Saunière miał głowę do nazw – skomentowała i wskazała na budynki położone dalej. – Dom Larsa znajduje się przy końcu tej uliczki. Zanim tam dojdziemy, muszę jeszcze coś zrobić. Po drodze opowiem ci o tym, co wydarzyło się tu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiatym pierwszym roku, o tym, co przeczytałam w zeszłym tygodniu i co sprawiło, że to miejsce wyszło z zapomnienia.

Ojciec Bérenger Saunière rozważał ogrom zadania, które przed nim stało. Kościół pod wezwaniem św. Marii Magdaleny wzniesiono na ruinach budowli Wizygotów i ukończono w 1059 roku. Teraz, po upływie ośmiuset lat, wszystko obróciło się w ruinę, głównie na skutek katastrofalnego stanu dachu, który przeciekał tak, że równie dobrze mogłoby go nie być. Ściany również były popękane, a fundamenty się osuwały. Naprawa wszystkich uszkodzeń wymagała zarówno cierpliwości, jak i wytrwałości, ale on postanowił podjąć się tego wyzwania.

Był mężczyzną silnie zbudowanym, muskularnym, szerokim w barach, z krótko obciętymi czarnymi włosami. Urokliwym elementem jego twarzy, który wykorzystywał często z pożytkiem, był dołek w brodzie. Dołek dodawał odrobiny niefrasobliwości ponuremu obliczu, w którym dominowały czarne oczy oraz krzaczaste brwi.

Ksiądz urodził się i wychował zaledwie o kilka kilometrów stąd, w wiosce Montazels. Świetnie się orientował w geografii regionu Corbieres, masywu górsko-wyżynnego w Pirenejach. Rennes-le-Château znał od dzieciństwa. Znajdujący się tam kościół pod

wezwaniem św. Marii Magdaleny wykorzystywano jedynie w ograniczonym zakresie; Saunière nigdy też nie wyobrażał sobie, że któregoś dnia problemy związane z sakralną budowlą staną się jego własnymi.

– Niezły bałagan – odezwał się do księdza mężczyzna znany mu jako Rousset.

Proboszcz spojrzał na mularza.

– Podzielam to zdanie.

Inny z mularzy, nazwiskiem Babou, zajmował się stawianiem podpór przy ścianach. Miejscowy nadzorca budowlany zalecił ostatnio rozbiórkę zabytkowej budowli, ale Saunière nie zamierzał do tego dopuścić. Coś w tym starym kościółku domagało się zachowania.

– Dokończenie remontu będzie wymagało dużych pieniędzy – odezwał się Rousset.

– Ogromnych pieniędzy – odparł proboszcz, uśmiechając się i dając tym samym do zrozumienia, że pojmuje skalę wyzwania. – Ale sprawimy, że ta budowla będzie godna obecności Boga.

Nie pochwalił się jednak wtedy, że zdołał zgromadzić całkiem poważne fundusze. Zapis, który otrzymał od poprzednika, opiewał na sześćset franków przeznaczonych specjalnie na remont. Zdołał też przekonać osadę do udzielenia mu pożyczki na kwotę tysiąca czterystu franków. Ale najważniejsze swoje zasoby finansowe posiadał w sekrecie od pięciu lat. Od hrabiny Chambord, wdowie po Henryku, ostatnim z Burbonów, wnoszącym roszczenia do nieistniejącego już francuskiego tronu, otrzymał zapis w wysokości trzech tysięcy franków. W tamtym czasie Saunière zdołał ściągnąć na siebie uwagę dzięki wyraziście antyrepublikańskim kazaniom, które rozbudzały wśród jego parafian monarchistyczne nastroje. Kiedy wieści o poglądach głoszonych przez proboszcza dotarły do władz, te wstrzymały jego roczną pensję i zażądały zwolnienia go. Biskup ograniczył się jedynie do zawieszania Saunière'a na dziewięć miesięcy, a działalność księdza wzbudziła zainteresowanie hrabiny, która nawiązała z nim kontakt przez pośrednika.

– W którym miejscu zaczniemy? – zapytał Rousset.

Proboszcz wcześniej zastanawiał się nad tą kwestią, i to długo. Witraże zdołano już odnowić, podobnie jak portyk przed głównym wejściem, który miał być wkrótce ukończony. Z pewnością północna ściana, przy której pracował teraz Babou, wymagała wzmocnienia; należało też postawić nową ambonę oraz wymienić dach. Tylko Saunière wiedział, gdzie należy rozpocząć.

– Rozpoczniemy od ołtarza.

Na twarzy Rousseta pojawił się wyraz zdziwienia.

– Dla ludzi jest najważniejszy – stwierdził ksiądz.

– Skoro tak twierdzisz, ojcze.

Saunière'owi schlebiał szacunek, który okazywali mu starsi wiekiem parafianie, choć liczył sobie zaledwie trzydzieści siedem lat. W ciągu minionych pięciu lat proboszcz zdążył polubić Rennes. Do domu miał niedaleko, często mógł się oddawać studiom nad Pismem Świętym, a także doskonaleniu znajomości łaciny, greki oraz języka hebrajskiego. Mógł też czerpać radość z wypadów w góry, łowienia ryb oraz polowania. Teraz jednak nadeszła pora na bardziej konstruktywne zajęcia i przedsięwzięcia.

Podszedł do ołtarza. W blacie z białego marmuru woda skapująca przez stulecia z nieszczelnego sufitu wyżłobiła liczne rowki. Płyta wspierała się na dwóch kolumnach, zdobionych krzyżami Wizygotów oraz greckimi literami.

– Musimy wymienić płytę ołtarza oraz kolumny – zadecydował ksiądz.

– Jakim sposobem, ojcze? – zdumiał się Rousset. – Nie damy rady podnieść tej płyty.

Saunière wskazał na miejsce, gdzie stał Babou.

– Użyjcie dwuręcznego młota. Nie ma co silić się na delikatność.

Babou przytaszczył ciężki młot i ocenił zadanie. Następnie podniósł narzędzie i z wielkim zamachem uderzył w środek płyty ołtarza. Blat popękał, ale kamień się nie poddał.

– Płyta jest solidna – ocenił Babou.

– Jeszcze raz! – zachęcił Saunière z zapałem.

Kolejne uderzenie i wapienna płyta zadrżała, następnie jej połówki upadły pomiędzy dwa wciąż stojące i nienaruszone filary.

– Dokończ robotę – polecił ksiądz.

Dwa odłamy zostały wkrótce pokruszone na wiele mniejszych.

Babou pochylił się.

– A teraz wynieśmy to wszystko na zewnątrz.

– Zajmiemy się tym, ojcze – rzekł Babou, odkładając na bok ciężki młot. – Niech ksiądz tylko ustawi je nam na stosie.

Mularze podnieśli duże odłamy i podeszli do drzwi kościółka.

– Zanieście je na cmentarz i zwalcie na ziemię. Później je do czegoś wykorzystamy – zawołał za nimi Saunière.

Kiedy tamci wyszli na zewnątrz, ksiądz spojrzał na obydwie kolumny, które przetrwały dzieło zniszczenia. Przetarł rękawem pełną okruchów górną powierzchnię jednego z filarów. Na drugim wciąż jeszcze leżał kawałek płyty, więc proboszcz odłożył bryłę na stos, a potem zauważył w koronie filaru płytkie zagłębienie. Wydrążona przestrzeń nie była większa od jego dłoni; z pewnością służyła do zaczopowania wierzchniej płyty. W środku otworu ksiądz zauważył jakiś odblask.

Pochylił się i ostrożnie zdmuchnął pył.

Tak, rzeczywiście coś tam było.

Szklana fiolka.

Nie była dłuższa niż jego palec wskazujący i tylko odrobinę szersza. Szyjkę zalakowano szkarłatnym woskiem. Saunière przyjrzał się fiolce dokładniej i dostrzegł w środku rulonik papieru. Zastanawiał się, jak długo ów przedmiot mógł być tu ukryty. Wiedział, że od dłuższego czasu ołtarz nie podlegał żadnym pracom remontowym. Fiolkę musiał więc ktoś tu ukryć bardzo dawno temu. Saunière ją wyciągnął.

– Od tej fiolki wszystko się zaczęło – kontynuowała Stephanie.

Malone przytaknął.

– Ja również czytałem książki Larsa, ale sądziłem, że Saunière znalazł w filarze trzy pergaminy, na których znajdowały się jakieś zaszyfrowane wiadomości.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To tylko część mitu, który inni dodali do rzeczywistej historii. Rozmawiałam o tym z Larsem. Większość tych rewelacji zrodziła się w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku w głowie właściciela restauracji

w Rennes, który chciał ożywić interes. Jedno kłamstwo bazowało na drugim. Lars nie zaakceptował tezy, jakoby te pergaminy były czymś rzeczywistym. Ich rzekoma treść została opublikowana w niezliczonych książkach, ale nikt tak naprawdę ich nie widział.

– Dlaczego więc Lars o nich pisał?

– Chciał, żeby książki dobrze się sprzedawały. Wiem, że nie dawało mu to spokoju, a jednak uczynił to. Zawsze twierdził, że bez względu na to, jaki skarb odnalazł Saunière, wydarzyło się to w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku i wiązało się z zawartością szklanego flakonika. On jeden w to wierzył – dodała, po czym wskazała na inny z kamiennych budynków. – To plebania, w której mieszkał Saunière. Teraz znajduje się w niej muzeum poświęcone jego osobie. Wystawiono tam też filar z rozbitego ołtarza z niewielkim zagłębieniem.

Minęli otoczone tłumem turystów kioski i ruszyli uliczką pokrytą kocimi łbami.

– Kościół Świętej Marii Magdaleny. – Stephanie wskazała romańską budowlę. – Kiedyś była to kaplica miejscowych hrabiów. Teraz za kilka euro można tu zobaczyć wielkie dzieło księdza Saunière’a.

– Nie aprobujesz tego?

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie aprobowałam. I na tym polega problem.

Po prawej stronie Malone zobaczył zrujnowany *château* – warownię, której mury zewnętrzne koloru gliny spłowiały od palącego słońca.

– To rezydencja rodu de Hautpoul – wyjaśniła Stephanie. – Podczas rewolucji przeszła na własność rządu i od tego czasu chyli się ku upadkowi.

Zawrócili przy końcu kościółka i przeszli pod kamienną bramą, na której widniały symbole przypominające trupią czaszkę i skrzyżowane piszczele. Malone przypomniał sobie z książki, którą przeczytał poprzedniego wieczoru, że symbol ten pojawiał się na grobach wielu templariuszy.

Ziemia za bramą pokryta była otoczakami. Malone wiedział, jak Francuzi nazywają takie miejsce. *Enclos paroissiaux*, „parafialny zaułek”. Ten wyglądał typowo: z jednej strony biegł niski mur, druga strona dochodziła do kościółka, którego wejście miało postać łuku triumfalnego. Znajdowało się tu mnóstwo płyt, nagrobków oraz pomników. Niektóre z grobów przybrane były żałobnymi wiązankami kwiatów, na wielu innych, zgodnie z francuską tradycją, umieszczono fotografie zmarłych.

Stephanie podeszła do jednego z nagrobków, na którym nie było kwiatów ani zdjęcia. Malone zostawił ją na chwilę samą. Wiedział już wcześniej, że tutejsi mieszkańcy do tego stopnia lubili Larsa Nelle, że pochowali go na parafialnym cmentarzu, który tak bardzo go fascynował. Pomnik był prosty. Widniały na nim jedynie imię i nazwisko, daty narodzin i śmierci oraz napis: „MĄŻ, OJCIEC, UCZONY”.

Malone stanął obok Stephanie.

– Nie wahali się nawet chwilę z wydaniem zgody na jego pochówek tutaj – szepnęła.

Wiedział, co ma na myśli. W poświęconej ziemi.

– Zdaniem burmistrza miasteczka w tamtym czasie, nie było dostatecznych dowodów, które potwierdzałyby, iż Lars sam odebrał sobie życie. Łączyła ich bliska przyjaźń, dlatego burmistrz pragnął, by jego przyjaciel został pochowany tutaj.

– To idealne miejsce – skomentował Malone.

Odczuwała teraz ból, nie miał co do tego wątpliwości, ale by mogła ów ból rozpoznać, musiał dotrzeć do najbardziej mrocznych zakamarków jej duszy.

– Popełniłam dużo błędów wobec Larsa – wyznała Stephanie. – Większość z nich skutkowała utratą Marka.

– Małżeństwo nie jest bajką – odparł Malone, uświadamiając sobie, że i jego małżeństwo padło ofiarą egoizmu. – Podobnie rzecz się ma z rodzicielstwem.

– Zawsze traktowałam pasję Larsa z lekceważeniem. Byłam prawnikiem, robiłam dla rządu bardzo ważne rzeczy. On zaś poszukiwał tego, co nie istnieje.

– Dlaczego więc jesteś tutaj?

Jej wzrok zatrzymał się na grobie męża.

– Zdałam sobie sprawę, że jestem mu to winna.

– A być może jesteś to winna sobie.

Odwróciła wzrok od nagrobka.

– Być może jestem to winna nam obojgu – przyznała.

Malone powstrzymał się od komentarza.

Stephanie wskazała na daleki koniec cmentarza.

– Kochanka Saunière’a jest pochowana tam.

Z książek Larsa Malone wiedział sporo na temat metresy proboszcza. Była o szesnaście lat młodsza o Saunière’a i jako osiemnastolatka rzuciła pracę modystki, by zostać gospodynią księdza. Żyła u jego boku przez następne trzydzieści jeden lat, aż do jego śmierci w 1917 roku. Wszystko, co Saunière posiadał, przepisał na kochankę, w tym ziemię oraz konta bankowe, co w rezultacie sprawiło, że władze kościelne nie mogły nawet zgłosić do tego roszczeń. Kobieta ta mieszkała potem w Rennes, nosząc żałobę i zachowując się dziwnie, jak gdyby jej kochanek wciąż żył. Umarła w 1953 roku.

– Była dziwną osobą – podjęła opowieść Stephanie. – Pewnego razu, długo po śmierci Saunière’a, oświadczyła, że to, co zostawił ksiądz, wystarczyłoby na potrzeby wszystkich mieszkańców Rennes na jakieś sto lat. Lecz sama żyła w ubóstwie aż do chwili śmierci.

– Czy ktokolwiek dowiedział się kiedykolwiek, dlaczego?

– Jedyny komentarz z jej strony brzmiał następująco: „Nie mogę tego tknąć”.

– Nie sądziłem, że tyle wiesz o tym wszystkim.

– Nie wiedziałam, aż do ostatniego tygodnia. Książki oraz dziennik zawierają sporo informacji. Lars spędził dużo czasu na rozmowach z tutejszymi mieszkańcami.

– Brzmi to jednak tak, jakby były to plotki z drugiej i trzeciej ręki.

– Co do Saunière’a jest to prawda. On nie żyje od dawna. Lecz jego gospodyni żyła tu aż do lat pięćdziesiątych, jeszcze więc w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych można było spotkać w Rennes wiele osób, które znały ją osobiście. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku sprzedała posiadłość Willa Betania niejakiemu Noëlowi Corbu. To on właśnie przemienił budowlę w hotel – to ten właściciel restauracji, o którym ci wspomniałem, ten, który rozpuścił tyle fałszywych pogłosek na temat Rennes. Gospodyni obiecała Corbu, iż wyjawi mu wielki sekret Saunière’a, ale pod koniec życia dostała wylewu i nie była już w stanie porozumiewać się ze światem.

Szli bez pośpiechu po twardej nawierzchni, a z każdym ich krokiem pod stopami zgrzytał piasek.

– Saunière był kiedyś pochowany w tym miejscu, obok niej, ale burmistrz doszedł do wniosku, że grób jest zagrożony z uwagi na poszukiwaczy skarbów – opowiadała dalej Stephanie. – Kilka lat temu

ekshumowali więc szczątki duchownego i przenieśli je do grobowca w ogrodzie. Teraz, żeby obejrzeć jego grób, trzeba zapłacić trzy euro… Zakładam, że to cena bezpieczeństwa zwłok.

Malone wyczuł sarkazm w jej słowach.

Wskazała na grób.

– Pamiętam, jak przyjechałam tu przed laty. Kiedy Lars zjawił się tu po raz pierwszy pod koniec lat sześćdziesiątych, były tu jedynie dwa zapuszczone krzyże oznaczające groby porośnięte winną latoroślą. Nikt się nimi nie opiekował. Nikt ich nie pilnował. Saunière i jego kochanka byli całkowicie zapomniani.

Żelazny łańcuch otaczał grobowiec, w betonowych wazonach stały świeże kwiaty. Malone przeczytał napis na kamiennym nagrobku, teraz ledwie czytelny.

TU SPOCZYWA BÉRENGER SAUNIÈRE
PROBOSZCZ PARAFII W RENNES-LE-CHÂTEAU
1853–1917
ZMARŁ 22 STYCZNIA 1917 ROKU W WIEKU 64 LAT

– Czytałam gdzieś, że nagrobek był zbyt kruchy, by go przenieść – kontynuowała opowieść Stephanie. – Zostawili go więc na miejscu. Dzięki temu turyści mogą zobaczyć więcej.

Malone zauważył nagrobek księżej gospodyni.

– A nią oportuniści się nie zainteresowali?

– Najwidoczniej nie, skoro zostawili ją tutaj.

– Czy ich związek nie wywołał skandalu?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nawet Saunière znalazł ten skarb, wydał niemal wszystko na miejscowe potrzeby. Przypominasz sobie wieżę ciśnień przy parkingu? To on ją wzniósł na potrzeby miasteczka. Za jego pieniędze wybrukowano również drogi, remontowano domy; udzielał pożyczek ludziom w potrzebie. Wybaczono mu więc słabości, jeśli takowe posiadał. Poza tym w tamtych czasach było rzeczą niemalże naturalną, że księża mieli gospodynie na plebaniach. A przynajmniej tak rzecz przedstawił Lars w jednej ze swoich książek.

Grupka hałaśliwych turystów wyszła zza rogu za nimi i zbliżyła się do grobu.

– Przyszli się pogapić – skomentowała Stephanie, nie kryjąc pogardy w głosie. – Zastanawiam się, czy zachowaliby się podobnie na cmentarzu u siebie, tam gdzie pochowane są osoby, które darzyli miłością?

Hałaśliwy tłumek podszedł bliżej, a przewodnik podjął opowieść poświęconą gospodyni proboszcza. Stephanie wycofała się, a Malone podążył za nią.

– Dla nich jest to jedynie turystyczna atrakcja – oznajmiła kobieta cichym głosem. – Miejsce, gdzie ksiądz Saunière odnalazł skarb i prawdopodobnie z tych funduszy wyremontował kościółek, rzekomo umieszczając w jego wnętrzu informacje wskazujące drogę do odnalezienia skarbu. Trudno w to uwierzyć, ale niemal wszyscy dają wiarę tym bredniom.

– Czyż nie tak właśnie przedstawił to Lars?

– Do pewnego stopnia. Ale pomyśl sam, Cotton. Nawet jeśli ten ksiądz znalazł skarb, to dlaczego miałby zostawić mapę, która zaprowadzi innych do tego odkrycia? Przez całe życie budował tę legendę. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł pragnąć, było to, aby ktoś dotarł do tego, co on odnalazł – pokręciła z niedowierzaniem głową. – To wszystko nadaje się doskonale na temat dla książek, ale jest mało prawdopodobne.

Miał zamiar zadać następne pytanie, kiedy dostrzegł, że jej wzrok biegnie ku innemu narożnikowi cmentarza, obok kilku kamiennych stopni, prowadzących w dół do dębu, którego korona tworzyła baldachim nad kolejnymi nagrobkami. W cieniu Malone dostrzegł świeży grób udekorowany kolorowymi bukietami; srebrzyste litery na nagrobku kontrastowały z matowoszarym tłem kamienia.

Stephanie ruszyła w tamtą stronę, on zaś podążył za nią.

– O Boże – wyrwało się jej z ust, a na twarzy pojawił się smutek.

Malone przeczytał nazwisko na nagrobku: Ernst Scoville. Potem przeliczył daty. Zmarły miał siedemdziesiąt trzy lata.

Odszedł z tego świata w zeszłym tygodniu.

– Znałaś go? – zapytał Malone.

– Rozmawiałam z nim trzy tygodnie temu. Tuż po tym, jak otrzymałam przesyłkę z dziennikiem Larsa – odparła, wciąż wpatrując się w mogiłę. –

Był jednym z tych ludzi, o których wspominałam, że pracowali z Larsem, i z którymi chciałam porozmawiać.

– Czy powiedziałaś mu o swoich planach?

Przytaknęła bez pośpiechu.

– Powiedziałam mu o aukcji, o książce oraz o tym, że wybieram się do Europy.

Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie słyszał.

– O ile dobrze pamiętam, wczoraj twierdziłaś, że nikt o tym nie wie.

– Kłamałam.

SIEDEMNAŚCIE

OPACTWO DES FONTAINES
13.00

De Roquefort odczuwał zadowolenie. Pierwsza konfrontacja z seneszalem zakończyła się spektakularnym zwycięstwem. Jedynie sześciu wielkich mistrzów dotknął skuteczny sprzeciw, a grzechy tych ludzi sięgały od kradzieży, przez tchórzostwo, po pożądanie kobiety. Wszystkie przypadki dotyczyły wydarzeń sprzed wieków, w latach po Czystce, kiedy bractwo było słabe i ogarnięte chaosem. Niestety, kara sprzeciwu miała bardziej charakter symboliczny niż represyjny. Okres urzędowania danego mistrza był wpisywany do kronik, jego sukcesy i porażki skrupulatnie wymieniano, dodając jedynie komentarz, iż zdaniem braci dana osoba była „niegodna pamięci”.

W minionych tygodniach podwładni de Roqueforta dołożyli wszelkich starań, by zapewnić wymagane dwie trzecie głosów, i powiadomili o tym seneszala. Ten niezasługujący na poparcie głupiec powinien uświadomić sobie, jak trudne czekają go chwile. To prawda, że zniewaga związana z oprotestowaniem nie dotykała już zmarłego mistrza. Zostanie pochowany w grobowcu, podobnie jak jego poprzednicy. Bez względu na wszystko. Nie, sprzeciw marszałka miał na celu osłabienie wiary we własne siły przypuszczalnego sukcesora – oraz wzmocnienie motywacji sojuszników. Takie narzędzie dawno temu stworzyła Reguła; pochodziło z czasów, kiedy honor i pamięć coś jeszcze znaczyły. De Roquefort z powodzeniem jednak przywrócił je do życia, oddając pierwszą salwę w wojnie, która powinna skończyć się jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu.

Zamierzał zostać następnym wielkim mistrzem.

Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona istniał bez przerwy od 1118 roku. Król Francji Filip IV, który zyskał sobie niezasłużenie przydomek Pięknego, usiłował zetrzeć ich z powierzchni ziemi w 1307 roku, ale, podobnie jak seneszal, nie docenił swoich

przeciwników i zdołał jedynie zmusić templariuszy do zejścia do podziemia.

Kiedyś dziesiątki tysięcy zakonnych braci obsadzały komandorie, gospodarstwa rolne, świątynie i zamki w dziewięciu tysiącach posiadłości rozrzuconych po całej Europie oraz w Ziemi Świętej. Już sam widok rycerza odzianego w biały płaszcz z czerwonym krzyżem budził trwogę u wrogów. Braci nie można było ekskomunikować, nie obciążały ich żadne opłaty feudalne. Mogli zatrzymywać wszystkie wojenne łupy. Podlegając wyłącznie papieżowi, tworzyli niezależne państwo.

Ale od siedmiuset lat nie stoczono żadnej bitwy. Zgromadzenie wycofało się do zapomnianego opactwa w Pirenejach i przybrało pozory zwykłej zakonnej społeczności. Utrzymywało kontakt z biskupami w Tuluzie i Perpignan, wywiązywało się również ze wszystkich powinności wobec Kościoła katolickiego. Nie działo się tu nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę, rozdzielić opactwo czy też wywołać zainteresowanie świata zewnętrznego. Wszyscy bracia składali dwie przysięgi. Jedną – z konieczności – na wierność Kościołowi. Druga przysięga – wobec zakonu – oznaczała wszystko. Wciąż odprawiano pradawne rytuały, chociaż teraz pod osłoną ciemności, za potężnymi murami, gdy drzwi opactwa były zamknięte na cztery spusty.

A wszystko z powodu Wielkiego Dziedzictwa.

Paradoksalna daremność tego obowiązku mierziła de Roqueforta. Zakon istniał po to, by strzec Dziedzictwa, ale Dziedzictwo nie istniałoby, gdyby nie zakon.

Był to zaiste ciężki dylemat.

Niemniej jednak obowiązek.

Całe dotychczasowe życie marszałka stanowiło jedynie preambułę do kilku nadchodzących godzin. Był dzieckiem nieznanych rodziców, wychowali go jezuici w kościelnej szkole w pobliżu Bordeaux. W dawnych czasach bracia rekrutowali się głównie ze skruszonych przestępców, rozczarowanych kochanków i wyrzutków. Dzisiaj pochodzili ze wszystkich sfer. Świat świecki wyrzucał z siebie największą liczbę rekrutów, ale przywódcy zakonu wywodzili się ze społeczności kościelnej. Ostatnich dziesięciu wielkich mistrzów kształciło się w klasztorach. De Roquefort rozpoczął studia na uniwersytecie w Paryżu, a później uzupełnił je w seminarium w Awinionie. Tam też wykładał przez trzy lata po

zakończeniu studiów, zanim zgłosili się do niego przedstawiciele zakonu. Wtedy też z bezgranicznym entuzjazmem złożył przysięgę na wierność Regule.

W ciągu pięćdziesięciu sześciu lat życia nigdy nie poznał dotyku kobiecego ciała. Nie odczuł też pokusy wobec drugiego mężczyzny. Wiedział również, że wynosząc go do godności marszałka, poprzedni wielki mistrz chciał poskromić jego ambicje – być może nawet była to pułapka, która miała przyczynić się do generowania wrogów, co uniemożliwiłoby de Roquefortowi dalszą karierę. Wykorzystywał jednak swój urząd mądrze, zdobywając sojuszników, budując lojalność i mnożąc przysługi. Odpowiadało mu życie klasztorne. Przez ostatnie dziesięć lat skrupulatnie ślęczał nad kronikami i znał teraz na pamięć niemal każdy aspekt – dobry i zły – historii zakonu. Nie zamierzał powtarzać błędów przeszłości. Gorąco też wierzył, że w okresie Początków narzucona z własnej woli izolacja przyspieszyła późniejszy upadek templariuszy. Tajemnica tworzyła zarazem charyzmę, jak i podejrzenia – a stąd było już niedaleko do wzajemnych oskarżeń. I to musiało ulec zmianie. Siedemsetletnie milczenie należało przerwać.

Nadszedł czas de Roqueforta.

Reguła była jednoznaczna:

Należy wyznawać zasadę, że jeśli jakaś rzecz sprawia ukontentowanie Mistrzowi, nie ulega wątpliwości, iż sprawę takową należy załatwić bez zwłoki, jak gdyby jednocześnie przyczyniała się do ukontentowania niebios.

Zadzwonił telefon stojący na jego biurku. De Roquefort podniósł słuchawkę.

– Dwóch naszych braci wysłanych do Rennes-le-Château – usłyszał głos jednego z podwładnych – doniosło, że Stephanie Nelle oraz Malone już tam są. Tak jak przewidziałeś, udała się prosto na cmentarz i odnalazła grób Ernsta Scoville’a.

Dobrze jest znać swoich wrogów.

– Każcie naszym braciom ograniczyć się do obserwacji, ale niech będą gotowi do działania.

– Co do drugiej sprawy, którą poleciłeś nam zbadać, wciąż nie mamy pojęcia, kto zaatakował naszych braci w Kopenhadze.

Marszałek nienawidził, kiedy meldowano mu o niepowodzeniach.

– Czy wszystko jest przygotowane na dzisiejszy wieczór?

– Tak.

– Ilu braci towarzyszyło seneszalowi w Sali Ojców?

– Trzydziestu czterech.

– Wszyscy zostali zidentyfikowani?

– Co do jednego.

– Każdemu z nich należy dać sposobność przyłączenia się do nas. Jeśli się nie zgodzą, zajmijcie się nimi. Dopilnujcie jednak, żeby jak najwięcej się przyłączyło. To zresztą nie powinno stanowić problemu. Tylko nieliczni zechcą stanąć po przegranej stronie.

– Konsystorz rozpoczyna się o szóstej po południu.

Seneszal przynajmniej dopełnił swojego obowiązku, wzywając braci na posiedzenie przed zapadnięciem zmierzchu. Konsystorz należał do niewiadomych równania, był procedurą specjalnie obmyśloną, by zapobiec manipulacjom – ale de Roquefort od dłuższego czasu zgłębiał temat i przewidywał.

– Bądźcie gotowi – zalecił. – Seneszal zapewne będzie działał pospiesznie, by wywołać zamieszanie. W ten sam sposób poprzedni mistrz zdołał wygrać wybory.

– Z pewnością ciężko zniesie porażkę.

– Nie spodziewam się, by było inaczej. Dlatego właśnie przygotowałem dla niego niespodziankę.

OSIEMNAŚCIE

RENNES-LE-CHÂTEAU
13.30

Malone i Stephanie szli przez zatłoczone miasteczko. Kolejny autokar wzbijał tumany kurzu na głównej ulicy, tocząc się w stronę parkingu. Gdy byli w połowie drogi, Stephanie weszła do restauracji i porozmawiała przez chwilę z właścicielem. Malone zobaczył smakowicie wyglądające ryby, którymi raczyli się goście restauracji, ale zdał sobie sprawę, że na posiłek musi jeszcze trochę poczekać.

Odczuwał złość na Stephanie z powodu tego, że go okłamała. Nie była w stanie docenić powagi sytuacji albo też jej nie rozumiała. Ludzie pełni determinacji, gotowi zginąć lub zabić, zawsze za czymś gonili. Widział już takich wielu i zawsze im więcej informacji posiadał, tym większe miał szanse wygranej. Tu natomiast nie dość, że musiał borykać się z przeciwnikami, to jeszcze zamartwiał się komplikowaniem sytuacji przez sprzymierzeńca.

– Ernst Scoville został potrącony przez samochód – oznajmiła Stephanie, wychodząc z restauracji. – Podczas codziennego spaceru poza murami miasta. Był powszechnie lubiany. Mieszkał tu od dawna.

– Coś wiadomo o aucie?

– Żadnych świadków, żadnych śladów, którymi można by podążyć.

– Czy znałaś Scoville’a?

Przytaknęła.

– Ale on nie przepadał za mną. Zresztą rozmawialiśmy rzadko. Zawsze brał stronę Larsa, kiedy toczyliśmy spory.

– Dlaczego więc do niego zadzwoniłaś?

– On jeden przyszedł mi do głowy, kiedy się zastanawiałam, kogo zapytać o dziennik Larsa. Zachowywał się uprzejmie, zwłaszcza jeśli uwzględnić fakt, że nie rozmawialiśmy ze sobą od dawna. Chciał zobaczyć

dziennik. Postanowiłam więc, że naprawię dawne błędy, kiedy się tu pojawię.

Malone zastanowił się przez chwilę nad słowami byłej szefowej. Nie układało jej się dobrze ani z synem, ani z mężem, ani z przyjaciółmi męża. Źródło jej winy było oczywiste, ale co zamierzała z tym zrobić – nie wiadomo.

Skinęła na znak, że mają iść dalej.

– Chciałabym zajrzeć do domu Ernsta. Posiadał całkiem zasobną bibliotekę. Z chęcią przekonałabym się, czy wciąż są tam jego książki.

– Czy był żonaty?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Był samotnikiem. Prowadził wręcz pustelniczy tryb życia.

Skierowali się w dół jedną z uliczek, między szeregami domów, sprawiających wrażenie zbudowanych dla ludzi, którzy dawno opuścili ziemski padół.

– Naprawdę wierzysz, że gdzieś tu ukryty jest skarb? – zapytał Malone.

– Trudno powiedzieć, Cotton. Lars twierdził zawsze, że dziewięćdziesiąt procent opowieści związanych z Saunièrem to wymysły. Nieraz karciłam go za to, iż marnuje czas na coś tak mało poważnego. Lecz on zawsze wysuwał argument o dziesięciu procentach prawdy, które się w tym wszystkim kryją. To właśnie wchłonęło go, podobnie jak w dużym stopniu Marka. Sto lat temu zaiste wydarzyły się tutaj osobliwe rzeczy.

– Znowu nawiązujesz do osoby Saunière’a?

Przytaknęła.

– Pomóż mi zrozumieć.

– Mówiąc prawdę, sama również potrzebuję pomocy w tej kwestii. Ale mogę ci opowiedzieć więcej z tego, co wiem o Bérengerze Saunière.

– Nie mogłem opuścić parafii, w której trzymają mnie bieżące sprawy – oznajmił Saunière, stojąc przed leciwym hierarchą w biskupim pałacu w Carcassone, oddalonym o trzydzieści kilometrów na północ od Rennes-le-Château.

Od miesięcy unikał tego spotkania, wysyłając zaświadczenia od lekarza, że jest zbyt chory, by udać się w podróż. Biskup wykazał się jednak uporem, a ostatnie wezwanie na audiencję zostało

proboszczowi dostarczone przez miejscowego konstabla, którego poinstruowano, by osobiście towarzyszył księdzu w drodze.

– Ojciec żyje o wiele bardziej wystawnie niż ja – oznajmił biskup. – Życzę sobie, by ksiądz wyjaśnił, skąd ma zasoby finansowe tak znaczne i zadziwiające.

– Niestety, Wasza Eminencjo, prosisz o jedyną rzecz, której nie jestem w stanie wyjawić. Ludzie, którzy ciężko zgrzeszyli, a którym z pomocą Boga wskazałem drogę skruchy, przekazali do mojej dyspozycji znaczne sumy. Nie zamierzam złamać tajemnicy spowiedzi, podając ich nazwiska.

Biskup zdawał się rozważać ten argument. Był dobry i prawdopodobnie także skuteczny.

– W takim razie porozmawiajmy o stylu życia, które ojciec prowadzi. Tego tematu z pewnością nie chroni tajemnica spowiedzi.

Saunière przybrał minę niewiniątka.

– Prowadzę całkiem skromne życie.

– Zupełnie co innego mi doniesiono.

– Informacje Waszej Eminencji muszą być błędne.

– Przekonajmy się zatem – odparł biskup i otworzył grubą księgę, leżącą przed nim. – Zleciłem wykonanie spisu inwentarzowego, który okazuje się całkiem interesujący.

Saunière'owi niezbyt spodobało się te słowa. Jego stosunki z poprzednim ordynariuszem diecezji były niezbyt częste, ale za to serdeczne. On sam zaś cieszył się dużą swobodą. Nowy biskup przyjął zupełną inną postawę.

– W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku rozpoczął ojciec remont kościoła parafialnego. Wtedy to wymieniono okna, dobudowano portyk, zamontowano nowy ołtarz oraz ambonę, a także wykonano remont generalny dachu. Szacunkowy koszt tych robót to dwa tysiące dwieście franków. W następnym roku wyremontowano ściany zewnętrzne, a także wymieniono posadzkę w kościele. Potem pojawił się nowy konfesjonał za siedemset franków, a także rzeźby oraz stacje drogi krzyżowej, wykonane w Tuluzie przez pracownię rzeźbiarską Giscardów, na sumę trzech tysięcy dwustu franków. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku doszła szkatuła na datki za czterysta franków. Później,

w tysiąc dziewięćsetnym, przed ołtarzem pojawiła się płaskorzeźba przedstawiająca świętą Marię Magdalenę, z tego, co mi powiedziano, niezwykle misternej roboty.

Saunière ograniczył się do słuchania. Nie było cienia wątpliwości, że biskup miał wgląd w księgi parafialne. Poprzedni skarbnik parafii zrezygnował przed paroma laty, oznajmiając, że pełnione przezeń obowiązki są niezgodne z jego wiarą. Ktoś z całą pewnością śledził poczynania proboszcza Rennes.

– Objąłem ten urząd w tysiąc dziewięćset drugim roku – kontynuował biskup. – Przez następne osiem lat usiłowałem, daremnie zresztą, zmusić ojca, by pojawił się tutaj i rozwiał moje troski i niepokoje. W tym czasie zdołał ojciec wybudować rezydencję Betania na terenie przylegającym do kościoła. Jak mnie powiadomiono, jest to burżuazyjna budowla, pastisz wielu stylów, wykonana z ciętego kamienia. W oknach są witraże, w środku znajduje się jadalnia, salon oraz sypialnia dla gości, bardzo nielicznych zresztą. Z tego, co słyszałem, tam właśnie zażywa ojciec uciech.

Komentarz ten z pewnością miał wzbudzić reakcję Saunière'a, ale biskupowi się to nie udało.

– Do tego dochodzi jeszcze Magdala, romantyczna, drewniana wieża, która mieści bibliotekę i oferuje piękne widoki na kotlinę. To jedna z najbardziej misternych budowli drewnianych w okolicy, jak mi doniesiono. Nie wspomniałem jeszcze o bardzo bogatej kolekcji znaczków pocztowych i widokówek, którą ojciec posiada, ani nawet o hodowli egzotycznych zwierząt. Wszystko to musiało kosztować tysiące franków – zakończył hierarcha i zamknął księgę. – Dochody z ojca parafii nie przekraczają dwustu pięćdziesięciu franków rocznie. Jak więc jest możliwe, aby ojciec zgromadził tak wielki majątek?

– Jak już wspominałem, jestem beneficjentem licznych osobistych darowizn zbłąkanych dusz, które pragną widzieć moją parafię w dostatku.

– Ojciec handluje mszami – oświadczył biskup. – Sprzedaje ksiądz sakramenty. To zbrodnia symonii.

Saunière'a ostrzegano wcześniej, że powinien liczyć się z tego rodzaju oskarżeniem.

– Dlaczego Wasza Eminencja kieruje pod moim adresem zarzuty? Kiedy przybyłem do tej parafii, znajdowała się w opłakanym stanie. Pominąwszy wszystko, moi przełożeni powinni się zatroszczyć o to, by kościół w Rennes-le-Château godzien był przyjmowania wiernych i aby tamtejszy kapłan miał gdzie mieszkać. Ale od ćwierćwiecza harowałem tam ciężko, wyremontowałem i upiększyłem kościół, nie prosząc nawet o centyma z diecezji. Wydaje się, że bardziej zasłużyłem na gratulacje ze strony Waszej Eminencji niż na oskarżenia.

– Jaka kwota, zdaniem ojca, została wydana na wszystkie te remonty i budowy?

Saunière postanowił odpowiedzieć na to pytanie

– Sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące franków.

Biskup roześmiał się.

– Ojcze, taka suma nie wystarczyłaby na zakup mebli, rzeźb i witraży. Wedle moich kalkulacji wydał ksiądz ponad siedemset tysięcy.

– Nie jestem obeznany z praktyką księgowości, nie mogę więc stwierdzić, jakie były rzeczywiste łączne koszty. Wiem jedynie, że mieszkańcy Rennes kochają swój kościół.

– Przedstawiciele władz twierdzą, iż otrzymuje ojciec od stu do stu pięćdziesięciu przekazów pocztowych dziennie. Przybywają z Belgii, Włoch, Nadrenii, ze Szwajcarii oraz z całej Francji. Przeciętnie opiewają na kwoty od pięciu do czterdziestu franków. Ksiądz bywa często w banku w Couiza, gdzie zamienia te przekazy na gotówkę. Jak ojciec wytłumaczy ten proceder?

– Całą moją korespondencję obsługuje gospodyni. To ona otwiera koperty i odpowiada na listy. Pytanie to więc należy skierować do niej.

– Ale to ksiądz pojawia się w banku.

Postanowił trzymać się swojej wersji.

– Wasza Eminencja powinna ją zapytać.

– Niestety, ona nie podlega mojej władzy.

Biskup wzruszył ramionami.

– Ksiądz handluje sakramentami. Jest oczywiste, przynamniej dla mnie, że koperty, które nadchodzą do parafii księdza, to nie są listy od ludzi nam życzliwych, ale jest coś jeszcze, co bardziej mnie niepokoi.

Saunière stał w milczeniu.

– Wykonałem obliczenia. O ile ojciec nie otrzymuje ogromnych sum z ofiar na każdej mszy, a z tego, co wiem, przeciętny datek wynosi pięćdziesiąt centymów, musiałby ojciec odprawiać msze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez jakieś trzysta pięćdziesiąt lat, by zgromadzić kwoty, które ksiądz wydał. Nie, ojcze, kupczenie sakramentami jest jedynie przykrywką, którą wymyślił ojciec, by ukryć prawdziwe źródło majątku.

Człowiek w biskupiej tiarze okazał się znacznie bardziej przebiegły, niż na to wyglądał.

– Ma ojciec jakieś wyjaśnienie?

– Nie, Eminencjo.

– W takim razie zwalniam ojca z pełnienia obowiązków duszpasterskich w Rennes i zgłosi się ksiądz natychmiast w parafii w Coustouge. Poza tym jest ksiądz zawieszony i nie może odprawiać mszy ani udzielać sakramentów aż do odwołania.

– Jak długo ma potrwać to zawieszenie? – zapytał ze spokojem Saunière.

– Do czasu, kiedy trybunał kościelny wysłucha odwołania ojca, które niewątpliwie wyśle ojciec bezzwłocznie.

– Saunière składał apelacje – podjęła opowieść Stephanie – we wszystkich instancjach aż do Watykanu, ale zmarł w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, zanim uwolniono go od wszystkich zarzutów. Zrezygnował jednak z sutanny i nigdy nie opuścił Rennes. Zaczął odprawiać msze w Willi Betania. Mieszkańcy uwielbiali go, zbojkotowali więc nowego proboszcza. Pamiętaj, że cały teren wokół kościoła, w tym i rezydencja, należał do gospodyni Saunière'a. Księżulo wykazał się takim sprytem, że Kościół nie mógł nic na to poradzić.

Malone chciał wiedzieć coś jeszcze.

– A w jaki sposób zdołał opłacić wszystkie podjęte przez siebie prace?

Uśmiechnęła się.

– Odpowiedzi na to pytanie starało się udzielić wielu, w tym również mój mąż.

Szli teraz inną z krętych uliczek, przy których stały kolejne melancholijne domostwa w kolorze przypominającym drewno martwych drzew odartych z kory.

– W tym domu mieszkał Ernst – oznajmiła Stephanie.

Zbliżyli się do starego budynku, którego wygląd umilały pastelowe róże pnące się po pergoli z kutego żelaza. We wnęce nad trzema schodkami znajdowały się drzwi. Malone wszedł, zerknął przez szybę w drzwiach i zauważył, że wszystko jest w nienagannym porządku.

– To miejsce prezentuje się schludnie.

– Ernst miał na tym punkcie bzika.

Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

– Chciałabym dostać się do środka – powiedziała Stephanie.

Rozejrzał się dokoła. O jakieś sześć metrów po ich lewej stronie uliczka kończyła się, docierając do muru. Powyżej, na niebieskim niebie sunęły kłębiaste chmury. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Malone odwrócił się do drzwi i łokciem wypchnął szklaną taflę. Następnie wsadził rękę do środka i zwolnił zamek.

Stephanie stanęła za nim.

– Ty pierwsza – zaprosił ją do środka.

DZIEWIĘTNAŚCIE

OPACTWO DES FONTAINES
14.00

Seneszal otworzył ażurową żelazną furtkę i poprowadził kondukt żałobników pod łukiem. Wejście do podziemnej Sali Ojców znajdowało się w obrębie murów opactwa, przy końcu długiego korytarza, w miejscu, gdzie jeden z najstarszych budynków opierał się o skały. Tysiąc pięćset lat temu pierwsi mnisi zajmowali jaskinie znajdujące się poza murami i zamieszkali w posępnych grotach. Gdy zaczęło tu przybywać coraz więcej skruszonych grzeszników, wzniesiono pierwsze budynki. Zwykle opactwa albo bardzo szybko się rozrastają, albo zamierają. To należało do pierwszej grupy: szybko stało się wielkie, a z upływem kolejnych stuleci pojawiały się coraz to nowe budowle. Dzieło to kontynuowali templariusze, którzy potajemnie przejęli na własność to miejsce pod koniec trzynastego stulecia. Macierzysty dom zakonu – *maison chèvetaine*, jak określała go Reguła – początkowo znajdował się w Jerozolimie, później został przeniesiony do twierdzy w Akce, następnie na Cypr i w końcu znalazł się tutaj, już po Czystce. Kompleks klasztorny otoczono murami obronnymi i basztami, a opactwo stało się jednym z największych w Europie. Usytuowane wysoko wśród masywu Pirenejów, oddzielone od świata dzięki położeniu, a także surowej Regule. Nazwa tego miejsca pochodziła od płynącej obok górskiej rzeki z wodospadami i kaskadami oraz od obfitości wód gruntowych – *abbaye des Fontaines* znaczy tyle, co „opactwo Wodotrysków”.

Seneszal podążył wąskimi schodami wykutymi w skale. Podeszwy jego płóciennych sandałów ślizgały się na mokrych kamieniach. Kiedyś tę drogę oświetlały pochodnie, teraz na ścianach zamontowane były kinkiety. Za nim podążało trzydziestu czterech braci, którzy zdecydowali się doń dołączyć. Gdy dotarł do końca schodów, ruszył korytarzem, który wychodził na obszerne pomieszczenie zwieńczone sklepieniem. Pośrodku znajdowała się kamienna kolumna, przypominająca pień starego drzewa.

Bracia powoli zgromadzili się wokół dębowej trumny, którą już wcześniej wniesiono do wnętrza krypty i ustawiono na kamiennym cokole. W obłokach dymu z kadzideł rozległ się pełen melancholii żałobny śpiew.

Seneszal wystąpił naprzód, a śpiew ustał.

– Przyszliśmy tu, by oddać mu honor. Odmówmy modlitwę – rzekł po francusku.

Pomodlili się, potem znów zaśpiewali hymn.

– Nasz mistrz prowadził nas właściwą drogą. Wy, którzy jesteście lojalni wobec jego pamięci, wykazaliście odwagę. Byłby z was dumny.

Upłynęło kilka chwil w ciszy.

– Co nas czeka?

Przeprowadzanie zgromadzania w Sali Ojców nie było rzeczą właściwą, lecz w sytuacji ogólnej trwogi seneszal pozwolił sobie na niewielkie złamanie Reguły.

– Niepewność – oświadczył. – Brat de Roquefort jest gotów przejąć władzę. Ci z was, którzy zostaną wybrani na konklawe, będą mieli ciężkie zadanie, jeśli zechcą go powstrzymać.

– On doprowadzi do naszego upadku – wymruczał pod nosem inny z braci.

– Zgadzam się – potwierdził seneszal. – On jest przekonany, że możemy w jakiś sposób naprawić błędy poczynione w ciągu siedmiuset lat. Nawet gdyby tak było, dlaczego mielibyśmy to robić? Zdołaliśmy przecież przetrwać. Jego zwolennicy mocno naciskają. Ci, którzy są w opozycji, zostaną ukarani.

Seneszal wiedział, że dlatego właśnie tak niewielu braci znalazło się w podziemnej krypcie.

– Nasi poprzednicy stawiali czoło wielu wrogom. W Ziemi Świętej walczyli z Saracenami i ginęli z honorem. Tu znosili tortury ze strony inkwizycji. Naszego wielkiego mistrza Jakuba de Molay spalono na stosie. My musimy dochować wierności. – Nie były to słowa pokrzepiające, ale musiał je wypowiedzieć.

– De Roquefort pragnie wojny z naszymi wrogami. Jeden z jego zwolenników wyjawił mi, że zamierza nawet odebrać Całun.

Na twarzy seneszala pojawił się grymas. Inni zwolennicy radykalnych poglądów już wcześniej proponowali taki pokaz nieposłuszeństwa, lecz wszyscy wielcy mistrzowie zdołali stłumić te głosy.

– Musimy powstrzymać go podczas konklawe. Na szczęście nie jest w stanie wpływać na procedurę wyboru wielkiego mistrza.

– On napełnia mnie trwogą – wyznał jeden z braci, a po jego słowach zapadło milczenie, wskazujące na fakt, iż inni bracia są tego samego zdania.

Po godzinie modłów seneszal dał znak. Czterech braci przeznaczonych do niesienia trumny, ubranych w szkarłatne habity, uniosło skrzynię z ciałem wielkiego mistrza.

Seneszal obrócił się i ruszył w stronę dwóch kolumn z czerwonego porfiru, między którymi znajdowały się Złote Wrota. Nazwa nie pochodziła od kruszcu, lecz od tego, co kiedyś znajdowało się za nimi.

Czterdziestu trzech przywódców zakonu leżało w swoich *lokoli,* pod skalnym stropem, wypolerowanym, pomalowanym na kolor granatowy i ozdobionym złotymi gwiazdami, mieniącymi się teraz w świetle. Ciała już dawno obróciły się w proch, pozostały jedynie kości umieszczone w urnach, na których wypisano imiona wielkich mistrzów oraz czas piastowania zaszczytnej funkcji. Po prawej stronie znajdowały się puste nisze. W jednej z nich miało spocząć ciało ostatniego mistrza i pozostać tam przez następny rok. Dopiero wtedy jeden z braci powróci tu i przełoży kości do urny. Taki proceder pochówku, który zakon przyjął przed wiekami, stosowali Izrealici w Ziemi Świętej w czasach Chrystusa.

Bracia, którzy nieśli trumnę, wsunęli ją do niszy. W półmroku panowała głęboka cisza.

Przez umysł seneszala przebiegły myśli o zmarłym przyjacielu. Mistrz był najmłodszym synem bogatego belgijskiego kupca. Nie wiadomo, dlaczego przyciągnął go Kościół – po prostu czuł powołanie. Został zwerbowany przez jednego z czeladników zakonu, braci, którzy byli rozlokowani po całym globie i posiadali dar wybierania odpowiednich rekrutów. Klasztorne życie odpowiadało wielkiemu mistrzowi. Chociaż nie piastował jeszcze wysokiego urzędu, w trakcie konklawe po śmierci jego poprzednika niemal wszyscy bracia wykrzyknęli: „Niech on zostanie wielkim mistrzem!”. Później złożył przysięgę: „Składam siebie w ofierze wszechmocnemu Bogu i dziewicy Maryi za zbawienie mojej duszy. Niech tak zostanie w tym świętym życiu przez wszystkie moje dni, aż po ostatnie tchnienie”. To samo zobowiązanie złożył też seneszal.

Pozwolił, by jego myśli pobiegły ku początkom zakonu – słyszał w głowie bitewne okrzyki, jęki rannych i konających braci, krzyki przerażenia, pełen żałoby płacz tych, którzy chowali towarzyszy poległych w walce. Taki był los Ubogich Rycerzy Chrystusa. Pierwsi ruszali do bitwy, cofali się ostatni. Raymond de Roquefort tęsknił za tamtymi czasami. Ale dlaczego? Daremność tych działań wyszła na jaw, kiedy Kościół i państwo obróciły się przeciwko templariuszom podczas Czystki, nie zważając ani trochę na dwieście lat lojalnej posługi. Braci palono na stosach, innych torturowano i okaleczano. Wszystko to ze zwykłej chciwości. Dla współczesnego świata templariusze byli legendą. Wspomnieniem z dawnych epok. Nikt nie troszczył się o to, czy nadal istnieli. Wyrównanie krzywd wydawało się zatem przedsięwzięciem całkowicie beznadziejnym.

Umarli muszą pozostać w grobach.

Seneszal ponownie rozejrzał się po kamiennej krypcie, potem kazał oddalić się wszystkim braciom z wyjątkiem swojego asystenta. Musiał porozmawiać z nim w cztery oczy. Młody mężczyzna zbliżył się.

– Powiedz mi, Geoffrey – odezwał się seneszal – czy ty i wielki mistrz coś knuliście?

W ciemnych oczach młodzieńca błysnęła iskierka zdziwienia.

– Co masz na myśli?

– Czy wielki mistrz prosił cię ostatnio, byś coś dla niego zrobił? Proszę, nie okłamuj mnie. On już odszedł, a ja zostałem.

Sądził, że powołanie się na rangę może ułatwić dotarcie do prawdy.

– Tak, seneszalu, wysłałem dwie przesyłki z polecenia mistrza.

– Opowiedz mi o nich.

– Pierwsza była gruba i ciężka, jak książka. Nadałem ją, kiedy byłem w Awinionie, ponad miesiąc temu.

– A druga?

– Wysłałem ją w poniedziałek z Perpignan; był to list.

– Do kogo został wysłany.

– Do Ernsta Scoville’a w Rennes-le-Château.

Młody mężczyzna szybko się przeżegnał, a seneszal patrzył nań ze zdziwieniem i podejrzliwością.

– Co się dzieje?

– Mistrz przewidział, że zadasz te pytania.

Ta informacja przykuła uwagę seneszala.

– Powiedział, że kiedy zadasz te pytania, powinienem wyjawić ci prawdę. Ale kazał też cię ostrzec. Wielu podążało szlakiem, którym ty wyruszysz niebawem, lecz żadnemu misja się nie powiodła. Miałem też życzyć ci powodzenia i pobłogosławić cię.

Jego mentor był człowiekiem błyskotliwym, który najwyraźniej wiedział dużo więcej, niż zwykle mówił.

– Powiedział też, że musisz doprowadzić poszukiwania do końca. Takie jest twoje przeznaczenie. Bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

Seneszal usłyszał już dość. Pusta szkatuła ukryta w sekreterze w celi wielkiego mistrza przestała już być tajemnicą. Książka, której szukał w środku, zniknęła. Mistrz wysłał ją pocztą. Lekkim ruchem dłoni odesłał swojego asystenta. Geoffrey ukłonił się, potem ruszył pośpiesznie w kierunku Złotych Wrót.

Seneszal coś sobie uświadomił.

– Poczekaj! Nie powiedziałeś mi, dokąd została wysłana pierwsza paczka, ta z książką.

Geoffrey zatrzymał się i odwrócił, ale nie odezwał się.

– Dlaczego nie odpowiadasz?

– Nie godzi się, żebyśmy o tym rozmawiali. Nie tutaj. Gdy on jest tak blisko.

Spojrzenia młodego mężczyzny pobiegło ku trumnie.

– Mówiłeś, że on chciał, bym wiedział.

W oczach Geoffreya pojawił się niepokój.

– Powiedz mi, dokąd została wysłana książka – nalegał seneszal, chociaż znał już odpowiedź.

– Do Ameryki. Do kobiety o nazwisku Stephanie Nelle.

DWADZIEŚCIA

RENNES-LE-CHÂTEAU
14.30

Malone rozglądał się po skromnym domu Ernsta Scoville’a. Wystrój wnętrza miał charakter eklektyczny. Dostrzegł zbiór brytyjskich antyków, hiszpańskich dzieł sztuki z dwunastego stulecia oraz poślednich francuskich obrazów. Oszacował, że znajduje się tu tysiąc tomów książek. Większość miała pożółkłe miękkie oprawy bądź też twarde, nadgryzione zębem czasu. Każda półka opierała się na zewnętrznej ścianie, a książki na niej były pieczołowicie ustawione według tematu i rozmiarów. Stare gazety ustawiono rocznikami. To samo odnosiło się do czasopism. Wszystko dotyczyło Rennes, Saunière’a, historii Francji, Kościoła, templariuszy oraz Jezusa Chrystusa.

– Wydaje się, że Scoville był znawcą Biblii – rzekł Malone, wskazując na rzędy prac badawczych.

– Spędził życie na studiowaniu Nowego Testamentu. Dla Larsa był źródłem wiadomości o Biblii.

– Nie wygląda na to, by ktoś szperał w tym domu.

– Mogli to zrobić, zachowując ostrożność.

– Prawda. Ale czego mogli tu szukać? Czego my tu szukamy?

– Tego nie wiem. Wiem tylko, że rozmawiałam ze Scoville’em, a dwa tygodnie później już nie żył.

– Co mógł wiedzieć takiego, że było warte jego śmierci?

Wzruszyła ramionami.

– Nasza rozmowa przebiegła w przyjemnej atmosferze. Naprawdę byłam przekonana, że to on wysłał mi dziennik. On i Lars współpracowali blisko. Ale okazało się, że nie wie nic o notesie, chociaż bardzo chciał go przeczytać.

Na chwilę przerwała oględziny.

– Spójrz na to wszystko. Miał obsesję.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Lars i ja spieraliśmy się o te właśnie rzeczy całymi latami; zawsze sądziłam, że marnuje swoje akademickie talenty. Był przecież dobrym historykiem. Powinien zarabiać przyzwoitą pensję na uniwersytecie i publikować szacowne prace badawcze. On zaś włóczył się po całym świecie w pogoni za cieniami.

– Był autorem bestsellerów.

– Tylko pierwsza książka była bestsellerem. Pieniądze to inna kwestia, o którą nieustannie się spieraliśmy.

– Można by sądzić, że dręczą cię teraz wyrzuty sumienia.

– Ty ich nigdy nie masz? O ile sobie przypominam, rozwód z Pam przeżyłeś ciężko.

– Nikt nie lubi przegrywać.

– Twoja współmałżonka przynamniej nie popełniła samobójstwa.

Tu miała rację.

– W drodze tutaj powiedziałaś, że zdaniem Larsa, Saunière odkrył jakiś przesłanie we fiolce, którą znalazł w kolumnie. Od kogo pochodziła ta wiadomość?

– W swoim notesie Lars napisał, że od jednego z poprzedników Saunière’a, Antoine’a Bigou, który wykonywał duszpasterską posługę w parafii w Rennes w drugiej połowie osiemnastego wieku, w okresie rewolucji francuskiej. Wspomniałam o nim w samochodzie. To jemu Marie d’Hautpoul de Blanchefort wyjawiła przed śmiercią rodzinny sekret.

– Lars sądził więc, że we flakoniku był ten rodzinny sekret?

– To nie takie proste. Historia jest bardziej skomplikowana. W tysiąc siedemset trzydziestym drugim roku Marie d’Hautpoul wyszła za ostatniego markiza de Blanchefort. Linia de Blanchefort miała we Francji długą historię, sięgającą aż do czasów templariuszy. Członkowie rodu uczestniczyli w dwóch krucjatach do Ziemi Świętej, a także w wyprawie przeciwko albigensom. Jeden z przodków markiza był nawet wielkim mistrzem zakonu w połowie dwunastego stulecia, rodzina zaś przejęła we władanie Rennes i okoliczne ziemie na całe wieki. Kiedy w tysiąc trzysta siódmym roku templariuszy aresztowano, de Blanchefortowie udzielili schronienia wielu uciekinierom, którzy zdołali ujść z rąk ludzi Filipa IV. Mówi się, chociaż nikt nie wie tego na pewno, że członkowie rodu de Blanchefort należeli do bractwa templariuszy.

– Mówisz zupełnie jak Henrik. Czy rzeczywiście twoim zdaniem templariusze wciąż jeszcze istnieją?

– Nie mam pojęcia, ale coś, co powiedział człowiek w katedrze, mogłoby na wskazywać. Zacytował słowa świętego Bernarda z Clairvaux, mnicha z dwunastego wieku, który w dużym stopniu przyczynił się do potęgi templariuszy. Udawałam, że nie wiem, o czym on mówi, ale Lars dużo pisał na ten temat.

Malone przypomniał sobie również to nazwisko z książki, którą czytał w Kopenhadze. Bernard de Fontaines był mnichem zakonu cystersów, w dwunastym stuleciu założył klasztor w Clairvaux. Był wielkim mędrcem i wywierał znaczący wpływ na Kościół, stając się bliskim doradcą papieża Innocentego II. Jego wuj był jednym z do dziewięciu pierwszych templariuszy, i to właśnie święty Bernard przekonał Innocentego II do zatwierdzenia bezprecedensowej Reguły Ubogich Rycerzy Chrystusa.

– Człowiek w katedrze znał Larsa – oznajmiła Stephanie. – Na tyle blisko, że rozmawiał z nim nawet na temat dzienników. Stwierdził też, że Lars był dla niego przeciwnikiem. Z kolei mężczyzna, który wyskoczył z Rotundy, pracował dla tego człowieka. On chciał, żebym to wiedziała. A ten mężczyzna, zanim wyskoczył, wydał z siebie bojowy okrzyk templariuszy.

– Mógł to być blef, by cię nastraszyć.

– Zaczynam w to wątpić.

Zgodził się, zwłaszcza po tym, co zauważył po drodze z cmentarza. Lecz póki co, chciał zatrzymać to dla siebie.

– Lars opisał w swoim dzienniku tajemnicę rodu de Blanchefort, sięgającą tysiąc trzysta siódmego roku, kiedy to aresztowano braci zakonnych. Znalazł wiele odniesień na temat rzekomej służby rodu, dokumentów z tamtego okresu, lecz żadnych bliższych szczegółów. Poświęcił dużo czasu na ślęczenie w archiwach miejscowych klasztorów. Chociaż to grób Marie, którego rysunek znajduje się książce kupionej przez Thorvaldsena, wydaje się być kluczem. Marie zmarła w tysiąc siedemset osiemdziesiątym pierwszym roku, lecz jej nagrobek i pomnik nad jej doczesnymi szczątkami został ukończony dopiero dziesięc lat później, z polecenia księdza Bigou. Pamiętaj, jakie to były czasy. Szalała rewolucja francuska, a kościoły katolickie niszczono i plądrowano. Bigou miał antyrepublikańskie nastawienie, zbiegł zatem do Hiszpanii w tysiąc

siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku i zmarł tam dwa lata później. Nigdy już nie wrócił do Rennes-le-Château.

– Cóż więc, zdaniem Larsa, ksiądz Bigou ukrył we fiolce?

– Prawdopodobnie nie sekret rodu de Blanchefort, lecz sposób dotarcia do niego. W swoim dzienniku Lars z głębokim przekonaniem pisał, iż nagrobek Marie kryje w sobie klucz do tajemnicy.

Malone zaczynał rozumieć.

– Dlatego właśnie ta książka była tak ważna.

Stephanie skinęła głową.

– Saunière otworzył wiele grobów z przykościelnego cmentarza, ekshumował szczątki i umieszczał je na przyległym cmentarzu, który znajduje się wciąż za murami kościoła. Wyjaśniałoby to, jak napisał Lars, dlaczego nie ma tu grobów datowanych po tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku. Mieszkańcy podnieśli wrzawę, zatem rada miejska nakazała mu powstrzymać się od tych działań. Szczątków Marie de Blanchefort nie ekshumowano, ale Saunière skuł dłutem wszystkie litery i znaki z jej nagrobka. Ksiądz nie wiedział jednak, że rysunek przedstawiający płytę nagrobną przetrwał, sporządzony ręką miejscowego burmistrza, Eugène Stübleina. Lars dowiedział się o tym rysunku, ale nigdy nie zdołał natrafić na egzemplarz tej książki.

– W jaki sposób Lars dowiedział się o tym, że Saunière skuł litery z nagrobka?

– Istnieje relacja na temat zbezczeszczenia grobu Marie w tamtym okresie. Nikt nie przywiązywał wtedy specjalnego znaczenia do tego aktu, ale któż inny niż Saunière mógł tego dokonać?

– A zdaniem Larsa wszystko to stanowiło trop prowadzący do skarbu?

– W swoim dzienniku napisał, że jego zdaniem Saunière odszyfrował przekaz pozostawiony przez księdza Bigou i odnalazł tajną kryjówkę templariuszy, informując o niej włącznie swą kochankę, która umarła, nie puszczając pary z ust.

– Cóż zatem ty tu porabiasz? Czy zamierzasz wykorzystać dziennik, by podjąć działania?

– Nie wiem, co zamierzałam tu osiągnąć. Jestem w stanie stwierdzić jedynie, że jakiś wewnętrzny głos kazał mi kupić książkę na aukcji i następnie rozejrzeć się – wyznała, a po chwili dodała: – To jednoczenie

daje mi pretekst do spędzenia w jego domu kilku dni i do przywołania dawnych wspomnień.

To akurat był w stanie zrozumieć.

– Dlaczego jednak wciągnęłaś w to Petera Hansena? Dlaczego nie stanęłaś osobiście do aukcji?

– Wciąż pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych. Chciałam posłużyć się Hansenem jako przydatną przykrywką. W ten sposób moje nazwisko nigdzie by się nie pojawiło. Oczywiście nie miałam pojęcia o całej tej intrydze.

Zastawiał się przez moment nad jej słowami.

– A więc Lars podążał tropem Saunière'a, podobnie jak Saunière podążył szlakiem Bigou.

Przytaknęła.

– I wedle wszelkich znaków na ziemi teraz ktoś inny podąża tym samym tropem.

Rozejrzał się ponownie po pomieszczeniu.

– Będziemy musieli pogrzebać tutaj dokładniej, by mieć choć nadzieję, że dowiemy się czegokolwiek.

Coś przy frontowych drzwiach przyciągnęło uwagę Malone'a. Kiedy wchodzili, sterta poczty leżała rozrzucona na podłodze pod ścianą, najwidoczniej wsunięta przez szczelinę pod drzwiami. Podszedł tam i podniósł kilka kopert.

Stephanie podeszła bliżej.

– Pokaż mi tę kopertę.

Podał jej brązową kopertę z adresem napisanym czarnym atramentem.

– List towarzyszący dziennikowi Larsa napisano na papierze w tym kolorze, a i pismo wydaje się podobne – wyciągnęła kartkę ze swej torebki i porównała litery.

– Są identyczne – stwierdziła z przekonaniem.

– Jestem pewien, że Scoville nie miałby nic przeciwko temu – stwierdził Malone i rozdarł kopertę.

Wyciągnął z koperty dziewięć kartek papieru. Na jednej z nich znajdowała się notatka napisana tym samym charterem co list, który otrzymała Stephanie.

Ona przyjedzie. Bądź wielkoduszny. Szukałeś tego długo i zasługujesz na to, żeby zobaczyć to na własne oczy. Razem może się wam udać. W Awinionie znajdź Claridona. On wskaże wam drogę. Pren garde l'Ingenieur.

Malone raz jeszcze przeczytał ostatnią linijkę. *Pren garde l'Ingenieur*

– „Strzeżcie się inżyniera". Cóż to znaczy?

– Dobre pytanie.

– W notesie nie ma żadnej wzmianki o jakimś inżynierze?

– Ani słowa.

– „Bądź wielkoduszny". Jak widać, nadawca wiedział, że ty i Scoville nie przepadacie za sobą.

– To irytujące. Nie miałam pojęcia, że ktokolwiek o tym wiedział.

Przejrzał osiem pozostałych kartek papieru.

– To strony z dziennika Larsa. Brakujące strony.

Spojrzał na stempel pocztowy na kopercie. List nadano w Perpigan, na francuskim wybrzeżu. Pięć dni temu.

– Scoville nigdy tego nie otrzymał. Przesyłka nadeszła za późno.

– Ernst został zamordowany, Cotton. To nie ulega wątpliwości.

Zgadzał się z tym stwierdzeniem, lecz coś innego niepokoiło go w tej chwili. Podkradł się do okna i ostrożnie wyjrzał zza firanki.

– Musimy pojechać do Awinionu – stwierdziła Stephanie.

Zgodził się z nią ponownie, ale kiedy spojrzał na pustą ulicę i na coś, co tam było, oznajmił:

– Ale dopiero po tym, jak załatwimy inną sprawę.

DWADZIEŚCIA JEDEN

OPACTWO DES FONTAINES
18.00

De Roquefort stał przed zebranymi. Bracia rzadko wkładali uroczyste stroje. Reguła nakazywała bowiem, by nosili się „bez nadmiernego przepychu i ostentacji”. Konklawe wymagało formalnego ubioru i każdy z uczestników miał obowiązek przywdziać szaty odpowiadające jego zakonnej randze.

Widok był naprawdę imponujący. Rycerze odziani byli w białe wełniane opończe, nałożone na białe komże ze szkarłatnym lamowaniem. Na nogach mieli srebrzyste, połyskujące rajtuzy. Głowę każdego z nich zakrywał biały kaptur. Torsy zdobił emblemat w kształcie krzyża barwy czerwonej, o czterech równych ramionach, poszerzonych na końcach. W talii przewiązani byli czerwonymi pasami, a w miejscu, gdzie kiedyś przytroczony był miecz, widniała teraz kolorowa szarfa, pozwalająca odróżnić rzemieślników, rolników, artystów, urzędników, księży i serwientów, którzy mieli podobne stroje, różniące się jedynie odcieniami zieleni, brązu i czerni. Duchownych odróżniano po białych rękawiczkach.

Reguła wymagała, by obrady konsystorza prowadził marszałek. Był to sposób na zrównoważenie wpływów seneszala, drugiego w hierarchii dostojnika, co miało uniemożliwić zdominowanie przez niego zgromadzenia.

– Bracia moi – zabrał głos de Roquefort. W sali zapadła cisza. – Nadchodzi dla nas czas odnowienia. Musimy wybrać mistrza, zanim jednak rozpoczniemy wybory, poprośmy Boga, by pokierował nami w ciągu następnych godzin.

W świetle żyrandoli wykonanych z brązu de Roquefort patrzył, jak czterystu osiemdziesięciu ośmiu braci pochyla głowy. Wezwanie na konsystorz zostało ogłoszone tuż po świcie, a zatem większość spośród tych braci, którzy pracowali poza murami opactwa, zdążyła powrócić.

Zgromadzili się w górnej sali budowli zwanej *palais*, ogromnej cytadeli wzniesionej w szesnastym stuleciu, o niemal trzydziestometrowej wysokości, dwudziestometrowej średnicy, z murami grubości ponad trzy i pół metra. Kiedyś budynek ten służył za ostatnią linię obrony opactwa, ale od tamtego czasu przemienił się w miejsce odbywania uroczystych ceremonii. W otworach dla łuczników wstawiono witraże, a pokryte żółtym tynkiem ściany ozdabiały teraz malowidła z wizerunkami św. Marcina, Karola Wielkiego oraz Matki Boskiej. Okrągła sala z dwoma rzędami galerii u góry z łatwością pomieściła blisko pięciuset mężczyzn, poza tym oferowała niemal perfekcyjną akustykę.

De Roquefort uniósł głowę i wymienił spojrzenia z czwórką pozostałych członków kapituły. Komandor, który był w jednej osobie kwatermistrzem i skarbnikiem, zaliczał się do jego przyjaciół. De Roquefort całe życie spędził na kultywowaniu znajomości z tym niezbyt wylewnym człowiekiem i miał nadzieję, że wysiłki te przyniosą teraz spodziewane rezultaty. Brat bławatnik, który dbał o odzież dla zakonu, z całą pewnością trzymał stronę marszałka, ale już kapelan, zawiadujący sprawami duchowymi, stanowił problem. De Roquefort nie był w stanie uzyskać niczego konkretnego od tego enecjanina, poza niejasnymi ogólnikami dotyczącymi kwestii oczywistych. Był jeszcze seneszal, który stał teraz, trzymając w dłoniach *beauseanta* – sławetną biało-czarną chorągiew zakonu. Wyglądał na zadowolonego z siebie, odziany w białą czapkę i tunikę z wyhaftowanym na lewym ramieniu emblematem wskazującym na jego wysoką rangę. Na ten widok de Roquefortowi zebrało się na wymioty. Ten mężczyzna nie miał prawa nosić tak szacownego stroju.

– Bracia, konsystorz został zwołany, teraz więc nadeszła pora, by wybrać elektorów na konklawe.

Procedura tylko wydawała się prosta. Z kociołka, w którym znajdowały się karteczki z nazwiskami, losowano jedno. Następnie wybrany brat rozglądał się po zebranych i z własnej woli wybierał kolejnego elektora. Potem losowano kolejne nazwisko z kociołka i kolejną osobę z sali, aż do wytypowania dziesięciu elektorów. System łączył element przypadku i osobiste powiązania, zmniejszając w znakomitym stopniu możliwość sterowania wyborami. De Roquefort, jako marszałek, oraz seneszal byli obligatoryjnie włączeni do puli uczestników konklawe, co dawało w sumie

dwunastu elektorów. Wybór wielkiego mistrza wymagał dwóch trzecich głosów oddanych na zgłoszonego kandydata.

De Roquefort obserwował przebieg wyborów. Kiedy dobiegły końca, wśród elektorów znalazło się czterech rycerzy, jeden duchowny, jeden urzędnik, jeden rolnik, dwóch rzemieślników oraz jeden robotnik. Wielu spośród nich należało do jego popleczników. Ale przeklęty czynnik losowy sprawił, że znalazło się również kilku takich, których lojalność była w najlepszym wypadku wątpliwa.

Dziesięciu mężczyzn wystąpiło do przodu i utworzyło półokrąg.

– Mamy kworum do zwołania konklawe – oznajmił de Roquefort. – Konsystorz tym samym zostaje zakończony. Zaczynajmy więc.

Bracia zsunęli z głowy kaptury, na znak, że można rozpoczynać debatę. Konklawe nie wymagało tajności obrad. Wręcz przeciwnie: zgłaszanie kandydatur, dyskusja oraz głosowanie były kwestią otwartą przed resztą bractwa. Reguła nakazywała jednak, by obserwatorzy się nie odzywali.

De Roquefort i seneszal zajęli miejsce wraz z innymi. Marszałek nie przewodził już obradom: w trakcie konklawe wszyscy elektorzy mieli równe prawa. Jeden z dwunastki, starszy wiekiem rycerz z gęstą siwą brodą, zabrał głos jako pierwszy:

– Nasz marszałek, mąż, który chronił ten zakon przez wiele lat, powinien zostać następnym wielkim mistrzem. Zgłaszam jego kandydaturę.

Dwóch innych elektorów poparło go, a w ten sposób przy wymaganym minimum trzech głosów popierających propozycja została zaakceptowana.

Inny z dwunastki mnichów, jeden z rzemieślników, rusznikarz, wystąpił do przodu:

– Sprzeciwiam się dyshonorowi, który spotkał zmarłego wielkiego mistrza. Był dobrym człowiekiem, miłował ten zakon. Nie powinno mu się odmówić wpisu do kronik. Zgłaszam kandydaturę seneszala.

Dwóch jeszcze elektorów poparło tę kandydaturę.

De Roquefort stał nieruchomo. Linia frontu została więc wyznaczona.

Niech rozpocznie się wojna.

Debata trwała już ponad godzinę. Reguła nie ustalała limitu czasu na konklawe, lecz wymagała, żeby wszyscy jej uczestnicy stali. Pomysł ten miał wykluczyć zbyt długie obrady. Jak dotąd nikt jeszcze nie zażądał głosowania. Każdy spośród dwunastki elektorów dysponował takim

prawem, lecz ponieważ żaden nie chciał zmarnować głosu – byłoby to oznaką słabości – z reguły głosowanie zarządzano dopiero z chwilą, gdy wymagane dwie trzecie głosów wydawały się być pewne.

– Niezbyt mi się podobają twoje plany – z tymi słowami jeden z członków konklawe, duchowny, zwrócił się do seneszala.

– Nie byłem nawet świadom tego, że mam jakiś plan.

– Zamierzasz kontynuować politykę zmarłego wielkiego mistrza. A ta należy już do przeszłości. Prawda to czy nie?

– Zamierzam dochować wierności złożonej przysiędze, podobnie jak powinieneś uczynić i ty, bracie.

– W przysiędze, którą składałem, nie było mowy o słabości – odparł ksiądz. – Nie wymaga też ona ode mnie zgody na to, żeby świat pozostawał w niewiedzy.

– Strzegliśmy wiedzy o nas przez stulecia. Dlaczego chcesz, abyśmy to zmienili?

Kolejny uczestnik konklawe wystąpił naprzód:

– Jestem zmęczony tą hipokryzją. Przyprawia mnie o nudności. Nasz zakon omal nie został zmieciony z ziemi, w następstwie chciwości i ignorancji. Nadeszła pora na rewanż.

– Ale w jakim celu? – postawił pytanie seneszal. – Cóż mielibyśmy zyskać w ten sposób?

– Sprawiedliwość! – wykrzyknął jeden z rycerzy, a kilku innych członków konklawe wyraziło aprobatę.

De Roquefort zdecydował, iż nadszedł czas, by włączyć się do dyskusji.

– Ewangelia głosi: „Niech ten, który szuka, nie przestaje szukać, aż znajdzie. A kiedy znajdzie, nie zazna spokoju. Kiedy nie zazna spokoju, ogarnie go zdumienie i będzie sprawował władzę nad wszystkim”[3].

Seneszal spojrzał na niego.

– Tomasz powiedział również: „Jeśli wasi przywódcy mówią wam: «Spójrzcie, królestwo jest w niebie», wtedy ptaki na niebie dotrą tam przed wami. Jeśli mówią wam, że jest w morzu, wtedy ryby dotrą tam przed wami”.

– Nigdy nie dotrzemy do celu, jeśli nie zejdziemy z obecnej ścieżki – odparował de Roquefort.

Kilku elektorów skinęło głowami – zbyt mało jednak, by wezwać do głosowania.

Seneszal wahał się przez chwilę.

– Pytam ciebie, marszałku – podjął. – Jakie są twoje plany, jeśli zostaniesz wybrany? Czy możesz nam je wyjawić? Czy też uczynisz tak jak Jezus, ujawniając swoje tajemnice wyłącznie tym, którzy są tego godni, tak aby lewica nigdy nie wiedziała, co czyni prawica?

De Roquefort skorzystał z okazji, by przedstawić bractwu własną wizję.

– Jezus powiedział również: „Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało wyjść na jaw”[4].

– Cóż więc mielibyśmy uczynić, twoim zdaniem?

Marszałek rrozejrzał się badawczym wzrokiem po sali, od parteru do galerii. Nadeszła jego chwila.

– Powróćcie myślami do przeszłości. Do samych Początków, kiedy tysiące naszych braci składało przysięgę, kiedy w naszych szeregach stali dzielni mężczyźni, którzy podbili Ziemię Świętą. W kronikach zapisana jest opowieść o załodze pewnej twierdzy, którą utraciliśmy na rzecz Saracenów. Po przegranej bitwie dwustu spośród wziętych w niewolę rycerzy zyskało możliwość ocalenia życia, pod warunkiem, że porzucą Chrystusa i przejdą na islam. Każdy z nich wolał jednak uklęknąć przed muzułmaninem i oddać głowę. Takie jest nasze dziedzictwo. Krucjaty były naszymi krucjatami

Odczekał moment, by słowa te wywarły spodziewany efekt.

– I dlatego właśnie trudno nam pogodzić się z wydarzeniami z piątku trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku. To dzień tak niesławny i tak nikczemny, że dla zachodniej cywilizacji jest synonimem nieszczęścia. Tysiące naszych braci zostało niesłusznie aresztowanych. Jednego dnia byli Ubogimi Rycerzami Chrystusa i Świątyni Salomona, uosobieniem wszelkiego dobra, gotowymi umrzeć za Kościół, za papieża, za Boga. Następnego dnia zaś zostali oskarżeni o herezję. A jakie były zarzuty? Mieli ponoć pluć na krzyż, wymieniać obsceniczne pocałunki i odbywać sekretne spotkania, a także oddawać hołd kotom, praktykować sodomię i bałwochwalczo oddawać cześć bożkowi z brodatą męską głową – kontynuował de Roqufort. – W oskarżeniach nie kryła się nawet krztyna prawdy, lecz naszych braci poddano torturom, wielu z nich nie wytrzymało mąk i przyznało się do niepopełnionych grzechów. Stu dwudziestu templariuszy spłonęło na stosie.

Przerwał ponownie.

– Naszym dziedzictwem jest wstyd, a w podręcznikach historii piszą o nas jedynie podejrzliwie i niepochlebnie.

– Cóż więc chciałbyś ogłosić światu? – zapytał seneszal opanowanym głosem.

– Prawdę.

– Dlaczegóż ludzie mieliby dać ci wiarę?

– Gdyż nie będą mieli wyboru – oparł de Roquefort.

– Dlaczego miałoby się tak stać?

– Ponieważ zdobędę dowód.

– Czyżbyś zdołał natrafić na ślad naszego Wielkiego Dziedzictwa?

Seneszal postanowił przycisnąć przeciwnika w tym słabym punkcie, lecz nie mógł jednocześnie okazać własnej słabości.

– Mam je niemal w zasięgu ręki.

Na galerii rozległy się donośne głosy niedowierzania i zdziwienia.

Twarz seneszala nie zmieniła wyrazu.

– Chcesz nam wmówić, że po siedmiuset latach odnalazłeś nasze zagubione archiwa? Odnalazłeś też nasz skarb, który tak bardzo kusił Filipa Pięknego?

– To również jest niemal w zasięgu mojej ręki.

– Odważne słowa, marszałku.

De Roquefort spojrzał po twarzach braci.

– Prowadziłem poszukiwania przez dziesięć lat. Tropy są trudne do rozszyfrowania, ale wkrótce znajdę się w posiadaniu dowodu, którego świat nie będzie w stanie odeprzeć. Nie ma też znaczenia, czy zmieni to podejście wielu ludzi. Ważniejsze jest, iż osiągniemy zwycięstwo, udowadniając, że nasi bracia nie byli heretykami. Wszyscy oni zostaną uznani za świętych.

W tłumie zebranych rozległ się aplauz. Marszałek wykorzystał tę chwilę.

– Kościół rzymskokatolicki rozwiązał nasz zakon, utrzymując, iż jesteśmy bałwochwalcami, ale ten sam Kościół oddaje cześć własnym idolom, z wielką celebrą i pompą – oznajmił, przerwał na moment, potem ponownie przemówił mocnym głosem. – Odbiorę Całun.

Aplauz wzmógł się. Owacje był gromkie i długotrwałe. Stanowiło to złamanie Reguły, ale najwyraźniej nikt się tym nie przejmował.

– Kościół nie ma prawa do naszego Całunu! – zawołał de Roquefort, starając się przekrzyczeć oklaski. – Nasz wielki mistrz, Jakub de Molay, był torturowany i spłonął na stosie. Jakiegoż to przestępstwa się dopuścił? Był

lojalnym sługą swego Boga i swego papieża. Jego scheda nie jest ich schedą; jest naszym dziedzictwem. Dysponujemy środkami, by osiągnąć ten cel. Niech się zatem tak stanie pod moimi rządami!

Seneszal wręczył *beauseanta*, sztandar zakonu, stojącemu obok zakonnikowi, potem podszedł do marszałka.

– Co z tymi, którzy nie podzielają twoich przekonań?

– „Ktokolwiek szuka, ten znajdzie; ktokolwiek zastuka, ten zostanie wpuszczony”[5].

– A co z tymi, którzy nie zechcą podążyć za tobą?

– Ewangelia również jest w tym względzie jednoznaczna. „Biada wam, którzy dajecie posłuch złym demonom”[6].

– Jesteś niebezpiecznym człowiekiem.

– Nie, seneszalu, to ty stanowisz zagrożenie. Przyszedłeś do nas całkiem niedawno, nie było w tobie wielkiej wiary. Nie masz pojęcia o naszych potrzebach; znasz tylko potrzeby swoje i zmarłego wielkiego mistrza, które brałeś za nasze oczekiwania. Poświęciłem całe swe życie temu zakonowi. Nikt poza tobą nigdy nie zakwestionował moich zdolności. Zawsze byłem oddany ideałom, które raczej złamałbym niż je nagiął – oświadczył de Roquefort, potem odwrócił się od swego przeciwnika i dał gestem znak pozostałym członkom konklawe. – Wystarczy. Żądam głosowania.

Reguła stanowiła, że w takiej sytuacji debata dobiegała końca.

– Oddam głos jako pierwszy – podjął marszałek. – Głosuję na siebie samego. Wszyscy ci, którzy się zgadzają, niech pójdą moim śladem.

Patrzył, jak dziesięciu pozostałych mężczyzn zastanawia się nad podjęciem decyzji. Wcześniej stali w milczeniu, przysłuchując się jego konfrontacji z seneszalem, ale słuchali tak bacznie, że musieli go zrozumieć. Oczy de Roqueforta spoglądały karcąco na grupę elektorów. Jego wzrok skoncentrował się gniewnie na kilku tych, których uważał za całkowicie sobie oddanych.

Ręce zaczęły się unosić w górę.

Jedna. Trzy. Cztery. Sześć.

Siedem.

Marszałek zdobył więc dwie trzecie głosów, lecz pragnął więcej. Wstrzymał się zatem jeszcze chwilę z ogłoszeniem zwycięstwa.

Wszystkich dziesięciu elektorów zagłosowało na niego.

Rozbrzmiały wiwaty.

W dawnych czasach poderwano by go z ziemi i zaniesiono do kaplicy, gdzie odprawiono by mszę w jego intencji. Później odbyłaby się uroczysta feta, jedna z nielicznych okazji, kiedy zakonne bractwo oddawało się uciesze. Ale tak było w odległej przeszłości. Teraz mężczyźni zaczęli skandować jego imię i bracia, których życie toczyło się na co dzień w świecie pozbawionym emocji, okazywali aprobatę i zadowolenie, głośno klaszcząc. Aplauz przeszedł w okrzyk: „*Beauseant!*” – a słowo to odbijało się echem od murów sali.

Bądź pełen chwały.

De Roquefort spojrzał surowym wzrokiem na seneszala, który stał nieruchomo obok niego. Ich oczy spotkały się, marszałek zaś dał młodszemu mężczyźnie do zrozumienia spojrzeniem, że sukcesor namaszczony przez zmarłego wielkiego mistrza nie tylko przegrał walkę, lecz także jego życie znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

DWADZIEŚCIA DWA

RENNES-LE-CHÂTEAU
21.30

Stephanie rozglądała się po domu, który należał do jej zmarłego męża.

Była to budowla typowa dla tego regionu. Mocna podłoga z grubych desek, belkowany sufit, kamienny kominek, proste meble z sosnowego drewna. Dom nie był zbyt obszerny, ale w zupełności wystarczał, by zmieściły się w nim dwie sypialnie, salon, łazienka, kuchnia oraz warsztat. Lars uwielbiał obrabiać drewno i już wcześniej zwróciła uwagę, że tokarka, noże, dłuta i pilniki są na miejscu, zawieszone na specjalnej desce i przyprószone odrobiną drewnianego pyłu. Miał talent do obrabiania drewna. Wciąż posiadała miski, pudełka i świeczniki, które wyczarowywał z miejscowego drewna.

W trakcie ich małżeństwa była tutaj zaledwie parę razy. Ona i Mark mieszkali w Waszyngtonie, później w Atlancie. Lars zamieszkiwał głównie w Europie, a ostatnie dziesięć lat spędził tutaj, w Rennes. Żadne z nich nigdy nie naruszało przestrzeni drugiego bez uprzedniej zgody. Chociaż w większości spraw się różnili, zawsze byli wobec siebie uprzejmi. Być może za bardzo, myślała sobie nieraz.

Zawsze była przekonana, że Lars kupił ten dom z tantiem otrzymanych za pierwszą książkę, lecz teraz dowiedziała się, że w kupnie pomógł mu Henrik Thorvaldsen. To zresztą pasowało do Larsa. Nigdy nie przywiązywał specjalnej wagi do pieniędzy – wszystko, co zarobił, wydawał na podróże i pasję swego życia, a obowiązek zapłaty rodzinnych rachunków spadał na nią. Dopiero ostatnio spłaciła kredyt zaciągnięty na sfinansowanie studiów Marka. Syn kilka razy proponował jej przejęcie spłaty kredytu, zwłaszcza gdy byli z już z Larsem w separacji, lecz ona zawsze odmawiała. Obowiązkiem rodziców jest wykształcenie dzieci, ona zaś traktowała swoje zobowiązania z powagą. Czasem myślała sobie, że może nawet z przesadną powagą.

Ona i Lars nie rozmawiali ze sobą w ogóle w ciągu kilku miesięcy przed jego śmiercią. Ich ostatnie spotkanie nie było zbyt udane: odbyli kolejną kłótnię na temat pieniędzy, odpowiedzialności i rodziny. Podejmowane przez nią próby obrony we wczorajszej rozmowie z Herikiem Thorvaldsenem nie zabrzmiały przekonująco, lecz ona nigdy nie zdawała sobie sprawy, że ktokolwiek znał prawdę o ich separacji. Najwyraźniej jednak Duńczyk wiedział. Być może był blisko związany z Larsem. Niestety, ona nigdy już się tego nie dowie. Chodziło też o samobójstwo jej męża – zakończenie cierpień jednej osoby tylko przedłużało męczarnie i katusze tych, którzy pozostali wśród żywych. Chciała więc pozbyć się tego ciężaru, który dręczył duszę. Pewien pisarz określił go mianem bólu porażki, a ona się z tym określeniem zgadzała.

Zakończyła obchód domu i weszła do salonu, siadając naprzeciwko Malone’a, który od kolacji pogrążony był lekturze dziennika Larsa.

– Twój mąż okazuje się niezwykle skrupulatnym badaczem – oznajmił.

– Mnóstwo tych rzeczy jest tajemniczych, podobnie jak on sam.

Wydawało mu się, iż wyczuwa w niej frustrację.

– Chcesz mi opowiedzieć o swym poczuciu odpowiedzialności za jego samobójstwo?

Pozwoliła mu się wtrącić. Musiała o tym z kimś porozmawiać.

– Nie czuję się odpowiedzialna, lecz częściowo przyczyniłam się do tego. Oboje byliśmy dumni. A także uparci. Pracowałam w Departamencie Sprawiedliwości, Mark dorósł i zaczęto mówić, że zostanę szefową wydziału, skupiłam się więc nad tym, co moim zdaniem było ważne. Lars ze swej strony uczynił to samo. Niestety, żadne z nas nie doceniło potrzeb drugiego.

– Łatwo to dostrzec teraz, po latach. Wtedy raczej nie mogłaś tego wiedzieć.

– Ale wciąż pozostaje problem, Cotton. Ja jestem tu, a jego nie ma.

Ciężko jej było mówić o własnych uczuciach, ale czuła potrzebę wyrzucenia tego z siebie.

– Lars był utalentowanym pisarzem i zdolnym naukowcem. Pamiętasz wszystko to, co opowiedziałem ci o księdzu Saunière i o tym mieście? Jak bardzo to było interesujące? Gdybym poświęciła temu choć odrobinę uwagi, kiedy jeszcze żył, być może wciąż byłby tu z nami. – Zamilkła na chwilę. – Był niespotykanie spokojnym człowiekiem. Nigdy nie podnosił

głosu. Nigdy nie powiedział złego słowa. Jego bronią było milczenie. Potrafił chodzić całe tygodnie i nie odzywać się do nikogo. To doprowadzało mnie do furii.

– To akurat rozumiem – uśmiechnął się.

– Wiem. Ten mój porywczy charakter. Lars też nigdy nie potrafił sobie z nim poradzić. W końcu podjęliśmy decyzję, że najlepiej będzie, jeśli on będzie żył swoim życiem, a ja swoim. Żadne z nas nie pragnęło rozwodu.

– A to mówi wiele o tym, co Lars o tobie sądził. Nic dodać.

– Nigdy tego nie dostrzegłam. Zawsze widziałam tylko Marka między nami. On jednak był silniej związany z Larsem. Wtedy trudno było mi się z tym pogodzić. Lars nie był taki. Poza tym Mark odziedziczył po ojcu zainteresowanie religią. Byli tak bardzo podobni do siebie. Mój syn wybrał ojca, nie mnie, a ja wymusiłam na nim ten wybór. Thorvaldsen miał rację. Jak na kogoś, kto tak dobrze wywiązuje się z obowiązków służbowych, okazałam się całkowicie nieskuteczna w sferze życia osobistego. Zanim zginął Mark, nie rozmawiałam z nim przez trzy lata. – Prawdziwość tego wyznania boleśnie rozdarła jej duszę. – Czy jesteś w stanie sobie to wyobrazić, Cotton? Mój syn i ja przez trzy lata nie odezwaliśmy się do siebie nawet słowem.

– Co spowodowało ten rozłam?

– On wziął stronę ojca, więc ja poszłam swoją drogą, a oni swoją. Mark mieszkał wtedy we Francji. Ja zostałam w Ameryce. Po jakimś czasie ignorowanie go stało się łatwe. Nigdy nie pozwól, by coś takiego przydarzyło się tobie i Gary’emu. Rób wszystko, co trzeba, ale nigdy nie pozwól, by to się stało.

– Dopiero co przeprowadziłem się w miejsce oddalone od niego o sześć i pół tysiąca kilometrów.

– Ale twój syn cię podziwia. Te kilometry znaczą niewiele.

– Długo się zastanawiałem, czy postąpiłem właściwie.

– Musisz żyć po swojemu, Cotton. Iść swoją drogą, twój syn zdaje się to szanować, mimo młodego wieku. Mój był znacznie starszy i o wiele bardziej surowy wobec mnie.

Spojrzał na zegarek.

– Słonce zaszło dwadzieścia minut temu. Już prawie czas.

– Kiedy po raz pierwszy zauważyłeś, że jesteśmy śledzeni?

– Tuż po naszym przybyciu. Dwóch mężczyzn. Obaj podobni do tych z katedry. Śledzili nas w drodze na cmentarz, potem w trakcie przechadzki na mieście. Teraz są na zewnątrz.

– Nie grozi nam, że wejdą do środka?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Są tu po to, by nas obserwować.

– Rozumiem teraz, dlaczego odszedłeś z firmy. Niepokój. To ciężka robota. Nigdy nie mogłeś sobie pozwolić na mniejszą czujność. Miałeś rację w Kopenhadze: nie jestem agentem operacyjnym.

– W moim wypadku problem pojawił się z chwilą, kiedy polubiłem wyrzuty adrenaliny do krwi. To zaś prosta droga do tego, by dać się zabić.

– Wszyscy prowadzimy stosunkowo bezpieczną egzystencję. Ale kiedy inni śledzą każdy twój ruch i mają zamiar cię zabić…? Teraz rozumiem, jak to na ciebie działało. W końcu musiałeś wyrwać się z tego.

– Szkolenie pomaga ci zapanować nad strachem. Uczysz się, jak radzić sobie z niepewnością. Ty jednak nigdy nie byłaś szkolona – dodał i uśmiechnął się. – Ty po prostu dowodzisz.

– Mam nadzieję, iż pamiętasz, że nie chciałam cię w to angażować.

– Dałaś mi to jasno do zrozumienia.

– Mimo to jestem zadowolona z twojej obecności.

– Za żadne skarby nie zrezygnowałbym z takiej okazji.

Uśmiechnęła się.

– Byłeś najlepszym agentem operacyjnym, jaki kiedykolwiek służył pode mną.

– Miałem po prostu najwięcej szczęścia i dostatecznie dużo rozumu, by wiedzieć, kiedy powinienem odejść.

– Peter Hansen i Ernst Scoville zostali zamordowani – powiedziała, a po chwili wyznała to, w co od pewnego czasu wierzyła. – Być może Lars również. Człowiek w katedrze chciał, żebym sobie to uświadomiła. W ten sposób wysłał jakiś przekaz.

– Od strony logicznej to wielki skok.

– Wiem, brak dowodów, ale mam przeczucie i chociaż nie jestem agentem operacyjnym, przywykłam ufać przeczuciom. A jednak, jak powtarzałam ci zawsze, nie można wyciągać wniosków, opierając się wyłącznie na poszlakach. Trzeba dotrzeć do faktów. Cała ta sprawa jest osobliwa i dziwaczna.

– Opowiedz mi o tym. O templariuszach. Tajemniczych znakach na nagrobkach. O duchownych, którzy odnajdują skarby.

Spojrzała na fotografię Marka, stojącą na małym stoliku. Zdjęcie zrobione kilka miesięcy przed jego śmiercią. W pełnej życia twarzy młodego człowieka dostrzegła ogromne podobieństwo do Larsa. Ten sam dołek na podbródku, jasne oczy i śniada cera. Dlaczego pozwoliła, by sprawy ułożyły się tak fatalnie?

– To dziwne, że ta fotografia tutaj stoi – skomentował Malone, dostrzegając jej zainteresowanie.

– Sama ją postawiłam podczas ostatniego pobytu. Przed pięcioma laty. Tuż po zejściu lawiny.

Trudno uwierzyć, że jej jedyne dziecko odeszło z tego świata już pięć lat temu. Dzieci nie powinny umierać w przekonaniu, że rodzice nie darzyli ich miłością. W odróżnieniu od męża, z którym była w separacji i który posiadał grób, jej syn leżał zagrzebany pod tonami pirenejskiego śniegu gdzieś o pięćdziesiąt kilometrów na południe.

– Muszę to zakończyć – wymamrotała do fotografii załamującym się głosem.

– Wciąż nie mam pewności, czym jest to.

Ona również nie miała tej pewności.

Malone wskazał gestem na dziennik.

– Przynajmniej wiemy teraz, gdzie znaleźć Claridona w Awinionie, o czym wzmiankował list wysłany do Ernsta Scoville’a. Ten człowiek nazywa się Royce Claridon. W dzienniku jest o nim mowa oraz jego adres. Lars się z nim przyjaźnił.

– Zastanawiałam się, kiedy to odkryjesz.

– Czy jeszcze coś przeoczyłem?

– Trudno rozstrzygnąć, co jest ważne. W dzienniku poruszanych jest wiele tematów.

– Musisz przestać mnie okłamywać.

Czekała teraz na srogą reprymendę.

– Wiem.

– Nie będę w stanie ci pomóc, jeśli będziesz ukrywała fakty.

Rozumiała to.

– A te brakujące strony przesłane do Scoville’a? Jest w nich coś ciekawego?

– Ty mi powiedz – odparł i wręczył jej osiem kartek.

Doszła do wniosku, że zmiana tematu odciągnie jej myśli od Larsa i Marka, przejrzała więc zapisane ręcznie ustępy. Większość z nich była pozbawiona większego znaczenia, lecz jeden fragment spowodował, że znów poczuła boleść w sercu.

…Saunière z pewnością troszczył się o swą kochankę. Przyszła do niego, kiedy jej rodzina przeprowadziła się do Rennes. Jej ojciec i brat byli zdolnymi rzemieślnikami, a matka objęła posadę gospodyni na plebanii. Działo się to w 1892 roku, w rok po niezwykłym odkryciu Saunière'a. Kiedy potem jej rodzina wprowadziła się z Rennes, ona pozostała z księdzem aż do jego śmierci dwadzieścia lat później. W pewnym momencie przepisał wszystko, co posiadał, na jej nazwisko, co jedynie potwierdza, jakim bezwarunkowym zaufaniem ją darzył. Ze swej strony ona była mu całkowicie oddana, dochowując jego tajemnicy aż do chwili, kiedy po trzydziestu sześciu latach wydała ostatnie tchnienie. Zazdroszczę Saunière'owi. Zaznał bezwarunkowej miłości kobiety i odwzajemnił ją równie bezwarunkowym zaufaniem oraz szacunkiem. Niewątpliwie należał do mężczyzn, których trudno zadowolić; był człowiekiem dążącym do osiągnięć, dzięki którym ludzie mieliby go zapamiętać. Krzykliwe dekoracje, które ufundował w kościele św. Marii Magdaleny, zdają się być jego dziedzictwem. Nie zachował się żaden dokument, na którego podstawie można by sądzić, że choć jeden raz kochanka mu się sprzeciwiła. Wszystkie relacje potwierdzają, że była oddaną kobietą, wspierającą swego dobroczyńcę we wszelkich poczynaniach. Z pewnością dochodziło między nimi do sporów i utarczek, lecz koniec końców zawsze stała przy boku Saunière'a, aż do dnia jego śmierci, a także już po jego odejściu z tego świata, przez niemal cztery kolejne dziesięciolecia. Oddanie ma wiele barw i odcieni. Mężczyzna potrafi dokonać wiele, gdy czuje wsparcie kobiety, którą darzy miłością, nawet jeśli w jej przekonaniu jego czyny graniczą z głupotą czy niedorzecznością. Z pewnością kochanka Saunière'a niejeden raz kręciła głową z dezaprobatą, widząc absurdalny charakter jego działań. Zarówno Willa Betania, jak i Magdala musiały być w tamtych czasach

groteskowe. Nigdy jednak nie ulała kropli wody, która miałaby wygasić w nim ogień. Jej oddanie było do tego stopnia głębokie, że pozwoliła mu być tym, kim być pragnął. Rezultat tego poświęcenia widzimy dzisiaj, gdy tysiące ludzi rok w rok przyjeżdża do Rennes. To właśnie jest dziedzictwo Saunière'a. Przetrwanie tego dziedzictwa natomiast to jej zasługa.

– Dlaczego dałeś mi do przeczytania te strony? – zapytała Stephanie Malone'a.

– Ta lektura dobrze ci zrobi.

Skąd nadeszły teraz wszystkie te duchy? Być może w Rennes nie krył się żaden skarb, ale miejsce to roiło się od demonów, które chciały ją dręczyć.

– Kiedy otrzymałam dziennik, a potem przeczytałam go, zdałam sobie sprawę, że nie byłam sprawiedliwa w stosunku do Larsa i Marka. Wierzyli w sens prowadzonych poszukiwań, podobnie jak ja byłam przekonana o słuszności tego, co robię w agencji. Mark zwykł był mawiać, że byłam nastawiona negatywnie do wszystkiego.

Przerwała na moment w nadziei, że duchy zmarłych słuchają jej słów.

– W chwili, gdy znów zobaczyłam dzienniki, zdałam sobie sprawę z popełnionych błędów. Cel, do którego dążył Lars, cokolwiek to było, miał dla niego ogromne znaczenie, powinien więc mieć również ogromne znaczenie dla mnie. Dlatego właśnie tu przyjechałam, Cotton. Jestem im to winna – wyznała, spoglądając na niego zmęczonymi oczyma. – Bóg jeden wie, jak bardzo jestem im to winna. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że stawka jest tak wysoka.

Znowu zerknął na zegarek, potem skierował wzrok na pociemniałe już okna.

– Pora przekonać się, jak wysoka jest ta stawka. Poradzisz sobie tutaj w pojedynkę?

Wzięła się w garść i skinęła głową.

– Zajmę się czymś. Ty zajmij się pozostałymi.

DWADZIEŚCIA TRZY

Malone wyszedł z budynku przez frontowe drzwi, nie starając się ukryć. Dwójka mężczyzn, których zauważył już wcześniej, ustawiła się przy drugim końcu ulicy, tuż przy rogu w pobliżu murów miejskich, skąd mogli obserwować dom Larsa Nelle. Szkopuł polegał na tym, że aby go śledzić, musieli pójść tą samą opuszczoną uliczką. Amatorzy. Profesjonaliści rozdzieliliby się. Stanęliby na obu końcach ulicy, gotowi w każdej chwili ruszyć w dowolnym kierunku. Podobnie jak w Roskilde, ten wniosek wytłumił w nim niepokój. Pozostał jednak czujny, zastanawiając się, któż tak bardzo interesuje się poczynaniami Stephanie.

Czy rzeczywiście mogli to być współcześni templariusze?

Tam w domu lament Stephanie sprawił, że pomyślał o Garym. Ból po śmierci dziecka trudno wyrazić. Nie był w stanie wyobrazić sobie jej żalu i smutku. Może po przejściu na emeryturę powinien był zostać w Georgii, ale Gary nie chciał nawet o tym słyszeć. „Nie martw się o mnie – powiedział. – Przyjadę do ciebie”. Chłopak miał czternaście lat, ale już myślał całkiem rozsądnie. A mimo to ta decyzja wciąż dręczyła Malone’a, zwłaszcza teraz, gdy znów nadstawiał karku w cudzej sprawie. Chociaż jego ojciec był pod tym względem podobny – zginął, gdy dowodzony przez niego okręt podwodny zatonął na północnym Atlantyku w trakcie manewrów. Malone miał wtedy dziesięć lat i pamiętał, jak bardzo jego matka przeżywała tę śmierć. Podczas nabożeństwa żałobnego odmówiła nawet przyjęcia złożonej flagi, którą chcieli jej wręczyć członkowie warty honorowej. Ale później przyjęła sztandar i od tego czasu czerwono-biało-niebieski kawałek tkaniny pozostawał przy nim. Nie miał grobu, który mógłby odwiedzać, ta flaga była więc jedynym fizycznym przypomnieniem człowieka prawie mu nieznanego.

Doszedł do końca ulicy. Nie zamierzał oglądać się, by sprawdzić, czy jeden z tych ludzi śledzi go, a drugi pozostaje i pilnuje domu Nelle’a.

Skręcił w lewo i skierował się w stronę włości Saunière’a.

Rennes z pewnością nie było miejscem intensywnego życia nocnego. Zaryglowane drzwi i zamknięte okiennice wskazywały mu drogę. Restauracja, księgarnia oraz budki były już zamknięte. Ciemność powoli pogrążała uliczkę w głębokich cieniach. Wiatr jęczał wśród kamiennych ścian niczym udręczona dusza. Sceneria przypominała Malone'owi powieści Dumasa, jak gdyby życie mówiło tutaj jedynie szeptem.

Szedł, nie kryjąc się wcale, stromym podejściem w kierunku kościoła. Willa Betania oraz plebanie były zamknięte na cztery spusty, natomiast park za nimi oświetlało słabo światło półksiężyca, przebijające się między chmurami szybko sunącymi po niebie.

Brama do przykościelnego cmentarza pozostała otwarta, zgodnie z przewidywaniami Stephanie. Ruszył prosto w tym kierunku, wiedząc, że ten, kto go śledzi, podąży za nim. Gdy tylko znalazł się w środku, wykorzystał mrok i skrył się szybko za pniem ogromnego wiązu. Spojrzał do tyłu i zobaczył, jak jego „ogon" przyspiesza i wchodzi na teren cmentarza. Gdy mężczyzna mijał drzewo, Malone wyskoczył i rąbnął go pięścią w brzuch. Odczuł ulgę, gdy przekonał się, że intruz nie ma na sobie kamizelki kuloodpornej. Wymierzył drugi cios w szczękę, posyłając prześladowcę na ziemię, a potem gwałtownym szarpnięciem postawił go na nogi.

Młody mężczyzna był niski, muskularny, miał gładko ogoloną twarz i jasne, krótko przycięte włosy. Był nieco zamroczony, gdy Malone obmacywał go i szybko natrafił na wypukłość wskazującą na ukrytą broń. Sięgnął pod kurtkę i wyciągnął pistolet. Beretta bobcat. Produkcji włoskiej. Niewielka półautomatyczna broń krótka, pomyślana jako ostatnia deska ratunku. Kiedyś sam taką nosił. Przyłożył lufę do szyi mężczyzny i docisnął go mocno do pnia drzewa.

– Nazwisko twojego pracodawcy, proszę.

W odpowiedzi usłyszał tylko milczenie.

– Rozumiesz po angielsku?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy, gdy wciąż głęboko wciągał powietrze i próbował dojść do siebie.

– Ponieważ rozumiesz moje pytanie, to zapewne pojmiesz i to?

Malone odbezpieczył pistolet.

Mężczyzna zesztywniał, co stanowiło znak, że zrozumiał przekaz.

– Twój pracodawca.

Rozległ się huk wystrzału, a kula wbiła się z głuchym odgłosem w pień drzewa tuż ponad ich głowami. Malone odwrócił się gwałtownie i zobaczył kontury sylwetki stojącej w odległości trzydziestu metrów, w miejscu, gdzie belweder stykał się z murem cmentarza. Ten ktoś trzymał karabin w rękach.

Padł kolejny strzał i tym razem kula odbiła się od gruntu zaledwie o kilka centymetrów od jego stopy. Zwolnił uścisk, a jego ofiara uciekła pędem z dziedzińca parafii.

Teraz jednak dużo bardziej zajmował go strzelec.

Dostrzegł, jak postać opuszcza taras i znika, wracając na belweder. Poczuł nagły przypływ energii. Z pistoletem w dłoni wybiegł z cmentarza i popędził w kierunku wąskiego przejścia pomiędzy Betanią a kościołem. Przypomniał sobie rozkład z wcześniejszego pobytu. Park z drzewami znajdował się z tyłu, na końcu znajdował się podniesiony belweder, miał kształt litery U i dochodził do wieży Magdala.

Zbiegł do ogrodu i dostrzegł biegnącą postać. Jedyna droga na górę prowadziła kamiennymi schodami. Popędził co tchu w ich stronę i po chwili przeskakiwał po trzy stopnie naraz. Na szczycie rzadkie powietrze wdarło się do jego płuc, a porywy wiatru zaatakowały go bezlitośnie, napierając na ciało i zwalniając tempo pościgu.

Zauważył, że napastnik kieruje się wprost do Magdali. Zawahał się, czy nie powinien strzelić, ale szarpnął nim nagły poryw wiatru, jak gdyby było to ostrzeżenie. Zastanawiało go, dokąd zmierza napastnik. Na dół nie prowadziły żadne schody, a Magdala była z pewnością zamknięta na noc. Po lewej stronie ciągnęła się balustrada z kutego żelaza, dalej za nią znajdowały się drzewa oraz uskok wysokości trzech metrów, prowadzący do ogrodu. Po prawej stronie, za niskim kamiennym murem znajdowało się urwisko, głębokie na blisko pięćdziesiąt metrów. W pewnym momencie, tak czy inaczej stanie z nim z pewnością twarzą w twarz.

Obszedł taras, przeszedł przez szklarnię i dostrzegł, jak tajemnicza postać wchodzi do Magdali.

Zatrzymał się.

Tego się nie spodziewał.

Przypomniał sobie, co mówiła Stephanie o planie tej budowli. Liczyła około osiemnastu metrów kwadratowych, zwieńczona była okrągłą wieżyczką, pod którą znajdowały się kręte schody prowadzące na dach

obwiedziony flankami. Kiedyś Saunière umieścił we wnętrzu budowli prywatną bibliotekę.

Malone doszedł do wniosku, że nie ma wyboru. Podbiegł truchtem do drzwi, zobaczył, że są otwarte, stanął więc po jednej stronie. Kopnął ciężką drewnianą zasuwę i spodziewał się, że usłyszy strzał.

Strzał jednak nie padł.

Zaryzykował i zerknął do wnętrza. Zobaczył przed sobą puste pomieszczenie. Na dwóch ścianach znajdowały się okna. Żadnych mebli. Ani książek. Jedynie puste drewniane skrzynie oraz dwie ławki pokryte tapicerką Był też wygaszony ceglany kominek. Wtedy Malone pojął.

Dach.

Podszedł do kamiennych schodów. Stopnie były niskie i wąskie. Wchodził na górę prawoskrętną spiralą ku stalowym drzwiom. Spróbował je otworzyć. Ani drgnęły. Nacisnął mocniej. Drzwi były najwidoczniej zamknięte od zewnątrz.

Rozległo się trzaśnięcie drzwi zamykanych na dole.

Zbiegł po schodach i przekonał się, że drugie wyjście jest teraz również zamknięte z zewnątrz. Podszedł do wychodzących na park dwóch okien z małymi szybkami oprawionymi w ołów i dostrzegł, jak czarna postać zbiega z tarasu, chwyta gruby konar i zeskakuje na ziemię z zadziwiającą sprawnością. Następnie postać pobiegła między drzewami w stronę parkingu oddalonego o jakieś trzydzieści metrów, na którym zostawił wcześniej swojego peugeota.

Cofnął się i wystrzelił trzy kule w stronę dwudzielnego okna. Oprawione w ołów szkło pękło, potem wypadło. Podbiegł do przodu i za pomocą pistoletu oczyścił ramy z reszty odłamków. Wszedł na ławkę pod parapetem i przecisnął się przez wąski otwór. Do ziemi miał niecałe dwa metry. Zeskoczył, a potem pobiegł w stronę parkingu.

Wybiegając z ogrodu, usłyszał warkot silnika i zobaczył czarną sylwetkę na motocyklu. Kierowca zatoczył kółko dookoła parkingu, omijając jedyną uliczkę, która prowadziła na parking, i z rykiem silnika wyjechał jednym z wąskich przejść między domami.

Szybko zdecydował się wykorzystać niewielką powierzchnię miasteczka i ruszył pędem krótką uliczką, następnie skręcając w główną drogę. Pomógł mu fakt, że ulica biegła w dół, i słyszał, jak od prawej strony nadjeżdża

motocykl. Druga okazja już się nie trafi, pomyślał. Uniósł pistolet i zwolnił tempo.

Gdy motocyklista wyjechał pędem z uliczki, Malone strzelił dwa razy.

Pierwszy strzał chybił, ale drugi uderzył w ramę pojazdu i odbił się rykoszetem, wzniecając snop iskier.

Motocykl oddalił się szybko przez bramę wjazdową do miasteczka.

W domach zaczęły zapalać się światła. Strzały z pistoletu z pewnością nie były tutaj codziennymi dźwiękami. Wsunął pistolet pod marynarkę, wycofał się inną uliczką i ruszył z powrotem do domu Larsa Nelle. Słyszał za sobą czyjeś głosy. Ludzie wychodzili z domów, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Za kilka minut znów będzie w domu, bezpieczny. Wątpił, czy dwaj inni mężczyźni wciąż się jeszcze tu kręcą, a jeśli nawet tak, to nie stanowili już żadnego problemu.

Ale jedna rzecz nie dawała Malone’owi spokoju.

Zauważył już to, kiedy patrzył, jak strzelec zeskakuje i potem biegnie. Ten ruch był charakterystyczny.

Nie miał stuprocentowej pewności, ale prawie.

Napastnik był kobietą.

DWADZIEŚCIA CZTERY

OPACTWO DES FONTAINES
10.00

Seneszal odnalazł w końcu Geoffreya. Szukał swego asystenta od chwili rozpuszczenia konklawe, i w końcu dowiedział się, że młody mężczyzna zażywa chwil spokoju w jednej z mniejszych kaplic w północnym skrzydle, położonej daleko za biblioteką. Takich miejsc spokoju i ciszy w opactwie było całkiem sporo.

Wszedł do pomieszczenia oświetlonego jedynie płomieniem świec i dostrzegł Geoffreya leżącego na posadzce. Bracia często leżeli krzyżem przed ołtarzem Boga. W okresie nowicjatu przez akt ten okazywali pokorę, własną małość w obliczu majestatu Niebios, a później robili to, żeby pamiętać.

– Musimy porozmawiać – powiedział seneszal cichym głosem.

Jego młody asystent pozostawał przez kilka chwil nieruchomo, potem powoli podniósł się na kolana, przeżegnał się i wstał.

– Powiedz mi dokładnie, co robiliście ty i mistrz.

Nie był w nastroju na fałszywą skromność, a na całe szczęście Geoffrey wydawał się teraz o wiele spokojniejszy niż w Sali Ojców.

– Chciał mieć pewność, że tamte dwie paczki zostaną wysłane pocztą.

– Powiedział dlaczego?

– Dlaczego miałby mówić? Był przecież wielkim mistrzem. A ja tylko pomniejszym bratem.

– Najprawdopodobniej zaufał ci na tyle, by skorzystać z twojej pomocy.

– Mówił, że nie spodoba ci się to.

– Nie jestem taki małostkowy. – Wyczuł, że młody mężczyzna wie więcej. – Powiedz mi.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Mistrz poinstruował mnie, jak mam odpowiedzieć na pytanie o przesyłki. Ale nie mogę powiedzieć nic więcej… dopóki nie wydarzy się więcej.

– Geoffrey, co musi się jeszcze zdarzyć? De Roquefort przejął władzę. Ty i ja jesteśmy praktycznie osamotnieni. Bracia sprzymierzają się z Roquefortem. Co jeszcze musi się wydarzyć?

– Nie ja o tym decyduję.

– De Roquefort nie odniesie sukcesu bez Wielkiego Dziedzictwa. Słyszałeś, jaka była reakcja na konklawe. Bracia opuszczą go, jeśli nie zdoła odnaleźć relikwii. Czy o tym właśnie ty i wielki mistrz rozmawialiście? Czy wielki mistrz powiedział ci więcej niż mnie?

Geoffrey zamilkł, a seneszal dostrzegł nagle w swym asystencie dojrzałość, której wcześniej nigdy nie zauważył.

– Z pokorą muszę przyznać, iż mistrz przewidział zwycięstwo marszałka nad tobą podczas konklawe.

– Co jeszcze powiedział?

– Nic, co mógłbym wyjawić w tej chwili.

Wymijające odpowiedzi coraz bardziej irytowały seneszala.

– Nasz mistrz cechował się błyskotliwym rozumem. Jak widzisz, przewidział to, co się wydarzy. Najprawdopodobniej już wcześniej postanowił, że staniesz się jego wyrocznią. Powiedz mi więc, co powinienem robić? – rzekł, a w jego głosie słychać było wyraźnie błagalny ton.

– Powiedział, żebym w odpowiedzi na to pytanie zacytował słowa Jezusa: „Ten, kto nie darzy nienawiścią ojca i matki, jak ja to czynię, nie może być moim uczniem”.

Słowa te pochodziły z gnostycznej Ewangelii św. Tomasza. Cóż oznaczały w tym kontekście? Seneszal pomyślał o innych, także napisanych przez św. Tomasza: „Ten, kto nie darzy miłością ojca i matki, jak ja to czynię, nie może być moim uczniem”.

– Chciał również, żebym zwrócił twoją uwagę na inne słowa Jezusa: „Niech ten, który szuka, nie przestaje szukać, aż znajdzie”.

– „A kiedy znajdzie, nie zazna spokoju. Kiedy nie zazna spokoju, ogarnie go zdumienie i będzie sprawował władzę nad wszystkim” – dokończył szybko seneszal. – Czy wszystko, co powiedział, jest zagadką?

Geoffrey nie odpowiedział. Był dużo niższy rangą niż seneszal i stawiał dopiero pierwsze kroki na drodze ku wiedzy. Członkostwo w zakonie stanowiło nieustanny postęp w kierunku pełnego gnostycyzmu – była to podróż, która normalnie trwała trzy lata. Geoffrey przybył do opactwa zaledwie przed osiemnastoma miesiącami z domu jezuitów w Normandii, gdzie pozostawiono go jako dziecko. Wychowali go mnisi. Mistrz natychmiast wypatrzył go i poprosił, żeby włączono go w szeregi kapituły zakonu. Seneszal dziwił się tej pochopnej decyzji, ale stary człowiek uśmiechnął się jedynie.

– Nie inaczej uczyniłem w twoim przypadku – powiedział wtedy.

Seneszal położył dłoń na ramieniu swego asystenta.

– Mistrz był zapewne bardzo dobrego zdania na temat twoich zdolności, skoro zwrócił się do ciebie o pomoc.

Na bladej twarzy młodzieńca odmalowała się niezachwiana pewność.

– I nie zawiodę go.

Bracia zakonni podążali różnymi drogami, niektórzy skłaniali się ku administracji. Inni zostawali rzemieślnikami. Wielu znajdowało zajęcie przy samowystarczalności opactwa, ucząc się rzemiosła lub uprawy roli. Nieliczni tylko oddawali się całkowicie kwestiom religijnym. Zaledwie jedna trzecia pasowana była na rycerzy. Geoffrey miał zostać rycerzem w ciągu najbliższych pięciu lat, stosownie do tempa czynionych postępów. Odsłużył już nowicjat i ukończył wymagane elementarne szkolenie. Miał teraz przed sobą rok studiowania świętych pism, zanim złoży pierwszą przysięgę wierności. Cóż za szkoda, pomyślał seneszal, że może stracić wszystko, co do tej pory osiągnął.

– Seneszalu, co z Wielkim Dziedzictwem? Czy można je odnaleźć, jak twierdzi marszałek?

– To nasze wybawienie. De Roquefort nie ma go, ale prawdopodobnie sądzi, że my wiemy, gdzie ono jest. Wiemy?

– Mistrz mówił o tym – słowa wypływały szybko z ust młodego brata, jakby nie miał zamiaru ich wypowiedzieć.

Seneszal czekał na więcej.

– Powiedział mi, że człowiek nazwiskiem Lars Nelle dotarł najbliżej. Że on obrał właściwą drogę. – Na bladej twarzy Geoffreya dało się dostrzec nerwową ekscytację.

Seneszal i mistrz razem wielokrotnie dyskutowali na temat Wielkiego Dziedzictwa. Skarb został zgromadzony jeszcze na długo przed 1307 rokiem, lecz ukrycie go po Czystce miało uniemożliwić Filipowi IV dotarcie do dóbr i wiedzy templariuszy. W ciągu kilku miesięcy przed 13 października Jakub de Molay ukrył wszystko, co zakon posiadał. Niestety, nie zachowała się żadna wzmianka na temat kryjówki, a Czarna Śmierć w końcu zgładziła wszystkich, którzy wiedzieli o niej cokolwiek. Jedyna przesłanka, odnotowana w kronikach zakonu pod datą 4 czerwca 1307 roku, miała postać pytania: „Gdzie najlepiej ukryć kamień?”. Późniejsi wielcy mistrzowie starali się znaleźć odpowiedź na to pytanie i poszukiwali skarbu do czasu, kiedy uznali wszelkie wysiłki za bezcelowe. Dopiero w dziewiętnastym stuleciu na światło dzienne wyszły nowe przesłanki – lecz nie działo się to za sprawą zakonu, ale dzięki dwóm proboszczom sprawującym posługę religijną w miejscowości Rennes-le-Château. Byli to Antoine Bigou i Bérenger Saunière. Seneszal wiedział, że Lars Nelle zgłębił szczegóły ich zdumiewających opowieści, pisząc książkę na ten temat w latach siedemdziesiątych XX wieku, w której objawił światu istnienie malutkiej francuskiej osady oraz związanej z nią rzekomo starodawnej tajemnicy. To, o czym dowiedział się teraz – że Nelle dotarł najbliżej i że podążał właściwą drogą – wydawało mu się prawie nierealne.

Seneszal miał już zadać następne pytanie, kiedy dobiegły ich odgłosy kroków. Obrócił się, gdy czterech braci rycerzy, ludzi, których znał, wkroczyło do kaplicy. Za nimi wszedł de Roquefort, odziany teraz w białą sutannę wielkiego mistrza.

– Knujesz intrygi, seneszalu? – zapytał de Roquefort, a jego oczy miotały błyskawice.

– Już nie – odparł seneszal, zastanawiając się, czy powinien okazać siłę. – Czy potrzebujemy świadków?

– Są tutaj dla twojego dobra. Mimo to mam nadzieję, że odbędzie się to w sposób cywilizowany. Nakładam na ciebie areszt.

– Pod jakim zarzutem? – zapytał seneszal, nie pokazując po sobie, że jest choćby odrobinę zaniepokojony.

– Złamanie złożonej przysięgi.

– Zechciałbyś to wyjaśnić?

– Przed odpowiednim forum. Ci bracia odprowadzą cię do twojej kwatery, gdzie zostaniesz na noc pod strażą. Jutro znajdę dla ciebie bardziej

odpowiednie lokum. Do tego czasu twój następca będzie potrzebował twojej kwatery.

– To bardzo uprzejme z twojej strony.

– Też tak myślę. Powinieneś czuć się szczęśliwy. Od dawna twoim domem powinna być cela pokutna.

Słyszał już o tym. Cela pokutna była żelazną klitką, zbyt małą, by móc w niej stać lub leżeć. Zamknięty w niej więzień musiał siedzieć w kucki, a jego męki zwiększał dodatkowo brak wody i jedzenia.

– Zamierzasz ponownie wykorzystać pokutną celę?

Seneszal dostrzegł, że de Roquefort nie podejmuje wyzwania. Francuz tylko się uśmiechnął. Ten szatan rzadko kiedy pozwalał sobie na uśmiech.

– Moi zwolennicy, w odróżnieniu od twoich, dochowują złożonej przysięgi. Nie muszę sięgać po takie środki.

– Można by pomyśleć, że w to wierzysz.

– Wiedz, że to właśnie twoja bezczelność jest powodem, dla którego przeciwstawiłem się tobie. Ci z nas wyćwiczeni w dyscyplinie poświęcenia nie przemawiają do siebie w sposób tak pozbawiony szacunku. Ale ludzie tacy jak ty, którzy pochodzą ze świata świeckiego, sądzą, że arogancja jest czymś odpowiednim.

– A odmowa wykonania woli naszego mistrza jest okazaniem szacunku?

– To cena, którą zapłacił za swoją z kolei arogancję.

– Został wychowany podobnie jak ty.

– Co świadczy tylko o tym, że my również czasami popełniamy błędy.

Seneszal miał już dość de Roqueforta, więc zebrał się w sobie.

– Domagam się swojego prawa do trybunału – oświadczył.

– To zresztą się stanie. Tymczasem będziesz siedział w odosobnieniu pod strażą.

De Roquefort dał znak. Czwórka braci wystąpiła do przodu i chociaż seneszal odczuwał lęk, postanowił pójść z nimi z godnością.

Opuścił kaplicę otoczony przez strażników, ale w drzwiach zawahał się na chwilę i obejrzał się, chwytając na koniec spojrzenie Geoffreya. Asystent stał w milczeniu, kiedy seneszal i de Roquefort toczyli pojedynek. Nowy mistrz nie zadawał sobie fatygi, by przejmować się obecnością młodego brata. Musiało upłynąć jeszcze wiele lat, zanim Geoffrey zacznie stanowić dla niego jakiekolwiek zagrożenie. Mimo to seneszal odczuwał zdziwienie.

Na twarzy Geoffreya nie dostrzegł śladu strachu, wstydu czy obawy. Z jego spojrzenia przebijała pełna determinacja.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

RENNES-LE-CHÂTEU
SOBOTA, 24 CZERWCA
9.30

Malone wcisnął swoją wysoką sylwetkę do peugeota. Stephanie była już w środku auta.

– Widzisz kogoś? – zapytała.

– Nasi dwaj przyjaciele z wczorajszego wieczoru są tu znowu. Upierdliwe przyssawki.

– Ani śladu dziewczyny na motocyklu?

Opowiedział Stephanie o swoich podejrzeniach.

– Raczej bym się tego nie spodziewał.

– Gdzie są nasi dwaj amigos?

– W czerwonym renaulcie na drugim końcu uliczki, za wieżą ciśnień. Nie odwracaj głowy. Nie powinniśmy ich spłoszyć.

Poprawił boczne lusterko, żeby móc widzieć renaulta. Na piaszczystym parkingu było już tłoczno, stały tu turystyczne autokary oraz kilkanaście samochodów osobowych. Wczorajsza ładna pogoda odeszła w niepamięć, teraz niebo zakrywała gruba warstwa ciemnych grafitowych chmur. Nadchodził deszcz, a nawet był już całkiem blisko. Wybierali się do Awinionu, odległego o blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na północ, gdzie zamierzali odnaleźć Royce'a Claridona. Malone przestudiował już wcześniej mapę i zdecydował, która trasa będzie najlepsza, żeby zgubić ewentualne ogony.

Uruchomił silnik i po chwili wyjechali z miasteczka. Kiedy znaleźli się za bramą osady i zjeżdżali w dół krętą uliczką, zauważył, że renault jedzie za nimi, utrzymując dyskretnie odległość.

– Jak zamierzasz ich zgubić?

Uśmiechnął się.

– W staromodny sposób.

– Zawsze planujesz z wyprzedzeniem, prawda?

– Nauczył mnie tego ktoś, z kim kiedyś pracowałem.

Dojechali do trasy szybkiego ruchu D118 i skierowali się na północ. Z mapy wynikało, że po trzydziestu kilometrach powinni dotrzeć do trasy A61, płatnej autostrady na południe od Carcassonne, prowadzącej w kierunku północno-wschodnim, do Awinionu. O jakieś dziesięć kilometrów przed nimi, w Limoux, droga rozwidlała się: jedna jej odnoga przecinała rzeką Aude i wchodziła do miasta Limoux, druga natomiast wiodła dalej na północ. Malone postanowił, że wykorzysta tę okazję.

Zaczął padać deszcz, najpierw lekki, później przeszedł w ulewę.

Malone włączył przednie i tylne wycieraczki. Na drodze przed nimi na obu pasach nie było widać samochodów. Sobotni poranek sprawił najwidoczniej, że ludzie zostali w domach.

Renault z przebijającymi się przez deszcz światłami utrzymywał ich prędkość, potem przyspieszył. Malone patrzył w lusterku wstecznym, jak tamten wyprzedza samochód jadący bezpośrednio za nimi, potem przyspiesza i zrównuje się z ich peugeotem, jadąc na sąsiednim pasie.

Szyba w oknie auta od strony pasażera opuściła się i dostrzegli pistolet.

– Trzymaj się – ostrzegł Malone Stephanie.

Docisnął gaz do dechy i z dużą szybkością wjechał w zakręt. Renault wytracił na chwilę prędkość i został w tyle.

– Wydaje się, że następuje zmiana planu. Nasze ogony robią się agresywne. Dlaczego nie leżysz na podłodze?

– Jestem dorosłą dziewczyną. Ty zajmij się jazdą.

Wjechał w następny zakręt i zobaczył, jak renault zmniejsza dystans. Opony z ledwością trzymały się nawierzchni. Asfalt pokryty był grubą warstwą skondensowanej pary wodnej i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej mokry. Nie było również żółtej linii, która wyznaczałaby krawędź nawierzchni, poza tym powstały też kałuże, które częściowo przesłaniały tę krawędź, co groziło wpadnięciem auta w poślizg.

Kula uderzyła w tylną szybę

Hartowane szkło nie rozprysło się, lecz Malone wątpił, czy wytrzyma jeszcze jeden strzał. Zaczął jechać zygzakiem, starając się odgadnąć, w którym miejscu po każdej ze stron kończy się asfaltowa nawierzchnia. Dostrzegł auto jadące przeciwległym pasem i zjechał na własny.

– Potrafisz strzelać? – zapytał, nie odrywając wzroku od szosy.

– Gdzie jest pistolet?

– Pod siedzeniem. Zabrałem go wczoraj wieczorem tamtemu facetowi. Magazynek jest pełny. Licz kule. Musimy zostawić nieco w tyle gości, którzy jadą za nami.

Znalazła pistolet i opuściła szybę. Widział, jak wychyla się, mierzy w tył i oddaje pięć strzałów.

Strzały wywołały pożądany efekt. Renault zwolnił, ale nie zrezygnował z pościgu. Malone wykonał nagły nawrót tuż za kolejnym zakrętem, naciskając jednocześnie hamulce i pedał gazu, tak jak nauczono go przed laty.

Miał już dość roli ściganego lisa.

Skręcił gwałtownie na pas prowadzący na południe i nacisnął hamulce. Opony z piskiem chwyciły mokrą nawierzchnię. Renault minął ich pędem, jadąc pasem prowadzącym na północ. Malone zdjął nogę z hamulca, zredukował biegi do dwójki, potem nacisnął pedał gazu do dechy.

Opony zakręciły szybko, potem auto wystrzeliło do przodu.

Podwyższał biegi, dochodząc do piątki.

Renault jechał teraz przed nimi. Malone dodał więcej gazu. Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt pięć. Siedemdziesiąt mil na godzinę. To, co się działo, budziło w nim osobliwe emocje. W takiej akcji nie brał udziału przez naprawdę długi czas.

Zjechał gwałtownie na pas prowadzący na południe i zrównał się renaultem.

Oba samochody jechały teraz z prędkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę i pokonywały stosunkowo prosty odcinek szosy. Nagle wjechali na wybrzuszenie i wyskoczyli w powietrze, opony uderzyły twardo, gdy guma ponownie chwyciła wilgotny asfalt. Czuł, jak szarpie nim do tyłu, rzuca autem, ale pasy bezpieczeństwa przytrzymały go w miejscu.

– To było zabawne – skomentowała Stephanie.

Po lewej i prawej stronie rozciągały się zielone pola; był to rejon ogromnych upraw lawendy, szparagów i winorośli. Obok ryknął silnik renaulta. Malone raz jeszcze zerknął na prawo. Jeden z krótko ostrzyżonych mężczyzn wysuwał się przez okno obok pasażera, chcąc wystawić głowę ponad dach i zapewnić sobie czysty strzał.

– Strzelaj w opony – polecił Stephanie.

Szykowała się do strzału, kiedy zobaczył dużą ciężarówkę zbliżającą się z przeciwka, pasem, po którym jechał renault. Malone jeździł dostatecznie długo dwupasmowymi drogami w Europie, by wiedzieć, że w odróżnieniu od Ameryki, gdzie ciężarówki jeżdżą, nie zwracając uwagi na nic, tu zwykle przemieszczają się w ślimaczym tempie. Miał nadzieję, że natrafią na taką zawalidrogę bliżej Limoux, ale skoro sposobność nadarzała się w tej chwili, należało ją wykorzystać. Ciężarówka znajdowała się zaledwie kilkaset metrów przed nimi. Za chwilę mieli się z nią minąć i na całe szczęście cały ich pas był wolny.

– Zaczekaj – powiedział do niej.

Jechał równo z renaultem i nie pozwalał mu się wyprzedzić. Kierowca musiał albo nacisnąć hamulec, albo zderzyć się z samochodem ciężarowym, albo skręcić w prawo i wjechać w pole. Miał nadzieję, że ciężarówka nie zjedzie ze swojego pasa, w przeciwnym razie to on będzie musiał uciekać przed nią w pole.

Kierowca renaulta najwyraźniej zdał sobie sprawę z tych trzech opcji i zjechał z asfaltu.

Malone z dużą prędkością minął ciężarówkę, mając przed sobą wolną drogę. Spojrzenie w lusterko potwierdziło, że renault zakopał się w szarym błocie.

Zjechał z powrotem na pas prowadzący na północ, odetchnął z ulgą, ale nie zmniejszał prędkości, i w końcu zjechał z głównej drogi, tak jak planował, w Limoux.

Do Awinionu dotarli tuż po jedenastej. Deszcz ustał jakieś osiemdziesiąt kilometrów wcześniej, a jaskrawe słońce zalało światłem zalesione tereny, faliste zielono-złote wzgórki. Widoki przypominały obrazki ze starego manuskryptu. Zwieńczone wieżyczkami średniowieczne mury obronne otaczały miasto, które kiedyś służyło za stolicę chrześcijaństwa przez blisko sto lat. Malone manewrował peugeotem w labiryncie wąskich uliczek i w końcu wjechał na podziemny parking.

Wyszli schodami z parkingu na zewnątrz i natychmiast dostrzegli romańskie kościoły otoczone domami wyblakłymi od słońca, z dachami i ścianami we wszystkich kolorach brudnego piasku, co kojarzyło się z włoskim krajobrazem. Ponieważ nadszedł weekend, tłoczyły się tu tysiące

turystów, a kolorowe markizy i korony platanów okrywały cieniem hałaśliwy tłum, który wyległ na lunch przy Place de l’Horologe.

Szukając adresu, który znaleźli w notesie Larsa Nelle, przeszli przez wiele uliczek. Po drodze Malone rozmyślał o czternastowiecznym papieżu, który zamienił rzymski Tybr na francuski Rodan i zamieszkał w ogromnym pałacu usytuowanym na wzgórzu. Awinion stał się azylem dla heretyków. Żydzi znaleźli tutaj tolerancję, płacąc niewielkie podatki, a przestępcy uciekali tu przed egzekucją i wiedli spokojną egzystencję. Okres rozkwitu przeżywały domy gry oraz burdele. Porządku publicznego pilnowano niezbyt bacznie, a wałęsanie się po mieście po zmroku mogło się zakończyć utratą życia. Przypomniał sobie słowa Petrarki. Domostwo bólu i cierpień, wszystko tchnie tu zakłamaniem. Żywił tylko nadzieję, że po sześciuset latach sprawy mają się teraz inaczej.

Pod podanym adresem Royce’a Claridona znajdował się antykwariat – książkowy i meblowy. Witrynę zapełniały tomy dzieł Juliusza Verne’a, pochodzących z początków dwudziestego stulecia. Malone znał te kolorowe wydania. Frontowe drzwi były zamknięte, ale kartka przyklejona taśmą do szyby powiadamiała, że tego dnia antykwariat handluje na Cours Jean Jaures, w ramach odbywającego się raz w miesiącu jarmarku książek.

Zapytali o drogę na rynek, który przylegał do głównego bulwaru. Rozchwiane metalowe stoliki były poustawiane w różnych miejscach placu, okolonego drzewami. W plastikowych skrzynkach znajdowały się głownie dzieła francuskie oraz gdzieniegdzie tytuły angielskie, głównie książki powstałe na podstawie filmów kinowych i telewizyjnych. Jarmark zdawał się przyciągnąć swoistą kategorię klientów. Dominowały tu zadbane fryzury, okulary, eleganckie spódnice, krawaty oraz przystrzyżone bródki – Malone nie widział aparatów fotograficznych ani kamer wideo.

Autokary mijały ich ociężale wioząc tłumy turystów zdążających w stronę pałacu papieskiego, warkot silników dieslowskich zagłuszał odgłosy zespołu muzycznego, który po drugiej stronie ulicy grał na bębnach zrobionych z blaszanych beczek. Ktoś rzucił na chodnik puszkę po coca coli, co zaskoczyło Malone’a. Czuł zdenerwowanie.

– Coś jest nie tak?

– Zbyt wiele rzeczy rozprasza uwagę.

Szli przez rynek, a on bibliofilskim okiem oceniał wystawiony towar. Co bardziej wartościowe pozycje były owinięte w folię. Kartki na wierzchu

podawały informacje o pochodzeniu książek oraz ceny, które, jego zdaniem, jak na tak niską jakość, były wysokie. Od jednego z ulicznych sprzedawców dowiedział się, gdzie znajduje się stragan Royce'a Claridona, i wkrótce znaleźli go na drugim końcu, z dala od głównej ulicy. Kobieta, która obsługiwała stoisko, była niska i korpulentna, miała włosy blond zawiązane w kok. Nosiła okulary przeciwsłoneczne, lecz wszelką jej atrakcyjność tłumił papieros tkwiący między wargami. Palące kobiety zdecydowanie Malone'a nie pociągały.

Przejrzeli oferowane przez nią wydawnictwa wystawione na podniszczonych blatach. W większości były to książki w oprawie płóciennej, bardzo zużyte. Malone zdumiał się, że ktokolwiek je kupuje.

Przedstawił siebie i Stephanie. Kobieta nie podała swojego nazwiska i nie przestała palić papierosa.

– Przechodziliśmy obok pani sklepu – podjął rozmowę po francusku.

– Dzisiaj mamy zamknięte – lakoniczna odpowiedź dawała do zrozumienia, że kobieta nie życzy sobie, by zawracano jej głowę.

– Nie byliśmy zainteresowani tym, co jest w sklepie – wyjaśnił.

– W takim razie może znajdziecie tutaj coś ciekawego wśród tych cudownych książek.

– Interes idzie tak kiepsko?

Zaciągnęła się ponownie.

– Kompletne dno.

– W takim razie co pani tu robi? Dlaczego nie zrobi sobie pani wycieczki za miasto?

Spojrzała na niego podejrzliwym wzrokiem.

– Nie lubię wypytywania. Zwłaszcza ze strony Amerykanina, który kiepsko mówi po francusku.

– Sądziłem, że mój francuski jest przyzwoity.

– Nie jest.

Zdecydował się przejść do meritum sprawy.

– Szukamy Royce'a Claridona.

Roześmiała się.

– Któż go nie szuka?

– Czy zechciałaby pani uchylić rąbka tajemnicy, kto jeszcze go szuka?

Ta suka zaczynała mu działać na nerwy.

Nie odpowiedziała natychmiast. Chwilę patrzyła na kilka osób przeglądających zawartość jej straganu. Zespół grający na blaszanych beczkach zaintonował teraz kolejne rytmy. Potencjalni klienci oddalili się.

– Musiałam mieć na nich oko – wymamrotała pod nosem. – Tutaj każdy gotów coś ukraść.

– Niech mnie pani posłucha – podjął. – Kupię całą skrzynkę, jeśli odpowie mi pani na jedno pytanie.

Propozycja zdawała się wzbudzać jej zainteresowanie.

– Co chce pan wiedzieć?

– Gdzie jest Royce Claridon?

– Nie widziałam go od pięciu lat.

– To nie jest odpowiedź.

– Wyjechał.

– Dokąd wyjechał?

– To wszystkie odpowiedzi warte skrzynki książek, którą pan kupił.

Nie mieli złudzeń, że więcej się od niej nie dowiedzą, on zaś nie miał zamiaru dawać jej więcej pieniędzy. Rzucił na stół banknot o nominale pięćdziesięciu euro i zabrał skrzynkę z książkami.

– Pani odpowiedź jest do chrzanu, ale ja dotrzymam swojej części umowy.

Podszedł do otwartego kubła na śmieci, odwrócił do góry dnem pojemnik i wysypał do środka jego zawartość. Następnie rzucił skrzynkę z powrotem na stół.

– Ruszajmy – powiedział do Stephanie.

Odeszli od straganu.

– Hej, Amerykaninie!

Zatrzymał się i obrócił.

Kobieta wstała z krzesła.

– Podobało mi się to.

Czekał.

– Wielu wierzycieli szuka Royce’a, ale trudno go znaleźć. Niech pan sprawdzi w zakładzie w Villenueve-les-Avignon.

Zakręciła wskazującym palcem na wysokości skroni.

– Royce to pomyleniec.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

OPACTWO DES FONTAINES
11.30

Seneszal siedział w swojej kwaterze. Poprzedniej nocy nie spał wiele, rozważając dylemat, któremu stawić musiał czoło. Dwaj bracia trzymali straż przy drzwiach, nikogo nie wpuszczano poza tymi, którzy wnosili jedzenie. Nie lubił być zamknięty w klatce – chociaż przynajmniej póki co więzienie było komfortowe. Jego lokum ustępowało co prawda rozmiarami kwaterze wielkiego mistrza czy marszałka, ale były to pomieszczenia prywatne z łazienką oraz oknem. Niewielkie było bowiem ryzyko, że więzień ucieknie w stumetrową skalną przepaść.

Jego los miał jednak ulec zmianie następnego dnia, gdyż de Roquefort nie zamierzał z pewnością pozwolić mu na swobodne poruszanie się po opactwie. Prawdopodobnie zamknie go w którymś z podziemnych pomieszczeń, używanych kiedyś w charakterze spiżarni. Miejsce to nadawało się idealnie na trzymanie wroga w odosobnieniu. Zapewne los seneszala był teraz na ustach wszystkich braci.

Od czasu nowicjatu przebył długą drogę.

Reguła mówiła jasno: *Jeśli jakiś człowiek zechce porzucić wieczne potępienie i porzucić życie świeckie, wybierając życie w zakonnej wspólnocie, nie należy przyjmować go natychmiast, albowiem święty Paweł powiedział: „Sprawdźcie tę duszę, by przekonać się, czy przychodzi od Boga”. Jeśli bracia będą obecni, wtedy należy odczytać takiemu człowiekowi Regułę, a jeśli wyraża on wolę posłuszeństwa wobec nakazów Reguły, wtedy bracia powinni go przyjąć, powinni wysłuchać jego życzeń i pragnień w obecności wszystkich braci i powinni pozwolić mu spełnić jego wolę z czystym sercem.*

Tak właśnie wszystko to się wydarzyło i został wtedy przyjęty. Dobrowolnie złożył przysięgę i z radością służył zakonowi. A teraz stał się więźniem oskarżonym na podstawie pomówień ambitnego politykiera.

Całkiem jak dawni bracia, którzy padli ofiarami nikczemnego Filipa Pięknego. Ten przydomek zawsze wydawał się seneszalowi osobliwy. W rzeczywistości określenie „piękny” nie miało nic wspólnego z temperamentem monarchy, ponieważ francuski król był silnym i skrytym człowiekiem, który zapragnął zawładnąć Kościołem katolickim. Przydomek odnosił się do jasnych włosów i niebieskich oczu króla. Jedna rzecz to wygląd zewnętrzny, a zupełnie inna to, co kryło się w jego duszy – w dużym stopniu z seneszalem było podobnie.

Wstał od biurka i przechadzał się po izbie. Nawyk ten przyswoił sobie jeszcze w college’u. Ruch pomagał mu w myśleniu. Na biurku leżały książki, które dwa wieczory temu wykradł z biblioteki. Zdał sobie sprawę, że kilka następnych godzin być może stanowi ostatnią okazję do przejrzenia tych zdobyczy. Kiedy wyjdzie na jaw brak w księgozbiorze, kradzież własności zakonu uzupełni listę oskarżeń. Jego kara – wygnanie – będzie w rzeczywistości upragniona, ale wiedział, że jego nemesis nie pozwoli mu się wywinąć z tego tak łatwo.

Sięgnął po kodeks pamiętający piętnaste stulecie; skarb, za który każde muzeum zapłaciłoby krocie. Strony zapisano okrągłymi literami, w stylu zwanym rotundą. Styl ten był popularny w tamtym czasie, stosowano go w uczonych rękopisach. Interpunkcja pojawiała się sporadycznie, jedynie długie linijki tekstu, zapełniające stronę z góry na dół, od marginesu do marginesu. Skryba pracował nad takim manuskryptem całe tygodnie, zasiadając przy stole w skryptorium opactwa, z gęsim piórem w dłoni i powoli maczając je w inkauście, zapisywał na pergaminie kolejne litery. Wypalone plamy szpeciły oprawę, a liczne krople wosku obsiały strony, ale ogólnie kodeks zachował się w zdumiewająco dobrym stanie. Jedną z wielkich misji zakonu było przechowywanie i dziedziczenie wiedzy, seneszal zaś miał szczęście natrafić na tak zasobny w wiedzę wolumin pośród tysiąca innych zgromadzonych w bibliotece.

„Musisz dokończyć poszukiwania. To twoje przeznaczenie. Bez względu na to, czy uświadamiasz sobie to, czy nie”. Te słowa przekazał mu za pośrednictwem Geoffreya wielki mistrz. Ale powiedział również: „Wielu podążało szlakiem, którym ty teraz będziesz kroczyć, lecz żadnemu z nich się nie powiodło”.

Ale czy oni wiedzieli tyle co on? Z pewnością nie.

Sięgnął po drugi wolumin. Jego tekst był również zapisany ręcznie, lecz nie sporządził go zakonny skryba. Słowa te zostały przelane na papier w listopadzie 1897 roku przez ówczesnego marszałka zakonu, człowieka, który nawiązał bezpośrednią znajomość z księdzem Jean-Antoine-Maurice'em Gélisem, proboszczem w miasteczku Coustausa, położonym w dolinie rzeki Aude, niedaleko Rennes-le-Château. Ich spotkanie okazało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyż dzięki niemu marszałek zdobył bardzo ważne informacje.

Seneszal usiadł za biurkiem i ponownie zaczął studiować raport.

Kilka ustępów przyciągnęło jego uwagę – słowa, które z wielkim zaciekawieniem przeczytał po raz pierwszy trzy lata temu. Wstał i podszedł z księgą do okna.

Bardzo przygnębiła mnie wieść o zabójstwie ojca Gélisa w dzień Wszystkich Świętych. Znaleziono go ubranego, w kapeluszu, na podłodze kuchni, w kałuży krwi. Jego zegarek stanął piętnaście minut po północy, lecz czas zgonu określono na między godziną trzecią a czwartą. Podając się za przedstawiciela biskupa, rozmawiałem z mieszkańcami osady, a także z miejscowym konstablem. Gélis uchodził za człowieka nerwowego, znany był z tego, że zamyka okna i zasuwa żaluzje nawet latem. Nigdy nie otwierał drzwi plebanii obcym, a ponieważ nie znaleziono śladów włamania, oficjalnie stwierdzono, że ksiądz znał zabójcę.

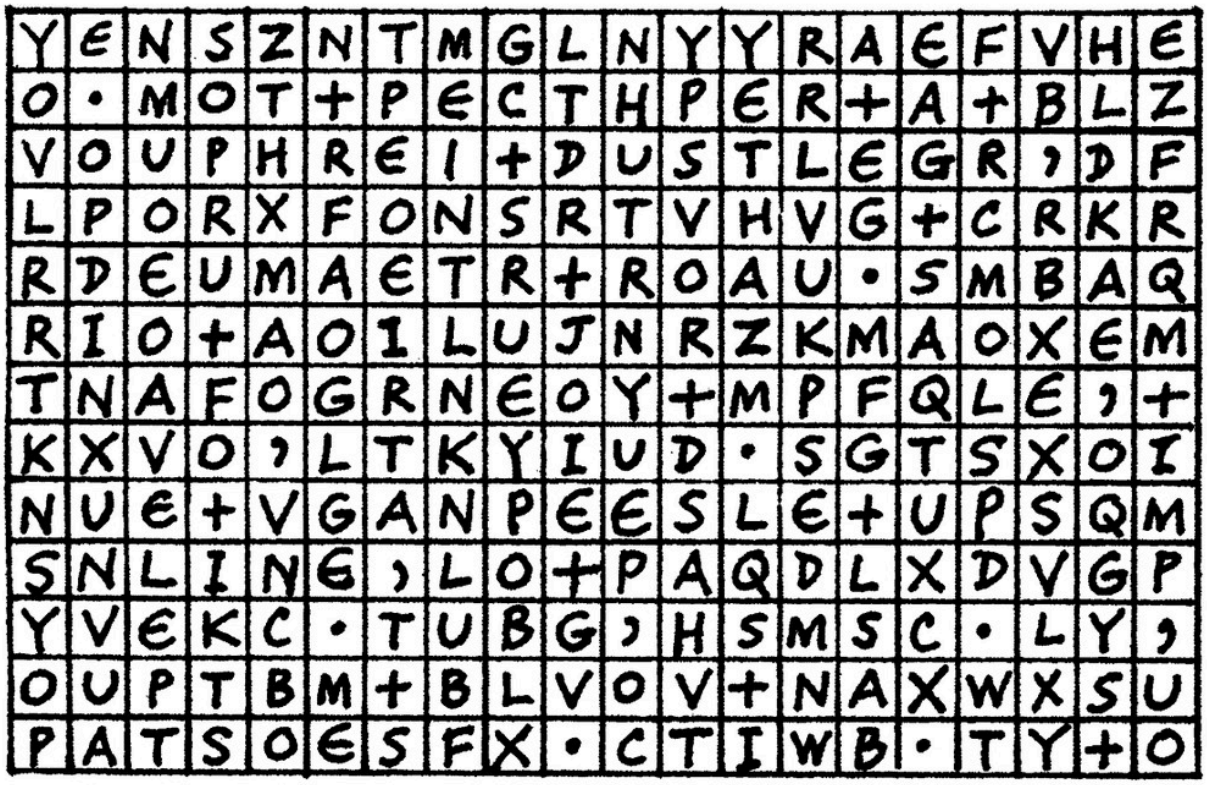
Gélis zginął w wieku lat siedemdziesięciu jeden. Śmierć spowodowały uderzenia w głowę zadane szczypcami do węgla. Później zwłoki okaleczono siekierą. Krwi było mnóstwo. Jej bryzgi znajdowały się na podłodze, a nawet na suficie. Na żadnej jednak kałuży krwi nie odcisnęły się ślady stóp sprawcy. To zbiło z tropu konstabla. Ciało ułożono celowo na plecach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, tak jak zwykle układa się ręce zmarłych. W domu proboszcza znaleziono sześćset trzy franki w złocie i banknotach oraz dodatkowo sto sześć franków. Motywem napaści nie był więc rabunek. Jedynym przedmiotem, który można było potraktować za ślad sprawcy, była paczka bibułek do papierosów. Na jednym z arkusików widniał napis: „Viva

Angelina”. To było istotne, ponieważ Gélis nie był palaczem, nie znosił nawet woni papierosów.

W mojej opinii prawdziwy motyw zabójstwa mógł znajdować się w sypialni księdza. Tam właśnie napastnik wyłamał wieko walizki. Trudno powiedzieć, jakie dokumenty znajdowały się w środku i czy coś zabrano. Ale wewnątrz walizki i wokół niej znaleziono krople krwi. Konstabl doszedł do wniosku, że morderca szukał czegoś, a ja chyba wiem, co to mogło być.

Dwa tygodnie przed zbrodnią spotkałem się z księdzem Gélisem. Miesiąc wcześniej proboszcz nawiązał kontakt z biskupem w Carcassonne. Pojawiłem się w domu Gélisa, udając przedstawiciela biskupa i rozmawialiśmy przez długi czas o tym, co go niepokoiło. W końcu poprosił, bym wysłuchał jego spowiedzi. Ponieważ w rzeczywistości nie jestem kapłanem, nie wiąże mnie przysięga konfesjonału i mogę wyjawić to, co przekazał mi w trakcie spowiedzi.

Gdzieś latem 1896 roku Gélis znalazł szklaną fiolkę w swoim kościele. Balustrada prowadząca na chór wymagała wymiany, a kiedy usunięto drewno, odkryto schowek, w którym znaleziono zalakowaną woskiem fiolkę ze skrawkiem papieru, na którym zapisane były przedstawione poniżej znaki:



Kryptogram przedstawiał szyfr stosowany dość powszechnie w ciągu ubiegłego stulecia. Proboszcz powiedział mi, że sześć lat wcześniej ksiądz Saunière z Rennes-le-Château również znalazł kryptogram w swoim kościółku. Kiedy je porównali, okazało się, że są identyczne. Zdaniem Saunière'a, obie fiolki zostały ukryte przez proboszcza Bigou, który świadczył religijną posługę w Rennes-le-Château w latach rewolucji francuskiej. W czasach Bigou w kościele w Coustausa msze odprawiał ksiądz z Rennes. Zatem Bigou bywał często gościem w obecnej parafii księdza Gélisa. Saunière był również zdania, że istniał związek pomiędzy kryptogramami a grobem Marii d'Hautpoul de Blanchefort, która zmarła w 1781 roku. Ksiądz Bigou był jej spowiednikiem i zlecił nawet wykonanie płyty oraz kamienia nagrobnego, każąc wyryć na nich niezwykłe słowa i symbole. Saunière, niestety, nie zdołał odczytać szyfru, lecz Gélis po niecałym roku intensywnej pracy zdołał to uczynić. Powiedział mi, że nie do końca ufał Saunière'owi, sądząc, że motywy działania tamtego nie do końca są czyste. Nie wyjawił zatem swemu koledze rozwiązania, do którego sam dotarł.

Ksiądz Gélis chciał przedstawić biskupowi pełne rozwiązanie szyfru i był przekonany, że czyni tak, zawierzając sekret mojej osobie.

Niestety, marszałek nie zanotował tego, co wyjawił mu Gélis. Być może sądził, że jest to zbyt ważna informacja, by przelać ją na papier albo też sam był kolejnym intrygantem pokroju de Roqueforta. Co ciekawe, wedle zapisów w kronikach marszałek sam zniknął rok później, w 1898. Pewnego dnia opuścił opactwo w służbowej sprawie i nigdy już więcej nie powrócił. Poszukiwania spełzły na niczym, lecz dzięki Bogu zapisał kryptogram.

Rozdzwoniły się dzwony na sekstę, dając zakonnym braciom sygnał do rozpoczęcia modłów. Wszyscy z wyjątkiem personelu kuchennego mieli zgromadzić się w kaplicy, by tam czytać psalmy, śpiewać hymny i odprawiać modły aż do godziny pierwszej po południu. Zdecydował, że sam postanowi, kiedy ma nadejść czas na medytacje, lecz jego uwagę przyciągnęło ciche stukanie do drzwi. Obrócił się i zobaczył, jak do środka wchodzi Geoffrey, niosąc tacę z jedzeniem i piciem.

– Zgłosiłem się na ochotnika, by przynieść ci to – odezwał się młody zakonnik. – Powiedziano mi, że odmówiłeś spożycia śniadania. Musisz zatem być głodny.

Głos Geoffreya był osobliwie pogodny.

Drzwi pozostały otwarte, dzięki czemu mógł widzieć dwóch mnichów trzymających straż na zewnątrz.

– Im również przyniosłem coś do picia – oznajmił Geoffrey, wskazując ku drzwiom.

– Jesteś dzisiaj w niezwykle radosnym nastroju.

– Jezus powiedział, że pierwszym aspektem Słowa Bożego jest wiara, drugim miłość, a trzecim dobra praca, i z tego płynie życie.

Seneszal uśmiechnął się.

– Święta racja, mój przyjacielu.

Mówił ożywionym głosem, tak żeby oszczędzić wielkiego wysiłku dwóm parom nadstawionych uszu.

– Czy miewasz się dobrze? – zapytał Geoffrey.

– Tak jak można by się tego spodziewać – odparł, wziął tacę i postawił ją na biurku.

– Modliłem się za ciebie, seneszalu.

– Pozwalam sobie przypomnieć, iż nie posiadam już tego tytułu. Z pewnością nowy seneszal został mianowany przez de Roqueforta.

Geoffrey przytaknął.

– Jego główny asystent.

– Biada wam, którzy dajecie posłuch złym demonom…

Dostrzegł, jak jeden z mężczyzn na zewnątrz upada na podłogę. Nie upłynęła sekunda, a ciało drugiego z zakonników nagle zwiotczało i dołączyło do pierwszego na podłodze. Dwa kielichy z brzękiem uderzyły o kamienną posadzkę.

– Dość długo to trwało – stwierdził Geoffrey.

– Cóż uczyniłeś?

– Środek usypiający. Dostarczył mi go nasz medyk. Nie ma zapachu ani smaku, ale szybko działa. Medyk jest po naszej stronie. Prosił przekazać ci, byś ruszał z Bogiem. Teraz musimy już iść. Wielki mistrz określił pewne warunki, a moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby zostały spełnione.

Geoffrey sięgnął pod habit i wyciągnął dwa pistolety.

– Brat rusznikarz jest również naszym sprzymierzeńcem. Może się nam to przydać.

Seneszal był przeszkolony w posługiwaniu się bronią, co zresztą stanowiło podstawowy element edukacji każdego z zakonnych braci. Sięgnął po pistolet.

– Opuszczamy opactwo?

Geoffrey przytaknął.

– To jest konieczne, jeśli mamy wykonać nasze zadanie.

– Nasze?

– Tak, seneszalu. Przygotowywano mnie do wykonania tej misji przez bardzo długi czas.

Seneszal usłyszał zapał w głosie Geoffreya i chociaż był o całe dziesięć lat od niego starszy, nagle poczuł się mniej wart. Ten rzekomo młody brat zaszedł o wiele dalej, niż się wydawało.

– Jak wczoraj powiedziałem, wielki mistrz dokonał dobrego wyboru, stawiając na ciebie.

– Moim zdaniem, wybrał nas obu.

Seneszal znalazł plecak i szybko wsadził do niego kilka przyborów toaletowych, parę osobistych rzeczy oraz dwie książki wyniesione z biblioteki.

– Nie mam innych ubrań poza habitem.

– Kupimy coś, kiedy już znajdziemy się na zewnątrz.

– Masz pieniądze?

– Wielki mistrz przewidział wszystko.

Geoffrey ruszył w stronę drzwi i sprawdził, czy droga jest wolna.

– Wszyscy bracia są teraz na modłach. A zatem droga do wyjścia powinna być wolna.

Zanim seneszal ruszył za Geoffreyem na korytarz, po raz ostatni rozejrzał się po swojej kwaterze. Spędził tu część najlepszych lat swojego życia, a teraz zostawiał wszystkie te wspomnienia za sobą. Lecz inny głos w jego duszy ponaglał, by ruszać ku nieznanemu, na zewnątrz, w kierunku tej prawdy, którą wielki mistrz z pewnością znał.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

VILLENEUVE-LES-AVIGNON
12.30

Malone spoglądał badawczo na Royce’a Claridona. Mężczyzna był ubrany w luźne spodnie sztruksowe, umazane czymś, co wyglądało jak turkusowa farba. Jego wątły tors zakrywał sportowy sweter. Na oko Claridon dobiegał sześćdziesiątki, był patykowaty niczym modliszka i miał urodziwą twarz o wyrazistych rysach. Ciemne oczy pogrążyły się głęboko gdzieś na dnie duszy. Nie było w nich choćby iskierki siły intelektu, ale wzrok wciąż przewiercał na wylot. Miał bose i brudne stopy, zapuszczone paznokcie wołały o pomstę do nieba, a siwiejące włosy i broda tworzyły istny kołtun. Pielęgniarz ostrzegł ich, że Claridon cierpi na przewidzenia, ale z reguły bywa niegroźny. Mimo to niemal każdy w zakładzie starał się go unikać.

– A wyście kto? – zapytał Claridon po francusku, spoglądając na nich podejrzliwie z daleka, wzrokiem pełnym zdumienia.

Lecznica znajdowała się w ogromnym zamku, na którego frontowej ścianie widniała tablica obwieszczająca, iż właścicielem obiektu od czasów rewolucji jest rząd francuski. Od głównego budynku pod osobliwym kątem odchodziły skrzydła. Wiele dawnych salonów zamieniono teraz na pokoje dla pacjentów. W tej chwili znajdowali się w solarium, wyposażonym w ogromne okna sięgające od podłogi po sufit i wychodzące na okoliczny pejzaż. Zbierające się chmury przysłoniły południowe słońce. Jeden z pielęgniarzy poinformował ich, że większość dnia Claridon spędza właśnie tutaj.

– Czy przybywasz z komandorii? – zapytał Claridon. – Przysłał cię wielki mistrz? Mam dla niego wiadomość.

Malone zdecydował się podjąć grę.

– Przybywamy od wielkiego mistrza. Mamy z tobą porozmawiać.

– Ach wreszcie. Czekałem tak długo – w słowach niechlujnego mężczyzny dało się wyczuć podniecenie.

Malone dał znak, a Stephanie się cofnęła. Ten człowiek z całą pewnością uważał się za templariusza, a kobiety nie należały do szeregów bractwa.

– Powiedz mi, bracie, co masz do powiedzenia. Powiedz mi wszystko.

Claridon przez chwilę wiercił się w krześle, potem zerwał się na równe nogi i przenosił ciężar ciała z jednej bosej stopy na drugą.

– To okropne – powiedział. – Takie okropne. Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron. Gdzie wzrokiem sięgnąć, tam nieprzyjaciel. Zostało nam tylko kilka strzał, jedzenie zepsuło się z powodu upału, skończyły się zapasy wody. Wielu umarło na skutek chorób. Nikt z nas nie pożyje już długo.

– Przeszliście zapewne ciężką próbę. Cóż więc uczyniliście?

– Byliśmy świadkami najdziwniejszej rzeczy, jaka mogła się wydarzyć. Za murami wzniesiono białą flagę. Spojrzeliśmy po sobie, a nasze zdumione twarze wyrażały jednoznacznie nasze myśli. Oni chcą rozmawiać.

Malone znał nieźle historię średniowiecza. Rokowania były częstą praktyką w trakcie wypraw krzyżowych. Armie, które znalazły się w impasie, często negocjowały warunki, na podstawie których każda z nich mogła się wycofać i każda mogła obwieścić zwycięstwo.

– Czy zdołaliście zebrać siły? – zapytał Malone.

Starszy mężczyzna przytaknął i wzniósł do góry cztery zabrudzone palce.

– Za każdym razem, kiedy wyjeżdżaliśmy za mury i mieszaliśmy się z tą hordą, przyjmowano nas serdecznie, a pertraktacje przynosiły stopniowe postępy. Na koniec osiągnęliśmy porozumienie.

– Powiedz mi więc. Jaką masz wieść, która powinien poznać wielki mistrz?

Claridon spojrzał na Malone’a z rozdrażnieniem.

– Należysz do bezczelnych.

– Co masz na myśli? Darzę cię wielkim szacunkiem, bracie. Dlatego właśnie tutaj jestem. Brat Lars Nelle powiedział mi, że można ci zaufać.

To zapytanie zdawało się wystawić na ciężką próbę umysł starszego człowieka. Po chwili na twarzy Claridona pojawił się wyraz zrozumienia.

– Przypominam go sobie. Odważny rycerz. Walczył z honorem. Tak, tak. Przypominam go sobie. Brat Lars Nelle. Niech Bóg otoczy pieczą jego duszę.

– Dlaczego tak mówisz, bracie?

– Nie słyszałeś o tym? – w tonie Claridona pobrzmiewało niedowierzanie. – Zginął w bitwie.

– Gdzie?

Claridon pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Wiem jedynie, że przebywa teraz w objęciach Boga.

– Odprawiliśmy mszę w jego imieniu i odmówiliśmy w jego intencji liczne modły.

– Czy łamałeś się chlebem z bratem Nelle?

– Wiele razy.

– Czy kiedykolwiek mówił ci o swoich poszukiwaniach?

Claridon przesunął się w prawą stronę, lecz nie spuszczał wzroku ze swego rozmówcy.

– Dlaczego pytasz mnie o to?

Niespokojny mały człowiek zaczął okrążać go niczym kot. Malone zdecydował się podwyższyć stawkę w grze, która toczyła się w umyśle tego mężczyzny. Chwycił Claridona za sweter i podniósł żylastego człowieczka z podłogi. Stephanie zrobiła krok do przodu, lecz powstrzymał ją ostrym spojrzeniem.

– Mistrz jest niezadowolony – oznajmił. – Bardzo niezadowolony.

– Ale dlaczego? – zapytał Claridon, na którego twarzy pojawił się głęboki rumieniec wstydu.

– Jest niezadowolony z ciebie.

– Ja niczego nie zrobiłem.

– Nie odpowiadasz na moje pytania.

– Czego właściwie chcesz? – W oczach obłąkanego pogłębił się wyraz zdumienia.

– Opowiedz mi o poszukiwaniach brata Nelle.

Claridon pokręcił przecząco głową.

– Nic nie wiem. Brat nie wtajemniczył mnie w swój sekret.

W oczach małego człowieczka pojawił się strach, podkreślony dodatkowo przez skrajną konsternację. Malone zwolnił uchwyt. Claridon odbiegł w stronę okien, chwycił rolkę z papierowymi ręcznikami i butelkę ze spryskiwaczem. Trysnął odrobinę płynu i zaczął czyścić szybę, na której nie widać było nawet plamki.

Malone obrócił się do Stephanie.

– Marnujemy tu tylko czas.

– Po co więc tu przyjechaliśmy?

– Musiałem spróbować.

Przypomniał sobie notatkę przysłaną do Ernsta Scoville’a i postanowił podjąć ostatnią próbę. Wyciągnął kartkę papieru z kieszeni i podszedł do Claridona. Za szybą, kilka mil na zachód wyrastały bladoszare mury miejscowości Villeneuve-les-Avignon.

– Tam mieszkali kardynałowie – oznajmił Claridon, nie przestając czyścić szyby. – Bezczelni książęta. Wszyscy, co do jednego.

Malone wiedział, że kardynałowie kiedyś zbiegli poza mury miejskie Awinionu i wznieśli wiejską rezydencję, gdzie mogli uciec przed miejskim ściskiem i nieustannymi spojrzeniami papieża. Dawno już opuścili tamto miejsce, ale prastare miasteczko pozostało. Wciąż ciche, wiejskie i powoli popadające w ruinę.

– Chronimy kardynałów – powiedział Malone, wciąż zachowując pozory.

Claridon splunął na podłogę.

– Niech ich wszystkich zaraza.

– Przeczytaj to.

Mężczyzna wziął kartkę i przebiegł wzrokiem zapisane słowa. Wyraz zdziwienia pojawił się w jego szeroko otwartych oczach.

– Niczego nie ukradłem zakonowi. Mogę na to przysiąc.

Jego głos przybierał coraz wyższy ton.

– To oskarżenie jest fałszywe. Mogę złożyć przysięgę na Boga. Niczego nie ukradłem!

Mężczyzna zdawał się widzieć na kartce tylko to, co chciał zobaczyć. Malone zabrał od niego dokument.

– To strata czasu, Cotton – doszła do wniosku Stephanie.

Claridon podszedł do nich bliżej.

– Kim jest ta jędza? Dlaczego tutaj jest?

Malone prawie się roześmiał.

– To wdowa po bracie Nelle.

– Nie byłem świadom, że brat Nelle kiedykolwiek się ożenił.

Malone przypomniał sobie o tym, co czytał przed dwoma wieczorami w książce o templariuszach.

– Jak wiesz, wielu braci było kiedyś żonatych. Lecz ona okazała się niewierna, więc więzy małżeńskie zostały rozwiązane, a ją za karę zesłano do żeńskiego zakonu.

Claridon pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wygląda na osobę, która stwarza problemy. Co ona właściwie tutaj robi?

– Szuka prawdy o swoim mężu.

Wątły człowieczek spojrzał na Stephanie i wskazał na nią jednym ze swych krótkich paluchów.

– Jesteś złem! – wykrzyknął. – Brat Nelle szukał pokuty w naszym bractwie z powodu twoich grzechów. Powinnaś się wstydzić!

Stephanie wykazała dość refleksu, by po prostu pochylić głowę.

– Nie szukam niczego innego poza wybaczeniem.

Wyraz twarzy Claridona złagodniał wobec jej pokory.

– Masz więc moje przebaczenie, siostro. Odejdź w pokoju.

Malone wskazał gestem i ruszyli oboje w stronę drzwi. Clardion powrócił na swoje krzesło.

– To takie smutne – powiedziała Stephanie. – I zatrważające. Utrata zmysłów jest czymś strasznym. Lars często mówił o tej chorobie i czuł przed nią lęk.

– Wszyscy powinniśmy go odczuwać.

Malone wciąż trzymał w dłoni notatkę odnalezioną w domu Ernsta Scoville'a. Spojrzał na nią raz jeszcze i przeczytał ostatnie trzy linijki:

Znajdźcie Claridona w Awinionie. On wskaże wam drogę. Prend garde l'Ingénieur.

– Zastanawiam się, dlaczego nadawca sądził, że Claridon może nam wskazać drogę dokądkolwiek? – zapytał. – Nie mamy pojęcia, w którą stronę się zwrócić. Wydaje się, że ten szlak był fałszywym tropem.

– Nieprawda.

Słowa te zostały wypowiedziane po angielsku i padły z drugiej strony solarium.

Malone obrócił się, gdy Royce Claridon wstawał z krzesła. Z zarośniętej twarzy chudzielca zniknął wyraz konsternacji.

– Mogę wskazać wam drogę. I powinniście posłuchać tej przestrogi. Musicie wystrzegać się inżyniera. Ona oraz inni są powodem, dla którego tu się skryłem.

DWADZIEŚCIA OSIEM

OPACTWO DES FONTAINES

Seneszal podążał za Geoffreyem przez labirynt zwieńczonych sklepieniem korytarzy. Miał nadzieję, że młodzieniec właściwie ocenił sytuację i że wszyscy pozostali bracia są teraz w kaplicy, odmawiając modły.

Jak dotąd, na nikogo się nie natknęli.

Ruszyli w stronę *palais*, w którym mieściła się główna sala, kancelarie zakonnej administracji oraz sale przeznaczone dla turystów. Kiedy w minionych czasach opactwo było zamknięte dla świata zewnętrznego, nikt spoza bractwa nie miał prawa przekroczyć granicy sieni na parterze. Ale kiedy w dwudziestym wieku rozkwitła turystyka, gdy inne opactwa otworzyły swoje podwoje, także opactwo des Fontaines podążyło ich śladem, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Udostępniło więc swoje podwoje gościom i organizowało nieformalne sesje, z których wiele odbywało się w *palais.*

Weszli do przestronnego holu. Okna przeszklone chropawymi, zielonkawymi szybami wpuszczały smugi przyćmionego światła, padające na kamienną posadzkę ułożoną w szachownicę. Na jednej ze ścian dominował drewniany krucyfiks gigantycznych rozmiarów, na drugiej wisiał gobelin.

Przy wejściu do kolejnego korytarza, jakieś trzydzieści metrów przed nimi stał Raymond de Roquefort wraz z pięcioma braćmi. Wszyscy byli uzbrojeni w broń krótką.

– Zamierzacie nas opuścić? – zapytał de Roquefort.

Seneszal zastygł w bezruchu, lecz Geoffrey podniósł broń i wystrzelił dwa razy. Mężczyźni po drugiej stronie padli na ziemię, gdy kule odbiły się rykoszetem od ścian.

– Tędy! – krzyknął młodzieniec, wskazując w lewą stronę ku innemu korytarzowi.

Za ich plecami rozległy się dwa strzały.

Geoffrey oddał kolejny strzał, po czym przyjęli obronne pozycje we wnętrzu korytarza, w pobliżu parlatorium, gdzie kiedyś kupcy wystawiali na sprzedaż swoje towary.

– W porządku! – krzyknął do nich de Roquefort. – Mogę was wysłuchać. Czy przelew krwi jest konieczny?

– To zależy wyłącznie od ciebie – odparł seneszal.

– Sądziłem, że dochowujesz wierności przysięgom. Czy nie jest twoim obowiązkiem posłuszeństwo wobec wielkiego mistrza? Poleciłem ci, byś pozostał w swojej kwaterze.

– Czyżby? Musiałem o tym zapomnieć.

– To interesujące, jak pewne reguły przemawiają do ciebie, podczas gdy inne rządzą resztą nas. Ale mimo to czy nie możemy zachować się rozsądnie?

Seneszal zastanawiał się nad tym demonstracyjnym pokazem uprzejmości.

– Cóż zatem proponujesz?

– Zakładałem, że podejmiesz próbę ucieczki. Seksta wydawała się najlepszą porą, więc czekałem. Jak widzisz, znam cię dobrze. Twój sojusznik mnie jednak zaskoczył. Cechuje go odwaga i lojalność. Chciałbym, żebyście obaj dołączyli do mojej sprawy.

– I cóż mielibyśmy uczynić?

– Pomóc nam spełnić nasze przeznaczenie, zamiast blokować nasze wysiłki.

Coś było nie tak. De Roquefort najwyraźniej coś udawał. Seneszal nagle zrozumiał. Tamten chciał zyskać na czasie.

Obrócił się gwałtownie. Uzbrojony mężczyzna wyszedł zza rogu w odległości niespełna piętnastu metrów. Geoffrey również go dostrzegł. Seneszal wystrzelił jedną kulę w dolną połowę ciała mężczyzny. Ten osunął się na kamienną posadzkę. Niech Bóg mu wybaczy! Reguła zabraniała wyrządzać krzywdy innemu chrześcijaninowi. Nie miał jednak wyboru. Musiał uciec z tego więzienia.

– Ruszajmy! – ponaglił.

Geoffrey wysunął się naprzód i popędzili przed siebie, przeskakując ponad bratem, który zwijał się z bólu.

Skręcili za rogiem, nie przestając biec co sił.

Za sobą dosłyszeli odgłosy kroków.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – wysapał seneszal do swego towarzysza.

Minęli następne przewężenie korytarza. Geoffrey zatrzymał się przy uchylonych drzwiach, wsunęli się do środka, zamykając je za sobą cicho. Chwilę później usłyszeli przebiegających mężczyzn, których kroki stopniowo ucichły.

– Ten szlak kończy się w sali gimnastycznej. Nie upłynie wiele czasu, zanim przekonają się, że nas tam nie ma – powiedział seneszal.

Opuścili pomieszczenie, niemal dusząc się z emocji, i ruszyli w stronę sali gimnastycznej. Na rozstaju korytarzy nie skierowali się w prawo, tylko w lewo, ku sali jadalnej.

Seneszal zastanawiał się, dlaczego odgłosy wystrzałów nie ściągnęły innych braci. Ale śpiewy w kaplicy zawsze były bardzo głośne, przez co trudno było usłyszeć jakiekolwiek głosy z zewnątrz. Jeśli jednak de Roquefort spodziewał się jego ucieczki, rozsądnie było założyć, że w różnych miejscach opactwa są rozstawieni także inni jego ludzie.

Długie stoły i ławy w sali jadalnej były puste. Z kuchni dobiegała mocna woń okry duszonej z pomidorami. W niszy modlitewnej, wyżłobionej w ścianie na głębokość blisko metra, stał brat w habicie z karabinem w ręku.

Seneszal zanurkował pod stół, posługując się plecakiem dla złagodzenia zetknięcia z podłogą, Geoffrey natomiast znalazł schronienie za drugim stołem.

Kula wryła się głęboko w gruby, dębowy blat.

Geoffrey podczołgał się i oddał dwa strzały, z których jeden trafił napastnika. Mężczyzna w alkowie zachwiał się, a potem upadł na posadzkę.

– Zabiłeś go? – zapytał seneszal.

– Mam nadzieję, że nie. Chyba trafiłem go w bark.

– Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli.

– Za późno teraz na żale.

Zerwali się na równe nogi. Z kuchni wybiegło kilku mężczyzn, wszyscy ubrani w poplamione jedzeniem fartuchy. Był to personel kuchni. Nie stanowił zagrożenia.

– Wszyscy się cofnąć, natychmiast! – krzyknął seneszal, a żaden z mężczyzn nie zignorował tego polecenia.

– Seneszalu – odezwał się Geoffrey głosem, w którym brzmiała niecierpliwość.

– Prowadź.

Opuścili salę jadalną, korzystając z innego przejścia. Dosłyszeli z tyłu głosy, którym towarzyszył szybki stukot skórzanych podeszew, uderzających o kamienną posadzkę. Postrzelenie dwójki braci mogło poruszyć nawet najbardziej wrażliwych spośród tych, którzy ich ścigali. Seneszal był zły na siebie, że dał się złapać w sidła zastawione przez Roqueforta. Utracił w ten sposób wiarygodność, którą kiedyś posiadał. Nikt już nie stanie teraz po jego stronie, przeklinał więc swoją lekkomyślność.

Weszli do skrzydła, w którym znajdowały się dormitoria. Drzwi na drugim końcu korytarza były zamknięte. Geoffrey biegł przed siebie i sprawdzał klamki do pomieszczeń. Żadna nie ustąpiła.

– Wydaje się, że mamy coraz mniej opcji – rzekł seneszal, tracąc nadzieję.

– Ruszajmy – polecił Geoffrey.

Wbiegli do dormitorium, dużego podłużnego pomieszczenia, w którym stały piętrowe łóżka, ustawione prostopadle do siebie, w porządku wojskowym, poniżej szeregu lancetowych okien.

Z korytarza dobiegła wrzawa. Krzyki. Podekscytowane. Wielu ludzi podążało ich tropem.

– Nie ma stąd wyjścia – powiedział z rezygnacją seneszal.

Stanęli między pustymi łóżkami. Za sobą mieli wejście, w którym za moment zjawią się ich przeciwnicy. Przed nimi znajdowały się toalety.

– Do łazienek – polecił. – Miejmy nadzieję, że pójdą dalej.

Geoffrey pobiegł do dwojga drzwi znajdujących się na końcu dormitorium, prowadzących do łazienki i toalety.

– Tutaj.

– Nie, rozdzielmy się. Ty wejdź do jednej, ukryj się w kabinie i stań na muszli. Ja wejdę do drugiej. Jeśli będziemy siedzieć cicho, być może dopisze nam szczęście. Poza tym… – seneszal zawahał się na chwilę, niezbyt ciesząc się tą perspektywą – to nasza jedyna szansa.



De Roquefort dokonał oględzin rany postrzałowej. Z barku rannego brata płynęła krew, mężczyzna bardzo cierpiał, ale zachowywał się w sposób opanowany, starając się nie popaść w szok. Wielki mistrz umieścił strzelca w sali jadalnej, zakładając, że seneszal będzie usiłował uciec tą drogą. Jak się okazało – miał rację. Nie docenił jednak determinacji przeciwnika. Templariusze składali przysięgę, że nigdy nie wyrządzą krzywdy innym braciom. Uważał seneszala za wiernego ideałom do tego stopnia, by dochował tej przysięgi. Lecz teraz obu postrzelonych braci należało zanieść do infirmerii. Miał tylko nadzieję, że nie zajdzie potrzeba przewiezienia któregoś z rannych do szpitala w Perpignan lub Mont Louis. Wtedy postawiono by im pytania. Medyk z opactwa był wykwalifikowanym chirurgiem i dysponował dobrze wyposażoną salą operacyjną, z której często korzystano w minionych latach. Skuteczność jego działań miała jednak swoje granice.

– Zabierzcie ich do lekarza i każcie mu zająć się nimi na miejscu – de Roquefort wydał polecenie swemu porucznikowi.

Spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze czterdzieści minut do ukończenia modłów.

Zbliżył się inny z braci.

– Drzwi na drugim końcu za wejściem do dormitoriów są wciąż zamknięte, tak jak poleciłeś.

De Roquefort wiedział, że tamci nie wrócą do sali jadalnej. Poinformował go o tym postrzelony brat. W takim razie pozostała im jedyna alternatywa. Sięgnął po pistolet, który miał przy sobie jeden z braci.

– Zostań tu. Nie pozwól nikomu tędy przejść. Zajmę się tym osobiście.



Seneszal wszedł do jasno oświetlonej łazienki. Przestrzeń wypełniały tu rzędy kabin, pisuarów oraz zlewów ze stali nierdzewnej, zainstalowanych między marmurowymi blatami. Słyszał, jak Geoffrey wchodzi do przyległego pomieszczenia i zajmuje miejsce w kabinie. On sam stanął w bezruchu i usiłował uspokoić nerwy. Nigdy wcześniej nie znalazł się w podobnej sytuacji. Wziął kilka głębszych oddechów, po czym obrócił się i chwycił klamkę, lekko otwierając drzwi i zostawiając wąską szczelinę, przez którą mógł wyjrzeć.

Dormitorium wciąż było puste.

Być może ci, którzy ich ścigali, poszli dalej. Opactwo przypominało mrowisko, jeśli uwzględnić liczbę i bieg korytarzy. Oni zaś potrzebowali zaledwie kilku cennych minut, by stąd uciec. Jeszcze raz przeklinał swoją słabość. Lata żmudnych przemyśleń i celowych działań poszły na marne. Stał się teraz ściganym. Za wrogów miał ponad czterystu zakonnych braci. „Po prostu szanuję potęgę naszych przeciwników”. Te słowa skierował do swego mistrza zaledwie dzień wcześniej. Pokręcił głową z niedowierzaniem. A jednak okazał odrobinę szacunku. Jak dotąd nie uczynił niczego rozsądnego.

Drzwi prowadzące do dormitorium otworzyły się z impetem, a do środka wszedł Raymond de Roquefort.

Zamknął potężną zasuwę na drzwiach.

Wszelka nadzieja, jaką być może miał seneszal, zniknęła.

Do ostatecznej rozgrywki miało dojść tu i teraz.

De Roquefort trzymał w dłoni pistolet i obserwował badawczym wzrokiem pomieszczenie, z pewnością zastanawiając się, gdzie mogły skryć się jego ofiary. Nie udało im się wyprowadzić go na manowce. Lecz seneszal nie miał zamiaru ryzykować życia Geoffreya. Musiał ściągnąć na siebie uwagę prześladowcy. Puścił więc klamkę i pozwolił, by drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem.



De Roquefort dostrzegł drobny ruch i usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Jego wzrok pobiegł ku tyłom dormitorium i zatrzymał się na jednym z wejść do toalety.

Miał rację.

Byli tutaj.

Czas rozwiązać ten problem ostatecznie.



Seneszal obserwował łazienkę. Jarzeniówki oświetlały wszystko dziennym światłem. Długie lustro przy ścianie nad umywalkami stwarzało wrażenie, że pomieszczenie jest znacznie większe. Posadzkę wyłożono terakotą, a toalety oddzielono marmurowymi przegrodami. Wszystko zbudowano z pieczołowitością i zaprojektowano do ostatniego szczegółu.

Zanurkował do drugiej kabiny i zamknął wahadłowe drzwi. Wskoczył na muszlę i pochylił się nad przegrodą, tak by zamknąć i zasunąć zasuwkę w drzwiach pierwszej, a potem trzeciej kabiny. Następnie schylił się, wciąż stojąc na muszli, i miał nadzieję, że de Roquefort chwyci przynętę.

Musiał w jakiś sposób przyciągnąć jego uwagę. Zdjął więc rolkę papieru toaletowego z uchwytu.

Poczuł pęd powietrza, gdy drzwi do łazienki otworzyły się gwałtownie.

Usłyszał szuranie podeszew po posadzce.

Wyprostował się na muszli z pistoletem w dłoni i z wysiłkiem uspokoił oddech.



De Roquefort wycelował w kierunku kabin z pistoletu automatycznego o krótkiej lufie. Seneszal był tutaj. Wiedział to. Ale w której kabinie? Czy mógł pozwolić sobie na chwilę rozproszenia i schylić się, by sprawdzić, co

widać pod drzwiami. Dwoje drzwi było zamkniętych, troje natomiast uchylonych.

Zdecydował się strzelać.

✠

Seneszal doszedł do wniosku, że de Roquefort zacznie
strzelać już za chwilę, pod ścianką działową przesunął więc wieszak na papier toaletowy do pierwszej kabiny. Metal z brzękiem uderzył o kafel.

✠

De Roquefort wystrzelił kilka pocisków do pierwszej kabiny, następnie kopnął drzwi do środka. Marmurowy pył zamglił powietrze. Oddał kolejny strzał, który uszkodził muszlę i fragment marmurowej płyty na ścianie. Woda popłynęła ciurkiem. Ale kabina była pusta.

✠

Ułamek sekundy przed tym, jak de Roquefort pojął swój błąd, seneszal strzelił ponad ścianą kabiny, posyłając dwie kule w klatkę piersiową wroga. Odgłosy strzałów odbiły się od ścian, a ogłuszający huk wstrząsnął jego mózgiem.

Patrzył, jak de Roquefort upada na marmurowy blat i ugina się, jak gdyby kule przebiły jego pierś. Nie dostrzegł jednak krwi wypływającej z ran. Jego przeciwnik wydawał się tylko nieco ogłuszony. Wtedy seneszal dostrzegł niebiesko-szarą powierzchnię wyzierającą z dziur w białym habicie.

Kamizelka kuloodporna.

Jeszcze raz wycelował i oddał strzał w głowę.



De Roquefort widział, jak szykuje się następny strzał i zebrał w sobie wszystkie siły, by zsunąć się z blatu, dokładnie wtedy, gdy kula opuściła lufę. Jego ciało uderzyło o mokrą posadzkę, wpadając w kałużę wody, i przeturlało się w stronę drzwi wyjściowych.

Czuł, jak zgrzytają pod jego stopami okruchy porcelany i marmuru. Lustro eksplodowało, rozbijając się na setki odłamków, które spadły z brzękiem na marmurowy blat. Pomieszczenie umywalni było wąskie, a jego przeciwnik wykazał się niespodziewaną odwagą. Wycofał się zatem w stronę drzwi i klęknął na zewnątrz, dokładnie w momencie, gdy kolejny pocisk wbił się w ścianę tuż za nim.



Seneszal zeskoczył z muszli i wybiegł z kabiny. Podkradł się do drzwi i przygotował do wyjścia. De Roquefort z pewnością będzie na niego czekał. Nie zamierzał jednak okazać trwogi. Nie teraz. Był winny mistrzowi dokończenie tego pojedynku. Ewangelia była w tym względzie jednoznaczna. Jezus nie przyszedł po to, by przynieść pokój, lecz miecz. On również powinien tak uczynić.

Zebrał się w sobie, zarepetował broń i otworzył z impetem drzwi.

Najpierw zobaczył Raymonda de Roquefort. Potem Geoffreya, którego pistolet był przystawiony do szyi nowo obranego mistrza. Pistolet de Roqueforta leżał na podłodze.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

VILLENEUVE-LES-AVIGNON

Malone wpatrywał się w Royce’a Claridona.

– Jest pan niezły – powiedział.

– Miałem dużo praktyki – odparł Claridon i spojrzał na Stephanie. – Pani jest żoną Larsa?

Przytaknęła.

– Był moim przyjacielem i wspaniałym człowiekiem. Nadzwyczaj mądrym, lecz jednocześnie naiwnym. Nie doceniał przeciwników.

Wciąż znajdowali się w solarium, a Claridon dostrzegł zainteresowanie Malone’a drzwiami prowadzącymi na zewnątrz.

– Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał. Żadna z dusz tu przebywających nie ma ochoty słuchać moich wynurzeń. Postawiłem sobie za punkt honoru, że stanę się utrapieniem wszystkich. Stąd też wszyscy wypatrują dnia, kiedy się stąd wyniosę.

– Od jak dawna pan tu przebywa?

– Od pięciu lat.

Malone był zdumiony.

– Dlaczego?

Claridon chodził powoli wśród krzewów posadzonych w dużych donicach. Za taflą szkła czarne chmury przesłaniały zachodni horyzont, a słońce przebijało się przez szczeliny jak żar migoczący w palenisku.

– Są tacy, którzy szukają tego, czego poszukiwał Lars. Nie otwarcie, nie ściągają uwagi na swoje poczynania, ale okrutnie obchodzą się z tymi, co stają im na drodze. Więc przyjechałem tutaj i symuluję chorobę. Karmią tu człowieka dobrze, troszczą się o jego potrzeby i, co najważniejsze, nie zadają pytań. Nie rozmawiałem racjonalnie z nikim, prócz siebie, od pięciu lat. Mogę pana zapewnić, że dyskutowanie z samym sobą nie daje satysfakcji.

– Dlaczego więc rozmawia pan z nami? – zdziwiła się Stephanie.

– Jest pani wdową po Larsie. Dla niego uczyniłbym wszystko – odparł Claridon, po czym wskazał na kartkę. – I ta notatka. Przesłana przez kogoś, kto dużo wiedział. Być może nawet przez tych ludzi, o których wspomniałem, że nie pozwolą, by ktoś stanął im na drodze.

– Czy Lars stanął im na drodze? – zapytała.

Claridon przytaknął.

– Wielu chciało wiedzieć to, co wiedział Lars.

– Co pana z nim wiązało? – chciała wiedzieć.

– Dysponowałem kontaktami w świecie handlarzy książek. On zaś potrzebował wielu trudno dostępnych publikacji.

Malone wiedział, że antykwariaty są ulubionymi miejscami spotkań zarówno kolekcjonerów, jak i badaczy.

– W końcu zaprzyjaźniliśmy się i zacząłem podzielać jego pasję. Ten region to mój dom. Moja rodzina mieszkała tutaj już w średniowiecza. Niektórzy jej członkowie byli katarami, katolicy spalili ich na stosie. Ale później Lars umarł. To takie przygnębiające. Po nim zaczęli znikać także inni. Dlatego zjawiłem się tutaj.

– Jacy inni?

– Handlarz książkami w Sewilli. Bibliotekarz w Marsylii. Student w Rzymie. Nie wspominając o Marku.

– Ernst Scoville również nie żyje – dodała Stephanie. – W zeszłym tygodniu przejechał go samochód, tuż po tym, jak z nim rozmawiałam.

Claridon przeżegnał się szybko.

– Ci, którzy ruszyli na poszukiwania, rzeczywiście muszą za to zapłacić. Proszę mi powiedzieć, szanowna pani, czy dużo pani wie?

– Mam dziennik Larsa.

Na twarzy starszego mężczyzny pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– W takim razie znajduje się pani w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Jak to? – zdziwił się Malone.

– To okropne – odparł Claridon, wyrzucając z siebie szybko słowa. – Takie okropne! To niesprawiedliwe, żeby wciągano w to panią. Straciła już pani męża i syna…

– Co pan wie o Marku?

– To właśnie wkrótce po jego śmierci przybyłem tutaj.

– Mój syn zginął w lawinie.

– To nieprawda. Został zabity. Podobnie jak inni, o których wspomniałem.

Malone i Stephanie stali w milczeniu, czekając na dalsze słowa dziwacznego człowieczka.

– Mark podążył tropami, które jego ojciec odkrył przed laty. Nie był takim pasjonatem jak Lars i upłynęło sporo czasu, zanim zdołał rozszyfrować notatki ojca, ale w końcu dokonał tego. Pojechał więc na południe w góry, by kontynuować poszukiwania, lecz nigdy stamtąd nie wrócił. Podobnie jak jego ojciec.

– Mój mąż powiesił się na moście.

– Wiem o tym, droga pani. Ale zawsze zastanawiałem się, co tak naprawdę się wydarzyło.

Stephanie nie odpowiedziała, a jej milczenie sygnalizowało, że przynajmniej po części ona również przeżywała podobne rozterki.

– Powiedział pan, że przybył tutaj, uciekając przed nimi. Kim są „oni”? – zapytał Malone. – Rycerzami zakonu templariuszy?

Claridon przytaknął.

– Spotkałem się z nimi twarzą w twarz dwukrotnie. Zapewniam, że nie było to nic przyjemnego.

Malone pozwolił tej uwadze wybrzmieć przez chwilę. Wciąż trzymał notatkę, która przesłano do Ernsta Scoville’a w Rennes-le-Château. Machnął nią teraz.

– W jaki sposób może pan wskazać nam drogę? Dokąd powinniśmy się udać? I kim jest inżynier, którego rzekomo powinniśmy się wystrzegać?

– Ona również szuka tego, czego pragnął Lars. Nazywa się Cassiopeia Vitt.

– Czy potrafi posługiwać się karabinem?

– Posiada wiele talentów. Strzelanie na pewno do nich należy. Mieszka w Givors, w antycznej twierdzy. Ma ciemną skórę, jest muzułmanką i posiada znaczny majątek. W głębi lasu odbudowuje zamek, stosując wyłącznie trzynastowieczną technikę. Jej rezydencja znajduje się niedaleko stąd, ona zaś osobiście nadzoruje projekt odbudowy; sama o sobie mówi *l’Ingénieur*. Czy już pan ją spotkał?

– Wydaje mi się, że uratowała mnie w Kopenhadze. Dlatego tym bardziej dziwi mnie, że ktoś postanowił ostrzec nas przed nią.

– Jej motywy są podejrzane. Szuka tego, czego szukał Lars, ale z innych powodów.

– A czego ona szuka? – zapytał Malone, zmęczony już nieustannymi zagadkami.

– Tego, co Rycerze Świątyni Salomona zostawili po sobie bardzo dawno temu. Ich Wielkiego Dziedzictwa. Tego, co odkrył ksiądz Saunière. Czego templariusze poszukują od kilkuset lat.

Malone nie wierzył nawet w jedno słowo, ale po raz kolejny wskazał na kartkę papieru.

– Niech pan więc wskaże nam kierunek.

– To nie takie proste. Trop bardzo zagmatwano.

– Czy w ogóle pan wie, gdzie powinniśmy zacząć?

– Jeśli posiadacie dziennik Larsa, wiecie więcej niż ja. On często mówił o swoim dzienniku, ale nigdy nie pozwolił mi do niego zajrzeć.

– Posiadamy również egzemplarz książki *Pierres Gravées du Languedoc* – oznajmiła Stephanie.

Claridon stęknął z wrażenia.

– Nigdy nie wierzyłem, że ta książka istnieje!

Stephanie sięgnęła do torebki i pokazała mu wolumin.

– Istnieje naprawdę.

– Czy mogę zobaczyć kamień nagrobny?

Otworzyła na odpowiedniej stronie i pokazała mu rysunek. Claridon patrzył na niego z zainteresowaniem i uśmiechnął się.

– Lars byłby zadowolony. Rysunek jest naprawdę niezły.

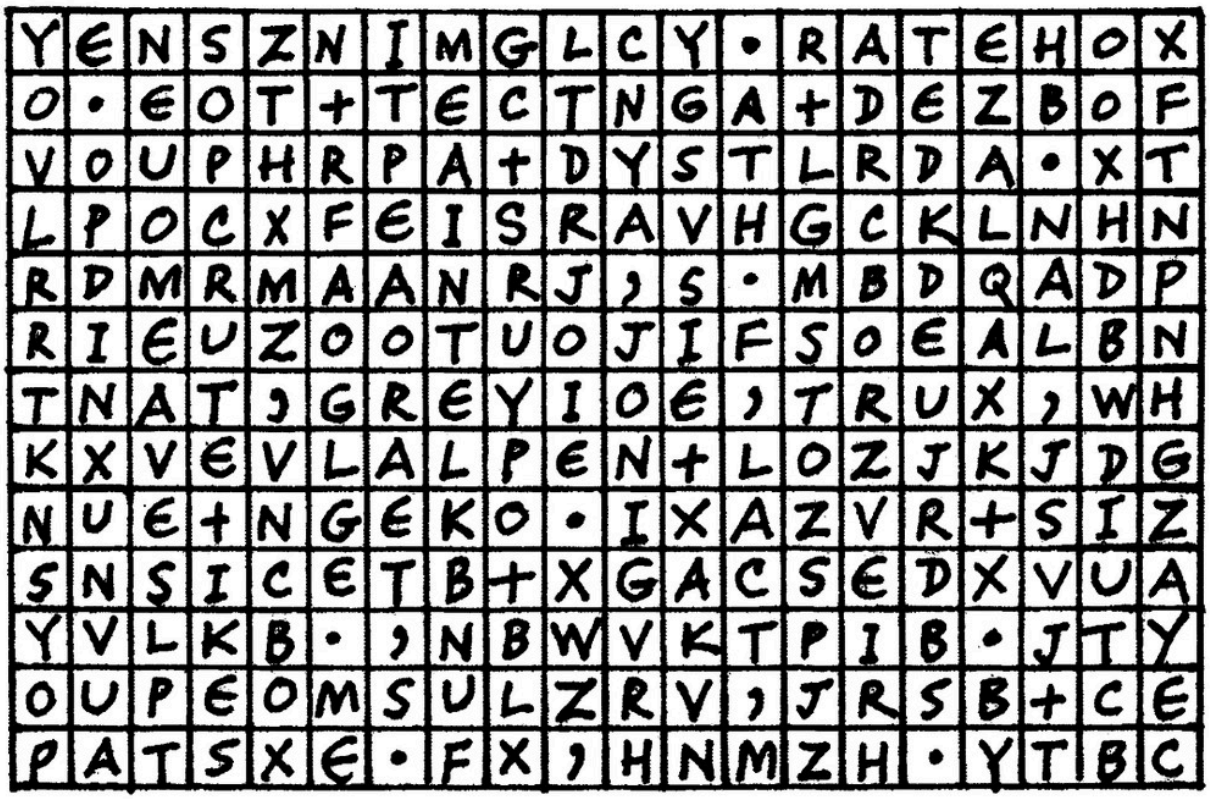
– Zechciałby to pan wyjaśnić? – wtrącił Malone.

– Ojciec Bigou poznał sekret od Marie d’Hautpoul de Blanchefort tuż przed jej śmiercią. Kiedy uciekał z Francji w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, zdał sobie sprawę, że nigdy nie powróci, więc to, co wiedział, ukrył w kościółku w Rennes-le-Château. Informacje te odnalazł później Saunière w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku w szklanej fiolce.

– Wiemy to wszystko – oznajmił Malone. – Nie znamy tylko sekretu Bigou.

– Ach, ależ znacie – odparł Claridon. – Proszę mi pokazać notes Larsa.

Stephanie podała mu dziennik zmarłego męża. Z niepokojem kartkował go, aż w końcu pokazał im wybraną stronę.



– Ten kryptogram najprawdopodobniej znajdował się wewnątrz szklanej fiolki.

– Skąd pan to wie? – zapytał Malone.

– Żeby to wiedzieć, musi pan zrozumieć Saunière’a.

– Zamieniamy się w słuch.

– Gdy Saunière żył, nikt nigdy nie napisał nawet słowa na temat pieniędzy, które wydał na renowację kościółka oraz budowę innych budynków. Nikt poza Rennes nie wiedział nawet o jego istnieniu. Kiedy zmarł w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, całkowicie o nim zapomniano. Jego dokumenty oraz rzeczy osobiste zostały zniszczone lub rozkradzione. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym jego gospodyni sprzedała całą posiadłość mężczyźnie o nazwisku Noël Corbu. Sama zmarła sześć lat później. Tak zwana opowieść Saunière’a o odnalezieniu wielkiego skarbu pojawiła się po raz pierwszy drukiem w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Miejscowa gazeta „La Dépêche du Midi” opublikowała w trzech seriach rzekomo prawdziwą historię. Ale źródłem informacji do tego tekstu był Corbu.

– Wiem o tym – skomentowała Stephanie. – Upiększył wszystko, dodając wiele rzeczy do opowieści i zmieniając ją w zasadniczy sposób. Później pojawiły się inne prasowe relacje, a cała historia stawała się coraz bardziej fantastyczna.

Claridon skinął głową.

– Zmyślenia wzięły absolutnie górę nad faktami.

– Czy mówi pan o pergaminach? – zapytał Malone.

– Doskonały przykład. Saunière nigdy nie znalazł pergaminów w filarach ołtarza. Nigdy. Corbu oraz inni dodali ten szczegół. Nikt nigdy nie widział tych pergaminów, a jednak teksty rzekomo na nich zapisane opublikowano w niezliczonych książkach. A każdy z nich miał ponoć ukrywać jakąś zakodowaną informację. To nonsens. Wszystko, co do joty, i Lars o tym wiedział.

– Ale Lars w swoich książkach opublikował teksty z pergaminów – skomentował Malone.

– On i ja rozmawialiśmy na ten temat. Powiedział mi wtedy jedynie, że „ludzie kochają tajemnice”. Ale ja wiem, że nie dawało mu to spokoju.

Malone poczuł się zbity z pantałyku.

– A zatem opowieść Saunière’a jest kłamstwem?

Claridon przytaknął.

– Współczesna interpretacja to w głównej mierze fałsz. Większość książek poświęconych temu tematowi łączy również Saunière’a z obrazami pędzla Nicolasa Poussina, zwłaszcza z płótnem *Et in Arcadia ego*. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku Saunière miał rzekomo zawieźć dwa odkryte przez siebie pergaminy do Paryża w celu ich odszyfrowania i tam kupił kopię tego obrazu oraz dwóch innych w paryskim Luwrze. Dzieła te miały zawierać ukryte informacje. Problem polega jednak na tym, że w tamtym okresie Luwr nie sprzedawał kopii obrazów, poza tym nie istnieją zapisy w archiwach, jakoby w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim w ogóle w zbiorach muzeum znajdował się obraz *Et in Arcadia ego*. Ale ludzie, którzy rozpowszechniali te teorie, w niewielkim stopniu przejmowali się błędami formalnymi. Po prostu zakładali, że nikt nie będzie sprawdzał faktów i przez długi czas wyglądało na to, że mają rację.

Malone wskazał gestem na kryptogram.

– Gdzie Lars to znalazł?

– Corbu napisał manuskrypt, w którym zawarł wszystkie informacje na temat Saunière’a.

Malone przypomniał sobie niektóre słowa zawartych na ośmiu kartkach przesłanych do Ernsta Scoville’a. Te o gospodyni. „W pewnym momencie ujawniła Noëlowi Corbu jedną ze skrytek Saunière’a. Corbu napisał w swoim manuskrypcie, że zdołał tę skrytkę odnaleźć”.

– O ile Corbu poświęcał znaczne ilości czasu na opowiadanie reporterom zmyśleń na temat Rennes, w swoim manuskrypcie zapisywał ze szczegółami rzetelną prawdę, którą poznał z ust gospodyni Saunière’a.

Kolejne słowa zapisane przez Larsa przebiegły przez umysł Malone’a: „To, co Corbu znalazł, jeśli w ogóle znalazł cokolwiek, nigdy nikomu nie zostało wyjawione. Ale ogrom informacji zawartych w manuskrypcie skłania do namysłu, skąd wiedział wszystko, co przelał na papier”.

– Corbu, oczywiście, nie pozwolił nikomu obejrzeć rękopisu, ponieważ prawda w dalekim stopniu ustępowała zmyśleniom pod względem atrakcyjności. Zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, w następstwie wypadku samochodowego. Jego manuskrypt zniknął, lecz Lars zdołał go odnaleźć.

Malone studiował rzędy liter i symboli w kryptogramie.

– Cóż to więc jest? Jakiś szyfr?

– To pospolity szyfrogram używany w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. Przypadkowe litery i symbole ułożone w siatkę. W którymś miejscu tego chaotycznego zapisu ukryta jest informacja. Prosta, ale w tamtym czasie trudna do rozszyfrowania. Trudna również dzisiaj, jeśli nie zna się klucza.

– Co ma pan na myśli?

– Do znalezienia właściwych liter i ich ustawienia w należytej kolejności potrzebna jest pewna sekwencja liczb. Czasami dla utrudnienia punkt początkowy w siatce również był umieszczany losowo.

– Czy Lars zdołał odczytać ten szyfr? – tym razem zapytała Stephanie.

Claridon pokręcił głową.

– Nie podołał temu zadaniu. I to doprowadzało go do rozpaczy. Potem, na kilka tygodni przed śmiercią, doszedł do przekonania, że natrafił na kolejny ślad.

Malone czuł, jak wyczerpują się jego zapasy cierpliwości.

– I jak zakładam, nie poinformował pana o szczegółach.

– Nie, monsieur. On po prostu taki był.

– Dokąd więc powinniśmy stąd wyruszyć? Proszę wskazać drogę, tak jak miał to pan rzekomo uczynić.

– Wróćcie tu o piątej po południu. Zatrzymajcie się na drodze tuż za głównym budynkiem i czekajcie. Przyjdę tam do was.

– W jaki sposób opuści pan to miejsce?

– Nikt tutaj nie zmartwi się moim wyjściem.

Malone i Stephanie spojrzeli po sobie. Ona z pewnością, podobnie jak on, zastanawiała się, czy podążanie za wskazówkami Claridona, będzie rozsądne. Jak dotąd w całym tym przedsięwzięciu napotykali albo osobników niebezpiecznych, albo wykazujących cechy paranoidalne, nie wspominając już o niedorzecznych spekulacjach. W końcu jednak coś się działo i jeśli zamierzali dowiedzieć się więcej, musieli wziąć udział w tej grze, której reguły wyznaczał ten starszy człowiek.

Niemniej jednak nadal chciał wiedzieć.

– Dokąd więc się udamy?

Claridon obrócił się w stronę okna i wskazał na wschód. W oddali, o całe kilometrów stąd, na wzgórzach wieńczących Awinion widać było potężny pałac zbudowany w stylu orientalnym, przypominający arabskie budowle. Jego złote odblaski lśniły na tle nieboskłonu i rzucały promienie na sąsiednie budynki, z których każdy posadowiony był na skalnym postumencie, wznosząc się dumnie ku niebu. Podobnie jak czynili to mieszkańcy miasta przez blisko sto lat, kiedy siedmiu francuskich papieży rządziło chrześcijańskim światem zza warownych murów miasta.

– Do *palais des popes* – oznajmił Claridon.

Pałacu papieży.

TRZYDZIEŚCI

OPACTWO DES FONTAINES

Seneszal spojrzał w oczy Geoffreya i dostrzegł w nich nienawiść. Nigdy wcześniej nie widział w nich tego uczucia

– Kazałem naszemu nowemu mistrzowi – odezwał się Geoffrey, wciskając pistolet mocniej w gardło de Roqueforta – stać nieruchomo, bo w przeciwnym razie zastrzelę go.

Seneszal podszedł bliżej i stuknął palcem w kamizelkę kuloodporną pod białym habitem.

– Gdybyśmy nie otworzyli ognia, ty byś to uczynił, prawda? Wymyśliłeś sobie, że zginiemy podczas ucieczki. W ten sposób rozwiązałbyś problem. Wyeliminowałbyś mnie, a sam stałbyś się wybawcą zakonu.

De Roquefort odpowiedział milczeniem.

– Dlatego właśnie przyszedłeś tutaj sam. Chciałeś samodzielnie skończyć brudną robotę. Widziałem, jak zamykasz drzwi od dormitorium. Nie życzyłeś sobie świadków.

– Musimy ruszać – ponaglił Geoffrey.

Seneszal zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale wątpił, czy któryś z braci zechce zaryzykować życie mistrza.

– Dokąd idziemy?

– Pokażę ci.

Trzymając pistolet wymierzony w szyję de Roqueforta, Goeffrey ruszył przez dormitorium. Seneszal trzymał pistolet w gotowości, podszedł do drzwi i odsunął rygiel. W korytarzu stała piątka uzbrojonych mężczyzn. Widząc swego przywódcę w sytuacji zagrażającej jego życiu, unieśli broń.

– Opuśćcie broń – rozkazał de Roquefort.

Pistolety były wciąż w nich wymierzone.

– Rozkazałem wam opuścić broń. Nie życzę sobie więcej przelewania krwi

Ten chwalebny gest przyczynił się do osiągnięcia celu.

– Trzymajcie się z dala – zagroził Geoffrey.

Bracia cofnęli się o kilka kroków.

Geoffrey wskazał pistoletem drogę i wraz z de Roqufortem wyszli. Za nimi podążył seneszal. Z oddali dobiegł odgłos dzwonów, sygnalizujący godzinę pierwszą. Modły wkrótce się więc zakończą, a korytarze zapełnią się mężczyznami w białych habitach

– Musimy zniknąć stąd szybko – seneszal nie miał złudzeń.

Prowadził Geoffrey, idąc korytarzem razem z zakładnikiem. Pochód zamykał seneszal, który oglądał się do tyłu i nie spuszczał z oka pięciu uzbrojonych braci.

– Stójcie tam, gdzie jesteście – polecił im stanowczym głosem.

– Róbcie to, co on wam każe – zawołał de Roquefort, gdy skręcili za rogiem.



De Roquefort był zaciekawiony. W jaki sposób zamierzali uciec z opactwa? Jak to powiedział Geoffrey? „Pokażę ci”. Zdecydował, że jedynym sposobem odkrycia czegokolwiek jest pójście razem z nimi; z tego właśnie powodu zalecił swoim ludziom, by trzymali się z dala.

Seneszal strzelił do niego dwa razy. Gdyby de Roquefort nie okazał dostatecznego refleksu, trzecia kula roztrzaskałaby mu czaszkę. A zatem nie ulegało wątpliwości, że stawka jest już wyższa. Ci, którzy go pojmali, wypełniali misję, którą niewątpliwie zlecił im jego poprzednik. Z pełną desperacją pragnął poznać, jaki jest cel tej misji. Eskapada do Danii nie przyniosła właściwie żadnych rezultatów. Jak dotąd nie dowiedział się też niczego w Rennes-le-Château. I chociaż zdołał zdyskredytować poprzedniego wielkiego mistrza już po jego śmierci, niewykluczone, że zmarły starzec będzie się śmiał ostatni.

Nie podobał mu się również fakt, że dwóch braci zakonnych zostało zranionych. Nie był to najlepszy sposób rozpoczęcia urzędowania. Zakonnicy pragnęli porządku. Chaos postrzegali jako słabość. Ostatni raz przemoc zawitała tu podczas rewolucji francuskiej, kiedy rozwścieczony

tłum usiłował sforsować mury opactwa. Ale gdy trupem padło kilku napastników, rozwścieczona tłuszcza odstąpiła. Opactwo było oazą spokoju i ucieczki od świata. Uczono tu wprawdzie stosowania siły – i czasami nawet ją stosowano – ale zawsze przemoc była okiełznana przez dyscyplinę. Seneszal natomiast zaprezentował całkowity brak dyscypliny. Maruderzy, którzy być może przez chwilę okazali mu lojalność, teraz, kiedy złamał Regułę w tak ważnym punkcie, z pewnością przejdą na drugą stronę.

De Roquefort wciąż jednak nie wiedział, dokąd ci dwaj zmierzają.

Szli korytarzami, mijając warsztaty, bibliotekę i kolejne puste korytarze. Słyszał za sobą odgłosy stóp, piątka braci podążała za nimi, gotowa wkroczyć, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Ale zapłacą mu drogo, jeśli wtrącą się wcześniej, niż im rozkaże.

Zatrzymali się przed drzwiami z wyrytymi literami i prostą żelazną klamką. Była to kwatera wielkiego mistrza.

Jego kwatera.

– Do środka! – polecił Geoffrey.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony seneszal. – Znajdziemy się w pułapce.

– Proszę, wejdźmy do środka.

Seneszal otworzył drzwi, a kiedy już weszli do środka, zasunął rygiel.

De Roquefort był zdumiony. I jednocześnie zaciekawiony.



Seneszal odczuwał zaniepokojenie. Byli teraz uwięzieni w celi mistrza, a jedyną drogę ucieczki stanowiło niewielkie okno wychodzące na przepaść. Poczuł, jak po czole spływają mu krople potu i starł słoną wilgoć z czoła i oczu.

– Siadaj – polecił Geoffrey de Roquefortowi, a ten posłusznie usiadł za biurkiem.

Seneszal rozglądał się po pomieszczeniu.

– Widzę, że zdążyłeś już zrobić przemeblowanie.

Wzdłuż ścian stało kilka tapicerowanych krzeseł. Stół zajmował teraz miejsce tam, gdzie przedtem nic nie było. Inna była pościel na łóżku,

a także przybory na stole i biurku.

– To teraz moje mieszkanie – oznajmił de Roquefort.

Seneszal zauważył na biurku kartkę zapisaną charakterem pisma jego mentora. Był to testament przeznaczony dla następcy, pozostawiony zgodnie z wymogami Reguły zakonu. Podniósł go i przeczytał.

> *Czy uważasz, że to, co Twoim zdaniem jest niezniszczalne, nie zostanie zniszczone? Opierasz swą nadzieję na świecie, a Twoim bogiem jest życie. Nie zdajesz sobie sprawy, że zostaniesz zniszczony. Żyjesz w ciemności i śmierci, zachłysnąłeś się ogniem i jesteś pełen goryczy. Twój umysł ogarnął obłęd od ognia, który w Tobie płonie. Odczuwasz rozkosz, zatruwając i pokonując swoich wrogów. Ciemność ogarnęła cię niczym światło, gdyż zamieniłeś wolność na niewolę. Poniesiesz klęskę, nie ulega to wątpliwości.*

– Wasz mistrz uznał strofy z Ewangelii świętego Tomasza za odpowiednie – oznajmił de Roquefort. – I najprawdopodobniej był przekonany, że ja, a nie ty, włożę biały płaszcz z chwilą, kiedy on odejdzie z tego świata. Najwyraźniej te słowa nie były przeznaczone dla tego, którego on wybrał.

Nie, z pewnością nie były. Seneszal zastawiał się, dlaczego jego mentor pokładał w nim tak małą wiarę, zwłaszcza że zaledwie na kilka godzin przed śmiercią zachęcał go do podjęcia walki o wysoką godność.

– Powinieneś go posłuchać – powiedział.

– Jego słowa są radą człowieka małej wiary.

Rozległo się stukanie do drzwi.

– Mistrzu? Jesteś tam?

O ile bracia nie zamierzali utorować sobie drogi materiałem wybuchowym, niewielkie były szanse, że zdołają wyważyć potężną zasuwę w drzwiach.

De Roquefort wpatrywał się w seneszala.

– Odpowiedz im – polecił mu tamten.

– Nic mi nie jest. Zostańcie tam.

Geoffrey podszedł do okna i spoglądał w stronę wodospadu znajdującego się po drugiej stronie wąwozu.

De Roquefort założył nogę na nogę i oparł się wygodnie na krześle.

– Cóż więc zamierzasz osiągnąć? To czysta głupota.

– Zamknij się – nakazał seneszal, lecz w duszy pomyślał to samo.

– Mistrz zostawił jeszcze inne słowa – odezwał się Geoffrey spod okna.

Seneszal i de Roquefort obrócili się, gdy młodzieniec sięgnął pod habit i wyciągnął kopertę.

– To jego prawdziwe ostatnie przesłanie.

– Oddaj mi to – zażądał de Roquefort, wstając z krzesła.

Geoffrey wycelował w niego pistolet.

– Siadaj.

De Roquefort wciąż stał. Młody zakonnik odciągnął kurek i wycelował w jego nogi.

– Kamizelka nie pomoże ci w tym miejscu.

– Byłbyś w stanie mnie zabić?

– Uczynię cię kaleką.

De Roquefort usiadł.

– Twój towarzysz jest niezwykle dzielny – rzekł do seneszala.

– Jest rycerzem Świątyni.

– Ale to wstyd, że nie dochował wierności przysiędze.

Jeśli te słowa miały wywrzeć wrażenie na Geoffreyu, to się nie udało.

– Zmierzacie donikąd – oświadczył butnie de Roquefort.

Seneszal spojrzał na sprzymierzeńca. Geoffrey znów wyglądał przez okno, jak gdyby czekał na coś.

– Już się cieszę na myśl o karze, która was spotka – rzucił de Roquefort.

– Kazałem ci się zamknąć – powtórzył seneszal.

– Twój mistrz uważał siebie za mądrego człowieka. Wiem jednak, że nim nie był.

Seneszal wyczuł, że de Roquefort chce powiedzieć coś więcej.

– W porządku, zrozumiałem twoją intencję. O co ci chodzi?

– O Wielkie Dziedzictwo. Sprawa ta pochłaniała go zresztą tak samo jak wszystkich wielkich mistrzów. Każdy z nich pragnął je odnaleźć, lecz żaden nie zdołał tego dokonać. Twój mistrz spędził wiele czasu na poszukiwaniach, a twój młody przyjaciel, który tam stoi, pomagał mu w tym dziele.

Seneszal rzucił spojrzenie w kierunku Geoffreya, lecz jego partner nie odwracał oczu od okna.

– Sądziłem, że jesteś bliski odnalezienia Dziedzictwa. To właśnie oświadczyłeś w trakcie konklawe – rzekł seneszal do de Roqueforta.

– Jestem już blisko.

Seneszal nie dał wiary jego słowom.

– U schyłku życia wielki mistrz i twój młody przyjaciel stworzyli niezwykły zespół. Dowiedziałem się, że ostatnio z nowym zapałem i entuzjazmem przeglądali nasze archiwa, co z kolei wzbudziło moje zaciekawienie.

Geoffrey obrócił się, przeszedł przez komnatę sypialną, stukając butami o posadzkę, następnie wsunął kopertę z powrotem za habit.

– Niczego się nie dowiesz – głos młodego mężczyzny bliski był krzyku. – To, czego poszukujemy, nie trafi w twoje łapska.

– Czyżby?– zapytał drwiąco de Roquefort. – Czegóż takiego poszukujecie?

– Triumf nie będzie udziałem tobie podobnych. Mistrz miał rację. Ogarnął cię ogień zachłanności i jesteś przepełniony goryczą.

De Roquefort spojrzał na Geoffreya z kamienną twarzą.

– Ty i twój mistrz dowiedzieliście się czegoś, prawda? Wiem, że wysłaliście pocztą dwie paczki. Wiem nawet, do kogo. Zająłem się już jednym z adresatów i wkrótce zatroszczę się o drugiego. Niebawem będę wiedział wszystko to, co wiecie wy i wasz mistrz.

Prawe ramię Geoffreya wykonało nagły zamach, a pistolet uderzył z ogromną siłą w skroń de Roqueforta. Mistrz zachwiał się na nogach, zrobił zdumioną minę, potem wywrócił białkami oczu w górę i upadł na posadzkę.

– Czy to było konieczne?– zapytał seneszal.

– Powinien być zadowolony, że go nie zastrzeliłem. Ale mistrz wymógł na mnie obietnicę, że nie wyrządzę krzywdy temu durniowi.

– Będziemy musieli poważnie porozmawiać.

– Ale najpierw musimy opuścić to miejsce.

– Nie sądzę, by bracia stojący na korytarzu pozwolili nam na to.

– Nie stanowią dla nas problemu

Wyczuł przekaz między wierszami.

– Znasz inną drogę wyjścia stąd?

Geoffrey uśmiechnął się szeroko

– Mistrz był w tej kwestii bardzo precyzyjny.

CZĘŚĆ
TRZECIA

TRZYDZIEŚCI JEDEN

OPACTWO DES FONTAINES
14.05

De Roquefort otworzył oczy. Czuł pulsujący ból; w duchu przysięgał, że brat Geoffrey zapłaci mu za tę napaść. Dźwignął się z podłogi i usiłował odzyskać ostrość widzenia. Zza drzwi dobiegały rozpaczliwe krzyki. Otarł skroń rękawem habitu, a gdy skończył, zobaczył, że tkanina nasiąkła krwią. Podszedł do łazienki i wylał na głowę dzbanek wody, oczyszczając ranę.

Przygotował się w duchu. Musiał pokazać, że cały czas panuje nad sytuacją. Powoli przeszedł przez zakonną celę i otworzył drzwi.

– Panie, nic ci nie jest? – zapytał nowo mianowany marszałek.

– Wejdź do środka – polecił.

Czwórka pozostałych braci czekała w korytarzu. Dobrze wiedzieli, że lepiej nie wchodzić do celi mistrza bez zezwolenia.

– Zamknij drzwi.

Jego asystent wykonał polecenie.

– Uderzono mnie w głowę i straciłem przytomność. Jak dawno temu stąd wyszli?

– Od ponad dwudziestu minut panowała zupełna cisza. Dlatego tak bardzo się zaniepokoiliśmy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Na twarzy marszałka pojawił się wyraz zdziwienia.

– Cisza. Nic.

– Dokąd poszli seneszal i brat Geoffrey?

– Mistrzu, oni byli tu w środku, razem z tobą. My zaś znajdowaliśmy się na zewnątrz.

– Rozejrzyj się dookoła. Nie ma ich tu. Kiedy stąd wyszli?

Zdziwienie marszałka było jeszcze większe.

– Chcesz mi powiedzieć, że ci dwaj nie wyszli przez te drzwi?

– Zastrzelilibyśmy ich, gdyby tak zrobili, zgodnie z twoim rozkazem.

Znów odezwał się ostry ból głowy. De Roquefort podniósł wilgotną szmatkę do skroni i pocierał pulsujący guz. Zastanawiał się, dlaczego Geoffrey przyszedł prosto do tego pomieszczenia.

– Nadeszły wieści z Rennes-le-Château – dodał marszałek.

Ta nowina przykuła jego uwagę.

– Nasi dwaj bracia ujawnili swoją obecność i Malone, tak jak przewidywałeś, zgubił ich na szosie.

Trafnie przewidział, że najlepszym sposobem podążania śladem Stephanie Nelle i Cottona Malone będzie wzbudzenie w nim przekonania, że nikt nie depcze im po piętach.

– A strzelec na dziedzińcu kościelnym z wczorajszego wieczoru?

– Uciekł na motocyklu. Jeden z naszych ludzi widział, jak ściga go Malone. Ten incydent oraz atak na naszych braci w Kopenhadze są z pewnością ze sobą powiązane.

De Roquefort przytaknął

– Jakieś hipotezy, kto to może być?

– Jeszcze nie.

Nie chciał już słuchać na ten temat.

– Dokąd udali się Malone i Nelle dzisiaj?

– Elektroniczne urządzenie inwigilacyjne przyczepione do samochodu Malone’a pracuje bez zarzutu. Pojechali prosto do Awinionu. Przed chwilą opuścili zakład dla umysłowo chorych, gdzie jako pacjent przebywa Royce Claridon.

Osoba Claridona była de Roquefortowi dobrze znana. Nawet przez chwilę nie dawał wiary w chorobę psychiczną tego człowieka. Dlatego ulokował źródło informacji w zakładzie. Przed miesiącem, kiedy mistrz wysłał Geoffreya do Awinionu, by tam nadał pocztą przesyłkę do Stephanie Nelle, de Roquefort sądził, że być może ci dwaj nawiążą kontakt. Lecz młody zakonnik nie złożył wizyty w szpitalu psychiatrycznym. De Roquefort podejrzewał, że druga przesyłka nadana na adres Ernsta Scoville’a w Rennes, o której wiedział niewiele, sprawiła, że Stephanie Nelle i Malone pojechali spotkać się z Claridonem. Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: Claridon i Lars Nelle pracowali ramię w ramię, a kiedy syn Larsa po śmierci ojca zaczął amatorsko kontynuować poszukiwania, Claridon również mu towarzyszył. Mistrz wiedział o tym dobrze. A teraz wdowa po Larsie Nelle pojechała prosto do Claridona.

Najwyższa pora zająć się tym problemem.

– Wyjeżdżam do Awinionu za pół godziny. Przygotuj oddział czterech braci. Kontynuuj elektroniczną inwigilację i powiadom naszych ludzi, żeby nadal zachowywali dyskrecję. Sprzęt ma duży zasięg, więc niech to wykorzystają.

Wciąż miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Rozejrzał się dookoła po pomieszczeniu.

– Zostaw mnie teraz.

Marszałek ukłonił się, potem opuścił zakonną celę.

De Roquefort stał nieruchomo, wciąż nieco zamroczony i badawczo rozglądał się po prostokątnym pomieszczeniu. Dwie ściany były wykonane z kamienia, a dwie pozostałe stanowiły przegrody wykonane z drewna klonowego, obłożone symetrycznymi panelami. Na jednej ze ścian dominowała duża ozdobna szafa, a pod innymi stały kredens, druga komoda oraz stół i krzesła. Jego wzrok zatrzymał się jednak na kominku. Wydawało się to najbardziej logiczne miejsce. Wiedział, że w dawnych czasach nie istniały pomieszczenia, z których byłoby tylko jedno wyjście. Ta szczególna izba była kwaterą wielkich mistrzów od szesnastego stulecia i o ile dobrze sobie przypominał, kominek postawiono w siedemnastym wieku, w miejsce starego kamiennego paleniska. Obecnie rzadko był używany, ponieważ w całym opactwie zainstalowano centralne ogrzewanie.

Podszedł do gzymsu kominka i przyglądał się drewnianym płytom, potem badawczo przemierzał wzrokiem palenisko i dostrzegł niewyraźne białe linie rozciągające się prostopadle w kierunku ściany.

Pochylił się i wbił wzrok w pociemniałe palenisko. Wsadził ugiętą w łokciu rękę do przewodu komina.

Znalazł to, czego szukał.

Szklaną gałkę.

Spróbował ją obrócić, lecz nie drgnęła. Następnie pchnął ją w górę, potem ściągnął w dół. Wciąż nic. W końcu pociągnął do siebie i gałka ustąpiła. Niedużo, może z półtora centymetra, a jednocześnie usłyszał trzask. Zwolnił uchwyt i poczuł śliskość na palcach. Oliwa. Ktoś był dobrze przygotowany.

Nie odrywał wzroku od kominka.

Na wysokości całej ściany rozległo się trzaśnięcie. Naparł, a kamienny panel wsunął się w głąb. Otwór był na tyle duży, by wejść do środka,

wpełznął więc tam. Za wejściem zobaczył korytarz wysokości człowieka.

Wyprostował się.

Wąski korytarz ciągnął się zaledwie dwa, trzy metry do kamiennych schodów prowadzących wąską spiralą w dół. Trudno było powiedzieć, dokąd prowadzą. Nie ulegało wątpliwości, że w całym opactwie roiło się od takich wejść i wyjść. De Roquefort piastował funkcję marszałka od dwudziestu dwóch lat, ale nie wiedział o istnieniu sekretnych miejsc.

Mistrz jednak wiedział, a od niego dowiedział się o tym Geoffrey.

De Roquefort uderzył pięścią w kamień i w ten sposób wyładował ogarniający go gniew. Musi odnaleźć Wielkie Dziedzictwo! Od tego zależała możliwość objęcia władzy w zakonie. Mistrz posiadał dziennik Larsa Nelle, o czym de Roquefort wiedział od kilku lat, lecz nie miał żadnego sposobu, by dostać go w swoje ręce. Sądził wcześniej, że kiedy stary człowiek opuści ziemski padół, on zyska szansę, lecz mistrz przewidział jego ruch i odesłał manuskrypt pocztą. Teraz wdowa po Larsie Nelle oraz jej były współpracownik – wyszkolony agent służb specjalnych – nawiązywali kontakt z Royce’em Claridonem. Z tej współpracy nie mogło wyjść nic dobrego.

Usiłował się uspokoić.

Przez całe lata pracował w cieniu wielkiego mistrza. Teraz sam zyskał ten tytuł. I ani myślał pozwolić, by jego poczynaniami sterowały duchy przeszłości.

Zrobił kilka głębszych wdechów, wciągając do płuc zimne zawilgocone powietrze, a jego myśli pobiegły ku początkom. Anno domini 1118. Ziemia Święta została w końcu uwolniona od Saracenów, utworzono tu chrześcijańskie królestwo, ale wciąż istniało wielkie niebezpieczeństwo. W tej sytuacji dziewięciu rycerzy połączyło się i złożyło przysięgę przed Baldwinem, nowym chrześcijańskim królem Jerozolimy, że szlak do królestwa będzie bezpieczny dla pielgrzymów. Ale jak dziewięciu mężczyzn w średnim wieku, ślubami zobowiązanych do ubóstwa, mogło chronić szlak z Jaffy do Jerozolimy, zwłaszcza że czyhały na nim setki rozbójników? Jeszcze bardziej zagadkowy był fakt, że przez pierwsze dziewięć lat istnienia bractwa nie przyjęto do niego nowych rycerzy, a kroniki zakonu nie zanotowały żadnego udziału templariuszy w działaniach na rzecz ochrony pielgrzymów. Te dziewięć lat spędzili natomiast, wykonując inne wielkie zadanie. Ich kwatera znajdowała się

w pobliżu starej jerozolimskiej świątyni, w miejscu, które kiedyś służyło za stajnie króla Salomona. Były to pomieszczenia pełne łuków i krypt, tak ogromne, że kiedyś mieściły się tutaj dwa tysiące rumaków. Bracia odkryli podziemne przejścia, wykute w skale setki lat wcześniej, w wielu z nich znaleźli biblijne zwoje, uczone traktaty, pisma na temat sztuki i nauki, a także dużo dokumentów związanych z dziedzictwem Żydów i Egipcjan.

Znaleźli też to, co najważniejsze ze wszystkiego.

Prace wykopaliskowe pochłonęły całą uwagę dziewięciu rycerzy. Później, w 1127 roku, drogocenne, okryte tajemnicą znaleziska załadowali na statki i pożeglowali do Francji. To, co znaleźli, przyniosło im sławę, zamożność oraz lojalność wpływowych osobistości. Wielu teraz chciało dołączyć do ich ruchu, a w 1128 roku, zaledwie w dziesięć lat po założeniu zakonu, templariusze zyskali od papieża autonomię, niespotykaną dotąd w zachodnim świecie.

Wszystko to dzięki wiedzy, którą zdołali posiąść.

Ale wiedzę tę chronili tajemnicą. Jedynie ci, którzy piastowali najwyższe urzędy, mogli ją poznać. Przez wiele stuleci obowiązkiem każdego wielkiego mistrza było przekazanie tej wiedzy na długo przed śmiercią. Lecz wszystko to działo się przed Czystką. Później wielcy mistrzowie prowadzili poszukiwania, lecz wszystko nadaremno.

De Roquefort ponownie walną pięścią w kamienną ścianę.

Templariusze wykuli swoje przeznaczenie w zapomnianych jaskiniach, pracując z determinacją fanatyków. Wielkie Dziedzictwo leżało gdzieś dobrze ukryte. Był już blisko. Wiedział o tym.

Odpowiedzi należało szukać w Awinionie.

TRZYDZIEŚCI DWA

AWINION
17.00

Malone zatrzymał peugeota. Royce Claridon czekał na skraju drogi, na południe od lecznicy, dokładnie w miejscu, w którym miał czekać. Zaniedbana broda zniknęła z jego oblicza, nie nosił też już poplamionych spodni ani swetra. Twarz była świeżo ogolona, paznokcie równo przycięte. Miał na sobie dżinsy oraz koszulę z wycięciem pod szyją. Długie włosy zaczesał do tyłu i związał w koński ogon. I szedł żwawym krokiem.

– To wspaniałe uczucie pozbyć się tej brody – oznajmił, wsiadając do tyłu auta. – Pozując na templariusza, musiałem wyglądać jak jeden z nich. Wiecie, że oni nigdy nie zażywali kąpieli? Zabraniała tego Reguła. Nie wolno było obnażać się przed braćmi i podobne bzdury. Ta zgraja musiała nieźle cuchnąć.

Malone uruchomił silnik i wyjechał na szosę. Na niebie gromadziły się burzowe chmury. Najwyraźniej pogoda z Rennes-le-Château w końcu przemieszczała się w kierunku wschodnim. W oddali dostrzegł błyskawice przecinające pióropusz chmur, a po chwili dosłyszał groźny pomruk grzmotu. Deszcz jeszcze nie padał, ale było oczywiste, że spadnie lada chwila. Malone wymienił spojrzenie ze Stephanie i zrozumiał, że mężczyzna na tylnym siedzeniu powinien odpowiedzieć na kilka pytań.

Obróciła się do tyłu.

– Panie Claridon…

– Proszę zwracać się do mnie Royce, madame.

– Dobrze. Royce, czy zechciałby pan powiedzieć nam więcej o przemyśleniach Larsa? Musimy to zrozumieć.

– Nie wiecie tego?

– Lars i ja nie byliśmy zbyt blisko w ciągu kilku ostatnich lat, przed jego śmiercią. Nie powierzał mi zbyt wielu sekretów. Ale ostatnio przeczytałam jego książki oraz dziennik.

– Mogę w takim razie zapytać, dlaczego znalazła się pani tutaj? On odszedł z tego świata dawno temu.

– Powiedzmy, iż doszłam do przekonania, że Lars życzyłby sobie, bym dokończyła jego dzieło.

– Co do tego ma pani rację, madame. Pani mąż był błyskotliwym uczonym. Jego teorie były dobrze uzasadnione i jestem przekonany, że osiągnąłby w końcu sukces. Gdyby żył.

– Proszę mi opowiedzieć o jego teoriach.

– Podążał szlakiem wytyczonym przez księdza Saunière'a. Ten ksiądz nie był w ciemię bity. Z jednej strony nie chciał, żeby ktokolwiek poznał to, co on wiedział. Z drugiej natomiast rozpuszczał liczne pogłoski – wyjaśnił Claridon, po czym pokręcił sceptycznie głową. – Mówi się, że wyjawił wszystko swojej kochanicy, ale ona zmarła, nie puszczając pary z ust. Przed swoją śmiercią Lars doszedł do przekonania, że w końcu zrobił krok do przodu. Czy zna pani, madame, całą tę historię? Całą prawdę?

– Obawiam się, że moja wiedza ogranicza się do tego, co Lars napisał w swoich książkach. Lecz znalazłam interesujące odniesienia w jego dzienniku, który nigdy nie został opublikowany.

– Czy mogę go zobaczyć?

Przekartkowała dziennik, zanim przekazała go Claridonowi. Malone zobaczył w tylnym lusterku, jak mężczyzna czyta z zainteresowaniem.

– To zdumiewające – skomentował Clardion.

– Czy zechciałby pan nas oświecić?– zapytała Stephanie.

– Oczywiście, madame. Jak już mówiłem dzisiejszego popołudnia, wymysły Noëla Corbu oraz innych na temat Saunière'a były tajemnicze i ekscytujące. Ale moim zdaniem, a także zdaniem Larsa, prawda jest jeszcze bardziej ekscytująca.

Saunière patrzył na nowy ołtarz kościółka, zadowolony z wykonanego remontu. Marmurowe brzydactwo zniknęło, stary ołtarz leżał teraz wśród śmieci na kościelnym dziedzińcu, a filary z czasów Wizygotów znalazły nowe zastosowanie. Nowy ołtarz emanował prostotą i pięknem. Przed trzema miesiącami, w czerwcu, z dużym nakładem sił zorganizował mszę z pierwszą komunią. Ludzie z miasteczka przynieśli tu figurę Matki Boskiej, przechodząc z uroczystą procesją przez całe Rennes, i powracając do kościółka, gdzie posąg umieszczono na wierzchołku niepotrzebnego już

filara, ustawionego na kościelnym dziedzińcu. By upamiętnić to wydarzenie, Saunière kazał wyryć na bocznej powierzchni filara słowa: „SKRUCHA, SKRUCHA”, co miało przypominać parafianom o pokorze. Był jeszcze dopisek: „MISJA 1891”, który z kolei miał upamiętniać rok, kiedy wspólnymi siłami zakończono renowację kościoła.

Dach budowli został w końcu uszczelniony, a zewnętrzne ściany wzmocniono podporami. Starą ambonę rozebrano, nowa była już w budowie. Wkrótce też miała zostać położona nowa posadzka o wzorze szachownicy. Potem przyjdzie kolej na nowe ławki. Wcześniej jednak należało wymienić podbudowę pod posadzką. Woda przeciekająca z dachu spowodowała erozję wielu kamieni. Łatanie dziur na pewien czas pomagało, lecz kilka zdecydowanie wymagało wymiany.

Na zewnątrz był mokry wietrzny wrześniowy poranek, proboszcz zdołał więc zapewnić sobie pomoc kilku mieszkańców miasteczka. Ich praca miała polegać na podważeniu kilku uszkodzonych kamiennych płyt i wstawieniu w ich miejsce nowych, zanim w kościele pojawią się glazurnicy, których spodziewano się za dwa tygodnie. Mężczyźni pracowali teraz w trzech miejscach głównej nawy. Saunière zaś zajął się zwichrowanym kamieniem, który zawsze się chybotał, a leżał przed schodami prowadzącymi na ołtarz.

Wciąż jeszcze nie rozgryzł tajemnicy szklanej fiolki, którą znalazł wcześniej tego roku. Kiedy stopił woskową pieczęć, wyciągnął zwinięty kawałek papieru, nie odnalazł żadnego przekazu, lecz tylko trzynaście rzędów zapisanych literami i symbolami. Pokazał znalezisko Gélisowi, księdzu z sąsiedniej osady, i usłyszał od niego, że to kryptogram i że gdzieś wśród pozornie nic nieznaczących liter ukryte jest jakieś przesłanie. Potrzebny był tylko właściwy matematyczny klucz do odszyfrowania, ale proboszcz z Rennes po wielu miesiącach usilnych prób wciąż daleki był od rozwiązania. Chciał poznać treść oraz dowiedzieć się, dlaczego szklana fiolka została ukryta. Nie miał wątpliwości, że przekaz ma ogromne znaczenie, ale musiał uzbroić się w cierpliwość. To właśnie powtarzał sobie każdego wieczoru, kiedy nie udawało mu się

znaleźć odpowiedzi. Chociaż nie czynił postępów, okazywał przynajmniej cierpliwość.

Chwycił młot o krótkim trzonku i postanowił przekonać się, czy gruba kamienna posadzka da się rozbić. Mniejsze kawałki łatwiej byłoby potem usunąć. Uklęknął i trzy razy uderzył młotem w jeden z końców kamiennej płyty długości około metra. W powietrze trysnęły odpryski kamienia. Po kilku kolejnych uderzeniach kamień pękł.

Odłożył młot na bok i z pomocą żelaznego łomu poluzował i podważył jeden z mniejszych kawałków. Następnie wsunął łom pod długi wąski fragment płyty i podniósł go do góry. Nogą odsunął bryłę na bok.

Wtedy coś zauważył.

Odłożył żelazny łom i sięgnął po lampę naftową, którą oświetlił odkrytą podbudowę. Nachylił się i delikatnie odsunął kamienne odłamki oraz żwir i wtedy zobaczył zawiasy. Nachylił się bardziej i odsunął jeszcze więcej kamyków, odsłaniając skorodowaną żelazną powierzchnię. Na opuszkach palców miał rdzę.

Kształt tego, co widział, nie pozostawiał wątpliwości.

Drzwiczki.

Prowadzące w dół.

Ale dokąd?

Rozejrzał się dookoła. Pozostali mężczyźni pracowali ciężko, rozmawiając ze sobą. Odstawił lampę na bok i bez pośpiechu nasunął podważony odłam kamiennej płyty na miejsce.

– Dobry ksiądz nie chciał, żeby ktokolwiek poznał jego odkrycie – kontynuował Claridon. – Najpierw szklana fiolka, a teraz drzwiczki. Ten kościół był pełen cudów.

– Drzwiczki prowadzące dokąd?– chciała wiedzieć Stephanie.

– To interesujący temat. Lars nigdy nie powiedział mi wszystkiego. Ale teraz, po lekturze jego dziennika, wreszcie rozumiem.

Saunière usunął ostatni kamień przysłaniający żelazną klapę w podłodze. Drzwi do kościoła były już zamknięte, słońce zaszło kilka godzin wcześniej. Przez cały dzień rozmyślał o tym, co może

kryć się za wejściem do podziemi, lecz żadnemu z robotników nie powiedział o tym ani słowa. Podziękował im jedynie za pracę i wyjaśnił, że zamierza zrobić kilka dni przerwy, będą mu więc potrzebni dopiero w przyszłym tygodniu. Nie powiedział nic nawet swej drogiej gospodyni, wspomniał jedynie przy kolacji, że zamierza zrobić jeszcze inspekcję przed udaniem się do łóżka. Ulewny deszcz stukał głośno o dach kościółka.

W świetle lampy naftowej ocenił, że drzwiczki mają długość nieco ponad metr i około pół metra szerokości. Leżały równo z powierzchnią posadzki i nie miały zamka. Na szczęście ościeże były kamienne, ale niepokoił się o zawiasy, więc przyniósł ze sobą pojemnik z naftą. Nie był to najlepszy smar, ale niczego innego nie miał pod ręką.

Polał zawiasy naftą i miał nadzieję, że to, co przeżarła rdza, poluzuje się. Po chwili wsunął szpic łomu pod jedną z krawędzi drzwi i naparł, chcąc je podważyć.

Nawet nie drgnęły.

Nacisnął mocniej.

Zawiasy zaczęły ustępować. Obracał łomem, podważając przerdzewiały metal, potem dolał oliwy. Po kilku próbach zawiasy z piskliwym zgrzytem puściły, a drzwi otworzyły się do pozycji pionowej i stanęły nieruchomo.

Oświetlił lampą chłodną i wilgotną czeluść.

Wąskie schody prowadziły w dół na odległość pięciu metrów, dalej widać było posadzkę z nieobrobionego kamienia.

Saunière poczuł, jak ogarnia go fala podniecenia. Słyszał wcześniej opowieści innych księży o rzeczach, które znajdowali. Większość pochodziła z czasów rewolucji, kiedy duchowni ukryli relikwie, święte obrazy i kościelne ozdoby przed republikańskimi grabieżcami. W Langwedocji wiele kościołów padło ofiarą rabusiów. Ale kościołek w Rennes-le-Château był wtedy w stanie takiego upadku, że nic w nim nie nadawało się do grabieży.

Być może wszyscy byli w błędzie.

Stanął ostrożnie na górnym stopniu i stwierdził, że schodki są wykute w skale tworzącej fundament kościółka. Z lampą w ręku schodził, spoglądając przed siebie w prostokątną przestrzeń, której

ściany również wykuto w skale. Sklepione przejście dzieliło na pół podziemną kryptę. Dostrzegł kości. W zewnętrznych ścianach wykute były nisze, z których każda zwierała szkielet wraz ze szczątkami odzieży, obuwia, broni oraz pogrzebnych całunów.

Przystawił lampę do jednego z grobów i dostrzegł, że na każdym z nich wyryte jest nazwisko. Wszyscy pochowani należeli do rodu d'Hautpoul. Daty sięgały od szesnastego po osiemnaste stulecie. Policzył. Kryptę wypełniały szczątki doczesne dwudziestu trzech przedstawicieli tej rodziny. Wiedział, kim byli. Władcami Rennes.

Za środkowym łukiem dostrzegł kufer, a obok metalowy garnek. Saunière podszedł i w świetle lampy dostrzegł jakiś błysk. W pierwszej chwili sądził, że wzrok go myli, ale szybko zdał sobie sprawę, że to, co widzi, jest prawdziwe.

Pochylił się.

Żelazny garnek wypełniony był monetami. Proboszcz podniósł jedną z nich i przekonał się, że są to francuskie sztuki złota, z których wiele miało wybitą datę „1768". Nie miał pojęcia, ile są warte, ale zakładał, że sporo. Trudno było stwierdzić, ile monet znajduje się w saganie, ale kiedy spróbował go podnieść, nie mógł przesunąć go nawet o milimetr.

Sięgnął do kufra i przekonał się, że klamry nie są zamknięte. Otworzył wieko i w środku po jednej stronie zobaczył oprawione w skórę księgi, a po drugiej coś owiniętego w tkaninę zaimpregnowaną oliwą. Ostrożnie dotknął palcem materiału i uznał, że w środku są liczne niewielkie i twarde przedmioty. Postawił lampę i odwinął tkaninę. Znów coś zamigotało.

Brylanty.

Odwinął resztę naoliwionej tkaniny i wtedy zabrakło mu tchu. Przed sobą miał skrzynię pełną klejnotów.

Nie ulegało wątpliwości, że przed stu laty republikańscy grabieżcy popełnili poważny błąd, omijając rozsypujący się kościółek w Rennes-le-Château. Osoba lub osoby, które wybrały to miejsce na kryjówkę, dokonały mądrego wyboru.

– Ta krypta istniała – oznajmił Claridon. – w dzienniku, który macie, przeczytałem przed chwilą, że Lars odnalazł księgi parafialne z lat tysiąc

sześćset dziewięćdziesiąt cztery, tysiąc siedemset dwadzieścia sześć, w których jest mowa o krypcie, lecz w rejestrze nie ma mowy, gdzie znajduje się wejście do niej. Saunière w swoim osobistym dzienniku zanotował fakt odkrycia krypty. Znajdujemy tam też inny zapis: „Rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiaty pierwszy przyniósł najwspanialsze owoce tego, o czym się mówi”. Lars zawsze uważał ten wpis za bardzo istotny.

Malone zjechał na pobocze drogi i odwrócił się twarzą do Clardiona.

– A więc to złoto i klejnoty stały się źródłem bogactwa Saunière’a? I wykorzystał te skarby do sfinansowania odbudowy kościółka?

Claridon roześmiał się.

– Na samym początku. Ale, monsieur, historia nie kończy się wcale w tym miejscu.

Saunière wstał.

Nigdy wcześniej nie widział tyle bogactwa zgromadzonego w jednym miejscu. Jakiż szczęśliwy los mu się trafił. Musiał jednak skorzystać z tego daru, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. A na to potrzebował czasu. Poza tym nikt nie mógł się dowiedzieć o odkryciu krypty.

Pochylił się, sięgnął po lampę i zdecydował, że równie dobrze może rozpocząć tego wieczoru. Mógł zabrać stąd złoto oraz klejnoty i ukryć je na plebanii. Kwestię, jak zamienić te skarby na wymienialną walutę, mógł rozstrzygnąć później. Ruszył w stronę schodów, raz jeszcze rozglądając się po krypcie.

Jeden z grobów przyciągnął jego uwagę.

Podszedł i zajrzał do wnętrza niszy, w której znajdowały się doczesne szczątki kobiety. Jej pogrzebna suknia leżała płasko, zachowały się jedynie kości i czaszka. Przystawił lampę bliżej i przeczytał inskrypcję:

MARIE D’HAUTPOUL DE BLANCHEFORT

Nazwisko hrabiny nie było Saunière’owi obce. Ostatnia dziedziczka rodu d’Hautpoul. Umarła w 1781 roku, a rewolucja, która wybuchła kilka lat później, na zawsze wyeliminowała wszelką arystokratyczną własność.

Tu jednak pojawiał się kłopot.

Proboszcz szybko wspiął się po schodach na poziom parteru. Zamknął drzwi kościoła, a potem, biegnąc w rzęsistej, oślepiającej ulewie, ominął kościelny budynek i ruszył przez dziedziniec plebanii ku miejscu, gdzie znajdowały się groby tonące teraz w czarnej topieli.

Zatrzymał się przy jednym z grobów i pochylił się. Przyświecił sobie lampą i przeczytał napis.

– Marie d'Hautpoul de Blanchefort była również pochowana na zewnątrz.

– Dwa groby jednej i tej samej kobiety? – zdziwiła się Stephanie.

– Najwyraźniej. Ciało nieboszczki znajdowało się jednak w krypcie.

Malone przypomniał sobie słowa wypowiedziane wczoraj przez Stephanie na temat Saunière'a i jego gospodyni, którzy przeszukiwali groby na przykościelnym cmentarzyku, a potem dłutem skuli napis widniejący na nagrobku hrabiny.

– A zatem Saunière zniszczył grób znajdujący się na cmentarzu?

– Tak przynajmniej sądził Lars.

– Czy grób był pusty?

– I znów muszę stwierdzić, że nigdy się tego nie dowiemy, ale zdaniem Larsa tak właśnie było. A historia zdaje się potwierdzać jego domniemania. Nigdy bowiem nie pochowano tam kobiety o posturze hrabiny. Jej ciało złożono w krypcie i tam jej szczątki znaleziono. Grobowiec na zewnątrz to zupełnie inna sprawa.

– Nagrobek stanowił przesłanie – domyśliła się Stephanie. – Wiemy o tym. Z tego właśnie powodu w książce Eugène Stübleina znalazło się tyle krytycznych opinii.

– Ale jeśli nie pozna się historii krypty, grób na cmentarzu nie wzbudza najmniejszego zainteresowania. To po prostu jeszcze jedno miejsce pochówku, takie samo jak wszystkie inne. Ksiądz Bigou okazał się jednak przebiegły. Umieścił swój przekaz w miejscu, które nie wyróżniało się niczym.

– A Saunière to odkrył?– zapytał Malone.

– Lars był tego pewien.

Malone odwrócił się do kierownicy, włączył silnik i wjechał na szosę. Przejechał ostatni odcinek drogi, potem skręcił na zachód i przejechał przez

Rodan, którego nurt w tym miejscu wciąż był wartki. Przed nim wznosiły się mury obronne Awinionu, a nad nimi górował papieski pałac. Malone zjechał z ruchliwego bulwaru, mijając rynek, gdzie wciąż jeszcze stały kramy z książkami, które odwiedzili wcześniej. Jechał labiryntem wąskich uliczek w stronę pałacu, w końcu zaparkował w tym samym podziemnym garażu.

– Nasuwa mi się głupawe pytanie – odezwał się Malone. – Dlaczego ktoś nie zacznie po prostu kopać pod posadzką kościółka w Rennes albo nie zastosuje radaru, by potwierdzić istnienie krypty?

– Lokalne władze nigdy nie wydadzą na to zgody. Niech pan pomyśli, monsieur. Jeśli tam nie ma nic, cóż się stanie z mitem? Rennes żyje z legendy Saunière'a. Cała Langwedocja czerpie z tego korzyści. Ostatnią rzeczą, jakiej pragną tutejsi mieszkańcy, jest dowód potwierdzający, że nic tu nie ma. Zyski z istnienia legendy są zbyt duże.

Malone sięgnął pod siedzenie i wyciągnął pistolet odebrany napastnikowi poprzedniego wieczoru. Sprawdził magazynek. Zostały trzy naboje.

– Czy to konieczne? – zapytał Claridon.

– Czuję się z tym o niebo lepiej.

Otworzył drzwi, wysiadł i wsunął broń za połę marynarki.

– Po co wchodzimy do wnętrza papieskiego pałacu? – chciała wiedzieć Stephanie.

– W środku zgromadzone są potrzebne nam informacje.

– Zechce pan łaskawie wyjaśnić?

Claridon otworzył drzwi od swojej strony.

– Chodźmy, pokażę wam.

TRZYDZIEŚCI TRZY

LAVELANET, FRANCJA
19.00

Seneszal zatrzymał auto w centrum miasteczka. Przez ostatnie pięć godzin, lawirując, jechali wraz Geoffreyem na północ. Omijali po drodze wszystkie większe miejscowości, w tym Foix, Quillan i Limoux. Zdecydowali się zatrzymać dopiero w malutkiej osadzie, położonej w kotlinie, gdzie zapuszczali się tylko nie liczni turyści.

Gdy opuścili komnatę mistrza, przeszli tajemnym korytarzem obok głównej kuchni. Ukryte wyjście ulokowane było sprytnie w licu kamiennego muru. Geoffrey opowiedział, jak mistrz wtajemniczył go w istnienie tej drogi, przez wieki używanej do ucieczki. W ciągu ostatnich stu lat tajemnica sekretnych przejść znana była wyłącznie wielkim mistrzom; korzystano z nich zresztą bardzo rzadko.

Kiedy już znaleźli się na zewnątrz, szybko dotarli do garażu i przywłaszczyli sobie jedno z aut należących do opactwa, po czym przejechali przez główną bramę, zanim bracia wyznaczeni do pracy w garażu powrócili z południowej modlitwy. Dzięki temu, że de Roquefort leżał nieprzytomny w celi wielkiego mistrza, a jego świta czekała, aż ktoś otworzy drzwi od środka, zyskali na starcie dużą przewagę.

– Nadeszła pora na szczerą rozmowę – oznajmił seneszal, a jego ton dawał jasno do zrozumienia, że nie będzie już zwlekał.

– Jestem gotów.

Wysiedli z samochodu i poszli do restauracji, w której kilku starszawych klientów siedziało przy stolikach na świeżym powietrzu, skrytych pod parasolem okazałych wiązów. Zdjęli już habity, zamieniając je na odzież kupioną godzinę temu podczas krótkiego postoju. Zjawił się kelner i przyjął od nich zamówienie. Wieczór był ciepły i miły.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co tam zrobiliśmy? – zapytał. – Postrzeliliśmy dwóch naszych braci.

– Mistrz powiedział mi, że przemoc będzie nieunikniona.

– Wiem, przed czym uciekamy, ale dokąd zdążamy?

Geoffrey sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę, którą wcześniej pokazał de Roquefortowi.

– Mistrz polecił mi przekazać to przesłanie tobie, kiedy już będziemy wolni.

Seneszal wziął kopertę i rozdarł ją, przepełniony jednocześnie ekscytacją i obawą.

Mój synu, a pod wieloma względami uważam Cię za syna, wiem, że de Roquefort zwyciężył w trakcie konklawe, lecz ważne jest, byś stawił mu czoło. Bracia przypomną sobie ten fakt, kiedy nadejdzie Twój właściwy czas. Póki co, los wskazuje ci inną drogę. Brat Geoffrey będzie służył ci za towarzysza.

Pokładam wiarę, że zanim opuścisz opactwo, zabierzesz ze sobą dwie księgi, które w ciągu minionych lat tak bardzo przyciągały Twoją uwagę. Tak, wiedziałem o Twoim zainteresowaniu. Ja również dawno temu przeczytałem oba woluminy. Kradzież własności zakonu jest poważnym złamaniem Reguły, ale nie traktujmy tego jako kradzież, lecz jedynie jako wypożyczenie, ponieważ jestem pewien, że zwrócisz te księgi. Informacje w nich zawarte, wraz z tym, co już wiesz, dają Ci ogromny potencjał. Niestety, zagadka nie jest do końca rozwiązana. Sporo pytań czeka jeszcze na odpowiedzi, i Ty musisz je znaleźć. Wbrew temu, co zapewne sądzisz, ja ich nie znam, ale pod żadnym pozorem nie możesz pozwolić, by de Roquefort sięgnął po Wielkie Dziedzictwo. On wie dużo, w tym wszystko, czego zdołałeś się dowiedzieć z naszych archiwów, nie wolno Ci więc nie doceniać jego determinacji.

Musiałeś opuścić mury klasztoru. Teraz wiele przed Tobą. Chociaż piszę te słowa w ostatnich dniach swego życia, mogę tylko przypuszczać, że opuścisz mury opactwa, uciekając się do przemocy. Uczyń wszystko, co będzie konieczne, by owocnie zakończyć poszukiwania. Wielcy mistrzowie przez stulecia przekazywali tajemnicę swoim następcom, wliczając w to mego poprzednika. Spośród wszystkich tych, co byli przede mną, Ty jeden posiadasz

wiedzę o dostatecznej liczbie elementów łamigłówki, by ponownie ułożyć je w całość.

Bardzo chciałem ukończyć sam te poszukiwania, ale nie było mi to dane. De Roquefort nigdy by na to nie pozwolił. Mając za pomocnika brata Geoffreya, zyskujesz szansę doprowadzenia sprawy do udanego końca.

Życzę Ci wszystkiego dobrego. Uważaj na siebie i Geoffreya.

Okazuj chłopcu cierpliwość, gdyż robi tylko to, do czego zobowiązałem go przysięgą.

Seneszal spojrzał na swego towarzysza.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Wziąłeś na barki wielką jak na twój młody wiek odpowiedzialność.

– Czułem trwogę, kiedy mistrz wyjawił, co mnie czeka. Nie chciałem brać na siebie tego ciężaru.

– Dlaczego nie powiedział mi tego bezpośrednio?

Geoffrey milczał chwilę.

– Mistrz stwierdził, że wycofałbyś się przed konfrontacją. Wciąż jeszcze nie znasz w pełni sam siebie.

Poczuł się dotknięty tą negatywną oceną, ale szczery i niewinny wyraz twarzy młodzieńca sprawił, że jego słowa zyskały walor głębokiej prawdy. I rzeczywiście były prawdą. Nigdy nie miał skłonności do szukania zwady i kiedy tylko mógł, unikał bezpośredniego starcia.

Ale nie tym razem.

Stawił czoło de Roquefortowi i zastrzeliłby go, gdyby tamten nie popisał się dostatecznie szybkim refleksem. Tym razem zamierzał walczyć. Seneszal odchrząknął, by pozbawić głos emocji i zapytał:

– Cóż zatem mam uczynić?

Kelner przyniósł im dwie kanapki, chrupki chleb oraz ser.

Geoffrey uśmiechnął się.

– Najpierw zjedzmy. Umieram z głodu.

Seneszal uśmiechnął się szeroko.

– A potem co?

– Tylko ty możesz o tym zdecydować.

Pokiwał sceptycznie głową wobec nagłego wybuchu nadziei ze strony Geoffreya.

Mówiąc prawdę, już wcześniej zastanawiał się nad tym, kiedy jechali na północ po ucieczce z opactwa. Poczuł wielką ulgę, gdy zdał sobie sprawę, że istnieje tylko jedno miejsce, do którego mogą się udać.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

AWINION
17.30

Malone patrzył na pałac papieży, który piął się ku niebu w odległości około stu metrów przed nimi. On, Stephanie i Claridon siedzieli przy kawiarnianych stolikach na ruchliwym placu, przylegającym bezpośrednio do głównego wejścia. Północny wiatr sunął od pobliskiego Rodanu – nazywał się mistral – i nieokiełznany hulał po mieście. Malone przypomniał sobie średniowieczne porzekadło, które mówiło o paskudnych woniach, wypełniających niegdyś uliczki. „Wietrzny Awinion, gdy wiatr wieje jest nieznośny, kiedy zaś nie wieje – trujący". A jak określił to miasto Petrarka? „Najbardziej cuchnące miejsce na ziemi".

Z przewodnika turystycznego dowiedział się, że wznosząca się przed nim masywna budowla, służąca za pałac, twierdzę oraz świątynię jednocześnie, w istocie składała się z dwóch budynków – starego pałacu, którego budowa rozpoczęła się za czasów papieża Benedykta XII, oraz nowego pałacu, wzniesionego już za pontyfikatu Klemensa VI. Obydwie budowle odzwierciedlały osobowość fundatorów. Stary pałac był nacechowany romańskim konserwatyzmem, niewiele miał uroku, nowy natomiast emanował wręcz gotyckimi ozdobnikami i dekoracjami. Niestety, obydwa budynki padły ofiarą pożaru, a jakby tego było mało, podczas rewolucji francuskiej zostały splądrowane, ich rzeźby całkowicie zniszczono, a wszystkie freski zmyto do gołej ściany. W 1810 roku w pałacu urządzono koszary. Miasto Awinion przejęło budowlę w 1906 roku, ale prace renowacyjne rozpoczęły się dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Dwa skrzydła służyły teraz za centrum konferencyjne, reszta natomiast stanowiła atrakcję turystyczną, o ledwie ułamku dawnej świetności.

– Czas wchodzić – odezwał się Claridon. – Ostania tura zwiedzania zaczyna się za dziesięć minut. Musimy do niej dołączyć.

Malone wstał.

– Co zatem zamierzamy robić?

Nad ich głową znów rozległ się pomruk gromu.

– Ksiądz Bigou, któremu Marie d’Hauptpoul de Blanchefort zdradziła wielką rodzinną tajemnicę, bywał tutaj i podziwiał obrazy. Działo się to jeszcze przed rewolucją, więc wisiało ich tu jeszcze wiele. Lars dowiedział się, że duchowny upodobał sobie szczególnie jedno dzieło. Kiedy Lars odkrył kryptogram, znalazł w nim również odniesienia do jakiegoś obrazu.

– Jakie odniesienia? – dopytywał się Malone.

– W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, w dniu, kiedy Bigou opuścił Francję i wyjechał do Hiszpanii, w księgach parafialnych kościoła Rennes-le-Château poczynił ostatni zapis, który brzmiał: *Lisez les Règles du Caridad*.

Malone przetłumaczył w myślach: „Przeczytaj reguły Caridad”.

– Saunière natrafił na ten konkretny wpis i skopiował go. Na szczęście księga parafialna się zachowała, a Larsowi udało się ją odnaleźć. Najprawdopodobniej Saunière dowiedział się, że Bigou często bywał w Awinionie. W czasach Saunière’a, pod koniec dziewiętnastego wieku, pałac był już tylko zniszczoną, pustą skorupą. Ale Saunière mógł bez trudu odkryć, że za życia Bigou wisiały tu obrazy. Między innymi ten o tytule *Czytając reguły Caridad*, pędzla Juana de Valdésa Leala.

– Zakładam, że ten obraz wciąż znajduje się w środku – wysunął przypuszczenie Malone, patrząc przez rozległy dziedziniec w kierunku Chapoeaux Galo, głównej pałacowej bramy.

Claridon zaprzeczył ruchem głowy.

– Przepadł dawno temu. Pięćdziesiąt lat temu pochłonął go pożar.

Rozległ się kolejny grzmot.

– Dlaczego więc jesteśmy tutaj? – zdziwiła się Stephanie.

Malone rzucił parę euro na stół i skierował wzrok na inny kawiarniany ogródek, położony o dwie bramy dalej. Jakaś kobieta siedziała pod markizą i piła coś z kubka, kiedy inni zamierzali gdzieś się skryć, przewidując nadejście burzy. Jego wzrok zawisł na niej jedynie przez moment, lecz wystarczyło to, by zauważył jej urodziwe rysy i wyraziste oczy. Miała skórę koloru kawy z mlekiem, nienaganne maniery, co widać było, gdy kelner przyniósł jej posiłek. Malone zauważył ją przed dziesięcioma minutami, zaraz po tym jak usiedli. I od tej chwili się zastanawiał.

Teraz nadeszła pora na test.

Wziął papierową serwetkę ze stołu i zgniótł ją w kulkę w zaciśniętej dłoni.

– W tym nieopublikowanym rękopisie – kontynuował relację Claridon – tym, w którym, jak wam wspominałem, Noël Corbu pisał o księdzu Saunièrze i Rennes, jak odkrył Lars, Corbu wspominał o obrazie. Wiedział również, że Bigou napisał coś o tym w księgach parafialnych. Corbu dotarł też do litografii tego obrazu, która wciąż znajdowała się w pałacowych archiwach. Widział ją na własne oczy. Na parę tygodni przed śmiercią Lars zdołał się dowiedzieć, gdzie w archiwach trzymano tę litografię. Zamierzaliśmy się tam udać i obejrzeć ją, lecz nigdy już nie powrócił do Awinionu.

– I nie zdążył panu powiedzieć, gdzie to jest? – zapytał Malone.

– Nie, monsieur.

– W jego dzienniku nie ma wzmianki na temat tego obrazu – oznajmił Malone. – Czytałem je dokładnie. Nie ma ani słowa na temat Awinionu.

– Jeśli Lars nie powiedział panu, gdzie znajduje się litografia, dlaczego weszliśmy do środka? – chciała wiedzieć Stephanie. – Nie wie pan, gdzie jej szukać.

– Ale pani syn wiedział, dzień przed swoją śmiercią. Po jego powrocie z gór mieliśmy wejść do pałacu i poszukać. Ale, madame, jak pani wie…

– On także nigdy nie wrócił.

Malone patrzył, jak Stephanie usiłuje opanować emocje. Była w tym niezła, ale nie do końca.

– Dlaczego pan tu nie przyszedł?

– Doszedłem do przekonania, że ocalenie głowy jest ważniejsze. Wtedy też poszukałem azylu w zakładzie dla obłąkanych.

– Ten człowiek zginął w lawinie – rzekł Malone. – Nie został zamordowany.

– Tego pan nie wie – odparł Claridon. – Tak naprawdę nic pan nie wie.

Rozejrzał się po placu.

– Musimy się spieszyć. Ostatnia tura zwiedzania rozpoczyna się o określonej godzinie. Większość pracowników to starzy mieszkańcy miasta. Wielu z nich to wolontariusze. Zamykają drzwi szybko o godzinie siódmej. W pałacu nie ma żadnego systemu zabezpieczeń ani alarmu. Nie wystawia się tu już niczego o większej wartości, poza tym same mury

stanowią najlepsze zabezpieczenie. Odłączymy się od grupy i zaczekamy, aż zrobi się spokojnie.

Ruszyli.

Malone poczuł na włosach pierwsze krople deszczu. Odwrócony plecami do kobiety, która wciąż jeszcze powinna siedzieć w odległości jakichś trzydzieści metrów i kończyć posiłek, otworzył dłoń i pozwolił, by mistral porwał kulkę ukręconą z serwetki. Odwrócił się gwałtownie i udawał, że goni za kawałkiem papieru, kiedy ten tańczył po kocich łbach. Gdy w końcu złapał porwaną przez wiatr serwetkę, rzucił wzrokiem w kierunku restauracji.

Kobiety nie było już przy stoliku.

Podążała już, tak jak oni, w stronę pałacu.



De Roquefort opuścił lornetkę. Stał na Rocher des Doms, Skale Zakonnej, miejscu, z którego rozciągał się najbardziej malowniczy widok w całym Awinionie. Ludzie zamieszkiwali tę górę od epoki neolitu, gdyż stanowiła naturalną osłonę przed wszechobecnym mistralem. Dzisiaj szczyt, przylegający bezpośrednio do papieskiego pałacu, stanowił tło dla uroczego parku ze stawami, fontannami, posągami oraz grotami. Widok rzeczywiście zapierał dech w piersiach. Bywał tu wiele razy, kiedy pracował jeszcze w pobliskim seminarium, zanim wstąpił do zakonu.

Na zachód i południe rozciągały się wzgórza i doliny. Rodan o bystrym nurcie przebijał się tutaj wartką strugą i mknął pod słynnym mostem Saint-Bénézet, który dzielił kiedyś rzekę na dwoje i prowadził z miasta papieży do miasta króla po drugiej stronie. Gdy w 1226 roku Awinon stanął po stronie hrabiego Tuluzy przeciw Ludwikowi VIII w trakcie krucjaty przeciw albigensom, francuski król zburzył most. Po jakimś czasie odbudowano go, a de Roquefort wyobrażał sobie, jak w XIV wieku kardynałowie jechali na mułach do swego letniego pałacu w Villeneuve-les-Avignon. W szesnastym stuleciu wartki nurt znów podmył most; zostały tylko cztery filary, z których nigdy już nie przerzucono przeprawy na drugi

brzeg. De Roquefort zawsze sobie myślał, że to jeszcze jedna porażka woli w Awinionie. To miejsce zdawało się być skazane na połowiczny sukces.

– Ruszyli w stronę pałacu – powiedział do stojącego obok zakonnego brata, po czym spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta po południu. – Którego podwoje są zamykane o godzinie dziewiętnastej.

Ponownie przyłożył lornetkę do oczu i patrzył na plac leżący pięćset metrów w dół. Przyjechał tu z północy, z opactwa, dotarł na miejsce półtorej godziny temu. Urządzenie do elektronicznej inwigilacji podczepione do auta Malone'a wciąż funkcjonowało, dzięki temu dowiedział się o jego przyjeździe do Villeneuve-les-Avignon, a potem ponownie do Awinionu. Widocznie pojechali tam, by zabrać ze sobą Claridona.

De Roquefort wjechał na górę trzypasmową drogą prowadzącą z papieskiego pałacu i postanowił, że tu zaczeka, na samym szczycie, z którego miał doskonały widok na całe miasto. Fortuna uśmiechnęła się do niego, gdy Stephanie Nelle oraz jej dwóch towarzyszy wyłonili się nagle z podziemnego garażu bezpośrednio pod nim, a potem zajęli miejsca przy stoliku w dobrze widocznym ogródku kawiarnianym.

Opuścił lornetkę.

Mistral hulał za jego plecami. Zawodził żałośnie, owiewając nabrzeże, piętrząc wody w rzece i przyspieszając bieg burzowych chmur na niebie.

– Najprawdopodobniej zamierzają zostać wewnątrz pałacu po zamknięciu. Lars Nelle i Claridon uczynili już tak swego czasu. Czy wciąż mamy klucz do drzwi pałacowych?

– Nasz brat w mieście trzyma te klucze.

– Idź po nie.

Już dawno temu zapewnił sobie możliwość wejścia do pałacu od strony katedry po godzinach otwarcia. Archiwa w pałacu interesowały Larsa, wzbudziły więc też zainteresowanie de Roqueforta. Dwukrotnie posyłał tam swoich braci, żeby pomyszkowali w ciągu nocy i spróbowali dowiedzieć się, co przyciągało uwagę Larsa Nelle. Ale ilość materiałów w archiwum była tak ogromna, że niczego się nie dowiedzieli. Być może dzisiaj uda mu się odkryć więcej.

Ponownie przyłożył lornetkę do oczu. Z dłoni Malone'a wysunął się pomięty papier. De Roquefort patrzył, jak Amerykanin za nim pogonił.

Potem cała trójka zniknęła z pola widzenia.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

21.00

Malone poczuł, jak ogarnia go upiorne uczucie, gdy szedł przez pomieszczenia pozbawione dekoracji. W połowie trasy zostali w tyle, a Claridon poprowadził ich na górną kondygnację. Zaczekali tam w wieży na zamknięcie drzwi, do godziny dwudziestej trzydzieści, kiedy część z wewnętrznych świateł wygaszono i nie słyszeli już żadnych odgłosów. Claridon wydawał się zaznajomiony z tą sytuacją i ucieszył się, że personel pałacu nie zmienił przyzwyczajeń w ciągu minionych pięciu lat.

Labirynt licznych przedsionków, długich pasaży oraz pustych komnat oświetlony był jedynie pojedynczymi smugami słabego światła. Malone mógł jedynie wyobrazić sobie, że pomieszczenia te były kiedyś pięknie umeblowane, ściany pokryte wielobarwnymi freskami i arrasami oraz zatłoczone znakomitymi osobistościami, które albo służyły zwierzchnikowi Kościoła, albo też przybywały doń z petycją. Posłańcy od chana, cesarza Konstantynopola, a nawet Petrarki i św. Katarzyny Sieneńskiej, kobiety, która w końcu zdołała przekonać ostatniego papieża rezydującego w Awinionie do przywrócenia Stolicy Piotrowej w Rzymie. Wszyscy oni tu przybywali. Spora część dziejów cywilizowanego świata wyrosła w tym właśnie miejscu, lecz teraz pozostały tu jedynie skromne resztki.

Na zewnątrz w końcu rozszalała się burza i deszcz walił teraz z ogromną siłą o dach pałacu. Grzmoty wprawiały w drżenie szyby okienne.

– Ten pałac był kiedyś równie wspaniały jak Watykan – szepnął Claridon. – Ale wszystko to już przeszłość. Arogancja i chciwość wszystko zniszczyły.

Malone był jednak innego zdania.

– Są tacy, których zdaniem arogancja i chciwość zrodziły ten pałac.

– Ach, panie Malone, jest pan obyty z historią?

– Trochę czytałem.

– W takim razie pozwolę sobie coś panu pokazać.

Claridon zaprowadził ich do częściej zwiedzanych komnat, z których każda opatrzona była tabliczką z nazwą. Zatrzymali się w prostokątnej obszernej komnacie Grand Tinel, zwieńczonej kolebkowym sklepieniem wyłożonym panelami z drewna.

– Tu znajdowała się papieska sala bankietowa, w której mogły pomieścić się setki gości – oznajmił Claridon, a jego głos odbijał się echem. – Klemens VI zawiesił pod stropem niebieską tkaninę ozdobioną złotymi gwiazdami, tworząc tym samym niebieski firmament. Kiedyś te ściany zdobiły freski. Wszystko to jednak strawił ogień w tysiąc czterysta trzynastym roku.

– Nigdy już nie odbudowano tych wspaniałości? – zaciekawiła się Stephanie.

– W tamtym czasie papieże opuścili już Awinion, a więc pałac stracił na znaczeniu – wyjaśnił Claridon i wskazał gestem na drugą stronę komnaty. – Papież jadał tu samotnie w tamtym końcu, na podeście przystawionym do tronu, pod baldachimem ze szkarłatnego aksamitu i gronostajów. Goście siedzieli na drewnianych ławach ustawionych pod ścianami – kardynałowie po stronie wschodniej, inni po zachodniej. Stoły na kozłach ustawiano w kształt litery U, a potrawy podawano od środka. Wszystko było sztywne i oficjalne.

– Całkiem jak ten pałac – skomentował Malone. – To przypomina zwiedzanie zniszczonego miasta, z którego dusze budynków zostały wypędzone bombami. Świat sam dla siebie.

– Zresztą dokładnie taka była idea. Królowie francuscy życzyli sobie, by papieże znajdowali się z dala od wszystkich. Sami decydowali o myślach i czynach zwierzchników Kościoła, ci więc nie musieli mieć, ich zdaniem, przestronnych i widnych rezydencji. Żaden z tych następców świętego Piotra nigdy nie odwiedził Rzymu, bo Włosi by ich zabili. A więc siedmiu ludzi, pełniących tu funkcję papieża, zbudowało własną fortecę i nie kwestionowało supremacji francuskiego tronu. Swoje istnienie zawdzięczali królom Francji i rozkoszowali się spokojem, którego tutaj zażywali. Okres ten nazwano awiniońską niewolą papieży.

Następna sala była już dużo mniej obszerna. Był to Parement Chamber, w którym papież oraz kardynałowie spotykali się na tajnych konsystorzach.

– Tutaj także zaprezentowano Złotą Różę – powiedział Claridon. – To szczególnie arogancki gest ze strony papieży awiniońskich. W czwartą

niedzielę Wielkiego Postu papież honorował jedną wybraną osobę, zwykle jakiegoś suwerena, ofiarowując mu w prezencie złotą różę.

– Nie aprobujesz tego? – zdziwiła się Stephanie.

– Chrystus nie potrzebował złotych róż. Dlaczego więc posługiwali się nimi papieże? To jeszcze jedno świętokradztwo, którego przykładem jest cały ten pałac. Klemens VI kupił miasto od królowej Joanny z Neapolu. Jednym z punktów transakcji było uzyskanie odpuszczenia grzechów za jej współudział w zamordowaniu męża. Przez sto lat przestępcy, awanturnicy, fałszerze i przemytnicy uciekali tutaj przed wymiarem sprawiedliwości, pod warunkiem, że zapłacili odpowiedni trybut papieżowi.

Minąwszy kolejne pomieszczenie, przeszli do komnaty o nazwie Sala Byka. Claridon włączył ciąg delikatnych jarzeniowych świateł. Malone zatrzymał się w progu dostatecznie długo, by rzucić okiem na poprzednio zwiedzaną Grand Tinel. Dostrzegł cień przesuwający się po ścianie, dzięki czemu utwierdził się w przekonaniu, że nie są sami. Nie miał wątpliwości, kto tam jest. Wysoka, atrakcyjna, silnie zbudowana kobieta „o kolorowej skórze”, jak ujął to wcześniej Claridon, gdy jechali samochodem. Śledziła ich, odkąd weszli do pałacu.

– … tutaj łączyły się ze sobą stary i nowy pałac – kontynuował objaśnienia Claridon. – Stary znajduje się za nami, do nowego wchodzimy przez drugie wejście. W tym miejscu znajdował się gabinet Klemensa VI.

Malone czytał w jakiejś książce o Klemensie VI, człowieku, który lubował się w malarstwie i poezji, pasjonował się muzyką i rzadkimi zwierzętami oraz dworską miłością. Podobno miał powiedzieć: „Moi poprzednicy nie wiedzieli, jak bywa się papieżem”, przemienił więc starą fortecę Benedykta XII w wystawny, pełen przepychu pałac. Doskonałym przykładem upodobań Klemensa były otaczające ich teraz freski namalowane na pozbawionych okien ścianach. Widniały na nich pola, zarośla, strumienie, wszystko pod błękitnym niebem. Ludzie z sieciami stali przy zielonych stawach, łowiąc ryby. Wokół biegały spaniele bretońskie. Gdzieś stał młody szlachcic z sokołem. Dziecko na drzewie. Łąki, ptaki, ludzie w kąpieli. Dominowały zielenie i brązy, ale pomarańczowa suknia, niebieska ryba, a także owoce na drzewach wnosiły plamy bardziej jaskrawych barw.

– Klemens zlecił namalowanie tego fresku w tysiąc trzysta czterdziestym czwartym roku. Odkryto je pod białkiem, którym zamalowali te obrazy

żołnierze, gdy założono tu koszary w dziewiętnastym wieku. Komnata ta w pełni wyjaśnia postawę papieży awiniońskich, w szczególności Klemensa VI. Niektórzy z historyków nazywali go nawet Klemensem Wspaniałym. Nie miał powołania do religijnego życia. Darowanie pokuty, odwołanie ekskomuniki, odpuszczenie grzechów, a nawet skrócenie pobytu w czyśćcu zarówno dla umarłych, jak i żywych – wszystko było tu na sprzedaż. Czy nie zauważył pan, że czegoś tu brakuje?

Malone raz jeszcze przyjrzał się freskom. Sceny z polowań stanowiły klasyczny przykład eskapizmu – ludzie zajmowali się jedynie przyjemnymi rzeczami – lecz nic szczególnego nie rzuciło mu się w oczy.

W końcu dotarło to do niego.

– Gdzie jest Bóg?

– Dobre oko, monsieur – pochwalił go Claridon, rozkładając szeroko ramiona. – Nigdzie w domu Klemensa VI nie znajdziemy choćby jednego religijnego symbolu. To pominięcie wiele mówi. Znajdujemy się w sypialni króla, nie papieża, i tak właśnie myśleli o sobie hierarchowie zasiadający na papieskim tronie w Awinionie. Ci właśnie ludzie zniszczyli templariuszy. Począwszy od Klemensa V w tysiąc trzysta siódmym roku, który był wspólnikiem spisku zainspirowanego przez Filipa Pięknego, i kończąc na Grzegorzu XI w tysiąc trzysta siedemdziesiątym ósmym roku, ci skorumpowani osobnicy zmiażdżyli zakon. Lars zawsze był przekonany, a ja się z nim zgadzam, że ta komnata ukazuje to, co ci ludzie rzeczywiście cenili.

– Sądzi pan, że templariusze przetrwali? – zapytała Stephanie.

– *Oui*. Oni gdzieś są. Widziałem ich na własne oczy. Kim dokładnie są, tego nie wiem. Ale z pewnością istnieją.

Malone nie umiał ocenić, czy deklaracja ta jest potwierdzeniem faktu, czy też jedynie przypuszczeniem człowieka, który dostrzegał spisek tam, gdzie go nie ma. Wiedział tylko, że pewna kobieta, która depcze im po piętach, jest na tyle biegła w sztuce strzeleckiej, że potrafiła umieścić kulę tuż nad jego głową w pniu drzewa, strzelając z odległości pięćdziesięciu metrów, wieczorem, przy wietrze, którego prędkość sięgała osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Być może była też osobą, która uratowała go, gdy skrył się w krypcie w Kopenhadze. Ona z pewnością była rzeczywista.

– Idźmy dalej – odezwał się Malone.

Claridon wyłączył światła.

– Proszę za mną.

Przeszli przez pomieszczenia starego pałacu w kierunku północnego skrzydła i dotarli do centrum konferencyjnego. Tabliczka obwieszczała, że obiekt został stworzony niedawno przez miasto w celu zdobycia funduszy na dalszą renowację pałacu. W dawnych komnatach Konklawe, Skarbca oraz Wielkiej Piwnicy umieszczono składane siedzenia oraz sprzęt audiowizualny i zbudowano podesty. Podążyli dalej korytarzami, w których mijali wizerunki kolejnych papieży rezydujących w Awinionie.

Claridon w końcu zatrzymał się przy potężnych drewnianych drzwiach i nacisnął klamkę, która ustąpiła.

– Dobrze. Wciąż nie zamykają ich na noc.

– Dlaczego tego nie robią? – zapytał Malone.

– Nie ma tu niczego wartościowego poza informacjami, a tym się interesuje niewielu złodziei.

Wkroczyli w atramentowoczarną przestrzeń.

– Tu znajdowała się kiedyś kaplica Benedykta XII, papieża, który obmyślił plany i zbudował większą część starego pałacu. Pod koniec dziewiętnastego stulecia to pomieszczenie oraz komnaty powyżej zamieniono na archiwum okręgowe. Pałac przechowuje tu również własne dokumenty.

Światło dobiegające z korytarza oświetlało wysokie pomieszczenie wypełnione rzędami regałów. Większość z nich stała pod ścianami, jeden nad drugim, a wokół pomieszczenia prowadził pomost z barierką. Za półkami wznosiły się łukowate okna; rzęsisty deszcz wciąż stukał o czarne teraz szyby.

– Znajdują się tutaj cztery kilometry półek – oznajmił Claridon. – A przy okazji ogrom informacji.

– Ale pan wie, gdzie należy szukać? – zapytał Malone.

– Mam taką nadzieję.

Claridon ruszył przed siebie środkowym przejściem. Malone i Stephanie czekali, aż zapali się lampa odległa o piętnaście metrów od wejścia.

– Tędy – zawołał Claridon.

Malone zamknął za sobą drzwi komnaty i zastanawiał się, w jaki sposób kobieta, która ich śledzi, zamierza dostać się do środka niezauważona. Ruszył w stronę światła i zobaczył Claridona stojącego przy stole do czytania.

– Na szczęście dla historii – wyjaśnił Francuz – wszystkie sprzęty pałacowe zostały spisane już na początku osiemnastego stulecia. Później pod koniec dziewiętnastego wieku sporządzono fotografie oraz rysunki tego, co pozostało po rewolucji. Lars i ja zapoznaliśmy się z tutejszą organizacją zbiorów.

– I nie przyszedł pan tutaj po tym, jak Mark zmarł, ponieważ sądził pan, że templariusze pana zgładzą? – zapytał Malone.

– Jak rozumiem, monsieur, nie bardzo pan w to wierzy. Ale zapewniam, że postąpiłem właściwie. Te archiwa znajdują się tutaj od stuleci, pomyślałem więc sobie, że mogą jeszcze poleżeć tu chwilę dłużej. Wtedy wydawało mi się ważniejsze pozostanie wśród żywych.

– Dlaczego więc jest pan tutaj teraz? – wtrąciła Stephanie.

– Upłynęło dużo czasu – odparł Claridon i odszedł od stołu. – Wokół nas rozmieszczone są spisy rzeczy znajdujących się w pałacu. Muszę rozejrzeć się, co zajmie mi kilka minut. Może więc usiądziecie i pozwolicie mi znaleźć to, czego szukam. – Wyciągnął latarkę z kieszeni. – To z zakładu. Pomyślałem, że się nam przyda.

Malone wysunął krzesło, Stephanie poszła w jego ślady. Claridon zniknął w ciemności. Siedzieli przez chwilę i słuchali odgłosów grzebania w dokumentach, a snop światła latarki tańczył na sklepieniu nad ich głowami.

– To właśnie czynił mój mąż – powiedziała szeptem. – Ukrywał się w zapomnianych miejscach, szukając nonsensownych rzeczy.

Usłyszał zdenerwowanie w jej głosie.

– Działo się to wtedy, kiedy nasze małżeństwo powoli ulegało rozkładowi. Ja pracowałam po dwadzieścia godzin na dobę. On zaś robił właśnie to.

Odgłos uderzającego nieopodal gromu wstrząsnął zarówno nim, jak i pomieszczeniem.

– To było dla niego ważne – odparł Malone, również szeptem. – Ponadto być może rzeczywiście coś tutaj znajdziemy.

– Na przykład co, Cotton? Skarby? Jeśli Saunière odkrył klejnoty w krypcie, w porządku. Ludziom czasami przydarza się szczęśliwy traf. Ale poza tym nie kryje się w tym nic więcej. Bigou, Saunière, Lars, Mark, Claridon. Wszyscy oni to marzyciele.

– Marzyciele nieraz zmieniali obraz tego świata.

– To szukanie wiatru w polu. Wiatru, który nawet nie istnieje.

Claridon wyłonił się z ciemności i rzucił na stół segregator pachnący stęchlizną. Na okładce widniały plamy wilgoci. Wewnątrz znajdował się gruby na dziesięć centymentrów plik biało-czarnych fotografii i rysunków wykonanych ołówkiem.

– Znalazłem to niespełna metr od miejsca, o którym wspomniał Mark. Dzięki Bogu, stary człowiek, który prowadzi archiwum, niewiele od tamtego czasu zmienił.

– W jaki sposób Mark to odnalazł? – zdziwiła się Stephanie.

– W weekendy tropił rozmaite poszlaki. Nie był tak oddany sprawie, jak jego ojciec, ale często przyjeżdżał do waszego domu w Rennes i wraz ze mną amatorsko prowadził poszukiwania. Na uniwersytecie w Tuluzie trafił na pewne informacje dotyczące archiwów w Awinionie. Połączył ze sobą poszlaki i oto mamy odpowiedź.

Malone rozłożył segregator na stole.

– Czego więc szukamy?

– Nigdy nie widziałem tego malowidła. Możemy tylko mieć nadzieję, że jest podpisane.

Zaczęli po kolei przeglądać zdjęcia i rysunki.

– Jest – oznajmił Claridon, nie kryjąc podniecenia w głosie.

Malone skoncentrował wzrok na jednej z litografii, wypłowiałym czarno-białym rysunku o postrzępionych krawędziach. U góry widniał odręczny zapisek o treści: „DON MIGUEL DE MANARA CZYTA REGUŁY CARIDAD”.

Rycina przedstawiała siedzącego przy stole starszego mężczyznę z niewielką brodą i cienkim wąsikiem, ubranego w mnisi habit. Misterny emblemat wyhaftowany na jednym z rękawów sięgał od łokcia do barku. Lewą ręką zakonnik dotykał książki postawionej pionowo, a prawą wyciągał przed siebie dłonią do góry, nad stołem przykrytym misternym obrusem, ku bardzo niskiemu mężczyźnie, także odzianemu w mnisią szatę. Ten siedział na stołeczku i palcami przyłożonymi do ust nakazywał milczenie. Na kolanach trzymał otwartą książkę. Tło obrazu stanowiła podłoga z kwadratów, ułożonych w szachownicę. Na taborecie, na którym siedział mały człowiek, widniał napis:

ACABOCE Aº

– Zdumiewające – wymamrotał Claridon. – Spójrzcie tutaj.

Malone podążył za palcem Claridona i przyglądał się lewej górnej części ryciny, gdzie w cieniu za karłem znajdował się stół i półka. Na stole leżała ludzka czaszka.

– Cóż to wszystko znaczy? – zapytał Malone Claridona.

– *Caridad* oznacza „dobroczynność”, chociaż może oznaczać również miłość. Czarny habit, który ma na sobie człowiek siedzący przy stole, to strój zakonu rycerzy z Calatrava, hiszpańskiego bractwa religijnego oddanego służbie Jezusowi Chrystusowi. Mogę to stwierdzić na podstawie wzoru na rękawie. *Acaboce* oznacza „kres”. Wielkie Aº może oznaczać alfę i omegę, pierwszą i ostatnią literę greckiego alfabetu, czyli metaforycznie początek i koniec. Czaszka? Nie mam pojęcia.

Malone przypomniał sobie, co miał rzekomo napisać Bigou w księgach parafialnych w Rennes, tuż przed tym, jak uciekł z Francji do Hiszpanii: „Przeczytaj zasady Caridad”.

– Jakie reguły powinniśmy przeczytać?

Claridon przyglądał się badawczo rycinie w słabym świetle.

– Zwróćcie uwagę na coś, co wiąże się z karłem siedzącym na taborecie. Spójrzcie na jego stopy. Stopy małego człowieka są ułożone na czarnych kwadratach podłogi, jedna równolegle do drugiej.

– Posadzka przypomina szachownicę – stwierdziła Stephanie.

– Goniec porusza się po przekątnej, tak jak wskazuje ustawienie nóg.

– A zatem karzeł jest gońcem? – wysunęła przypuszczenie.

– Nie – zaprzeczył Malone, zaczynając rozumieć. – We francuskich szachach goniec jest głupcem.

– Czy zgłębił pan grę w szachy? – zapytał Claridon.

– Kiedyś trochę grywałem.

Francuz wskazał palcem na głowę małego człowieka siedzącego na stołku.

– To jest Mądry Głupiec; najprawdopodobniej zna sekret dotyczący alfy i omegi.

Malone pojął, o co chodzi.

– Chrystus też był określany w taki sposób.

– *Oui*. A kiedy doda się *acaboce*, otrzymamy „kres alfy i omegi”. Kres Chrystusa.

– Ale cóż to znaczy? – chciała wiedzieć Stephanie.

– Madame, czy mógłbym zajrzeć do książki Stübleina?

Wyciągnęła wolumin z torby i podała go Claridonowi.

– Spójrzmy jeszcze raz na nagrobną płytę. Nagrobek oraz to malowidło wiążą się ze sobą. Przypomnijcie sobie, że to ksiądz Bigou zostawił oba tropy.

Położył książkę na stole.

– Musicie poznać historię, by zrozumieć znaczenie tego nagrobka. Początki rodziny d’Hautpoul sięgają dwunastowiecznej Francji. Marie wyszła za François d’Hautpoula, ostatniego pana na Rennes, w tysiąc siedemset trzydziestym drugim roku. Jeden z przodków rodu d’Hautpoul sporządził w tysiąc sześćset czterdziestym czwartym roku testament, który zarejestrował i umieścił u notariusza w Espéraza. Kiedy przodek ów zmarł, jego ostatniej woli nie znaleziono. Później, ponad sto lat po jego śmierci, testament nagle pojawił się ponownie. Gdy François d’Hautpoul zjawił się, by odebrać dokument, usłyszał od notariusza, że nie byłoby mądre dla niego, gdyby odstępował dokument o tak wielkim znaczeniu. François zmarł w tysiąc siedemset pięćdziesiątym trzecim roku, a w tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku testament przekazano w końcu wdowie po nim, Marie. Dlaczego? Tego nie wie nikt. Być może dlatego, że była wówczas ostatnią z rodu d’Hautpoul. Zmarła jednak rok później i mówi się, że przekazała ten testament oraz wszelkie informacje, jakie były w nim zawarte, księdzu Bigou, co stanowiło część wielkiej tajemnicy tej rodziny.

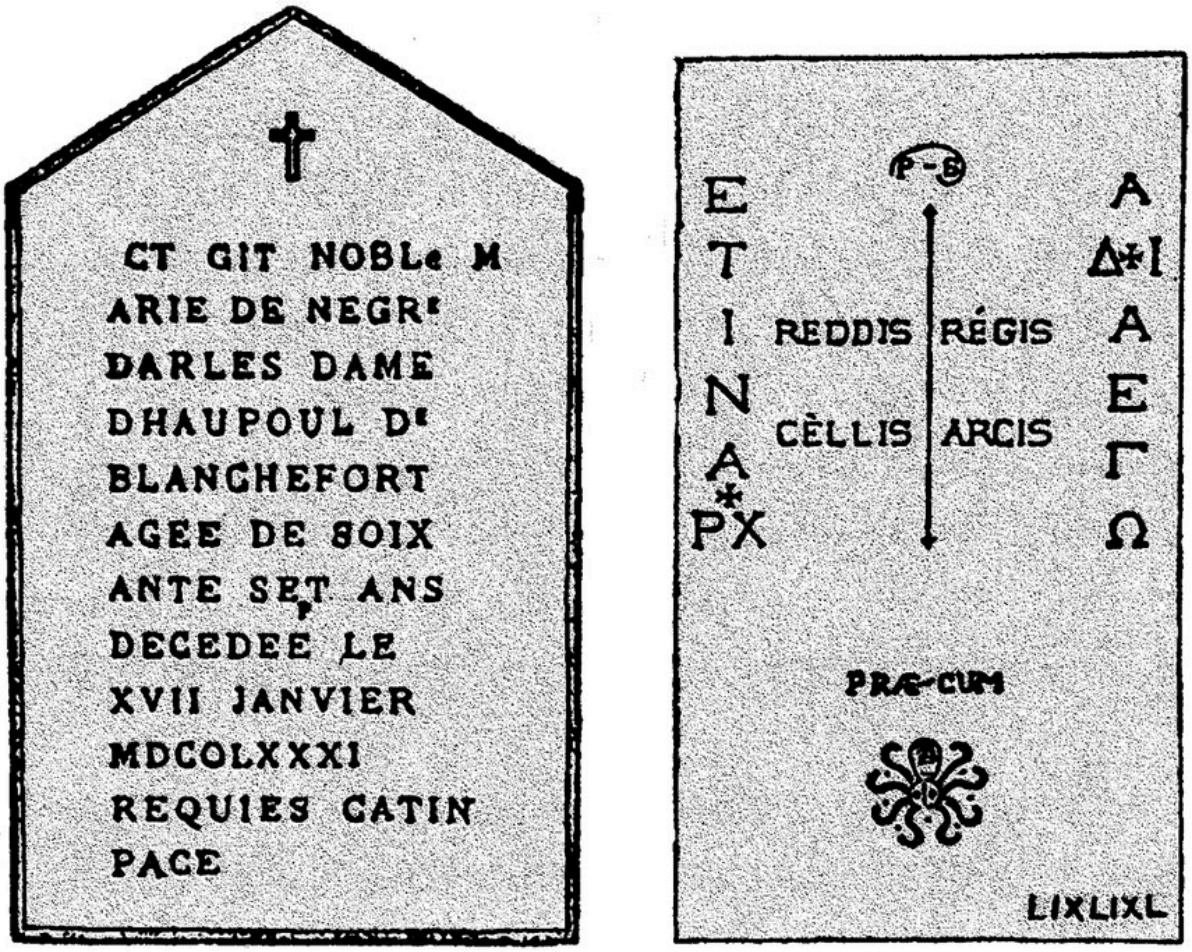
– I to właśnie Saunière znalazł w krypcie? Razem ze złotymi monetami i klejnotami?

Claridon przytaknął skinieniem głowy.

– Ale krypta została zamknięta, Lars zawsze więc był przekonany, że fałszywy grób Marie na cmentarzyku przykościelnym krył w sobie rzeczywistą poszlakę. Bigou musiał domniemywać, że sekret, który poznał, miał zbyt wielką rangę, by nie przekazać go potomnym. Zamierzał uciec z tego kraju i nigdy tu nie powrócić, pozostawił więc zagadkę, która wskazywała właściwą drogę. W samochodzie, kiedy po raz pierwszy pokazał mi pani rysunek nagrobka, uświadomiłem sobie parę rzeczy – kontynuował, sięgając po niezapisany notatnik i ołówek, które leżały na

stole. – Teraz już wiem, że słowa i litery wyryte na kamieniu nagrobnym zawierają mnóstwo informacji.

Malone wpatrywał się badawczo w litery i symbole z nagrobka.



– Płyta widniejąca po prawej stronie leżało płasko na grobie Marie. Wyryty na niej napis nie jest typową inskrypcją umieszczaną na nagrobkach. Lewa strona jest zapisana w łacinie.

Claridon napisał na kartce papieru słowa „ET IN PAX”.

– Można to przetłumaczyć na „oraz w pokoju”, ale jest w tym mały szkopuł. *Pax* to słowo „pokój” w mianowniku i przyimek „w” się z nim nie łączy. Kolumna po prawej stronie jest zapisana w grece i nie oznacza nic. Ale zastanawiałem się nad tym przez dłuższy czas i w końcu dotarłem do rozwiązania. Ta inskrypcja jest w istocie rzeczy napisana po łacinie, lecz przy użyciu greckiego alfabetu. Gdy przetłumaczy się te litery na alfabet

łaciński, otrzymamy litery E, T, I, N i A. Natomiast P zamienia się w R, X w K i wtedy…

Claridon naskrobał coś na kartce, potem napisał pełne rozwiązanie na dole kartki:

ET IN ARCADIA EGO[7]

– „I w Arkadii ja” – rzekł Malone, tłumacząc łacińską frazę. – Ale to nie ma sensu.

– Dokładnie – zgodził się Claridon – co prowadzi mnie do wniosku, że w tych słowach kryje się coś jeszcze.

Malone w lot pojął.

– Anagram?

– Całkiem pospolity w czasach Bigou. Trudno domniemywać, że ksiądz Bigou pozostawił informację, która byłaby łatwa do rozszyfrowania.

– A słowa zapisane pośrodku nagrobka?

Claridon przepisał je na kartkę w notesie:

REDDIS RÉGIS CÉLLIS ARCIS

– *Reddis* to od czasownika „oddać, zwrócić coś”. Ale to także Rennes po łacinie. *Regis* to dopełniacz od *rex*, co oznacza „króla”. *Cella* to między innymi spiżarnia. *Arcis* zaś to dopełniacz od *arx* – „twierdzy, warowni”. Te wyrazy są ustawione w porządku nieoznaczającym nic i nawet nie da się ich ułożyć w logiczne zdanie. Do tego jeszcze mamy strzałkę, która łączy litery *p-s* u góry płyty z *prae-cum*, na dole. Nie mam pojęcia, co mogą oznaczać litery *p-s*. Natomiast słowa *prae-cum* można przetłumaczyć jako „modlitwa, która nadejdzie”.

– Co oznacza symbol na dole? – chciała upewnić się Stephanie. – Wygląda jak ośmiornica.

Claridon zaprzeczył ruchem głowy.

– Pająk, madame. Ale jego znaczenie nie jest dla mnie jasne.

– A drugi kamień nagrobny? – zapytał Malone.

– Lewy kamień stał pionowo na grobie i dzięki temu był najlepiej widoczny. Pamiętajcie, że Bigou służył Marie d’Hautpoul przez wiele lat. Był wobec niej niezwykle lojalny. Poza tym dwa lata trwało wykonanie kamieni nagrobnych, chociaż niemal w każdej linijce znajduje się błąd.

Kamieniarzom w tamtych czasach zdarzało się popełniać błędy, ale żeby tyle? Niemożliwe, żeby ksiądz pozwolił je tak zostawić.

– Zatem te błędy stanowią część przesłania? – zapytał Malone.

– Tak się wydaje. Spójrzcie tutaj. Jej nazwisko jest zapisane z błędami. Nie nazywała się Marie de Negre d’Arles dame d’Hautpoul, tylko Marie de Negri d’Ables d’Hautpoul. Wiele innych słów również zawiera błędy. Litery są dodane lub opuszczone nie bez powodu. Ale spójrzcie jeszcze na datę.

Malone przyjrzał się rzymskim cyfrom.

MDCOLXXXI

– To ma być prawdopodobnie data jej śmierci. Tysiąc sześćset osiemdziesiąty pierwszy. A jednak jest tutaj litera O, która nie jest zerem, gdyż takiego w systemie rzymskim nie ma, więc O nie oznacza żadnej liczby. A mimo to została umieszczona. Natomiast Marie zmarła w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym pierwszym, nie w tysiąc sześćset osiemdziesiątym pierwszym. Czy więc litera O potwierdza fakt, że Bigou wiedział o tym błędnym zapisie daty śmierci? Poza tym jej wiek także podano błędnie. W chwili śmierci liczyła sobie sześćdziesiąt osiem lat, nie sześćdziesiąt siedem, jak tu zapisano.

Malone wskazał na rysunek na prawym kamieniu oraz rzymskie cyfry zapisane w dolnym rogu: LIXLIXL.

– Pięćdziesiąt. Dziewięć. Pięćdziesiąt. Dziewięć. Pięćdziesiąt.

– Nad wyraz osobliwe – skomentował Claridon.

Malone spojrzał ponownie na litografię.

– Nie mam pojęcia, w którym miejscu ten obraz wiąże się z nagrobkami.

– To zagadka, monsieur. Której rozwiązanie wcale nie jest łatwe.

– Ale bardzo chętnie poznałbym to rozwiązanie – usłyszeli niski męski głos dobiegający z ciemności.

TRZYDIEŚCI SZEŚĆ

Malone spodziewał się nawiązania kontaktu z kobietą, ale to nie był głos kobiecy. Sięgnął po pistolet.

– Niech się pan nie rusza, panie Malone. Jest pan na muszce.

– To mężczyzna z katedry – powiedziała Stephanie.

– Mówiłem pani, że się spotkamy. A pan, monsieur Claridon, nie był pan zbyt przekonujący w zakładzie dla obłąkanych. Chory na umyśle? Ależ skąd.

Malone starał się dostrzec coś w ciemności. Duże rozmiary pomieszczenia sprawiały, że dźwięki odbijały się echem. Zobaczył jednak ludzkie sylwetki stojące ponad nim, przed górnym rzędem regałów, na drewnianym pomoście.

Doliczył się czterech osób.

– Mimo to jestem pod wrażeniem pańskiej wiedzy, monsieur Claridon. Pańskie rozumowanie na temat kamieni nagrobnych wydaje się całkiem logiczne. Zawsze byłem przekonany, że można dowiedzieć się dużo więcej z tych nagrobnych płyt. Ja również byłem tu wcześniej i szperałem po tych półkach. To takie trudne przedsięwzięcie. Tyle do przeglądnięcia. Jestem więc wam wdzięczny za zawężenie poszukiwań. *Czytanie reguł Caridad*. Któż by pomyślał?

Claridon przeżegnał się, a Malone dostrzegł strach w oczach mężczyzny.

– Niech Bóg ma nas w swojej pieczy.

– Niech pan przestanie, monsieur Claridon – znów odezwał się głos pozbawiony ciała. – Czy musimy wciągać w to niebiosa?

– Jesteście przecież Jego rycerzami – rzekł Claridon drżącym głosem.

– Z czegóż wysnuwa pan taki wniosek?

– A kim możecie być?

– Być może jesteśmy z policji? Nie. W to by pan nie uwierzył. Być może jesteśmy awanturnikami, poszukiwaczami, tak jak pan. Ale nie. Żeby uprościć sprawę, przyjmijmy, że jesteśmy Jego rycerzami. W jaki sposób wy troje bylibyście w stanie dopomóc naszej sprawie?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Pani Nelle znajduje się w posiadaniu dzienników zmarłego męża oraz książki zakupionej na z aukcji. To będzie jej wkład.

– Pieprz się! – warknęła Stephanie.

Rozległ się huk niczym pęknięcie balonu, a w blat stołu zaledwie kilka centymetrów od kobiety wryła się kula.

– Błędna odpowiedź – odezwał się głos.

– Daj mu te rzeczy – ponaglił eks-szefową Malone.

Stephanie spojrzała na niego gniewnie.

– Za drugim razem cię zastrzeli.

– Skąd pan wie? – zapytał głos.

– Ja tak bym zrobił.

Rozległ się chichot.

– Podoba mi się pan, panie Malone. Jest pan zawodowcem.

Stephanie sięgnęła do torby na ramieniu i wyciągnęła książkę oraz dziennik.

– Proszę rzucić je w stronę drzwi, między półkami – polecił głos.

Wykonała polecenie.

Pojawiła się jakaś postać i podniosła obie rzeczy.

Malone w milczeniu dodał jeszcze jedną osobę do wcześniejszej listy. W archiwum było więc co najmniej pięciu ludzi. Czuł, jak pistolet uwiera go w pasie pod połą marynarki. Niestety, nie miał szans wyciągnąć broni, zanim przeciwnicy zastrzelą któreś z nich. Poza tym miał w magazynku tylko trzy naboje.

– Pani mąż, pani Nelle, zdołał połączyć ze sobą wiele faktów, jego wnioski co do brakujących elementów okazały się, ogólnie rzecz biorąc, słuszne. Cechował się wybitnym intelektem.

– Czego właściwie szukacie? – zapytał Malone. – Dołączyłem do tego towarzystwa zaledwie kilka dni temu.

– Szukamy sprawiedliwości, panie Malone.

– Czy osiągnięcie sprawiedliwości wymaga przejechania starego człowieka z Rennes-les-Château?

Wyobraził sobie, że wymierza pistolet, a broń wypluwa pociski.

– O kim pan mówi?

– O Ernście Scoville’u. Pracował razem z Larsem Nelle. Z pewnością znał go pan?

– Panie Malone, być może rok spędzony na emeryturze osłabił pana zdolności. Mam nadzieję, że prowadził pan lepiej dochodzenia, kiedy pracował pan jako agent w pełnym wymiarze godzin.

– Ponieważ posiada już pan dziennik oraz księgę, nie musi pan stąd znikać?

– Potrzebuję jeszcze tej litografii. Monsieur Claridon, niech pan będzie tak uprzejmy i poda ją mojemu towarzyszowi, tam po drugiej stronie stołu.

Claridon najwyraźniej nie miał zamiaru tego uczynić.

Rozległo się kolejne szczeknięcie broni wyposażonej w tłumik, a kula uderzyła głucho w blat stołu.

– Nie cierpię się powtarzać.

Malone podniósł rycinę i wręczył ją Claridonowi.

– Niech pan to zrobi.

Trzęsąca się dłoń wzięła rycinę. Claridon zrobił kilka kroków poza krąg światła słabej lampy. Znów rozległ się grzmot, a ściany zadrżały. Krople deszczu wciąż uderzały ze wściekłą furią.

Potem rozległ się inny hałas.

Odgłos strzału.

Żarówka eksplodowała, wzniecając snop iskier.



De Roquefort usłyszał strzał i dostrzegł iskrę na końcu lufy w pobliżu wejścia do archiwum. Niech to szlag! Był tu jeszcze ktoś.

Pomieszczenie pogrążyło się w egipskich ciemnościach.

– Ruszajcie! – krzyknął do swoich ludzi znajdujących się na pomoście na pierwszym piętrze, w nadziei, że wiedzą, co mają robić.



Malone zdał sobie sprawę, że ktoś strzelił w żarówkę. A więc znalazła inne wejście.

Gdy ogarnęła ich ciemność, chwycił Stephanie i razem padli na podłogę. Miał nadzieję, że mężczyźni nad nim również zostali całkowicie zaskoczeni.

Wyciągnął pistolet spod marynarki.

Rozległy się dwa kolejne strzały oddane z dołu, mierzone w mężczyzn na pomoście. Stamtąd z kolei dobiegły odgłosy kroków, ale Malone bardziej przejmował się mężczyzną, który znajdował się na ich poziomie. Z kierunku, w którym go ostatnio widział, nie dobiegał jednak żaden odgłos. Nie słyszał też Claridona.

Odgłos biegnących kroków ucichł.

– Kimkolwiek jesteś – odezwał się męski głos – czy musisz się w to mieszać?

– Mogłabym postawić to samo pytanie – odparł kobiecy ospały głos.

– To nie jest pani interes.

– Nie zgodziłabym się.

– Napadła pani dwóch moich braci w Kopenhadze.

– Powiedzmy, że zakończyłam pański atak.

– Spotka panią za to kara.

– Niech pan przyjdzie i mnie schwyta.

– Łapcie ją! – krzyknął mężczyzna.

Czarne sylwetki przebiegły nad jego głową. Oczy Malone’a dostosowały się do ciemności i dostrzegł schody przy drugim końcu podestu.

Wcisnął pistolet w dłoń Stephanie.

– Zostań tutaj.

– Dokąd idziesz?

– Odpłacić się za przysługę.

Ruszył w kucki przed siebie, kryjąc się za regałami. Odczekał chwilę, potem uderzył jednego z mężczyzn, gdy ten zeskoczył z ostatniego stopnia. Wzrostem i posturą człowiek ten przypominał Czerwoną Kurtkę, lecz tym razem Malone był gotowy. Uderzył kolanem w brzuch przeciwnika, potem walnął go pięścią w kark.

Mężczyzna padł na ziemię nieprzytomny.

Malone wciąż usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność, potem usłyszał, że ktoś biegnie kilka przęseł dalej.

– Nie. Proszę mnie zostawić.

Claridon.



De Roquefort skierował się wprost do drzwi wychodzących z archiwum. Opuścił swój szaniec i wiedział, że kobieta szybko musi stąd zniknąć, a nie ma zbyt dużej możliwości manewru. Z archiwum było tylko jedno wyjście, drugie prowadziło przez biura kustosza. Tam jednak już umieścił swojego człowieka, który przez radio podał wcześniej, że u niego nic się nie dzieje.

Wiedział teraz, że to ta kobieta wmieszała się w sprawy w Kopenhadze i to prawdopodobnie ona wtrąciła swoje trzy grosze wczorajszego wieczoru w Rennes-les-Château. Ten wniosek tylko go dodatkowo zmobilizował. Musiał poznać jej tożsamość.

Drzwi wychodzące z archiwum otworzyły się, potem zamknęły. Przez chwilę w smudze światła, która dobiegła z korytarza, zauważył dwie nogi leżące na podłodze między półkami. Pobiegł w tamtą stronę i zobaczył, że jeden z jego podwładnych leży nieprzytomny, a w jego szyi tkwi mała strzałka. Tego brata ustawił na posterunku na dole – miał odzyskać dzienniki, księgę oraz litografię.

Nigdzie nie widział jednak żadnej z tych rzeczy.

Niech szlag trafi tę babę!

– Róbcie to, co wam rozkazałem – krzyknął do pozostałych ludzi.

Pobiegł w stronę drzwi.



Malone słyszał polecenie wydane przez mężczyznę i zdecydował się wrócić do Stephanie. Nie miał pojęcia, co ten człowiek rozkazał swym ludziom, ale zakładał, że dotyczy to ich obojga i że nie kryje się w tym nic dobrego.

Skulony w kucki szybko pokonał drogę między regałami, zmierzając w stronę stołu.

– Stephanie – szepnął.

– Tutaj, Cotton.

Przysunął się bliżej niej. Słyszał teraz jedynie stukanie kropel deszczu.

– Musi stąd być jakieś inne wyjście – wyszeptała w ciemności.

Odebrał od niej pistolet.

– Ktoś wyszedł przez drzwi. Prawdopodobnie ta kobieta. Widziałam jedynie cień. Pozostali widocznie ruszyli za Claridonem i wyszli innym wyjściem.

Drzwi prowadzące na zewnątrz otworzyły się ponownie.

– Teraz wychodzi ten mężczyzna – oznajmił.

Wstali i pobiegli na tyły archiwum. Przy wyjściu Malone zawahał się na moment, nadstawił uszu i spróbował coś dostrzec, potem wyprowadził ich z pomieszczenia.



De Roquefort dostrzegł kobietę biegnącą po galerii. Obrócił się i nie zwalniając kroku, strzeliła w jego kierunku.

Rzucił się na podłogę, ona zaś w tym czasie zniknęła za rogiem.

Zerwał się na nogi i ruszył pędem za nią. Zanim wystrzeliła, zdołał wypatrzyć w jej ręku dziennik Larsa Nelle oraz książkę z aukcji.

Musiał ją zatrzymać.



Malone dostrzegł mężczyznę ubranego w czarne spodnie i czarny golf, z pistoletem w ręku. Skręcił za róg jakieś piętnaście metrów przed nimi.

– To zaczyna być interesujące – skomentował.

On i Stephanie ruszyli biegiem.



De Roquefort kontynuował pościg. Kobieta z pewnością zamierzała opuścić budynek i wydawało się, że dobrze zna rozkład pałacowych pomieszczeń. Każdy skręt, który wykonywała, był właściwy. W niezwykle sprawny sposób zdobyła to, po co przyszła, przypuszczał zatem, że również ucieczki nie pozostawiła przypadkowi.

Przez następny portal wbiegł na korytarz zwieńczony sklepieniem żebrowym. Kobieta znajdowała się już na drugim końcu i znów skręcała za róg. Popędził za nią i dostrzegł szerokie kamienne schody prowadzące w dół. To Wielkie Schody Honorowe. Kiedyś okolone freskami, podzielone żelaznymi bramami, stopnie miały wyłożone perskimi dywanami. Służyły wspaniałym papieskim ceremoniom. Teraz stopnie oraz ściany były gołe. Jakieś trzydzieści metrów pod nim panowała absolutna ciemność. Wiedział, że dalej są drzwi wyjściowe prowadzące na dziedziniec. Usłyszał kroki kobiety zbiegającej na dół, lecz nie widział jej sylwetki.

Zaczął więc strzelać na ślepo.

Wystrzelił dziesięć naboi.



Malone usłyszał głosy przypominające uderzenia młotka o gwóźdź. Były to następujące kolejno po sobie wystrzały z broni wyposażonej w tłumik.

Zwolnił tempo biegu, gdy zbliżał się do drzwi oddalonych o trzy metry.



Na dole klatki schodowej pogrążonej w egipskich ciemnościach rozległo się skrzypnięcie. De Roquefort rozpoznał w tym dźwięku skrzypienie

otwieranych drzwi. Odgłos burzy szalejącej na zewnątrz przybrał na sile. Najwidoczniej jego strzały chybiły celu. Kobieta wychodziła z pałacu. Usłyszał kroki za sobą, potem zaczął mówić do mikrofonu wpiętego w koszulę.

– Macie to, czego chciałem?

– Tak, mamy – usłyszał w odpowiedzi w słuchawce.

– Znajduję się Galerii Konklawe. Pan Malone i pani Nelle biegną za mną. Zajmijcie się nimi.

Pomknął schodami w dół.



Malone dostrzegł mężczyznę w golfie, wybiegającego
z obszernego holu, który rozciągał się przed nimi. Z pistoletem w ręku pobiegł przed siebie. Stephanie ruszyła w jego ślady.

Nagle, nie wiadomo skąd, z różnych wejść wyłoniła się trójka uzbrojonych mężczyzn i przecięła im drogę.

Malone i Stephanie zatrzymali się.

– Proszę rzucić broń – odezwał się jeden z mężczyzn.

Nie mieli szans walczyć z przeciwnikami, nie ryzykując życia. Malone upuścił więc pistolet, który stuknął o posadzkę.

Mężczyźni podeszli do nich.

– Co teraz robimy? – zapytała Stephanie.

– Jestem otwarty na sugestie.

– Nic nie możecie zrobić – odezwał się jeden z mężczyzn ostrzyżonych na jeża.

Stali nieruchomo.

– Obróćcie się – usłyszeli komendę.

Spojrzał na Stephanie. Nieraz bywał w poważnych tarapatach, nieraz w sytuacji równie dramatycznej jak ta. Nawet jeśli zdoła powalić jednego czy dwóch napastników, wciąż pozostanie trzeci, poza tym wszyscy byli uzbrojeni.

Dosłyszał głuche uderzenie, następnie krzyk Stephanie i zobaczył, jak jej ciało osuwa się na podłogę. Zanim zdążył ruszyć się w jej kierunku, sam otrzymał cios w głowę ciężkim przedmiotem i wszystko zniknęło mu sprzed oczu.



De Roquefort podążał za zdobyczą, która biegła teraz przez opustoszały plac, a potem zanurzyła się w labirynt równie opustoszałych uliczek Awinionu. Ciepły deszcz wciąż lał się z nieba gęstymi strugami. Niebiosa otworzyły się nagle, potężny błysk pioruna na chwilę rozświetlił ciemności. Odgłos grzmotu wstrząsnął powietrzem.

Minęli zabudowania i zbliżyli się do rzeki.

Wiedział, że tuż przed nimi znajduje się most Saint-Bénézet przerzucony ponad nurtem Rodanu. Widział, jak kobieta biegnie ścieżką wprost w kierunku mostowego przyczółka. Co ona wyprawia? Dlaczego tam biegnie? Nieważne, musi ją ścigać. Miała resztę tego, po co tu przyszedł, a on nie zamierzał opuszczać Awinionu bez książki i bez dziennika. Zastanawiał się też jednak, jak kartki papieru zareagują na strugi deszczu. Włosy przykleiły mu się do czoła, a odzież lepiła się do ciała.

Dziesięć metrów przed sobą zobaczył błysk, gdy kobieta wystrzeliła w kierunku drzwi prowadzących do wejścia na most.

Zniknęła wewnątrz budynku.

Pobiegł do drzwi i ostrożnie zajrzał do środka. Po prawej stronie znajdowała się budka biletowa, po lewej natomiast kramy z pamiątkami. Trzy bramki prowadziły na most. Zerwana przeprawa od bardzo dawna była tylko i wyłącznie turystyczna atrakcją.

Kobieta miała przewagę około dwudziestu metrów. Biegła teraz mostem, prosto ku nurtowi rzeki.

Potem nagle zniknęła.

Ruszył do przodu, przeskoczył nad bramką i pognał za nią.

Przy końcu drugiego filara znajdowała się gotycka kaplica. De Roquefort wiedział, że poświęcono ją św. Mikołajowi. Kiedyś przechowywano tu

szczątki św. Bénézeta, od którego wyszedł pomysł budowy mostu. Relikwia zaginęła jednak w trakcie rewolucji, pozostała teraz wyłącznie kaplica – u góry gotycka, romańska na dole. Tam właśnie zniknęła kobieta. Zbiegła w dół kamiennymi schodami.

Kolejny zielonkawy błysk rozświetlił niebo nad głową de Roqueforta.

Otarł krople deszczu z oczu i zatrzymał się przy górnym stopniu.

Potem ją dostrzegł.

Nie znajdowała się na dole, lecz znów była na górze i pędziła ku końcowi czwartego przęsła, które prowadziło na środek nurtu Rodanu. Stamtąd nie miała dokąd uciec, ponieważ przęsła prowadzące na drugi brzeg zostały zmyte ponad trzysta lat temu. Z pewnością zbiegła schodami, by znaleźć się pod kaplicą, dzięki czemu mogła skryć się przed ewentualnymi strzałami de Roqueforta. Popędził w ślad za nią, obiegając dookoła kaplicę.

Nie miał jednak zamiaru strzelać. Potrzebna mu była żywa. I co jeszcze ważniejsze, potrzebował tego, co ze sobą niosła. Wycelował więc nieco w lewo, w jej stopy.

Zatrzymała się i obróciła twarzą ku niemu.

Ruszył pędem do przodu, celując z pistoletu.

Stała przy końcu czwartego przęsła, za nią była tylko ciemność i woda. Kolejny grzmot szarpnął powietrzem. Wiatr wiał teraz szalonymi porywami. Strugi deszczu spływały jej po twarzy.

– Kim jesteś? – zapytał.

Miała na sobie czarny trykot, który pasował do jej ciemnej skóry. Była szczupła i umięśniona, jej głowę okrywał ciasny kaptur, widoczna była tylko twarz. W lewej dłoni trzymała pistolet, w prawej natomiast plastikową torbę na zakupy. Wysunęła pakunek poza krawędź mostu.

– Nie działajmy zbyt pochopnie – odezwała się.

– Mógłbym po prostu cię zastrzelić

– Są dwa powody, dla których tego nie zrobisz.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze, torba wpadnie do wody i stracisz to, czego naprawdę pragniesz. Po drugie, jestem chrześcijanką. Ty zaś nie zabijasz chrześcijan.

– Skąd wiesz, co zrobię?

– Jesteś rycerzem zakonu templariuszy, podobnie jak pozostali. Złożyłeś przysięgę, że nie uczynisz krzywdy chrześcijanom.

– Nie mam pojęcia, czy jesteś chrześcijanką.

– A zatem zatrzymajmy się przy pierwszym powodzie. Strzelisz do mnie, a księgi spłyną z nurtem Rodanu. Bystry prąd rzeki zabierze je ze sobą.

– Najwidoczniej poszukujemy tej samej rzeczy.

– Jesteś bystry.

Jej ramię wciąż wyciągnięte było nad krawędzią przęsła. De Roquefort zastanawiał się, w które miejsce powinien strzelić, lecz doszedł do wniosku, że kobieta miała rację – torba odpłynie daleko, zanim on zdoła pokonać dzielące ich dziesięć metrów.

– Wygląda na to, że jesteśmy w impasie – odezwał się.

– Nie powiedziałabym tego.

Zwolniła chwyt i torba zniknęła w egipskich ciemnościach. Następnie wykorzystała moment zaskoczenia, by wymierzyć i wystrzelić, lecz de Roquefort odskoczył w lewo i padł na mokre kamienie. Kiedy otrząsnął krople deszczu z oczu, zobaczył, jak kobieta przeskakuje nad krawędzią. Zerwał się na równe nogi i pobiegł za nią, spodziewając się, że zobaczy rwący nurt Rodanu, lecz zamiast tego około dwóch i pół metra poniżej dojrzał kamienną platformę, stanowiącą część filaru, który podpierał zewnętrzny łuk. Zobaczył, jak kobieta chwyta torbę i znika pod mostem.

De Roquefort zawahał się jedynie przez moment, potem zeskoczył, lądując na nogach. Jego stawy skokowe zatrzeszczały od siły uderzenia. W końcu był mężczyzną w średnim wieku.

Usłyszał warkot silnika i zobaczył motorówkę odbijającą spod drugiego końca mostu i kierującą się na północ. Uniósł pistolet, zamierzając strzelić, ale błysk z wylotu lufy dał mu znać, że kobieta również strzelała.

Znów rzucił się na mokre kamienie.

Łódka zniknęła z pola widzenia.

Kim była ta jędza? Z pewnością wiedziała, kim on jest, chociaż nie potrafiła dokładnie go zidentyfikować. Najwidoczniej pojmowała też w pełni znaczenie książki z aukcji oraz dziennika Larsa Nelle. I co najważniejsze, znała każdy ruch de Roqueforta.

Wstał i pod mostem, który osłaniał go przed deszczem, przeszedł do miejsca, w którym zacumowana była motorówka. Zaplanowała też sprytny sposób ucieczki. Zamierzał wejść z powrotem na górę, korzystając z żelaznej drabinki doczepionej do zewnętrznej strony przęsła mostu, kiedy coś w ciemności przyciągnęło jego uwagę.

Na mokrych kamieniach za przejściem leżała księga. Przysunął ją bliżej oczu, starając się dostrzec treść wilgotnych stron i przeczytał kilka słów.

Był to dziennik Larsa Nelle.

Zgubiła go w trakcie pospiesznej ucieczki.

Uśmiechnął się.

Znalazł się w posiadaniu części łamigłówki. Nie miał wszystkiego, ale być może to wystarczy – on zaś doskonale wiedział, jak poznać resztę.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Malone otworzył oczy. Pomacał obolały kark. Przez chwilę masował mięśnie otwartą dłonią i starał się otrząsnąć z zamroczenia. Spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia dwadzieścia. Był pozbawiony przytomności przez blisko godzinę.

Stephanie leżała o jakiś metr od niego. Podczołgał się do niej, uniósł jej głowę i delikatnie potrząsnął. Zamrugała oczyma i usiłowała skoncentrować wzrok na nim.

– To boli – wymamrotała.

– Co ty powiesz.

Rozejrzał się dookoła. Na zewnątrz ulewa ustała.

– Musimy się stąd wynosić.

– A co z naszymi przyjaciółmi?

– Gdyby chcieli nas zabić, już bylibyśmy martwi. Sądzę, że przestali się o nas troszczyć. Mają książkę z aukcji, dziennik Larsa oraz Claridona. Nie jesteśmy im potrzebni. – Zauważył pistolet leżący w pobliżu i wskazał na niego: – Najwyraźniej nie stanowimy dla nich żadnego zagrożenia.

Stephanie pocierała guza na głowie.

– To nie był najmądrzejszy pomysł, Cotton. Nie powinnam wcale zareagować na fakt, że dziennik Larsa został przesłany do mnie. Gdybym nie zadzwoniła do Ernsta Scoville’a, zapewne wciąż chodziłby jeszcze wśród żywych. I nie powinnam wciągać w to ciebie.

– Z tego co pamiętam, sam usilnie nalegałem – odparł i powoli wstał na równe nogi. – Musimy stąd znikać. Za jakiś czas zjawi się tutaj personel sprzątający pałacowe komnaty. Poza tym nie mam najmniejszej ochoty odpowiadać na pytania miejscowej policji.

Pomógł Stephanie wstać.

– Dziękuję Cotton. Za wszystko. Doceniam wszystko, co zrobiłeś.

– To brzmi tak, jakby było już po wszystkim.

– Dla mnie jest. Bez względu na to, czego poszukiwali Lars i Mark, dalsze poszukiwania zostawiam innym. Wracam do domu.

– A co z Claridonem?

– Cóż możemy zrobić? Nie mamy pojęcia, kto go pojmał i dokąd mogli go zabrać. A cóż możemy powiedzieć policji? Że rycerze zakonu templariuszy uprowadzili pacjenta miejscowego zakładu dla obłąkanych? Wróć do rzeczywistości. Obawiam się, że jego los zależy tylko od niego samego.

– Znamy nazwisko tej kobiety – odparł. – Claridon napomknął, że nazywa się Cassiopeia Vitt. Powiedział nam też, gdzie mieszka. W Givors. Możemy ją odnaleźć.

– I co dalej? Podziękujemy jej za uratowanie naszych tyłków? Moim zdaniem ona również działa na własne ryzyko i z pewnością potrafi sama sobie radzić. Jak powiedziałeś, nie liczymy się już w tej grze.

Miała rację.

– Musimy wracać do domu, Cotton. Żadne z nas nie ma tu już nic do roboty.

Znów miała rację.

Znaleźli wyjście z pałacu i wrócili do wynajętego samochodu. Kiedy zgubili tych, którzy ich śledzili za Rennes, Malone miał pewność, że nikt ich już nie tropi w drodze do Awinionu, przyjął więc założenie, że mężczyźni albo czekali na niego w mieście, co było mało prawdopodobne, albo zastosowali jakiś sprzęt do elektronicznej inwigilacji. To oznaczało, że pościg i strzelanina, zanim zepchnął ich renaulta w błoto, były jedynie grą, która miała uśpić czujność Malone’a.

Co zresztą im się udało.

Teraz jednak nie traktowano ich jako uczestników w tej jakiejś grze, zdecydował zatem, że powinni wrócić do Rennes-les-Château i spędzić tam noc.

Jechali blisko dwie godziny, a główną bramę miasteczka minęli tuż przed drugą w nocy. Kiedy opuszczali parking, ożywczy wiatr owiewał szczyt góry, a nad ich głowami mieniła się Mleczna Droga. Za murami miasteczka nie świeciła się ani jedna lampa. Ulice wciąż były jeszcze wilgotne po burzy z poprzedniego dnia.

Malone odczuwał zmęczenie.

– Prześpijmy się trochę i wyjedźmy stąd około południa. Jestem pewien, że będzie jakiś lot z Paryża do Atlanty, który uda mi się złapać.

Gdy doszli do drzwi, Stephanie wsunęła klucz do zamka i otworzyła go. W środku Malone włączył lampę w salonie i natychmiast zauważył na fotelu plecak, który nie należał ani do niego, ani do jego towarzyszki.

Sięgnął do pistoletu wsuniętego za pasek.

Ruch w sypialni przyciągnął jego uwagę. W progu pojawił się jakiś mężczyzna i mierzył do niego z glocka.

Malone również podniósł pistolet.

– Kim, do diabła, pan jest?

Mężczyzna liczył sobie na oko jakieś trzydzieści parę lat, miał krótko ostrzyżone włosy i krępą budowę ciała – był więc podobny do typów, które Malone często widywał w ciągu kilku minionych dni. Twarz, chociaż przystojna, wyrażała wolę walki – oczy przypominały czarne kamienie – a broń trzymał bardzo pewną dłonią. Ale Malone wyczuł u niego wahanie, jak gdyby mężczyzna nie był pewien, czy ma do czynienia z przyjacielem, czy z wrogiem.

– Zapytałem, kim jesteś.

– Opuść broń, Geoffrey – dobiegł ich męski głos z sypialni.

– Jesteś pewien?

– Proszę.

Opuścił broń. Malone poszedł za jego przykładem.

Z cienia wyłonił się drugi mężczyzna.

Był wysoki i mocno zbudowany, z krótko przyciętymi kasztanowymi włosami. On również trzymał pistolet, a Malone potrzebował jedynie chwili, by rozpoznać znajomą sylwetkę, śniadą cerę oraz łagodne oczy, które widział na zdjęciu ustawionym na stoliku po jego lewej stronie.

Usłyszał, że Stephanie zachłystuje się powietrzem.

– Wielki Boże! – wyszeptała.

Malone również był zszokowany.

Przed nim stał nie kto inny, jak Mark Nelle.

Ciałem Stephanie targnęły dreszcze. Serce waliło jej jak młotem. Na chwilę zupełnie odebrało jej oddech.

Jej jedyne dziecko stało po drugiej stronie pokoju.

Pragnęła podbiec do niego, powiedzieć mu, jak jej przykro, z powodu tylu różnic, które ich dzieliły, i jak bardzo cieszy się, że go widzi. Lecz jej mięśnie nie zareagowały.

– Matko – odezwał się Mark. – Twój syn wstał z grobu.

Wychwyciła chłodny ton jego głosu i natychmiast wyczuła, że jego serce wciąż jest twarde jak kamień.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas?

– To długa historia.

W jego oczach nie dostrzegła żadnego współczucia. Czekała, aż raczy wyjaśnić, lecz on nie mówił nic.

Malone podszedł do Stephanie, położył jej dłoń na ramieniu i przerwał niezręczną ciszę.

– Może usiądziecie.

Poczuła się oderwana od swego życia, nagła konsternacja ogarnęła jej myśli, z trudem opanowywała zdenerwowanie. Ale niech to szlag, była przecież szefową jednej z najbardziej wyspecjalizowanych agend rządu Stanów Zjednoczonych. Na co dzień zajmowała się sytuacjami kryzysowymi. To prawda, żadna z nich nie wiązała się bezpośrednio z nią, tak jak ta, której teraz stawiała czoło i która uosabiała się w postaci stojącej w drugim końcu pokoju. Jeśli Mark życzył sobie, żeby ich pierwsze spotkanie miało chłodny charakter, niech tak będzie. Nie miała zamiaru dać nikomu satysfakcji z tego powodu, że zawładnęły nią emocje.

Usiadła więc.

– W porządku, Mark. Opowiedz nam swoją długą historię.

Mark Nelle otworzył oczy. Nie znajdował się już na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów we francuskich Pirenejach, nie miał na sobie alpinistycznych butów z rakami i nie niósł czekana, który pomagał mu się wspinać trudną ścieżką skalną w poszukiwaniu kryjówki Bérengera Saunière’a. Znajdował się teraz w pomieszczeniu o ścianach z kamienia i drewna oraz suficie z poczerniałych belek. Mężczyzna, który stał nad nim, był wysoki, miał siwiejące zmierzwione włosy oraz srebrną bródkę gęstą jak

owcze runo. W jego oczach dostrzegł osobliwy fioletowy odcień, jakiego nigdy wcześniej w życiu nie widział.

– Ostrożnie – odezwał się mężczyzna po angielsku. – Jeszcze jesteś słaby.

– Gdzie jestem?

– W miejscu, które od stuleci służy za bezpieczne schronienie.

– Czy to miejsce ma jakąś nazwę?

– Jesteś w opactwie des Fontaines.

– To o całe kilometry od miejsca, w którym byłem.

– Dwóch z podległych mi braci podążało za tobą i zdołało uratować ciebie, kiedy porwały cię zwały śniegu. Powiedziano mi, że lawina była bardzo gwałtowna.

Wciąż jeszcze czuł, jak góra zadrżała, a jej szczyt rozpadał się niczym wielka katedra. Cała grań zatrzęsła się nad jego głową, śnieg sunął w dół niczym krew z otwartej rany. Wciąż jeszcze czuł chłód w kościach. Potem przypomniał sobie, jak spadał. Czy dobrze rozumiał słowa mężczyzny, który stał nad nim?

– Jacyś ludzie mnie śledzili?

– Wydałem im takie polecenie. Podobnie jak wcześniej, kilka razy w przypadku twojego ojca.

– Znał pan mojego ojca?

– Jego teorie zawsze bardzo mnie interesowały. Postanowiłem więc poznać go osobiście i dowiedzieć się tego, co wiedział on.

Usiłował usiąść na łóżku, lecz po prawej stronie poczuł elektryzujące rwanie. Syknął z bólu i złapał się za brzuch.

– Masz złamane żebra. Ja również w młodości miałem złamane. To boli.

Położył się na plecach.

– Przywieziono mnie tutaj?

Starzec przytaknął.

– Moi bracia są dobrze wyszkoleni i potrafią sobie radzić w różnych sytuacjach.

Zwrócił uwagę na biały habit oraz sznurkowe sandały.

– Czy jesteśmy w klasztorze?

– To miejsce, którego szukałeś.

Nie był pewien, co ma odpowiedzieć.

– Jestem wielkim mistrzem Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Jesteśmy templariuszami. Twój ojciec poszukiwał nas przez całe dziesięciolecia. Ty również nas poszukiwałeś. Uznałem więc, że w końcu nadszedł właściwy czas.

– Na co?

– Ty o tym zdecydujesz. Ale żywię nadzieję, że twoim wyborem będzie dołączenie do nas.

– Dlaczegóż miałbym to uczynić?

– Twoje życie, co stwierdzam z przykrością, pogrążyło się w całkowitym chaosie. Brakuje ci ojca bardziej, niż skłonny jesteś przyznać, on zaś nie żyje już od ponad sześciu lat. Oddaliłeś się od matki, co również wiąże się z problemami większymi, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Wykonujesz zawód nauczyciela, ale nie daje ci on satysfakcji. Podjąłeś kilka prób zweryfikowania twierdzeń ojca, ale nie potrafisz poczynić znacznego postępu. Dlatego właśnie znalazłeś się w Pirenejach, szukając przyczyn, dla których ksiądz Saunière spędzał tam tak wiele czasu za życia. Człowiek ten spenetrował cały region w poszukiwaniu czegoś. Z pewnością wśród dokumentów Saunière'a znalazłeś kwity potwierdzające wynajem koni i powozu od miejscowych przewoźników. To zdumiewające, nieprawdaż, jak skromny duchowny mógł pozwolić sobie na taki luksus, jak wynajęcie prywatnego powozu i koni?

– Co pan wie o moim ojcu i mojej matce?

– Wiem dużo.

– Spodziewa się pan, iż uwierzę, że jest pan wielkim mistrzem zakonu templariuszy?

– W pełni rozumiem, że to oświadczenie może okazać się trudne do zaakceptowania. Ja również miałem z tym problemy, kiedy bracia po raz pierwszy nawiązali ze mną kontakt kilkadziesiąt lat temu. Może więc na początek skoncentrujemy się na wyleczeniu twoich ran i będziemy posuwać się do przodu powoli.

– Przeleżałem w łóżku jeszcze trzy tygodnie – kontynuował relację Mark. – Później ograniczono mi swobodę poruszania się do określonych części opactwa, lecz mistrz i ja rozmawialiśmy często. W końcu zgodziłem się pozostać tam i złożyć przysięgę.

– Dlaczego zdecydowałeś się postąpić w ten sposób? – zdumiała się Stephanie.

– Bądźmy realistyczni, matko. Przez lata ty i ja nie rozmawialiśmy ze sobą. Ojciec odszedł. Mistrz miał rację. Znalazłem się w ślepym zaułku. Ojciec szukał dziedzictwa templariuszy, ich skarbów oraz samych templariuszy. Jedna trzecia tego, czego on poszukiwał, odnalazła mnie. Chciałem tam pozostać.

Aby poskromić narastające rozdrażnienie, Stephanie pozwoliła, by jej uwaga skierowała się na młodego mężczyznę stojącego za Markiem. Wokół niego roztaczała się aura świeżości. Lecz zauważyła także zainteresowanie, jak gdyby słyszał o tych rzeczach po raz pierwszy w życiu.

– Czy pan ma na imię Geoffrey? – zapytała, przypominając sobie, że wcześniej Mark zwrócił się tak do niego.

Młodzieniec przytaknął.

– Czy wiedział pan, że jestem matką Marka?

– Niewiele wiem o innych braciach. Tak stanowi Reguła. Żaden brat nie rozmawia o sobie z innymi. Na tym polega życie w zakonie. To, skąd przychodzimy, nie ma wpływu na to, kim staliśmy się teraz.

– Brzmi to bezdusznie.

– Uważam, że to daje szansę na oświecenie.

– Geoffrey przesłał ci paczkę – podjął Mark. – W środku był dziennik ojca. Czy otrzymałaś ją?

– Z tego powodu właśnie tu jestem.

– Miałem go ze sobą w dniu, kiedy zeszła lawina. Znajdował się w posiadaniu mistrza, odkąd przystąpiłem do bractwa. Stwierdziłem, że po jego śmierci zniknął.

– Twój mistrz nie żyje?

– Mamy teraz nowego przywódcę – oznajmił Mark. – Ale to istny szatan.

Malone opisał człowieka, któremu stawili czoło ze Stephanie w katedrze w Roskilde.

– To Raymond de Roquefort – stwierdził Mark. – W jaki sposób natknęliście się na niego?

– Jesteśmy starymi znajomymi – odpowiedział Malone, a potem zdał relację z wydarzeń w Awinionie.

– Claridon jest z pewnością więźniem de Roqueforta – domyślił się Mark. – Niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Czuł ogromną trwogę przed templariuszami – dodał Malone.

– W przypadku tego jednego jego obawy są jak najbardziej uzasadnione.

– Wciąż nie powiedziałeś nam, dlaczego ostatnie pięć lat spędziłeś w opactwie – powróciła do tematu Stephanie.

– To, czego szukałem, znajdowało się tam. Wielki mistrz stał się dla mnie ojcem. Był dobrym i szlachetnym człowiekiem, pełnym współczucia.

W lot chwyciła przekaz między wierszami.

– W odróżnieniu ode mnie.

– Nie pora teraz na tego rodzaju dyskusje.

– A kiedy według ciebie będzie właściwa pora? Byłam przekonana, że nie żyjesz, Mark. A ty po prostu zamknąłeś się w opactwie, zadając się z templariuszami…

– Pani syn został naszym seneszalem – wtrącił Geoffrey. – On i wielki mistrz kierowali nami mądrze i roztropnie. Jego przyjście okazało się błogosławieństwem dla naszego zakonu.

– Był drugi co do rangi? – upewniał się Malone. – W jaki sposób wspiął się tak szybko w hierarchii?

– Seneszal jest wybierany przez mistrza. Wielki mistrz osobiście decyduje, kto się nadaje do tej funkcji – wyjaśnił młody zakonnik. – I dokonał właściwego wyboru.

Malone się uśmiechnął.

– Masz całkiem oddanego towarzysza.

– Geoffrey stanowi niezgłębioną studnię informacji, chociaż żaden z nas nie zamierza uchylić rąbka tajemnicy drugiemu, jeśli ten drugi nie jest gotowy powiedzieć tego nam.

– Zechce nam pan łaskawie uchylić rąbka tajemnicy? – chciał zaspokoić ciekawość Malone.

Mark przemówił, opowiadając im o tym, co wydarzyło się w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin. Stephanie słuchała, targana na przemian fascynacją i gniewem. Jej syn opowiadał o młodym bracie zakonnym z niesłychanym szacunkiem.

– Templariusze – ciągnął opowieść Mark – powstali z niewielkiej grupki dziewięciu rycerzy, którzy mieli początkowo strzec pielgrzymów na drodze do Ziemi Świętej. Zakon rozrósł się do ogromnej organizacji posiadającej dobra na kilku kontynentach. W jej szeregi wchodziły dziesiątki tysięcy braci zamieszkujących w ponad dziesięciu tysiącach posiadłości. Królowie,

królowe oraz papieże odczuwali przed nimi trwogę. Nikt do czasów Filipa IV w tysiąc trzysta siódmym roku nie zdołał stawić im skutecznie czoła. Wiecie dlaczego?

– Militarna biegłość, jak domniemywam – zgadywał Malone.

Mark zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie chodziło o siłę, która dawała im moc; zawdzięczali ją wiedzy. Posiedli wiadomości, których nie znał nikt inny.

Malone westchnął ciężko.

– Mark, nie znamy się osobiście, ale jest środek nocy, padam ze zmęczenia i boli mnie niemiłosiernie kark. Czy nie możemy odłożyć tej zagadki na później i przejść do sedna sprawy?

– Wśród skarbów templariuszy były również pewne dowody związane bezpośrednio z ukrzyżowaniem Chrystusa.

W pokoju zapadła cisza, gdy padły te słowa.

– Jakiego rodzaju dowody? – chciał zaspokoić ciekawość Malone.

– Tego nie wiem. Lecz nazwali to Wielkim Dziedzictwem. Znaleziono je w Ziemi Świętej pod ruinami Świątyni Jerozolimskiej, ukryte w pierwszym stuleciu, około siedemdziesiątego roku naszej ery, kiedy to Świątynia została zniszczona. Później templariusze przetransportowali ten skarb do Francji i ukryli, a miejsce ukrycia znali jedynie najwyżsi rangą bracia. Kiedy Jakub de Molay, pełniący urząd wielkiego mistrza templariuszy w okresie Czystki, został spalony na stosie w tysiąc trzysta czternastym roku, sekret ukrycia Wielkiego Dziedzictwa odszedł wraz z nim. Filip IV usiłował zdobyć informacje, lecz nie zdołał. Ojciec był przekonany, że księża Bigou i Saunière z Rennes-le-Château zdołali odkryć tę tejemnicę. Był też przekonany, że Saunière w rzeczywistości dotarł do kryjówki templariuszy.

– Podobnego zdania był także mistrz – dodał Geoffrey.

– Czy rozumiesz, co mam na myśli? – Mark spojrzał z błyskiem w oczach na przyjaciela. – Powiedz magiczne słowa, a zdobędziemy informacje.

– Mistrz dał jasno do zrozumienia, że Bigou i Saunière mieli rację – oznajmił Geoffrey.

– Na jaki temat? – zapytał Mark.

– Mistrz tego nie powiedział. Stwierdził jedynie, że mieli rację.

Mark spojrzał na nich.

– Podobnie jak on, panie Malone, ja również obracam się wśród zagadek.

– Mów do mnie Cotton.

– Ciekawe imię. Jak to się stało, że pan je nosi?

– To długa historia. Opowiem ci kiedyś.

– Mark – głos zabrała Stephanie – chyba nie wierzysz naprawdę, że istnieje jakiś rozstrzygający dowód związany z ukrzyżowaniem Chrystusa? Twój ojciec nigdy nie posunąłby się tak daleko.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – W głosie Marka brzmiała gorycz.

– Wiem, jak on…

– Nie wiesz nic, matko. To właśnie twój problem. Nigdy nie miałaś pojęcia o tym, co ojciec myślał. Byłaś przekonana, że wszystko wyssał sobie z palca, że marnuje swój talent. Nigdy nie kochałaś go na tyle, by pozwolić mu być sobą. Sądziłaś, że szuka sławy i skarbu. Nie. On szukał prawdy. Chrystus umarł. Chrystus zmartwychwstał. Chrystus ponowne nadejdzie. To właśnie go interesowało.

Stephanie zebrała się w sobie i postanowiła nie reagować na tę przyganę.

– Ojciec był poważnym badaczem. Jego praca ma wartość, nigdy tylko nie mówił otwarcie na temat swoich pragnień. Kiedy w latach siedemdziesiątych odkrył Rennes-le-Château i objawił światu historię Saunière’a, był to po prostu sposób na zdobycie funduszy. To, co się tam stało lub nie, może stanowić materiał na niezłą powieść. Miliony ludzi czytało jego książkę bez względu na zawarte w niej upiększenia. Jesteś jedną z niewielu, która tego nie zrobiła.

– Twój ojciec i ja borykaliśmy się wtedy z tym, co nas różniło.

– W jaki sposób chciałaś mu pomóc? Mówiąc mu, że marnuje swoje życie i że krzywdzi rodzinę? Że jest nieudacznikiem?

– W porządku, niech to szlag, myliłam się! – odezwała się głosem bliskim krzyku. – Chcesz, żebym powtórzyła to jeszcze raz? Myliłam się. – Wstała z krzesła, a ten desperacki gest dodał jej sił. – Spieprzyłam sprawę. To chcesz usłyszeć? Od pięciu lat myślałam, że nie żyjesz. A teraz jesteś tutaj i chcesz tylko jednego: żebym przyznała się do błędu. Dobrze. Gdybym mogła powiedzieć to twemu ojcu, uczyniłabym to. Gdybym mogła błagać go o przebaczenie, także bym to uczyniła, lecz nie mogę.

Słowa te wypowiadane były szybko, na fali emocji, gdyż chciała wyrzucić je z siebie, dopóki miała odwagę.

– Przyjechałam tu po to, by zobaczyć, czy mogę coś zrobić. Usiłowałam podążać za tym, co zdaniem Larsa, i twoim, było ważne. To jedyny powód, dla którego się tutaj znalazłam. Doszłam do wniosku, że w końcu robię coś właściwego. Ale daruj sobie to świątobliwe biadolenie. Ty też się odchrzań. Różnica między nami polega na tym, że ja czegoś nauczyłam się w ciągu ostatnich pięciu lat.

Opadła z impetem na krzesło, czując się o wiele lepiej, chociaż tylko w pewnym zakresie. Ale zdała sobie sprawę, że przepaść między nimi właśnie się poszerzyła, i zadrżała.

– Jest środek nocy – odezwał się w końcu Malone. – Połóżmy się, prześpijmy trochę i powróćmy do tego tematu za kilka godzin.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

NIEDZIELA, 25 CZERWCA
OPACTWO DES FONTAINES
5.25

De Roquefort zatrzasnął za sobą metalowe drzwi. Uderzyły o stalową ościeżnicę z odgłosem przypominającym strzał z karabinu, a zamek się zatrzasnął.

– Czy wszystko gotowe? – zapytał jednego z asystentów.

– Zgodnie z poleceniem.

Dobrze. Czas przystąpić do rzeczy. Szedł labiryntem podziemnych korytarzy. Znajdował się teraz trzy kondygnacje pod ziemią, w tej części opactwa, którą po raz pierwszy zaczęto wykorzystywać przed tysiącem lat. Niekończący się proces budowy i przebudowywania przemienił podziemne pomieszczenia w prawdziwy labirynt zapomnianych pokoi i cel, obecnie wykorzystywanych głównie do przechowywania żywności.

Do opactwa wrócił przed trzema godzinami, przywożąc ze sobą Royce'a Claridona i dziennik Larsa Nelle. Utrata książki *Pierres Gravées du Languedoc* nie dawała mu spokoju. Mógł jedynie żywić nadzieję, że dzienniki oraz Claridon dostarczą mu dostateczną liczbę brakujących elementów.

I jeszcze ta ciemnoskóra kobieta – ona stanowiła problem.

Świat de Roqueforta był zdecydowanie męski. Doświadczenia z kobietami miał ograniczone do minimum. Należały do innego gatunku, co do tego nie miał wątpliwości, ale kobieta, której stawił czoło na moście Saint-Bénézet, wydawała się niemal przybyszem z innej planety. Nie okazała choćby cienia strachu, poza tym była przebiegła jak raczej lisica. Zwabiła go na most, wiedząc dokładnie, w jaki sposób zaplanować ucieczkę. Jedynym jej błędem była utrata dziennika. Musiał poznać jej tożsamość.

Ale wszystko po kolei.

Wszedł do izby, której strop tworzyły sosnowe belki, niewymieniane od czasów Napoleona. Pośrodku pomieszczenia znajdował się długi stół, na którym leżał Royce Claridon, rozciągnięty na plecach, z rękoma i nogami przypiętymi paskami do stalowych kołków.

– Monsieur Claridon, mam niewiele czasu, a muszę zyskać od pana dużo informacji. Pańska współpraca znacznie wszystko ułatwi.

– Co spodziewa się pan ode mnie usłyszeć? – W głosie więźnia brzmiała desperacja.

– Oczekuję jedynie prawdy.

– Niewiele wiem.

– Niech pan przestanie, nie zaczynajmy od kłamstwa.

– Nie wiem nic.

De Roquefort wzruszył ramionami.

– Słyszałem pana w archiwum. Jest pan prawdziwą kopalnią informacji.

– Wszystko to, co powiedziałem w Awinionie, przyszło mi do głowy dopiero wtedy.

De Roquefort dał znak bratu, który stał z drugiej strony pomieszczenia. Mężczyzna podszedł do przodu i położył na stole otwarte cynowe naczynie. Trzema palcami nabrał odrobinę białej tłustawej mazi.

De Roquefort ściągnął z nóg Claridona buty i skarpetki.

Więzień podniósł głowę, by widzieć, co się dzieje.

– Co pan robi? Co to jest?

– Tłuszcz do smażenia.

Brat posmarował gołe stopy Claridona.

– Co pan robi?

– Z pewnością zna pan historię. Kiedy w tysiąc trzysta siódmym roku templariuszy aresztowano, zmuszano ich do zeznań rozmaitymi sposobami. Wyrywano im zęby, a w puste zębodoły wkładano opiłki metalu. Wbijano stalowe kliny pod paznokcie. Na wiele pomysłowych sposobów wykorzystywano też gorąco i ogień. Jedna z technik polegała na tym, że smarowano tłuszczem stopy i wystawiano posmarowaną skórę na działanie płomieni. Stopy smażyły się powoli, a skóra złuszczała się niczym na pieczonej polędwicy. Wielu braci uległo tej torturze. Ci, którzy zdołali przeżyć, wyznali wszystko. Nawet Jakuba de Molay poddano tej wymyślnej męczarni.

Brat skończył smarowanie tłuszczem i opuścił pomieszczenie.

– W naszych kronikach znajduje się relacja o pewnym templariuszu, który uprzednio poddany przysmażaniu, wyznał wszystko, a potem noszono go przed inkwizytorami z torbą zawierającą przypalone kości stóp. Pozwolono mu wziąć je ze sobą na pamiątkę przebytych męczarni. Czyż nie było to wspaniałomyślne ze strony prześladowców?

De Roquefort podszedł do piecyka stojącego w jednym z narożników. Przed godziną kazał rozpalić w nim ogień, a węgle były teraz rozżarzone do białości.

– Zapewne pomyślał pan sobie, iż ten ogień służy ogrzaniu pomieszczenia. Tu pod ziemią w górach jest chłodno. Ale kazałem rozpalić pod piecem specjalnie z myślą o panu.

Podjechał z wózkiem, na którym stała koza, na odległość niespełna metra od bosych stóp Claridona.

– Idea, jak mi powiedziano, polega na tym, żeby żar nie był zbyt gorący, lecz równomiernie rozgrzany. Nie może być zbyt intensywny, gdyż wtedy tłuszcz odparuje zbyt szybko. Podobno w przypadku steku mały ogień daje najlepsze efekty.

Claridon otworzył szeroko oczy.

– Kiedy na początku czternastego wieku torturowano moich braci, panowało przekonanie, że Bóg uchroni przed bólem niewinnych, a zatem jedynie winni przyznawali się w torturach. Ponadto – co było bardzo wygodne, jeśli wolno mi dodać – żadnego zeznania zdobytego drogą tortur nie można było odwołać. Jeśli więc nieszczęśnik do czegoś raz się przyznał, sprawa była definitywnie zakończona.

Podsunął żelazną kozę na odległość trzydziestu centymetrów od bosych stóp więźnia.

Claridon zaczął się wydzierać.

– Tak szybko, monsieur? Jak dotąd, nic jeszcze się nie wydarzyło. Brakuje panu wytrzymałości?

– Czego pan chce?

– Bardzo wielu rzeczy. Ale rozpocznijmy od znaczenia obrazu zatytułowanego *Czytając reguły Caridad.*

– Istnieją poszlaki, które łączą księdza Bigou oraz nagrobek Marie d’Hautpoul de Blanchefort. Lars Nelle odnalazł kryptogram. Był przekonany, ze klucz do rozwiązania zagadki znajduje się w obrazie – słowa z ust Claridona wypadały teraz szybko.

– Słyszałem już to wszystko w archiwum. Chcę teraz dowiedzieć się tego, o czym nie zdążył pan powiedzieć.

– Nie wiem nic więcej. Błagam, moje stopy już się smażą.

– O to właśnie chodzi – odparł, sięgnął pod habit i wyciągnął dziennik Larsa Nelle.

– Pan to ma? – zdumiał się Claridon.

– Skąd to zdumienie?

– Miała go wdowa.

– Już nie.

Przeczytał większość wpisów w czasie podróży powrotnej z Awinionu. Wertował strony do momentu, gdy znalazł kryptogram i otworzył na tej stronie tak, żeby Claridon mógł widzieć.

– Czy to właśnie znalazł Lars Nelle?

– *Oui. Oui*.

– Jaka jest treść tego przekazu?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Czy może pan odsunąć rozgrzane węgle? Błagam, bardzo pana błagam. Moje stopy cierpią.

De Roquefort zdecydował, że okazanie odrobiny współczucia może pomóc w rozwiązaniu języka. Odsunął wózek o jakieś trzydzieści centymetrów.

– Dziękuję. Dziękuję – odparł Claridon oddychając szybko.

– Niech pan mówi dalej.

– Lars Nelle odnalazł kryptogram i manuskrypt, o którym pisał w latach sześćdziesiątych Noël Corbu.

– Nikt nie odnalazł tego manuskryptu.

– Lars zdołał to uczynić. Rękopis znajdował się w posiadaniu księdza, któremu powierzył go Corbu tuż przed śmiercią w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku.

De Roquefort wiedział o istnieniu Corbu z relacji, które jeden z jego poprzedników zanotował w archiwach. Tamten marszałek również poszukiwał wielkiego dziedzictwa.

– Co pan wie o kryptogramie?

– Wzmiankę na temat obrazu uczynił ksiądz Bigou, który dokonał wpisu w księgach parafialnych, tuż przed ucieczką z Francji do Hiszpanii, zatem Lars był przekonany, że kryje się w niej klucz do rozwiązania zagadki. Opuścił jednak ziemski padół, zanim zdążył ją rozwiązać.

De Roquefort nie posiadał litografii. Zabrała ją ta kobieta, razem z książką zlicytowaną na aukcji. Mało prawdopodobne było jednak, żeby był to jedyny wizerunek obrazu *Czytanie reguł Caridad*. Teraz, kiedy wiedział, czego ma szukać, zapewne znajdzie inną kopię.

– Ile wiedział jego syn? Mark Nelle. Jakim zakresem wiedzy dysponował?

– Niezbyt wielkim. Był nauczycielem w Tuluzie. Bawił się w poszukiwanie jedynie w ramach weekendowego hobby. Nie traktował tego zbyt serio. Ale udał się na poszukiwania kryjówki Saunière'a w góry, kiedy zginął w lawinie.

– On wcale tam nie zginął.

– Oczywiście, że zginął. Przed pięcioma laty.

De Roquefort podszedł bliżej.

– Mark Nelle żył tu, w tym opactwie, przez pięć ostatnich lat. Wyciągnięto go spod zwałów śniegu i przywieziono tutaj. Nasz mistrz zabrał go i później uczynił go naszym seneszalem. Pragnął także, by on został kolejnym wielkim mistrzem. Ale dzięki mnie nie doszło do tego. Mark Nelle uciekł stąd dzisiejszego popołudnia. Przez pięć lat przeczesywał nasze archiwa, szukając śladów i poszlak, podczas gdy pan niczym karaluch kryjący się przed światłem schował się w zakładzie dla obłąkanych.

– Opowiada pan brednie.

– Mówię prawdę. Tu właśnie był, kiedy pan krył się ze strachu.

– Obawiałem się pana i braci zakonnych. Lars również czuł przed wami lęk.

– Miał powody, by czuć lęk. Okłamał mnie, i to kilka razy, ja zaś nienawidzę oszukiwania. Uzyskał sposobność, by okazać żal i skruchę. Lecz on zamiast tego sięgnął po kolejne kłamstwa.

– To pan powiesił go na moście, prawda? Zawsze to wiedziałem.

– Był niewiernym, ateistą. Jestem przekonany, że rozumie pan, iż uczynię wszystko, by osiągnąć postawiony sobie cel. Noszę teraz białą sutannę. Jestem wielkim mistrzem w tym opactwie. Blisko pięciuset braci zakonnych oczekuje na moje rozkazy. Nasza Reguła jest jasna. Rozkaz mistrza jest równoważny nakazowi Chrystusa, ponieważ to Chrystus powiedział ustami Dawida: *Ob auditu auris obedivit mihi.* „Usłuchał mnie, skoro tylko mnie usłyszał". Te słowa również powinny wzbudzić trwogę w pańskim sercu.

Wskazał gestem na dziennik.

– A teraz proszę powiedzieć mi, jaka zagadka kryje się w tym.

– Lars sądził, że ujawnia miejsce ukrycia znaleziska Saunière’a.

De Roquefort podszedł do wózka z piecem i rozżarzonymi węglami.

– Przysięgam panu, że pańskie stopy zamienią się w zwęglone kikuty, jeśli nie udzieli pan odpowiedzi na moje pytania.

Oczy Claridona wychodziły z orbit.

– Czy za każdym razem muszę dowodzić szczerości moich słów? Znam tylko niektóre elementy tej historii. Lars taki właśnie był. Dzielił się niewieloma sekretami. A teraz pan dysponuje jego dziennikiem.

Ton desperacji przebijający z tych słów dodał im wiarygodności.

– Wciąż słucham.

– Wiem, że Saunière znalazł kryptogram w kościółku w Rennes, kiedy remontował ołtarz. Odnalazł także kryptę i stwierdził, że Marie d’Hautpoul de Blanchefort nie została pochowana na przykościelnym cmentarzu, lecz w krypcie pod kościołem.

Czytał o tym wszystkim w dzienniku, ale chciał się teraz dowiedzieć czegoś innego.

– W jaki sposób Lars Nelle zdobył tę wiedzę?

– Na informacje o krypcie natrafił w starych książkach w Monfort-Lamaury, lennej własności niejakiego Szymona de Montfort, który opisał w kościółek w Rennes z dużą dokładnością. Potem udało mu się znaleźć dalsze przesłanki w manuskrypcie Corbu.

Gdy de Roquefort usłyszał nazwisko Szymona de Montfort, poczuł, jak przepełnia go pogarda – był to jeszcze jeden oportunista z początków trzynastego wieku. Dowodził krucjatą przeciw albigensom i spustoszył Langwedocję w imieniu Kościoła. Gdyby nie Montfort, templariusze mogliby utworzyć odrębne państwo, a to z kolei uchroniłoby ich przed późniejszym upadkiem. Jedyną skazą wczesnej fazy istnienia zakonu było jego uzależnienie od władzy świeckiej. Dlaczego kilku pierwszych wielkich mistrzów odczuwało przymus do wiązania się tak blisko z władzą królewską? Ten fakt zawsze wprawiał go w zakłopotanie.

– Saunière dowiedział się, że jego poprzednik, ksiądz Bigou, zlecił wykonanie nagrobka Marie d’Hautpoul. Sądził, że wyryty na nim napis oraz wskazówki, które Bigou pozostawił w księgach parafialnych na temat obrazu, stanowiły rozwiązanie zagadki.

– Rzucały się w oczy w sposób graniczący ze śmiesznością.

– Nie dla umysłów osiemnastego stulecia – odparł Claridon. – Większość ludzi była wówczas analfabetami. Najprostsze więc kody, nawet same słowa, mogły okazać się skutecznym sekretem; przez cały ten czas były ukryte.

Przez myśli de Roqueforta przebiegły słowa z kronik zakonu, zapisane już po Czystce. Była to jedyna przesłanka w dokumentach odnosząca się do lokalizacji Wielkiego Dziedzictwa: „Gdzie najlepiej ukryć kamyk?”. Nagle odpowiedź stała się oczywista.

– Na ziemi – wymamrotał.

– Co pan powiedział?

Jego umysł powrócił do rzeczywistości.

– Czy jest pan w stanie przypomnieć sobie, co widział pan na obrazie?

Claridon pokiwał potakująco głową.

– *Oui*, monsieur. Każdy szczegół.

Dzięki temu wartość tego głupca nieco wzrosła.

– Mam przy sobie również rysunek – dodał Claridon.

Czy de Roquefort dobrze usłyszał? Rysunek przedstawiający nagrobek?

– Ten, który wykonałem w archiwum. Kiedy zgasło światło, chwyciłem papier ze stołu.

To mu się podobało.

– Gdzie to jest?

– W mojej kieszeni.

De Roquefort postanowił zawrzeć umowę z Claridonem.

– Może byśmy podjęli współpracę? Obaj dysponujemy określoną wiedzą. Może więc połączymy siły?

– Jaką korzyść mi to przyniesie?

– Natychmiastową nagrodą będzie to, że pańskie stopy pozostaną nietknięte.

– Ma pan rację, monsieur. Bardzo mi się podoba ta umowa.

Wielki mistrz postanowił wykorzystać swą wiedzę o tym człowieku.

– Poszukujemy Wielkiego Dziedzictwa z powodów odrębnych niż pan. Kiedy je odnajdziemy, jestem pewien, że wynagrodzenie pieniężne będzie stanowić dla pana odpowiednią rekompensatę – oznajmił, po czym jedną rzecz wyłożył jasno: – Poza tym, nie pozwolę panu uciec. A jeśli zdoła się pan wymknąć, dopadnę pana.

– Wydaje się, że nie mam zbyt wielkiego wyboru.

– Zdaje pan sobie sprawę, iż zostawili pana na naszą pastwę?

Claridon odpowiedział milczeniem.

– Malone i Stephanie Nelle. Nie poczynili żadnych starań, by pana uratować. Ratowali tylko własne tyłki. Słyszałem, jak błagał pan o pomoc w archiwum. I cóż oni uczynili? Nic.

Pozwolił, by te słowa dotarły do świadomości Claridona, mając nadzieję, że odpowiednio ocenił słaby charakter tego człowieka.

– Razem, monsieur Claridon, będziemy w stanie odnieść sukces. W moim posiadaniu są dzienniki Larsa Nelle; dysponuję też dostępem do archiwum, jakie mógłby pan sobie jedynie wymarzyć. Pan natomiast zna sekrety związane z nagrobkiem oraz wie o wielu rzeczach, o których ja nie mam pojęcia. Obaj pragniemy tego samego, odkryjmy to więc razem.

De Roquefort sięgnął po nóż leżący na stole między rozłożonymi nogami Claridona i przeciął pętające go więzy.

– Chodźmy. Czeka nas robota.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

RENNES-LE-CHÂTEAU
10.40

Malone podążył za Markiem, kiedy zbliżyli się do kościoła św. Marii Magdaleny. Latem nie odprawiano tu mszy. Niedziela wydawała się dniem zbyt popularnym wśród turystów, gdy tłum kręcił się już dookoła kościółka, zewsząd pstrykano zdjęcia i nagrywano filmy video.

– Musimy kupić bilety – stwierdził Mark. – Nie można wejść do kościółka, nie płacąc za wejście.

Malone wszedł do Betanii i stanął w krótkiej kolejce. Zobaczył, jak na zewnątrz Mark stoi przed ogrodzeniem ogrodu, w którym znajdował się filar z okresu panowania Wizygotów oraz posąg Matki Boskiej z opowieści Royce'a Claridona. Przeczytał słowa wyryte na powierzchni kolumny: „SKRUCHA, SKRUCHA" i nieco niżej: „MISJA 1891".

– Notre Dame de Lourdes – odezwał się Mark wskazując na posąg. – Saunière był zachwycony Lourdes, które wówczas było najważniejszym miejscem kultu maryjnego. Działo się to jeszcze przed Fatimą. Pragnął, by Rennes stało się również celem pielgrzymek, urządził zatem ten ogród i zaprojektował posąg wraz z postumentem.

Malone wskazał gestem na ludzi wokół.

– Jego życzenie się spełniło.

– To prawda. Ale nie z tego powodu, który on sobie wymarzył. Jestem pewien, że nikt z tych ludzi nie wie dzisiaj nawet o tym, że kolumna, którą widzimy, nie jest oryginałem. To kopia wstawiona tu przed paroma laty. Napis wyryty na oryginale jest już trudny do odczytania. Pogoda zrobiła swoje. Oryginał znajduje się w muzeum, na plebanii. Podobnie zresztą się stało z wieloma rzeczami tutaj. Niewiele wygląda teraz tak, jak w czasach Saunière'a.

Podeszli do głównych drzwi do kościółka. Pod pozłacanym tympanonem Malone przeczytał: „TERRIBILIS EST LOCU ISTE". To z Księgi Rodzaju.

„Straszne jest to miejsce”. Znał przypowieść Jakuba, który we śnie widział drabinę z aniołami, a potem, kiedy się przebudził, wypowiedział słowa: „Straszne jest to miejsce” – później zaś opowiedział sen o Bethel, co oznaczało „dom Boga”. Malone’a naszła jeszcze jedna myśl.

– Ale w Starym Testamencie Bethel staje się rywalem Jerozolimy jako ośrodek kultu religijnego.

– Dokładnie. To jeszcze jedna subtelna poszlaka, która zostawił Saunière. W środku jest ich jeszcze więcej.

Spali do późna, wstali pół godziny temu. Stephanie zajęła sypialnię zmarłego męża i wciąż była w środku za zamkniętymi drzwiami, kiedy Malone zasugerował, żeby on i Mark udali się do kościółka. Pragnął porozmawiać z młodym człowiekiem bez obecności Stephanie, jej natomiast chciał dać trochę więcej czasu na okrzepnięcie emocji. Wiedział, że zmierzała do starcia, a prędzej czy później syn stawi jej czoło. Pomyślał jednak, że opóźnienie tego, co nieuniknione, nie jest złym pomysłem. Geoffrey zaoferował, że będzie im towarzyszył, ale Mark podziękował mu. Malone wyczuł, że Mark Nelle również pragnął porozmawiać z nim w cztery oczy.

Weszli do środka.

Kościółek był jednonawowy, miał wysoki strop. Przywitał ich szkaradny, wyrzeźbiony w ścianie stwór siedzący w kucki, odziany w zieloną szatę, z grymasem na twarzy. Maszkara podpierała kropielnicę ze święconą wodą.

– Mówiąc prawdę, to nie jest diabeł, lecz demon imieniem Asmodeusz – wyjaśnił Mark.

– Czy to kolejny przekaz?

– Zdaje się, że pan już go zna.

– Strażnik sekretów, o ile sobie dobrze przypominam.

– Pamięć pana nie myli. Niech pan spojrzy na pozostałe napisy.

Nad kropielnicą znajdowały się cztery anioły, z których każdy symbolizował inną część znaku krzyża. Poniżej widniała inskrypcja: „PAR CE SIGNE TU LE VAINCRAS”. Malone przetłumaczył w myślach francuski napis: „Tym znakiem będziesz z nim walczył”.

Znał znaczenie tych słów.

– To właśnie powiedział Konstantyn, kiedy pokonał swego rywala Maksencjusza. Wedle relacji, cesarz miał dostrzec znak krzyża na słońcu, pod którym żarzyły się te słowa.

– Lecz jest jedna różnica – wtrącił Mark, wskazując na wyryte w kamieniu litery.

– W oryginalnym zdaniu brak zaimka „go”. Zdanie to brzmi: „Tym znakiem będziesz walczył”.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Ojciec dotarł do pewnej pradawnej żydowskiej legendy, która mówiła o tym, jak król zdołał powstrzymać demony przed zakłócaniem budowy świątyni Salomona. Jeden z tych demonów, Asmodeusz, został poskromiony przez wsadzenie do święconej wody. Tego żywiołu demon najbardziej nie znosił. Symbolika tego źródła jest zatem nietypowa. Ale dopisanie w zacytowanym zdaniu zaimka „go” to oczywiste dzieło Saunière’a. Niektórzy twierdzą, że ten zaimek stanowi po prostu odniesienie do faktu, że zanurzając palce w święconej wodzie i robiąc znak krzyża, co robią normalnie katolicy, można zwalczyć diabła – „jego”. Inni zwrócili jednak uwagę na położenie tego zaimka w wersji francuskiej. *Par ce signe tu le vaincras.* Zaimek męski znajduje się na miejscu litery trzynastej i czternastej, co daje rok tysiąc trzysta czternasty.

Malone przypomniał sobie fakty, o których czytał w książce o templariuszach.

– To rok, w którym Jakub de Molay spłonął na stosie.

– Czysty przypadek? – zapytał Mark, wzruszając ramionami.

Około dwudziestu osób kręciło się tu, robiąc zdjęcia i podziwiając jarmarczne wizerunki, które emanowały tajemniczymi aluzjami. Wypełnione witrażami okna zewnętrznych ścian, ożywione światłem słońca, odsłoniły swoje obrazy. Maria i Marta w Betanii. Maria Magdalena spotyka zmartwychwstałego Chrystusa. Wskrzeszenie Łazarza.

– Taka teologiczna beczka śmiechu – wyszeptał.

– Ale to tylko jeden ze sposobów interpretacji.

Mark wskazał na posadzkę przed ołtarzem ze wzorem w szachownicę.

– Wejście do krypty znajduje się tutaj, tuż przed kratą z kutego żelaza, ukryte pod kamiennymi płytami. Parę lat temu kilku francuskich geodetów przeprowadziło w budynku kościółka sekretnie badanie gruntu przy użyciu radaru i zdołało odebrać kilka sygnałów, zanim lokalne władze ich powstrzymały. Rezultaty potwierdzały istnienie anomalii pod ołtarzem, co mogłoby wskazywać na istnienie tam krypty.

– Nikt tutaj nie kopał?

– Miejscowe władze nigdy na to nie pozwolą. Zbyt duże ryzyko dla przemysłu turystycznego.

Malone się uśmiechnął.

– Dokładnie to samo powiedział wczoraj Claridon.

Usiedli w jednej z kościelnych ław.

– Jedna rzecz nie ulega wątpliwości – rzekł Mark ściszonym głosem. – Żadna poszlaka nie wskazuje na to, żeby tu znajdował się skarb. Saunière posłużył się jednak tym kościółkiem do przekazania wieści o tym, w co wierzył. Na podstawie wszystkiego, co czytałem o tym człowieku, działanie to doskonale pasuje do jego bezczelnej osobowości.

Malone zwrócił uwagę, że nic wokół niego nie ma subtelnego charakteru. Nadmiar kolorów i zbyt obfite złocenia przesłaniały wszelkie piękno. Pojął też jeszcze coś innego. Brakowało tu konsekwencji. Każde artystyczne dzieło, począwszy od posągów, przez płaskorzeźby, do witraży miało indywidualny charakter – bez odniesienia do tematu, jak gdyby podobieństwo było czymś obraźliwym.

Osobliwa kolekcja ezoterycznych świętych spoglądała na niego z apatycznymi twarzami, jak gdyby oni również byli zażenowani swoim krzykliwym wyglądem. Św. Roch miał ranę na udzie, św. Germaine wysypywała róże z fartucha. Św. Magdalena trzymała w rękach wazę o dziwacznym kształcie. Chociaż Malone starał się bardzo, nie był w stanie odczuć żadnego komfortu. Bywał we wnętrzu wielu europejskich kościołów, w większości z nich dało się wyczuć głębokie poczucie czasu i historii. To wnętrze natomiast zdawało się jedynie odstraszać.

– Saunière decydował o każdym detalu wystroju – podjął Mark. – Nie umieszczono tu niczego bez jego aprobaty.

Wskazał dłonią posągi.

– Święty Antoni Padewski. Modlimy się do niego, kiedy szukamy rzeczy zaginionych.

Malone w lot uchwycił ironię.

– Kolejny przekaz?

– Oczywiście. Niech pan się przyjrzy stacjom drogi krzyżowej.

Stacje rozpoczynały się przy ambonie – siedem wisiało na północnej ścianie, kolejne siedem na południowej. Każda z nich była kolorową barwną płaskorzeźbą, przedstawiającą jakiś epizod z drogi krzyżowej

Chrystusa. Jaskrawa patyna oraz niemal komiksowe szczegóły wydawały się czymś niezwykłym jak na temat tak uroczysty.

– Dziwne, nieprawdaż? – zapytał Mark. – Kiedy montowano je tutaj w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym, były typowe dla tego regionu. W Rocamadour znajduje się niemal identyczna droga krzyżowa. Obie są dziełem rzemieślników z pracowni rodziny Giscard w Tuluzie. Stacje tej drogi krzyżowej budziły wiele kontrowersji. Zwolennicy spiskowej teorii dziejów twierdzą, że pochodzenie płaskorzeźb wiąże się z wolnomularzami i że stanowią one swego rodzaju mapę prowadzącą do skarbu. Nic z tego nie jest prawdą. Ale z pewnością są tu ukryte przekazy.

Malone zwrócił uwagę na kilka osobliwych aspektów. Czarny niewolnik, chłopiec, który przytrzymuje Piłatowi misę z wodą. Zasłona Piłata. Trąby, które rozbrzmiewają, kiedy Chrystus upada z krzyżem. Trzy srebrne tarcze uniesione wysoko. Dziecko podchodzące do Jezusa, owinięte w pled w szkocką kratę. Rzymski żołnierz rzucający kości o pelerynę Chrystusa – na ściankach widać trzy, cztery i pięć oczek.

– Niech pan spojrzy na stację czternastą – powiedział Mark, wskazując na południową ścianę ku ołtarzowi.

Malone wstał i podszedł ku frontowi kościółka. Płomienie świeczek migotały przed ołtarzem, szybko dostrzegł płaskorzeźbę poniżej. Kobieta, zapewne Maria Magdalena, pogrążona w płaczu, klęcząca w grocie przed krzyżem utworzonym z dwóch gałęzi. U nasady jednej z gałęzi spoczywała czaszka, którą skojarzył sobie z czaszką z litografii, którą oglądał poprzedniego wieczoru w Awinionie.

Obrócił się i spojrzał na ostatnią stację drogi krzyżowej, oznaczoną numerem czternastym. Ciało Chrystusa niesie dwóch mężczyzn, za którymi podążają trzy szlochające kobiety. Za nimi widnieje skalna skarpa, a nad ich głową, na nocnym niebie wisi księżyc w pełni.

– Zanoszą ciało Jezusa do grobu – szepnął Malone do Marka, który stanął tuż przy nim.

– Zgodnie z rzymskim prawem, ukrzyżowany człowiek nie miał prawa być pochowany. Ta forma egzekucji była zastrzeżona wyłącznie dla tych, którzy dopuścili się przestępstwa wobec cesarstwa. Ideą było powolne umieranie na krzyżu; śmierć następowała dopiero po kilku dniach i wszyscy mieli widzieć cierpienia, a ciało pozostawiano na pastwę padlinożernych ptaków. A jednak Piłat miał przekazać ciało Chrystusa Józefowi z Arymatei,

żeby ten mógł dokonać pochówku. Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, dlaczego?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Inni zgłębiali ten temat. Proszę sobie przypomnieć; Chrystus został ukrzyżowany w wigilię szabasu. Zgodnie z prawem, nie wolno go było pochować po zachodzie słońca – kontynuował Mark, wskazując na czternastą stację. – A jednak Saunière zawiesił tu ten wizerunek, na którym wyraźnie widać, że ciało jest niesione po zapadnięciu zmroku.

Malone wciąż nie rozumiał alegorycznego znaczenia tej sceny.

– A jeśli ciało Chrystusa nie jest niesione do jego grobu, lecz wynoszone z niego po zapadnięciu z mroku?

Odpowiedział milczeniem.

– Czy są panu znane ewangelie gnostyczne? – zapytał Mark.

Wiedział o nich. Odkryto je w górnym biegu Nilu w 1945 roku. Siedmiu Beduinów, kopiąc na polu, natrafiło na ludzki szkielet i zamkniętą urnę. Sądząc, iż w środku znajduje się złoto, otworzyli urnę siłą i znaleźli w niej trzynaście kodeksów oprawionych w skórę. Nie były to jeszcze książki, lecz ich przodkowie. Karty o postrzępionych brzegach zapisane były równym pismem, w starożytnym języku koptyjskim. Najprawdopodobniej sporządzone zostały przez mnichów, którzy zamieszkiwali w pobliskim klasztorze w Tabennisi, założonym przez świętego Pachomiusza na początku czwartego stulecia naszej ery. Kodeksy zawierały czterdzieści sześć starochrześcijańskich manuskryptów, a ich zawartość datowano na II wiek, natomiast kodeksy prawne sporządzono w IV wieku. Później część z nich została utracona, wykorzystana na podpałkę lub wyrzucona do śmieci, ale w 1947 roku to, co pozostało, przekazano miejscowemu muzeum.

Zrelacjonował Markowi wszystko, co wiedział.

– Odpowiedź, dlaczego mnisi zakopali kodeksy, przynosi historia – podjął Mark. – W czwartym stuleciu Atanazy, biskup Aleksandrii, napisał list, który rozesłał do wszystkich kościołów na terenie Egiptu. Umieścił w nim dekret, że jedynie dwadzieścia siedem ksiąg zawartych w ostatnio zredagowanym Nowym Testamencie można uznać za wchodzące w skład Pisma Świętego. Wszystkie inne heretyckie księgi trzeba zniszczyć. Żaden z czterdziestu sześciu odnalezionych manuskryptów nie należał do tych uznanych za prawomyślne. Mnisi z klasztoru Pachomiusza postanowili

więc ukryć trzynaście kodeksów, zamiast je spalić, być może spodziewając się, że nastąpi zmiana w gronie przywódców Kościoła. Oczywiście, jak wiemy, do takiej zmiany nie doszło. Wręcz przeciwnie: rzymski odłam chrześcijaństwa święcił triumfy. Ale dzięki niebiosom kodeksy przetrwały. To są właśnie gnostyczne ewangelie, które znamy dzisiaj. W jednej z nich, autorstwa Piotra, natrafiamy na zdanie: „A kiedy oświadczyli, jakie rzeczy stały się świadectwem ich oczu, ponownie dostrzegli trzech mężczyzn oddalających się z grobu, dwóch z nich podtrzymywało trzeciego”.

Malone wpatrywał się ponownie w czternastą stację drogi krzyżowej. Dwóch mężczyzn podpierających trzeciego.

– Gnostyczne ewangelie to teksty niezwykłe – ciągnął dalej Mark. – Wielu uczonych twierdzi obecnie, że w Ewangelii Tomasza być może znajdujemy najwierniejszy przekaz słów Chrystusa. Wcześni chrześcijanie odczuwali lęk przed gnostykami. Ich nazwa pochodzi od greckiego słowa *gnosis*, które oznacza „wiedzę”. Gnostycy byli po prostu ludźmi dysponującymi wiedzą, ale wyłaniający się katolicki odłam chrześcijaństwa w końcu wytępił wszelką gnostyczną myśl i nauczanie.

– A templariusze podtrzymywali ją przy życiu?

Mark skinął głową.

– Gnostyczne Ewangelie oraz kilka innych, których dzisiejsi teologowie nigdy nie widzieli, są przechowywane w bibliotece opactwa des Fontaines. Templariusze byli bardzo tolerancyjni, jeśli chodzi o Pismo Święte. Można się bardzo wiele nauczyć z lektury tych tak zwanych heretyckich dokumentów.

– Lecz skąd Saunière mógł wiedzieć cokolwiek o tych ewangeliach? Odkryto je dopiero kilkadziesiąt lat po jego śmierci.

– Być może miał dostęp do lepszych źródeł informacji. Proszę mi pozwolić, że pokażę panu coś innego.

Malone podążył za Markiem w stronę wejścia do kościółka i wkroczyli do niewielkiego portyku. Nad drzwiami znajdowała się kamienna skrzynia, a na niej widniały namalowane słowa.

– Proszę przeczytać napis powyżej – polecił Mark.

Malone wysilił wzrok, by odcyfrować litery. Wiele z nich było już wyblakłych i z trudem dawało się je odczytać; cały tekst napisano po łacinie.

REGNUM MUNID ET OMNEM
ORNATUM SAECULI CONTEMPSI,

PROPTER AMOREM DOMININ
MEI JESU CHRISTI: QUEM VIDI,

QUEM AMAVI, IN QUEM CREDIDI,
QUEM DILEXI.

– W tłumaczeniu oznacza to: „Żywiłem pogardę dla królestwa z tego świata oraz wszystkich doczesnych pokus z powodu miłości do Pana mojego Jezusa Chrystusa, którego widziałem, którego kochałem, w którego uwierzyłem i któremu oddaję religijną posługę”. Z pozoru ciekawe zdanie, ale jest w nim kilka rzucających się w oczy błędów. Słowa *scoeculi*, *anorem, quen* i *cremini* zostały napisane niepoprawnie. Saunière wydał blisko sto osiemdziesiąt franków na wykonanie tej płaskorzeźby i namalowanie napisu, co na owe czasy było sumą bardzo pokaźną. Wiemy o tym, ponieważ zachowały się jego rachunki. Zadał sobie wiele trudu, by zaprojektować wejście do kościoła, a jednak pozwolił, by błędy w zdaniu pozostały. Mógł bez trudu je skorygować, ponieważ litery były tylko namalowane.

– Może ich nie dostrzegł?

– Saunière? Był niezwykle drobiazgowy. Nic nie uchodziło jego uwagi.

Mark odsunął go od wejścia, gdy kolejna fala turystów weszła do kościółka. Obaj zatrzymali się przed ogródkiem, w którym znajdowała się kolumna z czasów Wizygotów oraz postawiona na niej figura Matki Boskiej.

– Inskrypcja nad drzwiami nie pochodzi z Biblii. Jest zawarta w tekście jednego z responsoriów autorstwa niejakiego Johana Taulera, który żył na początku czternastego stulecia. Responsoria były modłami lub poematami, które wykorzystywano między czytaniem fragmentów Pisma Świętego. Tauler był dobrze znany w czasach Saunière’a. Całkiem więc możliwe, że Saunière’owi spodobała się ta sentencja. Jest to jednak bardzo niezwykłe.

Malone zgodził się z tym poglądem.

– Błędy rzucają pewne światło na to, dlaczego Saunière sięgnął po to zdanie. Słowa *quem cremini* oznaczają „w którego uwierzyłem”, lecz to słowo powinno mieć postać *credidi*, a mimo to Saunière pozwolił, by błąd

pozostał. Czy może to oznaczać, że nie wierzył w Niego? I pozostał jeszcze najbardziej interesujący fakt spośród wszystkich. *Quem vidi*. „Którego widziałem”.

Malone natychmiast pojął znaczenie tych słów.

– Cokolwiek znalazł, prowadziło go do Chrystusa. Którego on widział.

– Tak właśnie uważał ojciec, a ja zgadzam się z nim. Saunière nie potrafił się oprzeć pokusie pozostawienia takich informacji. Pragnął, by świat dowiedział się o tym, co wiedział on, lecz można odnieść wrażenie, że zdał sobie sprawę, iż nikt z jemu współczesnych nie będzie w stanie go zrozumieć. I miał rację. Nikt nie zrozumiał. Dopiero czterdzieści lat po jego śmierci ktokolwiek coś zauważył.

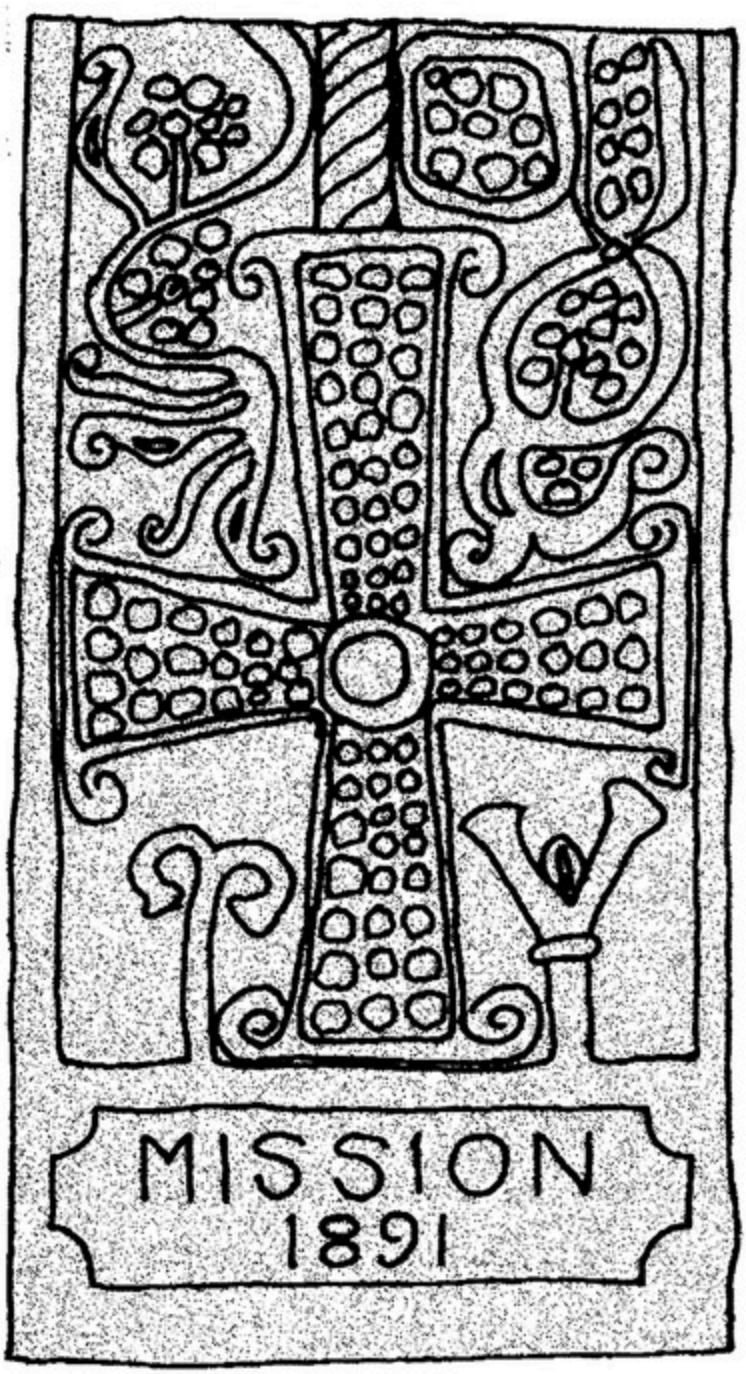
Mark spojrzał na zabytkowy kościółek.

– To miejsce pełne jest przeciwieństw. Stacje drogi krzyżowej są zawieszone w przeciwnym kierunku niż we wszystkich innych kościołach na świecie. Diabeł przy wejściu stanowi przeciwieństwo Boga.

Potem wskazał na kolumnę z czasów Wizygotów, stojącą o parę metrów od niego.

– Stoi do góry nogami. Proszę zwrócić uwagę na krzyż oraz na reliefy obok niego.

Malone przyjrzał się badawczo reliefowi.



– Saunière odwrócił kolumnę do góry nogami, a dopiero później zlecił wykucie napisu „Misja tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt jeden” na dole oraz „Skrucha, skrucha” u góry kolumny.

Malone zauważył w prawym dolnym rogu inskrypcji V z kółkiem w środku. Pochylił nieco głowę i wyobraził sobie tę inskrypcję odwróconą

do góry nogami.

– Alfa i omega? – zapytał.

– Niektórzy tak sądzą. Ojciec też.

– To jedno z imion Chrystusa.

– Ma pan rację.

– Dlaczego Saunière odwrócił kolumnę do góry nogami?

– Jak dotąd nikt nie znalazł racjonalnego wytłumaczenia.

Mark wycofał się i pozwolił innym podejść bliżej i zrobić zdjęcie. Następnie poprowadził Malone'a na tył kościółka, do narożnika kalwaryjskiego ogrodu, gdzie znajdowała się niewielka grota.

– To również jest replika. Dla turystów. Oryginalny wystrój ogrodu został zniszczony w czasie drugiej wojny światowej. Saunière zbudował grotę ze skał, które przywoził ze swoich wypadów w góry. On i jego gospodyni często wyjeżdżali na kilka dni, a wracali z kozłami pełnymi kamieni. Dziwne, zgodzi się pan?

– To zależy od tego, co znajdowało się w kozłach.

Mark uśmiechnął się.

– Stąd już niedaleko, by wysunąć domysł, że przenosił w nich złoto.

– Ale Saunière sam w sobie wydaje się dziwnym typem. Mógł po prostu tylko przywozić kamienie.

– Każdy, kto tu dociera, jest trochę dziwny.

– Nie wykluczając pańskiego ojca?

Mark przyglądał mu się badawczo z poważną miną.

– Co do tego nie ma wątpliwości. Był ogarnięty obsesją. Temu miejscu poświęcił swoje życie. Kochał każdą piędź ziemi w tej osadzie. To był jego dom pod każdym względem.

– Ale nie pański?

– Chciałem, żeby tak było, lecz nie podzielałem jego pasji, być może zdałem sobie sprawę, że wszystkie starania są daremne.

– Więc dlaczego na pięć lat ukrył się pan przed światem w opactwie?

– Potrzebowałem samotności. Było mi tam dobrze. Ale mistrz miał wobec mnie poważniejsze plany. Jestem więc tutaj. Jako uciekinier od braci templariuszy.

– Cóż więc pan robił w górach, kiedy zeszła lawina?

Mark nie odpowiedział.

– Czy robił pan to samo, co pańska matka robi tutaj? Usiłował pan za coś odpokutować? Nie wiedział pan jedynie, że ktoś śledzi pańskie poczynania.

– Dzięki Bogu, że to robili.

– Pańska matka potrafi nieźle dopiec.

– Pracowaliście razem?

Malone zauważył, że Mark stara się zmienić temat.

– Przez długi czas. Jest moją przyjaciółką.

– To twardy orzech do zgryzienia.

– Nie musi mnie pan przekonywać, ale da się z nią wytrzymać. Rzeczywiście potrafi nieźle dopiec. Przepełnia ją poczucie winy i żalu. To może być druga szansa dla niej i dla pana.

– Drogi mojej matki i moje rozeszły się dawno temu. To było najlepsze dla nas obojga.

– Dlaczego więc znalazł się pan tutaj?

– Przyjechałem do domu mego ojca.

– A kiedy pan tu przyjechał, zobaczył czyjeś bagaże. Paszporty były w naszych rzeczach. Z pewnością je odnaleźliście. A mimo to zostaliście tu.

Mark obrócił się, najwyraźniej próbując ukryć narastające zakłopotanie. Był bardziej podobny do matki, niż miał odwagę to przyznać.

– Mam trzydzieści osiem lat i wciąż czuję się jak chłopiec – wyznał Mark. – Przez pięć lat żyłem jak w kokonie, w zakonie, w którym rządzi surowa reguła. Człowiek, którego traktowałem jak ojca, był dla mnie dobry, doszedłem też do zaszczytów, jakich nigdy wcześniej nie było dane mi dostąpić.

– Ale teraz jesteś tutaj. Dokładnie pośrodku Bóg wie czego.

Mark uśmiechnął się.

– Musicie z matką uporządkować swoje sprawy.

Młody Nelle przybrał posępną minę, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś.

– Znam tę kobietę, o której wczoraj wspomniałeś, Cassiopeię Vitt. Ona i mój ojciec parę razy starli się ze sobą. Czy nie powinniśmy jej odnaleźć?

Zauważył, że Mark, zupełnie jak jego matka, ma tendencję unikania odpowiedzi, zadając pytania.

– To zależy. Czy ona stanowi zagrożenie?

– Trudno powiedzieć. Wydaje się, że zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu. Ojciec nigdy za nią nie przepadał.

– De Roquefort też nie darzy jej sympatią.

– Tego jestem pewien.

– Kiedy byliśmy wczoraj wieczorem w archiwum, nie podała swojej tożsamości, a de Roquefort nie zna jej nazwiska. Jeśli jednak pojmał Claridona, wie teraz, kim ona jest.

– Czy to nie jest jej problem? – zapytał Mark.

– Dwa razy uratowała mi skórę. Trzeba ją ostrzec. Claridon powiedział mi, że mieszka blisko, w Givors. Twoja matka i ja zamierzaliśmy dzisiaj wyjechać. Uważaliśmy, że nasza misja dobiegła końca. Lecz teraz sytuacja uległa zmianie. Muszę złożyć wizytę Cassiopei Vitt. Myślę, że najlepiej będzie, póki co, jeśli wybiorę się tam sam.

– W porządku. Zaczekamy tutaj. Teraz sam muszę kogoś odwiedzić. Minęło pięć lat, odkąd ostatni raz złożyłem wyrazy szacunku memu ojcu.

Mark ruszył w kierunku wejścia do przykościelnego cmentarza.

CZTERDZIEŚCI

11.05

Stephanie nalała sobie filiżankę gorącej herbaty i zaoferowała dolewkę Geoffreyowi, ale młodzieniec odmówił.

– Wolno nam wypijać tylko jedną filiżankę dziennie – wyjaśnił.

Usiadła przy kuchennym stole.

– Czy całym waszym życiem rządzi Reguła?

– To nasz sposób na życie.

– Sądziłam, że dyskrecja też jest ważna dla bractwa. Dlaczego zatem mówi do mnie brat w sposób tak otwarty?

– Mój mistrz, który teraz przebywa razem z Panem, polecił mi rozmawiać z panią otwarcie i uczciwie.

Słowa te wprawiły ją w osłupienie.

– Jakim cudem wasz mistrz mnie zna?

– Śledził bardzo uważnie badania pani męża. Działo się to jeszcze na długo przed tym, jak znalazłem się w opactwie. On i pani mąż rozmawiali ze sobą kilka razy. Mistrz był też spowiednikiem pani męża.

Ta informacja była dla nich szokiem.

– Lars nawiązał kontakt z templariuszami?

– Mówiąc prawdę, to templariusze skontaktowali się z nim. Wielki mistrz zainicjował to spotkanie, ale jeśli pani mąż wiedział, iż ten jest templariuszem, nigdy tego nie zdradził. Przypuszczalnie sądził, że ujawnienie tego faktu mogłoby doprowadzić do zerwania tej znajomości. Z pewnością jednak wiedział o tym.

– Wasz mistrz był, zdaje się, niezwykłym człowiekiem.

Twarz młodego mężczyzny promieniała.

– Był mędrcem, który starał się czynić jedynie dobro dla naszego zakonu.

Przypomniała sobie, jak kilka godzin wcześniej młody człowiek bronił Marka.

– Czy mój syn dopomógł w tych wysiłkach?

– Dlatego właśnie został mianowany seneszalem.

– A fakt, że był synem Larsa Nelle, nie miał nic wspólnego z tą nominacją?

– Na ten temat, madame, nic nie mogę powiedzieć. Zaledwie przed paroma godzinami dowiedziałem się, kim jest w rzeczywistości seneszal, tu, w tym domu. A więc tego nie wiem.

– Nie wiecie nic o sobie nawzajem?

– Bardzo niewiele, a niektórzy z nas sprzeciwiają się temu, inni z kolei znajdują ukontentowanie w prywatności. Ale trzeba pamiętać, że żyjemy razem, blisko siebie, niemal jak w więzieniu. Zbyt wiele zażyłości mogłoby oznaczać problemy. Reguła zakazuje więc bliższych więzi między braćmi. Zachowujemy skrytość, a nasze milczenie wspierane jest służbą Bogu.

– Wasz los nie jest chyba zbyt łatwy.

– Sami wybraliśmy takie życie. Ale to, co dzieje się teraz… – zmienił temat, kręcąc głową. – Mistrz oznajmił mi, że odkryję wiele nowych rzeczy, i miał rację.

Pociągnęła kolejny łyk herbaty.

– Wasz mistrz był pewien tego, że brat i ja spotkamy się?

– Wysłał do pani dziennik w nadziei, że pani przyjedzie. Wysłał też list do Ernsta Scoville’a, i dołączył kilka stron z dziennika, poświęconych pani osobie. Miał nadzieję, że dzięki temu połączycie siły. Wiedział, że stosunek Scoville’a do pani jest raczej chłodny. Dowiedział się o tym od pani męża, ale rozumiał, że dysponuje pani ogromnym potencjałem. Dlatego chciał, byście połączyli siły i razem z seneszalem oraz moją skromną osobą podjęli skuteczne poszukiwania Wielkiego Dziedzictwa.

Z wcześniejszej rozmowy przypomniała sobie to określenie i jego wyjaśnienie.

– Czy wasz zakon rzeczywiście wierzy, iż istnieją jeszcze nieznane szczegóły dotyczące losów Chrystusa, fakty, o których świat jeszcze nie wie?

– Jak dotąd nie osiągnąłem jeszcze dostatecznego poziomu wtajemniczenia, by móc odpowiedzieć na to pytanie. Trzeba odsłużyć w zgromadzeniu wiele dziesiątek lat, by zyskać prawo pozyskania całej wiedzy, którą posiadł zakon. Ale śmierć, przynajmniej dla mnie i sądząc z tego, czego do tej pory mnie nauczono, zdaje się być niewątpliwym i absolutnym końcem. Tysiące naszych braci zginęło na polach bitew

w Ziemi Świętej. Żaden z nich nigdy nie powstał z martwych i nie odszedł żywy.

– Kościół katolicki uznałby te słowa za herezję.

– Kościół jest instytucją stworzoną przez ludzi i kierowaną przez ludzi. Cokolwiek zatem jest dziełem tej instytucji, jest jednoczenie dziełem człowieka.

Stephanie postanowiła pokusić się o małą prowokację.

– Cóż więc powinnam uczynić, Goeffrey?

– Powinna pani pomóc swemu synowi.

– Jak?

– On musi dokończyć dzieło, które rozpoczął jego ojciec. Raymond de Roquefort nie może odnaleźć Wielkiego Dziedzictwa. Mistrz był w tym względzie bardzo stanowczy. Dlatego właśnie planował z wyprzedzeniem. I dlatego właśnie wyszkolił mnie.

– Mark mnie nienawidzi.

– On panią kocha.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Powiedział mi o tym mój mistrz.

– Tego nie mógł wiedzieć.

– Mój mistrz wiedział wszystko – Geoffrey sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął zalakowaną kopertę. – Polecił mi przekazać to pani w chwili, którą uznam za stosowną.

Podał jej pogniecioną przesyłkę, potem wstał od stołu.

– Seneszal i pan Malone poszli do kościółka. Zostawię panią samą.

Doceniła ten gest. Bez względu na uczucia, które mogła w niej wzbudzić treść wiadomości, odczekała, aż Geoffrey opuści salon, potem otworzyła kopertę.

Pani Nelle, nie znamy się, lecz jestem głęboko przekonany, iż wiem o Pani wiele, wszystko dzięki Larsowi, który wyjawił mi, co trapiło Pani duszę. Pani syn jest zupełnie inny. Udrękę kryje w głębi duszy, dzieląc uczucia z innymi w sposób bardzo oszczędny. Przy kilku okazjach zdołałem dowiedzieć się od niego co nieco, lecz jego uczucia nie są tak przejrzyste, jak uczucia jego ojca. Być może odziedziczył tę cechę po Pani? Proszę nie traktować tych słów jako żartu. To, co dzieje się w tej chwili, należy traktować z najwyższą

powagą. Raymond de Roquefort jest niebezpiecznym człowiekiem. Kieruje nim zaślepienie, które przez stulecia było też udziałem wielu braci z naszego zakonu. Dążenie do celu zamazuje w nim jasność widzenia. Pani syn podjął z nim walkę o przywództwo, lecz przegrał. Markowi brak determinacji potrzebnej do zwycięstwa. Rozpoczęcie walki wydaje się łatwe, jej kontynuacja jeszcze łatwiejsza, lecz zakończenie okazuje się problemem. Jego walka z Panią, z de Roquefortem, z własnym sumieniem. Wszystko to stanowi dla niego wyzwanie. Sądziłem, iż połączenie Was obojga może okazać się rozstrzygające dla losów jego i Pani.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam Pani, ale jestem przekonany, iż Ją rozumiem. Pani mąż nie żyje, a tyle spraw pozostało nierozwiązanych. Być może te poszukiwania przyniosą odpowiedź na wszystkie dręczące Panią pytania. Proszę więc przyjąć poniższą radę. Niech Pani zaufa synowi, zapomni o przeszłości i myśli wyłącznie o przyszłości. Być może droga będzie długa, ale doprowadzi do zawarcia pokoju. Mój zakon jest wyjątkowy w całym chrześcijaństwie, nasza wiara jest inna, co jest następstwem tego, o czym dowiedzieli się pierwsi templariusze i co przekazali następnym. Czy czyni to nas w mniejszym stopniu chrześcijanami? A może w większym? Ani jedno, ani drugie, moim zdaniem. Odnalezienie Wielkiego Dziedzictwa da odpowiedź na wiele pytań, lecz obawiam się, iż otworzy dużo więcej nowych dylematów. Od Pani i Jej syna będzie zależała decyzja, co jest najlepsze – jeśli i kiedy ten krytyczny czas nadejdzie. Żywię głęboką nadzieję, że tak się stanie, ponieważ pokładam wiarę w Was obojgu. Zmartwychwstanie już nastąpiło. Nadeszła druga szansa. Zmarli powstali z grobów i teraz chodzą między wami. Niech Pani wykorzysta z pożytkiem ten cud, ale jednocześnie proszę wysłuchać ostrzeżenia. Proszę uwolnić umysł od uprzedzeń, do których pani tak bardzo przywykła. Proszę otworzyć się na znacznie bardziej otwarte idee i proszę kierować się w działaniu pewniejszymi metodami. Tylko wtedy bowiem osiągnie Pani powodzenie. Niech Bóg pozostanie z Panią.

Po policzku Stephanie spłynęła łza. Płakała, a było to dziwne uczucie. Nie pamiętała go od czasów dzieciństwa. Była dobrze wykształcona, dysponowała doświadczeniem dziesięcioleci pracy na najwyższych szczeblach w służbach wywiadowczych. Jej zawód polegał na rozwiązywaniu trudnych sytuacji. Wiele razy podejmowała decyzje rozstrzygające o czyimś życiu lub śmierci. Żadna z nich nie była jednak podobna do tej. W jakiś sposób czuła, iż opuściła świat dobra i zła, prawa i bezprawia, czerni i bieli. Wstąpiła do krainy, gdzie najgłębsze uczucia nie tylko są znane, lecz także rozumiane. Ten mistrz, człowiek, z którym nigdy nie zmieniła nawet słowa, wydawał się precyzyjnie rozumieć jej ból.

Miał też rację.

Powrót Marka był równoznaczny ze zmartwychwstaniem. Niezwykły cud, którego następstwa były nieograniczone.

– Czy te słowa zasmuciły panią?

Podniosła wzrok. Geoffrey stał w progu. Otarła łzy.

– W pewnym sensie, ale w innym sprawiły, iż poczułam, co to szczęście.

– Taki właśnie był nasz mistrz. Znał zarówno radość, jak i ból. Zaznał wiele bólu, zwłaszcza w ostatnich dniach życia.

– W jaki sposób zmarł?

– Choroba nowotworowa zabrała go dwa dni temu.

– Czy tęskni brat za nim?

– Zostałem wychowany jako sierota, nie zaznając dobrodziejstwa rodziny. Mnisi i zakonnice nauczyli mnie życia. Byli dla mnie dobrzy, lecz żadne z nich nie darzyło mnie miłością. Trudno dorastać bez rodzicielskiej miłości.

To wyznanie spowodowało ukłucie w jej sercu.

– Mistrz okazał mi wiele dobroci, być może nawet miłości, ale przede wszystkim pokładał we mnie zaufanie.

– W takim razie niech brat go nie zawiedzie.

– Nie zawiodę.

Wskazała list.

– Czy mogę go zatrzymać?

Skinął głową.

– Byłem jedynie doręczycielem.

Postanowiła wziąć się w garść.

– Dlaczego Mark i Cotton poszli do kościółka?

– Wyczułem, iż seneszal chciał porozmawiać z panem Malone.

Wstała od stołu.

– Być może my również powinniśmy…

Od frontowych drzwi dobiegło pukanie. Poczuła nagłe napięcie, gdy jej wzrok podążył ku niezasuniętej zasuwie. Cotton i Mark po prostu weszliby do środka. Zobaczyła, że Geoffrey również poczuł się zaniepokojony, a w jego dłoni dostrzegła pistolet. Podeszła do drzwi i wyjrzała przez szybę.

Patrzyła na nią znajoma twarz.

Royce Claridon.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

De Roquefort wpadł w furię. Przed czterema godzinami poinformowano go, że tego wieczoru, gdy zmarł poprzedni wielki mistrz, system bezpieczeństwa archiwów zarejestrował wizytę o godzinie dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt jeden. Seneszal przebywał w środku przez dwanaście minut, potem wyszedł z dwiema księgami. System elektronicznej identyfikacji etykiet przyklejonych do każdego tomu pozwolił stwierdzić, że dwie brakujące pozycje to kodeks z XIII wieku, który był mu dobrze znany, oraz relacja jednego z marszałków sporządzona w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, którą również kiedyś czytał.

Kiedy przesłuchiwał Royce'a Claridona przed paroma godzinami, nie przyznał się do tego, iż widział kiedyś kryptogram zamieszczony w dzienniku Larsa Nelle. Taki sam kryptogram znajdował się również w pamiętnikach dawnego marszałka wraz z informacją, gdzie łamigłówkę znaleziono – w kościółku zawiadywanym przez księdza Gélisa, znajdującym się w miejscowości Coustausa, nieopodal Rennes-le-Château. Przypominał sobie z lektury, że ówczesny marszałek rozmawiał z Gélisem tuż przed tym, jak księdza zamordowano, i dowiedział się, że Saunière także znalazł kryptogram w swoim kościele. Kiedy je porównali, okazały się identyczne. Najprawdopodobniej Gélis rozwiązał łamigłówkę i wyjawił ją marszałkowi, ale rozwiązania nie zanotowano w pamiętnikach i nie znaleziono go także po śmierci Gélisa. Zarówno miejscowa policja, jak i marszałek zakonu podejrzewali, że morderstwo wiązało się z czymś, co było ukryte w walizce Gélisa. Z pewnością chodziło o rozszyfrowany przez Gélisa kryptogram. Lecz czy zabójcą był Saunière? Trudno powiedzieć. Zabójstwo nigdy nie zostało rozwikłane. A jednak, uwzględniając to, co de Roquefort wiedział, proboszcz z Rennes znajdował się z całą pewnością na liście podejrzanych.

Teraz pamiętniki marszałka zniknęły, co być może nie było takie złe, zważywszy że de Roquefort posiadał dziennik Larsa Nelle, w którym znajdował się kryptogram Saunière'a. Ale czy był to, jak relacjonował, ten

sam kryptogram, co Gélisa? Nie był w stanie tego rozstrzygnąć, nie dysponując pamiętnikami marszałka, które zabrano z archiwum z pewnością nie bez powodu.

Przed pięcioma minutami, kiedy wysłuchiwał słów wychwytywanych przez mikrofon przyklejony do bocznej szyby, gdy rozmawiali ze sobą Stephanie Nelle i brat Geoffrey, dowiedział się, że Mark Nelle i Cotton Malone udali się do kościółka. Stephanie Nelle nawet rozpłakała się po przeczytaniu słów napisanych do niej przez zmarłego wielkiego mistrza. Jakież to wzruszające. Mistrz na pewno z wyprzedzeniem zaplanował bieg wydarzeń. Cała sprawa wymykała się de Roquefortowi spod kontroli. Musiał ponownie chwycić cugle i zwolnić tempo. Kiedy zatem Royce Claridon rozmawiał z osobami przebywającymi w domu Larsa Nelle, on postanowił zająć się pozostałą dwójką.

Transponder wciąż przyczepiony do wynajętego przez Malone'a samochodu pozwolił stwierdzić, że Malone i Stephanie Nelle powrócili do Rennes z Awinonu we wczesnych godzinach rannych. Mark Nelle musiał więc przyjechać tutaj prosto z opactwa, co zresztą go nie zdziwiło.

Po tym, co wydarzyło się ostatniego wieczoru na moście z udziałem tamtej kobiety, de Roquefort doszedł do przekonania, że Malone i Stephanie przestali się liczyć w grze. Z tego właśnie powodu polecił jedynie pozbawić ich przytomności. Zabójstwo obecnego i byłego funkcjonariusza amerykańskiego wywiadu z pewnością ściągnęłoby uwagę. Pojechał do Awinionu po to, by poznać sekrety pałacowego archiwum oraz schwytać Claridona, nie zaś po to, by przyciągać zainteresowanie wszystkich amerykańskich służb wywiadowczych. Osiągnął wszystkie trzy cele, dodatkowo zdobył też dziennik Larsa Nelle. W sumie nie najgorszy rezultat jak na jeden wieczór. Miał nawet zamiar pozwolić Markowi Nelle i Geoffreyowi odjechać, ponieważ z dala od opactwa stanowili dużo mniejsze zagrożenie. Ale po tym, jak dowiedział się o zaginięciu dwóch ksiąg, zmienił taktykę.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się głos w słuchawce.

– Siedźcie cicho, aż odezwę się do was – szepnął de Roquefort do mikrofonu wpiętego w klapę.

Zabrał ze sobą sześciu braci, którzy teraz byli rozmieszczeni w różnych punktach osady, stapiając się z gęstniejącym tłumem niedzielnych turystów. Dzień był jasny, słoneczny i, co charakterystyczne dla tego miejsca,

wietrzny. Dolina rzeki Aude zawsze emanowała spokojem i ciepłem, natomiast otaczające ją szczyty były wiecznie smagane przez porywiste wiatry.

De Roquefort ruszył przed siebie główną uliczką w kierunku kościoła św. Marii Magdaleny, nie starając się w najmniejszym stopniu ukryć swej obecności. Pragnął, by Mark Nelle wiedział, iż on tutaj jest.



Mark stał przy grobie ojca. Pomnik był w dobrym stanie,
podobnie jak wszystkie groby, ponieważ cmentarz stanowił integralną część dochodowego interesu, z którego żyło miasto, czyli turystyki.

Przez pierwsze sześć lat od śmierci ojca Mark osobiście dbał o grób, przyjeżdżając tu z wizytą w niemal każdy weekend. Zajmował się również domem. Ojciec był popularny pośród mieszkańców Rennes, ponieważ traktował ich życzliwie, a pamięć o księdzu Saunière z szacunkiem. Być może był to jeden z powodów, dla których ojciec dołączył tyle fikcji do książek poświeconych Rennes. Upiększona tajemnica zamieniła się maszynkę do robienia pieniędzy dla całego regionu. A ludzi pióra, którzy odrzucali mistykę, nie darzono tu szacunkiem. Ponieważ w tej opowieści niewiele było pewników, pozostawało wiele miejsca na domysły. Pomocny okazał się również fakt, że jego ojciec był traktowany jak człowiek, który ściągnął uwagę świata. Mark wiedział jednak, że tak naprawdę stosunkowo mało znana francuska książka pióra Gerarda de Sede, *Le Tresor Maudit*, opublikowana pod koniec lat sześćdziesiątych, przyczyniła się do pobudzenia zainteresowania w jego ojcu. Zawsze uważał ten tytuł – *Przeklęty skarb* – za trafny, zwłaszcza po nagłej śmierci ojca. Mark był nastolatkiem, kiedy przeczytał pierwszą z ojcowskich książek, ale dopiero po latach, już na studiach, gdy zgłębiał wiedzę na temat historii średniowiecza i filozofii religii, ojciec wyjawił mu, co rzeczywiście jest stawką tych poszukiwań.

– Sercem chrześcijaństwa jest zmartwychwstanie ciała fizycznego. Stanowi to wypełnienie obietnic, które głosił Stary Testament. Jeśli

chrześcijanie nie zmartwychwstaną pewnego dnia, ich wiara okaże się pozbawiona sensu. Zaprzeczenie zmartwychwstania oznaczałoby, że wszystkie ewangelie kłamią i że chrześcijańska wiara odnosi się tylko do życia doczesnego i że innego życia nie ma. To zmartwychwstanie czyni tak ważnym dokonanie Chrystusa. W innych religiach wierni modlą się o raj oraz o wiekuiste życie. Lecz jedynie chrześcijaństwo oferuje Boga, który stał się człowiekiem, który umarł za swych wyznawców, a potem powstał z martwych, by panować po wieki wieków.

– Zastanów się nad tym – rzekł wtedy ojciec. – Chrześcijanie mają różne poglądy na wiele spraw, ale wszyscy są zgodni w kwestii zmartwychwstania. To wartość uniwersalna. Constans. Jezus zmartwychwstał wyłącznie dla nich. Pokonał śmierć wyłącznie dla nich. Chrystus jest żywy i działa dla ich odkupienia. Królestwo niebieskie czeka na nich, gdyż oni również zmartwychwstaną i będą żyć wiecznie u boku Pana. W każdej śmierci kryje się dodatkowe znaczenie, ponieważ zmartwychwstanie daje nadzieję na przyszłość.

Wtedy ojciec zadał pytanie, które od tamtej pory kołatało się w pamięci Marka.

– A jeśli to się nigdy nie wydarzyło, co wtedy? Jeśli Chrystus po prostu umarł, obracając się z prochu w proch?

Rzeczywiście, co wtedy?

– Pomyśl o wszystkich tych milionach ludzi, którzy zostali zarżnięci w imię zmartwychwstałego Chrystusa. Tylko w okresie krucjaty przeciw albigensom na stosach spłonęło piętnaście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, jedynie dlatego, że zaprzeczali ukrzyżowaniu. Inkwizycja wymordowała miliony ludzi. Krucjaty do Ziemi Świętej kosztowały życie setek tysięcy. Wszystko w imię rzekomo zmartwychwstałego Chrystusa. Papieże przez stulecia posługiwali się ukrzyżowaniem Chrystusa w celu motywowania rycerstwa. Jeśli nie doszło do zmartwychwstania, nie spełni się obietnica życia po śmierci. Ilu ludzi wobec tego stanęłoby odważnie w jej obliczu?

Odpowiedz była prosta. Ani jeden.

A jeśli nie doszło do zmartwychwstania, co wtedy?

Mark spędził ostatnich pięć lat na poszukiwaniu odpowiedzi. Zamknięty za murami siedziby zakonu, który w oczach świata przestał istnieć siedem

wieków temu. Wciąż jednak był w równym stopniu zszokowany, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przekroczył mury opactwa.

Cóż w ten sposób dało się zyskać?

I co ważniejsze: co zostało utracone?

Wyrzucił zamęt ze swoich myśli i skoncentrował się ponownie na nagrobku ojca. Zlecił wykonanie płyty i był przy tym, jak kładziono ją na grobie pewnego posępnego majowego popołudnia. Ojca znaleziono tydzień wcześniej, powieszonego na moście o pół godziny drogi na południe od Rennes. Mark był w swoim mieszkaniu w Tuluzie, kiedy zadzwoniła policja. Pamiętał wygląd twarzy ojca, kiedy identyfikował zwłoki – cera koloru popiołu, otwarte usta, martwe spojrzenie. Groteskowy wizerunek, który – jak się obawiał – nigdy go nie opuści.

Matka wróciła do Georgii zaraz po pogrzebie. Niewiele rozmawiali ze sobą w ciągu trzech dni, które spędziła we Francji. Miał wtedy dwadzieścia siedem lat i zaczynał karierę asystenta na uniwersytecie w Tuluzie tuż po zdobyciu dyplomu, kiepsko przygotowany do dorosłego życia. Teraz, po jedenastu latach, zastanawiał się, czy jest lepiej do tego przygotowany. Wczoraj o mały włos nie zabił Raymonda de Roquefort. Cóż się stało z tym wszystkim, czego go nauczono? Gdzież była dyscyplina, którą w swoim przekonaniu posiadł? Porażki de Roqueforta łatwo było zrozumieć – fałszywe poczucie obowiązku wzmocnione przez ego – ale słabość Marka sprawiała, że czuł się zagubiony. W ciągu zaledwie kilku dni przestał być seneszalem, a stał się uciekinierem. Przeszedł ze sfery bezpieczeństwa na stronę chaosu. Ze świadomego dążenia do celu przeszedł do tułaczki.

Czemu miało to służyć?

Poczuł ucisk pistoletu pod kurtką. Uczucie pewności, które zyskiwał dzięki broni, budziło w nim zakłopotanie – jeszcze jedno nowe dziwne odczucie zapewniające mu komfort psychiczny.

Odszedł od grobu ojca i ruszył przez cmentarz do miejsca ostatniego spoczynku Ernsta Scoville’a. Znał tego samotnego Belga i darzył go sympatią. Mistrz najprawdopodobniej wiedział o tym również, ponieważ wysłał list do Scoville’a w ostatnim tygodniu życia. Mark przypomniał sobie słowa de Roqueforta wypowiedziane na temat obu przesyłek: „Zająłem się już jednym z adresatów”. Najwyraźniej. Co jeszcze wtedy powiedział? „I wkrótce zatroszczę się też o drugiego”. Matka Marka znalazła się w niebezpieczeństwie. Wszyscy stanęli przed zagrożeniem, lecz

niewiele mógł zrobić, by temu przeciwdziałać. Udać się na policję? Nikt nie dałby mu wiary. Opactwo cieszyło się powszechnym szacunkiem, a nigdy żaden brat nie dał świadectwa przeciw zakonowi. Potwierdzono by jedynie istnienie spokojnego, pobożnego klasztoru. Obowiązkiem braci było utrzymania w sekrecie wszystkiego, co wiązało się z bractwem, a żaden z ludzi znajdujących się w opactwie z pewnością tej tajemnicy nie złamie.

Tego Mark był pewien.

Nie, byli zdani wyłącznie na siebie samych.



Malone czekał w ogrodzie kalwaryjskim, aż Mark wróci z cmentarza. Nie chciał mu przeszkadzać w tak osobistej chwili, ponieważ w pełni rozumiał targające nim emocje. Miał zaledwie dziesięć lat, kiedy zginął jego ojciec, ale ból, który odczuwał na myśl, że nigdy już go nie zobaczy, nie wygasł. W odróżnieniu od Marka nie miał cmentarza, na którym mógłby bywać. Grobem ojca było dno północnej części Atlantyku. Jego trumną – zgnieciony pod wpływem ciśnienia kadłub zatopionego okrętu podwodnego. Kiedyś próbował poznać szczegóły całego zdarzenia, ale one cały czas pozostawały w utajnionych aktach.

Ojciec kochał marynarkę wojenną oraz Stany Zjednoczone – był patriotą, który ochoczo oddał życie za ojczyznę. Świadomość ta zawsze napawała Malone’a dumą. Mark Nelle był szczęściarzem. Wiele lat spędził razem z ojcem. Dorastał, poznając go i dzieląc z nim życie. Ale pod wieloma względami on i Mark byli do siebie podobni. Ich ojcowie byli bardzo oddani swej pracy. Obaj opuścili już ziemski padół. Śmierć żadnego z nich nie została do końca wyjaśniona.

Stał przy ogrodzie kalwaryjskim i patrzył, jak kolejni turyści wchodzą i wychodzą z cmentarza. W końcu dostrzegł Marka, który wychodził za grupą Japończyków przez otwartą furtkę.

– To było ciężkie – wyznał Mark, gdy już podszedł do Malone’a. – Tęsknię za nim.

Zdecydował się podjąć rozmowę w punkcie, w którym ją przerwali.

– Musisz pogodzić się z matką.

– Nagromadziło się dużo złych uczuć, a widok grobu najwyraźniej znów je ożywił.

– Ona naprawdę ma serce. Jest otoczone stalowym pancerzem, wiem o tym, ale mimo to wciąż w niej bije.

Mark uśmiechnął się.

– Wydaje się, że dużo o niej wiesz.

– Zdobyłem nieco doświadczenia.

– W tym momencie musimy skoncentrować się na tym, co obmyślił mistrz.

– Obydwoje jesteście dobrzy w sztuce robienia uników.

Twarz Marka ponownie rozjaśnił uśmiech.

– To kwestia genów.

Malone spojrzał na zegarek.

– Dochodzi jedenasta trzydzieści. Muszę ruszać. Zamierzam złożyć wizytę Cassiopei Vitt przed nastaniem zmierzchu.

– Pokażę ci mapę. To niedługa przejażdżka.

Wyszli z ogrodu kalwaryjskiego i skręcili w stronę głównej drogi. W odległości około trzydziestu metrów Malone zauważył niskiego mężczyznę o surowym wyglądzie, z dłońmi włożonymi w kieszenie skórzanej kurtki. Zmierzał wprost do kościoła.

Chwycił Marka za ramię.

– Mamy towarzystwo.

Mark podążył za jego spojrzeniem i dostrzegł de Roqueforta.

Malone szybko ocenił sytuację, gdy dostrzegł trzech innych krótko ostrzyżonych mężczyzn. Dwóch stało przed nimi przy Betanii. Trzeci zamykał wyjście alejki, prowadzącej w stronę parkingu.

– Jakieś sugestie? – zapytał Malone.

Mark ruszył w stronę kościoła.

– Chodź za mną.



Stephanie otworzyła drzwi, a Royce Claridon wszedł do środka.

– Skąd się pan tu wziął? – zdziwiła się, dając znak Geoffreyowi, by opuścił broń.

– Wczoraj wieczorem zabrali mnie z pałacu i przywieźli tutaj. Trzymali mnie w mieszkaniu o dwie uliczki stąd, ale zdołałem wymknąć się przed kilkoma minutami.

– Ilu braci znajduje się w osadzie? – zapytał Geoffery Claridona.

– Kim pan jest?

– On ma na imię Geoffrey – odpowiedziała Stephanie, mając nadzieję, że jej sprzymierzeniec zrozumie, iż powinni być jak najmniej rozmowni.

– Ilu braci jest tutaj? – młodzieniec ponowił pytanie.

– Czterech.

Stephanie podeszła do kuchennego okna i wyjrzała na ulicę. Na uliczce wybrukowanej kocimi łbami nie dostrzegła nikogo, ani w jednym, ani w drugim kierunku. Martwiła się jednak o Marka i Malone’a.

– Gdzie są ci bracia?

– Tego nie wiem. Słyszałem, jak mówili, że znajduje się pani w domu Larsa, więc przybiegłem prosto tutaj.

Nie spodobało się jej to, co usłyszała.

– Nie byliśmy w stanie pomóc panu ostatniego wieczoru. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, dokąd pana zabrali. Pozbawili nas przytomności, kiedy ścigaliśmy de Roqueforta i tę kobietę. W chwili, kiedy się ocknęliśmy, nikogo już tam nie było.

Francuz uniósł dłoń.

– Wszystko w porządku, madame, rozumiem to. Nie byliście w stanie nic zrobić.

– Czy de Roquefort jest tutaj? – chciał wiedzieć Geoffrey.

– Kto?

– Mistrz, czy jest tutaj?

– Nie posługiwali się nazwiskami – oparł Claridon i spojrzał na Stephanie. – Ale słyszałem, jak mówili, że Mark żyje. Czy to prawda?

Skinęła głową.

– On i Cotton poszli do kościółka, ale wkrótce powinni wrócić.

– To cud. Sądziłem, że odszedł na wieki.

– Ja również.

Omiótł wzrokiem pokój.

– Nie byłem w tym domu od dawna. Lars i ja spędziliśmy tutaj razem wiele czasu.

Wskazała Claridonowi miejsce przy stole. Geoffrey ustawił się obok okna. Stephanie zauważyła, że jest dziwnie niespokojny.

– Co się z panem działo? – zapytała Clardiona.

– Trzymali mnie skrępowanego aż do dzisiejszego ranka. Rozwiązali mnie, żebym mógł trochę odetchnąć. W łazience wspiąłem się na okno i przybiegłem prosto tutaj. Z pewnością będą mnie szukać, ale nie miałem dokąd uciec. Ucieczka z tego miejsca jest bardzo trudna, ponieważ do miasteczka prowadzi tylko jedna droga – wyjaśnił Francuz, wiercąc się na krześle. – Czy mogę poprosić o szklankę wody?

Wstała i nalała mu wody z kranu. Claridon wypił ją duszkiem do dna. Stephanie napełniła szklankę ponownie.

– Strasznie się ich bałem – podjął relację Claridon.

– Czego oni chcą? – zapytała.

– Szukają Wielkiego Dziedzictwa, podobnie jak Lars.

– A pan co im powiedział? – wtrącił Geoffrey z wyraźną pogardą w głosie.

– Nic im nie powiedziałem, ale na dobrą sprawę niewiele pytali. Oznajmili mi jedynie, że planują przesłuchanie mnie dzisiaj po południu, po tym, jak zajmą się innymi sprawami. Nie powiedzieli jednak, o co chodzi – dodał i spojrzał na Stephanie przenikliwym wzrokiem. – Czy orientuje się pani, czego od pani chcą?

– Mają już dziennik Larsa, a także książkę z aukcji oraz litografię obrazu. Czegóż więcej mogą chcieć?

– Sądzę, że chodzi im o Marka.

Te słowa w widoczny sposób poruszyły Geoffreya.

Chciała wiedzieć więcej.

– Czego od niego chcą?

– Nie mam pojęcia, madame. Ale nie wiem, czy to jest warte przelewu krwi.

– Bracia umierają od blisko dziewięciuset lat w imię tego, w co wierzą – odezwał się Geoffrey. – W tym przypadku nie jest inaczej.

– Mówi pan tak, jakby należał do zakonu.

– Cytuję tylko przykład z historii.

Claridon wypił wodę ze szklanki.

– Lars Nelle i ja studiowaliśmy historię zakonu przez wiele lat. Czytałem tę historię, o której pan mówi.

– Cóż pan czytał? – zapytał Geoffrey ze zdumieniem w głosie. – Książki napisane przez ludzi, którzy nic nie wiedzieli! Pisali o herezji i o bałwochwalstwie, o pocałunkach w usta, o sodomii oraz o wyparciu się Jezusa Chrystusa. Ani jedno słowo w nich nie jest prawdą. Wszystkie te kłamstwa miały na celu zniszczenie zakonu oraz zagarnięcie jego bogactw.

– Teraz naprawdę mówi pan jak templariusz.

– Mówię tak jak człowiek, który ceni sprawiedliwość.

– Czy tym właśnie nie cechowali się templariusze?

– Czyż nie tak powinni zachowywać się wszyscy ludzie?

Stephanie się uśmiechnęła. Geoffrey wykazał refleks.



Malone ruszył w ślad za Markiem w stronę kościoła św. Marii Magdaleny. Przeszli pośpiesznie w kierunku ołtarza, mijając dziewięć rzędów ławek oraz zgromadzonych tu turystów. Tam Mark skręcił w prawo i wszedł przez otwarte drzwi do niewielkiego przedsionka. W środku stało kilku turystów z kamerami wideo w dłoniach.

– Czy możemy państwa przeprosić? – odezwał się po angielsku Mark – Jestem pracownikiem muzeum i musimy skorzystać z tego pomieszczenia przez kilka chwil.

Nikt nie podał w wątpliwość jego oczywistej władzy i po chwili Mark delikatnie zamknął drzwi za turystami. Malone rozejrzał się dookoła. Przestrzeń w środku była oświetlona światłem wpadającym przez witraże. Na jednej ścianie stały puste regały. Trzy pozostałe wykonane były z drewna. W środku nie było żadnych innych mebli.

– Tu była zakrystia – wyjaśnił Mark.

De Roquefort powinien się tu zjawić nie dalej niż za minutę, zatem Malone chciał wiedzieć jedno:

– Zakładam, że masz jakiś pomysł?

Mark podszedł do kredensu i przesunął palcami po górnej półce.

– Jak ci powiedziałem, kiedy Saunière urządzał ogród kalwaryjski, wydrążył również grotę. On i jego kochanka często jeździli do kotliny i zbierali kamienie.

Mark wciąż próbował coś namacać.

– Przyjeżdżali tutaj z kozłami do noszenia cegieł, wypełnionymi odłamkami skał. O, jest.

Mark cofnął rękę i chwycił kredens, który odsunął się, odsłaniając ukryte z tylu pomieszczenie bez okien.

– Tu znajdowała się kryjówka Saunière’a. Wszystko, co przywoził ze sobą razem ze skałami, przechowywał tutaj. Niewiele osób znało tę kryjówkę. Saunière zbudował ją w trakcie remontu kościółka. W planach sprzed tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku pomieszczenie to było otwarte.

Mark wyciągnął automatyczny pistolet zza poły kurtki.

– Zaczekamy tu i zobaczymy, co się wydarzy.

– Czy de Roquefort wie o istnieniu tego sekretnego pomieszczenia?

– Przekonamy się już niebawem.

CZTERDZIEŚCI DWA

De Roquefort zatrzymał się na zewnątrz kościoła. Dziwne, że ci, których ścigał, schronili się w środku. Ale to bez znaczenia. Zamierzał osobiście zająć się Markiem Nelle. Jego cierpliwość się wyczerpała. Na wszelki wypadek nawiązał kontakt ze swoimi podwładnymi, zanim opuścił opactwo. Nie zamierzał powtórzyć błędu poprzedniego mistrza. Okres jego władzy powinien przynajmniej stwarzać pozory demokracji. Na szczęście wczorajsza ucieczka oraz dwóch postrzelonych przyspieszyło proces jednoczenia się bractwa przy jednej opcji. Wszyscy zgadzali się, że były seneszal oraz jego pomocnik muszą powrócić do opactwa, by wymierzono im karę.

Zamierzał dostarczyć ich obu.

Obserwował bacznie uliczkę.

Tłum powoli gęstniał. Ciepły dzień sprawił, że wycieczek było dużo. De Roquefort obrócił się do brata, który stał obok niego.

– Wejdź do środka i oceń sytuację.

Mężczyzna skinął głową i odszedł.

De Roquefort znał rozkład kościoła. Wejście było tylko jedno. Okna z witrażami były zasklepione, trzeba by je więc wybić, żeby przez nie uciec. Nie widział w pobliżu policjantów, co zresztą było normalne w Rennes. Niewiele się tu działo poza wydawaniem pieniędzy. Proces komercjalizacji przyprawiał go o mdłości. Gdyby to zależało od niego, wszystkie wycieczki do opactwa zostałyby odwołane. Zdawał sobie sprawę, że biskup zakwestionowałby takie posunięcie, ale był gotów ograniczyć dostęp za mury zakonnego kompleksu wyłącznie do kilku godzin w soboty, powołując się na potrzebę prywatności zakonników. To biskup z pewnością by zrozumiał. Zamierzał przywrócić wiele dawnych rytuałów, praktyk dawno temu zarzuconych, które kiedyś wyróżniały templariuszy spośród wszystkich innych religijnych stowarzyszeń. Żeby osiągnąć ten cel, bramy opactwa należało częściej zamykać niż je otwierać.

Brat, którego wysłał do wnętrza kościoła, wyszedł właśnie i zbliżył się do zwierzchnika.

– Nie ma ich w środku – powiedział.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przeszukałem nawę, zakrystię oraz konfesjonały. Nie ma ich w środku.

Nie były to słowa, które de Roquefort chciał usłyszeć.

– Tam nie ma drugiego wyjścia.

– Mistrzu, ich tam nie ma.

De Roquefort skierował wzrok na kościółek. W myślach rozważał rozmaite możliwości.

Po chwili odpowiedź nasunęła się sama.

– Chodźmy – polecił. – Wiem, gdzie się skryli.



Stephanie słuchała słów Royce'a Claridona nie jako żona i matka wypełniająca misję ważną dla rodziny, ale jako szefowa tajnej rządowej agencji zajmującej się rutynowo wywiadem i kontrwywiadem. Coś tu nie grało. Nagłe pojawianie się Francuza było zbyt proste. Niewiele wiedziała o Raymondzie de Roquefort, ale wiedziała dostatecznie dużo, by zdać sobie sprawę, że Claridonowi pozwolono uciec albo, co gorsza, ten drobny stary człowiek, siedzący naprzeciw niej, zawiązał sojusz z ich wrogami. Tak czy owak musiała zwracać uwagę na własne słowa. Geoffrey również najwyraźniej wyczuł, że coś się święci, ponieważ opowiadał w sposób bardzo oszczędny na liczne pytania zadawane przez przybysza – zbyt wiele pytań jak na człowieka, który dopiero co ocalił głowę ze śmiertelnego zagrożenia.

– Czy kobieta, która pojawiła się wczoraj w pałacu, to Cassiopeia Vitt, *Ingenieur,* o której była wzmianka w liście do Ernsta Scoville'a? – zapytała Stephanie.

– Tak przypuszczam. Diablica.

– Być może ocaliła nas wszystkich.

– Jak? Wtrąciła swoje trzy grosze, tak jak to robiła w przypadku Larsa.

– Żyje pan teraz dzięki temu, że się wmieszała.

– Nie, madame. Żyję, ponieważ oni pragną zdobyć informacje.

– Zastanawiam się, dlaczego znalazł się pan właśnie tutaj – odezwał się Geoffery, który wciąż stał przy oknie. – Ucieczka z rąk de Roqueforta nie jest rzeczą prostą.

– Pan zdołał to uczynić.

– A pan skąd o tym wie?

– Rozmawiali o panu i o Marku. Zdołałem usłyszeć, że doszło do strzelaniny. Bracia zostali ranni. W zakonie zapanowało wzburzenie.

– Czy wspomnieli, że usiłowali nas zabić?

Zapadła kłopotliwa cisza.

– Royce – odezwała się Stephanie. – Czego jeszcze mogą tutaj szukać?

– Wiem tylko, że dwie książki zniknęły z ich biblioteki. O tym również mówili.

– Przed chwilą powiedział pan, że nie ma pojęcia, dlaczego chcą pojmać syna madame Nelle – w głosie Geoffreya słychać było podejrzliwość.

– I nie mam pojecia. Ale wiem, że pragną odzyskać zabrane książki.

Stephanie spojrzała na Geofferya i nie dostrzegła żadnego przyzwolenia na twarzy młodego człowieka. Jeśli rzeczywiście on i Mark byli w posiadaniu woluminów, których poszukiwał de Roquefort, oczy młodzieńca tego nie zdradzały.

– Wczoraj – odezwał się Claridon – pokazała mi pani dziennik Larsa oraz książkę…

– …którą ma teraz de Roquefort.

– Nie, wczoraj wieczorem przejęła ją Cassiopeia Vitt.

Kolejna nowa informacja. Claridon wiedział niesamowicie dużo jak na człowieka pozornie ignorowanego przez tych, którzy go pojmali.

– A zatem de Roquefort będzie musiał ją odnaleźć – rzuciła. – Podobnie zresztą jak my.

– Zdaje się, madame, że jedna z tych książek, które zabrał Mark z biblioteki, również zawiera kryptogram. De Roquefort pragnie odzyskać ten wolumin.

– Czy to także zdołał pan przypadkiem usłyszeć?

Claridon przytaknął.

– *Oui*. Sądzili, że zasnąłem, ale ja słuchałem. Jeden z zakonnych marszałków, który żył w czasach Saunière’a, odkrył kryptogram i zapisał go

w swych pamiętnikach..

– Nie mamy żadnych książek – Geoffrey szedł w zaparte.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Na twarzy starca pojawił się wyraz zdumienia.

– Nie mamy żadnych książek. Opuściliśmy opactwo w wielkim pośpiechu i nie zabraliśmy ze sobą niczego.

Claridon zerwał się równe nogi.

– Pan jest kłamcą!

– Śmiałe słowa. Czy może pan udowodnić to oskarżenie?

– Jest pan członkiem zakonu. Rycerzem Chrystusa. Templariuszem. Złożone śluby nie pozwalają panu posuwać się do kłamstwa.

– A dlaczego pan sięga po kłamstwo? – odpowiedział pytaniem Geoffrey.

– Wcale nie kłamię. Poddano mnie mękom i katuszom. Skryłem się w zakładzie dla obłąkanych, gdzie przebywałem przez pięć lat, byle tylko nie stać się więźniem templariuszy. Czy pan wie, co chcieli mi zrobić? Posmarowali tłuszczem moje stopy i przystawili do rozżarzonych węgli. Chcieli usmażyć mi stopy, żeby skóra odeszła od kości.

– Nie mamy żadnych książek. De Roquefort szuka wiatru w polu.

– Wcale tak nie jest. Wczoraj postrzelono dwóch braci w zakonie, a obydwaj stwierdzili, że Mark miał ze sobą plecak.

Stephanie aż podskoczyła, gdy usłyszała tę informację.

– A skąd pan o tym wie? – zapytał Geoffrey.



De Roquefort wszedł do kościoła, a w ślad za nim brat,
który był już tam wcześniej. Przeszedł nawą i wszedł do zakrystii. Musiał docenić Marka Nelle. Niewielu wiedziało o istnieniu sekretnego pomieszczenia w kościele. Nie było go w programie zwiedzania, a jedynie puryści zajmujący się Rennes mieli dostatecznie dużo zacięcia, by wpaść na jego trop. Często wydawało mu się dziwne, że ci, którzy zawiadywali terenem kościelnym, nie wykorzystywali dobudówki z czasów Saunière’a – sekretne pomieszczenia zawsze dodawało aury tajemniczości – ale z drugiej

strony wiele spraw związanych z kościołem, miasteczkiem oraz całą tą historią trudno było wyjaśnić.

– Czy kiedy wszedłeś tu wcześniej, wejście do tego pomieszczenia było otwarte?

Brat zaprzeczył ruchem głowy.

– Zamknięte, mistrzu – powiedział szeptem.

De Roquefort zamknął delikatnie drzwi.

– Nie pozwól nikomu wejść do środka.

Podszedł do kredensu i wyciągnął pistolet. Tak naprawdę nigdy nie widział sekretnego pomieszczenia, które znajdowało się z tyłu, ale czytał dostatecznie dużo relacji sporządzonych przez poprzednich marszałków, którzy badali temat Rennes, by wiedzieć, że takie istnieje. Jeśli dobrze sobie przypomniał, mechanizm otwierający znajdował się w prawy górnym rogu kredensu.

Sięgnął ręką do góry i znalazł metalową dzwignię.

Wiedział, że gdy rozlegnie się szczęknięcie mechanizmu, dwaj mężczyźni znajdujący się po drugiej stronie zostaną ostrzeżeni, musiał więc przyjąć założenie, iż są uzbrojeni. Malone z pewnością potrafił się obronić, a i Mark Nelle udowodnił wczoraj, że trzeba się z nim liczyć.

– Przygotuj się – ostrzegł swego towarzysza.

Brat wyciągnął automatyczny pistolet z krótką lufą i wymierzył w stronę kredensu. De Roquefort nacisnął dźwignię i szybko zrobił krok do tyłu, wycelowując pistolet i czekając na to, co wydarzy się za moment.

Kredens obrócił się o parę centymetrów, potem znieruchomiał.

Wielki mistrz stanął po prawej stronie i wsunął stopę, powiększając otwór.

W sekretnym pomieszczeniu nie było nikogo.



Malone stał wewnątrz konfesjonału, blisko Marka. Odczekali w ukrytym pomieszczeniu kilka minut, obserwując zakrystię przez niewielki judasz umieszczony z rozmysłem w kredensie. Mark widział, jak jeden z braci

wchodzi do zakrystii, rozgląda się po pustym pomieszczeniu, potem wychodzi. Odczekali jeszcze kilka chwil, potem wyszli, obserwując drzwi wejściowe. Zorientowawszy się, że nikt inny nie znajduje się wewnątrz świątyni, szybko pobiegli do konfesjonału i weszli do środka w momencie, gdy de Roquefort i brat powrócili.

Mark słusznie domyślał się, że de Roquefort może wiedzieć o istnieniu ukrytego pomieszczenia, ale z pewnością nie chciał dzielić się wiedzą z kimkolwiek innym, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Widzieli, jak de Roquefort czeka na zewnątrz, wysyła człowieka na przeszpiegi, i odczekali tak długo, by zyskać kilka minut na przemieszczenie się. Kiedy zameldował, że ich nie widział, de Roquefort miał odgadnąć, gdzie się skryli.

W końcu do kościoła prowadziła tylko jedna droga.

– „Znaj swojego wroga i znaj siebie” – wyszeptał Mark, gdy de Roquefort wraz ze swoim sługusem weszli do zakrystii.

Malone się uśmiechnął.

– Sun Tzu był mądrym człowiekiem.

Drzwi do zakrystii zamknęły się.

– Damy im kilka sekund i uciekamy – oznajmił Mark.

– Na zewnątrz mogą być następni.

– Na pewno są. Musimy jednak podjąć to ryzyko. Zostało mi dziewięć naboi.

– Nie zaczynajmy strzelaniny, chyba że nie będzie innego wyjścia.

Drzwi do zakrystii wciąż były zamknięte.

– Musimy ruszać – ponaglił Malone.

Wyszli z konfesjonału, skręcili w prawo i skierowali się w stronę kościelnych drzwi.



Stephanie powoli wstała, podeszła do Geoffreya i z całkowitym spokojem zabrała mu pistolet. Kiedy obróciła się, odbezpieczyła broń, w mgnieniu oka dopadła Claridona i przycisnęła lufę do jego skroni.

– Ty obślizgła mała szumowino! Jesteś po ich stronie.

Oczy Claridona otworzyły się szeroko.

– Nie, madame! Przysięgam, że nie.

– Rozepnij mu koszulę – poleciła.

Geoffrey wyrwał guziki i spod poły koszuli wyłonił się mikrofon przyklejony taśmą do chudej klatki piersiowej.

– Chodźcie. Szybko. Potrzebuję pomocy! – zaczął krzyczeć Claridon.

Geoffrey wymierzył cios pięścią w szczękę starca i pozbawił go przytomności. Stephanie odwróciła się, wciąż trzymając pistolet w dłoni, i zobaczyła przez okno, jak krótko ostrzyżony mężczyzna biegnie do drzwi.

Wystarczyło kopnięcie i otworzyły się z impetem.

Lecz młody zakonnik był już gotowy.

Ustawił się po lewej stronie od wejścia i kiedy do środka wpadł napastnik, Geoffrey zaatakował go od tyłu. Stephanie dostrzegła pistolet w ręku tamtego, lecz jej towarzysz z dużą wprawą skierował lufę do dołu, obrócił się na pięcie i przewrócił mężczyznę na ścianę. Nie dając mu ani chwili na reakcję, wymierzył drugiego kopniaka w brzuch. Gdy mężczyzna ze stęknięciem upadł na kolana, starając się złapać oddech, Geoffrey powalił go na podłogę, wymierzając cios w kark.

– Uczą was tego w opactwie? – zapytała, będąc niewątpliwe pod wrażeniem.

– Tego i kilku innych rzeczy.

– Wynośmy się stąd.

– Proszę zaczekać chwilkę.

Geoffrey wybiegł z kuchni do sypialni i wrócił z plecakiem Marka.

– Claridon miał rację. Mamy te książki i nie mogę wyjść bez nich.

Dostrzegła słuchawkę w uchu mężczyzny, którego Geoffrey pozbawił przytomności.

– On słuchał słów Claridona i z pewnością utrzymywał kontakt z pozostałymi.

– De Roquefort jest tutaj – oznajmił młodzieniec z pełnym przekonaniem.

Sięgnęła po telefon satelitarny, który leżał na blacie w kuchni.

– Musimy odnaleźć Marka i Cottona.

Geoffrey podszedł do otwartych drzwi i ostrożnie wyjrzał najpierw w lewo, potem w prawo.

– Można odnieść wrażenie, iż sądzisz, że lada chwila zjawi się tu więcej braci.

Wyszła za nim.

– Niewykluczone, że są w tej chwili zajęci w kościele. Udamy się tam, idąc wzdłuż muru miasteczka przez parking, trzymając się z dala od głównej drogi – stwierdziła i oddała mu pistolet. – Osłaniaj mnie z tyłu.

Uśmiechnął się.

– Z przyjemnością, madame.



De Roquefort rozglądał się ze zdumieniem po pustym sekretnym pomieszczeniu. Gdzie oni się podziali? Nie było przecież innego miejsca w kościele, gdzie mogliby się ukryć. Przysunął kredens z powrotem do ściany.

Drugi z braci z pewnością dostrzegł chwilę konsternacji, która zagościła na twarzy mistrza, kiedy stwierdzili, że w sekretnym pomieszczeniu nie ma nikogo. Już po chwili jednak z jego oczu znów biła pewność siebie.

– Gdzie oni są, mistrzu? – zapytał zakonny brat.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, przeszedł obok okna z witrażem i wyjrzał przez jedną z mniej zaciemnionych szybek. W ogrodzie kalwaryjskim, na który otwierał się widok, wciąż było dużo turystów. Wtedy też dostrzegł Marka Nelle i Cottona Malone, którzy szli szybko przez ogród i skręcili w stronę cmentarza.

– Wychodzimy – powiedział ze spokojem, ruszając w stronę drzwi od zakrystii.



Mark sądził, że dzięki sztuczce z sekretnym pomieszczeniem zyskają dostatecznie dużo czasu, by zdążyć z ucieczką. Żywił nadzieję, że de

Roquefort zabrał ze sobą nieliczny oddział, lecz na zewnątrz czekała trójka braci. Jeden przy głównej ulicy, drugi blokował uliczkę prowadzącą w stronę parkingu, a trzeci z nich ustawił się na zewnątrz Betanii, odcinając ucieczkę przez ogród. De Roquefort najwyraźniej nie sądził, że cmentarz może stanowić zagrożenie, ponieważ za otaczającym go murem otwierała się pięćsetmetrowa przepaść.

Lecz właśnie tam zmierzał Mark.

Dziękował niebiosom za to, że tyle razy on i ojciec odbywali kiedyś wieczorne wypady. Miejscowi mieszkańcy niechętnie patrzyli na ludzi odwiedzających cmentarz po zmroku, ale była to najlepsza pora, jak zwykł mawiać ojciec. Wiele więc razy myszkowali tu po zmroku, szukając śladów, starając się znaleźć logikę w działaniach Saunière'a i jego pozornie niewytłumaczalnych, dziwacznych zachowaniach. Podczas kilku z takich wypadów ktoś im przeszkodził, wtedy też znaleźli zaimprowizowaną drogę odwrotu, przez bramę, nad którą widniał wizerunek z czaszki i skrzyżowanych piszczeli.

Nadeszła pora, by ponownie wykorzystać tamto odkrycie.

– Niepokoi mnie, w jaki sposób zamierzamy się stąd wydostać – odezwał się Malone.

– Być może nie jest to najbezpieczniejsza droga, ale teraz przynajmniej słońce świeci. Wcześniej za każdym razem robiłem to nocą.

Mark skręcił w prawo i ruszył truchtem w stronę kamiennych schodów, prowadzących do niżej położonej części cmentarza. Wokoło było może z pięćdziesiąt osób, które podziwiały kamienne nagrobki. Za murem bezchmurne niebo miało kolor jaskrawoniebieski, a wiatr jęczał niczym przeklęta dusza. Pogodne dni w Rennes zawsze były wietrzne, ale powietrze na cmentarzu pozostawało w bezruchu, gdyż kościół oraz budynek parafialny stanowiły zaporę dla silniejszych porywów wiatru, które napływały od południa i zachodu.

Biegł prosto w stronę pomnika położonego bezpośrednio przy murze od strony wschodniej, pod koroną wiązu, który rzucał na ziemię długie cienie. Zauważył, że tłum turystów znajduje się w głównej mierze na górnym tarasie cmentarza, gdzie ulokowany był grób kochanki Saunière'a. Wskoczył na masywny nagrobek i z niego wspiął się na mur.

– Ruszaj za mną – polecił, gdy zeskoczył po drugiej stronie, przeturlał się, po czym wstał na równe nogi i otrzepał z siebie piasek i żwir.

Obejrzał się, gdy Malone zeskakiwał na wąską ścieżkę z muru o wysokości blisko dwóch i pół metra.

Znajdowali się u podnóża muru na skalistej ścieżce, mierzącej nieco ponad metr szerokości. Na stoku poniżej wegetowały mizerne brzozy i sosny, smagane ostrym wiatrem. Ich gałęzie były poskręcane i poplątane, a korzenie wciskały się zawzięcie między szczeliny popękanych skał.

Mark wskazał na lewo.

– Ta ścieżka kończy się prosto przed nami, tuż za zamkiem, i dalej nie ma żadnej drogi.

Obrócił się.

– Musimy więc iść tędy. Dojdziemy w ten sposób do placu z parkingiem. Podejście nie jest zbyt trudne.

– Tutaj nie ma wiatru, ale kiedy skręcimy za tamten róg… – Malone wskazał przed siebie. – Wyobrażam sobie, że tam nieźle dmucha.

– Tam jest huragan. Ale nie mamy innego wyjścia.

CZTERDZIEŚCI TRZY

De Roquefort zabrał jednego brata ze sobą na cmentarz, pozostałych trzech umieścił poza jego terenem. Mark Nelle wykazał sporo sprytu, wykorzystując sekretne pomieszczenie do odciągnięcia uwagi. Najprawdopodobniej byli w środku do chwili, kiedy jego zwiadowca opuścił kościół. Wtedy schowali się gdzieś i wyszli, gdy de Roquefort zamknął za sobą drzwi od zakrystii.

Zatrzymał się i ze spokojem zaczął rozglądać się między grobami, lecz nigdy nie dostrzegł swojej zwierzyny. Polecił bratu przeszukać teren po lewej, sam zaś skierował się w prawo, gdzie minął grób Ernsta Scoville'a.

Cztery miesiące temu, kiedy po raz pierwszy dowiedział się o zainteresowaniu wielkiego mistrza osobą Scoville'a, de Roquefort wysłał jednego z braci, by śledził Belga. Dzięki urządzeniu podsłuchowemu zainstalowanemu w telefonie Scoville'a jego szpieg dowiedział się o istnieniu Stephanie Nelle oraz jej planach przyjazdu najpierw do Danii, a potem do Francji oraz o zamiarze wylicytowania książki. Kiedy stało się jasne, że Scoville nie przepada za wdową po Larsie Nelle i zamierza jedynie wodzić ją za nos, najwyraźniej aby udaremnić jej wysiłki, rozpędzone auto na podjeździe pod Rennes rozwiązało problem jego potencjalnej ingerencji. Scoville odpadł z gry. Pozostała w niej natomiast Stephanie Nelle, której w owym momencie nic nie powinno stanąć na drodze. De Roquefort zajął się osobiście wyeliminowaniem Scoville'a, nie chcąc angażować nikogo z opactwa, gdyż trudno byłoby mu wyjaśnić konieczność popełnienia niekwestionowanego morderstwa.

Jego podwładny powrócił ze zwiadu po drugiej stronie cmentarza.

– Nic – zameldował zwięźle.

Gdzie oni mogli się podziać?

Wzrok de Roqueforta pobiegł ku szarawemu murowi obiegającemu cmentarz. Stanął w miejscu, gdzie mur sięgał mu jedynie do ramion. Rennes znajdowało się niemal na samym szczycie, a zbocza po trzech stronach były strome niemal jak ściany piramidy. Kotlinę przesłaniała

szarawa mgiełka, która spowiła barwny pejzaż niczym odległą krainę liliputów, a nizina, drogi i miasteczka wyglądały jak na mapie w atlasie. Podmuch wiatru śmignął zza muru, uderzając wielkiego mistrza w twarz i wysuszając mu oczy. De Roquefort oparł dłonie na szczycie muru, dźwignął się i przesunął ciało nieco do przodu. Spojrzał w prawo. Na skalnej półce nie było nikogo. Potem skierował wzrok w lewą stronę i zobaczył, jak Cotton Malone skręca za północną część muru.

De Roquefort zeskoczył na ziemię.

– Są na skalnej półce i zmierzają w stronę Magdali. Zatrzymajcie ich. Ja pójdę do belwederu.



Stephanie szła pierwsza, od chwili gdy razem z Geoffreyem wybiegli z domu Larsa. Spieczona słońcem alejka biegła równolegle do zachodniej strony muru i prowadziła w kierunku północnym do parkingu, omijając po drodze posiadłość Saunière'a. Geoffrey z pewnością przewidywał, co może się stać, i jak na człowieka, który zdawał się liczyć niespełna trzydzieści lat, zachowywał się niemal z rutyną profesjonalisty.

W tej części miasteczka znajdowały się jedynie nieliczne, rzadko rozrzucone domy. Jodły i sosny wznosiły się kępami wysoko ku niebu.

Coś przeleciało ze świstem obok jej prawego ucha i odbiło się z głuchym odgłosem od kamiennego muru budynku przed nimi. Obróciła się gwałtownie i zobaczyła krótko ostrzyżonego mężczyznę, który mierzył do nich z odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Zanurkowała za jednym z zaparkowanych aut, które stało na tyłach jednego z domów. Geoffrey padł na ziemię, przeturlał się, po czym podniósł się, stanął w rozkroku i wystrzelił dwa razy. Odgłos strzału przypominający huk racy został przytłumiony przez hulający wiatr. Jedna z kul trafiła w cel, mężczyzna krzyknął z bólu, następnie chwycił się za udo i upadł.

– Niezły strzał – skomentowała.

– Nie mogłem go zabić. Złożyłem przysięgę.

Biegiem ruszyli dalej.



Malone szedł za Markiem. Skalna skarpa, której krawędź wyznaczały kłosy zbrązowiałych traw, zwężała się, a wiatr, który wcześniej był tylko natarczywy, teraz stał się prawdziwym zagrożeniem, wiejąc z siłą wichury. Jego monotonny wizg zagłuszał wszelkie odgłosy.

Znajdowali się po zachodniej stronie miasteczka. Strzeliste, młode drzewa zagajników pozostały za nimi na północnym stoku. Tu w dół biegły jedynie nagie skały, mieniące się w ognistym słońcu popołudnia, gdzieniegdzie zabarwione kępami mchu i wrzosów.

Belweder, do którego Malone zaszedł dwa wieczory wcześniej, ścigając Cassiopeię Vitt, wznosił się o jakieś sześć metrów ponad nimi. Przed nimi wznosiła się Magdala, widać było ludzi na szczycie, podziwiających panoramę odległej doliny. Ten pejzaż nie zachwycał go specjalnie. Wysokość działała na niego niczym wino – tę słabość zdołał ukryć przed rządowymi psychologami, którzy od czasu do czasu zgodnie z formalnymi wymogami oceniali jego przydatność do służby w agencji. Tylko raz odważył się spojrzeć w dół. Niewysokie zarośla porastały gdzieniegdzie stromą ścianę biegnącą w dół ponad sto metrów. Potem pojawiła się wąska półka, a dalej znów ciągnęło się jeszcze bardziej strome urwisko.

Mark znajdował się jakieś trzy metry przed nim. Obrócił się właśnie i spojrzał na niego. Uniósł pistolet i wymierzył w stronę Malone’a.

– Czy powiedziałem coś nie tak? – wykrzyknął prawnik.

Wiatr szarpnął ręką Marka i zatrząsł bronią. Druga ręka uniosła się do góry, by pewniej wymierzyć. Malone dostrzegł piorunujące spojrzenie w jego oczach, a gdy odwrócił się za siebie, zobaczył krótko ostrzyżonego mężczyznę, który podążał w ich kierunku.

– Nie podchodź bliżej, bracie! – Mark usiłował przekrzyczeć gwizd wichury.

Mężczyzna trzymał w dłoni glocka 17, podobnego do tego, który znajdował się w dłoniach Marka.

– Jeśli podniesiesz broń, strzelę do ciebie! – Mark nie pozostawił cienia wątpliwości.

Ręka mężczyzny zatrzymała się.

Malone’owi niespecjalnie przypadło do gustu kłopotliwe położenie, w jakim się znalazł, więc przylgnął do muru, zostawiając wolne miejsce na pojedynek.

– To nie twoja bitwa, bracie. Jak rozumiem, wypełniasz jedynie rozkazy mistrza. Ale jeśli strzelę do ciebie i trafię choćby w nogę, spadniesz w przepaść. Czy to jest tego warte?

– Złożyłem przysięgę posłuszeństwa wobec mistrza.

– On naraża cię na niebezpieczeństwo. Czy choć raz zastanowiłeś się, co on czyni?

– Nie mnie o tym rozstrzygać.

– Ale powinieneś ocalić swoje życie – przekonywał Mark.

– Czy strzeliłbyś do mnie, seneszalu?

– Bez mrugnięcia okiem.

– Czy to, czego poszukujesz, jest na tyle ważne, byś wyrządził krzywdę innemu chrześcijaninowi?

Malone patrzył, jak Mark zastanawia się nad zadanym pytaniem – rozważał, czy determinacji, którą widzi w jego oczach, towarzyszy odwaga wprowadzenia zamiaru w czyn. On sam również stawał przed podobnym dylematem – nawet kilka razy. Oddanie strzału do drugiego człowieka nigdy nie przychodziło łatwo. Ale czasami nie było innego wyjścia.

– Nie, bracie, to nie jest warte ludzkiego życia – odparł Mark i opuścił pistolet.

Kątem oka Malone dostrzegł ruch. Obrócił się i zobaczył, jak drugi mężczyzna wykorzystuje fakt, że Mark ustąpił. Glock zaczął unosić się do góry, gdy druga dłoń mężczyzny chwyciła pistolet, by mieć pewność, że strzał będzie celny.

Ale nie zdążył wypalić.

Rozległ się przytłumiony przez wiatr odgłos strzału, który dobiegł z lewej strony Malone’a, a krótko ostrzyżony mężczyzna poleciał do tyłu, gdy kula utkwiła w jego torsie. Malone nie był w stanie stwierdzić, czy człowiek de Roqueforta ma na sobie kamizelkę kuloodporną, czy też nie; strzał z bliska wytrącił go z równowagi, a krępa sylwetka zachwiała się. Malone skoczył w jego stronę, usiłując nie dopuścić do upadku i wychwycił spojrzenie dwojga spokojnych oczu. Przypomniał sobie wzrok Czerwonej Kurtki na szczycie kopenhaskiej Rotundy. Brakowało mu tylko dwóch

kroków, by go złapać, ale wiatr szarpnął mnichem i zepchnął go ze skalnego ustępu, a ciało stoczyło się w dół niczym pień.

Usłyszał krzyk dobiegający z góry. Kilku turystów stojących w belwederze najwyraźniej było świadkami tego, co spotkało zakonnika. Malone patrzył, jak ciało wciąż stacza się w dół i w końcu zatrzymało się dużo niżej na skalnej półce.

Obrócił się w stronę Marka, który wciąż trzymał podniesiony pistolet.

– Nic ci nie jest?

Mark opuścił pistolet.

– Na dobrą sprawę nie. Ale musimy stąd znikać.

Malone przyznał mu rację.

Zawrócili i pobiegli skalną ścieżką.



De Roquefort wbiegł schodami prowadzącymi do belwederu. Usłyszał krzyk kobiety i zobaczył poruszenie, gdy ludzie zaczęli gromadzić się przy murze. Podszedł bliżej.

– Co się stało? – zapytał.

– Jakiś mężczyzna spadł ze skalnej półki. Stoczył się daleko w dół.

Torował sobie drogę łokciami, by dojść do muru. Podobnie jak na kościelnym dziedzińcu, mur był tutaj szeroki na blisko metr, co uniemożliwiało zobaczenie podnóża kamiennej ściany.

– W którym miejscu spadł? – dopytywał się de Roquefort.

– Tam – odparł jakiś mężczyzna, wskazując ręką kierunek.

Mistrz podążył wzrokiem za wyciągniętym palcem i dostrzegł postać w ciemnej kurtce i jasnych spodniach, leżącą nieruchomo na nagiej skalnej półce. Wiedział, kto to jest. Niech to szlag! Chwycił dłońmi nieoszlifowany kamień i podciągnął się na mur. Obracając się na brzuchu, spojrzał w lewo i dostrzegł Marka Nelle oraz Cottona Malone’a, jak idą pod górę krótkim zboczem prowadzącym do placu parkingowego.

De Roquefort zeskoczył na dół i ponownie ruszył w stronę schodów.

Nacisnął guzik na krótkofalówce przyczepionej do paska.

– Idą w twoją stronę, wzdłuż muru. Zatrzymaj ich – powiedział szeptem do mikrofonu wpiętego w klapę kurtki.



Stephanie usłyszała wystrzał. Odgłos wydawał się dochodzić z drugiej strony muru. Ale to jej zdaniem było niemożliwe. Dlaczego ktoś miałby tam przebywać? Ona i Geoffrey znajdowali się o niecałe trzydzieści metrów od parkingu, który jak zauważyła, wypełniony był samochodami, w tym również czterema autokarami, stojącymi w pobliżu kamiennej wieży ciśnień.

Zwolnili kroku. Geoffrey przesłaniał pistolet udem, gdy niespiesznie szli naprzód.

– Tam! – szepnął.

Ona również dostrzegła tego mężczyznę. Stał dość daleko, blokując wylot ulicy biegnącej do kościółka. Obróciła się do tyłu i dostrzegła innego krótko ostrzyżonego mężczyznę, który szedł pod górę uliczką za nimi.

Wtedy dostrzegła Marka i Malone’a, jak wybiegają zza muru i przeskakują nad kamieniem wysokim do kolan.

Podbiegła do nich.

– Gdzieście się podziewali? – zapytała z wyrzutem.

– Udaliśmy się na spacer – odparł Malone.

– Słyszałam strzał.

– Nie teraz – uciął Malone.

– Mamy towarzystwo – dała do zrozumienia, wskazując na dwóch krótko ostrzyżonych mężczyzn. Mark rozejrzał się dookoła.

– De Roquefort kieruje tym wszystkim. Czas stąd znikać, ale nie mam przy sobie kluczyków do naszego samochodu.

– Ja mam kluczyki do mojego – wtrącił Malone.

Geoffrey podał mu plecak.

– Dobra robota – pochwalił go Mark. – Ruszajmy.



De Roquefort minął w pośpiechu Betanię, ignorując licznych turystów, którzy szli w przeciwnym kierunku, w stronę Magdali, ogrodu oraz belwederu.

Skręcił w prawo na wysokości kościoła.

– Usiłują odjechać samochodem – usłyszał głos w słuchawce.

– Pozwólcie im – rozkazał.



Malone wyjeżdżał tyłem z parkingu i objechał kilka innych samochodów, kierując się ku głównej ulicy. Zauważył, że krótko ostrzyżeni faceci nie próbują ich zatrzymać.

I to go zaniepokoiło.

Najwyraźniej zapędzano ich w pułapkę.

Ale gdzie była ta pułapka?

Jechał wolno alejką, mijając budki z suwenirami, potem skręcił w prawo na główną, pozwalając, by samochód zjeżdżał na luzie w dół stoku w stronę bramy miasteczka. Gdy minęli restaurację, tłum zrobił się mniejszy, a uliczka opustoszała. Przed sobą zobaczył Raymonda de Roquefort, który stał na środku jezdni, blokując bramę.

– On zamierza wystawić cię na próbę – odezwał się Mark z tylnego siedzenia.

– To dobrze, ponieważ zamierzam zabawić się w „kto pierwszy stchórzy”.

Postawił delikatnie stopę na pedale gazu.

Miał przed sobą drogę około stu metrów i potem zakręt.

De Roquefort stał nieruchomo niczym słup soli.

Malone nie dostrzegł broni. Najwyraźniej nowo wybrany mistrz doszedł do wniosku, że sama jego obecność wystarczy, by ich zatrzymać. Poza tym

Malone widział, że droga jest pusta, lecz tuż za bramą znajduje się ostry zakręt. Miał tylko nadzieję, że w ciągu tych paru sekund nikomu nie przyjdzie do głowy tamtędy przechodzić.

Wcisnął pedał gazu do dechy.

Opony chwyciły brukowaną nawierzchnię, a auto skoczyło do przodu z gwałtownym szarpnięciem.

Trzydzieści metrów.

– Zamierzasz go zabić? – zapytała Stephanie.

– Jeśli będę musiał.

Piętnaście metrów.

Malone ściskał kurczowo kierownicę i patrzył wprost przed siebie na de Roqueforta, gdy sylwetka mężczyzny robiła się coraz większa w przedniej szybie. Przygotowywał się na zderzenie z ludzkim ciałem i jeszcze mocniej zacisnął dłonie.

Jakaś postać skoczyła z prawej strony i odepchnęła de Roqueforta z drogi auta.

Z rykiem silnika przejechali przez bramę.



De Roquefort zdał sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, i nie był z tego powodu zbytnio szczęśliwy. Był całkowicie przygotowany na stawienie czoła przeciwnikowi, gotów na wszystko, co się zdarzy, stąd też nagła ingerencja budziła w nim niechęć.

Wtedy zobaczył, kto ocalił mu skórę.

Royce Claridon.

– Ten samochód zabiłby pana – odezwał się stary człowiek.

De Roquefort odepchnął Claridona i wstał.

– Należało się o tym przekonać – odparł, a potem zapytał o to, co rzeczywiście chciał wiedzieć: – Dowiedział się pan czegoś?

– Zdołali odkryć nasz podstęp i musiałem wezwać pomoc.

De Roquefort czuł, jak nagle wzbiera w nim niepohamowana złość.

I znów nic nie poszło tak, jak trzeba. Ale jedna myśl przeszła mu przez głowę. Myśl ta oznaczała ratunek.

Odjechali samochodem Malone’a.

Wciąż podczepione było do niego elektroniczne urządzenie monitorujące.

Przynajmniej będzie wiedział dokładnie, dokąd pojechali.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Malone jechał tak szybko, jak tylko się odważył, krętą szosą, biegnącą do podnóża góry. Na dole skręcił w lewo, w stronę autostrady i niecały kilometr dalej zawrócił na południe, w kierunku Pirenejów.

– Dokąd się wybieramy? – zapytała go Stephanie.

– Na spotkanie z Cassiopeią Vitt. Zamierzałem udać się tam w pojedynkę, ale teraz skłaniam się ku opinii, że powinniśmy poznać się wszyscy.

Potrzebował czegoś, co odciągnie jego uwagę.

– Opowiedz mi o niej – zwrócił się do Marka.

– Nie wiem o niej zbyt dużo. Słyszałem, że jej ojciec był bogatym hiszpańskim przedsiębiorcą budowlanym, a matka muzułmanką urodzoną w Tanzanii. Jest błyskotliwą osobą, ma dyplomy z historii sztuki oraz religii. Poza tym jest bogata. Odziedziczyła mnóstwo pieniędzy, a sama jeszcze zdołała je rozmnożyć. Ona i mój ojciec wiele razy spierali się ze sobą.

– W jakiej kwestii? – zapytał Malone.

– Wydaje się, że jej życiową misją jest udowodnienie tego, iż Chrystus nie zmarł na krzyżu. Przed dwunastoma laty religijny fanatyzm postrzegano zupełnie inaczej. Ludzie w ogóle nie martwili się istnieniem talibów czy al-Kaidy. Wtedy też Izrael był punktem zapalnym, a Cassiopeia z niechęcią podchodziła do faktu, że muzułmanów zawsze określano jako ekstremistów. Nienawidziła arogancji chrześcijaństwa i bezczelności judaizmu. Mój tata mówił, że ona poszukuje prawdy. Chciała odbrązowić mit i przekonać się, jak bardzo w rzeczywistości Jezus Chrystus i Mahomet byli do siebie podobni. Wspólna płaszczyzna, wspólne interesy. Tego typu rzeczy.

– Czy dokładnie do tego samego nie zmierzał twój ojciec?

– Też mu często zwracałem na to uwagę.

Malone uśmiechnął się.

– Jak daleko jest do jej zamku?

– Niecała godzina drogi. Za kilka kilometrów skręcimy w lewo.

Malone spoglądał we wsteczne lusterko. Wciąż nikt za nimi nie jechał. To dobrze. Zwolnił, gdy wjechali do miasta o nazwie St. Loup. Ponieważ była niedziela, wszystko było pozamykane poza stacją benzynową oraz sklepem całodobowym, położonym po południowej stronie miasta. Skręcił i zatrzymał samochód.

– Zaczekajcie tu – polecił, gdy wysiadał. – Muszę załatwić jedną sprawę.

Malone skręcił z autostrady i wjechał samochodem na żwirową drogę, która prowadziła w głąb gęstego lasu. Na znaku widniał napis: „GIVORS – ŚREDNIOWIECZNE PRZEDSIĘWZIĘCIE WE WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE". Miejsce to odległe było o niecały kilometr. Droga z Rennes zajęła im nieco mniej niż pięćdziesiąt minut. Przez większość czasu jechali na zachód, mijając po drodze ruiny fortecy katarów w Montségur. Potem skręcili na południe w kierunku gór, gdzie łagodne stoki skrywały rzeczne doliny i wysokie drzewa.

Droga szerokości dwóch aut była dobrze utrzymana i zadaszona koronami bogato ulistnionych brzóz, które sprawiały wrażenie sennego bezruchu, rzucając długie cienie. Wjechali na polanę, porośniętą krótką trawą. Stało tu kilka samochodów. Na skraju polany strzelały w niebo smukłe sosny i jodły. Zatrzymał się i wszyscy wysiedli. Przed nimi stała tablica z napisami po angielsku i francusku, podająca informacje na temat miejsca, do którego przybyli.

STANOWISKO ARCHEOLOGICZNE GIVORS
WITAMY W ŚWIECIE PRZESZŁOŚCI.
TUTAJ W GIVORS, W MIEJSCU PO RAZ
PIERWSZY ZASIEDLONYM ZA LUDWIKA IX,
BUDOWANY JEST ZAMEK WYŁĄCZNIE PRZY
ZASTOSOWANIU MATERIAŁÓW I TECHNIK
DOSTĘPNYCH RZEMIEŚLNIKOM
Z TRZYNASTEGO STULECIA.
MUROWANA WIEŻA STANOWIŁA SYMBOL
WŁADZY MOŻNOWŁADCY, A ZAMEK
W GIVORS ZOSTAŁ ZAPROJEKTOWANY
JAKO WAROWNA TWIERDZA Z GRUBYMI
MURAMI ORAZ LICZNYMI NAROŻNYMI

BASZTAMI. OKOLICZNE TERENY
ZAPEWNIAŁY DOSTATEK WODY, KAMIENI,
ZIEMI, PIASKU I DREWNA, WSZELKICH
SUROWCÓW POTRZEBNYCH
DO WZNIESIENIA BUDOWLI.
ROBOTNICY Z KAMIENIOŁOMÓW,
KAMIENIARZE, MURARZE, CIEŚLE, KOWALE
ORAZ GARNCARZE PRACUJĄ, ŻYJĄ
I UBIERAJĄ SIĘ DOKŁADNIE TAK, JAK
PRZED SIEDMIOMA WIEKAMI. PROJEKT
JEST FINANSOWANY ZE ŚRODKÓW
PRYWATNYCH. WEDLE OBECNYCH
SZACUNKÓW UKOŃCZENIE ZAMKU ZAJMIE
JESZCZE OKOŁO TRZYDZIESTU LAT.
ŻYCZYMY NIEZAPOMNIANYCH WRAŻEŃ
W ŚWIECIE TRZYNASTEGO STULECIA.

– Cassiopeia Vitt finansuje to z własnych funduszy? – zapytał Malone.

– Historia średniowiecza to jedna z jej życiowych pasji – odparł Mark. – Na uniwersytecie w Tuluzie znają ją całkiem dobrze.

Malone zdecydował, że bezpośrednie poruszenie tematu będzie najlepszym rozwiązaniem. Z pewnością panna Vitt domyślała się, że on w końcu zdoła ją odnaleźć.

– Gdzie ona mieszka?

Mark wskazał ręką w kierunku wschodnim, gdzie gałęzie dębów i wiązów rosnących blisko siebie zacieniały następną alejkę.

– Do zamku należy iść tamtą drogą.

– Te auta należą do gości? – zapytał.

Mark skinął głową.

– Wpuszczają wycieczki na plac budowy zamku, żeby pozyskiwać fundusze. Byłem tu kiedyś przed laty, tuż po rozpoczęciu prac. To, co ona robi, jest naprawdę imponujące.

Ruszył w kierunku alejki prowadzącej do rezydencji.

– Ruszajmy więc przywitać się z naszą gospodynią.

Szli w milczeniu. W oddali, na szczycie stromego stoku dostrzegł posępne ruiny kamiennej wieży, której ściany pożółkły od porastającego je

mchu. Suche powietrze było ciepłe i nieruchome. Fioletowe tym razem wrzosy, żarnowiec oraz dzikie kwiaty pokrywały dywanem pobocza alejki. Malone wyobraził sobie starcie rycerzy i bitewne okrzyki, które wieki temu rozlegały się echem w kotlinie, kiedy zbrojni walczyli o władzę. Nad jego głową przeleciało stado wron, kraczących żałośnie.

Jakieś sto metrów dalej dostrzegł zamek. Budowla wypełniała płaskie zagłębienie, które zapewniało jej spokój i odosobnienie. Ciemnoczerwona cegła i kamienie tworzyły mur o symetrycznym wzorze, wysoki na cztery kondygnacje i zwieńczony dwiema wieżami porośniętymi bluszczem oraz spadzistym łupkowym dachem. Bluszcz pokrywał fasadę niczym rdza żelazo. Pozostałości dawnej fosy, teraz porośniętej trawą, otaczały zamek z trzech stron. Wysmukłe drzewa rosły z tyłu budowli, a wzdłuż jego ścian biegł równo przystrzyżony żywopłot.

– To ci dopiero chata – skomentował, nie kryjąc podziwu, Malone.

– Szesnaste stulecie – zauważył Mark. – Powiedziano mi, że kupiła zamek i przyległy teren ze stanowiskiem archeologicznym. Nazywa to miejsce Royal Champagne, tak jak zwał się jeden z konnych regimentów Ludwika XV.

Przed frontem stały zaparkowane dwa samochody. Nowy model bentleya continental GT – wart około sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, o ile Malone dobrze sobie przypominał – oraz porsche roadster, w porównaniu z pierwszym taniocha. Był też motocykl. Malone podszedł bliżej do jednośladu i przyglądał się tylnej oponie oraz tłumikowi. Dostrzegł zadrapania na błyszczącej chromowanej powierzchni.

Doskonale wiedział, kiedy powstały.

– Tu, w to miejsce trafiła kula, którą wystrzeliłem.

– Ma pan rację, panie Malone.

Obrócił się. Kulturalny głos dobiegł od strony portyku. Przed otwartymi frontowymi drzwiami stała wysoka kobieta, smukła niczym sarna, z kasztanowymi włosami do ramion. Jej rysy odzwierciedlały lwią piękność egipskiej bogini: wąskie brwi, wyraziste policzki, przytępiony nos. Miała skórę koloru mahoniu, a ubrana była w gustowny długi bezrękawnik z wycięciem w serek, odsłaniający śniade ramiona. Spod niego aż do kolan spływała jedwabna spódnica w deseń safari. Na stopach miała skórzane sandały. Cały zestaw prezentował się sportowo, lecz jednocześnie elegancko, jakby właśnie wybierała się na spacer po Polach Elizejskich.

Obdarzyła Malone’a uroczym uśmiechem.

– Spodziewałam się pana.

Spojrzała mu w oczy, a z jej ciemnych źrenic wyzierała determinacja.

– To interesujące, ponieważ dopiero przed godziną zdecydowałem się złożyć pani wizytę.

– Ach, panie Malone, jestem pewna, że znajdowałam się wysoko na pańskiej liście priorytetów od co najmniej dwóch dni, kiedy w Rennes pocisk wystrzelony przez pana trafił w mój motocykl.

Chciał wyjaśnić jedną rzecz.

– Dlaczego zamknęła mnie pani w Magdali?

– Miałam nadzieję, że dzięki temu zyskam czas, by spokojnie stamtąd zniknąć. Ale pan wyswobodził się z pułapki zbyt szybko.

– Przede wszystkim chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego strzelała pani do mnie.

– Nie dowiedziałby się pan niczego od człowieka, którego pan zaatakował.

Zwrócił uwagę, że kobieta mówi melodyjnym głosem, zapewne chcąc stopić jego niechęć.

– Chyba że nie chciała pani, bym z niego coś wycisnął? W każdym razie, dzięki za uratowanie mojej skóry w Kopenhadze.

Pominęła milczeniem słowa wdzięczności.

– Jestem pewna, że poradziłby pan sobie bez mojej pomocy. Ja tylko przyspieszyłam bieg zdarzeń.

Spojrzała ponad jego ramieniem.

– Mark Nelle. Miło mi wreszcie poznać pana. Cieszę się, że jednak nie zginął pan w lawinie.

– Jak widzę, lubi pani mieszać się w sprawy innych ludzi.

– Nie uważam tego za mieszanie się. Ja tylko obserwuję poczynania tych, którzy mnie interesują. Jak pański ojciec – odparła zarzut Cassiopeia i przeszła obok Malone’a, by podać rękę Stephanie. – To dla mnie zaszczyt poznać panią. Znałam pani męża.

– Z tego, co słyszałam, pani i Lars nie byliście w najlepszej komitywie.

– Nie wierzę, że ktoś mógł wyrazić taką opinię – zdumiała się Cassiopeia i spojrzała na Marka z pozbawioną złudzeń dezaprobatą. – Czy to pan opowiadał matce takie historie?

– Nie. To nie on – zdementowała Stephanie. – Mówił mi o tym Royce Claridon.

– Cóż. To on jest człowiekiem, którego należy się wystrzegać. Jeśli zaufa mu pani, przysporzy sobie pani tylko kłopotów. Ostrzegałam Larsa przed nim, lecz on mnie nie słuchał.

– W tym względzie jesteśmy tego samego zdania – zgodziła się Stephanie.

Malone przedstawił Geoffreya.

– Jest pan członkiem bractwa? – chciała wiedzieć Cassiopeia.

Geoffrey nie odpowiedział.

– Nie, nie powinnam się spodziewać od pana odpowiedzi. Muszę jednak dodać, że jest pan pierwszym templariuszem, z którym nie spotykam się na wojennej stopie.

– To nieprawda – odparł Geoffrey, wskazując na Marka. – Seneszal jest również członkiem zakonu i poznała go pani wcześniej.

Malone zastanawiał się, skąd nagle ta ochota do udzielania informacji. Do tej pory młody mężczyzna był bardzo skryty i małomówny.

– Seneszal? Jestem pewna, że kryje się za tym ciekawa historia – odparła Cassiopeia. – Zapraszam do środka. Obiad był już przygotowany, ale kiedy was zobaczyłam, poleciłam szambelanowi ustawić więcej nakryć. W tej chwili stół powinien być już gotowy.

– Wspaniale – skomentował Malone. – Umieram z głodu.

– W takim razie siadajmy do stołu. Mamy dużo spraw do przedyskutowania.

Podążyli za nią do środka, a Malone podziwiał eleganckie włoskie komody, rzadkie okazy rycerskich zbroi, hiszpańskie uchwyty na pochodnie, kilimy z Beauvais oraz płótna flamandzkich malarzy. Wszystko dowodziło, że gospodyni jest znawczynią i koneserem.

Weszli za panną Vitt do przestronnej sali jadalnej, której ściany wyłożone były pozłacaną skórą. Promienie słońca wlewały się przez dwuskrzydłowe okna ozdobione misternie udrapowanym lambrekinem i oświetlały stół nakryty białym obrusem oraz rzucały ostry cień na marmurową posadzkę. Z sufitu zwisał elektryczny kandelabr o dwunastu ramionach.

Służący rozkładali połyskujące srebrne sztućce przy nakryciach biesiadników.

Wszystko to robiło wrażenie, ale całkowitą uwagę Malone’a przyciągnął mężczyzna, siedzący na końcu stołu.

Europejska edycja „Forbesa” umieszczała go na ósmej pozycji w rankingu najbogatszych ludzi starego kontynentu, a jego władza i wpływy były wprost proporcjonalne do liczby miliardów euro zgromadzonych na koncie. Głowy państw, koronowane i niekoronowane, tworzyły krąg jego znajomych. Duńska królowa nazywała go osobistym przyjacielem. Światowe organizacje charytatywne zaliczały go do najbardziej szczodrych darczyńców. Przez ostatni rok Malone spędzał co najmniej trzy dni w tygodniu, odwiedzając go – rozmawiając o książkach, polityce, o sprawach świata i o tym, jak życie potrafi dołować. Wchodził do posiadłości tego człowieka tak, jakby był członkiem rodziny, i pod wieloma względami czuł, że tak właśnie jest.

Teraz jednak poważnie w to wszystko zwątpił.

Mówiąc prawdę, czuł się jak głupiec.

A Henrik Thorvaldsen tylko się uśmiechnął.

– Najwyższa pora, Cotton. Czekam tu od dwóch dni.

CZĘŚĆ
CZWARTA

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

De Roquefort siedział na miejscu obok kierowcy i skupił wzrok na wyświetlaczu urządzenia GPS. Transponder przyczepiony do samochodu wynajętego przez Malone’a działał bez zarzutu, a przesyłany sygnał był silny. Jeden z braci prowadził samochód, natomiast Claridon i drugi z mnichów zajmowali miejsca z tyłu. De Roquefort wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po ingerencji Claridona w Rennes. Nie miał zamiaru umierać i w końcu zapewne uskoczyłby, ale naprawdę pragnął się przekonać, czy Cotton Malone jest na tyle zdeterminowany, by go przejechać.

Brat, który spadł ze skalnego ustępu, zginął, postrzelony w klatkę piersiową jeszcze przed upadkiem. Wprawdzie kamizelka z kevlaru nie pozwoliła, aby kula poczyniła jakieś szkody, ale w rezultacie upadku skręcił kark. Na całe szczęście nie miał niczego przy sobie, co pozwoliłoby ustalić jego tożsamość, problem stanowiła natomiast kamizelka. Takie wyposażenie pozwalało domyślać się zamierzonych działań, nic jednak nie łączyło zabitego z opactwem. Wszyscy bracia znali Regułę. Jeśli którykolwiek umierał poza opactwem, jego ciało pozostawało niezidentyfikowane. Podobnie jak w wypadku brata, który wyskoczył z Rotundy w Kopenhadze. Członek bractwa, który zginął w Rennes, trafi w końcu do miejscowej kostnicy, a jego doczesne szczątki zostaną przeznaczone do pochówku w zbiorowej mogile. Zanim do tego jednak dojdzie, procedura wymagała, by mistrz wysłał duchownego, który zażąda zwrotu ciała w imieniu Kościoła, oferując w zamian chrześcijański pochówek i oszczędzenie państwu wydatków. Jak dotąd, nigdy się nie zdarzyło, by ta oferta została odrzucona. Nie wzbudzając żadnych podejrzeń, taki gest zapewniał, że brat zostanie pochowany z odpowiednim ceremoniałem.

De Roquefort opuszczał Rennes bez pośpiechu, przeszukawszy najpierw domy Larsa Nelle i Ernsta Scoville’a, ale bez pozytywnych efektów. Podwładni zameldowali mu, że Geoffrey ma ze sobą plecak, który

przekazał Markowi Nelle, gdy spotkali się na parkingu. Z pewnością były w nim obie wykradzione z biblioteki książki.

– Jakiś pomysł, dokąd mogli się udać? – zapytał Claridon z tylnego siedzenia.

Mistrz wskazał wzrokiem na ekran.

– Wkrótce się dowiemy.

Wypytawszy brata postrzelonego w udo, który podsłuchiwał rozmowę Claridona w domu Larsa Nelle, de Roquefort dowiedział się, że Geoffrey był bardzo małomówny, wyczuwając intencje przybysza. Wysłanie starego człowieka na przeszpiegi okazało się więc błędem.

– Zapewniał pan, że zdobędzie te książki.

– Dlaczego są nam potrzebne? Mamy przecież dziennik. Powinniśmy skoncentrować uwagę na rozszyfrowaniu tego, co jest w naszym posiadaniu.

Być może, ale de Roqueforta niepokoił fakt, że Mark Nelle wybrał te właśnie dwa woluminy spośród tysięcy zgromadzonych w bibliotece.

– A jeśli są w nich inne informacje niż te, które znajdują się w dzienniku?

– Czy wie pan, na ile wersji tej samej informacji się natknąłem? Cała historia związana z Rennes to nieustanny ciąg sprzeczności, piętrzących się jedna na drugiej. Niech mi pan pozwoli zajrzeć do waszych archiwów. Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie, i wtedy przekonamy się wspólnie, czym dysponujemy.

Dobry pomysł, lecz niestety – wbrew temu, co przekazał zakonowi i w co zakon wierzył – de Roquefort wiedział naprawdę niewiele. Liczył na to, że poprzedni mistrz zostawi wskazane przez Regułę przesłanie dla następcy. W takim przesłaniu kolejni mistrzowie zawsze zostawiali tajne informacje, i to od czasów Jakuba de Molay.

– Będzie pan miał taką sposobność. Ale najpierw musimy zająć się tą sprawą.

Jego myśli znów pobiegły ku dwóm zabitym braciom. Ich śmierć postrzegana była przez zakonną społeczność jako omen. Jak na religijne bractwo obwarowane dyscypliną, zakon cechował się zdumiewającą wiarą w przesądy. Gwałtowna śmierć nie była czymś zwykłym, ale w ciągu paru dni wydarzyła się dwa razy. Jego przywództwo mogło być teraz podważone. Za dużo, za szybko, zapewne rozlegną się narzekania i utyskiwania. On zaś musiał wysłuchać tych wszystkich zarzutów,

ponieważ otwarcie podał w wątpliwość schedę poprzedniego wielkiego mistrza po części dlatego, że człowiek ten ignorował życzenia braci.

Poprosił kierowcę o zinterpretowanie odczytu odbiornika GPS.

– Jak daleko jest ich samochód?

– O jakieś dwanaście kilometrów od nas.

De Roquefort spojrzał przez szybę samochodu na langwedocki krajobraz. Nie było miejsca na horyzoncie, gdzie w którymś punkcie nie wznosiłaby się ku niebu jakaś wieża. U progu dwunastego stulecia templariusze zamieszkiwali licznie tę krainę, zajmując ponad jedną trzecią wszystkich ziemskich posiadłości. Cała Langwedocja powinna wtedy stać się państwem Ubogich Rycerzy Chrystusa. De Roquefort czytał o tych planach w kronikach zakonu. O tym, jak fortece, warowne posterunki, magazyny z żywnością, gospodarstwa rolne oraz klasztory były rozmieszczane strategicznie, połączone ze sobą siecią dobrze utrzymanych dróg. Siła i potęga templariuszy zdołała przetrwać przez dwieście lat, a kiedy zakon stracił szansę na lenno w Ziemi Świętej, ostatecznie oddając Jerozolimę z powrotem w ręce muzułmanów, postawił sobie za cel odniesienie sukcesu w Langwedocji. Wszystko było na dobrej drodze, kiedy Filip IV zadał śmiertelny cios. Co ciekawe, w kronikach nigdy nie pojawiła się żadna wzmianka o Rennes-le-Château. Miasteczko we wszystkich swoich poprzednich wcieleniach nie odgrywało żadnej roli ważnej dla templariuszy. W innych częściach doliny rzeki Aude znajdowały się fortyfikacje Zakonu Ubogich Rycerzy Świątyni, ale nie było żadnej warowni w Rhedae, jak w tamtych czasach nazywano zamieszkaną górę. Teraz jednak niewielka osada wydawała się być epicentrum, a wszystko z powodu pewnego ambitnego duchownego i dociekliwego amerykańskiego uczonego.

– Zbliżamy się do tego samochodu – odezwał się brat siedzący za kierownicą.

Zalecił ostrożność. Pozostali trzej bracia, których zabrał ze sobą do Rennes, wracali teraz do opactwa, jeden z raną postrzałową, po tym jak Geoffrey strzelił mu w udo. W sumie było więc trzech rannych i dwóch zabitych. Posłał też wici, zwołując kapitułę po swoim powrocie do opactwa. Miał nadzieję wyciszyć wszelkie głosy niezadowolenia, ale najpierw musiał się dowiedzieć, dokąd udała się jego zwierzyna.

– Tuż przed nami – powiedział kierowca. – Pięćdziesiąt metrów.

De Roquefort patrzył przez okno i zastanawiał się, gdzie zamierzali zbiec Malone i jego towarzystwo. Dziwne, że wybrali to miejsce.

Kierowca zatrzymał samochód, potem wysiedli.

Wokół nich znajdowały się zaparkowane samochody.

– Wyjmij odbiornik.

Ruszyli przed siebie, a po dwudziestu metrach mężczyzna, który trzymał w ręku przenośny odbiornik, zatrzymał się.

– Tutaj.

De Roquefort spoglądał zdziwionym wzrokiem na auto.

– To nie jest samochód, którym wyjechali z Rennes.

– Sygnał jest mocny.

Dał znak gestem. Drugi z braci schylił się, zajrzał pod podwozie i znalazł przyczepiony magnesem transponder.

De Roquefort pokręcił z niedowierzaniem głową i skierował wzrok na mury Carcassonne, które ciągnęły się ku niebu o jakieś dziesięć metrów przed nim. Porośnięty trawą teren wokół niego tworzył kiedyś miejską fosę. Teraz był wykorzystywany jako plac parkingowy dla tysięcy turystów, którzy przybywali tutaj każdego dnia, by obejrzeć ostatnie istniejące otoczone murami miasto z epoki wieków średnich. Kamienie wypłowiałe z upływem stuleci stały już tutaj, kiedy templariusze opanowali okoliczne ziemie. Mury były świadkami krucjaty przeciw albigensom oraz wielu innych późniejszych wojen. Nigdy też nie zostały zburzone – stanowiąc zaiste prawdziwy pomnik siły i potęgi.

Mury te niosły też przekaz odnoszący się do mądrości.

De Roquefort znał pewien lokalny mit z czasów, kiedy muzułmanie przez krótki czas przejęli panowanie nad miastem w ósmym stuleciu. Po pewnym czasie od północy najechali te ziemie Frankowie, pragnąc odzyskać prawowite dziedzictwo. Przystąpili do długiego oblężenia. W trakcie jednego z wypadów władca Maurów zginął, w rezultacie obroną obleganego miasta dowodziła jego córka. Była mądrą osobą: udawała, że ma znacznie więcej ludzi, niż miała, każąc swoim nielicznym żołnierzom biegać od baszty do baszty, wypychała też słomą szaty tych, którzy zginęli. Żywność i woda w końcu zaczęły się kończyć po obu stronach murów. W końcu księżniczka wydała rozkaz, by schwytać ostatnią lochę i nakarmić ją pełnym wiadrem zboża. Później zrzucono świniaka przez mury. Zwierzę rąbnęło z impetem o ziemię, aż mu brzuch pękł, odsłaniając żołądek

wypełniony ziarnem. Frankowie byli wstrząśnięci tym widokiem. Po tak długim oblężeniu najwyraźniej niewierni wciąż posiadali takie zapasy żywności, że mogli karmić świniaki. Odstąpili więc od oblężenia.

Była to legenda, co do tego de Roquefort nie miał wątpliwości, ale z pewnością też ciekawa opowieść o ludzkiej zmyślności.

Cotton Malone również wykazał się sprytem, przekładając elektroniczne urządzenie pod inny samochód.

– Co się stało? – zapytał Claridon.

– Zostaliśmy wystrychnięci na dudka

– To nie jest ich samochód?

– Nie, monsieur.

De Roquefort odwrócił się i ruszył z powrotem do auta. Dokąd mogli się udać? Wtedy uświadomił sobie pewną rzecz. Zatrzymał się.

– Czy Mark Nelle zna Cassiopeię Vitt?

– *Oui* – odpowiedział Claridon. – On i jego ojciec często o niej rozmawiali.

Czy możliwe, że tam właśnie się udali? Vitt w ciągu ostatnich dni trzy razy wmieszała się w ich sprawy, zawsze stając po stronie Malone’a. Być może wyczuł w niej sojusznika.

– Idziemy – polecił mistrz i ruszył ponownie w stronę samochodu.

– Co teraz zrobimy? – chciał wiedzieć Claridon.

– Wzniesiemy modły.

Stary człowiek wciąż nie ruszył z miejsca.

– O co będziemy się modlić?

– O to, by moje przeczucia okazały się trafne.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Malone poczuł, jak ogarnia go wściekłość: Henrik wiedział o wiele więcej o całej sprawie i nie puścił nawet pary z ust. Wskazał na Cassiopeię.

– Czy ona należy do twoich przyjaciół?

– Znam ją od dawna.

– Jeszcze z czasów, gdy żył Lars Nelle. Znasz ją od tamtej pory?

Thorvaldsen przytaknął.

– Czy Lars wiedział o waszej znajomości?

– Nie.

– Zatem z niego również zrobiłeś głupka.

Złość niemal odebrała Malone'owi głos.

Duńczyk wydawał się zmuszony do obrony. W końcu został zapędzony w kozi róg.

– Cotton, rozumiem twoje rozdrażnienie. Nie zawsze można mówić otwarcie o wszystkim. Należy uwzględnić wiele aspektów. Jestem pewien, że kiedy pracowałeś dla rządu USA, robiłeś dokładnie to samo.

Malone nie połknął przynęty.

– Cassiopeia obserwowała Larsa. On wiedział o jej istnieniu i uważał ją za utrapienie. Ale jej prawdziwym obowiązkiem było zapewnienie mu ochrony.

– Dlaczego więc mu po prostu o tym nie powiedziałeś?

– Lars był upartym człowiekiem. Lepiej było tak zaaranżować sprawy, żeby Cassiopeia śledziła go dyskretnie. Niestety, nie zdołała ochronić go przed sobą samym.

Stephanie wystąpiła naprzód, a na jej twarzy było widać gotowość do walki.

– Przed tym właśnie ostrzegało nasze dossier na temat Thorvaldsena. Wątpliwe motywy, płynne sojusze, oszustwo.

– Nie podobają się mi te słowa – odparł Duńczyk, gromiąc prawniczkę wzrokiem. – Zwłaszcza, że Cassiopeia zapewniała ochronę również wam obojgu.

Z tym argumentem Malone nie mógł się spierać.

– Powinieneś jednak poinformować nas o tym.

– Ale po co? O ile sobie przypominam, obydwoje mieliście wyjechać do Francji, zwłaszcza ty, Stephanie. Cóż więc osiągnęlibyśmy w ten sposób? Ja natomiast dopilnowałem, żeby Cassiopeia była na miejscu, na wypadek, gdybyście jej potrzebowali.

Malone nie zamierzał zadowolić się takim czczym wyjaśnieniem.

– Po pierwsze, Henrik, powinieneś poinformować nas o tym, co wiesz na temat Raymonda de Roquefort, którego obydwoje zapewne dobrze znacie. My zaś poruszaliśmy się po omacku.

– Niewiele jest do powiedzenia na temat – odezwała się Cassiopeia. – Kiedy Lars żył, bracia również go śledzili. Nigdy jednak nie zetknęłam się z de Roquefortem. To wydarzyło się dopiero w ciągu kilku ostatnich dni. Wiem o nim dokładnie tyle, ile pan.

– W takim razie, jakim cudem przewidziała pani jego posunięcia w Kopenhadze?

– Niczego nie przewidziałam. Śledziłam pana.

– Nie wyczułem w ogóle tam pani obecności.

– Jestem w tym dobra.

– Nie była już pani tak dobra w Awinionie. Dostrzegłem panią w kawiarni.

– Ta sztuczka z serwetką, żeby się przekonać, czy idę za wami? Chciałam, żeby pan wiedział, iż tam jestem. Kiedy zobaczyłam Claridona, wiedziałam, że de Roquefort jest gdzieś w pobliżu. Obserwował Royce’a przez lata.

– Claridon powiedział nam o pani – odparł Malone. – Ale nie rozpoznał pani w Awinionie.

– Nigdy mnie nie widział. Wie tylko tyle, ile powiedział mu Lars Nelle.

– Claridon nawet o tym nie wspomniał – włączyła się do rozmowy Stephanie.

– Jestem pewna, iż o wielu rzeczach Royce nie był łaskaw wspomnieć. Lars nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Claridon stanowił dla niego dużo większy problem, niż ja kiedykolwiek.

– Mój ojciec nie darzył pani sympatią – odezwał się Mark, nie kryjąc niechęci w głosie.

Cassiopeia otaksowała go chłodnym spojrzeniem.

– Pański ojciec był mądrym człowiekiem, ale nie dysponował głęboką znajomością ludzkiej natury. Jego światopogląd też był raczej uproszczony. Spiskowe teorie, których tropem podążał, te, które pan zgłębiał po jego śmierci, są bardziej skomplikowane niż mogliście sobie wyobrazić. To misja w poszukiwaniu wiedzy, wielu ludzi poniosło już w niej śmierć.

– Mark – odezwał się znów Thorvaldsen. – To, co mówi Cassiopeia na temat twojego ojca, jest prawdą. Jestem zresztą pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Był dobrym człowiekiem, który wierzył w to, co robi.

– Tak było rzeczywiście. Ale on również zachowywał wiele rzeczy wyłącznie dla siebie. Nie wiedziałeś, na przykład, że byliśmy bliskimi przyjaciółmi i teraz żałuję, że ty i ja nigdy nie zdołaliśmy poznać się bliżej. Ale twój ojciec chciał, żeby nasze kontakty pozostały poufne, ja zaś uszanowałem to życzenie, nawet po jego śmierci.

– Mogłeś mi powiedzieć – powiedziała z zarzutem Stephanie.

– Nie, nie mogłem.

– Dlaczego więc rozmawiasz teraz z nami o tym?

– Kiedy ty i Cotton opuściliście Kopenhagę, przyjechałem od razu tutaj. Zdałem sobie sprawę, że prędzej czy później i tak odnajdziecie Cassiopeię. Dlatego właśnie przedwczoraj wieczorem znalazła się w Rennes – żebyście zwrócili na nią uwagę. Początkowo miałem zamiar trzymać się w cieniu i nie mieliście dowiedzieć się o moich powiązaniach, ale zmieniłem zdanie. Sprawy zaszły za daleko. Musicie poznać prawdę, dlatego tu jestem i zamierzam powiedzieć wam o wszystkim.

– Jak to miło z twojej strony – odparła z sarkazmem Stephanie.

Malone patrzył w półprzymknięte oczy starca. Thorvaldsen miał rację. On również często działał na dwa fronty, wiele ryzykując. Podobnie zresztą jak Stephanie.

– Henrik, od ponad roku nie uczestniczyłem w tego rodzaju grze. Odszedłem, ponieważ nie chciałam więcej w to grać. Podłe zasady, kiepskie szanse. Teraz jestem po prostu głodny i muszę przyznać, że również zaciekawiony. Zjedzmy najpierw, a potem opowiesz nam prawdę, którą powinniśmy poznać.

Na obiad podano pieczeń z królika przyprawioną pietruszką, tymiankiem i majerankiem, do tego młode szparagi, sałatkę oraz deser porzeczkowy

z kremem waniliowym. Kiedy raczyli się smakowitym jadłem, Malone próbował ocenić sytuację. Ich gospodyni wydawała się w pełni odprężona i zrelaksowana, ale jej serdeczność nie wywarła na nim specjalnego wrażenia.

– Ostatniej nocy w pałacu walczyła pani z de Roquefortem jak równy z równym – zwrócił się do niej. – Gdzie nauczyła się pani tego rzemiosła?

– Jestem samoukiem. Ojciec w genach przekazał mi odwagę, matka natomiast pobłogosławiła mnie głębokim zrozumieniem męskiej psychiki.

Malone uśmiechnął się.

– Któregoś dnia może dokonać pani błędnej oceny.

– Cieszy mnie pańska troska o moją przyszłość. Czy jako rządowy agent choć jeden raz przewidział pan błędnie, co się stanie?

– Wielokrotnie; z tego powodu zginęli także moi koledzy po fachu.

– Czy syn Henrika też jest na tej liście?

Prztyczek z jej strony nie był mu w smak, zwłaszcza uwzględniając fakt, że nie wiedziała nic na temat tamtych wydarzeń.

– Podobnie jak tutaj, ludzie po prostu otrzymali błędne informacje. A błędne informacje prowadzą do błędnych decyzji.

– Młody mężczyzna zginął.

– Cai Thorvaldsen znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie – powiedziała stanowczo Stephanie.

– Cotton ma rację – odezwał się Henrik, przerywając na chwilę posiłek. – Mój syn zginął, ponieważ nie został ostrzeżony o grożącym mu niebezpieczeństwie. Cotton był tam na miejscu i zrobił, co było w jego mocy.

– Wcale nie sugerowałam, że wina leży po jego stronie – broniła się Cassiopeia. – Chodziło mi jedynie o to, że wydawał się zaniepokojony, gdy oceniał moje postępowanie. Zastanawiałam się, czy on potrafi kierować swoimi sprawami. Przecież w końcu sam zrezygnował.

Thorvaldsen westchnął ciężko.

– Musisz jej wybaczyć, Cotton. Ona jest osobą błyskotliwą, o artystycznej duszy, *cognoscenta* w muzyce, kolekcjonerem antyków. Ale odziedziczyła też po ojcu brak dobrych manier. Jej matka, niech Bóg ma w opiece jej cudowną duszę, była bardziej dystyngowana.

– Henrikowi wydaje się, że jest moim przybranym ojcem.

– Ma pani szczęście – odparł Malone, przyglądając się pannie Vitt z uwagą – że nie trafiłem w panią, gdy uciekała pani na motocyklu z Rennes.

– Nie sądziłam, że wydostanie się pan tak szybko z wnętrza Magdali. Jestem pewna, że zarządca posiadłości Saunière'a był głęboko poruszony faktem, że okno wieży zostało wybite. Z tego, co wiem, było oryginalne.

– Wciąż czekam na słowa prawdy, którą obiecałeś nam wyjawić – zwróciła się Stephanie do Duńczyka. – Poprosiłeś w Danii, bym patrzyła na sprawy w szerokiej perspektywie i traktując poważnie to, co myśleliście ty i Lars. Teraz przekonaliśmy się, że twoje zaangażowanie jest głębsze, niż ktokolwiek z nas zdawał sobie sprawę. Nie ulega zatem wątpliwości, że rozumiesz, skąd się wzięły nasze podejrzenia.

Thorvaldsen odłożył widelec.

– W porządku. Jaki jest zakres waszej wiedzy na temat Nowego Testamentu?

Dość dziwne pytanie – pomyślał Malone. Ale wiedział, że Stephanie jest praktykującą katoliczką.

– Między innymi zawiera cztery Ewangelie; Mateusza, Marka, Łukasza oraz Jana, opowiadające o Jezusie Chrystusie.

Thorvaldsen skinął głową.

– Historia odnosi się jednoznacznie do Nowego Testamentu w postaci, w jakiej go znamy, i twierdzi, że Ewangelie zostały zredagowane w okresie czterech pierwszych stuleci po śmierci Chrystusa w ramach upowszechniania tworzącego się przesłania chrześcijańskiego. W końcu wyraz „katolicki" oznacza „powszechny". Pamiętajcie też, że w odróżnieniu od dnia dzisiejszego, w czasach starożytnych światowa polityka i religia stanowiły jedność. Pogaństwo zanikało, judaizm zamknął się w sobie, a ludzie zaczęli szukać czegoś nowego. Wyznawcy Jezusa, którzy byli po prostu żydami inaczej patrzącymi na świat, stworzyli własną wersję Słowa Bożego, ale to samo uczynili też karpokraci, esseńczycy, naaseńczycy czy też gnostycy oraz setki innych pojawiających się sekt. Głównym powodem, dla którego katolicyzm przetrwał, kiedy wszystkie pozostałe sekty zanikły, była zdolność do narzucenia tym wierzeniom uniwersalnego charakteru. Potrafili przypisać Biblii tyle autorytetu, że w końcu nikt nie odważył się go kwestionować, by się nie narazić na

oskarżenie o herezję. W istocie rzeczy jednak z Nowym Testamentem wiążą się liczne problemy.

Biblia należała do ulubionych lektur Malone'a. Czytał ją, a także wiele analiz historycznych na jej temat, i wiedział niemal wszystko o zawartych w niej sprzecznościach i niekonsekwencjach. Każda z czterech Ewangelii stanowiła mętną mieszaninę faktów, pogłosek, legend i mitów, które, jakby tego było mało, stały się przedmiotem niezliczonych przekładów, tłumaczeń, redakcji i korekt.

– Pamiętajcie też, że Kościół chrześcijański powstawał w świecie rzymskim – wtrąciła się Cassiopeia. – Żeby przyciągnąć wyznawców, ojcowie Kościoła musieli rywalizować nie tylko z całą paletą wyznań pogańskich, ale także z własnym żydowskimi wyznaniami. Musieli też w jakiś sposób oddzielić się od nich. Jezus musiał stać się kimś więcej niż tylko prorokiem.

Malone zaczynał tracić cierpliwość.

– Cóż to ma wspólnego z tym, co dzieje się tutaj?

– Pomyślcie, co oznaczałoby dla chrześcijaństwa odnalezienie kości Jezusa – kontynuowała Cassiopeia. – Jądrem tej religii jest śmierć Chrystusa na krzyżu, jego zmartwychwstanie i późniejszym wniebowstąpienie.

– To wiara jest podstawą religii – powiedział spokojnym głosem Geoffrey.

– On ma rację – dodała Stephanie. – Na dobrą sprawę rozstrzyga o tym wiara, nie fakty.

Thorvaldsen pokręcił sceptycznie głową.

– Usuńmy na chwilę z naszego równania ten element, ponieważ wiara eliminuje również logikę. Rozważmy następującą rzecz. Jeśli mężczyzna imieniem Jezus istniał w rzeczywistości, jak to się stało, że żaden z kronikarzy wspomnianych w Nowym Testamencie nie wiedział nic o jego istnieniu? Wystarczy rozważyć dylemat natury językowej. Stary Testament jest napisany po hebrajsku. Nowy natomiast powstał przy użyciu greki, a wszelkie materiały źródłowe, jeśli nawet istniały, były zapisane po aramejsku. Oprócz tego pojawia się więc kwestia wiarygodności samych źródeł.

Mateusz i Łukasz opowiadają o kuszeniu Chrystusa na pustyni, ale Jezus był sam, kiedy to się wydarzyło. Jest jeszcze modlitwa Jezusa w Ogrójcu.

Łukasz podaje, że Chrystus zmówił ją po tym, jak opuścił Piotra, Jakuba i Jana na odległość rzutu kamieniem. Kiedy Jezus powrócił, zastał uczniów pogrążonych we śnie i został natychmiast aresztowany, a potem skazany i ukrzyżowany. Nie ma tu absolutnie żadnej wzmianki o tym, by Jezus wypowiedział choćby jedno słowo modlitwy w Ogrójcu. Nie wspomniał też nawet słowem o kuszeniu na pustyni. A jednak znamy każdy szczegół. Jakim cudem?

Ewangelie mówią o ucieczce uczniów w chwili aresztowania Jezusa, a więc żadnego nie było przy tym, szczegóły ukrzyżowania są jednak opisane w każdej z czterech Ewangelii. Skąd więc pochodzą te szczegóły? Skąd wiemy, co czynili rzymscy żołnierze, co zrobili Szymon i Piłat? Skąd autorzy Ewangelii wiedzieli o tym wszystkim? Wierni twierdzą, że wiedza ta pochodzi z Boskiego natchnienia. Ale cztery Ewangelie, inaczej zwane Słowem Bożym, są w dużym stopniu bardziej sprzeczne ze sobą niż zgodne. Dlaczego więc z Boskiej inspiracji powstało tyle sprzeczności i niezgodności?

– Może nie naszą rzeczą jest stawianie pytań – oznajmiła Stephanie.

– Daj spokój! – zaoponował Thorvaldsen. – Przykładów niespójności jest zbyt wiele, żebyśmy po prostu je zignorowali, traktując jako zamierzone. Weźmy pod rozwagę sprawy ogólne. Ewangelia Jana mówi znacznie więcej na temat spraw ignorowanych przez trzy pozostałe, tak zwane synoptyczne Ewangelie. Język, którym posługuje się Jan, także jest inny, a informacje bardziej szczegółowe. Ewangelia Jana wydaje się zupełnie innym świadectwem. Ale bardziej zasadnicze niespójności pojawiają się w tekstach Mateusza i Łukasza. Tylko ci dwaj wspominają o narodzinach Jezusa i jego przodków, lecz również oni podają odmienne wersje. Zdaniem Mateusza Jezus był arystokratą, potomkiem Dawida, z rodu królewskiego. Łukasz zgadza się co do więzów krwi z Dawidem, ale wskazuje na niższe pochodzenie. Marek natomiast poszedł w zupełnie innym kierunku i przedstawił wizerunek ubogiego cieśli.

Również narodziny Chrystusa opisywane są rozmaicie. Łukasz twierdzi, że do stajenki przyszli pasterze, Mateusz zaś nazwał ich mędrcami. Z kolei zdaniem Łukasza święta rodzina żyła w Nazarecie i udała się do Betlejem, by tam w stajence w żłobie narodził się Jezus. W relacji Mateusza natomiast rodzina mieszkała w Betlejem, gdzie Jezus się narodził – nie w stajence, ale w domu.

Lecz najwięcej sprzeczności i niespójności dotyczy ukrzyżowania. Ewangelie nie są ze sobą zgodne nawet co do daty. Jan utrzymuje, iż stało się to na dzień przed Paschą, natomiast wedle trzech pozostałych – w dzień po tym święcie. Łukasz opisuje Jezusa jako człowieka łagodnego i potulnego. Używa słowa „baranek". Mateusz ujmuje rzecz zupełnie inaczej: w jego oczach Jezus nie przynosi pokoju, lecz miecz. Nawet ostatnie słowa Zbawiciela są różne. Mateusz i Marek podają następującą wersję: „Boże, mój Boże, czemuś Mnie opuścił?", Łukasz natomiast: „Ojcze, w twoje ręce powierzam ducha mojego". Natomiast Jan ujmuje to prościej: „Wykonało się".

Thorvaldsen przerwał na moment i pociągnął łyk wina.

– Natomiast opowieść o zmartwychwstaniu wręcz roi się od sprzeczności. Każda z Ewangelii przedstawia własną wersję odnośnie do tego, kto udał się do grobu, co tam znaleziono, nawet dzień tygodnia nie jest określony jednoznacznie. A jeśli chodzi o ukazanie się Jezusa po zmartwychwstaniu, to żadna z relacji nie zgadza się w żadnym punkcie. Czy nie pomyślelibyście, że Bóg powinien być całkowicie jednomyślny, jeśli chodzi o własne Słowo?

– O różnicach między Ewangeliami napisano tysiące książek – oznajmił Malone.

– To prawda – podjął wywód Thorvaldsen. – Te niekonsekwencje pojawiają się od samego początku. W czasach starożytnych początkowo w większości je ignorowano, bowiem bardzo rzadko cztery Ewangelie pojawiały się razem. Wtedy były rozpowszechniane indywidualnie w ramach rozwijającego się chrześcijaństwa. W poszczególnych punktach jedne przypowieści wypadały korzystniej niż inne. Co zresztą, samo w sobie, w dużym stopniu tłumaczy również te różnice. Pamiętajcie, że ideą przyświecającą spisaniu Ewangelii było ukazanie Jezusa jako Mesjasza zapowiedzianego w Starym Testamencie, nie zaś stworzenie biografii, która nie budziłaby wątpliwości i byłaby nie do obalenia.

– Czyż jednak Ewangelie nie stanowiły zapisu tego, co wcześniej przekazywano w tradycji ustnej? – zapytała Stephanie. – Czy w takim razie błędy nie były rzeczą całkiem naturalną, której należało się spodziewać?

– Niewątpliwie – odparła Cassiopeia. – Pierwsi chrześcijanie wierzyli, że Jezus niebawem powróci i świat dobiegnie końca, dlatego nie dostrzegali potrzeby uwieczniania czegokolwiek na papierze. Kiedy jednak upłynęło

pięćdziesiąt lat, a Zbawiciel wciąż nie powracał, uwiecznienie losów Jezusa stało się rzeczą ważną. Wtedy to powstała pierwsza z Ewangelii, spisana ręką Marka. Mateusz i Łukasz byli następni w kolejności, zapisując swoje teksty około osiemdziesiątego roku naszej ery. Relacja Jana pojawiła się jeszcze później, pod koniec pierwszego stulecia i być może dlatego jego dzieło tak bardzo różni się od trzech pozostałych.

– Gdyby Ewangelie były całkowicie ze sobą zbieżne, czy nie budziłoby to większych podejrzeń? – wysunął argument Malone.

– Te księgi są nie tylko sprzeczne względem siebie – odparł Thorvaldsen. – Są one, w sensie dosłownym, czterema odmiennymi wersjami Słowa Bożego.

– To kwestia wiary – raz jeszcze powtórzyła Stephanie.

– I znów pojawia się to określenie – powiedziała Cassiopeia. – Kiedy natrafiamy problem z biblijnymi tekstami, rozwiązanie jest łatwe. To kwestia wiary. Panie Malone, jest pan prawnikiem. Gdyby zeznania Mateusza, Marka, Łukasza i Jana zostały przedstawione przed sądem jako dowód istnienia Jezusa, jaki werdykt wydałaby ława przysięgłych?

– Nie ulega wątpliwości, że w każdej z Ewangelii jest mowa o Jezusie.

– Dobrze, a jeśli ten sam sąd musiałby zadecydować, która z tych czterech ksiąg jest prawdziwa, jak brzmiałby jego werdykt?

Malone znał właściwą odpowiedź.

– Każda z nich jest prawdziwa.

– A zatem, w jaki sposób wyjaśniłby pan wszystkie te różnice między Ewangeliami?

Nie odpowiedział, ponieważ nie bardzo wiedział, jak.

– Ernst Scoville wykonał kiedyś taką analizę – powiedział Thorvaldsen. – Wiem o tym od Larsa. Scoville zdołał wykazać, że w każdym porównywanym fragmencie różnice pomiędzy Ewangeliami Mateusza, Marka i Łukasza wynosiły od dziesięciu do czterdziestu procent. W każdym fragmencie! W wypadku tekstu Jana Ewangelisty, który nie należy do synoptyków, procent ten jest o wiele wyższy. A więc pytanie postawione przez Cassiopeię jest zasadne, Cotton. Czy te cztery relacje mają jakąkolwiek wartość rozstrzygającą, poza potwierdzeniem faktu, że człowiek imieniem Jezus mógł rzeczywiście chodzić po tej ziemi?

Malone poczuł się zmuszony udzielić odpowiedzi.

– Czy wszystkich tych niekonsekwencji i niespójności nie dałoby się wytłumaczyć faktem, że każdy z autorów traktował w dość swobodny sposób ustną tradycję?

Thorvaldsen przytaknął.

– Takie wyjaśnienie ma sens. Ale warunkiem akceptacji tego podejścia jest to paskudne słowo „wiara”. Jak wiesz, dla milionów wyznawców Ewangelie nie stanowią w żadnym razie zapisu ustnej tradycji radykalnych Żydów, którzy tworzyli nową religię, usiłując zdobyć sobie wyznawców, pisząc na nowo stare podania, dodając lub ujmując to, co było potrzebne w konkretnym czasie. Nie. Ewangelie są Słowem Bożym, a zmartwychwstanie jest w tej religii kamieniem węgielnym. Ich zdaniem Bóg zesłał swego Syna, by umarł za nich właśnie, a później Syn zmartwychwstał ciałem i wrócił do nieba. Ten właśnie epizod pozwolił im oddzielić się od wszystkich innych pojawiających się wtedy, niczym grzyby po deszczu, religii.

Malone zwrócił się do Marka.

– Czy templariusze w to wierzą?

– Ich wyznanie wiary zawiera elementy gnostycyzmu. Wiedza jest przekazywana braciom etapami i tylko na najwyższym poziomie zakonnej hierarchii można posiąść jej pełnię. Ale nikt nie zna całej wiedzy od czasu ukrycia Wielkiego Dziedzictwa w tysiąc trzysta siódmym roku, w trakcie Czystki. Żaden z wielkich mistrzów, którzy pełnili później ten zaszczytny obowiązek, nie miał dostępu do pierwotnej zawartości archiwów i biblioteki zakonu.

Zastanowiła go jedna rzecz.

– Jakie jest obecnie ich zdanie na temat Jezusa Chrystusa?

– Templariusze traktują na równi Stary i Nowy Testament. Z ich perspektywy żydowscy prorocy w Starym Testamencie przepowiedzieli nadejście Mesjasza, a wedle autorów Nowego Testamentu przepowiednie te się wypełniły.

– To podobne do żydów – Thorvaldsen ponownie włączył się do rozmowy. – Mogę o nich mówić, gdyż sam jestem żydem. Chrześcijanie przez całe wieki twierdzili, że żydzi nie zdołali rozpoznać Mesjasza, kiedy On nadszedł, i dlatego właśnie Bóg stworzył nowy Izrael, który przyjął postać Kościoła chrześcijańskiego i który miał zająć miejsce żydowskiego Izraela.

– „Krew Jego na nas i na dzieci nasze” – wymamrotał Malone, cytując słowa Mateusza, odnoszące się do gotowości żydów przyjęcia na siebie winy.

Thorvaldsen przytaknął.

– To zdanie wykorzystywano przez dwa tysiące lat jako uzasadnienie pogromów i mordów na żydach. Czegóż ludzie mogli oczekiwać od Boga, kiedy odrzucili jego Syna jako Mesjasza? Słowa nieznanego autora tekstu ewangelicznego, bez względu na okoliczności, stały się okrzykiem bojowym morderców.

– W tej sytuacji chrześcijanie – wtrąciła się Cassiopeia – postanowili oddzielić się od przeszłości. Połowie Biblii nadali nazwę Starego Testamentu, z drugiej zaś połowy stworzyli Nowy Testament. Pierwsza część była przeznaczona dla żydów, druga dla chrześcijan. Dwanaście plemion Izraela w Starym Testamencie zastąpili dwunastoma apostołami w Nowym. Pogańskie i żydowskie wierzenia zasymilowano i zmodyfikowano. Jezus za pośrednictwem przekazu w Nowym Testamencie wypełnił proroctwa zapisane w Starym, tym samym potwierdzając, iż jest Mesjaszem. Doskonale skomponowana fabuła, prawidłowe przesłanie, przykrojone na miarę publiczności; wszystko to pozwoliło chrześcijaństwu zdominować całkowicie świat i kulturę Zachodu.

Pojawili się służący, a Cassiopeia dała znak, by uprzątnęli naczynia po obiedzie. Kieliszki ponownie napełniły się winem, podano też kawę. Gdy ostatni ze służących wyszedł, Malone zwrócił się z pytaniem do Marka:

– Czy templariusze wierzą w zmartwychwstanie Chrystusa?

– Którzy?

Dziwne pytanie. Malone wzruszył ramionami.

– Współcześni bracia Świątyni jak najbardziej. Poza paroma wyjątkami, zakon wyznaje tradycyjną katolicką doktrynę. Istnieją pewne drobne korekty, mające na celu dostosowanie do Reguły, podobnie jak to się dzieje w wypadku wszystkich zakonów. Ale w tysiąc trzysta siódmym roku? Nie mam pojęcia, w co oni wierzyli. Jak już powiedziałem, jedynie najwyżsi w hierarchii członkowie kapituły zakonnej mogli mówić na ten temat. Większość templariuszy była niepiśmienna. Nawet Jakub de Molay, ostatni wielki mistrz zakonu, nie potrafił czytać i pisać. Jedynie nieliczni bracia mieli więc wpływ na to, w co wierzyli wszyscy. Oczywiście w tamtym

czasie Wielkie Dziedzictwo było w posiadaniu zakonu, zakładam więc, że fakt, iż mogli je zobaczyć, przekładał się na ich wiarę.

– Czym zatem jest Wielkie Dziedzictwo?

– Chciałbym to wiedzieć. Informacje na ten temat zostały utracone. Kroniki mówią bardzo niewiele. Zakładam, że był to dowód prawdziwości tego, w co wierzyli Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona.

– Czy dlatego właśnie przez wieki poszukiwali Dziedzictwa? – zapytała Stephanie.

– Aż do całkiem niedawna na dobrą sprawę nie szukali. Informacje na temat lokalizacji skrytki były bardzo skąpe. Ale zmarły wielki mistrz wyjawił Geoffreyowi, iż jego zdaniem mój ojciec podążał właściwym szlakiem.

– Dlaczego de Roquefort tak bardzo pragnie je odnaleźć? – zapytał Malone Marka.

– Odnalezienie Wielkiego Dziedzictwa, w zależności od tego, czym ono się okaże, może stanowić przyczynę do ponownego wejścia zakonu na światową scenę. Wiedza ta również może w fundamentalny sposób odmienić chrześcijaństwo. De Roquefort pragnie zadośćuczynienia za krzywdy wyrządzone zakonowi. On pragnie pokazać światu, jak bardzo Kościół katolicki okazał się obłudny, pragnie też oczyścić imię zakonu.

Malone był zaskoczony.

– Co masz na myśli?

– Jedno z oskarżeń wysuniętych pod adresem zakonu w tysiąc trzysta siódmym roku mówiło o bałwochwalstwie. Rzekomo członkowie zakonu oddawali nabożną część bożkowi o brodatej głowie, lecz nikt nigdy tego nie udowodnił. A przecież nawet teraz katolicy modlą się na co dzień do różnych wizerunków, a jednym z nich jest Całun Turyński.

Malone przypomniał sobie słowa odnoszące do śmierci Chrystusa, zapisane w jednej z Ewangelii: „zdjął Jezusa [z krzyża], owinął w płótno”[8]. Symbol był do tego stopnia święty, że jeden z późniejszych papieży wydał dekret, iż msze święte powinny być zawsze odprawiane nad płóciennym obrusem. Całun Turyński, o którym wspomniał Mark, to płótno, na którym widnieje wizerunek mężczyzny o wzroście około metra osiemdziesiąt, z ostrym nosem, włosami sięgającymi do ramion, rozdzielonymi na środku głowy, z bujną brodą. Z ranami od ukrzyżowania na dłoniach, stopach i od korony cierniowej na głowie, a także śladami chłosty batogiem na plecach.

– Wizerunek na całunie – podjął temat Mark – nie przedstawia Chrystusa. To wizerunek Jakuba de Molay. Został aresztowany w październiku tysiąc trzysta siódmego roku, a w styczniu tysiąc trzysta ósmego przybito go do drzwi w paryskiej twierdzy Temple, w sposób podobny do tego, jak ukrzyżowano Chrystusa. Torturowano go za wyparcie się wiary w boskość Jezusa jako Zbawiciela. Wielki inkwizytor Francji, Wilhelm Imbert, osobiście nadzorował zadawane mu katusze. Później ciało wielkiego mistrza owinięto w lniane płótno, które zakon przetrzymywał w paryskiej Temple i wykorzystywał w trakcie ceremonii nowicjatu i przyjęcia do zakonu. Wiemy teraz, że kwas mlekowy oraz krew de Molaya stworzyły mieszaninę, która weszła w reakcję z materią tkaniny, w rezultacie pozostawiając na niej wizerunek. Istnieje też bardziej współczesny odpowiednik. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku w Anglii pewien pacjent chory na raka pozostawił na prześcieradle podobne ślady własnych kończyn.

Malone przypomniał sobie, jak pod koniec lat osiemdziesiątych Kościół zerwał ostatecznie z tradycją i pozwolił na mikroskopowe zbadanie Całunu Turyńskiego i zastosowanie metody datowania węglem. Wyniki wskazywały na to, że na tkaninie nie znaleziono śladów kredki ani pędzla. Przebarwienie znajdowało się na powierzchni płótna. Oznaczenie daty wykazało, że Całun nie pochodzi z pierwszego stulecia naszej ery, lecz z okresu między końcem XIII a połową XIV wieku. Wielu jednak oprotestowało te wyniki, uzasadniając to zanieczyszczeniem próbek bądź też wysuwając argument, że był to skutek późniejszych napraw oryginalnej tkaniny.

– Wizerunek na Całunie odpowiada fizycznie Jakubowi de Molay – oznajmił Mark. – W kronikach zakonu zachowały się opisy jego powierzchowności. Do czasu, gdy poddano go torturom, zdążyły mu urosnąć długie włosy, a broda stała się długa i zmierzwiona. Odzież, którą zerwano z ciała de Molaya, została zabrana z paryskiej Temple przez jednego z krewnych Galfryda de Charnay. De Charnay spłonął na stosie razem z nieszczęsnym de Molayem w tysiąc trzysta czternastym roku. Rodzina zatrzymała Całun jako relikwię. Po pewnym czasie zauważono, że na tkaninie utworzył się cudowny wizerunek. Całun pojawił się na medalionie, opatrzonym datą tysiąc trzysta trzydziesty ósmy rok, a po raz pierwszy wystawiono go na widok publiczny w roku tysiąc trzysta

pięćdziesiątym siódmym. Kiedy go pokazano, ludzie natychmiast skojarzyli ten wizerunek z Chrystusem, a rodzina de Charnay nie uczyniła nic, by to przekonanie skorygować. Tak było aż do końca szesnastego wieku, kiedy Kościół przejął Całun, twierdząc, iż jest to *acheropita*, czyli przedmiot niestworzony ludzką ręką, i uznając go za świętą relikwię. De Roquefort pragnie odzyskać tę relikwię. Jest ona własnością zakonu, nie Kościoła.

Thorvaldsen pokręcił z dezaprobatą głową.

– To głupota.

– Ale on tak chce.

Malone zauważył rozdrażnienie na twarzy Stephanie.

– Lekcja Biblii była zaiste fascynująca, Henrik. Ale wciąż czekam na prawdę o tym, co tutaj się dzieje.

Duńczyk uśmiechnął się.

– Jesteś naprawdę rozkoszna.

– Możesz to przypisać mojej radosnej osobowości – odparła i wyciągnęła telefon. – Pozwól, że będę z tobą szczera. Jeśli w ciągu następnych kilku minut nie uzyskam odpowiedzi, dzwonię do Atlanty. Mamy tam dossier na temat Raymonda de Roquefort, udam się więc oficjalną drogą na poszukiwania skarbu templariuszy i zakończę ten nonsens.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Malone skrzywił się, słysząc deklarację Stephanie. Od jakiegoś czasu zastanawiał się, kiedy jej cierpliwość się wyczerpie.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział Mark do matki. – Ostatnia rzecz, której nam trzeba, to wciągnięcie w to agend rządowych.

– Dlaczego nie? – zapytała Stephanie. – Można dokonać najazdu służb specjalnych na opactwo. Cokolwiek tam czynią, z pewnością nie są to praktyki religijne.

– Wręcz przeciwnie – wtrącił się Geoffrey drżącym głosem. – Panuje tam wielka pobożność. Bracia są bardzo oddani Bogu. Ich życie wypełnia oddawanie Mu czci.

– A w przerwach uczą walki wręcz oraz posługiwania się materiałami wybuchowymi i bronią z wprawą strzelca wyborowego. Czy to nie jest aby drobna sprzeczność?

– W żadnym wypadku – oświadczył Thorvaldsen. – Pierwsi templariusze byli głęboko oddani Bogu, a jednocześnie tworzyli budzącą respekt siłę zbrojną.

Stephanie najwyraźniej nie była pod wrażeniem.

– Nie żyjemy w trzynastym stuleciu. De Roquefort opracował plan, a także dysponuje potencjałem, który może wykorzystać do jego realizacji. Dzisiaj nazwalibyśmy go terrorystą.

– Nie zmieniłaś się ani na jotę – żachnął się Mark.

– Nie, nie zmieniłam się. Wciąż wierzę w to, że tajne organizacje dysponujące pieniędzmi, bronią oraz przewrażliwione na swój temat stanowią problem. Moim zadaniem jest zajmować się nimi.

– To nie dotyczy ciebie.

– W takim razie dlaczego twój mistrz wciągnął mnie w to?

Dobre pytanie, pomyślał Malone.

– Nie rozumiałaś tego, kiedy ojciec jeszcze żył, i nie rozumiesz tego teraz.

– W takim razie może zechcesz nieco mnie oświecić?

– Panie Malone – odezwała się Cassiopeia uprzejmym tonem. – Czy nie zechciałby pan obejrzeć projektu budowy zamku?

Najwyraźniej ich gospodyni miała zamiar porozmawiać z nim na osobności. Co, jeśli chodzi o niego, nawet mu odpowiadało – on również pragnął zadać jej kilka pytań.

– Z największą przyjemnością.

Cassiopeia odsunęła krzesło i wstała od stołu.

– W takim razie pokażę panu. W ten sposób wszyscy pozostali uzyskają okazję do kontynuowania rozmowy, która, jak się wydaje, powinna mieć ciąg dalszy. Proszę, czujcie się jak u siebie w domu. Pan Malone i ja wrócimy do was niedługo.

Malone podążył za panną Vitt na dwór, gdzie wciąż świeciło jaskrawe, popołudniowe słońce. Poszli ocienioną aleją, w kierunku parkingu oraz placu budowy.

– Kiedy skończymy – podjęła rozmowę Cassiopeia – trzynastowieczny zamek będzie dokładnie taki sam jak budowle sprzed siedmiuset lat.

– Ambitne przedsięwzięcie.

– Wielkie przedsięwzięcia sprawiają mi ogromną frajdę.

Weszli na plac budowy przez szeroką, drewnianą bramę i skierowali się ku budynkowi wyglądającemu na stodołę, o murach z piaskowca, z nowoczesnym centrum recepcyjnym pośrodku. Za nią unosił się zapach kurzu, koni oraz śmieci, a wokoło kręciła się co najmniej setka.

– Fundamenty zostały już wylane, a zachodnia ściana jest w tej chwili wznoszona – podjęła Cassiopeia, wskazując w tamtym kierunku. – Niebawem zaczniemy budować narożne baszty oraz budynki centralne. To jest jednak czasochłonne. Musimy najpierw wykonać cegły, obrobić kamienie, drewno i sporządzić zaprawę murarską w dokładnie taki sam sposób, w jaki czyniono to siedem wieków temu, przy użyciu tych samych metod i narzędzi, a nawet używając ubiorów z epoki średniowiecza.

– Macie też średniowieczną dietę?

– Robimy pewne ustępstwa na rzecz czasów współczesnych.

Poprowadziła go przez plac budowy, a potem stromym zboczem na szczyt niewielkiego wyniesienia, skąd rozciągał się dobry widok na cały obszar stanowiska archeologicznego.

– Często tu przychodzę. Zatrudniam ponad sto dwadzieścioro mężczyzn i kobiet w pełnym wymiarze czasu.

– Imponująca lista płac.

– To niezbyt wygórowana cena, jeśli w zamian zyskuje się szansę ujrzenia historii.

– Nosi pani przydomek *ingenieur*, prawda? Inżynier?

– Nadali mi go moi pracownicy. Zdobyłam wykształcenie w dziedzinie średniowiecznych technik budowlanych. Cały projekt wyszedł spod moich rąk.

– Z jednej strony jest pani arogancką suką, z drugiej natomiast wydaje się pani całkiem interesująca, zdaje sobie pani z tego sprawę?

– Zdaję sobie sprawę, że moja wypowiedź na temat losu syna Henrika nie była najwłaściwsza. Dlaczego wtedy pan nie ruszył do kontrataku?

– Po co? Przecież nie miała pani zielonego pojęcia, o czym pani mówi.

– Postaram się nie formułować więcej pochopnych sądów.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wątpię w to, poza tym nie jestem zbyt wrażliwy. Dużo czasu musiało minąć, zanim moja skóra stała się twarda jak u jaszczurki. Jeśli chce się przetrwać w tym biznesie, jest to niezbędne wyposażenie.

– Ale pan odszedł ze służby.

– Tak naprawdę nigdy się nie odchodzi. Po prostu rzadziej staje się na linii ognia.

– Pomaga pan Stephanie wyłącznie jako przyjaciel?

– Prawda, że to szokujące?

– W najmniejszym stopniu, tak naprawdę całkowicie to pasuje do pańkiej osobowości.

Teraz był zaciekawiony.

– Skąd pan zna moją osobowość?

– Kiedy Henrik poprosił mnie, bym się w to zaangażowała, zebrałam o panu dużo informacji. Mam przyjaciół w pańskiej byłej profesji. Wszyscy wyrażali się o panu w samych superlatywach.

– Cieszę się, że chłopcy o mnie pamiętają.

– Czy wie pan dużo na mój temat? – postawiła pytanie.

– Mam tylko ogólną charakterystykę.

– Posiadam wiele cech szczególnych.

– W takim razie pani i Henrik musicie być w niezłej komitywie.

Uśmiechnęła się.

– Jak widzę, zna go pan dobrze.

– Od jak dawna pani go zna?

– Od dzieciństwa. Znał moich rodziców. Przed wieloma laty powiedział mi o Larsie Nelle. To, czym zajmował się Lars, zafascynowało mnie. Stałam się więc aniołem stróżem badacza-marzyciela, chociaż on uważał mnie za szatana. Niestety, nie zdołałam dopomóc mu w ostatnim dniu życia.

– Czy była tam pani?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Pojechałam wtedy na południe, w góry. Byłam tu, kiedy zadzwonił Henrik i powiadomił mnie o znalezieniu jego zwłok.

– Czy on porwał się na swoje życie?

– Lars był człowiekiem pełnym smutku, to nie ulega wątpliwości. Był też sfrustrowany. Wszyscy ci amatorzy, którzy usiłowali skorzystać z jego pracy, zdeformowali jego tezy tak, że stały się nie do poznania. Zagadka, którą usiłował rozwiązać przez długi czas, pozostała do końca tajemnicą. Tak więc jest to możliwe.

– Przed czym pani go chroniła?

– Wielu ludzi usiłowało poznać szczegóły jego dociekań. W większości byli to ambitni poszukiwacze skarbów, kilku oportunistów, a w końcu pojawili się ludzie Raymonda de Roquefort. Na całe szczęście zawsze udawało mi się ukryć przed nimi moją obecność.

– De Roquefort jest teraz wielkim mistrzem.

Zmarszczyła czoło.

– To wyjaśnia, dlaczego ponowili wysiłki. Teraz on dysponuje wszystkimi siłami i środkami templariuszy.

Najwyraźniej nie wiedziała nic o Marku Nelle i o tym, gdzie spędził ostatnie pięć lat. Uzupełnił jej wiedzę.

– Mark Nelle przegrał z de Roquefortem walkę o wybór na nowego wielkiego mistrza – poinformował ją na koniec.

– Zatem to, co jest między nimi, ma charakter osobisty?

– W pewnym stopniu tak.

Ale nie do końca, pomyślał, gdy patrzył, jak w dole wóz ciągniony przez konie jedzie po wysuszonej ziemi w kierunku postawionych częściowo zamkowych murów.

– Dzisiaj są wykonywane prace na pokaz tylko dla turystów – oznajmiła, zauważając jego zainteresowanie. – To część spektaklu. Poważnymi robotami budowlanymi zajmiemy się od jutra.

– Tablica informacyjna przed rezydencją informuje, że ukończenie budowy zajmie trzydzieści lat.

– Co najmniej.

Miała rację. Rzeczywiście była osobą obdarzoną licznymi osobliwymi przymiotami charakteru.

– W Awinionie z rozmysłem upuściłam notes Larsa, żeby wpadł w ręce de Roqueforta.

Ta rewelacja nim wstrząsnęła.

– Dlaczego?

– Henrik zamierzał porozmawiać ze Stephanie i Markiem Nelle w sześcioro oczu, dlatego jesteśmy tutaj. Wyjawił mi również, że jest pan człowiekiem honoru. Ufam niewielu ludziom na tym świecie; jednym z nich jest Henrik. Wierzę więc w jego słowa i powiem panu o paru rzeczach, o których nie wie nikt inny.



Mark słuchał wyjaśnień Henrika Thorvaldsena. Jego matka też sprawiała wrażenie zainteresowanej, ale Geoffrey siedział przy stole i spoglądał w blat, niemal bez mrugnięcia okiem, zupełnie jakby wpadł w trans.

– Nadeszła pora, żebyś zrozumiała w końcu to, w co wierzył Lars – rzekł Henrik do Stephanie. – Wbrew temu, co być może sądziłaś, nie był świrem szukającym zaginionych skarbów. Za jego poszukiwaniami krył się bardzo poważny cel.

– Zignoruję twój przytyk, ponieważ chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia.

W spojrzeniu Thorvaldsena pojawiła się irytacja.

– Teoria Larsa była prosta, choć tak naprawdę nie on był jej autorem. Większą jej część sformułował Ernst Scoville, który w nowatorski sposób

spojrzał na Ewangelie Nowego Testamentu, zwłaszcza zaś te ich fragmenty odnoszące się do zmartwychwstania. Cassiopeia wspomniała już o tym.

– Zaczniemy od świętego Marka. Jego Ewangelia jest historycznie pierwsza i powstała około roku siedemdziesiątego. Być może to jedyna Ewangelia, którą dysponowali pierwsi chrześcijanie po śmierci Chrystusa. Jej tekst składa się z sześciuset sześćdziesięciu pięciu wierszy, lecz jedynie osiem z nich zostało poświęconych tematowi zmartwychwstania. Temu najbardziej znaczącemu wydarzeniu poświęcona jest jedynie krótka wzmianka. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Kiedy Marek pisał Dobrą Nowinę, opowieść o zmartwychwstaniu dopiero miała się rozwinąć, więc Ewangelia kończy się bez informacji o tym, że uczniowie uwierzyli w powstanie Jezusa z grobu. W rzeczywistości, wedle tekstu Marka, uczniowie przestraszeni pierzchli z Ogrójca. Jedynie kobiety, według relacji Marka, pojawiają się w ostatnich scenach, ponadto ignorują polecenie, by przekazały uczniom nakaz udania się do Galilei, gdzie mieliby spotkać się ze zmartwychwstałym Chrystusem. Kobiety te również reagują trwogą i uciekają od grobu, nikomu nie wyjawiając tego, co zobaczyły. Nie ma tu też aniołów. Jedynie młody mężczyzna w białych szatach, który oznajmia: „Powstał, nie ma Go tu”[9]. Nie było przy grobie żadnych strażników, nie było całunu i przede wszystkim, nie było zmartwychwstałego Pana.

Mark wiedział, że wszystko, co teraz mówi Thorvaldsen, to prawda. W swoim czasie studiował tekst tej Ewangelii wyjątkowo skrupulatnie.

Relacja Mateusza pojawiła się mniej więcej dziesięć lat później. Rzymskie oblężenie oraz zniszczenie świątyni Salomona już się wydarzyło. Wielu Izraelitów zbiegło w obszar świata hellenistycznego, w którym mówiono po grecku. Ortodoksyjni żydzi, którzy zostali w Palestynie, postrzegali nowych chrześcijan pochodzenia żydowskiego jako problem – niemal taki sam, jaki kiedyś stanowili Rzymianie. Narastała wrogość między ortodoksyjnymi żydami a Żydami chrześcijanami. Ewangelia Mateusza została prawdopodobnie napisana przez jednego z nieznanych skrybów rekrutujących się spośród żydowskich chrześcijan. Ewangelia Marka zostawiła wiele niedopowiedzianych pytań, a więc Mateusz zmienił kształt opowieści, dopasowując ją do trudnych czasów.

W jego wersji posłaniec, który przekazuje wieść o zmartwychwstaniu, staje się aniołem. Jego zejściu z nieba towarzyszy trzęsienie ziemi, a oblicze wysłannika niebios jaśnieje blaskiem błyskawicy. Strażnicy

zostają powaleni. Kamień blokujący wejście do grobu jest odsunięty i zasiada na nim anioł. Kobiety wciąż są zdjęte trwogą, lecz ustępuje ona szybko radości. Inaczej niż w wypadku kobiet z relacji Marka, te niewiasty spieszą się wyjawić uczniom, co się wydarzyło, i po drodze spotykają się ze zmartwychwstałym Chrystusem. Tu po raz pierwszy Chrystus, który powstał z grobu, zostaje opisany. Cóż jednak czynią kobiety?

– Ujmują Go za stopy i oddają Mu boską cześć – odpowiedział cichym głosem Mark. – Później Jezus ukazuje się swoim uczniom i oznajmia, że dana Mu jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Zapewnia też uczniów, że pozostanie z nimi przez wszystkie dni, do końca świata.

– Cóż za zmiana – podjął tyradę Thorvaldsen. – Żydowski Mesjasz imieniem Jezus staje się teraz Chrystusem dla świata. U Mateusza wszystko jest bardziej żywe i wyraziste, i bardziej cudowne. Potem pojawia się Łukasz, którego wersja jest datowana na rok mniej więcej dziewięćdziesiąty. W tamtym czasie żydowscy chrześcijanie oddzielili się już wyraźniej od judaizmu, a więc Łukasz w radykalny sposób modyfikuje sceny zmartwychwstania, by uwzględnić te zmiany. Niewiasty ponownie pojawiają się przy grobie, ale tym razem grób jest pusty, one zaś spieszą powiadomić o tym uczniów. Piotr powraca i widzi jedynie żałobny całun. Wtedy Łukasz opowiada historię, która nie pojawia się nigdzie indziej w Biblii. Przedstawia ona Jezusa wędrującego w przebraniu, spotykającego kilku uczniów, spożywającego z nimi posiłek. Potem, kiedy zostaje rozpoznany, znika. Jest jeszcze jedno spotkanie ze wszystkimi uczniami, kiedy nie dają wiary w jego cielesny charakter. Jezus spożywa z nimi posiłek i później znów znika. Jedynie u Łukasza napotykamy wzmiankę o wniebowstąpieniu Jezusa. Cóż więc się stało? Zmartwychwstały Jezus staje się teraz źródłem religijnego uniesienia.

Mark czytał podobne analityczne opracowania Pisma Świętego zgromadzone w bibliotece templariuszy. Uczeni bracia przez stulecia studiowali Słowo Boże, zwracając uwagę na błędy, oceniając sprzeczności i wysuwając rozmaite wnioski o licznych sprzecznościach i niespójnościach dotyczących imion, dat, miejsc i zdarzeń.

– Teraz przychodzi kolej na Jana – kontynuował Thorvaldsen. – Jego Ewangelia powstała najpóźniej, około roku setnego. Tu spotykamy tyle zmian, że można odnieść wrażenie, iż Jan opowiada o zupełnie innym Chrystusie. Miejscem narodzin nie jest już Betlejem; Jezus rodzi się

w Nazarecie. Pozostałe trzy Ewangelie mówią o trzech latach publicznej działalności, Jan opisuje tylko jeden rok. Ostatnia Wieczerza według Jana odbywa się na dzień przed Paschą – ukrzyżowanie zaś w dzień Paschy, gdy ofiarowany jest baranek. Ten fakt także różni ją od pozostałych Ewangelii. Jan przeniósł również dzień wypędzenia ze świątyni, z dnia po Niedzieli Palmowej na okres wczesnej działalności Chrystusa.

U Jana Maria Magdalena idzie samotnie do grobu i znajduje pusty grobowiec. W ogóle nie przychodzi jej na myśl możliwość zmartwychwstania, sądzi jedynie, że ktoś wykradł ciało. Dopiero kiedy powraca z Piotrem oraz drugim uczniem, dostrzega dwóch aniołów. Anioły potem przeobrażają się w Jezusa Wcielonego.

Zwróćcie uwagę, jak ten jeden szczegół, kto był przy grobie, ulega zmianom. U Marka pojawia się młody mężczyzna ubrany w białe szaty, u Mateusza jest to już jaśniejący blaskiem anioł, który u Łukasza przemienia się w dwóch aniołów, a Jan przeistacza tych dwóch aniołów w Chrystusa. Czy zmartwychwstały Pan był widziany w pierwszy dzień tygodnia, jak nauczano zawsze chrześcijan? Marek i Łukasz twierdzą, że nie, zdaniem Mateusza – tak. Natomiast u Jana najpierw nie, ale potem Maria Magdalena dostrzega Jezusa. To, co się wydarzyło, jest jasne. W miarę upływu czasu zmartwychwstanie nabiera coraz bardziej cudownego charakteru, co ma na celu dostosowanie do zmieniającego się świata.

– Jak przypuszczam – odezwała się Stephanie – nie wyznajesz zasady o nieomylności Biblii?

– W Biblii nie ma nic, co można by traktować dosłownie. Biblijna opowieść pełna jest sprzeczności i niekonsekwencji, a jedynym sposobem, który te niespójności wyjaśnia, jest odwoływanie się do wiary. To mogło wystarczyć przed tysiącem lat lub nawet przed pięciuset laty, lecz tego wyjaśnienia nie da się dłużej akceptować. Ludzkie umysły dzisiaj zadają pytania. Twój mąż zadawał pytania.

– Cóż więc Lars zamierzał uczynić?

– To, co niemożliwe – mruknął pod nosem Mark.

Matka spojrzała na niego wzrokiem, w którym, o dziwo, dostrzegł zrozumienie.

– Ale to go nie powstrzymało – odezwała się głosem niskim i melodyjnym, jakby dopiero przed chwilą pojęła prawdę, która przez długi

czas była przed nią ukryta. – On był człowiekiem, który śnił na jawie, nawet jeśli niczego wielkiego nie dokonał.

– Lecz jego sny miały podstawy – włączył się Mark. – Templariusze wiedzieli kiedyś to, co ojciec chciał poznać. Nawet dzisiaj bracia czytują teksty pism świętych, które nie wchodzą w skład Nowego Testamentu. Ewangelia Filipa, Ewangelia Barnaby, Dzieje Piotra, Ewangelia Marii oraz Didache. No i jeszcze Ewangelia Tomasza, którą templariusze uważają za najwierniej odzwierciedlającą rzeczywiste słowa Chrystusa, ponieważ tekst ten nie był przedmiotem licznych przekładów i translacji. Wiele z tych tak zwanych „heretyckich apokryfów” pozwala zyskać nowe spojrzenie i perspektywę. Tym właśnie templariusze się wyróżniali. I to stanowiło źródło ich siły. Nie bogactwa ani siła militarna, lecz wiedza.



Malone stał w cieniu wysokich topoli porastających z rzadka zbocza wzniesienia. Wiał chłodny wiatr i osłabiał nieco żar słonecznych promieni, przypominając mu jesienne popołudnie na plaży. Czekał, aż Cassiopeia wyjawi mu to, o czym nie wiedział nikt inny.

– Dlaczego pozwoliła pani, by de Roquefort wszedł w posiadanie dziennika Larsa Nelle?

– Ponieważ ten dziennik jest bezużyteczny – odparła, a w jej ciemnych oczach pojawiła się iskierka rozbawienia.

– Sądziłem, że Lars zapisywał w nim osobiste przemyślenia. Informacje, których nigdy nie opublikował. Klucz do wszystkiego.

– Niektóre z tych wpisów zawierają prawdę, lecz z pewnością notes nie jest kluczem do niczego. Lars stworzył go wyłącznie z myślą o templariuszach.

– Czy Claridon o tym wie?

– Prawdopodobnie nie. Lars był człowiekiem skrytym. Nikomu nie mówił wszystkiego. Pewnego razu stwierdził, że jedynie paranoik jest w stanie wytrzymać styl pracy, jaki on prowadzi.

– Skąd pani o tym wie?

– Henrik wiedział o tym. Lars nigdy nie mówił o szczegółach, lecz poinformował Thorvaldsena o swoich spotkaniach z templariuszami. Był nawet przekonany, iż przy paru okazjach rozmawiał z wielkim mistrzem zakonu. Rozmawiali kilka razy, lecz w końcu na scenie pojawił się de Roquefort. A on był zupełnie innym człowiekiem. Więcej było w nim agresji, mniej tolerancji. Lars stworzył więc dziennik po to, by de Roquefort mógł się na czymś skoncentrować, co zresztą przypomina mi sposób, w jaki Saunière skierował potomnych na fałszywe ślady.

– Czy poprzedni mistrz templariuszy wiedział o tym? Kiedy Mark został zabrany do opactwa, miał przy sobie notatnik. Mistrz trzymał dziennik w ukryciu i dopiero przed miesiącem wysłał go do Stephanie.

– Trudno powiedzieć. Lecz jeśli wysłał dziennik do Stephanie, nie da się wykluczyć, że przyjął założenie, iż de Roquefort zechce ruszyć w pościg za tym dokumentem. Najprawdopodobniej życzył sobie też, by w sprawę zaangażowała się Stephanie, czy więc nie był to najlepszy sposób, by ją skusić, podsuwając jej coś, czemu nie może się oprzeć?

Sprytne, przyznał w duchu. I skuteczne.

– Mistrz z pewnością przeczuwał, że ona zechce wykorzystać w tych poszukiwaniach znaczne zasoby i środki, którymi dysponuje – stwierdziła Cassiopeia.

– On nie znał Stephanie. Jest zbyt uparta. Najpierw musiała spróbować działań na własną rękę.

– Ale znalazł się pan i przyszedł jej z pomocą.

– Szczęściarz ze mnie.

– Ach, to nie jest takie złe. Inaczej przecież nigdy byśmy się nie spotkali.

– Tak jak powiedziałem, szczęściarz ze mnie.

– Potraktuję to jako komplement, w przeciwnym razie moje uczucia zostałyby zranione.

– Nie sądzę, by łatwo było panią zranić.

– Nieźle pan sobie radził w Kopenhadze – zmieniła temat. – Podobnie zresztą jak w Roskilde.

– Była pani w katedrze?

– Przez moment, ale wyszłam z kościoła, kiedy rozpoczęła się strzelanina. Inaczej nie mogłabym ukryć swojej obecności, a Henrik pragnął, bym zachowała dyskrecję.

– A gdybym nie poradził sobie z tymi ludźmi w katedrze, co wtedy?

– Ach, niech pan przestanie. Pan? – zdziwiła się, potem obdarzyła go ciepłym uśmiechem. – Niech mi pan coś powie. Jak bardzo był pan wstrząśnięty, widząc zakonnego brata zeskakującego z Rotundy?

– Nie jest to codzienny widok.

– Brat wypełnił przysięgę. Gdy znalazł się w pułapce, wolał śmierć niż ryzyko ujawnienia istnienia zakonu.

– Zakładam, że była tam pani dlatego, że powiedziałem Henrikowi o wizycie Stephanie.

– Po części. Kiedy usłyszałam o nagłym zejściu z tego świata Ernsta Scoville'a, dowiedziałam się od kilku starszych ludzi w Rennes o jego rozmowie ze Stephanie i o jej planowanym przyjeździe do Francji. Mieszkańcy Rennes to entuzjaści, spędzający dzień na grze w szachy i fantazjowaniu na temat Saunière'a. Każdy z nich żyje w śnie typowym dla zwolenników spiskowej teorii dziejów. Scoville przechwalał się, że niebawem wejdzie w posiadanie dziennika Larsa. Nie darzył sympatią Stephanie, chociaż udawał przed nią, że jest inaczej. Było oczywiste, że on także nie zdawał sobie sprawy z faktu, iż dziennik nie ma większego znaczenia. Jego śmierć wzbudziła we mnie podejrzenia, skontaktowałam się więc z Henrikiem i dowiedziałam się o wizycie Stephanie w Danii. Zdecydowaliśmy więc, że powinnam także tam pojechać.

– A Awinion?

– Miałam wtyczkę w szpitalu psychiatrycznym. Nikt nie dawał wiary temu, że Claridon oszalał. To kłamliwy, niegodny zaufania oportunista. Ale nie zbzikował. A zatem obserwowałam go, aż zjawił się pan, by go stamtąd wyciągnąć. Thorvaldsen i ja wiedzieliśmy, iż coś znajduje się w pałacowych archiwach, nie znaliśmy jednak konkretów. Jak Henrik wspomniał podczas obiadu, Mark nigdy się z nim nie spotkał. Kontakty z Markiem były dużo trudniejsze niż z jego ojcem. Prowadził poszukiwania tylko sporadycznie. Być może traktował je wyłącznie jako coś, co utrzyma przy życiu pamięć ojca. Bez względu na to, co udało mu się znaleźć, zachowywał to dla siebie. On i Claridon przez jakiś czas kontaktowali się, ale ich powiązania były raczej luźne. Potem, kiedy Mark zaginął w lawinie, a Claridon wycofał się do zakładu psychiatrycznego, Henrik i ja daliśmy za wygraną.

– Aż do teraz.

– Poszukiwania znów ruszyły, lecz tym razem jest szansa, że dokądś doprowadzą.

Malone czekał, aż Cassiopeia zechce to wyjaśnić.

– Jesteśmy w posiadaniu książki z ryciną nagrobka, mamy też litografię *Czytanie reguł Caridad*. Razem jesteśmy w stanie określić, co znalazł Saunière, ponieważ jako pierwsi posiadamy tak wiele elementów układanki.

– Co zatem zrobimy, jeśli uda nam się coś znaleźć?

– Ja, jako muzułmanka? Chciałabym objawić to światu. A jako realistka? Tego nie wiem. Dziejowa arogancja chrześcijaństwa przyprawia mnie o mdłości. Z punktu widzenia tej religii wszystkie inne wyznania są jedynie naśladownictwem. To naprawdę oburzające. Cała historia Zachodu jest zbudowana na ograniczonych, uniemożliwiających szersze spojrzenie nakazów i zakazów. Sztuka, architektura, muzyka i literatura, a nawet społeczeństwo stały się służalcze wobec chrześcijaństwa. Ten prosty ruch religijny stworzył w końcu formę, w której ukształtowała się zachodnia cywilizacja. Teraz może okazać się, że to wszystko opierało się na kłamstwie. Nie chciałby się pan tego dowiedzieć?

– Nie jestem osobą nazbyt religijną.

Wąskie usta panny Vitt znów się rozciągnęły w uśmiechu.

– Ale jest pan człowiekiem dociekliwym. Henrik wyraża się o pańskiej odwadze i intelekcie w słowach pełnych podziwu i szacunku. Bibliofil z ejdetyczną pamięcią, niezwykłe połączenie.

– Potrafię również gotować.

Nie mogła powstrzymać się od chichotu.

– Mnie nie sprowadzi pan na manowce. Odnalezienie Wielkiego Dziedzictwa z pewnością znaczyłoby dla pana wiele.

– Powiedzmy, że byłoby to najbardziej niezwykłe znalezisko w dziejach.

– Na dziś wystarczy. Zostawmy rozmowę w tym punkcie. Ale jeśli nasze poszukiwania zakończą się powodzeniem, ciekawa jestem pańskiej reakcji.

– Jest pani pewna, że istnieje coś, co można znaleźć?

Wyciągnęła rękę w kierunku odległych zarysów Pirenejów.

– To jest tam, bez wątpienia. Saunière to znalazł. My również możemy.



Stephanie kolejny raz rozważała to, co przed chwilą Thorvaldsen powiedział na temat Starego Testamentu.

– Biblia nie jest dokumentem, który należy traktować dosłownie – rzuciła wprost.

Thorvaldsen zaprzeczył ruchem głowy.

– Wiele chrześcijańskich wyznań nie zgodziłoby się z takim postawieniem sprawy. Z ich perspektywy Biblia jest Słowem Bożym.

Spojrzała na Marka.

– Czy twój ojciec był przekonany, że Biblia nie jest Słowem Bożym?

– Dyskutowaliśmy na ten temat wiele razy. Początkowo prezentowałem stanowisko typowe dla osoby wierzącej i spierałem się z nim. Lecz w miarę upływu czasu przejąłem jego poglądy. Biblia jest księgą zawierającą opowieści. Opowieści pełne chwały, zmierzające do tego, by wskazać ludziom, jak mają uczciwie i dobrze żyć. Jest w tych opowieściach nawet pewna wielkość, jeśli człowiek stosuje się do zawartych w nich moralnych nauk. Nie sądzę jednak, by musiało to być Słowo Boże. Wystarczy, że słowa te zawierają ponadczasową prawdę.

– Wyniesienie Chrystusa do statusu bóstwa stanowiło po prostu drogę do podniesienia rangi przesłania – mówił Thorvaldsen. – Po tym, jak religia przybrała zorganizowany charakter w trzecim i czwartym stuleciu naszej ery, do tych opowieści dodano tyle wątków, że stało się niemożliwe wyłuskanie jądra tego przekazu. Lars pragnął zmienić to wszystko. Chciał odnaleźć to, co znajdowało się w posiadaniu templariuszy. Kiedy po raz pierwszy dowiedział się o Rennes-le-Château, natychmiast doszedł do przekonania, że Saunière zdołał odnaleźć Wielkie Dziedzictwo zakonu. Całe życie poświęcił więc potem rozwiązywaniu zagadki Rennes.

Stephanie wciąż nie była przekonana.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że templariusze w ogóle cokolwiek ukryli? Czy ich aresztowanie nie przebiegło bardzo szybko i sprawnie? Nie mieli czasu, by cokolwiek ukryć.

– Byli przygotowani – odpowiedział Mark. – Kroniki nie pozostawiają co do tego wątpliwości. Poza tym działania Filipa IV miały też precedens. Ponad sto lat wcześniej wydarzył się pewien incydent z udziałem Fryderyka II, króla Niemiec i Sycylii. W tysiąc dwieście dwudziestym ósmym roku władca ten przybył do Ziemi Świętej jako ekskomunikowany, co oznaczało, że nie może dowodzić wyprawą krzyżową. Templariusze i joannici pozostali lojalni wobec papieża i odmówili walki pod jego rozkazami. Przy jego boku pozostali jedynie rycerze niemieccy. W końcu król po jakimś czasie zdołał wynegocjować traktat pokojowy z Saracenami, w rezultacie którego Jerozolima została podzielona. Wzgórze Świątynne, na którym kiedyś znajdowała się siedziba Ubogich Rycerzy Chrystusa, na mocy traktatu przeszło w ręce muzułmanów. Możecie sobie więc wyobrazić, jaki był stosunek templariuszy do niemieckiego króla. Był człowiekiem równie niemoralnym jak Neron i powszechnie darzono go nienawiścią. Posunął się nawet do próby uprowadzenia wielkiego mistrza zakonu. W końcu po roku tysiąc dwieście dwudziestym dziewiątym opuścił Ziemię Świętą i udał się do portu w Akce, a mieszkańcy obrzucali go po drodze odchodami. Nienawidził templariuszy za to, że odmówili mu służby, a kiedy powrócił na Sycylię, zajął posiadłości zakonu i przeprowadził aresztowania braci. Wszystko to zostało zanotowane w kronikach.

– A więc zakon był przygotowany? – upewnił się Thorvaldesn.

– Zakon już wcześniej się przekonał, co może uczynić wrogo nastawiony władca. Filip IV był podobny. Jako młody mężczyzna starał się przystąpić do templariuszy, lecz jego kandydaturę odrzucono, przez całe życie żywił więc urazę do zakonu. Na początku panowania bracia zakonni na dobrą sprawę uratowali mu skórę, kiedy podjął próbę zdewaluowania francuskiej monety, a ludność Paryża się zbuntowała. Schronił się wtedy w twierdzy Temple, później więc miał dług wobec templariuszy. A żaden monarcha nie cierpi być dłużnikiem. Niczyim. A więc owszem, w październiku tysiąc trzysta siódmego roku zakon był gotów. Niestety, nie zachowały się żadne zapisy w archiwach, które powiedziałyby nam ze szczegółami, co wtedy uczyniono – Mark znużony wpatrywał się w Stephanie. – Ojciec oddał życie, starając się rozwiązać tę tajemnicę.

– On uwielbiał poszukiwania, prawda? – rzucił Thorvaldsen.

Chociaż udzielał odpowiedzi Duńczykowi, Mark wciąż patrzył na matkę.

– To była jedna z niewielu rzeczy, które rzeczywiście dawały mu radość i satysfakcję. Pragnął zadowolić swoją żonę i siebie samego, lecz poniósł fiasko w jednym i drugim. Postanowił więc się wycofać. Zdecydował się opuścić nas wszystkich.

– Nigdy nie wierzyłam, że popełnił samobójstwo – powiedziała do syna.

– Ale nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

– Być może się dowiecie – odezwał się Geoffrey, który w tym momencie po raz pierwszy podniósł wzrok znad stołu. – Mistrz powiedział, że może poznacie prawdę o jego śmierci.

– Co wiesz na ten temat? – zapytała.

– Wiem tylko tyle, ile powiedział mi wielki mistrz.

– Co ci wyjawił na temat mojego ojca?

Z twarzy Marka przebijał gniew. Stephanie nie przypominała sobie, by kiedykolwiek skierował to uczucie na kogoś innego poza nią.

– Tego będziecie musieli dowiedzieć się sami. Ja nie wiem – odpowiedział Geoffrey głosem dziwnym, głuchym i ugodowym. – Mistrz nakazał mi tolerancję wobec twoich emocji. Dał również jasno do zrozumienia, że jesteś ode mnie wyższy rangą i że powinienem okazywać ci wyłącznie szacunek.

– Wydaje się jednak, że jesteś jedyną osobą, która zna odpowiedzi – rzekła Stephanie.

– Nie, madame. Znam jedynie podstawowe fakty. Szczegółowe odpowiedzi, jak powiedział mistrz, muszą wyjść od każdego z was.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Malone ruszył za panną Vitt w stronę przestronnego, podłużnego pomieszczenia z sufitem o widocznych krokwiach, ścianach obwieszonych gobelinami, przedstawiającymi pancerze, miecze, kopie, hełmy i tarcze. Dominował tu kominek z czarnego marmuru, a światło padało z kryształowych żyrandoli. Pozostali dołączyli do nich, przechodząc z pokoju jadalnego. Zauważył, że wszyscy mają poważne miny. Pod rzędem wielodzielnych okien stał mahoniowy stół, a na nim leżały rozrzucone książki, dokumenty oraz fotografie.

– Nadeszła pora, byśmy przekonali się czy jesteśmy w stanie wyciągnąć jakieś wnioski – zaczęła Cassiopeia. – Na tym stole znajduje się wszystko, co zdołałam zgromadzić w wiadomym temacie.

Malone opowiedział reszcie o dzienniku Larsa i o tym, że większość zawartych w nim informacji mijała się z prawdą.

– Czy to stwierdzenie odnosi się również do tego, co pisał o sobie samym? – zapytała Stephanie. – Ten człowiek – wskazała na Geoffreya – przesłał mi kilka stron z tego dziennika, stron, które wyciął z notesu wielki mistrz. Były poświęcone mojej osobie.

– Tylko pani wie, czy słowa tam zapisane są prawdą, czy też stanowią jedynie kolejny fałszywy trop – odparła Cassiopeia.

– Ona ma rację – stwierdził Thorvaldsen. – Dziennik jest w dużym stopniu pełen wiadomości nieprawdziwych. Lars napisał go, by stworzyć przynętę na templariuszy.

– To jeszcze jeden punkt, który wygodnie zdołałaś pominąć, kiedy rozmawialiśmy w Kopenhadze – odezwała się Stephanie, a w jej głosie ponownie zabrzmiało rozdrażnienie.

Duńczyk nie zraził się tym.

– Najważniejsze w tym wszystkim jest to, żeby de Roquefort pozostawał w przekonaniu, iż dziennik zawiera prawdziwe wiadomości.

Stephanie poczuła, jak przechodzi ją dreszcz.

– Ty sukinsynu! Mogliśmy zginąć, usiłując go odzyskać.

– Ale nie zginęliście. Cassiopeia miała was oboje na oku.

– I to cię niby usprawiedliwia?

– Stephanie, czy nigdy nie zatrzymywałaś dla siebie żadnych informacji, które mogłabyś przekazać agentom? – zapytał Thorvaldsen.

Ugryzła się w język.

– On ma rację – poparł go Malone. Stephanie odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w twarz. – Ile razy wyjawiałaś mi tylko część faktów? I ile razy później narzekałem, że mogłem przez to zginąć? A cóż ty odpowiadałaś? „Przywyknij do tego”. To samo dzieje się tutaj, Stephanie. Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie, lecz ja do tego przywykłem.

– Może przestaniemy się spierać i dojdziemy do jakiegoś konsensusu w kwestii znaleziska Saunière’a? – zaproponowała ugodowo Cassiopeia.

– A pani zdaniem, gdzie powinniśmy zacząć? – chciał wiedzieć Mark.

– Moim zdaniem nagrobek Marie d’Hautpoul de Blanchefort byłby doskonałym miejscem, ponieważ dysponujemy książką Stübleina, którą Henrik zakupił na aukcji – odparła panna Vitt i wskazała gestem na stół. – Otwarta na stronie z ryciną.

Wszyscy podeszli bliżej i skierowali wzrok na rysunek.

– Claridon wyjaśnił nieco na ten temat w Awinionie – zabrał głos Malone.

Potem opowiedział im o błędnej dacie – 1681 zamiast 1781, o liczbach rzymskich – MDCOLXXXI – zawierających zero oraz o pozostałych liczbach rzymskich – LIXLIXL – wyrytych w prawym dolnym rogu nagrobka.

Mark sięgnął po ołówek leżący na stole i zapisał w notesie „1681” oraz „59, 59, 50”.

– To jest konwersja tych liczb. Pomijam zero w liczbie tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden. Claridon ma rację, w cyfrach rzymskich nie ma zera.

Malone wskazał na litery greckie na płycie nagrobnej narysowanej po lewej stronie.

– Claridon stwierdził, że są to łacińskie słowa zapisane greckim alfabetem. Zamienił litery i otrzymał zdanie: *Et in Arcadia ego*, „I w Arkadii ja”. Doszedł do wniosku, że może to być anagram, ponieważ zdanie to pozbawione jest sensu.

Mark wczytał się w te słowa z dużym skupieniem, potem poprosił Geoffreya, by podał mu plecak, z którego wyciągnął ciasno zwinięty ręcznik. Rozwinął go i wyciągnął niewielką książkę. Stronice były złożone, następnie zszyte razem i oprawione – w papier welinowy, o ile Malone się nie mylił. Nigdy nie miał szansy dotknąć takiego woluminu.

– Ten inkunabuł pochodzi z biblioteki templariuszy. Odnalazłem go przed paroma laty, tuż przed swoją nominacją na seneszala. W tysiąc pięćset czterdziestym drugim roku napisał go jeden ze skrybów opactwa. To doskonała reprodukcja czternastowiecznego manuskryptu, w którym opisane są dzieje odrodzonego zakonu templariuszy, już po Czystce. Są tutaj również informacje odnoszące się do okresu od grudnia tysiąc trzysta szóstego do maja tysiąc trzysta siódmego roku, kiedy to Jakub de Molay przebywał we Francji i niewiele było wiadomo o jego poczynaniach.

Mark otworzył delikatnie kodeks i ostrożnie wertował stronice, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Malone dostrzegł łaciński tekst pełen ozdobnych zawijasów i floratur, liter łączonych ze sobą bez odrywania pióra od powierzchni papieru.

– Posłuchajcie tego:

Nasz Mistrz, wielce szacowny i godny poważania, przyjął emisariuszy papieskich 6 czerwca 1306 roku z odpowiednią pompą i kurtuazją zastrzeżoną dla gości wysokiej rangi. List, który otrzymał, oznajmiał, że Jego Świątobliwość papież Klemens V wzywa do Francji Wielkiego Mistrza de Molaya. Nasz Mistrz zamierzał zastosować się do tego wezwania i poczynił wszelkie przygotowania, lecz zanim opuścił wyspę Cypr, gdzie Zakon ustanowił swoją główną siedzibę, dowiedział się, że wezwano również Mistrza Zakonu Joannitów, ale ten odmówił wykonania tego polecenia, powołując się na potrzebę pozostania przy swoim Zakonie w okresie konfliktu. To natomiast budziło poważne podejrzenia naszego Mistrza, który zasięgnął porady członków Kapituły. Jego Świątobliwość poinstruował również naszego Mistrza, by ruszył w podróż w przebraniu i by wziął ze sobą niewielki orszak. To z kolei wzbudziło jeszcze większe niedowierzanie, ponieważ Jego Świątobliwość nie miał powodów troszczyć o to, w jaki sposób nasz Mistrz podróżuje. Następnie do

rąk naszego Mistrza trafił osobliwy dokument zatytułowany De Recuperatione Terrae Sanctae. Dotyczył odzyskania Ziemi Świętej. Manuskrypt został sporządzony przez jednego z doradców Filipa IV i przedstawiał zarys nowej wielkiej wyprawy krzyżowej pod wodzą króla wojownika, którego zadaniem było odebranie Ziemi Świętej z rąk niewiernych. Propozycja ta była wyraźnym afrontem wobec planów naszego Zakonu i sprawiła, że nasz Mistrz podał w wątpliwość ważność wezwania go na królewski dwór. Nasz Mistrz dał do zrozumienia, że w dużym stopniu nie ufał francuskiemu monarsze, chociaż byłoby głupotą i niestosownością wyrażanie tej nieufności poza murami naszej Temple. Zachowując ostrożność, choć nie był człowiekiem bojaźliwym, i jednocześnie pamiętając zdradę, której dawno temu dopuścił się Fryderyk II, nasz Mistrz opracował plan zabezpieczenia naszych dóbr oraz naszej wiedzy. Modlił się o to, by jego obawy okazały się płonne, lecz z drugiej strony nie widział żadnych powodów, żeby się nie przygotować na najgorsze. Wezwano brata Gilberta de Blanchefort i polecono mu zawczasu wywieźć skarby z twierdzy Temple. Nasz Mistrz powiedział później de Blanchefortowi następujące słowa: „My w Kapitule Zakonu jesteśmy zagrożeni. Zatem żaden z nas nie powinien wiedzieć tego, co wiesz ty. Ty zaś musisz dopilnować, by to, co wiesz, zostało przekazane innym w odpowiedni sposób”. Brat de Blanchefort, będąc mądrym mężem, przystąpił do wypełnienia tej misji i potajemnie wywiózł to, co Zakon zdołał nagromadzić. W tym dziele dopomagało mu czterech braci, którzy posługiwali się hasłem złożonym z czterech słów. Każdy z nich znał tylko jedno, to, które było ich sygnałem. ET IN ARCADIA EGO. Litery te stanowią anagram. Ustawione we właściwym porządku, dają przekaz właściwy: I TEGO ARCANA DEI.

– „Ukrywam sekrety Boga” – oznajmił Mark, tłumacząc ostatnią linijkę – Anagramy były powszechne również w czternastym wieku.

– Zatem de Molay był przygotowany? – zapytał Malone.

Mark przytaknął.

– Przyjechał do Francji z orszakiem sześćdziesięciu rycerzy, ze stu pięćdziesięcioma tysiącami złotych florenów oraz dwunastoma końmi

jucznymi obładowanymi srebrem w kruszcu. Wiedział, że szykują się kłopoty. Pieniądze miały mu kupić drogę powrotną. Ale w tej księdze znajduje się coś, co jest mało znane. Komandorem kontyngentu templariuszy w Langwedocji był seigneur de Goth. Papież Klemens V, człowiek, który wezwał mistrza de Molaya, nazywał się Bertrand de Goth. Z kolei matką papieża była Ida de Blanchefort, spokrewniona z Gilbertem de Blanchefortem. De Molay był więc dobrze poinformowany dzięki ludziom z bezpośredniego otoczenia papieża.

– Wywiad wewnętrzny jest zawsze przydatny – skomentował Malone.

– De Molay wiedział też co nieco na temat Klemensa V. Przed objęciem papieskiego tronu Klemens spotkał się z Filipem IV. Monarcha dysponował wtedy władzą tak silną, że mógł obsadzić na Piotrowym tronie każdego. Zanim posadził na nim Klemensa, ustalił sześć warunków. Większość dotyczyła bezwarunkowego wypełniania konkretnych życzeń władcy, ale szósty odnosił się do templariuszy. Filip zamierzał rozwiązać zakon, a Klemens wyraził na to zgodę.

– Ciekawy materiał – wtrąciła Stephanie – ale istotniejsze w tym momencie wydaje się to, co wiedział ksiądz Bigou. To on zlecił wykonanie nagrobka Marie. Czy wiedział o powiązaniu sekretu rodziny de Blanchefort z Ubogimi Rycerzami Chrystusa?

– Ponad wszelką wątpliwość – włączył się do dyskusji Thorvaldsen. – Bigou poznał rodzinny sekret z ust Marie d’Hautpoul de Blanchefort. Jej mąż był bezpośrednim potomkiem Gilberta de Blanchefort. Kiedy zakon znalazł się w tarapatach, a templariuszy palono na stosach, Gilbert de Blanchefort nikomu nie zdradził miejsca ukrycia Wielkiego Dziedzictwa. A więc sekret rodzinny musi wiązać się z templariuszami. Jakież może być inne wyjaśnienie?

Mark przytaknął.

– Kroniki mówią o furach, które przemierzały francuską prowincję, a każdy z nich zmierzał w kierunku południowym, strzeżony przez uzbrojonych ludzi przebranych za chłopów. Wszystkie prócz trzech dotarły bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Niestety, nie zachowała się żadna informacja na temat końcowego celu ich podróży. W kronikach zakonu znajduje się tylko jedna wzmianka: „Gdzie najlepiej ukryć kamień?”.

– W stosie kamieni – odparł Malone.

– To właśnie powtarzał nasz mistrz – dodał Mark. – Dla umysłu ludzi z czternastego wieku najbardziej oczywista kryjówka była jednocześnie najbezpieczniejszym schowkiem.

Malone spojrzał ponownie na rysunek przedstawiający nagrobek.

– A zatem Bigou zlecił wykonanie tego nagrobka, stosując zaszyfrowaną inskrypcję, za pomocą której chciał powiedzieć, iż skrywa sekrety Boga, a następnie fatygował się, by tę zakodowaną informację umieścić w publicznym miejscu. Jaki to ma sens? Co mogliśmy pominąć?

Mark sięgnął do plecaka i wyciągnął drugą księgę.

– To jest pamiętnik napisany przez jednego z marszałków zakonu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Człowiek ten badał tajemnicę Saunière'a, a w pobliskiej wiosce spotkał innego duchownego, Gélisa, który znalazł kryptogram w swoim kościele.

– Podobnie jak Saunière – dodała Stephanie.

– Racja. Gélis rozszyfrował kryptogram i chciał przekazać tę nowinę biskupowi. Marszałek podał się za przedstawiciela biskupa i skopiował łamigłówkę, ale jej rozwiązanie zachował dla siebie.

Mark pokazał im kryptogram, a Malone przyjrzał się rzędom liter i symboli.

– Zapewne rozwiązaniem jest jakaś sekwencja liczb?

Mark przytknął.

– Nie można rozwiązać łamigłówki bez znajomości klucza. Liczba możliwych kombinacji sięga miliardów.

– Taki kryptogram znajduje się też w notesie twojego ojca – oznajmił Malone.

– Wiem. Ojciec zdołał odnaleźć nieopublikowane pamiętniki Noëla Corbu.

– Powiedział nam o tym Claridon.

– Co oznacza, że de Roquefort jest teraz w jego posiadaniu – stwierdziła Stephanie. – Ale czy nie jest to element fikcji w dzienniku Larsa?

– Wszystko, czego tknął się Corbu, musi budzić podejrzenia – nie pozostawił złudzeń Thorvaldsen. – On upiększył opowieść Saunière'a, by promować swój przeklęty hotel.

– Lecz pamiętniki, które wyszły spod jego ręki… – wtrącił Mark. – Ojciec zawsze sądził, że zawierają prawdę. Corbu był blisko związany z kochanicą Saunière'a aż do jej śmierci w tysiąc dziewięćset

pięćdziesiątym trzecim roku. Wielu uważało, że wyjawiła mu co nieco. Dlatego właśnie Corbu nigdy nie opublikował manuskryptu. Jego treść była w dużym stopniu sprzeczna z jego zmyśloną wersją całej historii.

– Kryptogram w dzienniku z pewnością jest natomiast fałszywy – oznajmił Thorvaldsen. – Dokładnie tego najbardziej poszukiwał w dzienniku de Roquefort.

– Możemy mieć tylko nadzieję – skomentował Malone.

Jednocześnie spojrzał na reprodukcję litografii *Czytanie reguł Caridad*, leżącą na stole. Podniósł obrazek wielkości listu i przyglądał się badawczo literom widocznym za małym człowieczkiem w mnisim habicie, siedzącym na stołku z palcem przyłożonym do ust, nakazującym zachowanie ciszy.

ACABOCE AO
DE 1681

Coś było nie tak. Malone natychmiast porównał rycinę w książce z litografią.

Daty się różniły.

– Spędziłam dzisiejszy ranek na zdobywaniu informacji na temat tego obrazu – wyjaśniła Cassiopeia. – Znalazłam ten obrazek w internecie. Obraz został zniszczony w czasie pożaru pod koniec lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, lecz wcześniej płótno poddano konserwacji i przygotowano do wystawienia. W trakcie prac renowacyjnych odkryto, że tak naprawdę liczba tysiąc sześćset osiemdziesiąt siedem była liczbą tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden. Ale oczywiście litografię wykonano w czasie, kiedy data na obrazie nie była niewyraźna.

Stephanie pokręciła sceptycznie głową.

– To łamigłówka, która nie ma odpowiedzi. Z każdą minutą wszystko się zmienia.

– Robi pani dokładnie to, czego sobie życzył nasz mistrz – wtrącił Geoffrey, spoglądając na Cassiopeię.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Powiedział, że z chwilą, kiedy dołączy pani do zespołu, wszystko zostanie ujawnione.

Malone wpadł w konsternację.

– Ale twój mistrz specjalnie przekazał nam przestrogę: „Strzeżcie się inżyniera”.

Geoffrey wskazał ręką Cassiopeię.

– Być może miał na myśli ją.

– Co to ma znaczyć? – zdziwił się Thorvaldsen.

– Jej rasa walczyła z templariuszami przez całe dwa stulecia.

– Mówiąc prawdę, muzułmanie spuścili baty zakonnikom i wypędzili ich z Ziemi Świętej – oznajmiła Cassiopeia. – A muzułmanie hiszpańscy trzymali zakon w szachu w Langwedocji, kiedy templariusze usiłowali rozszerzyć swoje posiadłości na południe poza Pireneje. Twój mistrz miał rację. Strzeżcie się inżyniera!

– Cóż uczyniłaby pani, gdyby znalazła Wielkie Dziedzictwo? – zapytał ją Geoffrey.

– To zależy od tego, co zawierałoby znalezisko.

– Dlaczego to ma znaczenie? Dziedzictwo nie należy do was, tak czy owak.

– Jest pan całkiem dobrze zorientowany, jak na zwykłego brata w zakonie.

– Stawka jest bardzo duża, a najmniejszą z nich jest pani ambicja wykazania, że chrześcijaństwo opiera się na kłamstwie.

– Nie przypominam sobie, bym twierdziła, iż taka jest moja ambicja.

– Mistrz wiedział o tym.

Twarz Cassiopoei wykrzywiła się w grymasie – po raz pierwszy Malone dostrzegł u niej rozdrażnienie.

– Pański mistrz nie zna w ogóle moich motywów.

– Ukrywając je – podjął Geoffrey – potwierdza pani jedynie jego podejrzenia.

Panna Vitt spojrzała na Henrika.

– Ten młody człowiek może stać się problemem.

– Został wysłany przez wielkiego mistrza – powiedział Thorvaldsen. – Nie powinniśmy tego kwestionować.

– On stanowi problem – oświadczyła Cassiopeia.

– Być może tak – podjął rozmowę Mark. – Ale stanowi część tego, co się dzieje, zatem powinniśmy do niego przywyknąć.

Stała spokojna i niewzruszona.

– Czy pan mu ufa?

– To bez znaczenia – odparł Mark. – Henrik ma rację. Mistrz zaufał mu, i tylko to się liczy. Nawet jeśli dobry brat potrafi być irytujący.

Cassiopeia nie nalegała dłużej, lecz na jej twarzy pozostał cień buntu. Malone na dobrą sprawę podzielał jej przekonania.

Ponownie skierował uwagę na stół i wpatrywał się w kolorowe zdjęcia zrobione w kościele św. Marii Magdaleny. Zobaczył ogród z posągiem Matki Boskiej oraz słowa „MISJA 1891” i „SKRUCHA, SKRUCHA” wyryte na powierzchni postawionego do góry nogami wizygockiego filaru. Zaczął wertować zdjęcia z powiększeniami stacji drogi krzyżowej, zatrzymując się na moment przy stacji dziesiątej, na której rzymscy żołnierze grali w kości o płaszcz Jezusa, a na kościach widniały oczka w liczbie trzech, czterech oraz pięciu. Potem zatrzymał się jeszcze na chwilę przy stacji czternastej, na której dwóch mężczyzn w ciemności niosło ciało Chrystusa przykryte szatą.

Malone przypomniał sobie słowa Marka wypowiedziane w kościele i mimowolnie się zastanowił. Czy ci mężczyźni szli do grobu czy też go opuszczali?

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Co tu się działo, na Boga?

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

17.30

De Roquefort znalazł stanowisko archeologiczne Givors, wyraźnie zaznaczone na mapie Michelina, i zbliżył się, zachowując stosowną ostrożność. Nie chciał afiszować się ze swoją obecnością. Nawet jeśli nie było tu Malone'a i jego towarzystwa, Cassiopeia Vitt znała go. Po przyjeździe kazał więc kierowcy jechać powoli przez zarośniętą trawą łąkę służącą za parking, do chwili gdy zauważył znanego sobie peugeota z naklejką firmy wynajmującej na tylnej szybie.

– Są tutaj – oznajmił. – Zaparkuj.

Kierowca wykonał polecenie.

– Pójdę na przeszpiegi – rzekł de Roquefort do dwóch braci i Claridona. – Zaczekajcie tu i starajcie się nie pokazywać.

Krwista plama letniego słońca zachodziła już, chowając się za otaczające rezydencję wapienne mury. Wziął głęboki oddech i rozkoszował się chłodnym, rozrzedzonym powietrzem, które przypominało mu opactwo. Z pewnością znaleźli się na większej wysokości.

Rozejrzał się szybko i zauważył przesiekę otoczoną drzewami, które rzucały długie cienie i zdecydował, że ten kierunek będzie najlepszy. Postanowił jednak trzymać się z dala od otwartej drogi i ruszył między wysokimi drzewami, po kobiercu wrzosów nadającym leśnemu runu fioletowy kolor. Przyległe tereny od zawsze stanowiły domenę templariuszy. Na pobliskim wzgórzu znajdowała się jedna z największych komandorii w całych Pirenejach. To były warsztaty – miejsce, w którym bracia pracowali dniem i nocą, szykując broń dla zakonu. Wiedział, że czynili to z wielką wprawą, łącząc ze sobą drewno, skórę i metal i wyrabiając tarcze, które niełatwo było rozłupać. Prawdziwym przyjacielem rycerza był jednak miecz. Baronowie często darzyli swój oręż większym uczuciem niż małżonki, i starali się przez całe życie używać jednego i tego samego miecza. Bracia żywili podobną pasję, co zresztą

popierała Reguła. Jeśli oczekiwano od mężczyzny, iż odda życie na polu bitwy, powinien przynajmniej mieć szansę oddać ducha z własnym orężem w dłoni. Miecze templariuszy różniły się jednak od oręża baronów. Ich rękojeści nie były zdobione złoceniami ani klejnotami. W żadnej głowicy nie znajdował się kryształ zawierający relikwię. Bracia rycerze nie potrzebowali takich talizmanów, gdyż czerpali siłę z oddania Bogu i posłuszeństwa Regule. Ich towarzyszem był rumak, szybki i bystry. Każdy z rycerzy dysponował trzema zwierzętami, które codziennie karmiono, czesano i wypuszczano na wybieg. To konie między innymi przyczyniły się do rozkwitu zakonu, a stępaki i kłusaki, a zwłaszcza ciężkie wierzchowce odwzajemniały uczucia rycerzy z niedoścignioną lojalnością. De Roquefort czytał kiedyś o pewnym bracie, którego po powrocie z wyprawy krzyżowej nie rozpoznał rodzony ojciec, a natychmiast rozpoznał go wierny koń.

I wszystkie rumaki niezmiennie były ogierami. Jazda na klaczy była nie do pomyślenia. Jak to powiedział pewien rycerz? „Kobieta przynależy do kobiety”.

De Roquefort szedł dalej. Lekko zatęchły zapach gałązek i konarów pobudzał jego wyobraźnię. Niemal słyszał odgłos ciężkich kopyt, które przed wiekami zgniatały delikatne mchy i kwiaty. Usiłował usłyszeć jakiś dźwięk, lecz przeszkodziło mu cykanie świerszczy. Zdawał sobie sprawę z możliwości elektronicznych urządzeń monitorujących, lecz jak dotąd nie wyczuł obecności żadnych. Podążał wśród wysokich sosen, oddalając się od przesieki i wchodząc głębiej w las. Czuł, jak robi mu się gorąco, krople potu wypłynęły na czoło. Wysoko nad nim wśród skalnych szczelin jęczał wiatr.

Bracia rycerze – tym byli templariusze.

Podobało mu się to określenie.

Święty Bernard z Clairvaux osobiście uzasadniał istnienie Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa, gloryfikując zabijanie niechrześcijan. „Ani zadawanie śmierci innym, ani też własna śmierć, kiedy dzieje się to w imię Boga, nie jest zbrodnią, lecz raczej ma przymiot chwały. Żołnierz Chrystusa zabija pewną ręka i umiera bez cienia trwogi. Nie bez przyczyny nosi przy boku miecz. Jest on boskim narzędziem, które wymierza karę złoczyńcom i broni sprawiedliwych. Kiedy zatem zabija złoczyńców, nie dopuszcza się mordu, lecz zabija jedynie zło. Jest więc prawomocnym Chrystusowym katem”.

De Roquefort znał dobrze te słowa. Uczono ich na pamięć każdego nowicjusza. Powtarzał je w myślach, gdy patrzył, jak umierają Lars Nelle, Ernst Scoville oraz Peter Hansen. Wszyscy oni byli heretykami. Ludźmi, którzy stanęli zakonowi na drodze. Byli złoczyńcami. Teraz do tej listy mieli dołączyć kolejni. Mężczyźni i kobiety, którzy znajdowali się w tej chwili w zamku, właśnie się przed nim wyłaniającym za drzewami, pomiędzy skalnymi grzbietami.

Dzięki zdobytej wcześniej informacji de Roquefort dowiedział się nieco o tej rezydencji, zanim jeszcze wyjechali z opactwa. Kiedyś, w XVI wieku, była to królewska siedziba, jedna z licznych posiadłości Katarzyny Medycejskiej. Budowla zdołała ocaleć w okresie rewolucji francuskiej dzięki położeniu na uboczu. I pozostała pomnikiem renesansu – malownicza aranżacja wieżyczek, iglic i spadzistych dachów. Cassiopeia Vitt z pewnością była kobietą zamożną. Rezydencja taka jak ta wymagała ogromnych nakładów na remonty i utrzymanie, de Roquefort zaś wątpił, by gospodyni oprowadzała wycieczki w celu podreperowania budżetu. Nie, z pewnością była to prywatna siedziba kobiety o rogatej duszy, która już trzy razy wmieszała się w jego sprawy i którą niewątpliwie musiał się wreszcie zająć.

Oprócz tego musiał zdobyć dwie księgi znajdujące się w posiadaniu Marka Nelle.

Szybkie i pochopne działania nie wchodziły więc w grę.

Dzień z wolna dobiegał końca, długie cienie powoli opadały na zamek. De Roquefort rozważał opcje postępowania.

Musiał się upewnić, że tamci znajdują się w środku. Jego obecny punkt obserwacyjny znajdował się zbyt blisko zamku, ale w odległości dwustu metrów wypatrzył gęstą kępę brzóz, skąd miał świetny widok na frontowe wejście.

Musiał przyjąć założenie, że tamci przewidzieli jego wizytę. Po tym, co stało się w domu Larsa Nelle, z pewnością uświadomili sobie, że Claridon pracuje teraz dla niego. Ale najprawdopodobniej nie spodziewali się go tak rychło. To dawało mu przewagę. Musiał wrócić do opactwa. Członkowie kapituły oczekiwali na niego. Zwołano radę, która wymagała jego obecności.

Postanowił, że zostawi dwóch braci na straży. Póki co, powinno to wystarczyć.

Ale wróci tu.

PIĘĆDZIESIĄT

20.00

Stephanie umiała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni siedziała razem z Markiem i rozmawiała z nim. Być może nie czyniła tego od czasu, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Tak głęboka przepaść powstała pomiędzy nimi.

Teraz zaszyli się w pokoju w jednej z zamkowych wież. Zanim usiadła, Mark otworzył szeroko cztery okna wykuszowe, wpuszczając do środka rześkie wieczorne powietrze.

– Możesz w to wierzyć lub nie, ale myślę o tobie i twoim ojcu każdego dnia. Kochałam go. Ale kiedy wpakował się w całą tę historię z Rennes, całkowicie zmieniły się jego priorytety. Ta historia zupełnie go pochłonęła. A wtedy nie potrafiłam tego znieść.

– Co ja zresztą rozumiem. Naprawdę, rozumiem. Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego kazałaś mu wybierać między tobą a tym, co było dla niego tak ważne.

Jego ostry głos zabolał ją. Z wysiłkiem opanowała emocje.

– Tego dnia, kiedy go pochowaliśmy, zdałam sobie sprawę, jak bardzo się myliłam. Lecz nie byłam w stanie przywrócić go do życia.

– Nienawidziłem cię wtedy.

– Wiem.

– Potem po prostu odleciałaś do domu i zostawiłaś mnie we Francji.

– Sądziłam, że tego właśnie pragniesz.

– Tak było, ale przez ostatnie pięć lat miałem bardzo dużo czasu na przemyślenia i refleksję. Mistrz rozgryzł cię, chociaż dopiero teraz zdaję sobie sprawę, co miał na myśli, wielokrotnie wyrażając opinię na twój temat. W Ewangelii Tomasza są takie słowa Jezusa: „Ten, kto nie darzy nienawiścią ojca i matki, jak ja to czynię, nie może być moim uczniem”. Później jednak Chrystus mówi : „Ten, kto nie darzy miłością ojca i matki, jak ja to czynię, nie może być moim uczniem”. Zaczynam rozumieć sens tych przeciwstawnych zdań. Darzyłem cię nienawiścią, matko.

– Ale mimo to kochasz mnie również?

Zapadła między nimi cisza, która rozdzierała jej serce.

– Jesteś moją matką – odparł w końcu.

– To nie jest odpowiedź.

– Nic więcej ze mnie nie wyciągniesz.

Jego twarz, podobnie jak niegdyś oblicze Larsa, stanowiła gmatwaninę sprzecznych emocji. Stephanie postanowiła nie naciskać mocniej. Dawno temu straciła szansę domagać się od syna czegokolwiek.

– Czy wciąż stoisz na czele Magellan Billet? – zapytał.

Doceniła zmianę tematu.

– O ile wiem, tak. Ale być może porządnie się naraziłam w ciągu ostatnich dni. Cotton i ja niespecjalnie ukrywaliśmy swoją tożsamość.

– Można odnieść wrażenie, że jest dobry w tym, co robi.

– Najlepszy. Nie chciałam go w to angażować, lecz on się uparł. Pracował dla mnie przez długi czas.

– Dobrze mieć przyjaciół takich jak on.

– Ty również masz takiego jednego.

– Masz na myśli Geoffreya? On jest bardziej moją wyrocznią niż przyjacielem. Mistrz wymógł na nim przysięgę, by mi służył. Dlaczego? Tego nie wiem.

– Będzie cię chronił własnym ciałem. Nie mam co do tego wątpliwości.

– Nie przywykłem do tego, aby ludzie oddawali za mnie życie.

Przypomniała sobie słowa wielkiego mistrza, o tym, że Markowi brakuje determinacji, by zwyciężyć. Powtórzyła mu dokładnie słowa mistrza. Słuchał w milczeniu.

– Cóż byś uczynił, gdyby ciebie wybrano wielkim mistrzem?

– Po części ucieszyłem się, gdy przegrałem.

Najwyraźniej była zdumiona.

– Dlaczego?

– Jestem nauczycielem akademickim, nie dowódcą.

– Jesteś mężczyzną, który trafił w sam środek poważnego konfliktu. Takiego, na którego rozstrzygnięcie inni czekają.

– Mistrz miał rację, jeśli chodzi o mnie.

Spojrzała na niego z nieskrywaną pogardą.

– Twój ojciec spaliłby się ze wstydu, słysząc te słowa.

Czekała, aż Mark wybuchnie złością, ale on po prostu siedział w milczeniu. Słuchała cykania owadów na zewnątrz.

– Najprawdopodobniej zabiłem dzisiaj człowieka – powiedział Mark cichym głosem. – Jak ojciec czułby się w takiej sytuacji?

Czekała na to wyznanie. Odkąd wyjechali z Rennes, nie wypowiedział ani słowa na ten temat.

– Cotton powiedział mi o tym. Nie miałeś wyboru. Ten człowiek miał alternatywę, lecz postanowił z tobą walczyć.

– Widziałem, jak jego ciało spadało w dół. Dziwne uczucia przenikają człowieka, gdy wie, że odebrał komuś życie.

Czekała, aż powie coś więcej.

– Czułem satysfakcję, że pociągnąłem za spust, ponieważ ja przeżyłem. Ale coś w mojej duszy zamarło, ponieważ ten drugi człowiek nie przeżył.

– Życie składa się z kolejnych wyborów. Tamten człowiek dokonał niewłaściwego.

– Ty robisz to przez cały czas, prawda? Dokonujesz takich właśnie wyborów. Podejmujesz takie decyzje?

– Takie sytuacje zdarzają się codziennie.

– Nie mam dostatecznie zimnej krwi, by coś takiego znieść.

– A twoim zdaniem ja mam? – Ta sugestia ją uraziła.

– Ty mi powiedz.

– Wykonuję swoją pracę, Mark. Ten człowiek sam wybrał swój los. Nie ty.

– Nie. Wyboru dokonał de Roquefort. Wysłał tego człowieka na skraj przepaści wiedząc, że dojdzie tam do konfrontacji. To był jego wybór.

– I w tym właśnie problem z twoim zakonem. Ślepa lojalność nigdy nie jest dobra. Żaden kraj, żadna armia, żaden przywódca nigdy nie przetrwał, jeśli upierał się przy takiej niedorzeczności. Moi agenci sami dokonują wyborów.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza.

– Masz rację – wymamrotał. – Ojciec wstydziłby się za mnie.

Postanowiła zaryzykować.

– Mark, twój ojciec odszedł z tego świata. Od dawna już nie ma go między nami. Dla mnie ty również od pięciu lat byłeś martwy. Ale teraz jesteś tutaj. Czy nie ma w twoim sercu miejsca na wybaczenie?

W jej błaganiu dało się słyszeć nadzieję.

Wstał z krzesła.

– Nie, matko. Nie ma.

Po tych słowach wyszedł z pokoju.



Malone postanowił znaleźć nieco spokoju na zewnątrz zamku, w cieniu gęsto zarośniętej zielenią pergoli. Ciszę zakłócały jedynie owady, on sam zaś obserwował nietoperze latające po ciemniejącym niebie. Chwilę wcześniej Stephanie odciągnęła go na stronę i powiadomiła o telefonie do Atlanty, w którym zażądała pełnego *dossier* na temat ich gospodyni. Zdołała się dowiedzieć, iż nazwisko Cassiopei Vitt nie występuje w żadnej bazie danych dotyczącej terrorystów, zgromadzonej przez rząd Stanów Zjednoczonych. Życiorys pani na Givors nie budził niczyich zastrzeżeń, chociaż była w połowie muzułmanką, a obecnie już sam ten fakt mógł obudzić czujność tajnych służb. Była właścicielką korporacji z filiami na różnych kontynentach i centralą w Paryżu, zajmującej się rozmaitymi interesami w rozmaitych branżach. Wartość firmy obliczano na miliardy euro. Ojciec Cassiopei zainicjował budowę korporacji, córka zaś przejęła po nim kontrolę, chociaż w niewielkim stopniu angażowała się w codzienną działalność firmy. Pełniła też obowiązki przewodniczącej holenderskiej fundacji, która współpracowała ściśle z Organizacją Narodów Zjednoczonych w obszarze międzynarodowej pomocy dla chorych na AIDS oraz w walce z głodem na świecie, w szczególności w Afryce. Żaden rząd obcego państwa nie uznawał panny Vitt za zagrożenie.

Tego jednak Malone nie był pewien. Nowe zagrożenia pojawiały się każdego dnia w najprzeróżniejszych miejscach.

– Tak bardzo się pan zamyślił?

Podniósł wzrok i zobaczył, że za pergolą stoi Cassiopeia. Miała na sobie czarny dopasowany strój do jazdy konnej, w którym było jej bardzo do twarzy.

– Mówiąc prawdę, myślałem o pani.

– Schlebia mi pan.

– Tego bym nie powiedział – odparł i wskazał na jej strój. – Zastanawiałem się, gdzie pani zniknęła.

– Jeśli tylko mogę, jeżdżę konno każdego wieczoru. Dzięki temu lepiej mi się myśli.

Weszła pod zielone zadaszenie.

– Poleciłam zbudować pergolę przed laty, w hołdzie mojej matce. Ona uwielbiała przebywać pod gołym niebem.

Cassiopeia usiadła na ławce naprzeciwko Malone'a. Wyczuł, że zjawiła się tutaj nie bez przyczyny.

– Widziałam wcześniej, że gnębią pana wątpliwości w całej tej sprawie. Czy dlatego odmówił pan udziału w dyskusji nad chrześcijańską Biblią?

Nie bardzo miał ochotę rozmawiać na ten temat, lecz ona zdawała się na to właśnie czekać.

– W żadnej mierze. To dlatego, że pani wzięła w tej dyskusji udział. Można odnieść wrażenie, że każdy zamieszany w tę sprawę ma do załatwienia swój interes. Pani, de Roquefort, Mark, Saunière, Lars, Stephanie. Nawet Geoffrey, który jest nieco inny, ujmując najkrócej, też ma własne plany.

– Pozwolę sobie powiedzieć panu kilka rzeczy i być może zobaczy pan, że to nie jest sprawa osobista. Przynajmniej nie z mojej strony.

Wątpił w to, ale chciał usłyszeć, co ona ma do powiedzenia na ten temat.

– Czy wiedział pan, że w udokumentowanej źródłami historii zanotowano tylko jeden przypadek odnalezienia w całej Ziemi Świętej szkieletu osoby ukrzyżowanej?

Nie wiedział.

– Ukrzyżowanie było Izraelitom obce. Kamienowano ich, palono na stosie, ucinano im głowy bądź też ich wieszano. Prawo mojżeszowe pozwalało jedynie na to, by zbrodniarza, który wcześniej został poddany egzekucji przez powieszenie na drzewie, ukrzyżowano, co stanowiło karę dodatkową.

– „Bo wiszący jest przeklęty przez Boga" – odparł Malone, cytując Księgę Powtórzonego Prawa.

– Widzę, że zna pan swój Stary Testament.

– W Georgii chadzamy do szkół.

Uśmiechnęła się.

– Ale ukrzyżowanie było częstą formą egzekucji stosowaną przez Rzymian. Warus w czwartym roku przed narodzeniem Chrystusa ukrzyżował ponad dwa tysiące ludzi. Florus w sześćdziesiątym szóstym roku naszej ery uśmiercił w ten sposób blisko cztery tysiące osób. Z kolei Tytus cztery lata później w ciągu jednego dnia ukrzyżował pięciuset nieszczęśników. Lecz odnaleziono zaledwie jeden szkielet człowieka, który skonał na krzyżu. Było to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, nieco na północ od Jerozolimy. Wiek kości oszacowano na pierwsze stulecie, co wywołało ekscytację wielu ludzi. Ale zmarły nie był Jezusem. Miał na imię Jan, mierzył około metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów i miał około dwudziestu czterech do dwudziestu ośmiu lat. Wiemy o tym dzięki informacji zamieszczonej na jego grobie. Człowiek ten był przywiązany do krzyża, nie przybity gwoździami, i żadna z jego nóg nie została złamana. Czy rozumie pan znaczenie tego szczegółu?

Rozumiał.

– Skazańcy na krzyżu umierali na skutek uduszenia – odrzekł. – Głowa stopniowo opadała w dół, powodując odcięcie dopływu tlenu.

– Ukrzyżowanie było publicznym upokorzeniem. Ofiary nie miały umierać zbyt szybko. Aby więc opóźnić moment śmierci, wsuwano kawałek drewna pod pośladki albo też wbijano listwę pod stopy, tak żeby ukrzyżowany miał jakieś podparcie i mógł oddychać. Po upływie kilku dni, jeżeli nie doszło do śmierci z wyczerpania, żołnierze łamali skazańcowi nogi, a ten zwisał bezwładnie. Potem śmierć następowała już szybko.

Malone przypomniał sobie, co mówiły Ewangelie. Ukrzyżowana osoba nie mogła sprofanować szabatu. Żydzi pragnęli, by ciała Jezusa i dwóch przestępców, którzy zostali skazani razem z nim, zabrano jeszcze przed zapadnięciem nocy. Piłat rozkazał więc połamanie nóg obu złoczyńcom.

Cassiopeia przytaknęła.

– „Lecz kiedy podeszli do Jezusa i zobaczyli, że już umarł, nie łamali mu goleni”. To z Ewangelii Jana. Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, dlaczego Jezus zmarł tak szybko? Wisiał na krzyżu zaledwie kilka godzin. Zwykle zgon następował po paru dniach. I dlaczego rzymscy żołnierze nie złamali mu nóg dla pewności, że szybko umrze? Zamiast tego, jak twierdzi Jan, przebili włócznią jego bok, z którego wypłynęła krew i woda. Ale Mateusz, Marek ani Łukasz w ogóle nie wspominają o tym zdarzeniu.

– Do czego pani zmierza?

– Spośród dziesiątków tysięcy tych, którzy zostali ukrzyżowani, odnaleziono tylko jeden szkielet. Przyczyna jest całkiem jasna. W czasach życia Jezusa pochówek w ziemi uchodził za honor. Nie było gorszego upokorzenia niż pozostawienie ciała po śmierci zwierzętom na pożarcie. Wszystkie formy rzymskiej kary głównej (spalenie na stosie, rzucenie dzikim bestiom oraz ukrzyżowanie) miały jedną wspólną cechę. Nie pozostawało po nich ciało, które można było pogrzebać. Ofiary ukrzyżowania wisiały na krzyżu tak długo, aż ptaki oczyściły zwłoki z mięsa do samych kości. Potem szczątki skazańców wrzucano do zbiorowego grobu. A jednak wszystkie cztery Ewangelie są zgodne w jednym: Jezus zmarł w dziewiątej godzinie po ukrzyżowaniu, o trzeciej po południu, a następnie został zdjęty z krzyża i pogrzebany.

Malone zaczynał rozumieć.

– Rzymianie nie pozwoliliby, żeby tak się stało.

– W tym właśnie miejscu opowieść się komplikuje. Jezus został skazany na śmierć w chwili, gdy do szabatu pozostawało zaledwie parę godzin. A jednak skazano go na śmierć przez ukrzyżowanie; jedną z najpowolniejszych form uśmiercania. Jak oprawcy mogli sądzić, że on umrze jeszcze przed zapadnięciem nocy? W Ewangelii Marka pada stwierdzenie, iż nawet Piłat był zdumiony tak szybką jego śmiercią i zapytał centuriona, czy wszystko odbyło się zgodnie z normalnym porządkiem rzeczy.

– Ale Jezus był wcześniej torturowany, zanim przybito go do krzyża, prawda?

– Jezus był silnym młodym mężczyzną. Był przyzwyczajony do długich wędrówek w upale, przeszedł też długi post. Zgodnie z prawem wymierzono mu karę trzydziestu dziewięciu batów, ale w żadnej z Ewangelii nie ma informacji, czy otrzymał wszystkie. Później zachował jeszcze najwyraźniej dostatecznie dużo siły, by przemówić do tych, którzy go oskarżali. Niewiele więc istnieje dowodów na to, by był osłabiony. A jednak Jezus zmarł w ciągu zaledwie trzech godzin i nikt przy tym nie złamał mu goleni. Jego bok przebito włócznią.

– Proroctwo z Księgi Wyjścia. Jan mówi o tym w swojej Ewangelii. Stwierdza, że wszystkie te rzeczy się wydarzyły, zatem proroctwa Starego Testamentu zostały spełnione.

– Księga Wyjścia mówi o restrykcjach, które narzuca szabat, oraz o tym, że w ten dzień nie można wynosić mięsa poza dom. Musiało być zjedzone pod dachem i zwierzęciu przed ubojem nie wolno było łamać kości. Nie ma to nic wspólnego z Jezusem. Odniesienie Jana stanowi jedynie niezbyt przekonującą próbę nawiązania do Starego Testamentu. Oczywiście, jak już wspomniałam, w innych Ewangeliach nie spotykamy najmniejszej wzmianki o włóczni, którą przebito bok Chrystusa.

– Jeśli dobrze rozumiem pani intencje, Ewangelie się mylą?

– Żadna z informacji w nich zawartych nie ma sensu. Ewangelie są nie tylko sprzeczne ze sobą, ale nie zgadzają się także z historią, logiką ani racjonalnym rozumowaniem. Każe nam się wierzyć, że ukrzyżowany człowiek, któremu nie złamano goleni, umarł w ciągu trzech godzin, a potem pozwolono na jego honorowy pochówek. Oczywiście z religijnego punktu widzenia ma to absolutnie sens. Pierwsi teologowie usiłowali przyciągnąć wyznawców. Potrzebowali więc wyniesienia Jezusa z poziomu człowieka do pozycji Boga, Chrystusa. Wszyscy autorzy Ewangelii na pewno znali mit o Ozyrysie, małżonku bogini Izydy, który umarł w rękach zła w piątek, a trzy dni później zmartwychwstał. Dlaczegóż więc nie miał tego uczynić Jezus? Oczywiście, jeśli Chrystus miał fizycznie powstać ze zmarłych, musiał posiadać ciało, które dało się zidentyfikować. Nie mogły to być kości, oczyszczone przez ptaki z mięsa, wrzucone do zbiorowego grobu. Stąd też pojawiła się wersja z pochówkiem.

– Czy to właśnie usiłował udowodnić Lars Nelle? Że Chrystus nie powstał z grobu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że templariusze dysponowali wiedzą na ten temat. Bardzo ważną wiedzą. Na tyle ważną, by grupka dziewięciu nikomu nieznanych rycerzy przeistoczyła się w międzynarodową potęgę. Wiedza ta stanowiła podwaliny ich rozwoju i ekspansji. Wiedza, którą po stuleciach odkrył Saunière. Pragnę poznać tę wiedzę.

– Jak może istnieć dowód czegokolwiek, taki czy inny?

– Musi istnieć. Widział pan kościółek Saunière’a. Jest pełen najprzeróżniejszych wskazówek i poszlak, a wszystkie one prowadzą w jednym kierunku. Coś tam musi być. Coś na tyle ważnego, że templariusze szukają tego od wieków.

– Mówimy o mrzonkach.

– Czyżby?

Zauważył, że wieczór przeszedł już w czarną noc, a otaczające wzgórza i las tworzyły jedynie ciemniejszy zarys na tle nieba.

– Mamy towarzystwo – powiedziała szeptem.

Czekał, aż wyjawi więcej szczegółów.

– Podczas przejażdżki zauważyłam dwóch mężczyzn, jednego na północy, drugiego na południu. Obserwowali rezydencję. De Roquefort odnalazł pana szybko.

– Nie sądziłem, iż sztuczka z transponderem zatrzyma go na dłużej. Zapewne domyślił się, że zjawimy się tutaj. A Claridon pokazał mu drogę. Czy zauważyli panią?

– Nie sądzę. Byłam ostrożna.

– Cała rzecz robi się ryzykowna.

– De Roquefort działa w pośpiechu. Jest niecierpliwy, zwłaszcza jeśli czuje się oszukany.

– Ma pani na myśli dziennik?

Skinęła głową.

– Claridon w mig zorientuje się, że notes roi się od błędów.

– Ale de Roquefort znalazł nas. Jesteśmy w zasięgu jego wzroku.

– Najwyraźniej wie niewiele. W przeciwnym razie, po co zadawałby sobie trud? Wykorzystałby po prostu to, co wie, i szukałby na własną rękę. Nie, on nas potrzebuje.

Jej słowa miały sens, podobnie jak wszystko, co mówiła wcześniej.

– Wyjechała pani specjalnie, by sprawdzić, czy już tutaj są, prawda?

– Byłam przekonana, że jesteśmy obserwowani.

– Czy zawsze jest pani tak podejrzliwa?

Obróciła się twarzą do Malone’a.

– Tylko wtedy, kiedy ludzie zadają mi ból.

– Zakładam, że zaplanowała już pani odpowiednie działania?

– Owszem, mam pewien plan.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

OPACTWO DES FONTAINES
PONIEDZIAŁEK, 26 CZERWCA
00.40

De Roquefort siedział przed ołtarzem w głównej kaplicy, odziany ponownie w uroczysty biały płaszcz. Bracia wypełnili ławki przed nim, śpiewając słowa, pamiętające czasy Początku. Claridon przebywał w bibliotece, studiując dawne archiwa. Mistrz wydał instrukcje archiwiście, by pozwolił staremu durniowi zajrzeć w każdy dokument, w który zajrzeć zechce, lecz zalecił też, by miał na niego oko. Zgodnie z raportem przekazanym z Givors, goście z rezydencji Cassiopei Vitt udali się chyba na spoczynek. Jeden z braci obserwował zamek od frontu, drugi od tyłu. Ponieważ więc, póki co, niewiele można było zrobić, zdecydował, że zajmie się swoimi obowiązkami.

W szeregi zakonu miała wstąpić nowa dusza.

Przed siedmiuset laty każdy nowicjusz musiał wykazać się odpowiednim urodzeniem, nie mógł mieć długów i musiał też być fizycznie zdolny do walki. Większość z nich była stanu wolnego, ale żonaci mężczyźni również mogli dostąpić tego zaszczytu. Nie broniono go też przestępcom ani ludziom ekskomunikowanym. I jedni, i drudzy mogli zyskać odkupienie. Obowiązkiem każdego wielkiego mistrza było zapewnienie napływu świeżej krwi w szeregi bractwa. Reguła nie pozostawiała co do tego wątpliwości: „Jeśli świecki rycerz czy inny człowiek zechce porzucić ziemskie uciechy, nie brońcie im wstępu”. Lecz słowa świętego Pawła kształtowały współczesną formę przyjęcia nowicjusza: „Sprawdźcie duszę, czy pochodzi od Boga”. Kandydat, który klęczał przed de Roquefortem, podchodził do pierwszej próby wypełnienia tego warunku. W nowym mistrzu budził odrazę fakt, że tak chwalebna ceremonia musi odbywać się w mroku nocy, za zamkniętymi na trzy spusty bramami opactwa. Taki jednak był obyczaj zakonu. Schedą de Roqueforta – i pragnął, by zostało to

zanotowane w kronikach po jego śmierci – będzie przywróceniu tej ceremonii światłu dnia.

Śpiew ustał.

De Roquefort powstał z dębowego fotela, który służył za tron mistrzom od czasów Początku.

– Bracie mój – powiedział do kandydata, który klęczał przed nim z dłońmi na Biblii. – Prosisz o wielką rzecz. Widzisz jedynie fasadę naszego zakonu. Żyjemy w tym prześwietnym opactwie, jadła i picia mamy w bród. Nie brak nam odzieży, leków, zapewniamy wykształcenie, a także znajdujemy tu duchowe spełnienie. Żyjemy jednak pod rządami twardych nakazów. Trudno stać się sługą innych. Jeśli chcesz spać, może cię zbudzą. Jeśli nie śpisz, może każą ci się położyć. Nieraz każą ci iść tam, dokąd nie chcesz iść, a będziesz musiał. Marną masz szansę czynić to, czego pragniesz. Czy będziesz w stanie znieść wszystkie te ciężkie próby?

Mężczyzna, najpewniej dobiegający trzydziestki, z krótko obciętymi włosami i gładko ogoloną bladą twarzą, podniósł wzrok.

– Zniosę wszystko, co raduje Boga.

De Roquefort wiedział, że ma do czynienia z typowym kandydatem. Odnaleziono go przed kilkoma laty na uniwersytecie, a jeden z preceptorów zakonu obserwował jego rozwój, zbierając jednocześnie wywiad na temat przeszłości i rodziny. Im mniej związków, tym lepiej. Na szczęście świat pełen był zabłąkanych dusz. W końcu nawiązano bezpośredni kontakt, a ponieważ przyjęty został pozytywnie, nowicjusz zaczął powoli zgłębiać Regułę i odpowiadać na pytania, które od stuleci zadawano kandydatom. Czy był żonaty? Zaręczony? Czy kiedykolwiek złożył zobowiązanie lub przysięgę wobec innego stowarzyszenia religijnego? Czy posiada długi, których nie jest w stanie spłacić? Czy cierpi na ukryte choroby? Czy ma jakiekolwiek zobowiązania wobec jakiejś kobiety lub mężczyzny?

– Bracie mój – podjął de Roquefort, ponownie zwracając się do kandydata – w naszym bractwie nie wolno ci szukać bogactwa ni honoru, ani też cielesnych uciech. Wręcz przeciwnie, będziesz tu szukał trzech rzeczy. Po pierwsze, wyrzekniesz się grzechów tego świata. Po drugie, będziesz służył naszemu Panu. I po trzecie, będziesz ubogi i pokorny. Czy przyrzekasz Bogu i naszej Pani, że przez wszystkie dni swojego życia będziesz posłuszny wielkiemu mistrzowi tej Świątyni? Że będziesz żył w czystości, zrzekając się osobistej własności? Że będziesz stał na straży

tego domu? Że nigdy nie porzucisz zakonu, ani kiedy będziesz silny, ani też kiedy zdejmie cię słabość, ani w lepszych, ani w gorszych czasach?

Słów tych używano od Początku. De Roquefort przypomniał sobie, kiedy usłyszał je skierowane do siebie, przed trzydziestu laty. Wciąż czuł ten płomień, który wtedy w nim się zatlił. Ogień, który teraz płonął z szaleńczą intensywnością. Wstąpienie w szeregi templariuszy było czymś ważnym. Znaczyło wiele. On zaś był zdecydowany osobiście dopilnować, by każdy z kandydatów nakładających szaty w okresie jego przywództwa zrozumiał, na czym polega prawdziwe poświęcenie.

Spojrzał na klęczącego mężczyznę.

– Cóż więc powiesz, bracie?

– *De par Dieu*. W imię Boga, uczynię to.

– Czy pojmujesz, że być może będziesz musiał oddać życie?

Po tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, to pytanie stało się jeszcze bardziej istotne.

– W całej pełni.

– A dlaczegóż gotów jesteś poświęcić dla nas swe życie?

– Ponieważ mój mistrz tego zażądał.

Właściwa odpowiedź.

– Czy uczyniłbyś to bez oporu?

– Stawianie oporu byłoby złamaniem Reguły. Moim obowiązkiem jest posłuszeństwo.

De Roquefort dał znak bławatnikowi, który z drewnianego kufra wyciągnął długi kawałek płótna o skośnym splocie.

– Powstań – powiedział do nowicjusza.

Młody mężczyzna wstał. Czarny habit zakrywał jego szczupłą sylwetkę od ramion aż po bose stopy.

– Zdejmij tę szatę – polecił mistrz.

Nowicjusz ściągniął habit przez głowę. Pod spodem miał białą koszulę i czarne spodnie.

Bławatnik podszedł z płótnem i stanął z boku.

– Zdjąłeś szatę materialnego świata – oświadczył uroczyście de Roquefort. – Teraz owiniemy cię w całun naszego bractwa i uczcimy twoje ponowne narodziny jako brata w naszym zakonie.

Znowu dał znak, a bławatnik wystąpił do przodu i owinął postulanta tkaniną. De Roquefort nieraz widział, jak w tym momencie oczy dorosłych

mężczyzn wypełniają się łzami. Sam musiał się zmagać ze swoimi emocjami, kiedy tą samą tkaniną owijano jego ciało. Nikt nie wiedział dokładnie, ile lat ma ten całun, lecz z pewnością jedna z takich tkanin była przechowywana w tym kufrze od Początków. De Roquefort znał dobrze historię jednego z płócien – tego, którym owinięto członki Jakuba de Molay po tym, jak został ukrzyżowany na drzwiach w paryskiej twierdzy Temple. Leżał później tak przez dwa dni, na skutek zadanych mąk i odniesionych ran zbyt słaby, by nawet się podnieść. Wtedy to bakterie i substancje chemiczne wydzielane przez ciało zabarwiły włókna tkaniny. W ten sposób powstał wizerunek na płótnie, który pięćdziesiąt lat później łatwowierni chrześcijanie zaczęli czcić jako odbicie ciała Chrystusa.

De Roquefort zawsze uważał, że to sprawiedliwy zbieg okoliczności. Wielki mistrz templariuszy – przywódca zakonu podejrzanego o herezję – stał się wzorcem, na którego podstawie późniejsi artyści tworzyli wizerunek twarzy Chrystusa.

Spojrzał na zebranych.

– Widzicie przed sobą brata, który dopiero co został przyjęty w nasze szeregi. Ma na sobie całun symbolizujący ponowne narodziny. Tej chwili doświadczył każdy z nas, ona łączy nas z resztą braci. Kiedy wybraliście mnie na wielkiego mistrza, obiecałem wam nową epokę, nowy zakon oraz podążenie w nowym kierunku. Obiecałem wam, że prawdę, którą zna tak niewielu, poznają wszyscy. Zobowiązałem się również do odnalezienia Wielkiego Dziedzictwa.

Zrobił krok do przodu.

– W naszych archiwach w tej chwili znajduje się człowiek, który posiada potrzebną nam wiedzę. Niestety, gdy nasz poprzedni wielki mistrz nie czynił nic, inni, którzy nie są członkami zakonu, kontynuowali poszukiwania. Osobiście śledziłem ich poczynania, obserwowałem ich posunięcia, czekając na właściwy moment, kiedy trzeba będzie włączyć się do akcji – oznajmił, potem przerwał na chwilę. – Ten czas nadszedł. W tej chwili poza murami jest już kilku braci, a kolejni z was pójdą ich śladem.

Gdy mówił, jego wzrok podążył na drugą stronę nawy w stronę kapelana. Człowiek ten był Włochem o poważnym obliczu, najwyższym rangą członkiem zakonu posiadającym kapłańskie święcenia. Kapelan kierował duchownymi, którzy stanowili mniej więcej jedną trzecią braci i życie swe poświęcili całkowicie Chrystusowi. Słowa kapłana były ważkie, zwłaszcza

uwzględniając fakt, iż odzywał się raczej rzadko. Ostatnio, kiedy zwołano posiedzenie kapituły, wyraził głośno swoje zaniepokojenie niedawnymi przypadkami śmierci.

– Posuwasz się zbyt szybko – oznajmił.

– Robię to, czego pragnie zakon.

– Robisz to, czego sam pragniesz.

– Czy to jakaś różnica?

– Twoje słowa brzmią tak samo jak słowa poprzedniego mistrza.

– Pod tym względem miał rację. I chociaż nie zgadzałem się z nim pod wieloma innymi względami, okazywałem mu posłuszeństwo.

De Roquefortowi nie podobał się bezpośredni ton młodszego mężczyzny, zwłaszcza że działo się to w obecności pozostałych członków kapituły, ale wiedział, że wielu z nich darzy kapelana szacunkiem i poważaniem.

– Cóż więc chcesz, żebym uczynił?

– Nie dopuść do śmierci kolejnych braci.

– Bracia są świadomi, że w razie potrzeby będą musieli oddać życie.

– Nie żyjemy w wiekach średnich. Nie wyruszamy na krucjatę. Ci ludzie poświęcili życie Bogu i przysięgli posłuszeństwo tobie na dowód swego poświęcenia. Nie masz prawa stawiać na szali ich życia.

– Zamierzam odnaleźć nasze Wielkie Dziedzictwo.

– Ale po co? Przetrwaliśmy bez niego przez siedemset lat. Dziedzictwo nie ma dla nas znaczenia.

Te słowa wstrząsnęły wielkim mistrzem.

– Jak możesz mówić takie rzeczy? To nasza scheda.

– Co może dzisiaj oznaczać?

– Nasze zbawienie.

– Już jesteśmy zbawieni. Wszyscy zgromadzeni tu bracia mają czyste dusze.

– Ten zakon nie zasłużył na banicję.

– Sami nałożyliśmy sobie tę banicję. I jest nam z tym dobrze.

– Mnie nie jest.

– W takim razie to jest twoja walka, nie nasza.

De Roquefort czuł, że wzbiera w nim gniew.

– Nie mam zamiaru tolerować żadnych głosów sprzeciwu!

– Mistrzu, nie upłynął jeszcze tydzień, a wydaje się, że zapomniałeś już, skąd przychodzisz.

Zerkał teraz na kapelana, usiłując rozszyfrować wyraz jego twarzy. Słowa wtedy wypowiedziane traktował z całkowitą powagą. Nie miał zamiaru pozwolić, by ktokolwiek otwarcie mu się sprzeciwiał. Zamierzał odnaleźć Wielkie Dziedzictwo bez względu na wszystko. Odpowiedź znajdowała się w rękach Royce'a Claridona oraz ludzi, którzy przebywali teraz w rezydencji Cassiopei Vitt.

Postanowił więc zignorować obojętny wyraz twarzy kapelana i skoncentrował się na pozostałych członkach kapituły, którzy siedzieli wokół niego.

– Bracia moi. Pomódlmy się za powodzenie naszych wysiłków.

PIĘĆDZIESIĄ DWA

1.00

Malone był teraz w Rennes i przechadzał się wzdłuż nawy kościoła św. Marii Magdaleny. Pewien krzykliwy szczegół wciąż nie dawał mu spokoju. Nawa była pusta, jeśli nie liczyć stojącego przed ołtarzem mężczyzny ubranego w czarną sutannę. Kiedy mężczyzna obrócił się, jego twarz okazała się znajoma.

Bérenger Saunière.

– Co pan tutaj robi? – zapytał Saunière oschłym tonem. – To mój kościół, moje dzieło. Tylko moje.

– Jakim sposobem pańskie?

– To ja wykorzystałem szansę. Nikt inny. Tylko ja.

– Szansę na co?

– Ci, którzy stawiają wyzwanie światu, narażają się na ryzyko.

Potem Malone zauważył ziejącą dziurę w posadzce, tuż przed ołtarzem, oraz schody prowadzące w czarną jak smoła ciemność.

– Co jest tam na dole? – zapytał.

– Pierwszy stopień do poznania prawdy. Bóg błogosławi wszystkich tych, którzy chronią prawdę. Niech Bóg błogosławi ich hojność i szczodrość.

Mury kościoła nagle się rozpłynęły i Malone znalazł się na porośniętym drzewami placu, który rozciągał się przed ambasadą Stanów Zjednoczonych w Mexico City. Ludzie biegli we wszystkich kierunkach, wkoło słychać było klaksony oraz ryk samochodowych silników.

Potem padły strzały.

Oddano je z auta, które gwałtownie zahamowało. Wyskoczyli z niego mężczyźni. Strzelali do kobiety w średnim wieku i młodego duńskiego dyplomaty, którzy spożywali obiad w cieniu drzew. Żołnierze piechoty morskiej strzegący ambasady zareagowali, lecz znajdowali się zbyt daleko.

Malone sięgnął po pistolet i zaczął strzelać.

Ciała upadły na chodnik. Głowa Caia Thorvaldsena eksplodowała, gdy dosięgły go kule, które miały trafić w kobietę. Malone zastrzelił dwóch mężczyzn, którzy rozpoczęli jatkę, potem poczuł rwący ból w barku, gdy kula przeszyła jego ramię.

Szarpiący ból targnął jego zmysłami.

Krew tryskała z rany.

Zachwiał się, cofnął, ale zdołał jeszcze zastrzelić napastnika. Pocisk wbił się w ciemną twarz, która ponownie przeistoczyła się w oblicze Bérengera Saunière.

– Dlaczego pan do mnie strzelił? – zapytał Saunière spokojnym głosem.

Ściany kościoła ponownie przybrały realny kształt, a wraz z nimi pojawiły się stacje drogi krzyżowej. Spojrzał na skrzypce, które leżały na jednej z ławek. Na strunach leżała metalowa patena. Saunière uniósł się w powietrze, przesunął się nad ławkami i posypał patenę piaskiem. Następnie pociągnął smyczkiem po strunach; rozległy się ostre dźwięki, a piasek ułożył się w jakiś dziwny wzór.

Saunière uśmiechnął się.

– Jeśli patena nie drga, ziarna piasku nie przemieszczają się. Przy zmianie wibracji układa się nowy wzór. Za każdym razem inny.

Posążek Asmodeusza o wykrzywionej twarzy ożywił się. Przypominający diabła stwór opuścił kropielnicę i podryfował w ich kierunku.

– To miejsce jest okropne – oznajmił demon.

– Nie jesteś tu mile widziany – wykrzyknął Saunière.

– Dlaczego więc umieściłeś tu mój posążek?

Saunière nie odpowiedział. Z cienia wyłoniła się kolejna postać. Mały człowiek w brązowym habicie z obrazu *Czytanie reguł Caridad*. Jego palec wciąż przyłożony był do ust, nakazując zachowanie ciszy. Karzeł niósł też ze sobą drewniany stołek z widocznym napisem: „ACABOCE A^0 1681”.

Palec karła odsunął się od ust.

– Jestem alfą i omegą, początkiem i końcem – odezwał się mnich.

Potem zniknął.

Pojawiła się postać kobieca z niewyraźną twarzą, ubrana w czarne szaty bez ozdób.

– Zna pan mój grób – powiedziała do Malone’a.

Marie d’Hautpoul de Blanchefort.

– Czy boi się pan pająków? – zapytała. – Nie wyrządzą panu krzywdy.

Na jej torsie pojawiły się rzymskie cyfry, jaśniejące niczym słońce. LIXLIXL. Pod nimi zmaterializował się pająk, taki sam jak na nagrobku Marie. Pomiędzy jego odnóżami widać było siedem punktów. Ale przy głowie tych punktów nie było. Marie przejechała palcem wzdłuż linii od szyi, przez kibić i jaśniejące litery, aż po wizerunek pająka. W ślad za jej palcem pojawiła się strzałka.

Taka sama strzałka z dwoma grotami jak na nagrobku.

Malone unosił się w powietrzu. Wyleciał z kościoła. Przeniknął przez ściany, przemknął nad dziedzińcem i dotarł do ogrodu, gdzie znajdowała się figura Matki Boskiej ustawiona na filarze z epoki Wizygotów. Kamień nie był już wyblakły i szary ani zwietrzały od upływu czasu. Teraz słowa „SKRUCHA, SKRUCHA” oraz „MISJA 1891” świeciły pełnym żaru blaskiem.

Asmodeusz pojawił się ponownie.

– Tym znakiem będziesz z nim walczył – rzekł.

Przed filarem Wizygotów leżały zwłoki Caia Thorvaldsena. Spod nich wystawał fragment poplamionego olejem asfaltu, szkarłatny teraz od krwi, a kończyny zabitego leżały pod nienaturalnym kątem, podobnie jak kończyny Czerwonej Kurtki pod Rotundą w Kopenhadze. Oczy zabitego były otwarte i wciąż widniał w nich wyraz zdumienia i szoku.

Malone usłyszał jakiś głos. Ostry, chrypliwy, mechaniczny. Zobaczył odbiornik telewizyjny, a w nim mężczyznę z wąsikiem podającego najnowsze wiadomości i relacjonującego sprawę zabójstwa meksykańskiej prawniczki i duńskiego dyplomaty; mordu, którego przyczyny nie były jeszcze wyjaśnione.

Na koniec podał bilans strzelaniny.

– Siedmiu zabitych, dziewięciu rannych.

Malone zbudził się.

Już wcześniej śniła mu się śmierć Caia Thorvaldsena – nawet wiele razy, mówiąc prawdę – lecz nigdy nie w powiązaniu z Rennes-le-Château. Najwyraźniej jego umysł przepełniony był natrętnymi myślami, kiedy przed dwoma godzinami zasypiał. W końcu zdołał odpłynąć w objęcia Morfeusza, ulokowany w jednej z wielu zamkowych komnat. Gospodyni zapewniła go, że ostrzyżeni na jeża ludzie stojący na czatach przed zamkiem będą obserwowani oraz że jej służba jest gotowa do działania, na wypadek gdyby

de Roquefort postanowił podjąć akcję jeszcze tej nocy. Zgadzał się z oceną Cassiopei, że póki co są bezpieczni, przynajmniej do jutra.

A więc zasnął.

Lecz jego umysł wciąż próbował rozgryźć łamigłówkę.

Większość snu odeszła w niepamięć, ale przypomniał sobie ostatnie jego wątki – telewizyjne wiadomości podające raport o zamachu w Mexico City. Dowiedział się później, że Cai Thorvaldsen umawiał się z meksykańską prawniczką. Była dzielną i waleczną damą, prowadziła śledztwo w sprawie tajemniczego kartelu. Lokalna policja dowiedziała się o pogróżkach pod jej adresem, ale kobieta je zignorowała. Dziwnym trafem, choć wkoło roiło się od funkcjonariuszy, żadnego nie było w pobliżu, kiedy uzbrojeni zamachowcy nadjechali roadsterem. Ona i młody Thorvaldsen siedzieli na ławce i raczyli się zamówionym obiadem. Malone przechodził obok, w drodze do ambasady, w mieście, w którym wypełniał misję. Posłużył się własnym automatycznym pistoletem, kładąc trupem dwóch napastników, zanim dwaj pozostali zdali sobie sprawę, że znalazł się na linii ich ognia. Nie widział nigdy tego trzeciego ani czwartego, z których jeden postrzelił go w lewy bark. Zanim stracił przytomność, zdołał zastrzelić zamachowca, który go zaatakował; ostatni z napastników padł od kuli jednego z marines ochraniających ambasadę.

Zanim wszakże to się stało, mnóstwo kul dosięgło wielu ludzi.

Siedmiu zabitych, dziewięciu rannych.

Malone zbudził się i usiadł na łóżku.

Właśnie rozwiązał zagadkę Rennes.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

OPACTWO DES FOINTANES
1.30

De Roquefort przesunął kartę magnetyczną przez czytnik i elektroniczny zamek zwolnił się. Wszedł do jasno oświetlonej biblioteki i podążył między regałami z zastrzeżonym księgozbiorem do miejsca, w którym siedział Royce Claridon. Na stole przed nim leżały sterty pism i dokumentów. Obok siedział archiwista, obserwujący cierpliwie, tak jak mu polecono. Mistrz dał mu znak, by brat wyszedł.

– Czego się pan dowiedział? – zwrócił się z pytaniem do Claridona.

– Materiały, które pan wskazał, są całkiem interesujące. Nie zdawałem sobie sprawy z zakresu działalności zakonu po Czystce w tysiąc trzysta siódmym roku.

– Nasza historia jest bogata.

– Natrafiłem na relację opisującą spalenie Jakuba de Molay na stosie. Wielu braci najprawdopodobniej obserwowało ten spektakl w Paryżu.

– Poszedł na stos trzynastego marca tysiąc trzysta czternastego roku, z głową uniesioną wysoko, i powiedział do tłumu: „W tej tak poważnej chwili, kiedy moje życie za chwilę zgaśnie, jedyną właściwą rzeczą jest, bym ujawnił oszustwo, którego dokonano, i ogłosił prawdę”.

– Nauczył się pan tych słów na pamięć?

– Wielki mistrz de Molay był człowiekiem, którego słowa warto znać.

– Wielu historyków oskarżało go o doprowadzenie zakonu do upadku. Twierdzili, że był słaby i zarozumiały.

– A co mówią o nim relacje, które pan przeczytał?

– Wydaje się silny i zdeterminowanym, a także przewidujący, zanim jeszcze udał się w podróż z Cypru do Francji latem tysiąc trzysta siódmego roku. Mówiąc prawdę, zdołał przewidzieć knowania Filipa IV.

– Nasze bogactwa i nasza wiedza zostały ukryte. De Molay dopilnował, by tak się stało.

– Wielkie Dziedzictwo – przytaknął Claridon.

– Bracia zadbali, by Dziedzictwo przetrwało. Dopilnował tego de Molay.

Z oczu Claridona przebijało znużenie. Natomiast de Roquefort funkcjonował najlepiej nocą, choć pora była późna.

– Czy przeczytał pan ostatnie słowa de Molaya?

Claridon ponownie przytaknął.

– „Bóg pomści moją śmierć. Biada już wkrótce, biada tym, którzy nas skazali”.

– Jego słowa odnosiły się do Filipa IV oraz Klemensa V, który włączył się do spisku przeciwko mistrzowi i naszemu zakonowi. Papież umarł niespełna miesiąc później, a Filip wydał ostatnie tchnienie po siedmiu miesiącach. Żaden z potomków Filipa nie spłodził syna, a dynastia Kapetyngów wymarła. Po upływie czterystu pięćdziesięciu lat, w trakcie rewolucji francuskiej, królewska rodzina została uwięziona w paryskiej Temple. Kiedy w końcu Ludwik XVI położył głowę pod gilotyną, pewien mężczyzna zanurzył dłoń w jego krwi i chlapnął nią w stronę tłumu, krzycząc: „Jakubie de Molay, zostałeś pomszczony!”.

– Czy był to jeden z was?

De Roquefort przytaknął.

– Brat, którego przyciągnęła tamta chwila. Znalazł się tam, by na własne oczy zobaczyć kres francuskiej monarchii.

– Ta sprawa wiele znaczy dla pana, prawda?

De Roquefort nie czuł szczególnej potrzeby dzielenia się swoimi uczuciami z tym obcym mu człowiekiem, ale jedno chciał dać mu jasno do zrozumienia.

– Jestem wielkim mistrzem.

– Nie. Jest w tym coś więcej. Więcej niż tylko to.

– Czy psychoanaliza to również jedna z pańskich specjalności?

– Stał pan przed pędzącym samochodem, wyzywając Malone’a, by pana rozjechał. Poza tym bez najmniejszych skrupułów zamierzał pan przypalać mi stopy na wolnym ogniu.

– Monsieur Claridon, tysiące moich braci zostało aresztowanych, i to jedynie z powodu królewskiej żądzy i chciwości. Setki z nich spłonęło na stosie. Jak na ironię, jedynie kłamstwo pozwoliło im odzyskać wolność. Prawda równała się wyrokowi śmierci, ponieważ zakon nie był winien

żadnego z oskarżeń wniesionych przeciwko niemu. Tak. Ta sprawa ma wymiar głęboko osobisty.

Claridon sięgnął po dziennik Larsa Nelle.

– Mam kilka kiepskich wieści. Przeczytałem sporą część notatek Larsa i coś tu jest nie tak.

De Roquefortowi nie spodobał się sens ostatniego zdania.

– Są tu błędy. Pomylone daty. Zmienione miejsca. Źródła informacji podane z błędami. Drobne zmiany, ale dla doświadczonego oka oczywiste.

Niestety, de Roquefort nie dysponował taką wiedzą, by dostrzec te rozbieżności. Właściwie miał nadzieję, że dziennik pogłębi jego wiedzę w tej kwestii.

– Czy są to jedynie błędy rzeczowe?

– Początkowo tak właśnie sądziłem, ale kiedy zauważyłem kolejne i kolejne, zwątpiłem w to. Lars był człowiekiem skrupulatnym. Osobiście dopomogłem mu w zdobyciu licznych informacji, które umieścił potem w dzienniku. Błędy są poczynione celowo i z rozmysłem.

De Roquefort sięgnął po dziennik i wertował stronice, aż znalazł kryptogram.

– A to? Czy to jest prawdziwe?

– Nie mam żadnej możliwości rozstrzygnięcia tego dylematu. Lars nigdy nie powiedział mi, czy odnalazł ciąg matematyczny, który rozwiązuje tę łamigłówkę.

De Roquefort popadł w konsternację.

– Czy chce pan powiedzieć, że ten dziennik jest do niczego nieprzydatny?

– Chcę jedynie powiedzieć, że są w nim błędy. Nawet niektóre fragmenty przepisane z pamiętnika Saunière’a zawierają pomyłki. Czytałem oryginał osobiście.

De Roquefort poczuł się zagubiony. Co właściwie się tutaj działo? Wtedy właśnie przywołał w myślach ostatni dzień życia Larsa Nelle oraz słowa, które Amerykanin skierował do niego.

– Niczego pan nie znajdzie, nawet jeśli będzie to leżało przed pańskimi oczyma.

De Roquefort stał wśród drzew. Słowa Larsa Nelle nie podobały mu się, lecz podziwiał odwagę tego mężczyzny i zastanawiał się, co

robi pętla na szyi starego człowieka. Przed kilkoma minutami patrzył, jak Amerykanin przywiązuje jeden koniec liny do podpory mostu, a z drugiego wykonuje pętlę. Nelle zeskoczył potem na kamienną półkę i spoglądał w ciemny nurt rzeki.

Przez cały dzień de Roquefort śledził Nelle'a, zastanawiając się, co uczony robi tu, wysoko w Pirenejach. Pobliska wioska w żaden sposób nie wiązała się z Rennes-le-Château ani z żadnym innym znanym faktem z jego badań. Teraz zbliżała się już północ, a świat wokół nich pogrążył się w ciemnościach. Ciszę górskiej okolicy przerwał chlupot wody dobiegający spod mostu.

De Roquefort wyszedł z zarośli na drogę i zbliżył się do konstrukcji.

– Zastanawiałem się, czy się pan pokaże – powiedział Nelle, odwrócony do niego plecami. – Doszedłem do wniosku, że odraza wyciągnie pana z ukrycia.

– Wiedział pan, że tam jestem?

– Przywykłem do tego, że bracia śledzą moje poczynania – odparł Nelle i w końcu obrócił się ku niemu. Potem wskazał dłonią na pętlę na szyi.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, właśnie zamierzam skończyć ze sobą.

– Najwyraźniej śmierć nie budzi w panu trwogi.

– Umarłem już dawno temu.

– Nie czuje pan lęku przed swoim Bogiem? On nie pozwala porywać się na własne życie.

– Jakim Bogiem? Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

– A jeśli pan się myli?

– Nie mylę się.

– A co z pańskimi poszukiwaniami?

– Przyniosły mi jedynie niedolę. Dlaczegóż jednak los mojej duszy niepokoi pana?

– Wcale tak nie jest. Ale pańskie poszukiwania to zupełnie inna sprawa.

– Śledziliście mnie od dawna. Wasz mistrz rozmawiał nawet ze mną kilka razy. Tym gorzej, że teraz zakon będzie kontynuował poszukiwania beze mnie jako przewodnika.

– Był pan świadom tego, że jest śledzony?

– Ależ oczywiście. Bracia od miesięcy usiłowali wykraść mój dziennik.

– Mówiono mi, że dziwny z pana człowiek.

– Jestem jedynie nieszczęśnikiem, który nie chce dłużej żyć. Po części żałuję tego. Ze względu na syna, którego kocham. I żonę, która również kocha mnie na swój sposób. Ale nie ma już we mnie pragnienia dalszej tułaczki po ziemskim padole.

– Czyż nie istnieją łatwiejsze sposoby pożegnania się z życiem?

Nelle wzruszył ramionami.

– Nie lubię broni palnej, a trucizna ma w sobie coś obrzydliwego, Wykrwawienie się na śmierć też do mnie nie przemawia, wybrałem więc stryczek.

Teraz to de Roquefort wzruszył ramionami.

– Brzmi to dość egoistycznie.

– Egoistycznie? Powiem panu, co jest egoizmem. To, co ludzie uczynili mnie. Wierzyli naiwnie, że w Rennes może kryć się wszystko, poczynając od odrodzonej francuskiej monarchii, a na istotach pozaziemskich kończąc. Iluż to badaczy przybyło tam ze sprzętem, który służył do kalania tamtejszej ziemi? Burzono ściany, wiercono dziury w ziemi. Otwierano nawet groby i ekshumowano zwłoki. Pisarze rozmaitej maści tworzyli najbardziej niewiarygodne i niewyobrażalne historie. Wszystko po to, aby na tym zarobić.

De Roquefort był zdziwiony tą osobliwą mową samobójcy.

– Widziałem, jak osoby mające zdolności medium odbywały seanse spirytystyczne. Jak jasnowidze i wróżbici rozmawiali ze zmarłymi. Tyle rzeczy zmyślono i sfabrykowano, że prawda stałe się mdła i nużąca. Zmusili mnie do pisania tych bzdur. Musiałem zaakceptować ich fanatyzm, żeby moje książki dobrze się sprzedawały. Ludzie pragnęli czytać takie brednie. To zakrawa na szyderstwo. Śmiałem się sam z siebie. Czyż jest to egoizm? Wszyscy ci durnie zasłużyli sobie na taką etykietę.

– Jaka jest więc prawda o Rennes? – zapytał zakonnik spokojnym głosem.

– Jestem pewien, iż poznałby pan ją z najwyższą satysfakcją i przyjemnością.

De Roquefort postanowił podejść Amerykanina z drugiej strony.

– Zdaje pan sobie sprawę, iż został wybrańcem, który zyskał sposobność rozwiązania zagadki Saunière'a?

– Zyskał sposobność? Ja ją rozwiązałem.

De Roquefort przywołał w pamięci kryptogram, który widział kiedyś w pamiętnikach marszałka zakonu, znajdujących się w zbiorach zakonnej biblioteki. Kryptogram, który niezależnie od siebie w swoich kościołach odnaleźli księża Gélis i Saunière, i którego rozwiązanie pierwszy z wymienionych przypłacił prawdopodobnie życiem.

– Nie zechce pan wyjawić mi tego rozwiązania?

W tym pytaniu przebijał niemal błagalny ton, który wcale nie wprawiał go w dumę.

– Jest pan taki sam jak cała reszta: szuka pan łatwych odpowiedzi. Gdzież w tym pozostaje miejsce na wyzwanie? Znalezienie rozwiązania tej łamigłówki zajęło mi wiele lat.

– I, jak zakładam, uwiecznił je pan na papierze?

– Odkrycie tego będzie pańskim zadaniem.

– Jest pan człowiekiem aroganckim i bezczelnym.

– Nie, jestem człowiekiem, który zbzikował. A to jest różnica. Wie pan, wszyscy ci oportuniści, którzy przyjeżdżali na własną rękę i wyjeżdżali z niczym, nauczyli mnie czegoś.

Zakonnik czekał na wyjaśnienie tych słów.

– Tam nie ma nic, co można znaleźć.

– To kłamstwo.

Nelle wzruszył ramionami.

– Może tak. A może nie?

De Roquefort zdecydował, że opuści Larsa Nelle, by ten mógł dokończyć zaplanowane przedsięwzięcie.

– Niech pan znajdzie wiekuisty spokój.

Odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Templariuszu! – zawołał za nim Nelle.

De Roquefort zatrzymał się i obejrzał.

– Wyświadczę panu przysługę. Nie powinienem, gdyż zakonni bracia wyrządzali mi wyłącznie przykrości. Wasz zakon nie zasłużył jednak na los, jaki go spotkał. Otrzyma pan zatem pewne wskazanie.

Coś, co będzie dla pana pomocne. Jak dotąd, wskazówka ta nie została nigdzie zapisana. Nawet w moim dzienniku. Otrzyma ją wyłącznie pan. Jeśli wykaże pan bystrość umysłu, być może zdoła pan rozwiązać łamigłówkę. Ma pan kartkę papieru i coś do pisania?

De Roquefort podszedł ponownie do kamiennej ściany, sięgnął do kieszeni, wyciągnął notes i długopis i wręczył je Larsowi Nelle. Starszy mężczyzna napisał coś, potem oddał zakonnikowi długopis i bloczek.

– Powodzenia – powiedział.

Zeskoczył z kamiennej półki. De Roquefort usłyszał, jak lina się napina, a potem jak z chrzęstem rozrywają się kręgi szyjne Amerykanina. Przystawił bloczek do oczu i w słabej poświacie księżyca przeczytał słowa zapisane przez Larsa Nelle:

ŻEGNAJ, STEPHANIE

Żona Nelle'a miała na imię Stephanie. De Roquefort pokiwał z niedowierzaniem głową. To nie była wskazówka. Jedynie słowa pożegnania przekazane przez męża żonie.

Teraz nie był tego taki pewien.

Zdecydował wtedy, że pozostawienie karteczki przy zwłokach uwiarygodni samobójstwo. Chwycił więc linę, podciągnął do góry martwe już ciało i wsunął papier do kieszeni koszuli Nelle'a.

Czy jednak w ostatnich słowach Amerykanina kryła się jakaś wskazówka?

– Tej nocy, kiedy Nelle skończył ze sobą, wyjawił mi, iż rozwiązał kryptogram i dał mi to.

De Roquefort sięgnął po długopis ze stołu i napisał w notesie słowa: „ŻEGNAJ, STEPHANIE".

– Jakim sposobem ma to być rozwiązanie?

– Nie wiem. Nigdy nie sądziłem, że jest w tym jakaś poszlaka, aż do tej chwili. Jeśli to, co pan utrzymuje, jest prawdą, a dziennik zawiera zamieszczone z rozmysłem błędy i pomyłki, należy domniemywać, iż mieliśmy odkryć ten fakt. Usiłowałem zdobyć ten notes jeszcze za życia Larsa Nelle, później też, gdy znalazł się w posiadaniu jego syna. Ale Mark

Nelle trzymał dziennik pod kluczem. Potem, kiedy syn pojawił się tu w opactwie, dowiedziałem się, że miał przy sobie dziennik, gdy wykopano go spod lawiny. Wtedy położył na nim rękę mistrz i również trzymał go pod kluczem.

De Roquefort pobiegł myślami ku pozornie fałszywemu krokowi, który Cassiopeia Vitt popełniła w Awinionie. Teraz zdał sobie sprawę, iż wcale nie był to błąd.

– Ma pan rację. Dziennik jest absolutnie pozbawiony wartości – rzekł, potem wskazał gestem na bloczek. – Być może w tych słowach jest jednak ukryte jakieś znaczenie.

– Albo stanowią kolejny fałszywy trop?

Tego również nie dało się wykluczyć.

Claridon analizował napis z widocznym zainteresowaniem.

– Jakie były dokładnie słowa Larsa, kiedy dał panu tę kartkę?

De Roquefort powtórzył zapamiętane zdania:

– „Dam panu wskazówkę, która będzie panu pomocna. Jeśli wykaże pan bystrość umysłu, być może zdoła pan rozwiązać łamigłówkę”.

– Przypominam sobie coś, co pewnego razu powiedział mi Lars – odparł Claridon, potem szukał czegoś na stole do chwili, gdy znalazł kilka złożonych kartek. – To są notatki, które sporządziłem w pałacu papieskim w Awinionie, na podstawie ryciny nagrobka Marie d’Hautpoul zamieszczonej w książce Stübleina. Niech pan spojrzy tutaj.

Claridon wskazał na ciąg rzymskich cyfr: MDCOLXXXI.

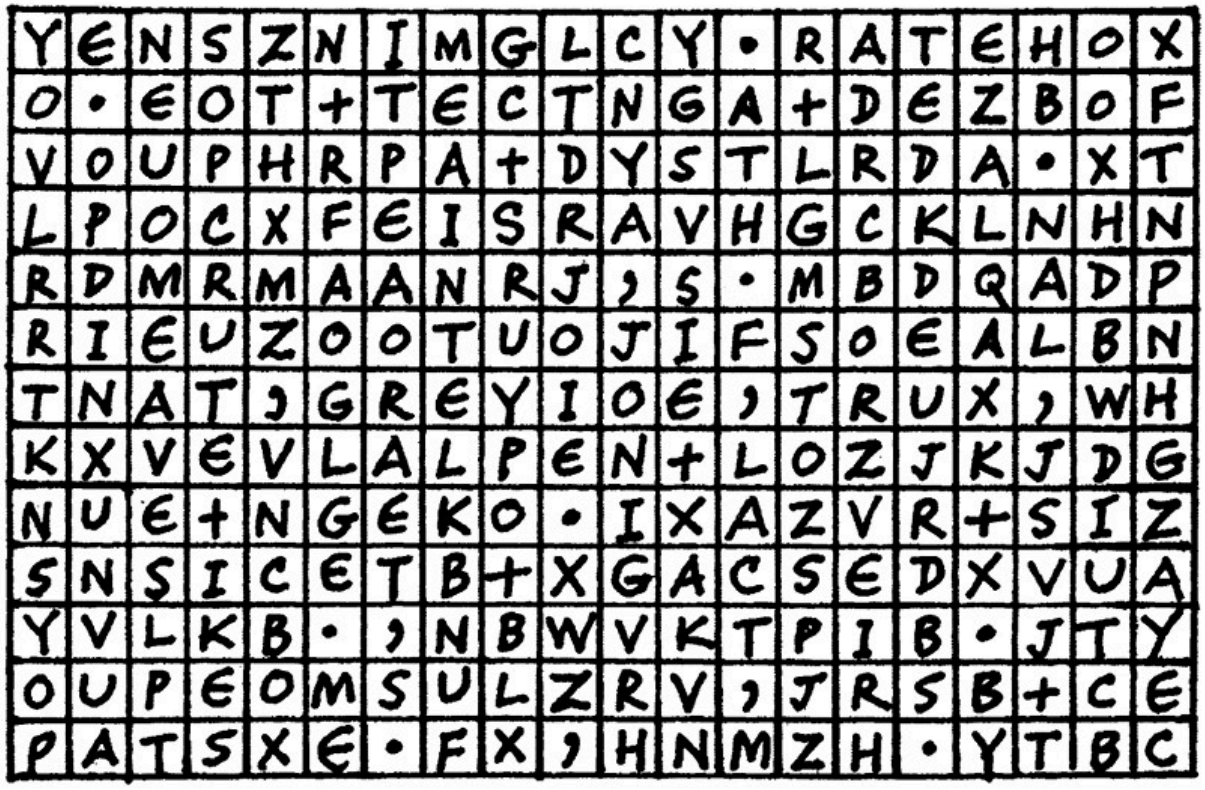
– Cyfry zostały wyryte w kamieniu i oznaczają prawdopodobnie rok jej śmierci. Tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden. Jest w tym zapisie zero, które należy pominąć, bowiem w systemie rzymskim nie ma takiej cyfry. W rzeczywistości jednak Marie zmarła w tysiąc siedemset osiemdziesiątym pierwszym roku, nie w tysiąc sześćset osiemdziesiątym pierwszym. Jej wiek również podano błędnie. Gdy opuszczała ten świat, liczyła sobie sześćdziesiąt osiem lat, nie zaś, jak podano, sześćdziesiąt siedem. – Claridon sięgnął po długopis i napisał na kartce notesu liczby: 1681, 67 oraz słowa: „ŻEGNAJ, STEPHANIE”. – Czy dostrzega pan jakieś powiązanie?

De Roquefort wpatrywał się w napis. Nic nie rzuciło mu się w oczy, ale nigdy nie był dobry w rozwiązywaniu łamigłówek.

– Musi pan myśleć jak człowiek żyjący w osiemnastym stuleciu. Bigou zlecił wykonanie nagrobka. Rozwiązanie jest z jednej strony proste, z drugiej zaś skomplikowane z uwagi na nieskończoną liczbę kombinacji. Niech pan podzieli rok tysiąc sześćset osiemdziesiąty pierwszy na dwie liczby – szesnaście oraz osiemdziesiąt jeden. Jeden plus sześć równa się siedem. Osiem dodać jeden równa się dziewięć. Siedem, dziewięć. Teraz niech pan spojrzy na liczbę sześćdziesiąt siedem. Siódemki nie da się obrócić do góry nogami, ale szóstka po odwróceniu zamienia się w dziewiątkę. Zatem znów otrzymujemy liczby siedem i dziewięć. I niech pan policzy jeszcze litery w słowach, które Lars panu napisał. Siedem w słowie „żegnaj”[10]. Dziewięć w słowie „Stephanie”. Moim zdaniem, Nelle zostawił panu wskazówkę.

– Niech pan otworzy dziennik na stronie z kryptogramem i spróbuje tego użyć.

Claridon wertował notes, aż w końcu odnalazł rysunek z diagramem.



– Istnieje kilka możliwości. Siedem, dziewięć. Dziewięć, siedem. Szesnaście. Jeden, sześć. Sześć, jeden. Zacznę od najbardziej oczywistej. Siedem, dziewięć.

Zakonnik patrzył, jak Claridon liczy, posuwając się wzdłuż rzędów liter i symboli, zatrzymując się przy każdej siódmej i dziewiątej pozycji. Kiedy skończył, otrzymał ciąg liter: ITEGOARCANADEI.

– To po łacinie – oznajmił de Roquefort, spoglądając na słowa. – *I tego arcana dei*.

Potem je przetłumaczył.

– „Ukrywam sekrety Boga”.

Niech to szlag trafi!

– Dziennik jest bezużyteczny! – wykrzyknął poirytowany. – Nelle umieścił tu swoją własną łamigłówkę!

Inna jeszcze myśli przemknęła przez umysł de Roqueforta. Pamiętnik marszałka. W nim również zapisany był kryptogram, uzyskany od proboszcza Gélisa. Na którego rozwiązanie ksiądz najprawdopodobniej wpadł. Kryptogram, który, jak zanotował marszałek, był identyczny z tym odnalezionym przez Saunière’a.

Musiał go zdobyć.

– Istnieje jeszcze inny rysunek kryptogramu, w jednym z woluminów znajdujących się w posiadaniu chwilowo w rękach Marka Nelle.

Oczy Calridona zapłonęły żarliwym blaskiem.

– Zakładam, iż zamierza pan wejść w jego posiadanie.

– Gdy tylko wstanie słońce.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

GIVORS, FRANCJA
1.30

Malone stał w salonie, obszernym pomieszczeniu oświetlonym przez lampy. Wszyscy stanęli wokół stołu. Obudził ich przed paroma minutami.

– Znam rozwiązanie – oświadczył.

– Kryptogramu? – chciała upewnić się Stephanie.

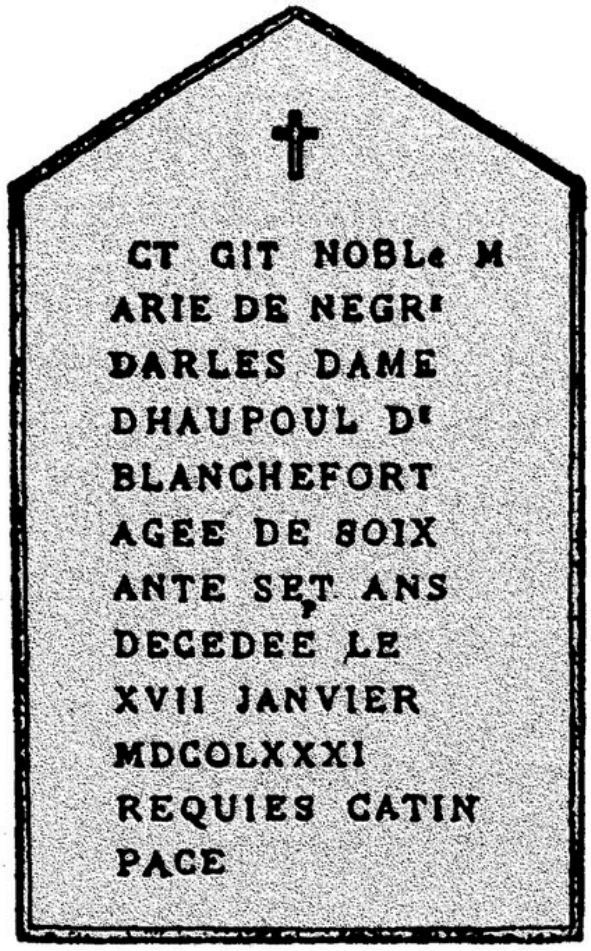
Przytaknął skinieniem głowy.

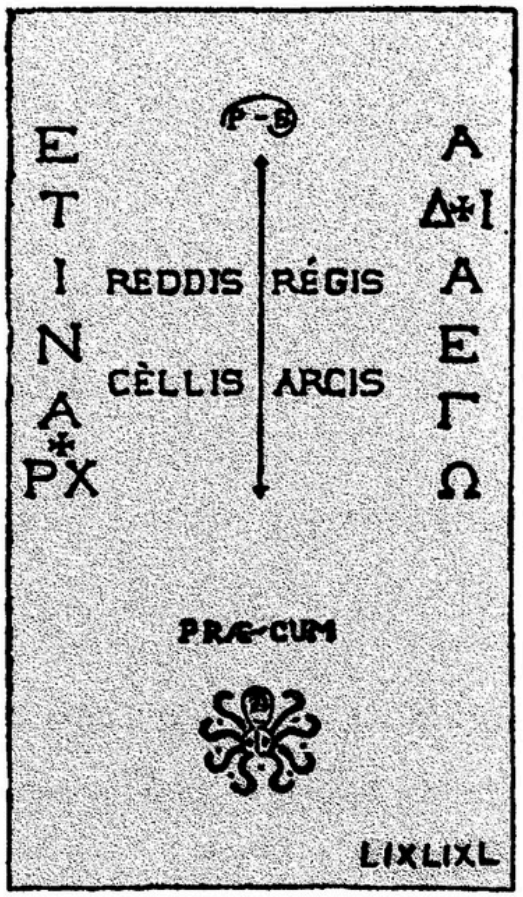
– Mark opowiadał mi o charakterze Saunière'a. Był człowiekiem zuchwałym i aroganckim. Zgadzam się z tym, co powiedziałaś przed paroma dniami. Kościółek w Rennes nie jest drogowskazem prowadzącym do skarbu. Saunière z pewnością nigdy nie podałby takiej informacji wprost, ale nie potrafił oprzeć się pokusie zostawienia kilku wskazówek pełnych aluzji. Problem polega na tym, iż trzeba dotrzeć do wielu elementów, by poskładać łamigłówkę w całość. Na całe szczęście, w naszym posiadaniu znalazła się większość z nich.

Sięgnął po książkę *Pierres Gravées du Languedoc*, wciąż otwartą na stronie z ryciną przedstawiającą kamienie nagrobku z mogiły Marie d'Hautpoul.

– Bigou pozostawił prawdziwe wskazówki. Uciekał z Francji, nie zamierzając powrócić tu nigdy, ukrył więc kryptogramy w obydwu kościółkach oraz pozostawił płytę i kamień nagrobny nad pustą w środku mogiłą. Widnieje na nich błędna data śmierci, błędny wiek: sześćdziesiąt siedem lat. Spójrzcie też na te rzymskie liczby umieszczone na dole: pięćdziesiąt, dziewięć, pięćdziesiąt, dziewięć, pięćdziesiąt. Jeśli dodamy je do siebie, wyjdzie suma równa sto sześćdziesiąt osiem. W księgach parafialnych poczynił też wpis nawiązujący do obrazu *Czytanie reguł Caridad*. Pamiętajcie, że w czasach Bigou data nie była już wyraźna. Zatem widział rok tysiąc sześćset osiemdziesiąty pierwszy, nie osiemdziesiąty siódmy. W tym wszystkim kryje się jakiś schemat.

Wskazał na ryciny przedstawiające kamień i płytę nagrobną.





– Spójrzcie na pająka wyrytego u dołu. Między odnóżami umieszczono z rozmysłem siedem kropek, zostawiając dwa wolne pola. Dlaczego kropki nie znajdują się we wszystkich polach? A teraz przypomnijcie sobie, co zrobił Saunière w ogrodzie obok kościółka. Umieścił tam kolumnę z okresu Wizygotów, stawiając ją do góry nogami, a potem na bocznej powierzchni kazał wyryć słowa „Misja tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt jeden” oraz „Skrucha, skrucha”. Wiem, że zabrzmi to niedorzecznie, ale we śnie dostrzegłem powiązanie między wszystkimi tymi elementami.

Na twarzach wszystkich pojawił się uśmiech, ale nikt nie przerwał wywodu Malone’a.

– W zeszłym roku, Henriku, kiedy Cai i wszyscy pozostali zginęli w Mexico City… od czasu do czasu przeżywam to jeszcze raz w snach.

Naprawdę ciężko pozbyć się tych obrazów z pamięci. Tamtego dnia wiele osób zginęło i odniosło rany…

– Siedmiu zabitych. Dziewięciu rannych – wymamrotała Stephanie.

Ta sama myśl zdawał się przejść przez umysł każdego z zgromadzonych; Malone dostrzegł zrozumienie, zwłaszcza na twarzy Marka.

– Cotton, być może masz rację – odparł seneszal, siadając przy stole. – Tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden. Dodajmy do siebie pierwsze dwie oraz ostatnie dwie cyfry. Otrzymamy siedem i dziewięć. Inskrypcje na filarze. Saunière odwrócił go do góry nogami, chcąc przekazać wiadomość. Postawił ten pomnik w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym, ale jeśli odwrócimy kolumnę, otrzymamy liczbę tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden. Filar postawiono do góry nogami, by wskazać nam właściwy kierunek. Znów mamy siedem i dziewięć.

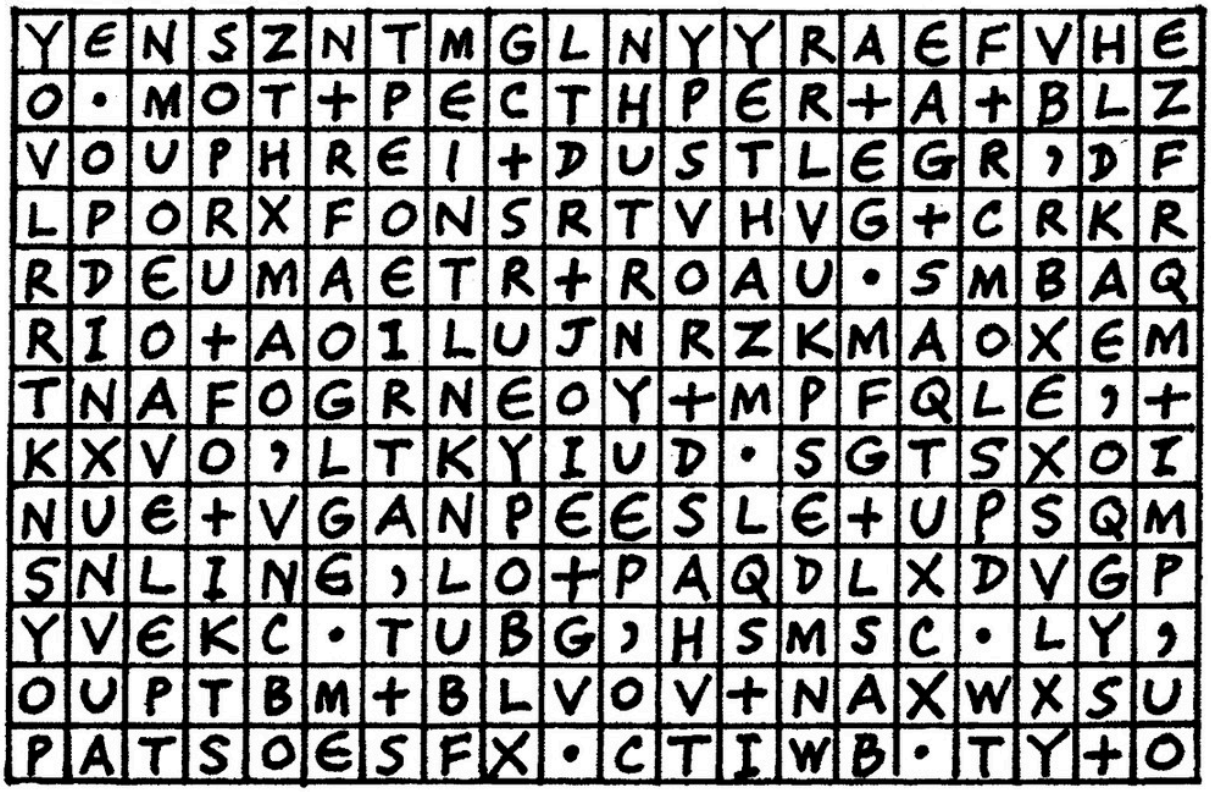
– W następnej kolejności policzmy litery – podjął Malone. – „Misja”[11] ma ich siedem. Natomiast „skrucha”[12] dziewięć. To chyba nie jest wyłącznie czysty przypadek. I dochodzi do tego liczba sto osiemdziesiąt, otrzymana po zsumowaniu rzymskich liczb z płyty nagrobkowej. Wszędzie pojawia się ten sam schemat.

Sięgnął teraz po kolorową ilustrację przedstawiającą dziesiątą stację drogi krzyżowej z kościoła św. Marii Magdaleny.

– Spójrzcie tu. Tam, gdzie rzymski legionista rzuca kości o płaszcz Chrystusa. Przyjrzycie się liczbie punktów na kostkach. Trzy, cztery oraz pięć. Kiedy Mark i ja byliśmy w kościółku, zastanawiałem się, dlaczego wybrane zostały te konkretne liczby. Mark, stwierdziłeś, że Saunière osobiście nadzorował każdy detal, który znalazł się we wnętrzu sakralnej budowli. Zatem wybrał te liczby celowo. Moim zdaniem ich sekwencja jest istotna. Najpierw mamy trzy, potem cztery i na koniec pięć. Trzy plus cztery daje siedem, cztery plus pięć równa się dziewięć.

– A zatem liczby siedem i dziewięć stanowią rozwiązanie kryptogramu? – zapytała Cassiopeia.

– Jest tylko jeden sposób, że się o tym przekonać– odparł Mark i dał znak gestem Geoffreyowi, by podał mu plecak. Seneszal ostrożnie wyjął kroniki sporządzone przez dawnego marszałka zakonu i odnalazł stronę z rysunkiem przedstawiającym kryptogram.



W następnej kolejności przystąpił do odczytywanie szyfru według sekwencji liczb siedem i dziewięć, przechodząc po kolei przez trzynaście rzędów zapisanych literami i symbolami. Jednocześnie zapisywał na papierze każdą wskazaną literę.

TEMPLIERTRESORENFOUIAULAGUSTOUS

– To po francusku – oznajmiła Cassiopeia. – Język Bigou.

Mark przytaknął.

– Rozpoznaję słowa.

Wstawił spacje między literami w odpowiednich miejscach, a ciąg znaków nabrał sensu.

TEMPLIER TRESOR EN FOUI AU LAGUSTOUS

– „Skarb templariuszy można odnaleźć w lagustous” – przetłumaczył Malone.

– Co to jest „lagustous”? – zapytał Henrik.

– Nie mam pojęcia – odparł Mark. – I nie przypominam sobie, żeby w archiwach templariuszy była wzmianka o takim miejscu.

– Mieszkam w tym regionie przez całe życie – odezwała się Cassiopeia – i nigdy nie słyszałam o czymś takim.

Mark wydawał się przygnębiony.

– W kronikach zakonu jest jednoznacznie mowa o tym, że wozy z Dziedzictwem jechały w kierunku Pirenejów.

– Dlaczego ksiądz miał nam ułatwiać sprawę? – zapytał Geoffrey ze spokojem w głosie.

– On ma rację – włączył się Malone. – Bigou mógł dodatkowo utrudnić łamigłówkę, chcąc mieć pewność, że samo odnalezienie sekwencji nie wystarczy do rozwiązania zagadki.

Stephanie zrobiła zdziwioną minę.

– Moim zdaniem to rozwiązanie wcale nie było łatwe.

– Tylko dlatego, że elementy łamigłówki są porozrzucane, a niektóre zostały utracone na zawsze – skomentował Malone. – W czasach Bigou wszystko jednak jeszcze istniało, on zaś ufundował nagrobek, który był na oczach wszystkich.

– Ale Bigou zapewne dodatkowo się zabezpieczył – głos ponownie zabrał Mark. – W pamiętniku marszałka jest mowa o tym, że Gélis odnalazł w swym kościele identyczny kryptogram, co Saunière u siebie. W osiemnastym wieku w tym kościółku duszpasterską posługę sprawował Bigou, podobnie zresztą jak w Rennes, ukrył więc łamigłówkę w każdym z nich.

– W nadziei, że jakaś ciekawska natura odnajdzie chociaż jedną – wtrącił Henrik. – I dokładnie tak się stało.

– W rzeczywistości Gélisowi udało się rozwiązać łamigłówkę – podjął Mark. – Wiemy o tym. Powiedział o tym marszałkowi zakonu. Wyjawił mu także swe podejrzenia pod adresem Saunière’a. Parę dni później Gélisa znaleziono martwego.

– Czy mordercą był Saunière? – zapytała Stephanie.

Mark wzruszył ramionami.

– Tego nie wie nikt. Zawsze sądziłam, że podejrzanym mógł być również marszałek. Zniknął z opactwa po kilku tygodniach od zabójstwa Gélisa, a w swoich dziennikach nie zapisał rozwiązania kryptogramu.

Malone wskazał na notes.

– Teraz już je znamy. Musimy jeszcze tylko dowiedzieć się, co oznacza wyraz *lagustous*.

– To anagram – zasugerowała Cassiopeia.

– Podobnie jak na kamieniu nagrobnym, na którym Bigou kazał wyryć napis: *„Et in Arcadia ego”*, co jest anagramem słów: *Tego arcana dei*. Mógł zrobić to samo w kryptogramie.

Cassiopeia spoglądała badawczo w notatnik, a po chwili w jej wzroku pojawiły się błyski zrozumienia.

– Pani już wie, prawda? – domyślił się Malone.

– Tak mi się wydaje.

Wszyscy czekali

– W dziesiątym wieku pewien bogaty baron o nazwisku Hildemar przybył do człowieka, który nosił imię Agulous. Krewnym Hildemara nie spodobał się wpływ Agulousa na barona, który na dodatek wbrew całej rodzinie przepisał na tego człowieka prawo własności wszystkich posiadanych dóbr ziemskich. Obdarowany zaś przemienił warowny zamek w opactwo, do którego niebawem wstąpił szczodry darczyńca. Gdy pewnego razu Agulous i Hildemar klęczeli razem w klasztornej kaplicy, zostali zaszlachtowani przez Saracenów. Później obydwaj zostali wyniesieni na ołtarze. Do dziś przetrwało opactwo i osada. Położona o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Nazywa się St. Agulous.

Sięgnęła pod długopis i przemieniła wyraz *lagustou*s w *St. Agulous*.

– To miejsce należało kiedyś do templariuszy – wtrącił Mark. – Była tam duża komandoria, ale dawno temu przestała istnieć.

– Zachował się zamek, który przemieniono w siedzibę opactwa – wyjaśniła Cassiopeia.

– Musimy tam pojechać – zdecydował Thorvaldsen.

– To może okazać się kłopotliwe – rzekł Malone.

Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Cassiopei. Jak dotąd nie poinformowali pozostałych o ludziach postawionych na czatach na zewnątrz rezydencji, zrobił to więc teraz.

– De Roqeufort zacznie działać – stwierdził Mark. – Nasza gospodyni pozwoliła mu przejąć dziennik ojca. Kiedy dowie się, że nie będzie miał z niego żadnego pożytku, zmieni strategię.

– Musimy opuścić to miejsce tak, żeby nikt tego nie zauważył – dodał Malone.

– Jest nas sporo – zmartwił się Duńczyk. – Kameralne opuszczenie rezydencji może okazać się prawdziwym wyzwaniem.

– Lubię wyzwania – uśmiech rozpromienił twarz panny Vitt.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

7.30

De Roquefort szedł przez las wśród wysokich sosen. Leśne runo pod jego stopami srebrzyło się białymi wrzosami. Poranne powietrze przesiąknięte było zapachem miodu. Otaczające go skały z czerwonego piaskowca spowijały poszarpane strzępy mlecznej mgły. Szybujący w górze orzeł, poszukujący zdobyczy na śniadanie, raz wlatywał w obłoki mgły, raz wylatywał z nich. On spożył już poranny posiłek wraz z braćmi, jak nakazywała tradycja – w milczeniu, słuchając słów Pisma Świętego czytanych im na głos.

Musiał docenić zasługi Claridona. Starzec rozszyfrował kryptogram z pomocą sekwencji cyfr siedem i dziewięć oraz rozwiązał tajemnicę. Niestety, uzyskane przesłanie okazało się zupełnie bezużyteczne. Claridon wyjaśnił, że Lars Nelle odnalazł kryptogram w nieopublikowanych pamiętnikach Noëla Corbu, człowieka, który rozpowszechnił tyle wymysłów o Rennes w połowie dwudziestego stulecia. Czy to jednak Nelle zmienił treść kryptogramu, czy może uczynił to już Saunière? Czy frustrujące rozwiązanie doprowadziło Larsa Nelle aż do samobójstwa? Po tylu staraniach i wysiłkach zdołał wreszcie odszyfrować to, co pozostawił Saunière i okazało się, że na próżno. Czy to właśnie miał na myśli uczony, kiedy tuż przed samobójczą śmiercią oświadczył: „Nie istnieje absolutnie nic, co można by znaleźć”?

Trudno powiedzieć.

W oddali rozległ się odgłos klaksonu dobiegający od strony zamku. Najwidoczniej na budowie rozpoczynał się dzień pracy. Z przodu de Roquefort dostrzegł jednego ze swoich wartowników. Już wcześniej, w drodze na północ z opactwa, rozmawiał z nim przez telefon komórkowy i dowiedział się, że panuje tu całkowity spokój. Między drzewami, w odległości kilkuset metrów, dostrzegł zarysy zamku skąpanego w promieniach porannego słońca.

Mistrz podszedł do brata, który poinformował go, że przed godziną od strony placu budowy nadeszła piechotą grupa jedenastu osób, złożona z kobiet i mężczyzn. Wszyscy ubrani byli w stroje z epoki średniowiecza. Od tamtej pory znajdują się w środku. Drugi z ludzi postawionych na czatach także złożył raport i stwierdził, że na tyłach rezydencji nie dzieje się nic szczególnego. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Przed dwoma godzinami we wnętrzu zaczął się ożywiony ruch – światła zapaliły się w pokojach, a służba przystąpiła do pracy. Cassiopeia Vitt pojawiła się na moment, poszła do stajni, potem wróciła.

– O pierwszej w nocy również coś działo się w środku – kontynuował raport brat. – W sypialniach zapaliły się światła, potem jasno było w salonie na parterze. Po godzinie światła zgasły. Wyglądało to tak, jakby zbudzili się na krótko i potem ponownie położyli się spać.

Być może noc, którą spędzili tutaj, także okazała się odkrywcza.

– Ale nikt nie opuścił rezydencji?

Brat pokręcił głową.

De Roquefort sięgnął do kieszeni po krótkofalówkę i nawiązał łączność z dowódcą dziesięcioosobowej grupy templariuszy, których zabrał ze sobą. Zaparkowali samochody o blisko kilometr wcześniej i szli teraz piechotą przez las w stronę zamku. Polecił im, by dyskretnie otoczyli rezydencję i czekali na dalsze rozkazy. Przed chwilą otrzymał meldunek, że bracia są już na wyznaczonych pozycjach. Licząc dwóch ludzi, którzy już tu byli, i siebie samego, dysponował trzynastką uzbrojonych mężczyzn – więcej niż trzeba, by wykonać zaplanowane zadanie.

To ironia losu, pomyślał. Templariusze toczyli niegdyś wojny z Saracenami. Siedemset lat temu. Muzułmanie zdołali pokonać chrześcijan i odzyskali Ziemię Świętą. Teraz inna muzułmanka, Cassiopeia Vitt, wmieszała się w sprawy zakonu.

– Mistrzu!

De Roquefort skierował uwagę na zamek i główne wejście od frontu, skąd wychodziła grupa ludzi odzianych w kolorowe chłopskie stroje z epoki średniowiecza. Mężczyźni ubrani byli w brązowe sukmany przepasane w biodrach powrozami, na nogach mieli czarne rajtuzy, a stopy obute w skórzane ciżemki. Kilku miało zawiązane kogucie piórka wokół kostek. Kobiety nosiły długie szare suknie przewiązane w talii fartuchami. Ich głowy zakrywały słomiane kapelusze, czapki nasunięte na oczy oraz

kaptury. Wczoraj de Roquefort zauważył, że robotnicy na budowie zamku w Givors paradują w autentycznych strojach, co miało przyczyniać się do stworzenia klimatu wieków średnich. Kilku spośród przebierańców zaczęło przepychać się między sobą i dowcipkować, a potem ruszyli w powoli w kierunku alei prowadzącej na plac budowy.

– Chyba mieli tam jakąś odprawę – skomentował brat stojący obok mistrza. – Przyszli jakiś czas temu, a teraz wracają do pracy.

De Roquefort zgodził się z tą oceną. Cassiopeia Vitt osobiście nadzorowała projekt Givors, a więc jej spotkanie z robotnikami wydawało się rzeczą naturalną.

– Ile osób weszło poprzednio?

– Jedenaście.

Policzył. Tylu też opuszczało rezydencję. W porządku. Pora przystąpić do działania. Podniósł radiotelefon do ust.

– Ruszajcie – wydał polecenie.

– Jakie są rozkazy dla nas? – zapytał głos po drugiej stronie radiowego łącza.

De Roquefort był już zmęczony bawieniem się w kotka i myszkę z przeciwnikiem.

– Zróbcie wszystko, co będzie konieczne, by zatrzymać ich w środku, zanim tam wejdę.

Wszedł do zamku od strony kuchni, przepastnego pomieszczenia wyładowanego sprzętami z nierdzewnej stali. Upłynęło piętnaście minut od chwili, gdy dał sygnał do zajęcia domu i jak dotąd oblężenie przebiegło bez jednego wystrzału. Okazało się, że gospodyni oraz jej goście zasiedli do śniadania, kiedy bracia przemierzali pomieszczenia na parterze. Jego ludzie ustawieni przy wszystkich wejściach oraz pod oknami sali jadalnej odebrali wszelką nadzieję na ucieczkę.

Odczuwał zadowolenie. Udało mu się nie zwrócić niczyjej uwagi.

Kiedy mijał liczne pokoje, podziwiał ściany pokryte kolorowymi brokatami, sufity ozdobione freskami, rzeźbione pilastry, kryształowe żyrandole oraz meble obite wielobarwnym adamaszkiem. Cassiopeia Vitt miała dobry gust.

Dotarł w końcu do sali jadalnej i szykował się na spotkanie z Markiem Nelle. Pozostałych zabije, a ich ciała zakopie w lesie, lecz Mark Nelle

i Geoffrey będą musieli wrócić do opactwa, gdzie zostanie im wymierzona kara. De Roquefort pragnął, by posłużyli za przykład. Śmierć brata w Rennes trzeba pomścić.

Szedł przez przestronny korytarz i wkroczył do sali jadalnej. Bracia otoczyli pomieszczenie z bronią w gotowości. Przebiegł wzrokiem wzdłuż stołu i dostrzegł sześć twarzy.

Żadnej z nich jednak nie rozpoznał.

Zamiast Cottona Malone'a, Stephanie Nelle, Marka Nelle, Geoffreya oraz Cassiopei Vitt przy stole siedzieli mężczyźni i kobiety, których nie znał. Wszyscy ubrani w dżinsy i koszule.

Robotnicy z pracy budowy.

A niech to szlag!

Wymknęli się na jego oczach.

Usiłował zapanować nad wzbierającym w nim gniewem.

– Zatrzymajcie ich tutaj do mojego powrotu – wydał polecenie jednemu z braci.

Opuścił rezydencję i spokojnym krokiem ruszył aleją w stronę placu parkingowego. O tak wczesnej porze znajdowało się tam tylko kilka aut, lecz nie było wśród nich samochodu wynajętego przez Cottona Malone'a, który de Roquefort widział tam wcześniej, kiedy szedł przez las.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Teraz stracił już wszelki trop – nie miał pojęcia, dokąd mogli się udać.

Jeden z braci, których zostawił w zamku, nadbiegł nagle z tyłu. De Roquefort zdziwił się, dlaczego jego podwładny opuścił wyznaczone stanowisko.

– Mistrzu – odezwał się brat. – Jeden z ludzi w rezydencji powiedział mi, że Cassiopeia Vitt poprosiła ich, żeby wczesnym rankiem przyszli do rezydencji, ubrani w stroje średniowiecznie. Sześcioro z nich przebrało się, a Vitt zaprosiła ich na wyśmienite śniadanie.

Tyle akurat sam się domyślił. Co jeszcze?

Mężczyzna podał mu telefon komórkowy.

– Ten sam robotnik powiedział, że znalazł notatkę, w której stwierdzono, iż spodziewali się ciebie, mistrzu. Kazano mu przekazać ci to i ten telefon, kiedy tutaj dotrzesz.

De Roquefort rozwinął kawałek papieru i przeczytał:

Odpowiedź została znaleziona. Zadzwonię z informacją, zanim zajdzie słońce.

Chciał się dowiedzieć jednej rzeczy.

– Kto napisał tę notatkę?

– Robotnik powiedział, że znalazł to w ubraniu, w które się przebrał, razem z instrukcją, by przekazać ją tobie.

– W jaki sposób trafiło to w twoje ręce?

– Kiedy wymienił twoje nazwisko, powiedziałem po prostu, że jestem tobą, mistrzu. On zaś przekazał mi telefon i notatkę.

Co tu się działo? Czy wśród jego wrogów znalazł się zdrajca? Najwyraźniej tak. Ponieważ de Roquefort nie miał pojęcia, dokąd mogli się udać, praktycznie nie miał żadnego wyboru.

– Wycofaj braci i wracamy do opactwa.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

10.00

Malone zachwycał się pejzażem Pirenejów, tak podobnych do Alp wyglądem i majestatem. Szczyty, które oddzielały Francję od Hiszpanii, zdawały się rozciągać w nieskończoność. Postrzępione turnie zwieńczały czapy mieniącego się śniegu, a szczyty komponowały mozaikę zielonych zboczy i fioletowych grani. Pomiędzy szczytami zagnieździły się spalone słońcem kotliny, głębokie i budzące strach, które stanowiły niegdyś ulubione miejsce Karola Wielkiego, Franków, Wizygotów oraz Maurów.

Jechali dwoma autami – jego wynajętym oraz land-roverem Cassiopei, który stał zaparkowany na placu budowy. Opuścili zamek w sposób bardzo pomysłowy i podstęp najwyraźniej się udał, ponieważ nie zauważył za sobą żadnego ogona. Kiedy już znaleźli się w bezpiecznej odległości, przeprowadził szczegółową inspekcję obydwu samochodów w poszukiwaniu elektronicznych urządzeń monitorujących. Musiał uznać talenty panny Vitt. Naprawdę wykazała godną podziwu pomysłowość.

Przed godziną, zanim skręcili w góry, zatrzymali się i kupili ubrania w centrum handlowym, na przedmieściach Aix-les-Thermes – dobrze prosperującej miejscowości uzdrowiskowej, która stanowiła ulubiony cel eskapad górskich wędrowców i narciarzy. Kolorowe sukmany i długie suknie, w które byli odziani, na początku wzbudziły nieco sensacji, ale teraz przebrali się już w dżinsy, koszule, normalne buty i kurtki z polaru, gotowi na to, co ich czeka.

St. Agulous rozlokowało się na skraju przepaści, otoczone tarasowymi wzgórzami, na końcu wąskiej szosy, która wiła się serpentyną w górę, przecinając ukrytą w chmurach przełęcz. Osada niewiele większa niż Rennes-le-Château stanowiła skupisko nadgryzionych zębem czasu domów z wapienia, które wydawały się wyrastać bezpośrednio ze skały.

Malone zatrzymał się tuż przed wjazdem do miasteczka, skręcając między drzewa w wąską, nieutwardzoną drogę. Cassiopeia jechała w ślad

za nim. Gdy wysiedli, otoczyło ich rześkie, górskie powietrze.

– Nie sądzę, by najrozsądniej było pójść tam razem – odezwał się Malone. – Nie wygląda to na miejsce zbyt uczęszczane przez tłumy turystów.

– On ma rację – poparł go Mark. – Ojciec zawsze zachowywał ostrożność, kiedy tu przyjeżdżał. Pozwólcie, że udam się tam razem z bratem Geoffreyem. Będziemy po prostu parą turystów wędrujących po górach. Nic niezwykłego jak na lato.

– Sądzi pan, że nie zrobię dobrego wrażenia? – zapytała z nutką rozdrażnienia panna Vitt.

– Zrobienie wrażenie to właśnie nie problem – wtrącił Malone, uśmiechając się rozbrajająco. – Problemem jest to, by ludzie o pani zapomnieli.

– A kto wyznaczył pana na dowódcę? – nie ustępowała Cassiopeia.

– Ja – oświadczył Thorvaldsen. – Mark zna te góry, mówi też po francusku. Niech on i brat tam idą.

– W takim razie ruszajcie w imię Boga.



Mark szedł pierwszy. Obaj przeszli przez główną bramę i znaleźli się na niedużym placu, otoczonym drzewami. Geoffrey wciąż niósł plecak, w którym znajdowały się dwie księgi, wyglądali więc jak turyści, którzy wybrali się na popołudniową wędrówkę. Nad bezładnym skupiskiem dachów krytych czarnym łupkiem krążyły gołębie, zmagając się z porywami ostrego wiatru, który gwizdał w skalnych rozpadlinach, popychając chmury nad górskimi szczytami w kierunku północnym. Z fontanny, pozieleniałej od starości, tryskała woda. W zasięgu wzroku nie dostrzegli nikogo.

Odchodząca od placyku brukowana uliczka była dobrze utrzymana i tworzyła mozaikę światła i cienia, oświetlona rozproszonymi promieniami słońca. Stukot kopyt poprzedził pojawienie się włochatej kozy, która po chwili zniknęła w jednej z bocznych uliczek. Mark uśmiechnął się.

Podobnie jak w wielu miejscach tego regionu, nie była to okolica, w której czas pędził bez opamiętania.

Jedyną pozostałością dawnej świetności był kościół, który wznosił się na drugim końcu placu. Szerokie schody prowadziły do romańskich drzwi. Sama budowla była jednak bardziej w stylu gotyckim, a wzniesiona na planie ośmiokąta dzwonnica natychmiast przyciągnęła uwagę Marka. Nie przypominał sobie, by widział podobną w tym regionie. Rozmiary oraz majestat sakralnej budowli kazały domyślać się, że przed wiekami miejsce to cechowało się dobrobytem i sporymi wpływami.

– To interesujące, że w tak małym miasteczku wzniesiono kościół takich rozmiarów – wyraził opinię Geoffrey.

– Widywałem już podobne. Przed pięciuset laty było to miejsce ożywionej wymiany handlowej. Potężny kościół był więc czymś niezbędnym.

Dostrzegli młodą kobietę. Piegi na twarzy sprawiały, że wyglądała jak wiejska dziewczyna. Uśmiechnęła się, a potem weszła do niewielkiego wielobranżowego sklepu. Obok znajdował się budynek, który wyglądał na pocztę. Mark zastanowił się nad dziwną ironią losu, która sprawiła, że St. Agulous nie zostało zniszczone ani przez Saracenów, ani Hiszpanów, ani Francuzów, ani też w czasach krucjat przeciw albigensom.

– Zaczniemy tutaj – zdecydował, wskazując na kościół. – Miejscowy proboszcz może okazać się pomocny.

Weszli do wąskiej nawy zwieńczonej sklepieniem, na którym namalowano gwiazdy na żywym błękitnym tle. Surowych ścian budowli nie zdobiły żadne rzeźby. Nad prostym ołtarzem wisiał drewniany krzyż. Wydeptane deski, każda o szerokości co najmniej sześćdziesięciu centymetrów, zostały wycięte prawdopodobnie przed wieloma stuleciami, z drzew rosnących w okolicznej dziewiczej puszczy. Deski te skrzypiały przy każdym kroku. Kościółek w Rennes pełen był niemal nieprzyzwoitych detali, tutaj natomiast panował niemal nienaturalny spokój.

Mark zauważył zainteresowanie Geoffreya zdobieniami na suficie. Wiedział, co młodszy brat ma na myśli. Mistrz w ostatnich dniach życia nosił habit w kolorze niebieskim, ozdobiony złotymi gwiazdami.

– Czy to przypadek? – zapytał Geoffrey.

– Wątpię.

Z cienia w pobliżu ołtarza wyłonił się starszy człowiek. Jego przygarbione barki przykrywał tylko luźny brązowy habit. Podszedł nerwowym krokiem, który skojarzył się Markowi z kukiełką pociąganą za sznurki.

– Czy ojciec jest tu proboszczem? – zapytał po francusku.

– Tak, panie.

– Czyje imię nosi ten kościół?

– Świętego Agulousa.

Mark patrzył, jak Geoffrey idzie przed siebie, mijając ich po drodze, w stronę pierwszej ławki przed ołtarzem.

– To spokojne miejsce.

– Ci, którzy tu mieszkają, należą wyłącznie do siebie. Rzeczywiście, to bardzo spokojny zakątek.

– Jak długo, ojcze, pełnisz tu duszpasterską posługę?

– Och, od wielu lat. Wydaje się, że nikt nie chce tu służyć. Lecz mnie to odpowiada.

Mark przypomniał sobie, co wie.

– To miejsce stanowiło przed wiekami kryjówkę hiszpańskich rabusiów, prawda? Wyruszali stąd na hiszpańskie ziemie, siali trwogę wśród mieszkańców, grabili chłopskie gospodarstwa, po czym wymykali się w góry i przechodzili bezpiecznie na francuską stronę, gdzie znajdowali się już poza zasięgiem Hiszpanów.

Ksiądz przytaknął.

– By móc rabować Hiszpanię, musieli mieszkać we Francji. Nigdy nie tknęli nawet jednego Francuza. Ale to bardzo dawne dzieje.

Mark wciąż przyglądał się ascetycznej dekoracji wnętrza. Nic nie wskazywało na to, by w budowli mógł być ukryty wielki sekret.

– Ojcze – podjął rozmowę – czy słyszeliście kiedykolwiek nazwisko Bérenger Saunière?

Starszy człowiek zastanowił się przez chwilę, a potem zaprzeczył ruchem głowy.

– Czy tego nazwiska nie wymienił przypadkiem ktoś z mieszkańców tej osady?

– Nie przywykłem do podsłuchiwania rozmów moich parafian.

– Nie to miałem na myśli. Ale czy nie przypomina sobie ojciec, by ktoś kiedykolwiek wypowiedział to nazwisko?

Ksiądz ponownie pokręcił głową.

– Kiedy zbudowano ten kościół?

– W tysiąc siedemset trzydziestym drugim roku. Ale pierwsza budowla została tu wzniesiona w trzynastym stuleciu. Później wielokrotnie ją przebudowywano. Niestety, nie zachowały się żadne pozostałości z wcześniejszych przybytków.

Uwagę starszego człowieka przyciągnął Geoffrey, który wciąż się kręcił przy ołtarzu.

– Czy on niepokoi księdza? – zapytał Mark.

– Czego on szuka?

Dobre pytanie, pomyślał Mark.

– Być może pogrążył się w modlitwie i pragnie być blisko ołtarza.

Ksiądz spojrzał na niego.

– Nie umie pan dobrze kłamać.

Mark zdał sobie sprawę, że człowiek, który stoi przed nim, jest bardziej bystry niż na to wygląda.

– Dlaczego ojciec nie wyjawi mi tego, co chcę wiedzieć?

– Wygląda pan dokładnie tak samo jak on.

Mark z ogromnym wysiłkiem stłumił zaskoczenie.

– Znał ksiądz mojego ojca?

– Przyjeżdżał w te okolice wiele razy. Często ze sobą rozmawialiśmy.

– Czy coś ojcu wyjawił?

Ksiądz zaprzeczył ruchem głowy.

– Pan powinien wiedzieć to lepiej.

– Czy wie ksiądz, co powinienem zrobić?

– Pański ojciec powiedział mi, że jeśli pan kiedykolwiek się tutaj zjawi, powinien pan wiedzieć, co dalej uczynić.

– Wie ojciec o jego śmierci?

– Oczywiście. Powiedziano mi o tym. Odebrał sobie życie.

– To nie jest do końca pewne.

– To dziwne myślenie. Pański ojciec był nieszczęśliwym człowiekiem. Przyjechał tu kontynuować poszukiwania, ale niestety niczego nie odnalazł. To wpędziło go we frustrację. Kiedy usłyszałem, że odebrał sobie życie, nie byłem zaskoczony. Nie potrafił zaznać spokoju ducha na tym świecie.

– Czy rozmawiał z księdzem o swych planach?

– Wiele razy.

– Dlaczego więc ojciec skłamał, iż nigdy nie słyszał nazwiska Bérenger Saunière?

– Nie skłamałem. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska.

– Mój ojciec nigdy o nim nie wspominał?

– Ani razu.

Mark miał do rozwiązania kolejną zagadkę. Równie frustrującą i irytującą, co zachowanie Geoffreya, którzy szedł teraz z powrotem w ich kierunku. Kościół, w którym się znajdowali, z pewnością nie krył żadnej odpowiedzi.

– A jeśli chodzi o opactwo Hildemara? – zapytał. – Zamek, który baron przekazał Agulousowi w dziesiątym wieku? Czy zachował się do naszych czasów?

– Ależ tak. Ruiny wciąż istnieją. Wyżej w górach, niedaleko stąd.

– Nie ma już tam opactwa?

– Na Boga, nie. Miejsce to nie jest zamieszkane od ponad trzystu lat.

– Czy mój ojciec kiedykolwiek wspominał o tamtym miejscu?

– Bywał tam wielokrotnie, lecz niczego nie znalazł, co dodatkowo pogłębiło jego frustrację.

Musieli ruszać. Ale Mark chciał wiedzieć jeszcze jedno.

– Do kogo należą ruiny opactwa?

– Kilka lat temu kupił wszystko pewien Duńczyk. Nazywa się Henrik Thorvaldsen.

CZĘŚĆ
PIĄTA

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

OPACTWO DES FONTAINES
11.40

De Roquefort patrzył przez stół na kapelana. Duchowny czekał na niego, kiedy przyjechał do opactwa z Givors. To zresztą mu odpowiadało. Po konfrontacji, do której doszło poprzedniego dnia, on również pragnął porozmawiać z Włochem.

– Nigdy więcej nie będziesz kwestionował moich słów – wyłożył jasno.

Dysponował władzą, by usunąć kapelana ze stanowiska, jeśli, jak stanowiła Reguła, „powodował problemy lub w większym stopniu sprawiał kłopoty, niż przynosił pożytek".

– Moim zadaniem jest być twoim sumieniem. Kapelani służyli wielkim mistrzom w ten sposób od samego Początku.

Należy tylko dodać, że decyzję o usunięciu z urzędu kapelana musiało zatwierdzić całe bractwo. To mogło okazać się trudne, gdyż człowiek ten cieszył się wśród zakonnych braci sporą popularnością. De Roquefort postanowił więc nieco ustąpić.

– Nie będziesz podawał w wątpliwość moich słów przed braćmi.

– Nie uczyniłem tego. Zauważyłem jedynie, że śmierć dwóch ludzi zapadła mocno w nasze umysły i serca.

– A w moje nie?

– Musisz postępować ostrożnie.

Siedzieli za zamkniętymi drzwiami w celi wielkiego mistrza. Przez otwarte okno z oddali docierał szum wodospadu.

– Takie podejście zaprowadzi nas donikąd.

– Bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie, śmierć tych ludzi osłabiła twoją władzę. Już teraz zaczyna się szeptać, a jesteś wielkim mistrzem zaledwie od kilku dni.

– Nie będę tolerował żadnych tarć.

Wargi kapelana wykrzywiły się w smutnym, lecz spokojnym uśmiechu.

– Mówisz zupełnie tak, jak człowiek, któremu tak bardzo się sprzeciwiałeś. Cóż się zmieniło? Czy seneszal do tego stopnia wpłynął na ciebie?

– On już nie jest seneszalem.

– Niestety, to jedyne jego imię, jakie znam. Ty najprawdopodobniej wiesz o nim o wiele więcej.

De Roquefort zastanawiał się, czy podejrzliwy wenecjanin, który siedzi naprzeciw niego, mówi prawdę. On również słyszał o szeptanych rozmowach, szpiedzy zaś donieśli mu, że kapelan wykazywał głębokie zainteresowany poczynaniami wielkiego mistrza. O wiele głębsze, niż wypadało duchowemu powiernikowi. De Roquefort zastanawiał się, czy ten mężczyzna, który mienił się jego przyjacielem, nie szykuje się do czegoś więcej. W końcu przed laty on sam zachował się podobnie.

Na dobrą sprawę pragnął porozmawiać o trapiących go dylematach, wyjaśnić to, co się wydarzyło, wyjawić to, co wiedział, poszukać duchowego wsparcia. Ale podzielenie się tą wiedzą z kimkolwiek mogło okazać się lekkomyślne. Już sam fakt współpracy z Claridonem niósł wielkie ryzyko. Ale tamten nie był przynajmniej członkiem zakonu. Wenecjanin był kimś zupełnie innym. Tkwił w nim potencjał, który mógł uczynić z niego wroga. W tej sytuacji postanowił zadeklarować to, co wydało się oczywiste.

– Poszukuję naszego Wielkiego Dziedzictwa i jestem już bliski odnalezienia kryjówki.

– Ale ceną za to była śmierć dwóch naszych braci.

– Wielu zmarło w imię tego, w co wierzymy – odparł de Roquefort podniesionym głosem. – W ciągu dwóch pierwszych wieków naszego istnienia dwadzieścia tysięcy rycerzy oddało życie. Dwóch poległych więcej nie ma znaczenia.

– Obecnie życie ludzkie ma dużo większą wartość niż kiedyś.

De Roquefort zauważył, że głos kapelana przeszedł w szept.

– Nie, wartość pozostała ta sama. Jedyną zmianą jest nasz brak gotowości do poświęcenia.

– Nie ma już niewiernych, w których posiadaniu znajdowałaby się Ziemia Święta. Mówimy o odnalezieniu czegoś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie istnieje.

– Twoje słowa to czysta herezja.

– Mówię prawdę. I ty wiesz o tym. Twoim zdaniem odnalezienie naszego Wielkiego Dziedzictwa zmieni wszystko. Oświadczam ci więc, że nie zmieni niczego. Wciąż musisz walczyć o zdobycie szacunku w oczach tych, którzy ci służą.

– Wypełnienie złożonej obietnicy zapewni mi ich respekt i szacunek.

– Czy dobrze przemyślałeś sens tych poszukiwań? To nie takie proste, jak ci się wydaje. Sprawa ta w tej chwili ma większe znaczenie niż kiedyś, w Początkach. Ludzie nie są już niepiśmienni ani ciemni. Musisz pokonać więcej przeciwieństw niż bracia przed wiekami. Niestety dla ciebie, nie istnieje nawet jedna wzmianka o Jezusie Chrystusie w jakimkolwiek świeckim historycznym źródle, czy to greckim, czy rzymskim, czy żydowskim. Nie ma żadnego odniesienia w żadnych źródłach pisanych, które dotrwały do naszych czasów. Istnieje wyłącznie Nowy Testament. To wszystko, co odnosi się do Jego istnienia. Dlaczego tak jest? Znasz odpowiedź. Jeśli Jezus rzeczywiście żył, nosił swe przesłanie gdzieś na prowincji w Judei. Nikogo nie obchodził. Rzymianie w ogóle nie zwróciliby na niego uwagi, gdyby nie podżegał do buntu. A Żydzi spieraliby się dalej między sobą, co odpowiadało Rzymianom. Jezus przyszedł i odszedł. Odegrał zupełnie nieistotną rolę. Teraz jednak wierzą w niego miliardy ludzi. Chrześcijaństwo stało się największą religią tego świata. On zaś stał się w każdym sensie ich Mesjaszem. Bogiem, który powstał z martwych. I nic, co odnajdziesz, nie zmieni tego.

– A jeśli są tam Jego kości?

– Skąd będziesz wiedział, że to są akurat Jego kości?

– A skąd wiedziało o tym pierwszych dziewięciu templariuszy? Spójrz tylko, co zdołali osiągnąć. Królowie ulegali ich woli. Jak inaczej można to wytłumaczyć, jeśli nie tym, co wiedzieli?

– I sądzisz, że dzielili się tą wiedzą? Cóż więc czynili? Pokazywali kości Chrystusa każdemu monarsze, każdemu darczyńcy, każdemu z wiernych?

– Nie mam pojęcia, co robili. Ale bez względu na to, co robili, ich działania okazały się skuteczne. Ludzie garnęli się do zakonu, chcąc zasilić jego szeregi. Władze świeckie okazywały niezwykłe względy. Dlaczegóż nie miałoby się stać tak ponownie?

– Może się tak stać. Ale nie w sposób, jaki sobie obmyśliłeś.

– Wywracają mi się flaki, gdy myślę o tym wszystkim, czego dopuścił się Kościół. Dwadzieścia tysięcy braci, sześciu mistrzów; wszyscy oni oddali

życie, broniąc imienia Jezusa Chrystusa. Stopień poświęcenia zakonu joannitów jest nieporównanie mniejszy. Żaden jednak z templariuszy nie został wyniesiony na ołtarze, a wielu joannitów kanonizowano. Chcę wyrównać tę niesprawiedliwość.

– Jakim sposobem? – zapytał kapelan, lecz nie czekał na odpowiedź. – To, co jest, nie ulegnie zmianie.

De Roquefort pomyślał o notatce na skrawku papieru: „Odpowiedź została znaleziona". Pomyślał też o telefonie, który tkwił w jego kieszeni. „Zadzwonię z informacją, zanim zajdzie słońce". Pogładził lekko palcami wybrzuszenie telefonu komórkowego wsuniętego do kieszeni spodni. Kapelan kontynuował swój wywód, mrucząc pod nosem o poszukiwaniach prowadzących donikąd. Royce Claridon wciąż przebywał w bibliotece, studiując dokumenty.

De Roquefort jednak myślał tylko o jednym.

Dlaczego telefon jeszcze nie zadzwonił?



– Henrik! – wykrzyknął Malone. – Nie zniosę tego dłużej!

Właśnie wysłuchał opowieści Marka, że ruiny położonego nieopodal opactwa są własnością Thorvaldsena. Stali między drzewami, o niecały kilometr od St. Agulous, gdzie zaparkowali samochody, i czekali.

– Cotton, nie miałem pojęcia, że to jest moja własność.

– I sądzisz, że damy temu wiarę? – zapytała z ironią w głosie Stephanie.

– Mam gdzieś to, czy wierzysz mi, czy nie. Nie wiedziałem o tym aż do teraz.

– W jaki więc sposób to wytłumaczysz? – zapytał Malone.

– Nie potrafię. Mogę jedynie stwierdzić, że trzy miesiące przed śmiercią Lars pożyczył ode mnie sto czterdzieści tysięcy dolarów. Nigdy nie wyjawił, na co potrzebne mu były te pieniądze, ja zaś nie pytałem.

– Pożyczyłeś mu taką sumę pieniędzy, nie zadając pytań?

– Potrzebował ich, więc dałem mu je. Ufałem mu.

– Ksiądz w miasteczku stwierdził, że kupiec nabył te tereny od miejscowych władz. Władze wyzbywały się ruin, lecz chętnych było niewielu, ponieważ opactwo leży w górach i znajdowało się w kiepskim stanie. Zostało sprzedane na aukcji przeprowadzonej tu, w St. Agulous – powiedział Mark, a potem spojrzał na Thorvaldsena. – Pańska oferta była najwyższa. Duchowny znał ojca i stwierdził, iż to nie on brał udział w licytacji.

– W takim razie Lars wynajął kogoś, kto brał udział w aukcji w jego imieniu, ponieważ nie byłem to ja. Następnie przepisał własność na mnie, aby ukryć swój udział. Lars bywał czasami nieobliczalny. Gdybym był właścicielem tego terenu i wiedział o tym, z pewnością powiedziałbym wam o tym wczorajszego wieczoru.

– Tego akurat nie jestem pewna – mruknęła gniewnie Stephanie.

– Posłuchaj, Stephanie. Nie mam powodów, aby obawiać się ciebie czy kogokolwiek spośród was. Nie muszę tłumaczyć się przed wami. Ale uważam was za przyjaciół i gdybym wiedział, że posiadłość należy do mnie, powiedziałbym wam o tym.

– Dlaczegóż nie przyjmiemy założenia, że Henrik mówi prawdę? – wtrąciła się do rozmowy Cassiopeia.

Do tej pory zachowywała milczenie, co w jej wypadku było nietypowe.

– I ruszajmy dalej. W górach szybko zapada mrok. Jeśli chodzi o mnie, chcę zobaczyć, co jest tam ukryte.

Malone zgodził się z nią.

– Cassiopeia ma rację. Ruszajmy. Możemy kontynuować ten spór nieco później.

Dojazd na szczyt wzniesienia zajął im około piętnastu minut i wymagał zarówno mocnych nerwów, jak i sprawnych hamulców. Jechali zgodnie ze wskazówkami księdza i w końcu dostrzegli popadający w ruinę klasztor usadowiony na skalnej grani, niczym orle gniazdo. Wieża budowli znajdowała się tuż nad skalnym urwiskiem. Droga kończyła się w odległości niespełna kilometra od ruin, potem musieli iść pod górę piechotą, szlakiem prowadzącym po zwietrzałych skałach, porośniętych kwitnącym tymiankiem, pod baldachimem koron wielkich sosen. Na miejsce dotarli po dziesięciu minutach.

Weszli na teren ruin.

Wszędzie widać było oznaki zapomnienia. Grube mury były nagie, a Malone przejechał palcem po zielonoszarym granitowym łupku. Każdy kamień był precyzyjnie wycięty z kamieniołomów w tutejszych górach i pracowicie odrobiony przez dawnych kamieniarzy. Niegdyś monumentalna galeria otwierała się teraz ku niebu. Kolumny i kapitele wskutek setek lat działania pogody i słońca uległy znacznemu zniszczeniu. Mech, pomarańczowe porosty oraz szara szydlasta kostrzewa owcza porastały kępami ziemię, a kamienna podłoga już przed wiekami zamieniła się w piasek. Wokoło rozlegało się cykanie koników polnych.

Rozmieszczenie komnat trudno było rozpoznać, ponieważ dach oraz większość ścian wewnętrznych runęła dawno temu. Widać było jednak, gdzie znajdowały się cele mnichów, podobnie zresztą jak wielka sala kaplicy oraz inne przepastne pomieszczenie, w którym najprawdopodobniej znajdowała się biblioteka lub też skryptorium. Malone zdawał sobie sprawę z tego, że życie tutaj było ascetyczne, surowe i skromne.

– Zakupiłeś sobie niezwykłą posiadłość – powiedział do Henrika.

– Właśnie podziwiam, co przed dwunastoma laty można było kupić za sto czterdzieści tysięcy dolarów.

Cassiopeia zdawała się być zauroczona.

– Można sobie wyobrazić, jak mnisi zbierali tutaj ubogie plony z tej odrobiny urodzajnej ziemi. Lata były krótkie, zmierzch zapadał szybko. Niemal słyszę ich śpiewy.

– To miejsce było rzeczywiście bardzo odległe – skomentował Thorvaldsen. – Tu znaleźli zapomnienie.

– Lars przepisał prawo własności wyłącznie na ciebie – wtrąciła Stephanie. – Nie bez powodu. Przybył tu również nie bez powodu. Coś musi tu być ukryte.

– Być może – skomentowała Cassiopeia. – Ale ksiądz w miasteczku powiedział Markowi, że Lars niczego tu nie znalazł. Może to być tylko jeszcze jedno z licznych daremnych poszukiwań, w które się angażował.

Mark zaprzeczył ruchem głowy.

– Kryptogram przyprowadził nas tutaj. Ojciec też tu był. Niczego nie znalazł, lecz sądził, że miejsce to jest na tyle ważne, by wykupić je na własność. To musi być to miejsce.

Malone usiadł na większym odłamie skalnym i spojrzał w niebo.

– Mamy pewnie jeszcze pięć lub sześć godzin dnia. Sugeruję, żebyśmy wykorzystali je jak najlepiej. Jestem pewien, że nocą robi się tutaj bardzo zimno i że nie wystarczą nam polarowe kurtki.

– Przywiozłam ze sobą nieco sprzętu i odzieży, które mam w land-roverze – wtrąciła Cassiopeia. – Zakładałam, że być może zejdziemy do podziemi, zabrałam więc też przenośne lampy, latarki oraz nieduży spalinowy generator.

– Świetnie. Pani chyba zawsze myśli o wszystkim – skomentował Malone.

– Tutaj! – wykrzyknął Geoffrey.

Malone spojrzał w głąb klasztornych ruin. Nie zauważył wcześniej, że młody zakonnik się oddalił.

Ruszyli w pośpiechu w głąb ruin i znaleźli Geoffreya, który stał przed czymś, co kiedyś było romańskimi drzwiami. Z rzemieślniczej roboty pozostało niewiele poza niewyraźnym wizerunkiem byków o ludzkich głowach, skrzydlatych lwów oraz palmowych liści.

– Kościół – oznajmił Geoffrey. – Wykuli go w skale.

Malone dostrzegł, że rzeczywiście ściany za drzwiami nie są wzniesione ludzką ręką, lecz stanowią część masywu, na którym zbudowano dawne opactwo.

– Będą nam potrzebne te latarki – zwrócił się do Cassiopei.

– Nie, nie będą nam potrzebne – oznajmił Geoffrey. – W środku jest jasno.

Malone wszedł jako pierwszy; w cieniu rozległo się brzęczenie pszczół. Smugi światła wkradały się przez szczeliny wycięte w skale pod różnym kątem, najwyraźniej zaprojektowane do optymalnego wykorzystania wpadającego słonecznego światła. Coś przyciągnęło jego wzrok. Podszedł bliżej do jednej ze skalnych ścian, wyciętej gładko, lecz teraz niemal pozbawionej dekoracji, poza płaskorzeźbą znajdującą się na wysokości około trzech metrów.

Na herbie widniał hełm, spod którego spływał pas płótna zwisający po obu stronach męskiej twarzy. Jej rysy były zamazane, nos gładki, oczy pozbawione blasku i życia. Na samym szczycie widniał wizerunek sfinksa. Poniżej znajdowała się kamienna tarcza i trzy młoty.

– To znak templariuszy – odezwał się Mark. – Widziałem wcześniej podobne rzeźby w naszym opactwie.

– Co ten wizerunek robi tutaj? – zapytał Malone.

– Katalończycy, którzy mieszkali w tym rejonie w czternastym stuleciu, nie darzyli zbyt gorącymi uczuciami francuskiego króla. Traktowali templariuszy z sympatią nawet po Czystce. To jeden z powodów, dla których te okolice wybrano na miejsce schronienia.

Masywne ściany wznosiły się aż po wysoki, zaokrąglony sufit. Niegdyś zapewne freski zdobiły ich powierzchnię, ale teraz nie zostało po nich nawet śladu. Woda przeciekająca przez porowatą skałę dawno temu wymazała wszelkie dekoracje.

– Wygląda to jak jaskinia – stwierdziła Stephanie.

– Bardziej jak forteca – zauważyła Cassiopeia. – To mogła być ostatnia linia obrony mieszkańców opactwa.

Malone był tego samego zdania.

– Ale jest pewien problem – wskazał gestem na mroczne pomieszczenie, w którym się znaleźli. – Nie ma tu drugiego wyjścia.

Coś innego przyciągnęło jego uwagę. Podszedł w tamtym kierunku i skoncentrował wzrok na ścianie, której większa część była pogrążona w cieniu. Wytężył wzrok.

– Żałuję, że nie mamy tutaj choć jednej latarki.

Pozostali podeszli bliżej.

Na wysokości trzech metrów Malone dostrzegł niewyraźne fragmenty liter wykutych w szarej skale.

– P, R, N, V, I, E – usiłował odczytać.

– Nie – skorygowała go Cassiopeia. – Są jeszcze inne litery. Kolejne I, być może E oraz jeszcze jedno R.

Wytężył wzrok w panującym półmroku, chcąc rozczytać napis.

PRIER EN VENIR.

Umysł Malone’a nagle się ożywił. Przypomniał sobie słowa zapisane w centralnej części nagrobka Marie d’Hautpoul. „REDDIS RÉGIS CÉLLIS ARCIS”. Oraz to, jak skomentował te słowa Claridon, gdy byli w pałacu papieskim w Awinionie.

„*Reddis* to od czasownika «oddać, zwrócić coś». *Regis* to dopełniacz od *rex*, co oznacza «króla». *Cella* to między innymi spiżarnia. *Arcis* zaś to dopełniacz od *arx* – «twierdzy, warowni»”.

Wcześniej słowa te wydawały się pozbawione sensu. Ale być może trzeba je tylko przestawić.

Spiżarnia, twierdza, odzyskać coś wcześniej zabranego, król.

Jeśli doda się teraz kilka przyimków, zdanie może nabrać sensu: „w spiżarni, w twierdzy, zwrócone rzeczy zabrane przez króla”.

I jeszcze strzałka, która biegła pionowo pośrodku nagrobka, między słowami. U góry przy jej grocie widniały litery PS, a przy dolnym grocie słowa PRAE–CUM.

Prae–cum, łaciński zwrot: „modlitwa, która nadejdzie”. Raz jeszcze Malone spojrzał na litery wyryte w skale:

PRIER EN VENIR

Ten sam zwrot: „modlitwa, która nadejdzie”, lecz napisany po francusku.

Uśmiechnął się i wyjawił innym swoje przemyślenia.

– Muszę przyznać, że ksiądz Bigou był przebiegłym człowiekiem.

– Ta strzałka na nagrobku – podjął temat Mark – musi być istotna. Kończy się na środku, w bardzo widocznym miejscu płyty.

Zmysły Malone’a znów stanęły na baczności, jego umysł przesiewał w szaleńczym tempie informacje, on zaś przyglądał się posadzce. Wielu kamiennych płyt brakowało. Te, które dotrwały, były popękane lub niekompletne, ale wypatrzył w nich wzór. Pola z kwadratowych płyt otoczone wąskim kamiennym obrzeżem ciągnęły się od tyłu do przodu oraz z lewej ku prawej.

Policzył.

W jednym otoczonym krawężnikiem prostokącie doliczył się siedmiu kamiennych płyt w poprzek i dziewięciu wzdłuż. Policzył drugi segment. To samo. Potem porachował trzeci.

– Posadzka jest ułożona według wzoru siedem na dziewięć – poinformował pozostałych.

Mark i Henrik szli w stronę ołtarza, również licząc.

– A takich segmentów jest łącznie dziewięć, zaczynając od wejścia do groty i kończąc na ołtarzu – oznajmił Mark.

– I siedem, licząc w poprzek – dodała Stephanie, gdy skończyła liczyć na ostatnim segmencie przylegającym do zewnętrznej ściany.

– W porządku, chyba dotarliśmy we właściwe miejsce – ocenił Malone.

Wciąż myślał o kamieniu nagrobnym. „Modlitwa, która nadejdzie”. Spojrzał raz jeszcze na francuskie słowa wyryte w skale, potem znów na kamienną posadzkę. Od strony ołtarza wciąż dobiegało brzęczenie pszczół.

– Przynieśmy tu sztuczne oświetlenie i generator prądu. Musimy widzieć, co będziemy robić.

– Moim zdaniem, będziemy również musieli spędzić tutaj noc – odezwała się Cassiopeia. – Najbliższy zajazd znajduje się w Elne, blisko pięćdziesiąt kilometrów stąd. Powinniśmy rozbić tu biwak.

– Czy mamy odpowiedni sprzęt i prowiant? – zapytał Malone.

– Możemy go zdobyć – odparła. – Elne jest dość dużym miastem, da się tam kupić wszystko, co będzie nam potrzebne, nie ściągając niczyjej uwagi. Ale ja nie chcę opuszczać tego miejsca.

Widział, że nikt z pozostałych nie kwapi się do wyjazdu. Podniecenie ogarnęło wszystkich, Malone również je czuł. Łamigłówka nie była już jakąś abstrakcyjną ideą niemożliwą do zrozumienia. Teraz odpowiedź leżała w zasięgu ręki. I wbrew temu, co wczoraj oznajmił Cassiopei, również pragnął znaleźć rozwiązanie.

– Ja pojadę – zadeklarował Geoffrey. – Każdy z was chce tu zostać i zdecydować, co zrobimy z tym później. Wy o tym decydujecie, nie ja.

– Doceniamy twój gest – oznajmił Thorvaldsen.

Cassiopeia sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej plik banknotów euro.

– Będzie pan potrzebował gotówki.

Geoffrey wziął pieniądze i uśmiechnął się.

– Wystarczy, że sporządzi pani listę. Przywiozę wszystko jeszcze przed zapadnięciem nocy.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Malone omiatał snopem światła z latarki wnętrze kościoła, szukając na skalnych ścianach dalszych śladów lub wskazówek. Wcześniej rozładowali sprzęt, który przywiozła Cassiopeia, i przenieśli go na teren ruin opactwa. Stephanie i panna Vitt zostały na zewnątrz, rozbijając biwak. Henrik na ochotnika zgłosił się do poszukania drewna na ognisko. Razem z Markiem weszli z powrotem do skalnego kościoła i zamierzali sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie przeoczyli.

– Ten kościół jest opuszczony od długiego czasu – powiedział Mark. – Od trzystu lat, jak poinformował mnie ksiądz w miasteczku.

– W okresie świetności musiał być niezwykły.

– Takie budowle nie są czymś niezwykłym. Wykute w skale kościoły można znaleźć w całej Langwedocji. W Vals, niedaleko Carcassonne, znajduje się jeden z najsłynniejszych. I zachował się w dobrym stanie. Na ścianach wciąż widnieją freski. Wszystkie kościoły w tym regionie zdobiono naściennymi malowidłami. Taki styl tu dominował. Niestety, niewiele z dzieł sztuki się zachowało, a to przez spustoszenie z lat rewolucji francuskiej.

– Mieszkańcy tego przybytku musieli prowadzić iście ascetyczny żywot.

– Zakonnicy to wyjątkowy typ ludzi. Nie dysponowali gazetami, radiem ani telewizją, nie mieli też dostępu do filharmonii czy teatru. Posiadali jedynie kilka książek i te freski w kościele, które służyły im za środki odurzające.

Malone wciąż penetrował niemal egipskie ciemności, słabo rozjaśniane bladym kredowym światłem, barwiącym niektóre detale wnętrza tak, że sprawiały wrażenie pokrytych śniegiem.

– Musimy przyjąć założenie, że kryptogram w pamiętnikach marszałka jest autentyczny – podjął rozmowę Mark. – Nie ma powodu sądzić, że jest inaczej.

– Poza faktem, że marszałek zniknął wkrótce po tym, jak zakończył pisanie pamiętnika.

– Zawsze byłem przekonany, że ten konkretny marszałek kierował się podobnymi motywami co de Roquefort. Uważam, że udał się na poszukiwanie skarbu. Musiał poznać sekret rodziny de Blanchefort. Ta informacja oraz fakt, że ksiądz Bigou być może poznał sekret, znajdowały się w naszych Kronikach od stuleci. Mógł więc wyjść z założenia, że Bigou zostawił obydwa kryptogramy i że stanowiły one drogowskaz prowadzący do miejsca ukrycia Wielkiego Dziedzictwa. Był człowiekiem ambitnym, wyruszył więc na poszukiwania w pojedynkę.

– W takim razie dlaczego zapisał w pamiętnikach kryptogram?

– Jakie to miało znaczenie? On znał rozwiązanie, które podstępem wyciagnął od księdza Gélisa. Nikt inny nie miał pojęcia o jego znaczeniu. Dlaczego więc nie miał umieścić tego w swoich pamiętnikach i wykazać się przed wielkim mistrzem, że czynił postępy?

– Idąc tym tokiem myślenia, marszałek mógł zamordować Gélisa i potem uciec. Opisał po jakimś czasie to, co się stało, dając sobie tym samym alibi.

– To brzmi całkiem prawdopodobnie.

Malone podszedł bliżej do napisu wydrapanego na ścianie: „PRIER EN VENIR”.

– Nic innego nie zdołało tu przetrwać – mruknął pod nosem.

– To prawda. Co zresztą jest pożałowania godne. Znajduje się tutaj wiele nisz, a w każdej z nich kiedyś stała rzeźba. W połączeniu z freskami ta kościelna pieczara była nadzwyczaj misternie udekorowana.

– Jakim więc cudem te trzy słowa się zachowały?

– W kiepskim stanie.

– W wystarczającym stopniu – odparł Malone, sądząc, że być może postarał się o to Bigou.

Znów podążył myślami ku nagrobkowi Marie de Blanchefort. Pomyślał o strzałce z dwoma grotami oraz słowach: „PRAE-CUM”. Modlitwa, która nadejdzie. Spoglądał teraz na płyty posadzki, ułożone w porządku siedem na dziewięć.

– Tu musiały być kiedyś ławki, prawda?

– Z pewnością. Drewniane. Dawno temu.

– Jeśli Saunière poznał rozwiązanie kryptogramu dzięki Gélisowi lub rozwiązał je samodzielnie…

– Marszałek stwierdził w swych pamiętnikach, że Gélis nie darzył zaufaniem Saunière’a.

Malone pokręcił sceptycznie głową.

– To może być jeszcze jeden fałszywy trop zostawiony przez marszałka. Saunière najwidoczniej domyślił się czegoś, o czym nie wiedział marszałek. Załóżmy więc, że odnalazł Wielkie Dziedzictwo. Na podstawie wszystkiego, czego do tej pory zdołaliśmy się dowiedzieć, Saunière powracał tutaj wielokrotnie. Sam opowiadałeś mi w Rennes, że wraz z kochanicą opuszczali miasteczko, a potem powracali ze skalnymi odłamami na budowę groty. Mógł tutaj przyjeżdżać i pobierać fundusze z prywatnego banku.

– W czasach Saunière'a taka podróż była całkiem łatwa dzięki kolei.

– Mógł więc bez trudu docierać do tej kryjówki, jednocześnie utrzymując jej lokalizację w tajemnicy.

Ponownie spojrzał na wyryte w skale litery: „PRIER EN VENIR". Modlitwa, która nadejdzie.

Potem uklęknął.

– To ma sens, ale co widzisz stamtąd, czego ja nie widzę stojąc? – zdziwił się Mark.

Wzrok Malone'a przemierzał badawczo kościelne wnętrze. Nie pozostało tu nic poza ołtarzem odległym o jakieś sześć metrów. Kamienny blat miał około ośmiu centymetrów grubości i opierał się na prostokątnym cokole zbudowanym z granitowych bloków. Policzył bloki w poziomych rzędach. Dziewięć. Potem policzył je w pionie. Siedem. Skierował światło latarki na pokryte porostami kamienie. Wciąż widać było grube linie murarskiej zaprawy. Przejechał snopem światła wzdłuż siedmiu kamiennych bloków, potem skierował snop świtała do góry na spodnią stronę granitowego blatu.

I wtedy to dostrzegł.

Teraz wiedział.

Uśmiechnął się.

„Modlitwa, która nadejdzie".

Sprytne.



De Roquefort nie słuchał paplaniny skarbnika. Dotyczyła budżetu opactwa oraz jakiejś superaty. Opactwo zdobywało fundusze dzięki dotacjom, których łączna kwota opiewała na miliony euro. Pozyskano je dawno temu i zarządzano nimi ostrożnie, by zapewnić zakonowi finansową niezależność. Opactwo było na dobrą sprawę strukturą niemal samofinansującą się. Na polach, w gospodarstwach oraz w piekarni produkowano większość żywności potrzebnej braciom. Winiarnia i mleczarnia pokrywały niemal całość potrzeb, jeśli chodzi o trunki i napoje. Woda natomiast była tu w takiej obfitości, że poprowadzono rurociąg do kotliny, gdzie ją butelkowano i sprzedawano w całej Francji. Oczywiście sporo trzeba było jeszcze dokupywać, by urozmaicić menu oraz uzupełnić sprzęt. Ale dochody ze sprzedaży wina i wody, wraz z opłatami od turystów, w zasadzie przewyższały podstawowe wydatki. O co więc chodziło z tą nadwyżką w budżecie?

– Czy potrzebne są nam pieniądze? – przerwał skarbnikowi, zadając mu pytanie.

– W żadnym razie, mistrzu.

– W takim razie, dlaczego zawracasz mi głowę?

– Wielki mistrz musi być informowany o wszelkich decyzjach finansowych.

Ten idiota miał rację, lecz de Roquefort nie miał teraz na to czasu. Ale mimo to skarbnik mógł okazać się przydatny.

– Czy przestudiowałeś historię finansów naszego zakonu?

Pytanie to zaskoczyło skarbnika.

– Ależ oczywiście, mistrzu. To obowiązek każdego z braci, który piastuje godność skarbnika. Obecnie nauczam już innych, którzy są niżsi rangą.

– Jaki był nasz stan majątkowy w okresie Czystki?

– Nie da się tego policzyć. Zakon posiadał dziewięć tysięcy dóbr ziemskich, a oszacowanie łącznego areału jest absolutnie niemożliwe.

– A nasze środki płynne?

– I znów ciężko to oszacować. W skarbcach znajdowały się złote denary, monety bizantyjskie, złote floreny, drachmy, marki, a także srebro i złoto. Mistrz de Molay przyjechał do Francji w tysiąc trzysta szóstym roku, prowadząc ze sobą dwanaście jucznych koni wyładowanych srebrem, które nigdy nie zostało policzone. Oprócz tego dochodzą jeszcze dobra przekazane nam na przechowanie.

De Roquefort wiedział, o czym mówi skarbnik. Zakon odegrał pionierską rolę w dziedzinie lokat i depozytów, przechowując testamenty i cenne dokumenty zamożnych ludzi, a także klejnoty oraz inne wartościowe rzeczy osobiste. Reputacja zakonu, jeśli chodzi o wiarygodność, była nieskalana, dzięki czemu usługi te rozwijały się bardzo dynamicznie w całym chrześcijańskim świecie – oczywiście za stosowną opłatą.

– Dobra, które przechowywaliśmy – podjął temat skarbnik – zostały utracone w trakcie Czystki; zniknęły również księgi inwentarzowe znajdujące się w naszych archiwach. Z tego więc względu nie jest możliwe dokonanie szacunku depozytów, które przechowywał zakon. Ale można powiedzieć, że łączna wartość wszystkich dóbr sięgała miliardów dzisiejszych euro.

De Roquefort wiedział też o furach jadących na południe, prowadzonych przez czwórkę wybranych braci oraz ich przywódcę, Gilberta de Blanchefort, który otrzymał instrukcje, by nikomu nie wyjawiać miejsca ukrycia skarbu oraz by dopilnować, że wiedza ta zostanie przekazana innym w odpowiedni sposób. De Blanchefort wywiązał się ze swojego zadania doskonale. Upłynęło siedemset lat, a lokalizacja skrytki templariuszy wciąż pozostawała tajemnicą.

Cóż było tak cenne, że Jakub de Molay zalecił ukrycie tego, sięgając po tak wymyślne sposoby zabezpieczenia tajemnicy?

Od trzydziestu lat de Roquefort zastanawiał się nad odpowiedzią na to pytanie.

Aparat komórkowy w kieszeni jego habitu zaczął wibrować, co go zaskoczyło.

Wreszcie.

– Co się dzieje, mistrzu? – zapytał skarbnik.

De Roquefort zapanował nad emocjami.

– Zostaw mnie teraz samego.

Brat zakonny wstał od stołu, ukłonił się i wyszedł. De Roquefort otworzył aparat.

– Mam nadzieję, że nie będziesz marnować mojego czasu – powiedział do mikrofonu.

– Jakim sposobem prawdę można uznać za marnowanie czasu?

Natychmiast rozpoznał ten głos.

Geoffrey.

– Dlaczegóż miałbym dać wiarę choćby w jedno twoje słowo? – zapytał.

– Ponieważ jesteś moim mistrzem.

– Byłeś lojalny wobec mego poprzednika.

– Dopóki jeszcze oddychał, było to prawdą. Ale teraz, po jego śmierci, przysięga, którą złożyłem wobec bractwa, wymaga, bym okazał lojalność temu, kto nosi biały habit…

– Nawet jeśli nie darzysz tego kogoś szacunkiem?

– O ile wiem, sam tak postępowałeś przez wiele lat.

– A porwanie się na mistrza stanowi element twojej lojalności? – nie zapomniał jeszcze uderzenia w skroń kolbą pistoletu, na chwilę przed tym, kiedy Geoffrey i Mark Nelle uciekli z opactwa.

– Była to niezbędna demonstracja, która miała na celu zdobycie zaufania seneszala.

– Skąd zdobyłeś ten telefon?

– Dał mi go poprzedni wielki mistrz. Mieliśmy posługiwać się nim, będąc już poza murami. Ale postanowiłem wykorzystać go w inny sposób.

– Ty i mistrz ułożyliście misterny plan.

– Dla niego liczyło się jedynie osiągnięcie celu. Dlatego wysłał pocztą dziennik do Stephanie Nelle. Zamierzał wciągnąć ją do gry.

– Dziennik jest zupełnie bez wartości.

– To samo mi powiedziano. Ale była to dla mnie nowa informacja. Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj.

W końcu de Roquefort zapytał o to, co naprawdę pragnął wiedzieć.

– Czy zdołaliście rozwiązać kryptogram? Ten, który znajduje się w pamiętnikach marszałka?

– Tak, oni rozwiązali łamigłówkę.

– Zatem powiedz mi, bracie, gdzie teraz jesteś?

– W St. Agulous. W ruinach opactwa tuż na północ od miasteczka. Całkiem niedaleko od was.

– I nasze Wielkie Dziedzictwo jest tam ukryte?

– Wszelkie wskazówki prowadzą w to miejsce. W tym momencie reszta pracuje nad zlokalizowaniem kryjówki. Wysłano mnie do Elne po zakup sprzętu biwakowego i prowiantu.

De Roquefort powoli zaczynał wierzyć w słowa swego rozmówcy. Zastanawiał się jednak, czy Geoffrey kieruje się desperacją, czy też racjonalną oceną sytuacji.

– Bracie, zabiję cię, jeśli kłamiesz.

– Nie wątpię w tę deklarację. Już wcześniej zabijałeś.

Nie powinien tego robić, ale poczuł w sobie przymus, by zapytać:

– I kogóż to twoim zdaniem zabiłem?

– Z pewnością byłeś zamieszany w śmierć Ernsta Scoville’a. A Lars Nelle? W tym wypadku trudno rozstrzygnąć. Przynamniej tak powiedział poprzedni mistrz.

De Roquefort chciał dalej drążyć temat, ale wiedział, że jego zainteresowanie będzie wyłącznie przyznaniem się do winy.

– Puszczasz wodze fantazji, bracie – odparł po prostu.

– Nieraz określano mnie gorszymi epitetami.

– Co tobą kieruje?

– Pragnę zostać rycerzem zakonu. To ty podejmujesz decyzje. Kilka dni temu, w kaplicy, kiedy aresztowałeś seneszala, dałeś jasno do zrozumienia, że w moim przypadku tak się nie stanie. Wtedy właśnie postanowiłem zmienić taktykę postępowania i podjąć działania, które poprzedniemu mistrzowi z pewnością by się nie spodobały. Ruszyłem więc w drogę. Dowiedziałem się, czego mogłem. I czekałem do chwili, kiedy wreszcie będę mógł ci zaoferować to, czego naprawdę pragniesz. W zamian oczekuję wyłącznie przebaczenia.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, zostanie ci przebaczone.

– Wkrótce wracam do ruin opactwa. Oni zamierzają rozbić tam biwak na noc. Już wcześniej miałeś okazję widzieć, że są pomysłowi, zarówno w pojedynkę, jak i w zespole. A zatem, chociaż nigdy nie odważyłbym się stawiać mej oceny ponad twoją, zalecałbym jednak podjęcie zdecydowanych działań.

– Zapewniam cię, bracie, że moja reakcja będzie bardzo zdecydowana.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Malone wstał i podszedł do ołtarza. W snopie światła latarki dostrzegł, że pod kamiennym blatem nie ma warstwy murarskiej zaprawy. Ułożenie płyt cokołu, który podpierał kamienną płytę, w układzie siedem na dziewięć, przyciągnęło jego uwagę. Przyklęknął i wtedy zobaczył szczelinę.

Podszedł do ołtarza, pochylił się i poświecił latarką z bliska.

– Kamienny płyta nie jest przymurowana.

– Nawet bym nie przypuszczał, że będzie – skomentował Mark. – Siła grawitacji wystarczyła, by trzymała się dostatecznie solidnie. Spójrz na plintę. Jakie ma rozmiary? Grubość około ośmiu centymetrów i długość blisko metr osiemdziesiąt?

– Bigou ukrył swój kryptogram w kolumnie pod ołtarzem w Rennes. Zastanawiałem się, dlaczego wybrał tę konkretnie kryjówkę. Prawda, że to niezwykłe? By dostać się do niej, musiał unieść płytę ołtarza znad czopu, potem wsunąć szklaną fiolkę do niszy w środku. Później zasunął blat i doskonała kryjówka była gotowa. Ale to nie wszystko. Bigou, dokonując tego wyboru, przekazywał nam jednocześnie jakąś informację – Malone skierował snop światła latarki w dół. – Musimy to zdjąć.

Mark podszedł do jednego końca kamiennej płyty, a Malone ustawił się przy drugim. Każdy z nich chwycił dłońmi po swojej stronie, chcąc sprawdzić, czy kamień w ogóle drgnie.

Płyta drgnęła, lecz jedynie odrobinę.

– Masz rację – stwierdził Malone. – Płyta po prostu leży. Nie widzę powodu, by się z nią cackać. Odsuńmy ją.

Razem rozkołysali płytę w lewo i prawo na tyle, by pokonać siłę ciążenia i zwalić taflę na posadzkę.

Malone spojrzał na prostokątny otwór, który odsłonili, i dostrzegł w nim luźno poukładane skalne odłamy.

– Otwór jest wypełniony kamieniami – oznajmił Mark.

Malone uśmiechnął się.

– Oczywiście. A więc wybierzmy je.

– Tylko po co?

– Gdybyś był Saunièrem i nie życzyłbyś sobie, by ktokolwiek podążył twoim śladem, taki wypełniony kamieniami cokół stanowiłby zapewne skuteczny środek zniechęcający. Te skalne odłamy spełniły to zadanie bardzo skutecznie, podobnie jak mówiłeś mi wczoraj. Musimy myśleć tak, jak ludzie przed ponad stu laty. Rozejrzyj się dookoła. Nikt nigdy nie zjawił się tutaj w poszukiwaniu skarbów. To miejsce było tylko ruinami. I kto fatygowałby się rozmontowywaniem tego ołtarza? To, co tu ukryto, przez stulecia pozostawało nietknięte ludzką ręką. Jeśli więc ktoś to uczynił, dlaczegoż nie miał dołożyć jeszcze jednego zabezpieczenia.

Prostokątny cokół miał wysokość około metra, licząc od posadzki. Oni zaś bez zwłoki wzięli się za wyjmowanie kamieni i odkładanie ich na bok. Po dziesięciu minutach cokół był w środku pusty. Na dnie znajdowała się ziemia. Malone wskoczył do środka i odniósł wrażenie, że wyczuwa lekkie drgania. Pochylił się i dotknął podłoża palcami. Wysuszona ziemia miała sypkość pustynnego piasku. Mark przyświecał latarką, podczas gdy Malone wybierał dłońmi ziemię. Jakieś piętnaście centymetrów głębiej natrafił na coś. Obiema dłońmi odgarnął ziemię na szerokość trzydziestu centymetrów i zobaczył drewniane deski.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

– Czyż nie jest przyjemnie mieć czasami rację?



De Roquefort wpadł do sali z impetem i spojrzał na członków kapituły. Wezwał ich na posiedzenie po rozmowie telefonicznej z Geoffreyem.

– Wielkie Dziedzictwo zostało odnalezione – oświadczył.

Na twarzach zebranych zawitał wyraz zdumienia.

– Poprzedni seneszal oraz jego pomagierzy zdołali znaleźć kryjówkę. Ulokowałem między nimi jednego z braci jako szpiega. Powiadomił mnie, że ich poszukiwania zakończyły się powodzeniem. Nadeszła pora, byśmy odzyskali naszą schedę.

– Cóż więc proponujesz, mistrzu? – zapytał jeden z członków kapituły.

– Weźmiemy oddział rycerzy i przejmiemy to, co nasze.

– Kolejny przelew krwi? – zapytał kapelan.

– Nie, jeśli będziemy działać z rozwagą.

Kapelan zdawał się pozostawać niewzruszony.

– Poprzedni seneszal i Geoffrey, który najwyraźniej zdaje się być twoim sojusznikiem, ponieważ jak wiemy, nie ma z nimi żadnego z naszych braci. Postrzelili już dwóch z nas. Nie ma więc powodów przypuszczać, że zawahają się przed strzelaniem do następnych.

De Roquefort miał już tego dość.

– Kapelanie, to nie jest kwestia wiary. Twoja rada nie jest więc nam niezbędna.

– Bezpieczeństwo członków zakonu jest odpowiedzialnością nas wszystkich.

– Czy więc ośmielasz się stwierdzić, że nie leży mi na sercu bezpieczeństwo tego zakonu? – podniósł głos. – Czy kwestionujesz moją władzę? Czy chcesz się sprzeciwić mojej decyzji? Odpowiedz mi, kapelanie, chcę to wiedzieć.

Jeśli wenecjanin przeląkł się, nie dał tego po sobie poznać.

– Jesteś moim mistrzem. Jestem winny ci posłuszeństwo… bez względu na wszystko – odparł przebiegle.

De Roquefortowi nie podobał mu się bezczelny ton tych słów.

– Ale, mistrzu – kontynuował kapelan – czyż nie ty sam oświadczyłeś, że wszyscy powinniśmy uczestniczyć w podejmowaniu decyzji tej rangi?

Kilku innych członków kapituły przytaknęło.

– Czyż nie ty mówiłeś do braci podczas konklawe, że wytyczysz nowy kierunek?

– Kapelanie, przystępujemy teraz do najważniejszej od stuleci misji tego zakonu. Nie mam teraz czasu na prowadzenie debaty z tobą.

– Byłem przekonany, że oddawanie chwały naszemu Panu i Bogu jest naszą najważniejszą misją. A w takim razie jest to kwestia wiary, na której temat mam prawo się wypowiadać.

De Roquefort miał już tego po dziurki w nosie.

– Możesz odejść.

Kapelan nawet nie drgnął. Żaden z pozostałych braci nie odezwał się ani słowem.

– Jeśli natychmiast nie wyjdziesz, każę cię pojmać i doprowadzić później przed moje oblicze w celu wymierzenia kary – oznajmił de Roquefort z groźbą w głosie, potem przerwał na chwilę. – A kara ta, zapewniam, wcale nie będzie przyjemna.

Kapelan wstał i pochylił głowę.

– Wychodzę. Jak rozkazujesz, mistrzu.

– Porozmawiamy jeszcze później.

Odczekał, aż kapelan opuści salę, potem zwrócił się do pozostałych:

– Przez długi czas poszukiwaliśmy Wielkiego Dziedzictwa. Teraz jest w zasięgu ręki. To, co znajduje w kryjówce, należy tylko do nas. Tam jest nasza scheda. Jeśli chodzi o mnie, mam zamiar odebrać to, co należy do nas. Będzie mi towarzyszyć dwunastu braci-rycerzy. Wam pozostawiam wybranie najbardziej odpowiednich ludzi. Każcie im wziąć broń i stawić się za godzinę w sali gimnastycznej.



Malone zawołał Stephanie i Cassiopeię, potem poprosił, żeby przyniosły łopatę, którą wyładowano wcześniej z auta panny Vitt. Pojawiły się razem z Henrikiem, a kiedy wchodzili do wnętrza kościelnej groty, Malone opowiedział im, co udało mu się znaleźć razem z Markiem.

– Całkiem sprytnie – pochwaliła go Cassiopeia.

– Miewam czasami chwile przebłysku.

– Musimy wydobyć resztę ziemi z wnętrza cokołu – orzekła Stephanie.

– Podajcie mi łopatę.

Malone wybierał luźną ziemię. Po kilku minutach zdołał odsłonić trzy poczerniałe, po części zbutwiałe deski. W połowie były spięte paskami blachy. Druga połowa tworzyła osadzone na zawiasach drzwiczki, które otwierały się do góry.

Schylił się i lekko dotknął metalowych pasków.

– Żelazo skorodowało. Zawiasy rozsypały się w puch. Sto lat działania czynników atmosferycznych zrobiło swoje.

Wstał i za pomocą łopaty, odłupał pozostałości zawiasów.

– Co masz na myśli, mówiąc „sto lat”? – chciała wiedzieć Stephanie.

– To Saunière zbudował te drzwiczki – oznajmiła Cassiopeia. – Drewno jest w całkiem dobrym stanie, z pewnością nie liczy sobie kilkuset lat. I wygląda na to, że deski oszlifowano, co raczej nie było typowe dla techniki obróbki drewna w średniowieczu. Saunière musiał urządzić sobie łatwy sposób wchodzenia i wychodzenia stąd. Kiedy więc odnalazł wejście w cokole pod ołtarzem, dobudował te drzwiczki.

– Jestem tego samego zdania – zgodził się Malone. – Co zresztą wyjaśnia, w jaki sposób radził sobie z ciężką kamienną płytą zwieńczającą ołtarz. Po prostu odsuwał ją nieco na bok, wybierał kamienie zalegające nad drzwiczkami, schodził w dół, potem pakował wszystko z powrotem, kiedy opuszczał to miejsce. Z tego, co o nim wiemy, cechował się tężyzną fizyczną. No i był cholernie sprytny.

Wsunął łopatę w szczelinę między drzwi i podniósł drzwiczki. Mark schylił się i sięgnął po ich krawędź. Malone odrzucił łopatę na bok i razem podnieśli właz, odsłaniając głęboką czeluść. Thorvaldsen spojrzał w głąb otworu.

– Zdumiewające. Wygląda na to, że rzeczywiście trafiliśmy na właściwe miejsce. – Stephanie skierowała snop światła latarki w czeluść. Poniżej dostrzegli drabinę opartą na jednej ze skalnych ścian.

– Jak sądzicie? Wytrzyma?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Malone wyciągnął nogę i oparł ciężar ciała na pierwszym szczeblu. Drabina była wykonana z grubych belek zbitych gwoździami. W każdym razie miał nadzieję, że gwoździe jeszcze istnieją. Dostrzegł kilka zardzewiałych łepków. Nacisnął mocniej, trzymając się dłońmi wierzchołka cokołu wspierającego ołtarz, na wypadek gdyby szczebel nie wytrzymał. Okazał się jednak mocny. Przystawił drugą nogę obok i po raz kolejny wypróbował wytrzymałość drabiny.

– Wydaje mi się, że wytrzyma.

– Jestem lżejsza – zgłosiła się na ochotnika Cassiopeia. – Z ochotą pójdę pierwsza.

Uśmiechnął się do niej.

– Jeśli nie ma nic pani przeciwko, pozwolę sobie wypełnić ten honor.

– Widzi pan, miałam rację – droczyła się z nim. – Chce pan to zrobić.

Tak, chciał to zrobić. To co znajdowało się poniżej, kusiło go, podobnie jak poszukiwanie rzadkich książek wśród zapomnianych półek i regałów. Człowiek nigdy nie wiedział, na co może trafić.

Wciąż trzymając się górnej krawędzi cokołu, zszedł na drugi szczebel. Odległość między szczeblami wynosiła około czterdziestu centymetrów. Szybko przeniósł dłonie na szczyt drabiny i postawił nogę na kolejnym szczeblu.

– Wydaje się, że wszystko jest w porządku – oznajmił.

Schodził w dół, ostrożnie sprawdzając każdy kolejny szczebel. Ponad nim Stephanie i Cassiopeia rozświetlały ciemność światłem latarek. W końcu dotarł do posadzki, na której stała drabina. Został mu jeszcze tylko krok. Posadzka była w tym pokryta drobnym żwirem i kamieniami różnej wielkości – od rozmiaru pięści po rozmiar czaszki.

– Rzućcie mi latarkę! – zwołał do góry.

Thorvaldsen upuścił jedną z latarek. Malone chwycił ją w locie i poświecił dookoła. Drabina miała wysokość około czterech i pół metra, licząc od posadzki do stropu. Zorientował się, że wejście znajduje się pośrodku naturalnego korytarza, który w wapiennej skale wyżłobiły miliony lat deszczu i topniejącego śniegu. Wiedział, że Pireneje roją się od takich jaskiń i podziemnych tuneli.

– Dlaczego pan nie zeskoczy? – zapytała Cassiopeia.

– To byłoby zbyt łatwe.

Poczuł chłód, który napływał od strony pleców i na pewno nie pochodził z zimnego powietrza.

– Przesunę się na drugą stronę drabiny. Rzućcie jeden z kamieni na dół.

Przesunął się tak, by zejść z toru lotu skalnego odłamu.

– Jesteś bezpieczny? – zapytała Stephanie.

– Ognia.

Odłam skały przeleciał przez otwór. Malone patrzył, jak spada i jak uderza o podłogę. I jak spada dalej.

Snopy światła latarek przyświeciły w miejsce, w które uderzył skalny odłam.

– Miał pan rację – powiedziała Cassiopeia. – Pod powierzchnią znajduje się wilczy dół i tylko czeka na to, aż ktoś nieopatrznie zeskoczy z drabiny.

– Zrzućcie jeszcze kilka kamieni wokół tego miejsca i znajdźcie kawałek twardego podłoża.

W dół poleciały jeszcze cztery kamienie i z głuchym odgłosem uderzyły o twardy grunt. Malone wiedział dzięki temu, gdzie powinien zeskoczyć. Zszedł więc z drabiny i poświecił latarką w miejsce, gdzie czyhała pułapka. Dół miał około pół metra kwadratowego powierzchni i był głęboki na prawie metr. Sięgnął ręką do środka i wyciągnął kawałek deski, która stanowiła przykrywę tej pułapki. Krawędzie desek były połączone ze sobą na pióro i wpust, ich grubość pozwalała złamać się pod ciężarem człowieka, lecz były na tyle mocne, by utrzymać przykrywającą je warstwę szlamu i żwiru. W dnie otworu znajdowały się metalowe spiczaste groty, ostre na wierzchołkach, szerokie u podstawy, czekające skrycie na niespodziewanego intruza. Pod wpływem czasu ich powierzchnia pokryła się patyną, ale nie wpłynęło to zabójczą skuteczność pułapki.

– Saunière podchodził do sprawy z niezwykłą powagą – stwierdził

– To mogą być równie dobrze zasadzki zastawione przez templariuszy – zauważył Mark. – Czy to jest mosiądz?

– Brąz.

– Zakon dysponował szeroką wiedzą w dziedzinie metalurgii. Mosiądz, brąz, miedź – wszystkie te metale były stosowane przez Ubogich Rycerzy Chrystusa. Kościół zabronił wprawdzie prowadzenia badań naukowych, lecz oni nauczyli się arkanów tego rzemiosła od Arabów.

– Drewno stanowiące przykrycie otworu nie może liczyć siedemset lat – zauważyła Cassiopeia. – Najwyraźniej więc Saunière musiał dokonać naprawy pułapek zastawionych przez templariuszy.

Słowa te niezbyt się spodobały Malone’owi.

– Oznacza to prawdopodobnie, że to pierwsza z licznych pułapek.

SZEŚĆDZIESIĄT

Malone patrzył, jak Stephanie, Mark i Cassiopeia schodzą
po drabinie. Thorvaldsen został na górze i czekał na powrót Geoffreya, gotów w razie potrzeby podawać narzędzia.

– Mówiłem to poważnie – podkreślił Mark. – Templariusze byli pionierami, jeśli chodzi o pułapki, sidła i potrzaski. Czytałem relację w kronikach zakonu na temat technik, które przy tej okazji rozwinęli.

– W takim razie miejcie oczy szeroko otwarte – ostrzegł Malone. – Jeśli mamy tu cokolwiek znaleźć, musimy mieć oczy z czterech stron głowy.

– Jest już po trzeciej – Cassiopeia zmieniła temat. – Słońce zajdzie za jakieś dwie godziny. Już teraz jest tutaj dość chłodno, w nocy naprawdę zrobi się rześko.

W kurtkach było im jeszcze ciepło, ale przydałyby się rękawiczki i ciepłe skarpety, figurujące zresztą na liście zakupów, które miał zrobić Geoffrey. Światło z sufitu ledwo tylko rozjaśniało korytarz, który ciągnął się w obu kierunkach. Szczerze mówiąc, Malone wątpił, czy bez lamp zasilanych prądem z agregatu będą w stanie zobaczyć palec przytknięty do nosa.

– Dzienne światło nic nam nie da. Trzeba ściągnąć sztuczne oświetlenie. Poza tym potrzebny jest nam Geoffrey z prowiantem oraz cieplejszymi ubraniami. Henrik! – wykrzyknął. – Daj nam znać, kiedy dobry brat wróci.

– Bezpiecznych łowów!

W głowie Malone’a buzowało od możliwych opcji i wariantów.

– Co o tym wszystkim sądzicie? – zwrócił się z pytaniem do pozostałej trójki.

– To może być część *horreum* – wysunęła hipotezę Cassiopeia. – Kiedy Rzymianie panowali na tych terenach, zbudowali podziemne spiżarnie, w których przechowywali produkty spożywcze ulegające łatwemu zepsuciu. Była to wczesna wersja chłodni. Kilka z nich przetrwało do naszych czasów. To może być jedna z nich.

– I templariusze wiedzieli o tym? – zaciekawiła się Stephanie.

– Oni posiadali swoje własne – powiedział Mark. – Nauczyli się ich budowy od Rzymian. To, co mówi panna Vitt, ma sens. Gdy Jakub de Molay polecił Gilbertowi de Blanchefort wywieźć skarby z paryskiej Temple, uprzedzając bieg zdarzeń, ten mógł zapewne wybrać miejsce takie jak to. Ukryte pod niewyróżniającym się niczym kościółkiem w mało znanym opactwie, które w żaden sposób nie było powiązane z zakonem.

Malone poświecił latarką przed siebie, potem dookoła i skierował snop światła w przeciwną stronę.

– W którym kierunku idziemy?

– Dobre pytanie – stwierdziła Stephanie.

– Ty i Mark pójdziecie w tę stronę – powiedział Malone. – Cassiopeia i ja pójdziemy w drugą.

Wyczuł, że ta propozycja nie przypadła do gustu ani Markowi, ani Stephanie.

– Nie mamy teraz czasu na wasze waśnie. Odłóżcie to na później. Róbcie, co do was należy. Zawsze mi to powtarzałaś, Stephanie.

Postanowiła nie spierać się z nim.

– On ma rację. Ruszajmy więc – powiedziała do Marka

Malone patrzył, jak znikają powoli w smolistej ciemności.

– Sprytne posunięcie – szepnęła Cassiopeia. – Ale czy uważa pan za mądre wysłanie ich razem? Tyle spraw ich dzieli.

– Nic nie wpłynie lepiej na rozładowanie dawnych uraz niż solidna dawka emocjonujących przeżyć.

– Czy to samo odnosi się do mnie i do pana?

Skierował snop światła latarki na jej twarz.

– Niech pani prowadzi, a wkrótce się przekonamy.



De Roquefort wraz dwunastką braci zbliżył się do wiekowych ruin opactwa od strony południowej. Ominęli miasteczko St. Agulous i zaparkowali samochody kilometr wcześniej w gęstym lesie. Szli teraz pod górę wśród zarośli i czerwonych skał, posuwając się mozolnie dość stromym stokiem.

De Roquefort wiedział, że rejon ten jest ulubionym miejscem miłośników górskich wędrówek. Zielone zbocza oraz fioletowe skały otaczały ich zewsząd, ale szlak był dobrze oznakowany. Być może wcześniej chadzali tędy miejscowi pasterze. Ścieżka prowadziła do odległych o kilometr murów oraz ruin, które kiedyś były miejscem religijnego kultu.

Zatrzymał orszak i zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta po południu. Brat Geoffrey stwierdził, że powinien wrócić do opactwa o godzinie czwartej. De Roquefort rozejrzał się dookoła. Ruiny sterczały na skalnym wzniesieniu o jakieś sto metrów ponad nimi. Samochód wynajęty przez Malone'a stał zaparkowany nieco dalej.

– Skryjcie się między drzewami – polecił. – I nie wyściubiajcie nosa.

Kilka chwil później usłyszał warkot silnika land-rovera z Geoffreyem za kierownicą. Auto wspinało się żwirową drogą i zatrzymało obok samochodu Malone'a. De Roquefort widział, jak młodzieniec wysiada z szoferki i rozgląda się dookoła, lecz jeszcze nie ujawniał swojej obecności, wciąż niepewny, czy nie zastawiono na nich zasadzki.

Geoffrey wahał się przez chwilę, stojąc obok land-rovera, w końcu otworzył bagażnik i wyciągnął dwa kartony. Wziął oba naraz i ruszył ścieżką w stronę opactwa. De Roquefort odczekał, aż młody zakonnik minie go, potem nagle wyskoczył na ścieżkę.

– Czekałem tu na ciebie, bracie – powiedział.

Geoffrey zatrzymał się i obrócił.

Blada zazwyczaj twarz młodego człowieka zrobiła się jeszcze bledsza. Geoffrey nie odezwał się. Odłożył kartony na ziemię, potem sięgnął za kurtkę i wyciągnął automatyczny pistolet kalibru 9 mm. De Roquefort rozpoznał go. Była to broń austriackiej produkcji, której kilka sztuk znajdowało się w arsenale opactwa.

Geoffrey załadował pocisk do komory.

– W takim razie wywołaj, mistrzu, swoich ludzi z ukrycia i niech to wszystko już się skończy.



Bezgraniczne napięcie odpędziło wszelkie myśl z głowy Malone’a. Podążał za Cassiopeią, kiedy centymetr po centymetrze posuwali się podziemnym korytarzem. Podziemny chodnik miał szerokość około dwóch metrów, a był wysoki na blisko dwa i pół metra. Skalne ściany były suche i chropawe. Od powierzchni dzieliło ich ponad cztery metry sklepienia. Zamknięte pomieszczenia nie należały do jego ulubionych miejsc. Cassiopeia sprawiała jednak wrażenie, że ma nerwy ze stali. Widywał kiedyś taką odwagę u agentów, którzy funkcjonowali najlepiej w warunkach ekstremalnego stresu.

Wypatrywał w napięciu kolejnych pułapek, zwracając szczególną uwagę na żwirowe podłoże znajdujące się przed nim. Zawsze bawiły go sceny w filmach przygodowych, kiedy ruchome części z kamienia i metalu, liczące sobie setki czy nawet tysiące lat, działały bez zarzutu, jak gdyby dopiero wczoraj zostały naoliwione. Żelazo i skała cechowały się podatnością na działanie powietrza i wody, a żywotność mechanizmów z nich sporządzonych była ograniczona. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa w wypadku brązu. Opierał się wpływowi tych czynników, dlatego właśnie człowiek robił z niego użytek. A więc kolejne zaostrzone groty umieszczone w wilczych dołach stanowiły realne zagrożenie.

Cassiopeia zatrzymała się, kierując snop światła z latarki w miejsce znajdujące się o jakieś trzy metry przed nimi.

– Co to jest? – zapytał Malone.

– Przypatrzmy się z bliska.

Poświecił swoją latarką w to samo miejsce i wtedy dostrzegli to.



Stephanie również nie znosiła zamkniętych przestrzeni,
ale nie miała zamiaru wyrażać na głos tych odczuć, zwłaszcza w obecności syna, który na dobrą sprawę niewiele przejmował się jej osobą. Żeby więc odbiec myślami od tego, co przyprawiało ją o taki dyskomfort, zwróciła się do Marka:

– W jaki sposób templariusze zdołali ukryć swoje skarby tu pod ziemią?

– Przywozili je drobnymi partiami. Nic nie było w stanie ich powstrzymać, poza niewolą i śmiercią.

– To musiał być spory wysiłek.

– Mieli do dyspozycji dużo czasu.

Oboje wpatrywali się intensywnie w podłoże przed nimi, a Mark ostrożnie sprawdzał stopą posadzkę przed postawieniem każdego kolejnego kroku.

– Ich środki ostrożności nie były zbyt wyrafinowane – podjął temat. – Ale bardzo skuteczne. Zakon dysponował skarbcami praktycznie w całej Europie. Większość z nich była strzeżona, poza tym wyposażono je w tego rodzaju zasadzki i pułapki. W tym wypadku sekretna kryjówka oraz dodatkowe pułapki spełniły swe zadanie, bez konieczności angażowania w to dodatkowych ludzi. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie Ubodzy Rycerze Chrystusa, było ściągnięcie uwagi na to miejsce poprzez wystawienie tutaj straży.

– Twój ojciec z pewnością byłby zachwycony tym, co teraz robimy. – Stephanie nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów.

– Wiem.

Światło z jej latarki natrafiło na coś przed nimi na ścianie korytarza. Położyła rękę na ramieniu Marka i zatrzymała go.

– Spójrz.

Na powierzchni skalnej ściany widniał wyryty napis:

NON NOBIS DOMINE
NON NOBIS SED NOMINI TUO DA GLORIAM
PAUPERUS COMMILITONES CHRISTI
TEMPLIQUE SALAMONIS

– Co to znaczy? – chciała wiedzieć Stephanie.

– „Nie dla nas, o Panie, nie dla nas, ale dla Twego imienia niech będzie chwała. Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona”. To motto templariuszy.

– A zatem to prawda. Odnaleźliśmy to miejsce.

Mark powstrzymał się od komentarza.

– Niech Bóg mi wybaczy – wyszeptała.

– Bóg niewiele ma z tym wspólnego. Człowiek stworzył ten bałagan i człowiek powinien to uporządkować – odparł i wskazał snopem światła dalszą część korytarza. – Spójrz tam.

Spojrzała za snopem światła latarki i dostrzegła metalową kratę, za którą odchodził inny korytarz.

– Czy tutaj wszystko zostało schowane? – zapytała.

Nie czekając na odpowiedź, minęła syna i zrobiła zaledwie kilka kroków, gdy usłyszała jego krzyk:

– Nie!

Ziemia osunęła się jej spod nóg.



Malone spoglądał na miejsce oświetlone połączonym światłem dwóch latarek. Szkielet. W pozycji leżącej na posadzce jaskini, z barkami, szyją i czaszką opartymi o ścianę.

– Podejdźmy bliżej – zachęcił.

Podchodzili powolutku i zauważyli niewielkie zagłębienie w podłożu. Chwycił Cassiopeię za ramię.

– Widzę to – powiedziała, zatrzymując się. – Zagłębienie jest długie. Ciągnie się przez kilka metrów.

– Te przeklęte doły nie były widoczne w ich czasach. Ale drewno pod spodem słabło i uległo wklęśnięciu.

Ominęli bokiem zagłębienie, trzymając się twardego podłoża i podeszli do ludzkiego szkieletu.

– Zachowały się jedynie kości – stwierdził Cassiopeia.

– Niech pani spojrzy na klatkę piersiową. Na żebra i na twarz. W niektórych miejscach są zmiażdżone. Musiał wpaść do pułapki. Te uszkodzenia pochodzą od metalowych grotów.

– Kim on był?

Coś przyciągnęło wzrok Malone’a.

Pochylił się i znalazł poczerniały srebrny łańcuszek. Podniósł go. Na jednym z końców wisiał medalik. Skoncentrował na nim spojrzenie.

– To znak templariuszy. Dwóch rycerzy na jednym rumaku. Symbol ubóstwa każdego z nich. Widziałem taki rysunek w jednej z książek, którą przeglądałem kilka dni temu. Idę o zakład, że jest to marszałek, autor pamiętników, którymi się teraz posługujemy. Zniknął z opactwa, kiedy poznał rozwiązanie kryptogramu dzięki proboszczowi Gélisowi. Dotarł tutaj, odnalazł wejście, lecz nie zachował dostatecznej ostrożności. Prawdopodobnie Saunière odnalazł ciało i po prostu zostawił je tutaj.

– Ale w jaki sposób Saunière zdołał cokolwiek rozwikłać? W jaki sposób znalazł rozwiązanie kryptogramu? Mark pozwolił mi przeczytać te pamiętniki. W opinii Gélisa, Saunière nie zdołał rozwiązać łamigłówki, którą odnalazł w swoim kościółku. Gélis był wobec niego podejrzliwy i nic mu nie wyjawił.

– Należy więc zakładać, że słowa marszałka są prawdziwe. Albo Saunière, albo też marszałek zabili Gélisa, nie chcąc, by ksiądz ujawnił komuś jeszcze, co udało mu się odszyfrować. Jeśli był to marszałek, co wydaje się prawdopodobne, to napisał tę relację w zamiarze zatarcia po sobie śladów. W ten sposób nikt nie posądził go o opuszczenie opactwa w celu podjęcia poszukiwań Wielkiego Dziedzictwa zakonu na własną rękę. Fakt umieszczenia w pamiętnikach kryptogramu nie ma żadnego znaczenia. Jeśli nie zna się ciągu matematycznego, nie sposób go rozwiązać. – Malone odwrócił uwagę od szczątków i poświecił latarką dalej wzdłuż korytarza. – Niech pani spojrzy na to.

Cassiopeia wstała i razem zobaczyli krzyż o czterech równych ramionach, szerszych na końcach, wyryty w licu skały.

– Krzyż templariuszy – powiedziała. – Emblemat, który na mocy papieskiego dekretu mogli nosić tylko oni.

Malone przypomniał sobie więcej szczegółów, o których czytał w książce o templariuszach.

– Krzyż miał barwę czerwoną i był noszony na białym płaszczu. Symbolizował gotowość do męczeństwa w walce z niewiernymi.

Poświecił latarką i z uwagą przyjrzał się napisowi ponad krzyżem:

PAR CE SIGNE TU LE VAINCRAS

– „Tym znakiem będziesz z nim walczył” – przetłumaczył na głos Malone. – Te same słowa znajdują się w kościółku w Rennes, ponad

kropielnicą przy wejściu. Saunière kazał je tam umieścić.

– To słowa wypowiedziane przez Konstantyna, kiedy po raz pierwszy starł się z Maksencjuszem. Zanim doszło do bitwy, miał ponoć dojrzeć krzyż na tle słońca z tymi słowami płonącymi poniżej.

– Z jedną różnicą. Mark twierdzi, że w oryginalnym zdaniu nie ma zaimka osobowego. Brzmi ono: „Tym znakiem będziesz walczył”.

– Ma rację.

– Saunière wstawił przyimek *le* po słowie *tu*. W miejscu trzynastego i czternastego znaku w tym zdaniu. Co daje razem tysiąc trzysta czternaście.

– To rok, w którym Jakub de Molay spłonął na stosie.

– Wydaje się, iż Saunière’owi sprawiała radość odrobina ironii w używanych przez niego symbolach i wykorzystał to samo również tutaj.

Szukał dalszych znaków w ciemności i dostrzegł, że korytarz kończy się o jakieś sześć metrów przed nimi. Lecz wcześniej furtka z żelaznej kraty, zamknięta na łańcuch i zasuwę, blokowała wejście do korytarza, który skręcał w innym kierunku.

Cassiopeia również to dostrzegła.

– Wydaje się, że znaleźliśmy to, czego szukamy.

Za plecami usłyszeli czyjś krzyk:

– Nie!

Oboje obrócili się do tyłu.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

De Roquefort zatrzymał się przed wejściem na teren ruin i dał znak swoim ludziom, by otoczyli budowlę także z drugiej strony. Panowała tu podejrzana cisza. Nie widział żadnego ruchu, nie dobiegały go żadne głosy. Brat Geoffrey stał obok niego. Wielki mistrz wciąż się niepokoił, że został wystawiony. Dlatego właśnie przybył tu z uzbrojonymi ludźmi. Podobali mu się bracia wybrani przez członków kapituły – ci mężczyźni należeli do najlepszych, byli doświadczonymi bojownikami o niekwestionowanej odwadze i harcie ducha. Te cechy mogły się przydać.

Rozejrzał się po murach pokrytych porostami, spoglądając w głąb popadłej w ruinę budowli, obok kłosów wysokich traw. Jaskrawa kopuła nieba nad nim ciemniała, gdy słońce kryło się powoli za wierzchołkami gór. Wkrótce miał zapaść zmrok. Niepokoił się też pogodą. Latem w Pirenejach nawałnice i ulewy nadchodziły bez ostrzeżenia.

Na dany znak jego ludzie ruszyli do przodu, pełznąc przez skalne odłamy i fragmenty zawalonych ścian. Spojrzał ku miejscu, gdzie między trzema fragmentami zachowanych ścian rozbito biwak. Drewna na ognisko już nazbierano, lecz ogień jeszcze nie zapłonął.

– Wejdę tam – szepnął Geoffrey. – Oczekują mnie.

De Roquefort dostrzegł mądrość tego posunięcia i skinął przyzwalająco głową.

Geoffrey wyszedł bez pośpiechu na otwartą przestrzeń i zbliżył się do rozbijanego biwaku. Wciąż nikogo nie widział. Potem młody zakonnik zniknął głębiej w ruinach. Po chwili pojawił się ponownie i dał im znak, by ruszyli w jego stronę.

De Roquefort nakazał swoim ludziom, by zaczekali, i tylko on wyszedł z ukrycia. Wcześniej jednak polecił podległemu sobie porucznikowi, by zaatakowali w razie konieczności.

– W kościele jest tylko Thorvaldsen – oznajmił Geoffrey.

– W jakim kościele?

– Mnisi wykuli w skalnym masywie kościółek. Malone i Mark odkryli pod ołtarzem wejście, które prowadzi niżej do tuneli i krypt. Reszta znajduje się właśnie tam i kontynuuje poszukiwania. Powiedziałem Thorvaldsenowi, że przyniosę prowiant i zakupione sprzęty.

De Roquefortowi spodobało się to, co usłyszał.

– Chętnie spotkam się z Henrikiem Thorvaldsenem.

Ruszył za Geoffreyem, z pistoletem w dłoni, w stronę przypominającego loch zagłębienia wykutego w litej skale. Thorvaldsen stał plecami do nich i spoglądał na coś, co było postumentem wspierającym ołtarz.

Stary człowiek obrócił się, kiedy weszli.

De Roquefort uniósł pistolet.

– Ani słowa. Albo będzie to pańskie ostatnie.



Ziemia pod stopami Stephanie zaczęła się zapadać, a jej nogi osuwały się w głąb pułapki, której tak bardzo usiłowali uniknąć. Co sobie właściwie pomyślała? Gdy zobaczyła słowa wyryte na skalnej ścianie, a później furtę, która czekała, aż wreszcie ktoś ją otworzy, zdała sobie sprawę, iż jej mąż miał słuszność. Wtedy zupełnie zapomniała o zachowaniu ostrożności i rzuciła się do przodu. Mark usiłował ją powstrzymać, usłyszała jego krzyk, ale było już za późno.

Zaczęła osuwać się w dół.

Wyciągnęła ręce do góry, usiłując złapać równowagę i w duchu już szykowała się na zetknięcie swego ciała z brązowymi grotami. Lecz wtedy poczuła, jak czyjeś silne ramię obejmują ją mocno w tali. Potem znów sunęła ku górze i w końcu padła na posadzkę, a upadek złagodziło czyjeś ciało.

Upłynęła sekunda i zapanowała cisza.

Mark leżał pod nią.

– Nic ci nie jest? – zapytała, zsuwając się z niego.

Jej syn podniósł się ze żwirowej nawierzchni.

– Te skały dały się nieźle we znaki moim plecom.

Za nimi rozległy się ciężkie odgłosy kroków, którym towarzyszyły dwa snopy świateł skaczących po ścianach. Po chwili zjawili się Malone i Cassiopeia.

– Co się stało? – zapytał Malone.

– Nie zachowałam ostrożności – odparła Stephanie, wstając i otrzepując się.

Malone skierował światło latarki w głąb prostokątnego otworu.

– To raczej dosyć krwawa pułapka. Pełno w niej grotów, wszystkie w dobrym stanie.

Podeszła bliżej, spojrzała w dół, potem obróciła się.

– Dzięki, synu – zwróciła się do Marka.

Mark otrzepywał szyję i plecy, starając się jednocześnie rozciągnąć mięśnie i uśmierzyć ból, który w nich odczuwał.

– Nie ma za co.

– Malone! – zawołała Cassiopeia. – Niech pan spojrzy tutaj.

Stephanie patrzyła, jak tamci dwoje przyglądają się z bliska mottu templariuszy, które dostrzegli z Markiem.

– Szłam w stronę okratowanej furty, kiedy natknęłam się na dziurę w ziemi.

– Są dwie takie furtki – wymamrotał pod nosem Malone. – Po przeciwnych końcach tego korytarza.

– Jest tam jeszcze jedna taka krata? – zapytał Mark.

– I jeszcze jedna inskrypcja.

Stephanie słuchała, jak Malone relacjonuje ich znalezisko.

– Zgadzam się z tobą – odparł Mark. –To z pewnością szkielet naszego dawno temu zaginionego marszałka.

Wyciągnął łańcuszek spod koszuli.

– Wszyscy nosimy takie medaliki. Dostajemy je w trakcie ceremonii przyjęcia do zakonu.

– Najprawdopodobniej – podjął temat Malone – templariusze woleli się zabezpieczyć i oddzielili kryjówkę od korytarza.

Wskazał też wilczy dół w posadzce.

– I naprawdę dobrze zamaskowali swoje pułapki. Marszałek najwidoczniej nie był dostatecznie ostrożny – dodał, potem spojrzał na Stephanie. – My zaś wszyscy powinniśmy zachować przezorność.

– Rozumiem – odpowiedziała. – Ale ja, jak często mi przypominałeś, nie jestem agentem operacyjnym.

Uśmiechnął się, słysząc sarkazm w głosie byłej szefowej.

– Przekonajmy się zatem, co znajduje się za rą kratą.



De Roquefort wymierzył krótką lufę swego pistoletu prosto w pomarszczone czoło Henrika Thorvaldsena.

– Z tego, co słyszałem, jest pan jednym z najbogatszych ludzi w Europie.

– Mnie zaś powiedziano, że należy pan do najbardziej ambitnych ludzi w sutannach dzisiejszych czasów.

– Nie powinien pan słuchać Marka Nelle.

– Nie słuchałem. Wiem to od jego ojca.

– Jego ojciec mnie nie znał.

– Tego bym nie powiedział. Dostatecznie długo deptał mu pan po piętach.

– Co zresztą okazało się stratą czasu.

– Czy to sprawiło, że łatwiej przyszło panu usnąć go z tego świata?

– Tak pan sądzi? Że zabiłem Larsa Nelle?

– Jego oraz Ernsta Scoville’a.

– Niczego nie wiesz, starcze.

– Wiedziałem, że stanowisz problem. – Thorvaldsen wskazał Geoffreya. – Wiedziałem, że on zdradzi swojego przyjaciela. Zdradził też swój zakon.

De Roquefort patrzył, jak zakonnik przyjmie tę obrazę. W bladych oczach młodego człowieka na krótką chwilę pojawiała się pogarda.

– Jestem lojalny wobec mego mistrza. Taką złożyłem przysięgę.

– A więc zdradziłeś nas w imię złożonej przysięgi?

– Nie spodziewałem się, że pan to zrozumie.

– Nie rozumiem i nigdy nie zdołam tego zrozumieć.

De Roquefort opuścił broń. Potem dał znak gestem swoim ludziom. Wpadli do kościółka i poruszali się w ciszy. Kilka sygnałów ręką

wystarczyło, by natychmiast zrozumieli, że sześciu ma zająć miejsca na zewnątrz skalnej świątyni, a reszta w jej wnętrzu.



Malone ominął pułapkę, którą odkryła Stephanie, i zbliżył się do kraty. Pozostali ruszyli za nim. Zauważył kłódkę o kształcie przypominającym serce, zawieszoną na łańcuchu.

– Mosiądz.

Dotknął delikatnie metalowej bramy.

– Ale brama wykonana jest z brązu.

– Kłódka oraz łańcuch muszą pochodzić z czasów Saunière'a – rozstrzygnął Mark. – Mosiądz był rzadkim towarem w wiekach średnich. Do jego produkcji potrzebny był cynk, który trudno było zdobyć.

– Zamek ma postać *coeur-de-brass* – dodała Cassiopeia. – Takie rozwiązanie dominowało w tym regionie i służyło do zamykania łańcuchów, którymi pętano więźniów i jeńców.

Żaden z nich nie kwapił się do otwarcia furtki, a Malone wiedział, dlaczego. Niewykluczone, że gdzieś w pobliżu znajdowała się kolejna pułapka lub zasadzka.

Podeszwą buta delikatnie odgarnął ziemię oraz żwir i wybadał podłoże. Było twarde. Poświecił latarką i dokładnie przyjrzał się furtce. Dwa zawiasy z brązu umieszczono z prawej strony. Poświecił latarką między prętami. Korytarz za kratą skręcał gwałtownie w prawo, w odległości nieco ponad metra, i dalej nic nie można było zobaczyć. Cudownie. Wypróbował wytrzymałość łańcucha i zamka.

– Mosiądz wciąż jest mocny. Nie obejdzie się bez rozwalenia zamka siłą.

– A jeśli przetniemy łańcuch? – zaproponowała Cassiopeia.

– To z pewnością by pomogło. Ale czym to przetniemy?

– Nożycami przegubowymi do prętów, który przywiozłam ze sobą. Znajdują się w torbie na narzędzia, obok generatora prądu.

– Pójdę na górę i przyniosę je – zaproponował Mark.



– Jest tam ktoś?

Słowa te dobiegły z dziury w postumencie ołtarza i zaskoczyły de Roqueforta. Błyskawicznie zdał sobie sprawę, iż jest to głos Marka Nelle. Thorvaldsen otworzył usta, by odpowiedzieć, ale wielki mistrz chwycił starego człowieka za kark i położył mu dłoń na ustach, zanim ten zdążył wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Potem dał znak jednemu z braci, który szybko pobiegł i odciągnął cherlawego Duńczyka, przykładając mu do ust swoją rękę. De Roquefort skinął dłonią i jeniec został odciągnięty w przeciwległy koniec kościółka.

– Odpowiedz mu – szepnął wielki mistrz do Geoffreya.

Mógł być to interesujący test lojalności nowo pozyskanego sojusznika. Geoffrey wsunął pistolet za pasek spodni i podszedł do ołtarza.

– Ja tu jestem.

– Już wróciłeś? To dobrze. Jakieś problemy?

– Żadnych. Kupiłem wszystko, co figurowało na liście. Co dzieje się tam na dole?

– Znaleźliśmy coś, ale potrzebujemy nożyc do przecinania prętów. Znajdują się w torbie na narzędzia obok generatora.

De Roquefort patrzył, jak Geoffrey idzie w stronę generatora i wyciąga z torby parę ciężkich przegubowych nożyc.

Cóż oni zdołali znaleźć?

Geoffrey wrzucił narzędzie do otworu przy ołtarzu.

– Dzięki – odezwał się Mark Nelle. – Schodzisz na dół?

– Zostanę tu razem z panem Thorvaldsenem i będę miał oko na wszystko. Nie potrzebujemy żadnych niepotrzebnych gości.

– Dobry pomysł. Gdzie jest Henrik?

– Rozpakowuje to, co przywiozłem, i szykuje biwak do noclegu. Słońce niemal już zaszło. Zaraz pójdę mu pomóc.

– Możecie przy okazji uruchomić agregat prądowy i rozwinąć przewody od przenośnych lamp. Być może wkrótce będą nam potrzebne.

– Zajmę się tym.

Geoffrey pokręcił się jeszcze chwilę w miejscu, potem cofnął się od ołtarza.

– Poszedł sobie – szepnął.

De Roquefort wiedział, co należało teraz zrobić.

Nadeszła pora, by przejąć dowodzenie nad tą ekspedycją.



Malone chwycił nożyce i przyłożył szczęki do mosiężnego łańcucha. Następnie docisnął uchwyty i narzędzie bez trudu przecięło metalowe pręty. Szczęknięcie oznaczało, że został przecięty łańcuch, który z trzaskiem osunął się na skalne podłoże.

Cassiopeia schyliła się i podniosła go.

– Wiele muzeów na świecie dużo by dało za taki eksponat. Jestem pewna, że niewiele podobnych przetrwało w takim stanie.

– A my po prostu go przecięliśmy – dodała z sarkazmem Stephanie.

– Nie mieliśmy specjalnego wyboru – oświadczył Malone. – Co by nie powiedzieć, trochę nam się spieszy.

Poświecił między prętami kraty.

– Odejdźcie wszyscy na bok. Zamierzam otworzyć powoli kratę. Nie widać żadnych zagrożeń, ale nigdy nie wiadomo do końca.

Wsunął nożyce klinem między pręty, potem odsunął się na bok, wykorzystując skalną ścianę jako ochronę. Zawiasy stawiały opór, lecz otwierał powoli furtkę, popychając ją raz do przodu, raz do tyłu. W końcu stanęła otworem.

Już miał wejść od środka, kiedy z góry dobiegł ich głos:

– Panie Malone. Henrik Thorvaldsen jest w moich rękach. Chcę, żeby pan oraz pańscy towarzysze wyszli tu na górę. Natychmiast. Daję panu minutę, a potem zastrzelę tego starca.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Malone wyłonił się jako ostatni. Kiedy zszedł z drabiny, zobaczył, że we wnętrzu skalnego kościoła znajduje się sześciu uzbrojonych mężczyzn oraz de Roquefort. Na zewnątrz słońce już zaszło. Wnętrze było teraz oświetlone blaskiem dwóch niedużych ognisk, a dym wychodził na mrok nocy przez otwarte szczeliny okienne.

– Panie Malone, w końcu spotykamy się osobiście – oświadczył na powitanie Raymond de Roquefort. – Nieźle pan sobie radził w katedrze w Roskilde.

– Miło słyszeć, że jest pan moim fanem.

– W jaki sposób nas odnalazłeś? – chciał wiedzieć Mark.

– Z pewnością nie dzięki temu lipnemu dziennikowi twojego ojca. Chociaż muszę przyznać, że pan Nelle okazał sporo sprytu. Pisał w nim o rzeczach oczywistych i zmieniał drobne szczegóły w stopniu, który sprawił, że całość stała się nieprzydatna do niczego. Monsieur Claridon rozszyfrował kryptogram, który znajduje się w dzienniku. Przesłanie, które udało się odczytać, okazało się do niczego nieprzydatne. Dowiedzieliśmy się z niego, że twój ojciec ukrywa tajemnicę Boga. Powiedz mi więc, ponieważ byłeś już tam na dole, czy rzeczywiście ukryte są tam sekrety, o których mowa?

– Nie mieliśmy jeszcze szansy ich odnaleźć – wtrącił Malone.

– W takim razie trzeba coś na to zaradzić. Ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie…

– Geoffrey nas zdradził – odparł Thorvaldsen.

Na twarzy Marka pojawiło się zdumienie.

– Słucham…?

Malone już wcześniej zauważył broń w dłoni młodego zakonnika.

– Czy to prawda?

– Jestem bratem Świątyni, lojalnym wobec mego mistrza. Spełniłem tylko swój obowiązek.

– Swój obowiązek?! – wykrzyknął Mark. – Ty zakłamany sukinsynu!

Rzucił się w stronę Geoffreya, lecz dwóch braci stanęło mu na drodze. Młodzieniec nawet nie drgnął.

– Prowadziłeś mnie przez cały czas, jedynie po to, żeby de Roquefort w końcu zwyciężył? Czy taką rolę powierzył ci nasz mistrz? On ci zaufał. Ja ci zaufałem.

– Wiedziałam, że on nas wpędzi w tarapaty – oświadczyła Cassiopeia. – Wszystko w nim sygnalizowało kłopoty.

– Powinna pani wiedzieć – wtrącił się do rozmowy de Roquefort – że w równym stopniu takim problemem była pani dla mnie. Zostawiając dziennik Larsa Nelle, tak bym odnalazł go w Awinionie, sądziła pani, że odwróci moją uwagę na jakiś czas. Ale widzi pani, mademoiselle, lojalność naszego bractwa wzięła górę. Zatem wasze wysiłki spełzły na niczym.

Spojrzał na Malone’a.

– Mam tu sześciu ludzi i sześciu na zewnątrz. Oni potrafią radzić sobie w razie kłopotów, Nie macie broni, przynamniej tak poinformował mnie brat Geoffrey. Ale na wszelki wypadek…

Dał znak i jeden z jego ludzi obszukał Malone’a, potem podszedł do pozostałych i zrobił to samo.

– Co zrobiłeś? Zadzwoniłeś do opactwa, kiedy opuściłeś nas i pojechałeś po zakupy? – zapytał Mark Geoffreya. – Zdziwiłem się, że zgłosiłeś się na ochotnika. Nie spuszczałeś mnie z oka przez ostatnie dwa dni.

Młodzieniec wciąż stał z twarzą zawziętą i pozbawioną wyrazu.

– Jesteś żałosną karykaturą człowieka! – wydusił Mark, nie kryjąc pogardy.

– W zupełności się zgadzam – dodał de Roquefort, a Malone zobaczył, jak wielki mistrz kieruje pistolet na Geoffreya i oddaje trzy strzały w jego tułów. Kule przeszyły młodego człowieka na wylot, po czym de Roquefort dokończył dzieła, oddając strzał w głowę nieszczęśnika.

Ciało Geoffreya osunęło się na posadzkę. Krew płynęła ciurkiem z ran. Malone przygryzł usta. Nic nie mógł zrobić.

Mark rzucił się w stronę de Roqueforta.

Lecz ten wymierzył broń w jego pierś.

Mark zatrzymał się.

– Podniósł na mnie rękę w opactwie – oznajmił chłodno de Roquefort. – Porwanie się na wielkiego mistrza jest karane śmiercią.

– Ostatni raz miało to miejsce przez pięciuset laty! – wykrzyknął Mark.

– Był zdrajcą. Zdradził ciebie i mnie. Żaden z nas nie miał z niego pożytku. To ryzyko zawodowe każdego, kto wciela się w rolę szpiega. Z pewnością wiedział o tym, gdy się na to zdecydował.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jakiej zbrodni się dopuściłeś?

– Osobliwe pytanie, jak na człowieka, który zastrzelił jednego z braci tego zakonu. Taki czyn również karany jest śmiercią.

Malone zdał sobie sprawę, że scena ta jest odgrywana na użytek pozostałych obecnych tu rycerzy. De Roquefortowi potrzebny był wróg, przynamniej na chwilę.

– Zrobiłem to, co musiałem – wyjąkał Mark.

De Roquefort odblokował bezpiecznik automatycznego pistoletu.

– Podobnie jak i ja.

Stephanie stanęła między nimi, zasłaniając syna.

– I mnie również pan zabije?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Lecz ja jestem chrześcijanką i nie wyrządziłam krzywdy żadnemu z zakonnych braci.

– Słowa, droga pani. Tylko słowa.

Wsadziła rękę za bluzkę i wyciągnęła łańcuszek z medalikiem zawieszonym na szyi.

– To wizerunek Matki Boskiej. Zawsze mi towarzyszy.

Malone wiedział, że w tej sytuacji de Roquefort nie może zastrzelić Stephanie. Ona wyczuła również teatralny charakter tej scenki, dołączyła się więc i blefowała tak jak wielki mistrz. De Roquefort nie mógł sobie pozwolić na dalsze odgrywanie roli hipokryty. Malone był pod wrażeniem. Tak stanąć naprzeciw naładowanego pistoletu mógł tylko ktoś z jajami. Całkiem nieźle jak na agentkę zza biurka.

De Roquefort opuścił broń.

Malone podbiegł do wciąż spływającego krwią ciała Geoffreya. Jeden z braci podniósł rękę, chcąc go zatrzymać.

– Na twoim miejscu opuściłbym tę rękę – rzekł twardo Amerykanin.

– Przepuśćcie go – polecił de Roquefort.

Malone podszedł bliżej do ciała Geoffreya. Henrik stał i spoglądał w dół na zwłoki. Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Malone był świadkiem czegoś, czego nie widział u przyjaciela od ponad roku. Z oczu starego Duńczyka płynęły łzy.

– Ty i ja schodzimy na dół – odezwał się de Roquefort do Marka. – Pokażesz mi, co znaleźliście. Reszta pozostanie tutaj.

– Pieprz się!

De Roquefort wzruszył ramionami i wymierzył broń w Thorvaldsena.

– On jest żydem. Obowiązują wobec niego inne zasady.

– Nie prowokuj go – odezwał się Malone do Marka. – Rób, co ci każe.

Miał nadzieję, że syn Stephanie zrozumie, iż bywają chwile, kiedy należy stawiać opór, i momenty, kiedy należy się upokorzyć.

– W porządku, schodzimy razem na dół – zgodził się Mark.

– Ja również chciałbym z wami pójść – oświadczył Malone.

– Nie – odrzekł de Roquefort. – Ta sprawa dotyczy wyłącznie zakonu. Chociaż nigdy nie uważałem Nelle'a za jednego z nas, złożył przysięgę, a to już coś znaczy. Poza tym jego wiedza może okazać się przydatna. Pan natomiast może sprowadzić jedynie tarapaty.

– Skąd pan wie, że Mark będzie się zachowywał tak, jak pan tego oczekuje?

– Będzie. W przeciwnym razie, bez względu na to, czy mam do czynienia z chrześcijanami, czy nie, wszyscy tu zginiecie, zanim wyłonimy się ponownie z tej dziury.



Mark zszedł po drabinie, a w ślad za nim ruszył de Roquefort. Były seneszal wskazał w lewą stronę i opowiedział wielkiemu mistrzowi o podziemnej krypcie, którą odnaleźli.

De Roquefort wsunął pistolet do kabury pod ramieniem i poświecił latarką przed sobą.

– Ty prowadź. Poza tym wiesz, co się zdarzy, jeśli będziesz stawiał opór.

Mark ruszył przed siebie, dołączając światło własnej latarki do latarki de Roqueforta. Ominęli wilczy dół, w którym Stephanie o mały włos nie znalazła śmierci.

– Pomysłowe – skomentował wielki mistrz, zerkając do wnętrza pułapki.

W końcu dotarli do otwartej kratowanej furty. Mark przypomniał sobie ostrzeżenie Malone’a na temat potencjalnych dalszych pułapek i posuwał się naprzód drobnymi kroczkami. Korytarz za furtką zwężał się do szerokości około metra, potem ostro skręcał w prawo. Zaledwie metr dalej pojawił się nagle kolejny zakręt, tym razem w lewo. Mark robił tylko jeden krok naraz, posuwając się do przodu niemal centymetr po centymetrze.

Skręcił za róg i zatrzymał się.

Poświecił latarką i dostrzegł przed sobą podziemną komnatę, o powierzchni może dziesięciu metrów kwadratowych, z wysokim zaokrąglonym sklepieniem. Przypuszczenie Cassiopei, że są to krypty pochodzące z czasów rzymskich, wydawało się trafne. Galeria tworzyła doskonały schowek. Gdy światło latarki rozjaśniło ciemności, oczom Marka ukazał się widok niezliczonych cudów.

W pierwszej chwili dostrzegł figurki. Nieduże i kolorowe. Kilka postaci tronującej Madonny z Dzieciątkiem. Matka Boska Boleściwa, zwaną Pietą, w licznych przedstawieniach ze złotą polichromią.. Posążki aniołów. Popiersia. Wszystkie ustawione w rzędach, niczym żołnierze, pod tylną ścianą. Potem Mark dostrzegł blask złoceń bijących od prostopadłościennych kufrów. Niektóre z nich wyłożone były z wierzchu zdobieniami z kości słoniowej, inne miały dekoracje wykonane z onyksu i złota, jeszcze inne mieniły się miedzią i ornamentami w formie herbów oraz scen religijnych. Każdy z tych cudów był na tyle cenny, by go przechowywać w sposób bardziej wyrafinowany. Były seneszal dojrzał też szkatuły z relikwiarzami, przeznaczone do przechowywania szczątków świętych Kościoła, prawdopodobnie wykonane w pośpiechu, byle tylko zdążyć z transportem przed spodziewanym uderzeniem króla Francji.

Usłyszał, jak de Roquefort wyciąga coś z plecaka i nagle podziemne pomieszczenie rozjaśniło się jasnym pomarańczowym światłem lamp zasilanych akumulatorami. Wielki mistrz podał Markowi jedną.

– Dzięki temu będziemy lepiej widzieć.

Były seneszal nie bardzo miał ochotę na współpracę z tym potworem, ale wiedział, że w tym wypadku de Roquefort ma rację. Chwycił więc lampę i przesuwał ją nad głową, by przyjrzeć się lepiej temu, co znajdowało się w krypcie.



– Przykryjcie go – zwrócił się Malone do jednego z braci, wskazując na zwłoki Geoffreya.

– Niby czym? – padło w odpowiedzi pytanie.

– Przewody od lamp są zawinięte w koc. Mogę go wziąć – odpowiedział, wskazując ku miejscu po drugiej stronie kościoła, gdzie obok jednego z rozpalonych ognisk leżały wspomniane przedmioty.

Mężczyzna zdawał się przez chwilę rozważać prośbę.

– *Oui.* Zrób to – polecił.

Malone stąpał głośno po nierównej powierzchni i znalazł koc, oceniając po drodze sytuację. Wrócił i przykrył ciało Geoffreya. Trójka spośród pilnujących ich braci cofnęła się do drugiego ogniska. Pozostali trzej znajdowali się blisko wyjścia.

– On nie był zdrajcą – szepnął Henrik.

Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Przyszedł tu w pojedynkę i powiedział mi, że de Roquefort dotarł tutaj. On go wezwał. Ale musiał to zrobić. Poprzedni wielki mistrz kazał mu to zrobić, kiedy Dziedzictwo zostanie odnalezione. Kazał mu powiadomić de Roqueforta. Geoffrey nie miał więc wyboru. Nie chciał tego zrobić, ale ufał staremu mistrzowi. Powiedział mi, iż musi ciągnąć tę grę. Poprosił o wybaczenie i zadeklarował, że postara się mnie chronić. Niestety, nie byłem w stanie odwzajemnić mu się tym samym.

– To było głupie z jego strony – skomentowała Cassiopeia.

– Być może – odparł Thorvaldsen – ale dane słowo było dla niego najważniejsze.

– Czy powiedział, dlaczego musiał powiadomić de Roqueforta? – mruknęła pod nosem Stephanie.

– Powiedział jedynie, że poprzedni wielki mistrz przewidział konfrontację pomiędzy Markiem a de Roquefortem. Zadaniem Geoffreya było dopilnować, by doszło do ostatecznego starcia.

– Mark nie jest równorzędnym rywalem dla tego człowieka – oznajmił Malone. – Będzie mu potrzebna nasza pomoc.

– Zgadzam się – oznajmiła Cassiopeia, mówiąc przez zęby, by jak najmniej poruszać ustami.

– Nasze szanse nie wyglądają ciekawie – stwierdził Malone. – Dwunastu uzbrojonych ludzi, a my mamy do dyspozycji jedynie gołe ręce.

– Tego bym nie powiedziała – szepnęła panna Vitt.

Malone’owi spodobały się iskierki, które dostrzegł w jej oczach.



Mark przyglądał się skarbom otaczającym go ze wszystkich stron. Nigdy nie widział tyle bogactwa naraz. Szkatułki z relikwiami zawierały złoto i srebro, w postaci monet bądź też surowego kruszcu. Były tam złote dinary, srebrne drachmy, monety bizantyjskie, wszystkie ułożone w równych rządkach, oraz kamienie szlachetne. W trzech kufrach wypełnionych po brzegi znajdowały się nieoszlifowane drogocenne minerały. Liczba zgromadzonych tu skarbów przekraczała wszelkie wyobrażenie. Uwagę Marka przyciągnęły kielichy i naczynia mszalne. Większość z nich wykonana była z hebanu, szkła, srebra oraz złota. Niektóre z nich zdobiły reliefy, inne były inkrustowane szlachetnymi kamieniami. Zastanawiał się, czyje szczątki mogą znajdować się w relikwiarzach. W jednym przypadku nie miał wątpliwości. Przeczytał inskrypcję.

– De Molay – wyszeptał, spoglądając na pojemnik w postaci tuby wyciętej z górskiego kryształu.

De Roquefort podszedł bliżej.

Wewnątrz relikwiarza znajdowały się kawałki poczerniałych kości. Mark znał tę historię. Jakub de Molay został spalony żywcem na wyspie rozdzielającej nurt Sekwany, w cieniu katedry Notre Dame. Przed śmiercią krzykiem raz jeszcze ogłosił swoją niewinność i przeklął Filipa IV, który z pełną obojętnością przyglądał się kaźni. Nocą, już po egzekucji, bracia pokonali wpław rzekę i przeszukali gorące jeszcze popioły. Potem przepłynęli z powrotem, trzymając w zębach kości de Molaya. Teraz Mark spoglądał na szczątki wielkiego mistrza.

De Roquefort przeżegnał się i pomodlił po cichu.

– Spójrz, czego zdołali dokonać.

Ale Mark zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze ważniejszego.

– Oznacza to, że ktoś odwiedził to miejsce już po marcu tysiąc trzysta czternastego roku. Musieli tutaj przychodzić do czasu, kiedy wszyscy w końcu zmarli. Pięciu ówczesnych braci znało to miejsce. Zaraza z pewnością zabrała ich z ziemskiego padołu w połowie czternastego stulecia. Ale żaden z nich nie puścił pary z ust, a miejsce to zostało zapomniane na wieki.

Gdy o tym pomyślał, poczuł w sercu głęboki smutek.

Obrócił się, a światło jego latarki wyłuskało krucyfiksy oraz posągi z drewna o fakturze przypominającej heban, zgromadzone w liczbie około czterdziestu przy jednej ze ścian. Prezentowały styl od romańskiego, przez ottoński, bizantyjski po strzelisty gotyk. Rzeźby były do tego stopnia misterne, a fałdy szat tak perfekcyjne, iż wydawało się, że figurki nieomal oddychają.

– To naprawdę widowiskowe – powiedział de Roquefort.

Posążków zebrano tu tyle, iż nie dało się ich policzyć. Kamienne nisze wydrążone w dwóch ścianach wypełnione były po brzegi. Mark studiował kiedyś dogłębnie historię oraz przeznaczenie średniowiecznych rzeźb na podstawie dzieł, które zdołały przetrwać w muzeach, ale tu miał przed sobą przeogromną cudowną wystawę sztuki snycerskiej wieków średnich.

Po swojej prawej stronie na kamiennym piedestale dostrzegł księgę ogromnych rozmiarów. Obwoluta wciąż świeciła blaskiem – pozłota, jak się domyślił, ozdobiona dodatkowo perłami. Ktoś najwyraźniej otworzył już ten wolumin wcześniej, gdyż porwane kawałki pergaminu leżały porozrzucane niczym liście. Mark schylił się, poświecił latarką na jeden ze skrawków i dostrzegł napis w języku łacińskim. Przeczytał fragment tekstu i szybko zorientował się, że ma przed sobą coś w rodzaju księgi inwentarzowej.

De Roquefort zauważył jego zainteresowanie.

– Co to jest?

– Księga inwentarzowa. Saunière prawdopodobnie starał się ją zbadać, kiedy trafił w to miejsce. Ale trzeba zachować ostrożność z tymi pergaminami.

– Złodziej. On był tylko pospolitym złodziejem. Nie miał prawa ruszać czegokolwiek.

– A my mamy?

– To należy do nas. Zostało zostawione dla nas przez de Molaya. Ukrzyżowano go na drzwiach twierdzy Temple, lecz niczego im nie wyznał. Jego kości leżą tutaj. To należy do nas.

Uwagę Marka przyciągnął po części otwarty kufer. Skierował światło latarki w tamtym kierunku i dostrzegł kolejne inkunabuły z pergaminu. Otworzył ostrożnie wieko bez większego trudu. Nie odważył się dotknąć kart zgromadzonych w środku. Usiłował odczytać litery na jednej z wierzchnich stron. Domyślił się szybko, że to język starofrancuski. Zdołał przeczytać dostatecznie dużo, by zrozumieć, iż jest to testament.

– To dokumenty, które zakon trzymał pod swoją pieczą. Ten kufer jest najprawdopodobniej zapełniony testamentami i aktami darowizn pochodzącymi z wieków trzynastego i czternastego.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Aż do samego końca bracia wypełniali obowiązki, których się podjęli.

Zastanowił się nad możliwościami, które stały przed nimi.

– Z tych dokumentów możemy się dowiedzieć bardzo wiele.

– Ale to z pewnością nie wszystko – oświadczył nagle de Roquefort. – Nie ma tu żadnych ksiąg. Nawet jednej. Gdzież więc jest wiedza templariuszy?

– To, co masz przed sobą, jest wiedzą.

– Kłamiesz! Z pewnością jest tego więcej. Ale gdzie?

Mark spojrzał na de Roqueforta.

– Masz to przed sobą.

– Nie igraj ze mną! Nasi bracia ukryli wiedzę, którą posiedli. Wiesz o tym. Filip nigdy tego nie odnalazł. Zatem ona musi gdzieś tu być. Widzę to w twoich oczach. Z pewnością ukryto dużo więcej skarbów wiedzy. – Wielki mistrz sięgnął po pistolet i wymierzył lufę w czoło Marka. – Powiedz mi!

– Wolałbym umrzeć.

– Ale raczej nie chciałbyś widzieć, jak umiera twoja matka albo twoi przyjaciele, którzy zostali tam na górze, prawda? Ponieważ to oni pierwsi zginą, ty zaś będziesz patrzył na to do chwili, kiedy się dowiem tego, co chcę wiedzieć.

Mark rozważał wszystkie możliwości. Nie czuł lęku przed de Roquefortem – co dziwne, nie przenikała go żadna trwoga. Po prostu także

chciał wiedzieć. Jego ojciec szukał całymi latami i niczego nie znalazł. Jakimi słowami opisał go mistrz? „Brak mu zdecydowania niezbędnego do ukończenia bitwy”. Brednie. Cel poszukiwań ojca znajdował się zaledwie kilka kroków przed nim.

– W porządku. Chodź ze mną.



– Zrobiło się tu okropnie ciemno – odezwał się Malone do jednego z braci, który zdawał się dowodzić resztą. – Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy uruchomili generator i zapalili lampy?

– Poczekamy, aż wróci mistrz.

– Być może będą potrzebowali tych lamp tam na dole, a ich zmontowanie i uruchomienie może potrwać kilka minut. Wasz mistrz niespecjalnie będzie chciał czekać, kiedy zażąda, by dostarczono je na dół – przekonywał, mając nadzieję, iż ta wizja może wpłynąć na podjęcie decyzji przez braci. – Co wam szkodzi? Po prostu skręcimy lampy.

– W porządku. Róbcie swoje.

Malone cofnął się do miejsca, gdzie stali jego towarzysze.

– Chwycili przynętę. Wyprowadzimy ich więc w pole.

Stephanie i Malone ruszyli w stronę jednego zestawu, a Henrik i Cassiopeia zajęli się drugim. Każdy zestaw składał się z dwóch halogenowych lamp umocowanych na pomarańczowym trójnogu. Za generator prądu służył niewielki agregat benzynowy. Ustawili trójnogi w przeciwnych końcach podziemnego kościoła i skierowali żarówki ku górze. Kable zasilające zostały podłączone do agregatu, który stał w pobliżu ołtarza.

Torba z narzędziami znajdowała się w pobliżu agregatu. Cassiopeia już chciała sięgnąć do wnętrza, kiedy jeden z braci ją powstrzymał.

– Muszę skręcić przewody. Nie mogę użyć wtyczek przy tym amperażu. Chciałam tylko wyjąć śrubokręt.

Mężczyzna zawahał się przez chwilę, potem cofnął się z bronią przy boku, najwyraźniej w pełnej gotowości. Cassiopeia sięgnęła do torby

i ostrożnie wyciągnęła śrubokręt. W świetle ogniska przymocowała przewody do szczotek generatora.

– Sprawdźmy połączenia przy lampach – powiedziała do Malone’a.

Ruszyli swobodnym krokiem w stronę pierwszego trójnoga.

– Wiatrówka na pociski usypiające znajduje się w torbie na narzędzia – wyszeptała.

– Zakładam, że są to te same wspaniałe drobiazgi, którym posłużyła się pani w Kopenhadze – starał się mówić, nie ruszając ustami, niczym brzuchomówca.

– Działają szybko. Wystarczy mi kilka sekund, by wystrzelić pociski.

Udawała, że majstruje coś przy trójnogu, w rzeczywistości nie robiąc nic.

– Ile naboi jeszcze pani zostało?

Udawała, że zrobiła to, co chciała.

– Cztery.

Ruszyli w stronę drugiego trójnoga.

– Mamy sześciu gości do załatwienia.

– Dwaj pozostali stanowią pański problem.

Podeszli do drugiego trójnoga.

– Potrzebny nam będzie moment zamieszania, który odwróci uwagę wszystkich. Mam pewien pomysł – wyszeptał Malone.

Cassiopeia sięgnęła na drugą stronę listwy.

– Nadchodzi pora.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Mark szedł pierwszy podziemnych chodnikiem, minął drabinę i podążał w stronę, którą wcześniej spenetrowali Malone i Cassiopeia. Z góry od strony kościoła nie dochodziło już żadne światło. Kiedy opuścili kryptę, w której zgromadzono skarby, zabrał ze sobą nożyce do cięcia prętów, gdyż zakładał, że druga okratowana furtka również będzie zamknięta łańcuchem.

Podeszli do inskrypcji na skalnej ścianie.

– „Tym znakiem będziesz z nim walczył” – przeczytał na głos de Roquefort, po czym skierował światło latarki na drugą furtkę.

– Czy to jest to?

Mark przytaknął i wskazał szkielet oparty o ścianę.

– Przybył tutaj na własną rękę.

Opowiedział o marszałku z czasów Saunière’a i o medaliku, który Malone znalazł przy zwłaokach, a który potwierdzał tożsamość templariusza.

– Zasłużył sobie na ten los – ocenił de Roquefort.

– Czy to, co ty robisz, jest lepsze?

– Przybyłem tutaj w imieniu braci.

W świetle akumulatorowych lamp Mark dostrzegł niewielkie zagłębienie w podłożu, tuż przed sobą. Nie mówiąc ani słowa, przeszedł obok pułapki w stronę ściany, unikając w ten sposób zasadzki, której de Roquefort najwyraźniej nie zauważył, gdyż jego uwaga wciąż była skupiona na szkielecie. Gdy dotarli do furtki, Mark przeciął nożycami kolejny mosiężny łańcuch. Przypomniał sobie, jak ostrożnie zachowywał się Malone i stanął z boku, gdy otwierał kratę.

Za furtką znajdowały się takie same dwa ostre zakręty. Centymetr po centymetrze Mark poruszał się do przodu. W żółtawej poświacie latarki nie widział niczego prócz skał.

Wykonał pierwszy zakręt, a potem drugi. De Roquefort szedł za nim, a połączone światła latarek pozwoliły im dostrzec drugą podziemną galerię, większą niż ta pierwsza, w której znajdowały się skarby.

W pomieszczeniu pełno było kamiennych płyt różnych kształtów i rozmiarów. Na nich znajdowały się księgi, wszystkie równo ułożone. Setki woluminów.

Mark poczuł mdłości w żołądku, gdy zdał sobie sprawę, że niemal wszystkie te bezcenne dzieła są bliskie zniszczenia. Chociaż w podziemnym pomieszczeniu panował chłód i niska wilgotność powietrza, czas zrobił swoje, zarówno z pergaminem, jak i z inkaustem. Dużo lepiej byłoby, gdyby księgi zamknięto w oddzielnych pojemnikach. Ale bracia, którzy schowali je tutaj, nie wyobrażali sobie, że upłynie siedemset lat, zanim ktoś je stąd wyciągnie.

Podszedł do jednego ze stosów i przyjrzał się okładce kodeksu leżącego na wierzchu. Była drewniana, pokryta warstwą srebra. Przyglądał się reliefowi przedstawiającemu Chrystusa, obok którego widniały podobizny prawdopodobnie Piotra i Pawła. Płaskorzeźba ta, jak wiedział, wykonana była z gliny oraz wosku i pokryta warstwą metalu. Włoskie rzemiosło. Niemiecka pomysłowość. Mark delikatnie uniósł okładkę i przyświecił sobie z bliska. Jego podejrzenia potwierdziły się. Wielu słów nie był już w stanie odczytać.

– Czy możesz to przeczytać? – zapytał de Roquefort.

Były seneszal pokręcił głową.

– To musi trafić do konserwatorów. Księgi wymagają profesjonalnej renowacji. Nie możemy ich uszkodzić.

– Wygląda na to, że ktoś już to zrobił.

Mark podążył wzrokiem za snopem światła z latarki de Roqueforta i dostrzegł stertę książek leżącą na posadzce. Strzępy kart leżały porozrzucane, nadpalone.

– Znów Saunière – domyślił się. – Upłyną całe lata, zanim da się z tego coś z powrotem złożyć. Zakładając oczywiście, że cokolwiek uda się odnaleźć. Treść tych ksiąg może nie mieć większej wartości.

– Są naszą własnością.

I co z tego, pomyślał Mark. Jaki z tego może być pożytek?

W duchu bił się jednak z myślami. Saunière z pewnością dotarł do tego miejsca. Krypta ze skarbami zapewniła mu bogactwo. Bez trudu wracał tutaj i wywoził złoto oraz srebro. Monety wzbudziłyby podejrzenia. Urzędnicy bankowi i kasjerzy z pewnością zapytaliby o ich pochodzenie. Metal w sztabkach był jednak idealną walutą na początku dwudziestego

stulecia, w czasach, gdy gospodarki licznych krajów bazowały na złotym i srebrnym kruszcu.

Lecz proboszcz z Rennes posunął się o krok dalej.

Wykorzystał skarby do urządzenia dekoracji kościoła pełnej poszlak i wskazówek, prowadzących do czegoś, w co Saunière niewątpliwie wierzył. Czegoś, czego był pewien i z czym się afiszował. „Tym znakiem będziesz z nim walczył”. Słowa te wyryte były nie tylko tutaj, w podziemiach, ale także w kościółku w Rennes. Mark przypomniał sobie inskrypcję namalowaną nad wejściem: „Żywiłem pogardę dla królestwa z tego świata oraz wszystkich doczesnych pokus z powodu miłości do Pana mojego, Jezusa Chrystusa, którego widziałem, którego kochałem, w którego uwierzyłem i któremu oddaję religijną posługę”. Zapomniane słowa z dawnego responsorium? Być może. Lecz Saunière wybrał je z rozmysłem.

„Którego widziałem”.

Mark poświecił lampami po całym pomieszczeniu i przyglądał się poszczególnym kamiennym płytom.

Potem dostrzegł to.

Gdzie najlepiej ukryć kamień?

No właśnie – gdzie?



Malone odszedł z powrotem w stronę agregatu, przy którym stali Stephanie i Thorvaldsen. Cassiopeia wciąż udawała, że pracuje przy trójnogu. Schylił się i sprawdził, czy w baku agregatu znajduje się dosyć benzyny.

– Czy ta maszyneria robi sporo hałasu? – zapytał ściszonym głosem.

– Możemy mieć tylko nadzieję. Ale niestety, obecnie tego rodzaju agregaty cechują się dość niskim poziomem hałasu.

Malone nie dotknął torby z narzędziami, nie chcąc przyciągać niepotrzebnie uwagi strażników. Jak dotąd żaden z pilnujących ich braci nie kłopotał się, by zajrzeć do jej wnętrza. Najwyraźniej ich trening zasad obrony prowadzony w opactwie pozostawiał sporo do życzenia. Do jakiego jednak stopnia był skuteczny? Z pewnością mogli ich uczyć walki wręcz,

strzelania, a także posługiwania się bronią białą. Ale wybór rekrutów był ograniczony. Ponadto, jak mówi stare porzekadło, i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

– Wszystko gotowe – powiedziała Cassiopeia dostatecznie głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

– Muszę się dostać do Marka – wyszeptała Stephanie.

– Rozumiem – odparł Malone. – Ale musimy zrobić to powoli.

– Myślisz, że de Roquefort zamierza wyjść z nim na powierzchnię? Zastrzelił Geoffreya bez mrugnięcia okiem.

Malone zauważył, że jego eks-szefowa jest rozdrażniona.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji – wymamrotał. – Po prostu zachowaj zimną krew.

On również chciał dopaść de Roqueforta. Za Geoffreya.

– Potrzebuję sekundy na sięgnięcie do torby z narzędziami – szepnęła Cassiopeia, podchodząc do nich i wsadziła ponownie do środka śrubokręt, którego przed chwilą używała.

Czterech braci stało po drugiej stronie kościołka, za jednym z ognisk. Dwaj inni szwendali się po ich lewej stronie, w pobliżu drugiego ogniska. Żaden zdawał się nie zwracać na więźniów specjalnej uwagi. Najwidoczniej mieli pewność, że we wnętrzu groty jest bezpiecznie.

Cassiopeia wciąż klęczała przy torbie z narzędziami, włożyła dłoń do środka i dała znak Malone’owi. Gotowi.

– Zamierzamy uruchomić generator! – krzyknął, wstając.

Dowódca dał znak przyzwolenia.

Malone obrócił się.

– Kiedy włączę maszynę, ruszymy w stronę dwóch pozostałych mężczyzn. Ja zajmę się jednym, ty drugim – szepnął do Stephanie.

– Z przyjemnością.

Wiedział, że zżera ją niepokój.

– Spokojnie, tygrysico. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

– Patrz na mnie i podziwiaj.



Mark podszedł do kamiennej płyty stojącej wśród tuzina innych. Zauważył coś. Większość z nich umieszczona była na rozmaitych cokołach – niektóre na pojedynczych, inne na podwójnych. Ten jeden szczególny znajdował się na postumencie w kształcie prostokąta, przypominającego ten, który podtrzymywał ołtarz w kościele powyżej. Uwagę Marka przyciągnął fakt ułożenia kamieni tworzących cokół. Dziewięć prostokątnych bloków w poziomie i siedem w pionie.

Pochylił się i poświecił latarką od spodu. Wyglądało na to, że płyta nie jest związana z postumentem murarską zaprawą, podobnie jak w wypadku ołtarza na górze.

– Te księgi trzeba zdjąć – powiedział.

– Mówiłeś, że nie należy ich ruszać.

– Ważne jest to, co znajduje się w środku postumentu.

Odłożył na bok lampy i wziął w ręce kilka starych woluminów. Gdy je poruszył, wzbił tumany kurzu. Odłożył księgi ostrożnie na posadzkę. De Roquefort uczynił to samo z następnymi. Każdy z nich przeniósł trzy naręcza woluminów, aż opróżnili kamienną płytę.

– Powinna dać się zsunąć – wyjaśnił Mark.

Chwycili kamienną płytę z dwóch końców – tym razem poszło łatwiej niż w wypadku płyty na ołtarzu, ponieważ ta była o połowę mniejsza. Unieśli kamienny blok i zrzucili go na posadzkę, w rezultacie czego rozbił się na kilka kawałów. W środku postumentu Mark dojrzał inny, mniejszy pojemnik, o wymiarach sześćdziesiąt centymetrów na trzydzieści i wysokości mniej więcej pół metra. Wykonany był z szaroróżowej skały, wapienia – o ile się nie mylił – i znajdował się w nadzwyczaj dobrym stanie.

Chwycił belkę z lampami i poświecił na kamienny cokół. Na zewnątrz widniała inskrypcja.

– To urna – domyślił się de Roquefort. – Czy widać na niej czyjeś imię?

Mark zaczął odczytywać napis i odczuł zadowolenie, gdy rozpoznał język aramejski. Jeśli urna miała być autentyczna, powinna być opisana właśnie w tym języku. Obyczaj grzebania zmarłych w kryptach do czasu, gdy z ciała zostaną same kości, a później zbierania ich i wkładania do kamiennych urn, był popularny wśród Izraelitów w pierwszym stuleciu naszej ery. Wiedział, że do dziś zachowało się kilka tysięcy takich urn. Tylko jedna czwarta z nich posiadała jednak inskrypcje pozwalające na

zidentyfikowanie osoby, której szczątki znajdowały wewnątrz. Tłumaczono to przede wszystkim tym, że większość ludzi w tamtych czasach nie potrafiła czytać ani pisać. W ciągu stuleci pojawiło się też sporo podróbek, z czego najsłynniejszy był przypadek odnalezienia rzekomych kości Jakuba, przyrodniego brata Jezusa. Kolejnym testem autentyczności będzie badanie użytych materiałów – wapień kredowy pochodzący z kamieniołomów obok Jerozolimy – a następnie pisma; do tego dochodziły mikroskopowe analizy patyny oraz datowanie węglem.

Mark nauczył się aramejskiego na studiach magisterskich. Był to niełatwy język, którego stopień trudności zwiększała rozmaitość krojów pisma, stosowane dialekty, a także liczne błędy starożytnych skrybów. Problem stanowiła również technika wykonania napisów. Najczęściej były to płaskie litery wydrapane szpikulcem, kiedy indziej nabazgrane bezładnie bohomazy na powierzchni ściany, niczym dzisiejsze graffitti. Czasami, jak w tym wypadku, były to inskrypcje wyryte za pomocą rylca, a znaki były wyraźne i czytelne. Dlatego właśnie nie było problemu z przetłumaczeniem tych słów. Mówiąc prawdę, Mark widział taki napis już wcześniej. Przeczytał litery od prawej do lewej, zgodnie z regułą, potem przestawił je w myślach.

YESHUA BAR YEHOSEF

– „Jezus, syn Józefa” – przetłumaczył na głos.

– Jego kości?

– To się jeszcze okaże – Mark skierował wzrok na wieko urny. – Zdejmijmy je.

De Roquefort sięgnął i chwycił za płaskie wieko. Obrócił nim kilka razy to w jedną, to w drugą stronę, aż kamienne przykrycie się obluzowało. Wtedy uniósł pokrywę i oparł ją o urnę.

Mark wciągnął głęboko powietrze.

Wewnątrz leżały kości.

Niektóre z nich obróciły się w proch, ale wiele pozostało nienaruszonych. Kość udowa. Piszczele. Niektóre żebra. Miednica. Były też jeszcze mniejsze kostki, chyba palców dłoni i stóp oraz części kręgosłupa.

I czaszka.

Czy właśnie to odnalazł Saunière?

Pod czaszką znajdowała się niewielka książka, zachowana w zaskakująco dobrym stanie. Co było zresztą zrozumiałe, skoro znajdowała się w zapieczętowanej urnie, a ta z kolei była umieszczona w większym pojemniku. Obwoluta połyskiwała pozłotą, zdobiące ją szlifowane kamienie ułożono w kształt krzyża. Na krzyżu leżała figurka Ukrzyżowanego, również powleczona złotem. Wokół krucyfiksu widniał misterny wzór z kamieni w odcieniach szkarłatnym, zielonkawym i cytrynowym.

Mark podniósł księgę i zdmuchnął pył z jej okładki, następnie przez chwilę ważył tom w dłoni. De Roquefort przysunął bliżej lampę. Były seneszal otworzył obwolutę i przeczytał incipit napisany po łacinie i krojem gotyckim bez znaków interpunkcyjnych, atramentem, którego kolor stanowił mieszankę barwy niebieskiej i szkarłatnej.

TU ROZPOCZYNA SIĘ DOKUMENT
ODNALEZIONY PRZEZ BRACI ZAŁOŻYCIELI
W TRAKCIE PRZESZUKIWAŃ WZGÓRZA
ŚWIĄTYNNEGO KTÓRE PROWADZONO ZIMĄ
ROKU PAŃSKIEGO 1121 ORYGINAŁ BYŁ
W STANIE TAKIEGO ROZKŁADU
ŻE ZOSTAŁ SKOPIOWANY DOKŁADNIE
TAK JAK WYGLĄDAŁ W JĘZYKU KTÓRY TYLKO
JEDEN Z NAS ROZUMIAŁ PRZEKŁAD ZOSTAŁ
ZLECONY PRZEZ WIELKIEGO MISTRZA
WILHELMA DE CHARTRES I DATOWANY
NA DZIEŃ 4 CZERWCA 1217 TEKST
ZOSTAŁ PRZEŁOŻONY NA SŁOWA BRACI
I ZACHOWANY W TEN SPOSÓB
DLA WIEDZY POTOMNYCH.

De Roquefort czytał tekst nad ramieniem Marka.

– Tę księgę umieszczono w urnie nie bez powodu.

Były seneszal zgodził się z wielkim mistrzem.

– Czy pojmujesz, jakie pociągnie to za sobą następstwa?

– Sądziłem, że jesteś tu w imieniu braci. Czy nie masz zamiaru zabrać tego do opactwa i przeczytać w obecności wszystkich?

– Zdecyduję o tym, kiedy go przeczytam.

Mark zastanawiał się, czy bracia kiedykolwiek poznają treść tego dokumentu. Lecz on sam także pragnął ją poznać, studiował więc tekst na następnej stronie i odcyfrował plątaninę znaków i symboli.

– To aramejski. Potrafię przeczytać zaledwie kilka słów. Ten język stał się martwy dwa tysiące lat temu.

– W incipicie jest mowa o przekładzie.

Mark ostrożnie przewrócił kolejne strony i stwierdził, że kolejne cztery również były zapisane tekstem aramejskim. Potem dostrzegł wyrazy, które zrozumiał. „Słowa braci”. Łacina. Welin przetrwał w doskonałym stanie, a jego powierzchnia miała kolor starego pergaminu. Atrament również nie zblakł. Przed tekstem znajdował się nagłówek:

ŚWIADECTWO SZYMONA

Mark zaczął czytać.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

Malone podszedł do jednego z braci, ubranego jak i cała reszta w dżinsy i wełniany płaszcz, z czapką na krótko ostrzyżonej głowie. Co najmniej sześciu innych znajdowało się na zewnątrz – przynajmniej tak oznajmił de Roquefort. Ale nimi Malone będzie się martwił dopiero wtedy, kiedy obezwładnią szóstkę znajdującą się w kościele.

Wtedy przynajmniej będzie uzbrojony.

Zobaczył, jak Stephanie chwyta łopatę i zajmuje się ogniskiem, podgarniając rozżarzone drewno i podsycając ogień. Cassiopeia wciąż znajdowała się razem z Henrikiem przy agregacie, czekając, aż on i Stephanie zajmą odpowiednie stanowiska.

Odwrócił się do panny Vitt i skinął głową.

Pociągnęła za linkę rozrusznika.

Agregat zakaszlał, potem zgasł. Dwa kolejne pociągnięcia wystarczyły, by tłok zaskoczył, a silnik zaczął miarowo warczeć. Lampy na trójnogach rozbłysły. Ich blask rozjaśniał się wraz ze wzrostem napięcia. Halogenowe żarówki rozgrzały się szybko; ze szkła zaczęły unosić się smugi pary, które szybko zniknęły.

Malone zobaczył, że działania te przyciągnęły uwagę strażników. To był błąd. Z ich strony. Potrzebowali jednak czegoś, co bardziej skupi ich uwagę, jeśli chciał dać czas Cassiopei na wystrzelenie czterech usypiających pocisków. Zastanawiał się nad jej umiejętnościami strzeleckimi, a potem przypomniał sobie mistrzowskie popisy w Rennes.

Agregat warczał jednostajnie.

Cassiopeia wciąż kucała. Obok niej leżała torba na narzędzia, kobieta zaś stwarzała pozory, że majstruje przy pokrętłach silnika.

Światła wydawały się osiągać maksymalną intensywność, a strażnicy najwyraźniej stracili zainteresowanie tym, co się dzieje. Jedna z sekcji lamp eksplodowała.

Potem druga.

W górę wystrzeliły jaskrawe błyski, które w mgnieniu oka zniknęły. Malone wykorzystał tę sekundę na ulokowanie pięści na szczęce zakonnika stojącego za nim. Mężczyzna zachwiał się, po czym upadł na posadzkę. Malone schylił się i rozbroił go.



Stephanie nabrała na szuflę płonący żar z ogniska i obróciła się w stronę strażnika, który stał o jakiś metr od niej, a którego uwaga wciąż była skoncentrowana na eksplodujących żarówkach.

– Hej! – zawołała.

Mężczyzna obrócił się do niej. Rzuciła kawałki żaru. Płonące, rozżarzone do białości kawałki drewna poleciały w stronę mężczyzny. Strażnik starał się uchylić przed nimi, ale kawałki żaru uderzyły go w klatkę piersiową.

Zakonnik krzyknął, a w tym momencie Stephanie uderzyła go w twarz łopatą ustawioną na płask.



Malone widział, jak Stephanie rzuca żarem w kierunku strażnika, po czym wali go łopatą w głowę. Potem jego wzrok pobiegł w stronę Cassiopei, która z pełnym spokojem wystrzeliwała pociski z wiatrówki. Oddała już jeden strzał, gdyż widział tylko trzech stojących mężczyzn. Jeden z nich schylił się, sięgając ręką do biodra. Kolejny podskoczył i macał ręką z tyłu kurtki.

Po sekundzie obaj leżeli nieprzytomni na ziemi.

Ostatni z braci, który stał w pobliżu ołtarza, zobaczył, co się stało z jego kolegami, i obrócił szybko twarz w stronę Cassiopei, wciąż przykucniętej o jakieś dziesięć metrów od niego i mierzącej doń z wiatrówki.

Mężczyzna rzucił się za cokół podtrzymujący wcześniej płytę ołtarza.

Wystrzelony przez kobietę pocisk chybił.

Malone wiedział, że skończyły się już jej naboje. Za chwilę zakonnik otworzy ogień.

Amerykanin trzymał w dłoni pistolet. Perspektywa użycia broni napawała go odrazą. Poza tym huk wystrzału z pewnością zaalarmuje nie tylko de Roqueforta, ale także braci znajdujących się na zewnątrz skalnego kościoła. Popędził więc szybko przez grotę, chwycił dłońmi za podporę ołtarza, a kiedy wychylił się zza niej zakonnik z pistoletem gotowym do strzału, Malone rzucił się na niego i kopniakiem posłał przeciwnika na posadzkę.

– Całkiem nieźle – pochwaliła Cassiopeia.

– O ile dobrze słyszałem, zadeklarowała pani, iż nie zwykła chybiać.

– On skoczył za cokół.

Razem ze Stephanie zajęły się rozbrajaniem pozostałych leżących na posadzce braci. Thorvaldsen podszedł do Malone’a.

– Nic ci nie jest?

– Troszeczkę wyszedłem z wprawy, bo dawno już tego nie robiłem.

– Dobrze wiedzieć, że wciąż pan jeszcze sobie radzi.

– Jakim sposobem zrobiłeś ten numer z lampami? – chciał wiedzieć Duńczyk.

Na twarzy Malone’a pojawił się uśmiech.

– Po prostu podwyższyłem napięcie. To zawsze działa.

Omiótł wzrokiem skalny kościółek. Coś było nie tak. Dlaczego żaden z braci pełniących wartę na zewnątrz nie zareagował na eksplodujące lampy?

– Zaraz będziemy tu mieli towarzystwo.

Kobiety podeszły bliżej, trzymając w dłoniach broń.

– Być może opuścili ruiny i podeszli do wejścia – wysunęła przypuszczenie Stephanie.

Malone skierował wzrok na wyjście.

– Albo w ogóle nie istnieją.

– Zapewniam pana, że istnieją – odezwał się męski głos, który dobiegał z zewnątrz.

Powoli w polu widzenia pojawił się mężczyzna, którego twarz ukryta była w cieniu. Malone uniósł pistolet.

– A pan kim jest?

Mężczyzna zatrzymał się w pobliżu jednego z ognisk. Wzrok jego głęboko osadzonych, poważnych oczu zatrzymał się na zwłokach Geoffreya, przykrytych kocem.

– Czy wielki mistrz go zastrzelił?

– Bez mrugnięcia okiem.

Na twarzy tamtego pojawił się grymas, a usta wypowiedziały ciche słowa. Czyżby modlitwy?

– Jestem kapelanem zakonu – odezwał się. – Brat Geoffrey zadzwonił do mnie również, po tym, jak zatelefonował do mistrza. Przybyłem tu, by nie dopuścić do przemocy. Ale wygląda na to, że się spóźniliśmy.

Malone opuścił broń.

– Stanowił pan element gry, którą prowadził Geoffrey?

Kapelan przytaknął.

– On nie chciał kontaktować się z de Roquefortem, ale dał słowo poprzedniemu wielkiemu mistrzowi – przemówił łagodnym głosem. – Wygląda na to, że poświęcił życie.

Malone pragnął dowiedzieć się więcej.

– Co się tutaj dzieje?

– Rozumiem pańskie zdenerwowanie.

– Nie, nie rozumie pan – odezwał się Thorvaldsen. – Ten młody człowiek nie żyje.

– Fakt ten pogrąża mnie w żalu. Służył naszemu zakonowi z wielkim honorem.

– Telefon do de Roqueforta był głupotą – powiedziała Cassiopeia. – Sam prosił się o kłopoty.

– Nasz poprzedni wielki mistrz w ostatnich miesiącach życia uruchomił skomplikowany łańcuch wydarzeń. Rozmawiał ze mną o tym, co zaplanował. Wyjawił mi wtedy, kim jest nasz seneszal i dlaczego przyjął go w szeregi zakonu. Powiedział mi również o ojcu seneszala i o tym, co nas czeka. Przysiągłem mu posłuszeństwo, podobnie jak brat Geoffrey. Wiedzieliśmy, co się dzieje. Ale seneszal nie posiadał tej wiedzy ani też nie wiedział o naszym w te wydarzenia zaangażowaniu. Poprzedni mistrz zabronił mi wkraczać na scenę zdarzeń do chwili, kiedy brat Geoffrey nie wezwie mnie na pomoc.

– Pański obecny wielki mistrz jest z moim synem w jaskini pod nami – zabrała głos Stephanie. – Cotton, powinniśmy zejść na dół.

W jej głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Seneszal i de Roquefort nie potrafią współistnieć – oświadczył kapelan. – Stanowią całkowicie przeciwstawne żywioły. Dla dobra naszego bractwa tylko jeden z nich może ujść z życiem. Lecz nasz poprzedni wielki mistrz zastanawiał się, czy seneszal potrafi zwyciężyć, walcząc w pojedynkę.

Duchowny wbił wzrok w Stephanie.

– Właśnie dlatego jest pani tutaj. Mistrz był przekonany, że dzięki pani seneszal zyska potrzebną siłę.

Kobieta sprawiała wrażenie, że nie jest w nastroju do mistycznych spekulacji.

– Mój syn zginie w rezultacie tej niedorzeczności!

– Ten zakon przetrwał przez stulecia, tocząc walki i rozgrywając konflikty. Taka już nasza dola. Poprzedni mistrz po prostu wymusił tę konfrontację. Wiedział, że de Roquefort i seneszal wyruszą na wojnę. Mistrz pragnął jednak, żeby ta wojna coś znaczyła i żeby jej zakończenie również przyniosło określone owoce. Zatem wskazał im obu Wielkie Dziedzictwo. Był pewien, że jest gdzieś ukryte. Ale wątpię, czy rzeczywiście wierzył, iż któryś z nich będzie w stanie je odnaleźć. Wiedział jednak, że konflikt musi wybuchnąć i że tylko jeden z nich wyjdzie z niego zwycięsko. Zdawał też sobie sprawę, że jeśli zwycięzcą zostanie de Roquefort, szybko zrazi do siebie sojuszników, i rzeczywiście tak się stało. Śmierć dwóch braci poruszyła nas do głębi. Wszyscy też byliśmy przekonani, iż to nie koniec…

– Cotton – przerwała ten wywód Stephanie. – Schodzę na dół.

Kapelan nie ruszył się z miejsca.

– Ludzie na zewnątrz zostali obezwładnieni i skrępowani. Róbcie, co musicie. Tu na górze nie będzie już więcej rozlewu krwi.

Malone usłyszał też w duchu słowa, których ten posępny człowiek nie wypowiedział.

„Pod nami jednak sprawy mają się zupełnie inaczej”.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

ŚWIADECTWO SZYMONA

Do tej pory zachowywałem milczenie, w przekonaniu, że lepiej będzie, jeśli inni zostawią świadectwo. Żaden z nich nie zdecydował się jednak na to. Dlatego też przelałem tę relację na papier, byście poznali to, co się wydarzyło.

Człowiek imieniem Jezus spędził wiele lat, rozgłaszając Dobrą Nowinę w Judei i w Galilei. Byłem jednym z jego pierwszych uczniów, lecz liczba nasza rosła, ponieważ wielu uwierzyło, iż Jego słowa posiadają wielkie znaczenie. Wędrowaliśmy razem z Nim, patrząc, jak koi cierpienia, przynosi nadzieję i obiecuje zbawienie. Zawsze był sobą, bez względu na porę i okoliczności. Kiedy tłumy wiwatowały na jego cześć, on stawał przed nimi. Kiedy otaczała go wrogość, nie okazywał gniewu ani strachu. To, co inni o nim myśleli, mówili bądź czynili wobec Niego, nigdy Go nie obchodziło. Pewnego razu powiedział: „Wszyscy nosimy w sobie wizerunek Boga, wszyscy jesteśmy godni miłości i wszyscy możemy żyć w duchu Boga". Widziałem, jak obejmował trędowatych i niemoralnych. Kobiety i dzieci były mu szczególnie drogie. Pokazał mi, że wszyscy są warci miłości. Zwykł też mawiać: „Bóg jest naszym ojcem. On troszczy się, kocha i wybacza nam wszystkim. Jako pasterz nigdy nie porzuci żadnej owcy. Nie krępuj się i wyjaw przed Bogiem wszystko, albowiem tylko taka otwartość sprawi, że twe serce zyska spokój".

Człowiek imieniem Jezus nauczył mnie modlitwy. Mówił o Bogu, Sądzie Ostatecznym oraz o końcu czasów. Doszedłem do przekonania, że jest nawet w stanie zapanować nad wiatrem i falami, ponieważ stoi tak wysoko ponad nami. Starsi w wierze uczyli nas, że choroba, ból oraz tragedia były wyrokami Boskimi i że powinniśmy przyjąć Boży gniew z bólem i pokorą pokutników.

Człowiek imieniem Jezus głosił natomiast, że te sądy są błędne i dawał chorym odwagę, by odzyskali zdrowie, słabym, by odzyskali zdolność życia z mocnym duchem, niewierzącym zaś dawał szansę na wiarę. Świat wydawał się padać na kolana, gdy On się zbliżał. Człowiek imieniem Jezus miał wyznaczony cel. Poświęcił swój żywot wypełnianiu tego celu, a cel ten stał się jasny dla wszystkich z nas, którzy podążyli za Nim.

W trakcie wędrówek Jezus dorobił się jednak wielu wrogów. Starsi uznali go za zagrożenie. Martwili się, że jeśli człowiek imieniem Jezus zyska swobodę poruszania się i wygłaszania kazań, Rzym może zacieśnić jarzmo i wszyscy będą cierpieć, zwłaszcza wysocy kapłani, którzy byli na łasce Rzymian. Doszło zatem do tego, że Jezus został aresztowany za bluźnierstwa, a Piłat wydał wyrok skazujący Go na śmierć na krzyżu. Byłem tam owego dnia, a Piłat nie czuł zadowolenia z podjętej decyzji, jednak starsi żądali sprawiedliwości, a Piłat nie był w stanie im odmówić.

W Jerozolimie człowieka imieniem Jezus oraz sześciu innych zaprowadzono na wzgórze i przywiązano rzemieniami do krzyży. Później tego samego dnia trzem z nich połamano golenie i jeszcze przed nastaniem nocy oddali ducha. Dwóch dalszych skonało następnego dnia. Człowiekowi imieniem Jezus pozwolono dogorywać do trzeciego dnia, kiedy w końcu połamano Mu golenie. Nie byłem blisko Niego, kiedy cierpiał. Ja, a także pozostali, którzy byli Jego uczniami, ukryliśmy się, lękając się tego, co może się stać. Po tym, jak umarł, człowiek imieniem Jezus pozostał na krzyżu przez sześć kolejnych dni, kiedy ptaki wyjadały ciało do kości. W końcu Jego szczątki zdjęto z krzyża i rzucono do dołu wykopanego w ziemi. Patrzyłem, jak to się dzieje, potem uciekłem z Jerozolimy na pustynię, zatrzymując się w Betanii, w domu Marii, zwanej Magdaleną, i jej siostry Marty. Znały one człowieka imieniem Jezus i bardzo zasmuciły się wieścią o Jego śmierci. Rozgniewały się na mnie za to, iż nie broniłem Go, że nie przyznałem się do Niego. Za ucieczkę, kiedy On cierpiał. Zapytałem je, co ich zdaniem powinienem był zrobić. Ich odpowiedź była zaś jednoznaczna: „Powinieneś był dołączyć do Niego”. Ta myśl jednak nigdy mi nie przyszła do głowy. W obliczu wszystkich, którzy pytali, zapierałem

się człowieka imieniem Jezus i wszystkiego, czego On nauczał. Opuściłem dom Marii i Marty, później powróciłem do Galilei i tam odnalazłem dawny spokój.

Dwóch ludzi, którzy wędrowali razem z człowiekiem imieniem Jezus, Jakub i Jan, również powróciło do Galilei. Razem dzieliliśmy swój smutek z powodu śmierci człowieka imieniem Jezus i podobnie zaczęliśmy prowadzić żywot rybaków. Przygnębienie, które odczuwaliśmy wszyscy, całkowicie nas pochłonęło, a upływ czasu wcale nie osłabiał naszego bólu. Gdy łowiliśmy ryby na jeziorze Genezaret, rozmawialiśmy o człowieku imieniem Jezus i o wszystkim, co uczynił, oraz o wszystkim, czego byliśmy świadkami. To właśnie na wodach jeziora przed wieloma laty po raz pierwszy Go spotkałem, kiedy nauczał, siedząc na łodzi. Z każdego zakątka wodnej tafli przebijała pamięć o Nim. To sprawiało, że jeszcze trudniej było nam zapomnieć o żałobie. Pewnej nocy, kiedy burza przetaczała się po wodach jeziora, my zaś siedzieliśmy na brzegu, spożywając chleb i ryby, wydało mi się, iż widzę we mgle człowieka imieniem Jezus. Kiedy jednak wstałem, stwierdziłem, że to jedynie przywidzenie będące wytworem mego umysłu. Każdego ranka łamaliśmy się chlebem i spożywaliśmy ryby, pamiętając, co pewnego razu powiedział człowiek imieniem Jezus. Jeden z nas błogosławił chleb i ofiarował go ku chwale Boga. Ten rytuał sprawiał, że wszyscy czuliśmy się lepiej. Pewnego dnia Jan rzekł, iż łamany chleb jest niczym łamane ciało Jezusa. Od tamtej chwili w umysłach nas wszystkich chleb kojarzył się z ciałem.

Minęły cztery miesiące i pewnego dnia Jakub przypomniał nam, że w Torze znajdują się słowa, wedle których człowiek, który wisi na drzewie, jest przeklęty. Odpowiedziałem mu, że nie może to być prawda w wypadku człowieka imieniem Jezus. Wtedy po raz pierwszy każdy z nas przypomniał sobie te pradawne słowa. Z pewnością nie mogły się one odnosić do kogoś o tak wielkiej dobroci, jak człowiek imieniem Jezus. Jakim cudem skryba sprzed wielu wieków mógł wiedzieć, że wszyscy, którzy zawisną na krzyżu, są przeklęci? Nie mógł. W bitwie pomiędzy człowiekiem imieniem Jezus a starodawnymi słowami zwycięzcą został Jezus.

Żałoba w nas wciąż nie ustawała. Człowiek imieniem Jezus odszedł. Jego głos zamilkł. Kapłani natomiast przetrwali, a ich przesłanie było żywe. Nie dlatego, iżby mieli rację, ale dlatego, że chodzili po tej ziemi i przemawiali do ludu. Starsi zatriumfowali nad człowiekiem imieniem Jezus. Ale jak tak wielkie dobro mogło zostać odrzucone? Dlaczego Bóg pozwolił, żeby takie dobro zniknęło?

Lato dobiegało końca i zbliżało się Święto Namiotów, czas radowania się plonami. Doszliśmy do przekonania, iż możemy już wyruszyć bezpiecznie do Jerozolimy i wziąć udział w uroczystościach. Kiedy tam dotarliśmy, w trakcie procesji do ołtarza przeczytałem psalm, którego słowa mówiły, iż Mesjasz nie umrze, ale będzie żyć i przedstawi swe czyny Panu. Jeden ze starszych oznajmił, że chociaż Pan wystawił Mesjasza na ciężką próbę, nie skazał Go na śmierć. Kamień, którzy budowniczowie odrzucili, stał się kamieniem węgielnym. W świątyni wysłuchaliśmy czytania słów proroka Zachariasza, który przepowiedział nadejście Pana pewnego dnia, kiedy żywe źródło wytryśnie w Jerozolimie, a Pan stanie się królem całej ziemi. Później pewnego wieczoru przeczytałem inne słowa Zachariasza. Mówił o źródle wypływającym z rodu Dawida oraz o duszy współczującej i błagającej. Słowa te mówiły, że kiedy spojrzymy na tego, którego członki zostały przekłute, powinniśmy boleć nad nim, jak boleje się nad śmiercią pierworodnego.

Słuchając tych słów, pomyślałem o człowieku imieniem Jezus oraz o tym, co Mu się przydarzyło. Miałem wrażenie, iż ten, który czytał kazanie, przemawiał bezpośrednio do mnie, kiedy mówił o Bożych zamiarach, by uderzyć w pasterza tak, że owce się rozbiegną. W tamtym momencie ogarnęła mnie miłość, która już mnie nigdy nie opuściła. Tamtej nocy zostawiłem Jerozolimę i wyruszyłem do miejsca, gdzie Rzymianie zakopali szczątki człowieka imieniem Jezus. Uklęknąłem nad Jego grobem i dziwiłem się, jak prosty rybak może stać się źródłem wszelkiej prawdy. Najwyższy kapłan oraz skrybowie wydali wyrok, że Jezus był oszustem. Lecz ja wiedziałem, iż byli w błędzie. Bóg nie wymaga posłuszeństwa wobec pradawnych prawd, jeśli pragnie się osiągnąć zbawienie. Miłość Boga nie zna granic. Człowiek imieniem Jezus powtarzał to wiele

razy, zaś przyjmując swą śmierć z wielką odwagą i godnością, dał nam ostateczną lekcję. Kończąc życie, odnajdujemy nowe życie. Miłowanie oznacza bycie kochanym.

Opuściły mnie wszelkie wątpliwości. Żałoba zniknęła. Zamęt zamienił się w jasność myśli. Człowiek imieniem Jezus nie był już martwy. Stał się żywy. Zmartwychwstał we mnie Pan. Czułem Jego obecność tak namacalnie, jak wtedy, kiedy stał obok mnie. Przypomniałem sobie słowa, którymi tyle razy zwracał się do mnie: „Szymonie, jeśli mnie miłujesz, odnajdziesz moje owce". Zrozumiałem, że miłość taka, jaką On odczuwał, pozwoli każdemu odnaleźć drogę do Pana. Czynienie tak, jak On czynił, pozwoli nam wszystkim poznać Pana. Życie w sposób, w jaki On żył, będzie drogą ku zbawieniu. Bóg zszedł z niebios, by zamieszkać w człowieku imieniem Jezus, by poprzez jego czyny i słowa stać się powszechnie znanym. Przesłanie było jasne. Otocz troską potrzebujących, pocieszaj niepocieszonych, zaprzyjaźnij się z odrzuconymi. Czyń dobro, a Bóg znajdzie ukontentowanie. Bóg zabrał życie człowieka imieniem Jezus, żebyśmy mogli przejrzeć na oczy. Byłem jedynie pierwszym, który pojął tę prawdę. Cel stał się jasny. Przesłanie musi żyć we mnie oraz w innych, którzy podobnie jak ja uwierzyli.

Kiedy opowiedziałem Janowi i Jakubowi o mojej wizji, oni również przejrzeli na oczy. Zanim opuściliśmy Jerozolimę, powróciliśmy na miejsce, w którym doznałem wizji i wykopaliśmy szczątki człowieka imieniem Jezus. Zabraliśmy je i umieściliśmy w jaskini. Powróciliśmy tu następnego roku i zabraliśmy jego kości. Potem zapisałem to świadectwo, które umieszczam razem ze szczątkami człowieka imieniem Jezus, ponieważ zebrane razem stanowią Słowo.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Mark był jednocześnie skonsternowany i zdumiony. Wiedział, kim był Szymon.

Nazywano go początkowo Kefasem, po aramejsku, potem Petrosem, po grecku. W końcu stał się Piotrem, a jak głosiły Ewangelie, Chrystus oznajmił: „Na tej skale zbuduję Kościół mój”.

Świadectwo to było pierwszym antycznym dokumentem, który Mark czytał i który rzeczywiście był logiczny i miał jakiś sens. Nie było w nim mowy o nadnaturalnych wydarzeniach czy cudownych objawieniach. Żadnych zdarzeń, które przeczyłyby wiedzy historycznej czy logice. Żadnych sprzecznych ze sobą szczegółów, które podawałyby w wątpliwość wiarygodność dokumentu. Relacja spisana ręką prostego rybaka o tym, czego doświadczył u boku wielkiego człowieka. Człowieka, którego wielkie dzieła i dobre słowa żyły po Jego śmierci, na tyle, by Szymon kontynuował tę sprawę.

Ubogi rybak z pewnością nie posiadał intelektu ani umiejętności stosownych do kształtowania wyrafinowanych religijnych idei, które nadeszły później. Jego rozumienie ograniczało się do wspomnienia człowieka imieniem Jezus, którego znał i którego Bóg odzyskał po męczeńskiej śmierci. Szymon rozumiał, że jeśli chce poznać Boga, jeśli chce być Jego częścią, musi naśladować człowieka imieniem Jezus. Jego przesłanie mogło przetrwać jedynie pod warunkiem, że inni, którzy pójdą jego śladem, tchną życie w ten przekaz. W ten prosty sposób śmierć nie pochłonęła człowieka imieniem Jezus. Nastąpiło zmartwychwstanie. Nie w sensie dosłownym, lecz duchowym. W duszy Szymona Jezus zmartwychwstał – ponownie ożył – i z tego pojedynczego przypadku, który zdarzył się pewnej jesiennej nocy, sześć miesięcy po egzekucji człowieka imieniem Jezus, narodził się Kościół chrześcijański.

– Te aroganckie dupki – wymamrotał de Roquefort – ze swoimi megalomańskimi Kościołami i teologiami! Wszystko to przesiąknięte jest kłamstwem i obłudą.

– Nie, nie jest.

– Jak możesz tak mówić? Nie było wymyślnego ukrzyżowania, nie było pustego grobu, nie było aniołów obwieszczających zmartwychwstanie Chrystusa! To wymysły stworzone przez ludzi dla ich własnych korzyści. To świadectwo wieści zaś prawdę. Wszystko zaczęło się od jednego człowieka, który pojął coś we własnej duszy. Nasz zakon został starty z powierzchni ziemi, nasi bracia poddani torturom i zamordowani, w imię tak zwanego zmartwychwstałego Chrystusa!

– Rezultat jest ten sam. Narodził się Kościół.

– Czy ty sądzisz, że Kościół rozkwitłby, gdyby cała jego teologia oparta była jedynie na osobistym wyznaniu jednego prostego człowieka? Jak myślisz, ilu zwolenników w takiej sytuacji zyskałaby ta religia?

– Lecz właśnie dokładnie to się stało. Jezus był prostym człowiekiem.

– Który później został przez ludzi wyniesiony do statusu Boga. A jeśli ktokolwiek przeciwstawiał się temu, był uznawany za heretyka i palony na stosie. Katarów zmieciono z powierzchni ziemi właśnie tutaj, w Pirenejach, za to, iż nie dali temu wiary.

– Pierwsi ojcowie Kościoła dokładnie to czynili. Musieli ubarwić fakty, żeby przetrwała ich religia.

– Akceptujesz to, czego się dopuścili?

– Takie są fakty.

– Ale my możemy to zmienić.

Markowi przyszła do głowy jedna myśl.

– Saunière z pewnością to czytał.

– Lecz nie powiedział o tym nikomu.

– Racja. Nawet on wiedział, że byłby to daremny trud.

– Nie powiedział nikomu, ponieważ utraciłby w ten sposób swój prywatny skarbiec. Był człowiekiem bez honoru. Pospolitym złodziejem.

– Być może. Ale ta informacja z pewnością bardzo go poruszyła. W wystroju kościółka w Rennes pozostawił wiele wskazówek i poszlak. Był człowiekiem wykształconym i potrafił czytać łacinę. Jeśli to odnalazł, a jestem tego pewien, zrozumiał ten przekaz. A jednak złożył to z powrotem w tej kryjówce i zamknął wejście do krypty.

Mark zajrzał do urny. Czy kości, na które spoglądał, były szczątkami człowieka imieniem Jezus? Poczuł, jak przenika go głęboki smutek, gdy zdał sobie sprawę, że po jego ojcu również pozostały już jedynie kości.

Wbił wzrok w de Roqueforta i zapytał o to, co naprawdę chciał wiedzieć:

– Czy zabiłeś mojego ojca?



Malone patrzył, jak Stephanie zbliża się do drabiny, z pistoletem w dłoni, zabranym jednemu z obezwładnionych strażników.

– Wybierasz się dokądś?

– Może on mnie nienawidzi, ale nie zmienia to faktu, że jest moim synem.

Rozumiał, że ona musi iść, lecz nie mógł jej puścić samej.

– Idę z tobą.

– Wolałabym zrobić to sama.

– Mam gdzieś to, co byś wolała. Idę z tobą.

– Ja też idę – zadeklarowała Cassiopeia.

Thorvaldsen chwycił ją za ramię.

– Nie. Pozwól im to zrobić. Sami muszą to rozwiązać.

– Co rozwiązać? – zapytała, zdezorientowana.

Kapelan wystąpił naprzód.

– Seneszal i mistrz muszą stoczyć ze sobą pojedynek. Jego matka została w to wciągnięta nie bez powodu. Niech więc idzie. Jej przeznaczenie wiąże się z losem ich obojga.

Stephanie zeszła po drabinie, a Malone patrzył, jak zeskakuje na bok, unikając pułapki. Szedł za nią, trzymając w jednej ręce lampę, w drugiej pistolet.

– Którędy? – zapytała szeptem jego była szefowa.

Gestem nakazał jej zachowanie ciszy. Potem usłyszał jakieś głosy. Dochodziły z lewej, od strony komnaty, którą odkryli on i Cassiopeia.

– Tędy – szepnął.

Wiedział, że na tym szlaku nie czają się pułapki, aż niemal do wejścia do podziemnej krypty. Posuwali się powolutku, centymetr za centymetrem. Kiedy dojrzał szkielet i słowa wyryte na ścianie, wiedział, że znów muszą być bardzo ostrożni.

Głosy były teraz wyraźne.



– Zadałem ci pytanie: czy zabiłeś mojego ojca? – powtórzył Mark, tym razem głośniej.

– Twój ojciec był mięczakiem.

– To nie jest odpowiedź

– Byłem tam tej nocy, kiedy skończył ze sobą. Śledziłem go aż do mostu. Później rozmawialiśmy.

Mark zamienił się w słuch.

– Był głęboko sfrustrowany. I zły na cały świat. Rozwiązał kryptogram, ten zapisany w dzienniku, lecz niczego się z niego nie dowiedział. Twojemu ojcu nie wystarczyło sił, by znieść tę porażkę.

– Nie wiesz nic o moim ojcu.

– Wręcz przeciwnie, śledziłem go przez lata. Miotał się od sprawy do sprawy, nigdy nie doprowadzając do końca żadnej z nich. Przysparzało mu to problemów zarówno w sferze zawodowej, jaki i osobistej.

– Najwyraźniej znalazł dostatecznie dużo, by doprowadzić nas tutaj.

– Nie. Inni to znaleźli.

– Nawet nie spróbowałeś powstrzymać go przed powieszeniem się?

De Roquefort wzruszył ramionami.

– Dlaczego miałem to zrobić? Chciał umrzeć, ja zaś nie widziałem żadnego pożytku z powstrzymywania go.

– A więc po prostu odszedłeś i pozwoliłeś mu umrzeć?

– Po prostu nie wmieszałem się w coś, co mnie nie dotyczyło.

– Ty sukinsynu!

Mark zrobił krok do przodu. De Roquefort uniósł broń. Były seneszal wciąż trzymał w dłoniach księgę znalezioną w urnie.

– No, dalej. Zastrzel mnie.

Wielki mistrz wydawał się nieporuszony.

– Zastrzeliłeś jednego z naszych braci. Wiesz, jaka jest za to kara.

– Zginął przez ciebie. To ty go wysłałeś.

– Znowu to samo. Jedne reguły dotyczą ciebie, inne nas. To ty pociągnąłeś za spust.

– Broniąc własnego życia.

– Odłóż księgę.

– I cóż chcesz z nią zrobić?

– To, co czynili wielcy mistrzowie w okresie Początku. Użyję jej przeciw Rzymowi. Zawsze zastanawiałem się, jakim sposobem zakon tak szybko rósł w siłę. Kiedy papieże usiłowali połączyć nas z zakonem joannitów, za każdym razem potrafiliśmy dać im odpór. A wszystko dzięki tej księdze i tym kościom. Kościół rzymskokatolicki nie był w stanie zaryzykować ujawnienia faktu ich istnienia.

– Wyobraź sobie, co pomyśleli sobie papieże w epoce średniowiecza, kiedy dowiedzieli się o tym, iż zmartwychwstanie Chrystusa ciałem jest jedynie mitem. Oczywiście, nie mogli mieć pewności. To świadectwo mogło być fikcją w równym stopniu co Ewangelie. A jednak słowa te są przekonujące i trudno zignorować fakt istnienia tych szczątków. W tamtych czasach po świecie krążyły tysiące najprzeróżniejszych relikwii. Szczątki świętych zdobiły każdy kościół. Każdy dawał wiarę w ich autentyczność. Nie było powodu sądzić, że fakt istnienia tych kości zostanie zignorowany. Poza tym byłyby one najświętszą z relikwii. Nasi mistrzowie wykorzystali to, co wiedzieli, a metoda ta okazała się nadzwyczaj skuteczna.

– A dzisiaj?

– Wręcz przeciwnie. Zbyt wielu ludzi nie wierzy w nic. Współczesne umysły zadają wiele pytań, na które w Ewangeliach można znaleźć niewiele odpowiedzi. Natomiast świadectwo Szymona to zupełnie inna sprawa. Dla wielu ludzi ma ono bardzo głęboki sens.

– Czy zatem chcesz być współczesnym Filipem IV?

De Roquefort splunął na skalną posadzkę.

– Tak właśnie o nim myślę. Pragnął posiąść tę wiedzę, by zdobyć pełnię władzy nad Kościołem. Żeby również jego potomkowie mogli tą władzą dysponować. Ale zapłacił za swoją chciwość. On i całe jego plemię.

– Naprawdę ci się wydaje, że byłbyś w stanie zapanować nad czymkolwiek?

– Nie dążę do panowania nad czymkolwiek. Ale chciałbym zobaczyć twarze tych wszystkich pompatycznych hierarchów, kiedy będą tłumaczyć fakty przedstawione w świadectwie Szymona Piotra. Jego kości spoczywają

w sercu Watykanu. Wokół jego grobu zbudowano katedrę, a najważniejsza bazylika nosi jego imię. Jest ich pierwszym świętym, pierwszym papieżem. Jak więc wytłumaczą jego słowa? Nie chciałbyś usłyszeć ich daremnych prób?

– Któż potwierdzi, że są to słowa Szymona Piotra?

– A któż potwierdzi, że słowa Mateusza, Marka, Łukasza i Jana są ich własnymi słowami?

– Jeśli wszystko legnie w gruzach, nie przyniesie to nic dobrego.

– Jesteś równie słaby jak twój ojciec. Nie ma w tobie woli walki. Chciałbyś to wszystko zakopać? Nie wyjawić nikomu? Pozwolić, by nasz zakon wciąż marniał w zapomnieniu, zniesławiony oszczerstwami chciwego monarchy? Właśnie przez słabych ludzi twojego pokroju znaleźliśmy się w tej sytuacji. Ty i twój mistrz byliście siebie warci. On również był słabym człowiekiem.

Mark usłyszał już dość. Bez ostrzeżenia uniósł lewą dłoń, w której trzymał lampę, ustawiając listwę tak, żeby silny blask oślepił de Roqueforta. Chwila dyskomfortu sprawiła, że wielki mistrz zmrużył oczy, przesłonił je ręką, a druga, ta, w której trzymał pistolet, zjechała w dół.

Mark wytrącił kopniakiem pistolet z dłoni de Roqueforta, potem wybiegł z krypty. Minął otwartą furtkę i skręcił w kierunku drabiny, lecz zdążył wykonać tylko kilka kroków. Trzy metry przed sobą dostrzegł inne światło, a po chwili zobaczył Malone’a i matkę.

Za jego plecami pojawił się de Roquefort.

– Stój! – padł rozkaz, po którym zatrzymał się.

Wielki mistrz podszedł bliżej.

Były seneszal zobaczył, jak jego matka podnosi pistolet.

– Na ziemię, Mark! – krzyknęła.

Lecz on wciąż stał.

De Roquefort był teraz bezpośrednio za nim. Mark poczuł lufę pistoletu przystawioną do tyłu głowy.

– Niech pani opuści broń – powiedział wielki mistrz do Stephanie.

Malone uniósł pistolet.

– Nie możesz zastrzelić nas obojga.

– Nie, ale mogę zastrzelić jego.



Malone rozważał pospiesznie, jakie ma opcje. Nie mógł oddać strzału do de Roqueforta, bo nie miał jak ominąć Marka. Ale dlaczego Mark się zatrzymał? I dał de Roquefortowi możliwość zaszachowania go?

– Opuść broń – powiedział cicho Malone do Stephanie.

– Nie.

– Zrobiłbym to, co on radzi – rzekł zdecydowanie de Roquefort.

Kobieta ani drgnęła.

– Tak czy owak, on go zastrzeli.

– Możliwe – zgodził się Malone. – Lecz nie prowokujmy go.

Wiedział, że Stephanie straciła kiedyś syna w rezultacie własnych błędów. Teraz nie zamierzała pozwolić, by powtórnie go jej odebrano. Wpatrywał się badawczo w twarz Marka, nie dostrzegł na niej nawet śladu strachu. Skierował snop światła na książkę, którą tamten trzymał w dłoniach.

– To jest przyczyna wszystkiego?

Mark przytaknął.

– Wielkie Dziedzictwo, wraz z całym skarbem oraz dokumentami.

– Czy warto było?

– Nie mnie o tym rozstrzygać.

– Było warto – oznajmił de Roquefort.

– Co teraz? – zapytał Malone. – Znalazł się pan w sytuacji bez wyjścia. Pańscy ludzie na górze zostali obezwładnieni.

– To pańskie dzieło?

– Po części. Ale jest tutaj wasz kapelan z całym oddziałem rycerzy. Wygląda na to, że to rewolta.

– To się jeszcze okaże – de Roquefort szedł w zaparte. – Powtórzę tylko, pani Nelle, żeby opuściła pani broń. Jak pan Malone słusznie zauważył, chyba nic nie stracę, jeśli zastrzelę pani syna.

Malone wciąż w milczeniu oceniał sytuację, a jednocześnie w błyskawicznym tempie rozważał możliwości. Potem w blasku lampy trzymanej przez Marka dostrzegł to. Niewielkie zagłębienie w posadzce,

ledwo zauważalne, chyba że ktoś wiedział, iż należy go wypatrywać. Kolejna zasadzka na szerokość podziemnego chodnika, która zaczynała się tuż przed miejscem, w którym stał Mark. Podniósł wzrok i zobaczył w oczach byłego seneszala, iż on także zdaje sobie z tego sprawę. Delikatne skinięcie głową uświadomiło Malone'owi, dlaczego Mark się zatrzymał. Chciał, by de Roquefort podążył za nim. Chciał, by za nim poszedł.

Najwyraźniej zbliżał się czas zakończenia tej rozgrywki.

Tu i teraz. Malone wyjął pistolet z dłoni Stephanie.

– Co robisz?! – zaprotestowała.

Stanął plecami do de Roqueforta.

– Na ziemię – szepnął i zobaczył, że zrozumiała jego słowa.

Potem dostrzegł na jej twarzy rozterkę.

– Roztropne posunięcie – pochwalił de Roquefort.

Stephanie zamilkła, najprawdopodobniej rozumiejąc intencje Malone'a. Chociaż miał co do tego pewne wątpliwości. Znów odwrócił się w stronę przejścia. Jego słowa, choć przeznaczone dla Marka, skierowane zostały do de Roqueforta.

– W porządku. Teraz pański ruch.



Mark wiedział, że jest to właściwy moment. Mistrz napisał o nim w liście do matki, że nie ma dostatecznej desperacji, niezbędnej do zakończenia rozpoczętej walki Rozpoczynanie walki przychodziło mu łatwo, jej kontynuowanie jeszcze łatwiej, lecz doprowadzenie jej do końca okazywało się zawsze trudne. Lecz nie tym razem. Jego mistrz przygotował scenę, a aktorzy grali według scenariusza. Nadchodziła pora wielkiego finału. Raymond de Roquefort stanowił zagrożenie. Dwaj bracia zginęli z jego powodu i nie było wiadomo, kiedy to wszystko się skończy. Mark i ten człowiek nie mogli istnieć razem w szeregach zakonu. Jego mistrz najprawdopodobniej zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego jeden z nich musiał odejść z tego świata.

Były seneszal wiedział, że o krok przed nim znajduje się wilczy dół, którego dno najeżone jest grotami wykonanymi z brązu. De Roquefort podążał za wrogiem, nie bacząc na nic, i nie zauważył zagrożenia. W taki sam sposób zamierzał kierować zakonem. Poświęcenie, które tysiące braci wniosło w ofierze siedemset lat temu, poszłoby na marne przez arogancję tego człowieka.

Gdy Mark czytał świadectwo Szymona, otrzymał ostateczne historyczne potwierdzenie własnego religijnego sceptycyzmu. Sprzeczności i niespójności Biblii oraz ich nieprzekonujące tłumaczenia zawsze wprawiały go w rozterkę. Obawiał się, że religia jest narzędziem, za pomocą którego jedni ludzie manipulują innymi. Ludzka potrzeba uzyskania odpowiedzi nawet na te pytania, na które nie sposób odpowiedzieć, pozwalała, by to, co nieprawdopodobne, stało się Dobrą Nowiną. Przekonanie o istnieniu życia po śmierci w jakiś sposób przynosiło im ukojenie. I nie tylko to. Jezus miał rzekomo zmartwychwstać ciałem. We własnej osobie. I oferował zbawienie i odkupienie wszystkim, którzy w niego uwierzyli.

Ale po śmierci nie było życia.

Przynajmniej nie w sensie dosłownym.

W rzeczywistości to ludzie wykreowali wzorzec, według którego należało żyć. Przywołując w pamięci czyny i słowa człowieka imieniem Jezus, Szymon Piotr pojął, iż przesłanie jego nauczyciela tak naprawdę zmartwychwstało w nim samym. Głosząc to przesłanie, czyniąc to, co czynił Jezus, Szymon zasłużył na zbawienie. Nikt z nas nie powinien osądzać bliźniego. Możemy osądzać jedynie sami siebie. Życie nie trwa wiecznie. Wszyscy jesteśmy ograniczeni barierą czasu – później, jak widać na przykładzie kości w urnie, obracamy się w proch.

Mark mógł jedynie żywić nadzieję, że jego życie ma jakieś znaczenie i że inni dzięki temu go zapamiętają.

Wziął głęboki oddech.

Rzucił księgę w stronę Malone’a, który zdołał pochwycić ją locie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał rozdrażniony de Roquefort.

Mark widział, że Malone zrozumiał jego plan.

Chwilę później zupełnie niespodziewanie zrozumiała to jego matka.

Spojrzał w jej oczy, które wypełniły się teraz łzami. Pragnął powiedzieć jej, jak bardzo mu przykro, że tak długo trwał w błędzie, i że nie miał prawa

jej osądzać. Odniósł wrażenie, iż matka czyta w jego myślach. Stephanie zrobiła krok do przodu, lecz Malone zatrzymał ją silnym ramieniem.

– Zejdź mi z drogi, Cotton – rozkazała.

Mark wykorzystał ten moment, by posunąć się o kilka centymetrów do przodu, wciąż stąpając po twardym podłożu

– Ruszaj! – nakazał mu de Roquefort. – Przynieś z powrotem księgę.

– Oczywiście.

Kolejny krok.

Podłoże wciąż nie uginało się pod nim.

Lecz zamiast iść w stronę Malone'a, jak zażądał tego de Roquefort, Mark dał nura w dół, odchylając się od lufy przystawionej z tyłu głowy. Obrócił się gwałtownie, uderzając łokciem z całej siły w żebra wielkiego mistrza. Umięśniony brzuch Francuza okazał się twardy. Mark zdawał sobie sprawę, iż nie jest równym przeciwnikiem dla starego wojownika, lecz teraz dysponował przewagą. De Roquefort był gotów do walki, on zaś objął ramionami jego tors i obrócili się razem do przodu, podnosząc stopy z posadzki i stawiając je ponownie, lecz tym razem w miejscu, gdzie podłoże nie stawiło im oporu.

Mark usłyszał, jak matka krzyczy: „Nie!", potem rozległ się wystrzał z pistoletu de Roqueforta.

Wypchnął rękę, która trzymała broń, na zewnątrz, lecz nie wiedział, w którą stronę poleciał pocisk. Uderzyli o podłogę; ich zmasowany ciężar bez trudu złamał pokrywę wilczego dołu. De Roquefort z pewnością spodziewał się, że natrafi na twarde podłoże, gotów odbić się i podjąć walkę. Gdy teraz razem spadali, Mark zwolnił uchwyt wokół tułowia przeciwnika i uwolnił ręce, co pozwoliło mu wbić z całej siły ciało wroga na sterczące z dna dołu groty.

De Roquefort wydał przeraźliwy jęk. Gdy otworzył usta, wypłynęła z nich jedynie bulgocząca krew.

– Obiecałem ci tego dnia, kiedy sprzeciwiłeś się, by mistrza wpisano z szacunkiem do kronik zakonu, że gorzko tego pożałujesz – wyszeptał Mark. – Twój czas urzędowania dobiega końca.

Wielki mistrz usiłował coś powiedzieć, lecz krew zatamowała mu usta.

Potem jego ciało zwiotczało.

– Nic ci nie jest? – zapytał z góry Malone.

Mark podniósł się. Jego ciężar sprawił, że ciało de Roqueforta wbiło się głębiej w metalowe groty. Otrzepał się z piasku i żwiru. Dźwignął się z dołu, potem wyszedł na powierzchnię.

– Przed chwilą zabiłem człowieka.

– W przeciwnym razie on zabiłby ciebie – powiedziała Stephanie.

– To nie najlepszy argument, ale innym nie dysponujemy.

Dostrzegł łzy spływające po policzkach matki.

– Tak się bałam, że cię znowu stracę.

– Miałem nadzieję, że nie wbiję się w te groty, ale nie byłem pewien, czy de Roquefort pójdzie mi na rękę.

– Musiałeś go zabić – oświadczył z przekonaniem Malone. – Nikt nigdy by go nie powstrzymał.

– Czy jego kula nikomu nie wyrządziła krzywdy? – zapytał Mark.

– Przeszła blisko – odparł prawnik, potem gestem wskazał na wolumin. – Tego właśnie szukałeś?

Mark przytaknął.

– Ale to nie wszystko.

– Już wcześniej zadałem ci pytanie. Czy było warto?

Seneszal wskazał do tyłu, w głąb ciemnego korytarza.

– Chodźmy tam razem, a ty udzielisz mi odpowiedzi.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

OPACTWO DES FONTAINES
ŚRODA, 28 CZERWCA
12.40

Mark rozglądał się po sali zbudowanej na planie koła. Bracia znów byli odziani w uroczyste szaty, zwołani na konklawe, które miało wybrać wielkiego mistrza. De Roquefort nie żył, jego ciało złożono w Krypcie Ojców poprzedniego wieczoru. W trakcie pogrzebu kapelan sprzeciwił się uroczystemu wpisaniu do kroniki kadencji de Roqueforta, a głosowanie bractwa jednogłośnie przyjęło ten wniosek. Kiedy słuchał przemowy kapelana, Mark zdał sobie sprawę, że to, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni, było niezbędne. Niestety, dopuścił się zabójstwa dwóch ludzi; jednej śmierci żałował, druga natomiast wzbudzała w nim nieskrywaną satysfakcję. Prosił teraz Boga o wybaczenie za zabicie brata w Rennes, lecz fakt opuszczenia ziemskiego padołu przez de Roqueforta napełniał go wyłącznie poczuciem ulgi.

Teraz kapelan znów przemawiał do templariuszy zebranych na konklawe.

– Powiadam wam, bracia, przeznaczenie zdecydowało, lecz nie w sposób zaplanowany przez ostatniego wielkiego mistrza. Podążał błędnym szlakiem. Nasze Wielkie Dziedzictwo wróciło do nas dzięki seneszalowi. To on był następcą, którego wybrał sobie poprzedni wielki mistrz. I to on został wysłany na poszukiwania. Stanął na udeptanej ziemi przed wrogiem, przedkładając dobro wspólnoty nad własne, i wypełnił misję, do której spełnienia wielcy mistrzowie tego zakonu dążyli od stuleci.

Mark zobaczył, jak setki głów przytakują z aprobatą. Nigdy wcześniej jego osoba nie poruszyła uczuć ludzi w taki sposób. Prowadził samotną egzystencję na uniwersytecie, spędzając weekendy z ojcem, potem samotnie. Jeszcze kilka dni temu te weekendy były największą przygodą w jego życiu.

Wielkie Dziedzictwo wydobyto z krypty wczorajszego ranka i potajemnie przewieziono do opactwa. Wraz z Malone’em osobiście przeniósł urnę i świadectwo Szymona. Pokazał kapelanowi, co odnaleźli, i obaj zgodzili się, że nowo wybrany wielki mistrz podejmie decyzję, co należy zrobić dalej.

Decyzja o wyborze miała zostać podjęta lada chwila.

Tym razem Mark nie stał razem z członkami kapituły zakonu. Był jedynie zwykłym bratem. Zajął więc miejsce wśród rzeszy posępnych mnichów. Nie wybrano go do grona braci elektorów, więc obserwował wraz z pozostałymi, jak wybrana dwunastka wypełnia powierzone im zadanie.

– Nie ma wątpliwości, co musimy uczynić – odezwał się jeden z braci elektorów. – Poprzedni seneszal powinien zostać naszym mistrzem. Niech się tak stanie.

W sali zapadła cisza.

Mark zamierzał głośno zaprotestować. Ale Reguła zabraniała tego, on zaś ostatnio tyle razy złamał jej postanowienia, że starczyłoby tego na całe życie.

– Jestem tego samego zdania – odezwał się inny elektor.

Pozostałych dziesięciu przytaknęło z aprobatą.

– W takim razie niech tak będzie – odezwał się ten, który wysunął kandydaturę Marka. – Ten, który był naszym seneszalem, będzie teraz wielkim mistrzem zakonu.

Okrzyk czterystu gardeł oznaczał ogólną aprobatę.

Rozległ się chóralny śpiew.

Beauseant.

Przestał być Markiem Nelle.

Od tej chwili był wielkim mistrzem zakonu templariuszy.

Oczy wszystkich skupiły się na nim. Wyszedł spomiędzy braci i wszedł do kręgu utworzonego przez elektorów. Spojrzał na ludzi, których poważał. Przystąpił do zgromadzenia jedynie po to, by spełnić marzenie ojca oraz by uciec od matki. Został tu, ponieważ obdarzył miłością zakon oraz swego mistrza.

Przywołał w pamięci słowa z prologu Ewangelii św. Jana:

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.
Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez

niego nic się nie stało, co się stało. W Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. Pojawił się człowiek posłany przez Boga – Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego. Nie był on światłością, lecz [posłanym], aby zaświadczyć o światłości. Była to światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi. Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby stali się dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego…

Szymon Piotr rozpoznał i przyjął Go, jak uczynili to wszyscy, którzy przyszli po Szymonie, a ich ciemność przemieniła się w światłość. Być może dzięki temu jednemu oświeceniu, które było udziałem Szymona, wszyscy oni stali się dziećmi Boga.

Owacje stopniowo ustały.

Wielki mistrz odczekał, aż w sali zapanuje cisza.

– Sądziłem, że być może nadeszła pora, bym opuścił to miejsce – zaczął cichym głosem. – Kilka minionych dni wiązało się z wieloma trudnymi decyzjami. Na skutek dokonanych przeze mnie wyborów doszedłem do przekonania, że moje zakonne życie dobiegło końca. Przyczyniłem się do śmierci jednego z naszych braci i z tego powodu odczuwam głęboki żal i skruchę, lecz nie dano mi wyboru. Pozbawiłem też życia poprzedniego wielkiego mistrza, lecz z tego powodu nie odczuwam wyrzutów sumienia.

Jego głos stał się teraz mocniejszy.

– On sprzeciwił się wszystkiemu, w co wierzymy. Jego chciwość i bezwzględność doprowadziłyby nas do upadku. Obchodziły go wyłącznie jego potrzeby, jego pragnienia, nie nasze.

Poczuł jak napełnia go siła, gdy ponownie usłyszał w duszy słowa swego mentora. „Zapamiętaj wszystko, czego cię nauczyłem”.

– Jako wasz przywódca zamierzam wytyczyć nowy szlak. Wyjdziemy z cienia, lecz nie po to, by szukać zemsty bądź sprawiedliwości, ale po to, by uzyskać na tym świecie miejsce, które należy się Ubogim Rycerzom Chrystusa i Świątyni Salomona, czyli tym, którymi jesteśmy. I tym się

staniemy. Przed nami jest wiele do zrobienia. Ubodzy i poniewierani potrzebują swego mistrza. Możemy stać się ich wybawicielami.

Przypomniał sobie słowa zapisane przez Szymona: „Wszyscy nosimy w sobie wizerunek Boga, wszyscy jesteśmy godni miłości i wszyscy możemy żyć w duchu Boga”. Był pierwszym wielkim mistrzem od siedmiuset lat, który miał się kierować tym przesłaniem. I zamierzał podążać za tymi słowami.

– A teraz, bracia moi, pora, byśmy pożegnali brata Geoffreya, którego poświęceniu zawdzięczamy nadejście tego dnia.



Malone był pod wrażeniem tego, co zobaczył w opactwie. On, Stephanie, Henrik i Cassiopeia zostali powitani już wcześniej. Zaproponowano im zwiedzenie całego kompleksu, byli więc pierwszymi nietemplariuszami, których spotkał ten honor. Przewodnik, kapelan zakonu, pokazał im każdy zakątek i cierpliwie tłumaczył historię budowli, potem zostawił ich, informując, że śpieszy się na konklawe, które lada chwila miało się zacząć. Powrócił przed kilkoma minutami i zaprowadził ich do kaplicy. Podążyli tam, by wziąć udział w pogrzebie Geoffreya. Tam mieli też odebrać podziękowania za ogromną rolę, którą odegrali w odnalezieniu Wielkiego Dziedzictwa.

Siedzieli w pierwszym rzędzie ławek bezpośrednio przed ołtarzem. Kaplica monumentalnością i majestatem dorównywała katedrze – było to miejsce, w którym templariusze gromadzili się przez stulecia. Malone niemal fizycznie czuł ich obecność.

Stephanie usiadła obok niego, Henrik i Cassiopeia po drugiej stronie. Słyszał oddech byłej szefowej, gdy śpiew braci ustał, a Mark wyszedł zza ołtarza. Pozostali bracia mieli na sobie rdzawe habity, głowy schowane pod kapturami, on natomiast odziany był w biały płaszcz wielkiego mistrza. Malone wyciągnął rękę i ujął drżącą dłoń Stephanie. Odwzajemniła się uśmiechem i ścisnęła mocno jego rękę.

Mark podszedł do prostej trumny, w której spoczywało ciało Geoffreya.

– Ten brat oddał za nas życie. Dotrzymał przysięgi. Za to też zasłużył na honor, byśmy pochowali go w Krypcie Ojców. Przed nim tego zaszczytu dostępowali jedynie wielcy mistrzowie. Teraz do ich grona dołączy ten bohater.

Nikt nie zaprotestował.

– Ponadto sprzeciw odnośnie do honorowego wpisania do kronik zakonu poprzedniego wielkiego mistrza, wniesiony przez de Roqueforta, zostaje niniejszym uchylony. Przyznajemy mu znów zaszczytne miejsce w kronikach. A teraz pożegnajmy się z bratem Geoffreyem. Dzięki niemu się odrodziliśmy.

Msza trwała godzinę, potem Malone wraz z innymi zeszli z braćmi do Krypty Ojców. Tam umieszczono trumnę w jednym z lokolusów, obok poprzedniego wielkiego mistrza.

Po skończonej ceremonii żałobnej wyszli na zewnątrz i wsiedli do swoich samochodów.

Malone zauważył spokój na twarzy Marka oraz wyraźne ocieplenie jego relacji z matką.

– Co teraz zamierza pan robić, panie Malone? – zapytała Cassiopeia.

– Wracam do księgarskiej profesji. Poza tym mój syn przyjeżdża już niebawem i spędzimy wspólnie cały miesiąc.

– Syn? Ile ma lat?

– Czternaście, przyjeżdża trzynastego. Niezły z niego urwis.

Cassiopeia obdarzyła Malone’a ciepłym uśmiechem.

– Podobnie zresztą jak jego ojciec.

– Bardziej jak jego matka.

W ciągu kilku ostatnich dni sporo myśli poświęcił Gary’emu. Widząc walkę, którą toczyli Stephanie i Mark, uświadomił sobie własne porażki. Ale Gary nigdy by mu nic nie powiedział na ten temat. Mark był pełen pretensji, Gary zaś doskonale radził sobie w szkole, uprawiał sport i nigdy nie zgłosił słowa sprzeciwu wobec zamiaru wyjazdu ojca do Kopenhagi. Wręcz przeciwnie – zachęcał go do tego kroku, zdając sobie sprawę, iż jego rodzic również potrzebuje paru chwil szczęścia. Malone’a wciąż gnębiły spore wyrzuty sumienia w związku z tą decyzją. Lecz teraz z utęsknieniem czekał na przyjazd syna. Rok temu po raz pierwszy spędzili wspólnie lato

w Europie. W tym roku planowali wypad do Szwecji, Norwegii i na koniec do Anglii. Gary uwielbiał podróże. To jeszcze jedna rzecz, która ich łączyła.

– Zdaje się, że będą to udane wakacje – powiedział.

Malone, Stephanie oraz Thorvaldsen mieli pojechać do Tuluzy, gdzie zamierzali złapać samolot do Paryża. Stamtąd Stephanie chciała polecieć prosto do Atlanty. Natomiast Malone i Henrik szykowali się do powrotu do Kopenhagi. Cassiopeia wracała do zamku w Givors swoim land-roverem.

Stała przy samochodzie, kiedy Malone przeszedł obok niej.

Góry otaczały ich ze wszystkich stron. Za parę miesięcy zima otuli białym śnieżnym kobiercem wszystko dookoła. Zgodnie z rytmem przyrody. Z równą konsekwencją w przyrodzie, jak i w życiu. Raz dobrze, potem źle, potem znów dobrze, potem jeszcze gorzej, potem znowu lepiej. Malone przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Stephanie, kiedy odchodził z agencji i miał dość tego nonsensu. Uśmiechnęła się na jego naiwność i stwierdziła, że dopóki na ziemi mieszkają ludzie, nie będzie to spokojne miejsce. Gra zawsze była ta sama, zmieniali się tylko gracze.

To było w porządku. Doświadczenie ostatniego tygodnia nauczyło go, że jest graczem i zawsze nim pozostanie. Ale gdyby ktoś zapytał go o zdanie, w odpowiedzi stwierdziłby, iż jest księgarzem.

– Niech pan uważa na siebie, Malone – odezwała się Cassiopeia. – Już więcej nie będę strzegła pańskiego tyłka.

– Mam przeczucie, że jeszcze się spotkamy.

Obdarzyła go uroczym uśmiechem.

– Tego się nigdy nie wie. Wszystko się może zdarzyć.

Wrócił do swojego auta.

– A co z Claridonem? – zapytał Marka.

– Błagał o przebaczenie.

– A ty wspaniałomyślnie mu wybaczyłeś.

Na twarzy Marka pojawił się uśmiech.

– On po prostu powiedział, że de Roquefort zamierzał usmażyć mu stopy na wolnym ogniu, a kilku braci to potwierdziło. Chce dołączyć do nas.

Malone żachnął się.

– Czy jesteście na to gotowi?

– Nasze szeregi były kiedyś wypełnione ludźmi o wiele gorszego pokroju, a mimo to jakoś przetrwaliśmy. Osobiście zajmę się jego pokutą.

Stephanie i Mark rozmawiali przez chwilę po cichu. Już wcześniej pożegnali się na osobności. Ona sprawiała wrażenie spokojnej i odprężonej. Najwyraźniej ich relacje się poprawiły. Malone odczuwał z tego powodu zadowolenie. Najwyższa pora, żeby między matką a synem zapanował pokój.

– Co się stanie z urną i świadectwem Szymona? – zapytał Marka.

W pobliżu nie było żadnego z braci, mogli więc bezpiecznie omówić ten temat.

– Pozostanie zapieczętowana. Świat jest zadowolony z tego, w co wierzy. Nie zamierzam wprowadzać żadnego zamieszania.

Malone zgodził się z tym stanowiskiem.

– To chyba dobry pomysł

– Ale ten zakon ponownie ujrzy światło dnia.

– Racja – dołączyła do rozmowy Cassiopeia. – Rozmawiałam już z Markiem o tym, żeby przyłączyli się do charytatywnej organizacji, na której czele stoję. Skuteczność walki z AIDS w skali globalnej oraz zapobieganie klęskom głodu mogą skorzystać na skarbach, a zakon ma dużo do wydania.

– Henrik z kolei lobbował twardo za tym, żebyśmy zaangażowali się w sprawy, na których jemu zależy – dodał Mark. – Zgodziłem się go wesprzeć. A zatem templariusze będą mieli sporo zajęć. Nasze umiejętności będą mogły być wykorzystane z wielkim pożytkiem.

Wyciągnął dłoń, którą Malone uścisnął.

– Jestem przekonany, że templariusze są teraz w dobrych rękach. Wszystkiego najlepszego.

– Nawzajem, Cotton. A propos, wciąż nie wiem, skąd wzięło się to przezwisko.

– Zadzwoń do mnie któregoś dnia, to ci opowiem.

Wsiedli do wynajętego auta. Malone zajął miejsce za kierownicą. Kiedy zapięli pasy bezpieczeństwa, odezwała się Stephanie:

– Jestem ci winna przysługę.

Spojrzał na nią przez ramię.

– To ci dopiero nowina.

– Nie przyzwyczajaj się do tego.

Uśmiechnął się.

– Skorzystaj z tego roztropnie.

– Oczywiście, madame.
Uruchomił silnik i ruszyli w drogę.

SŁOWO OD AUTORA

Siedząc przy stoliku w jednej z kawiarni przy Højbro Plads, postanowiłem, że mój protagonista musi mieszkać w Kopenhadze. To miasto jest rzeczywiście jedną z najwspanialszych światowych aglomeracji. Tym samym krąg stałych bywalców owego zatłoczonego zazwyczaj placu powiększył się o postać Cottona Malone, właściciela książkowego antykwariatu. Spędziłem również sporo czasu w południowej Francji, zgłębiając tam sekrety historii i zwiedzając wiele miejsc, które koniec końców znalazły się na stronach tej powieści. Większą część fabuły obmyśliłem w trakcie podróży, co zresztą nie powinno dziwić, jeśli uwzględni się inspirujące walory Danii, Langwedocji czy samego Rennes-le-Château. W dobrym tonie będzie jednak wytyczenie linii granicznej między światem rzeczywistym a krainą literackiej fikcji.

Ukrzyżowanie Jakuba de Molaya, którą to scenę przedstawiono w prologu, oraz prawdopodobieństwo tego, iż to jego wizerunek znajduje się na Całunie Turyńskim (rozdział 46.) to wnioski, do których doszli Christopher Knight i Robert Lomas. Kiedy w ich wspólnym dziele *The Second Messiah* (*Drugi Mesjasz*) natrafiłem na tę hipotezę, zaintrygowała mnie do głębi. W rezultacie wplotłem ów wątek do powieściowej fabuły. Wiele z tego, co utrzymują Knight i Lomas – i co relacjonuje Mark Nelle w rozdziale 46. – naprawdę ma sens i jest w dużym stopniu zbieżne z naukowymi dowodami, które zgromadzono na podstawie badań Całunu przeprowadzonych w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Opactwo des Fontaines jest fikcyjne, lecz jego wygląd bazuje w wielu szczegółach na licznych podobnych obiektach znajdujących się w Pirenejach. Wszystkie miejsca z terenu Danii opisane w książce istnieją naprawdę. Katedra w Roskilde oraz krypta Chrystiana IV (rozdział 5.) to prawdziwe arcydzieła sakralnej architektury i rzeźby, a widok z kopenhaskiej Rotundy (rozdział 1.) rzeczywiście przenosi obserwatora w minione stulecia.

Na postać Larsa Nelle składają się elementy życiorysów licznych kobiet i mężczyzn, którzy całe życie poświęcili pisaniu publikacji na temat Rennes-le-Château. Czytałem wiele spośród nich – niektóre graniczyły ze światem cudów, inne zaś ocierały się o absurd i śmieszność, każda jednak na swój sposób oferowała niepowtarzalną sposobność wejrzenia w to niezwykłe miejsce, pełne sekretów i tajemnic. Idąc tym szlakiem, należy sformułować kila wniosków.

Książka *Pierres Gravées du Languedoc* (*Inskrypcje nagrobne Langwedocji*) pióra Eugène Stübleina (pierwszy raz wspomniana w rozdziale 4.) stanowi element folkloru Rennes, chociaż nikt nigdy nie widział na oczy choćby jednego jej egzemplarza. Zgodnie z informacją podaną w rozdziale 14., publikacja ta jest skatalogowana w zbiorach *Bibliothéque Nationale* w Paryżu, ale jedyny egzemplarz zaginął.

Oryginalny kamień nagrobny z grobu Marie d'Hautpoul de Blanchefort także zaginął, najprawdopodobniej zniszczony własnoręcznie przez Saunière'a. Prawdopodobnie jednak 25 czerwca 1905 roku przebywający tu z wizytą członek towarzystwa naukowego sporządził jego szkic. Rycina została opublikowana w 1906 roku. Jak się jednak okazało, istniały co najmniej dwie jej wersje, trudno zatem wysuwać ostateczne wnioski co do wyglądu oryginału.

Wszystkie fakty odnoszące się do rodu d'Hautpoul oraz jego powiązań z zakonem templariuszy odpowiadają historycznej prawdzie. Zgodnie z tym, co podano w rozdziale 20., ksiądz Bigou był spowiednikiem Marie i rzeczywiście zlecił wykonanie płyty nagrobnej oraz nagrobka w dziesięć lat po jej śmierci. W 1793 roku salwował się ucieczką z Rennes i nigdy już tu nie powrócił. W sferze domysłów pozostaje dylemat, czy rzeczywiście to on zostawił ukryte przesłanie (co stanowi element legendy Rennes), ale taka ewentualność przydaje całej opowieści dodatkowych smaczków.

Do zabójstwa proboszcza Antoine'a Gélisa doszło naprawdę, w sposób opisany w rozdziale 26. Gélis rzeczywiście kontaktował się z Saunière'em, i (zdaniem niektórych) ten drugi mógł być zamieszany w śmierć tego pierwszego. Brak jednak dowodów na potwierdzenie tej hipotezy, natomiast zagadka owej zbrodni po dziś dzień nie została rozwiązana.

Chyba nigdy nie dowiemy się też, czy istnieje krypta pod kościółkiem w Rennes. Jak podano w rozdziałach 32. i 39., miejscowe władze nie wydadzą zezwolenia na przeprowadzenie prac eksploracyjnych. Z drugiej

jednak strony, ród sprawujący władzę w Rennes musiał być gdzieś chowany, a do dzisiejszego dnia nie odnaleziono jego grobowca. Odniesienia poczynione na kartach powieści (rozdział 32.) o wpisach w księgach parafialnych, potwierdzających istnienie krypty, są autentyczne.

Kolumna z czasów panowania Wizygotów, opisana w rozdziale 39., istnieje. Saunière rzeczywiście odwrócił ją do góry nogami i kazał wyryć na niej napis. Powiązanie daty 1891 (lub po odwróceniu 1681) z nagrobkiem Marie d'Hautpoul de Blanchefort (oraz odniesienia na nim do roku 1681) na dobrą sprawę zdaje się przekraczać granice zbiegu okoliczności, ale istnieje w rzeczywistości. Być może gdzieś tu kryje się jakieś przesłanie.

Wszystkie budowle oraz wszystkie dekoracje w kościółku, których wykonanie zlecił Saunière, są również prawdziwe. Każdego roku posiadłość Saunière'a zwiedzają dziesiątki tysięcy gości. Powiązanie liczb siedem i dziewięć jest wymysłem autora, opartym na spostrzeżeniach poczynionych przy okazji oglądania kolumny Wizygotów, stacji drogi krzyżowej oraz różnych innych elementów we wnętrzu kościółka i wokół niego. Wedle wiedzy autora, nikt nigdy nie sformułował na piśmie zależności liczb siedem i dziewięć, wobec tego będzie to mój osobisty przyczynek do legendy Rennes.

Noel Corbu mieszkał w Rennes, a jego zasługi w tworzeniu sporej części wymysłów odnośnie do tego miejsca są także prawdziwe (rozdz. 29.). Doskonała publikacja *The Treasure of Rennes-le-Château: A Mystery Solved* (*Skarb Rennes-le-Château: Tajemnica rozwiązana*) pióra Billa Putnama i Johna Edwina Wooda, zajmuje się dogłębnie fabrykacjami tego człowieka. Noel Corbu zakupił posiadłość Saunière'a od jego będącej już w podeszłym wieku metresy. W opinii większości, gdyby Saunière wiedział o czymkolwiek, zapewne powierzyłby ten sekret swojej kochance. Jedna część legendy (prawdopodobnie jeszcze jeden wymysł Corbu) głosi, że metresa wyjawiła prawdę Corbu tuż przed śmiercią w 1953 roku. Nigdy jednak nie dowiemy się tego na pewno. Wiemy natomiast, że Corbu czerpał wiele korzyści, kreując mit o Rennes. On też był źródłem informacji, kiedy w 1956 roku opublikowano w prasie pierwszy artykuł na temat rzekomego skarbu. Jak stwierdzono w rozdziale 29., Corbu pisał pamiętnik poświęcony Rennes, ale po jego śmierci w 1968 roku manuskrypt zaginął.

Na dobre legenda Rennes zaczęła żyć własnym życiem po wydaniu w 1967 roku książki *The Accursed Treasure of Rennes-le-Château*

(*Przeklęty skarb Rennes-le-Château*) autorstwa Gérarda de Sède, która została uznana za pierwszą publikację na ten temat. Jest w niej sporo fikcji, z której większość to przetworzone i podane raz jeszcze konfabulacje Noela Corbu z 1956 roku. W końcu za temat Rennes wziął się brytyjski filmowiec Henry Lincoln i nakręcił film poświęcony legendzie miasteczka, dzięki któremu Rennes zyskało popularność.

Obraz *Czytanie reguł Caridad*, pędzla Juana de Valdesa Leala, wisi obecnie w kościele Santa Caridad w Hiszpanii. Przeniosłem to płótno do Francji, ponieważ nie byłem w stanie oprzeć się jego symbolice. Konsekwencją tego jest dołączenie obrazu do legendy Rennes, będące owocem wyobraźni autora (rozdział 34.). Pałac papieski w Awinionie jest przedstawiony z wiernością realiów, poza archiwum wymyślonym przeze mnie.

Kryptogramy rzeczywiście stanowią element mitu Rennes. Ten przedstawiony na stronach powieści powstał jednak w umyśle autora.

Wątek z rekonstrukcją średniowiecznego zamku w Givors bazuje na rzeczywistym projekcie realizowanym obecnie we Francji, w miejscowości Guédelon. Zatrudnieni tam rzemieślnicy budują zamczysko z XIII wieku, stosując narzędzia i materiały, którymi posługiwano się w wiekach średnich. Ukończenie tego przedsięwzięcia zajmie jeszcze kilkadziesiąt lat; budowa jest dostępna dla turystów i zwiedzających.

Templariusze, to akurat oczywiste, istnieli rzeczywiście, a losy ich zakonu zostały przedstawione zgodnie ze źródłami historycznymi. Także cytaty z Reguły bractwa przytoczono dosłownie. Wiersz z rozdziału 10. jest autentyczny, chociaż autor pozostaje anonimowy. Informacje o dokonaniach zakonu, opisane szczegółowo w różnych miejscach powieści, pokrywają się z prawdą. Dokonania te stanowią świadectwo istnienia organizacji, która z pewnością wyprzedzała swe czasy. Jeśli chodzi o zaginione skarby oraz wiedzę, po czystce, która rozpoczęła się w październiku 1307 roku, nie zdołano niczego odnaleźć, choć Filip IV prowadził poszukiwania zakrojone na szeroką skalę. Relacja o wozach zmierzających w kierunku Pirenejów (rozdział 48.) opiera się na informacjach znalezionych w źródłach historycznych, chociaż nie można być niczego pewnym w tej kwestii.

Niestety, nie zachowały się kroniki zakonu. Być może jednak dokumenty te wciąż czekają na łaknącego przygód poszukiwacza, który pewnego dnia

odnajdzie zaginioną kryjówką ze skarbem templariuszy. Ceremonia przyjęcia w szeregi zakonu, opisana w rozdziale 51., jest przedstawiona wiernie na podstawie Reguły. Natomiast ceremoniał pochówku, opisany ze szczegółami w rozdziale 19., to twór wyobraźni autora, chociaż Izraelici z I wieku naszej ery rzeczywiście chowali zmarłych według podobnego obrządku.

Ewangelia (świadectwo) Szymona jest wymysłem autora. Sam pomysł innego schematu „zmartwychwstania" Chrystusa został zapożyczony z doskonałej książki Johna Shelby Sponga *Resurrection, Myth or Reality* (*Zmartwychwstanie: mit czy rzeczywistość*).

Sprzeczności i niekonsekwencje między czterema Ewangeliami Nowego Testamentu w odniesieniu do Zmartwychwstania (rozdział 46.) przez całe stulecia były przedmiotem dociekań badaczy. Już sam fakt, iż zdołano odkryć tylko jeden szkielet człowieka, który poniósł śmierć na krzyżu (rozdział 50.), wzbudza wątpliwości, podobnie jak liczne komentarze i oświadczenia, powstające nieustannie. Jeden z tych komentarzy, przypisywany papieżowi Leonowi X (1513–1521), w szczególności przyciągnął moją uwagę. Leon pochodził z rodu Medyceuszy; był potężnym władcą wspieranym przez wpływowych sojuszników. Kierował Kościołem w czasach, gdy instytucja ta była przewodnią siłą świata. Jego słowa są krótkie, proste – i osobliwe, jeśli zważyć, że padły z ust głowy Kościoła rzymskokatolickiego.

Mówiąc prawdę, była to iskierka, dzięki której narodziła się ta powieść.

„Służył nam dobrze ten mit o Chrystusie".

[1] Ps 52, 4. Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia.
[2] PP 9, 14.
[3] Ewangelia św. Tomasza.
[4] Ewangelia św. Tomasza.
[5] Ewangelia św. Tomasza.
[6] Ewangelia św. Tomasza.
[7] W rzeczywistości łacińskie zdanie *Et in Arcadia ego* wcale nie jest pozbawione sensu. Tłumaczy się je jako „I ja byłem w Arkadii", czyli „I ja byłem szczęśliwy", bo Arkadia to kraina wiecznej szczęśliwości. Zdanie to wypowiada Śmierć, obwieszczając swoją obecność nawet w najszczęśliwszym życiu. A przede wszystkim zdanie to jest po łacinie zbudowane absolutnie poprawnie (przyp. red.).
[8] Mk 15,46
[9] Mk 16,6
[10] ang. *good bye* (przyp. tłum.).
[11] ang. *mission* (przyp. tłum.).
[12] ang. *penitence* (przyp. tłum.).

===a1xuXmdfaVxzQndPd0NzS35Pdlk9XC5HMkE7G3ZJLVQzQSAf